Moja służba Niepodległej

Warszawa 2019
Wydanie I

Publikacja objęta patronatem:

MUZEUM ARMII KRAJOWEJ
im. gen. Emila Fieldorfa „Nila" w Krakowie

Józef Szostak

Moja służba Niepodległej

Wspomnienia

Seria: „Kamienie”

Tom I

Instytut Historyczny nn
im. Andrzeja Ostoja Owsianego

Projekt okładki:
Mariusz Front

Korekta:
Mirosława Kostrzyńska

Redaktor wydania 2019, posłowie, indeks
Mirosław Lewandowski

Zdjęcia:
Narcyz Witczak-Witaczyński – www.audiovis.nac.gov.pl;
ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE

Skład, przygotowanie do druku, druk i oprawa:
AWiR Akces Sukces-Sport, Warszawa, www.awirakces.pl

Wydawca:
Instytut Historyczny nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego, ihoo.pl

Współwydawca:
Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Copyright:
Instytut Historyczny nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego, 2019

ISBN 978-83-943994-8-1 (całość)
ISBN 978-83-943994-1-2 (tom 1)

Wydanie 1
Warszawa 2019

Jak stwierdził Adam Skwarczyński, „*Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w glebę życia w jego organizm…*” tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

Nasze działania nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych darczyńców.

Dziękujemy!

Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, Fundacji PKO Banku Polskiego oraz Fundacji Lotos

Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Fundacja PKO

FUNDACJA LOTOS

Od Wydawnictwa Polskiego[1]

Książka niniejsza jest ostatnią pozycją, którą przygotował do druku wieloletni kierownik Wydawnictwa Polskiego – Andrzej Szomański. Ten długoletni działacz niepodległościowy, historyk, dziennikarz, współzałożyciel Konfederacji Polski Niepodległej, członek Solidarności i Komitetu Katyńskiego, dwukrotny więzień polityczny w latach 50. i 80., odszedł nagle, przeżywszy 57 lat w pełni sił twórczych na posterunku pracy niepodległościowej.

Wydawnictwo Polskie żegna w nim ulubionego szefa, wiernego przyjaciela, wspaniałego człowieka.

Cześć jego pamięci!

[1] Wspomnienia Józefa Szostaka ukazały się po raz pierwszy w PRL w 1987 (t. I) oraz 1989 roku (t. II) wydane w II obiegu przez Wydawnictwo Polskie KPN pod redakcją, ze słowem wstępnym oraz przypisami Andrzeja Szomańskiego. Niniejsze wydanie stanowi wznowienie tamtych publikacji, z tym, że wykonano nowy skład, połączono oba tomy, dodano indeks osób oraz zdjęcia. Tekst *Od Wydawnictwa Polskiego* pochodzi z wydania z 1987 roku. Autorem większości przypisów jest Andrzej Szomański. Przypisy dodane przez redaktora Wydawnictwa Polskiego w 1989 r. oznaczono jako (przyp. Wyd. Pol.), przypisy dodane przez redaktora obecnego wydania oznaczono jako (przyp. red.).

Słowo wstępne

Niewielu żyje wśród nas ludzi, którym było dane podjąć w pamiętnym roku 1914 lub w następnych latach Wielkiej Wojny zbrojną walkę o rzecz najcenniejszą dla Polaka: wolność i niepodległość Ojczyzny; ludzi, którzy doznali później satysfakcji i dumy z jej odzyskania i walczyli o utrwalenie suwerenności młodej II Rzeczypospolitej, a następnie wiernie służyli Jej przez czas międzywojenny, by podjąć ponownie walkę o te same wartości w latach 1939–1945. Przeciętna wieku tych osób wynosi już koło dziewięćdziesiątki. Odchodzą, pozostawiając po sobie wierną pamięć – i zobowiązanie, zwłaszcza dla najmłodszego pokolenia. Niestety, rzadko kiedy pozostawiają po sobie (z różnych, najczęściej usprawiedliwionych biegiem wydarzeń po roku 1945, powodów) własne świadectwo historii: wspomnienia, pamiętniki, relacje. Szkoda to niepowetowana!

W przypadku książki, którą teraz oddajemy do rąk Czytelnika, rzecz ma się – na szczęście – inaczej. Autor, zmarły w 1984 roku pułkownik dyplomowany Józef Szostak opisał w swych wspomnieniach (chociaż niekiedy zbyt lakonicznie) dzieje swojego, poświęconego wojskowej służbie Polsce, żywota. Zawarł w nich pokrótce historię swej rodziny o starych tradycjach patriotycznych, swego, w miarę sielskiego dzieciństwa na podwarszawskiej wsi, lat szkolnych przerwanych wybuchem wojny. Zaciągnął się w 1915 roku do szeregów warszawskiego batalionu POW, by wyruszyć na Wołyń, gdzie krwawiła już w bojach I Brygada Legionów Polskich, dowodzona przez komendanta Józefa Piłsudskiego. Przeszedł rychło do kawalerii, do obrastających już legendą ułanów Beliny, wierząc „że Ta, co nie zginęła, wyrośnie z naszej krwi". Doświadczył śmierci kolegów, własnych ran, wszy i głodu, goryczy rozwiązania Legionów i internowania za drutami obozu w Szczypiornie. Ale, jak inni towarzysze broni, był głęboko przekonany, że tak trzeba, że „Komendant wie, co robi". I historia, która rzadko kiedy przyznaje rację w sposób jednoznaczny, tym razem przyznała ją – i widzimy to coraz ostrzej, w miarę, jak lat coraz więcej upływa – Komendantowi i jego podkomendnym, którym dodawał sił wędrówki kres. Ale nie był to kres: trzeba

było w śmiertelnych zmaganiach z nową, bolszewicką Rosją utrwalić w latach 1919–1920 bezcenną zdobycz, odzyskaną Rzeczpospolitą. A później, w czasie coraz bardziej kruchego pokoju, przyszła dalsza służba w Wojsku Polskim: w 1 pułku szwoleżerów, kurs Wyższej Szkoły Wojennej, praca w Oddziale III (w perspektywie wojny – bodaj najważniejszym) Sztabu Głównego, wreszcie krótko przed Wrześniem – dowództwo 13 pułku ułanów w Nowej Wilejce.

Szlak bojowy polskiej kampanii jesiennej, uniknięcie niewoli, konspiracja – oczywiście w szeregach Związku Walki Zbrojnej, późniejszej Armii Krajowej. Objęcie dowodzenia Oddziałem III w Komendzie Głównej AK. Dylematy związane z planem „Burza" i decyzją podjęcia walki powstańczej w Warszawie, kiedy to w kwestie militarne ingeruje coraz bardziej tragicznie dla Polski polityka wielkich mocarstw i cień Jałty nasuwa się nad umęczony kraj. Później przyjdzie gorycz kapitulacji Powstania i obóz jeniecki w Woldenbergu. Jakże wielki był tragizm osobistych przeżyć Autora – obydwaj synowie płk. Szostaka oddali swe młode życie w walce z okrutnym wrogiem. Po powrocie do kraju miały miejsce krótkotrwałe złudzenia i szybkie rozczarowania. Później praca na marginesie odbudowującej się gospodarki na Ziemiach Zachodnich. I rok 1949 – aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa. Śledztwo: „wróg ludu", „zapluty karzeł reakcji", „agentura międzynarodowego imperializmu". Mokotów, farsa procesu, więzienia, poniewierka. I rok 1955 – powrót do domu, jeszcze u schyłku ery stalinowskiej, ale już w początkach „odwilży"... Po raz pierwszy widziany pięcioletni syn z drugiego małżeństwa, Wojciech. Jemu właśnie – rozpoczynając pisanie swych wspomnień jeszcze w kwietniu roku 1955 – poświęca płk Józef Szostak wstępną dedykację swej żmudnej i trwającej kilka lat pracy.

Ze względu na osobisty charakter pominęliśmy ją w druku. Nosi ona datę 19 kwietnia 1955 i miejsce: Ruda Pabianicka, gdzie Autor mieszkał do końca swego trudnego, ale jakże bogatego w wydarzenia życia, które zakończył w dniu 11 lutego 1982 roku.

Przed tym jednak przeżył czas wielkich, posierpniowych nadziei, mając i tę, choć może drobną satysfakcję, gdy jako honorowy uczestnik obecny był na uroczystości (10 listopada 1981) odsłonięcia tablicy pamiątkowej na frontonie domu przy ulicy Wschodniej 19 w Łodzi, gdzie ongiś na przełomie lat 1899/1900 konspiracyjnie redagował i drukował „Robotnika" Józef Piłsudski. Był płk Szostak wsłuchany – mimo sędziwego wieku – w rytm niezawisłego życia w kraju. Honorowe członkostwo Konfederacji Polski Niepodległej nie było dlań tylko kurtuazyjną formułą. Wierzył, że nie na darmo, w ostatecznym rozrachunku zda się krwawy trud jego pokolenia.

Wspomnienia te wydajemy ze względu na ich walory poznawcze, a tym samym rolę, jaką mogą spełnić w dziedzinie edukacji niepodległościowej spo-

łeczeństwa. Jeśli chodzi o część pierwszą, to szczególnie cenne jako źródło historyczne są charakterystyki (niepozbawione krytycznych akcentów, ale nacechowane dążeniem do obiektywizmu) wielu osób spośród starszyzny wojskowej, czy też stosunki panujące w Wyższej Szkole Wojennej lub Oddziale III Sztabu Głównego. Autor nie ukrywa swych własnych, ludzkich słabostek. Nierzadko gości w jego wspomnieniach humor. Pisane są one stylem dość barwnym, czasem niepozbawionym chropowatości. Uznaliśmy za słuszne pozostawienie tekstu w jego oryginalnej postaci, dokonując jedynie niezbędnej adiustacji stylistycznej, poprawiając oczywiste przejęzyczenia i uwspółcześniając pisownię. Tytuł całości wspomnień pochodzi od wydawnictwa, tytuły poszczególnych rozdziałów – od Autora. Wszystkie odsyłacze, mające z reguły charakter zwięzłych not biograficznych – również od wydawnictwa. Pominęliśmy albo postacie powszechnie znane (np. Józef Piłsudski, Edward Śmigły-Rydz, Władysław Sikorski), albo mało znane, których nie zdołaliśmy z braku źródeł lub nie zdążyliśmy opracować.

Andrzej Szomański

Część I

1897—1939

Spis treści

Garść wiadomości o rodzinie Szostaków 15
Dzieciństwo i wczesna młodość 17
Legiony 29
Szczypiorno. 62
Cywil i student 67
Znów w mundurze i na wojnie 70
Rok 1920 – wojna 91
W Dziśnie – daleko na północy 110
Życie pokojowe w szwoleżerach 118
W szwadronie przybocznym 121
Znów w szwoleżerach 154
W Wyższej Szkole Wojennej 178
W sztabie 2 Dywizji Kawalerii 190
Zastępca dowódcy pułku 202
W Sztabie Głównym 210
W 13 pułku ułanów Wileńskich 229

Garść wiadomości o rodzinie Szostaków

Niestety ścisłych i pewnych danych o pochodzeniu naszej rodziny nie mamy. Wiemy na pewno, że pradziad mój Aleksander Szostak syn Józefa urodził się w końcu XVIII wieku, około roku 1789. Jakoby miał brata Polikarpa. Służył w wojsku rosyjskim, jak wielu Polaków zamieszkałych na Litwie. W posiadaniu mego ojca Antoniego były papiery, które przepadły podczas pierwszej Wojny Światowej, a które ja osobiście czytałem, stwierdzające cały przebieg służby wojskowej Aleksandra. Aleksander odbył całą kampanię, jaką prowadził cesarz Aleksander I przeciw Napoleonowi. Brał udział w bitwie pod Borodino, a zakończył wojnę w Paryżu. Był odznaczony za waleczność orderem św. Jerzego i otrzymał tzw. „Zołotoje Orużje". Służył w kawalerii w pułkach kirasjerów i strzelców konnych. Po wojnie zwolnił się, czy został zwolniony do rezerwy w stopniu majora. Nie wiadomo, dlaczego nie wrócił na Litwę, skąd pochodził, objął zaś stanowisko burmistrza Żytomierza. Ożenił się z Anną Romanowską, otrzymując w posagu majątek Jesionki. Jakkolwiek w jego urzędowych papierach figurował jako Aleksander Szostak syn Józefa, widziałem w odpisie jego jakiegoś aktu urzędowego, gdzie był podpisany: Aleksander Szostak-Radziwiłłowicz. Krewni nasi pochodzący z linii Polikarpa zawsze używali nazwiska Radziwiłłowicz-Szostak. Nie ulega żadnej wątpliwości, że pełne nasze nazwisko z tradycji tak brzmi. Ponieważ nikomu z nas nigdy na tym nie zależało, aby używać podwójnego nazwiska, nikt więc nie dochodził od kiedy i dlaczego używamy nazwiska tylko Szostak. Aleksander umarł, mając 45 lat, na wrzód w gardle, pozostawiając pięcioro dzieci. Najmłodszy jego syn Filip Antoni był moim dziadkiem.

Filip Antoni urodził się w Jesionkach w roku 1835. W młodości odbywał służbę wojskową w wojsku rosyjskim w jakimś pułku ułanów, gdzie otrzymał stopień korneta (podporucznik kawalerii). Nominację jego widziałem u mego ojca. Pod spodem widniała olbrzymia woskowa pieczęć. Filip niedługo służył w wojsku, jakoby z powodu zbyt wesołego usposobienia, co go za drogo kosztowało. Prababka moja Anna miała zażądać powrotu dziadka Filipa do cywilnego życia. W tamtych czasach wola rodziców była święta. Filip zwolnił się z wojska i osiadł w Jesionkach. Przed rokiem 1863 ożenił się z Seweryną Przerwa-Gdowską. W roku wybuchu Powstania Styczniowego, babka Seweryna była w ciąży, lecz nie zahamowało to przystąpienia dziadka Filipa do powstania.

Jakoby, gdy dziadek wahał się, babka go wyprawiła, widząc w tym obowiązek patriotyczny.

Filip w bitwie, czy raczej potyczce pod Bułajami dostał się do niewoli rosyjskiej. Jako były oficer rosyjski został skazany na śmierć. Lecz i teraz dzielna babka nie opuściła w nieszczęściu męża. Dotarła do córki gubernatora i tak szczęśliwie trafiła, że w dniu tym gubernatorówna obchodziła swoje imieniny. Wzruszona łzami Seweryny oraz jej ciążą wyprosiła ojca gubernatora, aby darował życie jednego skazanego na śmierć powstańca. W ten sposób Filip uniknął śmierci, a skazany został na 25 lat zesłania na Syberię i w tym 5 lat katorgi.

Po pobycie, więcej jak 20 lat na zesłaniu, na skutek jakiejś amnestii, Filip wreszcie wrócił do Jesionek. Nie zastał już jednak żony. Babka Seweryna zmarła po pięciu latach samotności, urodziwszy w roku 1863 syna Antoniego Faustyna, a mego ojca.

Ojciec mój urodził się w Jesionkach, lecz po śmierci matki został zabrany do dziadków Gdowskich, którzy zajęli się ojca wychowaniem. Do 7 lat ojciec był poświęcony jakiemuś zakonowi i chodził w habicie. Opowiadał mi, że gdy mu po 7 latach zdjęto habit był bardzo szczęśliwy, bo nareszcie mógł swobodnie biegać.

Do gimnazjum został przygotowany u dziadków, a następnie wysłany do Kamieńca Podolskiego. Tu ukończył ojciec gimnazjum filologiczne i zdał maturę. Ze wspomnień ojca z okresu gimnazjalnego pamiętam, że wtedy za złe sprawowanie się pedel[2] dawał lanie rózgami, oraz że za 3 kopiejki można było zjeść śniadanie i jeszcze kupić śliwek.

Dziadek Filip miał być spadkobiercą majątku Jesionki, które były posagowym majątkiem prababki mojej Anny z Romanowskich. Prababka, aby uniknąć konfiskaty, gdyż dziadek był na zesłaniu, zapisała Jesionki memu ojcu, z pominięciem dziadka. Z tego powodu ojciec mój, który nie wiadomo dlaczego rozpoczął studiować matematykę na uniwersytecie w Odessie, musiał przerwać studia, aby zająć się odziedziczonym majątkiem. Gdy ojciec mój miał już skończone 20 lat, dziadek Filip, na skutek jakiejś amnestii, powrócił z Syberii i wtedy dopiero poznali się ojciec z synem... Dziadek Filip, mimo wieku, po powrocie z Syberii ożenił się powtórnie z siostrą swej nieboszczki żony Seweryny, Delfiną z Gdowskich Szuchową, wdową. Z tego małżeństwa urodziła się córka Anna, przyrodnia siostra mego ojca. Ojciec, jakkolwiek był prawnym właścicielem Jesionek, oddał część ich dziadkowi, który do śmierci mieszkał w Jesionkach.

W niedługim czasie po ożenku dziadka, ojciec mój ożenił się z matką moją Jadwigą Łucją Berger, córką Bolesława Bergera – adwokata. Rodzice początkowo

[2] Pedel – przest. woźny (przyp. red.).

mieszkali w Jesionkach, gdzie urodził się mój najstarszy brat Zygmunt, lecz ze względu na zły stan majątkowy, rodzice postanowili wydzierżawić Jesionki, a ojciec przyjął posadę zarządzającego majątkiem Rastóweczka. Po pewnym czasie ojciec przeniósł się do Spiczyniec, do cukrowni, gdzie dyrektorem był p. Zdrojewski, ożeniony z przyjaciółką matki. Było to około roku 1890. W roku 1896 rodzice przenieśli się z Ukrainy do Królestwa. Ojciec otrzymał posadę w cukrowni Józefów w powiecie Błońskim pod Warszawą. Do Józefowa zjechała już dość liczna rodzina, bo: Zygmunt, Wanda, Hala i Bronek. Maryla, która urodziła się między Wandą, a Halą umarłą jako maleńkie dziecko.

Pierwszym dzieckiem urodzonym w Królestwie byłem ja.

Chcę jeszcze wspomnieć kilka słów o rodzinie matki. Ojciec matki, adwokat, Bolesław Berger pochodził z dawno spolszczonej rodziny niemieckiej, czego dowodem jest jego czysto polskie imię Bolesław. Ożeniony był z wdową Aleksandrą z Żurakowskich Zagórską. Dziadkowie zamieszkiwali stale na Ukrainie. Dziadka nie widziałem nigdy, lecz babkę pamiętam, bo przyjeżdżała do nas do Józefowa. Pamiętam, że codziennie po obiedzie dostawaliśmy po garści orzechów laskowych, których babunia przywiozła cały chyba worek. Również pamiętam, że stawiała pasjanse. Umarła w Kijowie na cholerę, mieszkając stale u swego najmłodszego syna – adwokata Stanisława.

Matka moja była najzacniejszą i chyba najlepszą żoną i matką. Los jej nie oszczędził. Mimo, że miała 77 lat, została podczas wojny w 1940 roku wywieziona z Bobrów pod Lidą na Syberię i tam zmarła.

Dzieciństwo i wczesna młodość

Urodziłem się dnia 25 lutego 1897 roku w Józefowie. Zostałem ochrzczony w parafialnym Kościele w Rokitnie przez księdza Władysława Sędziakowskiego. Moim chrzestnym ojcem był p. Zdrojewski, ówczesny dyrektor cukrowni Józefów.

Józefów – miejsce mego urodzenia, był osadą fabryczną położoną w wyjątkowo brzydkiej okolicy, jak zresztą cały powiat błoński. Równina z podmokłymi gruntami, bez najmniejszego pagórka i słabo zalesiona. Zabudowania fabryczne ogrodzone parkanem od budynków mieszkalnych. Budynki typu koszarowego, jednopiętrowe, bez żadnych wygód, choć pokoje raczej duże. Rodzice moi zajmowali, ze względu na dużą rodzinę, mieszkanie pięciopokojowe z kuchnią, w którym prócz trzech pokoi sypialnych, był salonik i pokój jadalny.

Z mego najwcześniejszego dzieciństwa niewiele już dziś pamiętam, oprócz niektórych faktów. Pamiętam urodziny Adasia (miałem wtedy 5 lat): ojciec

wyprowadził nas do sąsiadów pp. Kołodziejskich, gdzie siedząc na dywanie w saloniku bawiłem się szachami.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że mamy nowego braciszka. Gdy zaczęła się wojna rosyjsko-japońska, miałem 7 lat. Pamiętam, gdy pewnego dnia ojciec mówił przy stole o napadzie Japończyków na Port Artura. Upamiętniły mi się propagandowe plakaty przedstawiające małego Japończyka, w czapce z żółtym otokiem, na którego sypie się moc czapek rosyjskich, co miało oznaczać słabość liczebną Japończyków w porównaniu z Rosją. Zawsze chwalili się przed czasem! Upamiętniły mi się również pochody i wiec podczas rewolucji 1905 roku oraz rozmowa ojca z matką na temat ewentualnej możliwości powstania i walki o niepodległość. Przejęty tymi przewidywaniami wypisałem w ustępie: „nich zji reulucia", czym naraziłem się na śmiechy starszego rodzeństwa.

Zawsze w naszym domu panował duch wielkiego patriotyzmu. Matka jako urodzona idealistka, wpajała w nas patriotyzm i wielki szacunek dla dziadka powstańca, którego ja już nie znałem. Uczyła nas piosenek, wtedy zakazanych przez władze rosyjskie i czytała nam książki rozbudzające, w nas malcach, ducha rycerskiego i ideał walki o niepodległość. Nic więc dziwnego, że od najmłodszych lat ideałem moim był polski żołnierz. Najlepszą zabawą była zabawa w wojsko lub w zimie żołnierzami papierowymi, których ojciec zawsze nam kupował, gdy był w Warszawie. Jazda na patyku z przywiązanym sznurkiem, co w wyobraźni dziecięcej było bojowym rumakiem z wodzami i drugi patyk w ręce mający być szablą – to była najmilsza zabawa. Pokrzywy były Moskalami, Szwedami, Niemcami czy innymi wrogami Polski. Rąbaliśmy je zawzięcie, a poparzenia były ranami leczonymi własną śliną. Jeżeli czasem udało się zdobyć jakiś gałganek, z którego można było uszyć proporczyk i zrobić z patyka lancę lub kopię husarską – radości było wiele. Zygmunt, gdy przyjeżdżał ze szkoły na święta lub wakacje, lepił nam z tektury czaka ułańskie, a z kolorowego papieru rabaty i szlify. W takiej atmosferze wychowywałem się i nic też dziwnego, że jedynym moim marzeniem było zostać polskim ułanem.

Początkowo ojciec nasz pracował jako urzędnik fabryczny, lecz szybko został administratorem majątku należącego do cukrowni Krosna. Często ojciec zabierał mnie i Sianka z sobą na Krosnę i tam bawiliśmy się, co było pewną ulgą dla matki. W okresie polowań chodziliśmy z ojcem na kuropatwy, nosząc zabitą zwierzynę. Czasem wolno nam było przejechać się konno na starej Pejce do figury i z powrotem, oczywiście bez siodła i bez strzemion, co wynosiło około 200 metrów.

Do 11 lat uczyłem się w domu. Mieliśmy różne nauczycielki, których już dziś nie pamiętam, ale do egzaminów do szkoły przygotowała mnie i Sianka

panna Wincentyna Zasadzka. Hala i Bronek już byli w szkole, nie mówiąc o Zygmuncie i Wandzie. Na początku lata 1908 roku zostaliśmy z Siankiem zabrani przez ojca do Warszawy na egzamin. Ja zdawałem do klasy pierwszej, a Sianek do wstępnej. Mieliśmy chodzić do Szkoły Filologicznej Ziemi Mazowieckiej, do której uczęszczał już Bronek. Oczywiście, że było wiele emocji, ale zdaliśmy obaj.

Na jesieni 1908 roku ojciec wynajął mieszkanie w Warszawie przy ulicy Szopena 16 mieszkanie 16. Było to duże pięciopokojowe mieszkanie z oświetleniem gazowym i wszelkimi wygodami. Matka wraz z nami, dziećmi, przeprowadziła się do Warszawy, a ojciec sam, na jakiś czas pozostał w Józefowie, gdyż w tym okresie sprzedał Jesionki i poszukiwał majątku ziemskiego do kupna. Znalazł dobrego i taniego faktora, był nim czternastoletni Bronek. Bronek kolegował wtedy w V klasie Szkoły Ziemi Mazowieckiej z Bolkiem Mrozińskim (zginął on w 1918 roku jako ułan krechowiecki razem z pułkownikiem Mościckim). Ojciec Bolka miał majątek Faszczyce w powiecie Błońskim. Chłopcy rozmawiali ze sobą o sprawach domowych i Bronek powiedział, że ojciec nasz poszukuje majątku do kupna. Bolek wtedy wspomniał, że w sąsiedztwie Faszczyc jest do kupienia od pana Gautier majątek Kłudno, który kiedyś należał do Mrozińskich. Bronek powtórzył to w domu. Ojciec zainteresował się tą wiadomością, a ponieważ pan Gautier mieszkał na Szopena pod 15, a więc naprzeciwko naszego domu, transakcja kupna została szybko załatwiona i w zimie z 1908 na 1909 rok Kłudno zostało kupione za cenę 5400 rubli za włókę. Obszar Kłudna wynosił około 18 włók.

Radość z powodu kupna Kłudna była nie do opisania. Oczekiwał nas cały szereg nadzwyczajnych przyjemności, bo ojciec obiecał nam, że kupi nam kuca. No a sama świadomość, że będziemy we własnym majątku i że dzieciaki józefowskie nie będą nas wyzywały od Litwinów, też miała swoje znaczenie.

Po zakończeniu roku szkolnego, ojciec zlikwidował mieszkanie w Warszawie i przenieśliśmy się do Kłudna. Wszyscy przeszliśmy do następnych klas, więc wakacje zapowiadały się cudownie.

Kłudno był to średniej wielkości majątek, jak na stosunki podwarszawskie, położony o kilometr od szosy biegnącej z Błonia do Grodziska, a więc do stacji kolejowych. Ziemia w Kłudnie była dość rozmaita, zaczynając od podmokłych tzw. czarnoziemów błońsko-sochaczewskich do piachów mazowieckich. Ziemie te po wydrenowaniu dawały dobre urodzaje. Bez drenowania różnie bywało, w suche lata urodzaj byt lepszy, w mokre często słaby. Zabudowane Kłudno było nie najgorzej. Miało dużą, murowaną oborę i stajnię cugową z wozownią. Spichrz, stajnia fornalska i stodoła były dobre, ale drewniane. Służba miała trzy czworaki murowane, w jednym z nich była kuźnia. Mieszkania składały się

z jednej izby i komory. Słabą stroną Kłudna byt brak dworu, który został spalony w 1905 roku i nieodbudowany. Pozostały tylko mury po oranżerii i fundamenty z piwnicami. Mieszkać trzeba więc było w oficynie, którą ojciec kazał nieco przerobić i dobudowano korytarz, pokój na dole, kuchnię, spiżarnię i jeden pokój na strychu. Prócz tego z murów oranżerii zrobiono pokój z kuchnią. Również w drewnianym czworaku, w którym mieszkał pachciarz Icek Breitman, który stał na parceli pozostałej chyba z czasów uwłaszczenia chłopów, zrobiono mieszkanie dwupokojowe z kuchnią. Ojciec ciągle nosił się z zamiarem wybudowaniu dworu, lecz nigdy na to nie wystarczało pieniędzy, bo były ważniejsze wydatki. Trzeba jeszcze, dla uzupełnienia opisu Kłudna wspomnieć, że był tam siedmio- czy ośmiomorgowy park i ogród owocowy i warzywny oraz dwa stawy rybne. Całość przedstawiała się raczej dobrze niż źle.

Pierwsze wakacje były specjalnie urocze i pełne radości. Dostaliśmy małą, skarogniadą i dość starą kuckę za całe 35 rubli i była tylko do naszej dyspozycji, tj. mojej, Sianka i Adasia. Jazda była tak rozplanowana, że kto rano wstanie pierwszy – jeździ przed obiadem, kto drugi – między obiadem a podwieczorkiem, a trzeci od podwieczorku do kolacji. Był jeszcze flower do podziału między mną i Siankiem, bo Adaś był za mały. Gdy ja jeździłem na kucy, Sianek strzelał i odwrotnie, gdy Sianek jeździł, ja strzelałem. Ponieważ Sianek zdradzał więcej ochoty do floweru, a ja do jazdy, często zamienialiśmy się. Adaś, najmłodszy, słabo jeszcze jeździł i najczęściej jeździł tylko po parku, a koniec był przeważnie taki, że kuca wracała sama do stajni, gdy płaczący jeździec piechotą wracał do domu. Bronek miał już 15 lat i na kucy nie chciał jeździć, miał więc podczas wakacji kasztanowatą klacz, na której uganiał po polach najczęściej z Bolkiem Mrozińskim.

My, chłopcy, mieszkaliśmy podczas wakacji w czworaku, obok Icka, albo w przebudowanej oranżerii. Bardzo nam to odpowiadało, mieliśmy dużo swobody i łobuzować można było do woli. Mieliśmy i swego pucybuta, Adama Okurowskiego, który obrządzał świnie i „panioków". Lubiliśmy go bardzo. Zginął biedak podczas pierwszej wojny światowej w wojsku rosyjskim. Podczas wakacji zawsze mieliśmy jakichś kolegów, zaproszonych oczywiście za zgodą rodziców. W tamtych czasach nikt się na tyle z groszem nie liczył, aby różnicę sprawiało parę żołądków więcej do wykarmienia.

Po wakacjach, na prośbę Bronka, ojciec przeniósł nas do Szkoły Handlowej Edwarda Rontalera. Właściwie nie było najmniejszego powodu do zmiany szkoły, gdyż obie były dobrymi szkołami i mieściły się nawet w tym samym gmachu na ul. Kalikste nr 8 (obecna Śniadeckich). Podobało nam się bardzo, że rontalerczycy nosili ładniejsze mundury. Czapki były z zielonym otokiem, coś

w rodzaju kepi lub japońskiej czapki, codzienne kurtki też miały zielone patki na kołnierzach, a od parady nosiło się mundur ze złotymi galonami na kołnierzu i na mankietach, złotymi guzikami i do tego długie czarne spodnie. W szkole mazowieckiej były miękkie czapki w rodzaju cyklistówek z amarantowymi wypustkami, a ubrania dowolne cywilne. Stary Rontaler bardzo przestrzegał, aby jego uczniowie porządnie wyglądali. Zawsze rano stał przed szkołą i robił przegląd umundurowania. Nie znosił pomiętej czapki lub oberwanego guzika. Gdy kto tłumaczył brakiem pieniędzy na nową czapkę mówił: „Idź do Tuczyna na Podwale 16 i weź czapkę na mój rachunek". Jedyne, naprawdę, co przemawiało za zmianą szkoły to chyba tylko, że Zygmunt chodził do niej przez 7 lat i był bardzo dobrym uczniem, a choć jej nie kończył, bo gdy się rozpoczął strajk szkolny w 1905 roku i Zygmuntowi brakowało kilka tygodni do matury, wyjechał do Kijowa i tam zdał maturę, to jednak Rontaler zawsze powtarzał: „Zygmuś by u mnie zdał maturę ze złotym medalem". Przewaga uczniów u Rontalera pochodziła z domów ziemiańskich lub synów bogatych fabrykantów łódzkich (Enderzy, Scheiblerzy, Krusche itd.). Nie można powiedzieć, aby zespół był specjalnie inteligentny lub bardzo wartościowy. Byli to chłopcy na ogół dobrze wychowani, ale posiadający dużo przywarów swojej sfery.

Od jesieni 1905 roku nie mieszkaliśmy już z matką w Warszawie. Ojciec wynajął mieszkanie na ul. Pięknej 16a i mieszkała z nami Wanda, jako gospodyni i wychowawczyni. Mieliśmy oczywiście służącą. Adaś do szkoły jeszcze nie chodził, a uczył się w domu.

Lata szkolne biegły bez specjalnych, ciekawych wydarzeń. Nie było wielkich zmian. Przechodziliśmy wszyscy z klasy do klasy. Jedyną większą zmianą było to, że od trzeciej klasy byłem oddawany na tzw. stancje i mieszkałem z Bronkiem lub Siankiem. Gdy przeszedłem do czwartej klasy, koło Bożego Narodzenia zacząłem gorączkować i matka zadecydowała, abym przerwał naukę. Zabrano mnie do Kłudna. Nie byłem tym zachwycony, bo jakkolwiek nie byłem zbyt pilnym uczniem, to ambicja moja cierpiała. Wstydziłem się, że Sianek, młodszy ode mnie o dwa lata, może mnie dogonić i być w tej samej klasie co ja. Aby nie stracić roku postanowiłem uczyć się przez wakacje i zdać do 5 klasy. Uczyłem się z Bronkiem, który choć nie był wspaniałym pedagogiem ani nauczycielem jakoś przygotował mnie na tyle, że z trudem i przy przychylności zacnego Rontalera zostałem przyjęty do klasy 5. Początkowo byłem w klasie handlowej, którą szumnie nazywano wydziałem, lecz wyprosiłem u ojca, aby przeniósł mnie na wydział agronomiczny. Ojciec nie bardzo chciał, bo handlówka dawała lepsze ogólne wykształcenie. Jednak udało mi się przekonać ojca motywując tym, że nie mając właściwie do żadnego zawodu zdecydowanej ochoty,

prócz wojska, gdy zwiążę sobie ręce, to może będę choć rolnikiem. Wprawdzie próbowałem namawiać ojca, aby zgodził się na wojsko, ale tu spotkałem się ze zdecydowanym oporem. W wojsku rosyjskim nie można było służyć bez narażenia się na posądzenie o brak patriotyzmu.

W roku 1912 Wanda wyszła za mąż za Ludwika Chełmickiego. Ślub odbył się w Warszawie, a śniadanie po ślubie w Hotelu Francuskim. Mój nowy szwagier nie bardzo mi trafiał do przekonania, bo był stary, w wieku naszego ojca. W następnym roku, na początku wakacji wysłano mnie do Dziewanowa, majątku szwagra, gdyż Ludwik wyjechał gdzieś na kurację, a Wanda nie chciała być sama. Nie byłem tym wyjazdem zachwycony. Dziewanowo też mi nie zaimponowało. Dwór był ładniejszy niż nasza oficynka kłudzieńska, ale majątek był dużo gorzej zagospodarowany, park i ogród też brzydsze, a okolica nic nadzwyczajnego. Od kolei też bardzo daleko. Jechać trzeba było do Włocławka, skąd 50 km końmi przez Lipno aż pod Rypin.

Gdy przeszedłem do 7 klasy, tj. w 1914 roku, zaprosił mnie na wakacje Zygmunt, na Litwę do Dąbrowy. Miał on wtedy w administracji klucz Dąbrowa majątku Giełgudyszki Medarda Komara. Pojechałem już sam. Do Kowna koleją, a dalej statkiem po Niemnie, aż do Jurborga pod Prusami Wschodnimi. Łatwo się wtedy podróżowało. Gdy na stacji w Kownie zawołałem tragarza, przybiegł jakiś drab z kolczykiem w uchu i opuścił mnie dopiero po kupieniu mi biletu na statku. Wystarczyło, że mówiło się po polsku, aby być uważanym za pana i spotkać się z usłużnością. Niemen na trasie z Kowna do Jurborga jest cudny. Brzegi wysokie, wiele pałaców z ogrodami schodzącymi tarasami do rzeki, nie nuży taka podróż. Wakacje w Dąbrowie były przyjemne. Zygmunt przydzielił mi młodą klaczkę i codziennie jeździłem z nim konno po bardzo pięknych terenach. Północna cześć ówczesnej guberni Suwalskiej, po roku 1918 należąca do Litwy, była piękna. Faliste tereny pokryte dębowymi lasami, z dobrą ziemią i pięknym, dorodnym ludem czysto litewskim. Miesiąc pobytu w Dąbrowie szybko minął, choć byłem skazany na rozmowę jedynie z Zygmuntem i bratową, bo nawet ze służącą nie mogłem się dogadać bez tłumaczki, którą przeważnie była któraś z moich malutkich bratanic. Postanowiłem na początku sierpnia wracać do domu do Kłudna. Zygmunt miał jakiś interes do Kowna więc mieliśmy razem wyjechać. Trzeba wspomnieć, że ja zupełnie nie interesowałem się polityką i zupełnie nie czytałem gazet. Byłem ciemny jak tabaka w rogu i nic nie wiedziałem, co się na świecie dzieje. Dziś dziwi mnie trochę, że i Zygmunt nic nie mówił nigdy o jakimś naprężeniu politycznym wynikłym na skutek zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Nic więc dziwnego, że byliśmy kompletnie zaskoczeni, gdy po przybyciu na przystań w Jurborgu zobaczyliśmy moc ludzi, zwłaszcza kobiet, z olbrzymią ilością tobołów. Były

to rodziny urzędników rosyjskich służby granicznej wyjeżdżające w głąb kraju. Była ogłoszona mobilizacja, a w Kownie, jako fortecy, stan oblężenia. A więc miała być wojna.

Ja tę wiadomość przyjąłem prawie z radością. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z okropności wojny. Uważałem ją za bardzo ciekawą przygodę. No i oczywiście ani na chwilę nie myślałem, że może się ona obyć bez mego udziału. Pamiętam, że gdy Bronek przyjechał na święta Bożego Narodzenia z Dublan, opowiadał nam o Drużynach Strzeleckich i przygotowaniach do zbrojnego wystąpienia Polaków, gdy wybuchnie jakaś wojna, ja od razu byłem zdecydowany, że od razu muszę się znaleźć wśród walczących. Bronek wtedy przywiózł znaczki do rozsprzedania na broń dla Drużyn Strzeleckich. Zaproponował sąsiadom, którzy przyjechali do ojca na winta. Wynikła wtedy gorąca dyskusja. Sąsiedzi byli zdecydowanymi przeciwnikami wszelkiej walki o niepodległość, operując wyświechtanymi argumentami i pewno nie kupili ani jednego znaczka. Jeszcze dziwili się, że ojciec nie zabrania Bronkowi narażać się przy szwarcowaniu nielegalnych rzeczy przez granice. Ojciec był jednakże innego zdania.

Wracałem do Kłudna pełen skłębionych myśli o wojnie. Na wszystko patrzyłem z ciekawością – na płowe już mundury oficerów jadących do swych oddziałów mobilizacyjnych, na posterunki przy mostach kolejowych i na wszystkie zmiany jakie rzucały się w oczy.

Po przyjeździe do domu zastałem już zawiadomienie o mobilizacji koni. Zabrali nam kilka koni, a między nimi Mirzę, mego młodego wierzchowca. Zapłacili 330 rubli, co było dobrą ceną, bo koń był niedobrze zbudowany, a jedynie miał długą i ładną szyję. Do wszelkich czynności związanych z wojną byłem pierwszym ochotnikiem i nie odstępowałem ojca. W miejsce zabranych koni ojciec kupił inne, może trochę gorsze, ale nadające się do pracy na roli.

Rosjanie musieli się widocznie liczyć z szybkim wkroczeniem Niemców do Polski, bo drugą mobilizację koni wyznaczyli już na wschodnim brzegu Wisły, aż w Mińsku Mazowieckim. Pojechałem z ojcem i tu. Po zorientowaniu się w panującym bałaganie, ojciec polecił mi brać dwie najlepsze klacze i bryczką wracać do domu. Pojechałem 70 km jadąc przez Warszawę, nie spotykając po drodze ani jednego konia i nikt mnie nie zatrzymał.

Proponowałem Bronkowi abyśmy pojechali w Kieleckie, bo ciągle myślałem o dostaniu się do zapowiadanych przez niego strzelców. Bronek jednak twierdził, że oni do nas przyjdą. Zawiódł się na swych obliczeniach i później musiał służyć w wojsku rosyjskim.

We wrześniu wyjechaliśmy do Warszawy do szkoły. Wprawdzie lekcje rozpoczęły się, ale wszystko szło dość kulawo. Podniecenie wojenne ogarnęło

zwłaszcza nas młodzików. Wojna w oczach 17-letniego chłopca wygląda zupełnie inaczej niż w oczach dojrzałego człowieka. A jeszcze, gdy się o niej słyszy z daleka, a nie odczuwa jej skutków na własnej skórze... Może dlatego tak gorąco pragnąłem wziąć udział w tej zawierusze wojny światowej. Polacy walczyli w trzech armiach przeciw sobie i przeciw trzem zaborcom. Ciągle nie orientowałem się, gdzie naprawdę powinienem się znaleźć. Wtedy każdy mógł mnie przekonać, że powinienem go słuchać i iść tam, gdzie mnie pchnie; szarpałem się sam z sobą. Kilku kolegów moich przerwało naukę i wstąpiło ochotniczo do wojska rosyjskiego. Myślałem o tym, aby pójść ich śladem.

W październiku 1914 roku, już nie pamiętam z jakiego powodu, może imieniny matki, znaleźliśmy się w Kłudnie. W tym czasie zaczął się odwrót wojsk rosyjskich pod Warszawę. Ojciec zdecydował, aby matka z Halą wyjechały do Warszawy. My, chłopcy pozostaliśmy w Kłudnie razem z ojcem. Kiedy matka powozem wyjechała, ktoś dał znać po paru godzinach, że jakoby z powodu złamania dyszla matka utknęła Błoniu i dalej jechać nie może. Oczywiście, koniecznie ja musiałem naprosić się, aby pozwolono mi pojechać konno do Błonia, celem sprawdzenia tej wiadomości. Był cichy i mglisty dzień. Słychać było dalekie, pojedyncze strzały karabinowe. Osiodłałem sobie Tuśkę i pojechałem kłusem w kierunku Radomia. Jakież było moje zdziwienie, gdy dojeżdżając do ogrodu zobaczyłem na jego skraju, okopująca się piechotę rosyjską. Natychmiast mnie zatrzymano, gdyż jechałem ze strony niemieckiej, na szczęście trafiłem na jakiegoś ludzkiego oficera, któremu udało mi się wytłumaczyć powód mej obecności pod Radonicami. Oficer ten oświadczył mi, że mogę jechać do Błonia, ale nie będę mógł już wrócić do Kłudna, albo natychmiast galopem wrócę do domu. Nie gwarantował tylko, że jeżeli pojawią się Niemcy, nie zaczną strzelać i przy tej okazji i ja mogę oberwać. Od razu zdecydowałem się, aby wracać i galopem popędziłem z powrotem.

Dwa, czy trzy ani nie widzieliśmy w Kłudnie żadnych wojsk. Aż któregoś ranka przymaszerował do nas batalion niemieckiej piechoty. Wyglądali wspaniale, zwłaszcza porównując ich z rosyjskim wojskiem. Umundurowanie i cały ekwipunek luksusowy, zaczynając od pikelhauby w szarym pokrowcu, kończąc na butach, wszystko wyjątkowo solidne. Tornistry z cielęcej, rudej skóry, piękne ładownice, nawet chwasty przy bagnetach wykonane z barwnej wełny tchnęły solidnością, nie mówiąc o uprzęży koni taborowych i zaprzęgów artyleryjskich.

Zachowywali się też zupełnie poprawnie. Choć zarekwirowali świnie, nawet za mleko płacili. Stali niedługo i obserwowaliśmy ich z daleka, gdy szli do natarcia na Rokitno. Lecz już następne oddziały, które później nadchodziły, zachowywały się znacznie gorzej, ucierpiał głównie drób i częściowo bydło.

Z chwilą, gdy zauważyliśmy, że nasze kaczki w szybkim czasie znajdą się w żołądkach niemieckich, sami urządziliśmy rzeź. Janowa (nasza stara kucharka), korzystając z nieobecności Niemców, usmażyła dla każdego po kaczce i dała, aby każdy sam sobie schował, gdzie chce. Również podzieliliśmy cukier.

Któregoś dnia przyszedł do nas szwadron 5 pułku huzarów pruskich. Stali w pogotowiu i koni nie rozsiodływali. To nie przeszkadzało, że jeden z huzarów zaczął rozbijać ul, aby wybrać miód. Kiedy mu zwróciłem uwagę, że rabować nie wolno – uderzył mnie w głowę trzymaną kozacką nahajką. Oszalałem ze złości, nie tyle z bólu, jak z poczucia zniewagi, lecz byłem na tyle przytomny, że zamiast rzucić się do nierównej bójki, popędziłem do rotmistrza na skargę. Rotmistrz wysłuchał mnie i natychmiast wyszedł ze mną oraz polecił, abym pokazał tego huzara, który mnie uderzył. Może wypadkiem huzar ten znalazł się przed domem. Pamiętam go – był dość wysoki i miał krótką czarną brodę. Wskazałem go. Rotmistrz pozostawił mnie, a sam zabrał huzara i poszedł z nim na podwórze, gdzie stał szwadron. Zarządził natychmiast zbiórkę. Mój pogromca stał przed frontem szwadronu, a po chwili dwu wezwanych huzarów związało mu w tył ręce i przywiązali do siewniczka od saletry. Rotmistrz długo i krzykliwie przemawiał. Brodacz stał i łzy wstydu kapały mu po policzkach. Szwadron stał z godzinę przy koniach, patrząc na związanego przed frontem brodacza. Przed wymarszem podszedł do mnie jakiś huzar poznaniak i radził mi, abym ukrył się, gdyż brodacz może mnie nawet zabić przez zemstę. Dzień ten był smutnym i pechowym dniem.

Huzarzy zabrali moją kochana Tuśkę. Nic nie pomogły prośby. Patrzyłem z rozpaczą, jak ją osiodłali w niemiecki wojskowy rząd i jak poniosła na swym grzbiecie huzara na daleką wojnę. Jeszcze ją raz widziałem z daleka, jak wiozła rozkaz czy meldunek w przejeździe przez Kłudno. Ona była w wojsku i na wojnie, a ja ciągle byłem cywilem.

Po kilku dniach, którejś nocy Niemcy znikli. Na błotnistej drodze pod naszym ogrodem znaleźliśmy tylko pozostawione podczas odwrotu zepsuty rower, kilka tornistrów, części umundurowania i nawet karabiny. Wszystkie te skarby zostały zabrane i pieczołowicie przechowane z myślą, że może się przydadzą. I znów bezkrólewie. W dwa lub trzy dni przygalopował patrol na małych, kudłatych konikach. Byli to konni zwiadowcy strzelców syberyjskich. Zadali jedno pytanie: „Gdie giermancy?" i pogalopowali dalej na zachód. Po paru dniach wyjechałem do Warszawy do szkoły. Było to pierwsze moje przeżycie wojenne.

Nadeszła zima i święta Bożego Narodzenia, Przyjechaliśmy do Kłudna. Stał u nas prawie przez całą zimę tabor, chyba 5 dywizji syberyjskiej. Pamiętam, że dowódcą jego był podpułkownik Okniński, Polak. Syn powstańca, trochę zruszczały, ale na ogół przyzwoity człowiek. Stał również pluton pospolitego

ruszenia, który pełnił służbę łącznikową w tzw. forstafetach rozstawnych. Dowódcą tego plutonu był kornet rezerwy Briuchow. Ziemianin spod Moskwy, bardzo kulturalny i dobrze wychowany człowiek. Ten namawiał mnie i Bronka abyśmy wstąpili do szkoły junkierskiej w Moskwie. Ja oczywiście możliwie dużo kręciłem się między kwaterującym wojskiem i tu wypatrzyłem, że w taborze sybiraków jest jeden koń, wprawdzie z raną na kłębie, ale bardzo ładny i zupełnie innej rasy, jak się później dowiedziałem – anglo-doniec. Gdy się o niego spytałem podporucznika, ten mi powiedział, że koń jest jego prywatną własnością. Teraz już spać nie mogłem marząc o tym koniu.

Po świętach wróciłem do Warszawy, lecz zmieniłem stancję. Zamieszkałem u rodziców mego kolegi Wiktora Szymanowskiego. Ojciec Wiktora był dymisjonowanym generałem, majorem i byłym kawalerzystą.

Jeszcze w zimie lub najwcześniejszą wiosną rozeszła się wieść, że jakiś Gorczyński dostał zezwolenie na formowanie polskich oddziałów wojskowych przy armii rosyjskiej dla walki z Niemcami. Już ta wiadomość spać mi nie dawała. Werbunek do Gorczyńskiego nie miał powodzenia, jednakże rozpoczęto formowanie oddziałów polskich pod późniejszą nazwą Legionu Puławskiego. Generał Szymanowski został powołany do czynnej służby, właśnie do formowania tego Legionu. Obaj z Wiktorem chcieliśmy wstąpić do formującego się szwadronu, lecz i ten zamiar nie doszedł do skutku. Generał został zaproszony do Kłudna i po naradzie z ojcem oświadczono nam, że bezwzględnie musimy kończyć szkołę i zdawać maturę. Bardzo nam było przykro, bo znów kilku kolegów wstąpiło do ułanów i świecili nam w oczy swymi biało-amarantowymi czapkami, wprawdzie z carskim orłem, a nie polskim orzełkiem, białymi etyszkietami i lampasami na granatowych spodniach.

Jednak losem ludzkim kieruje jakaś niewidzialna ręka, przypadek czy przeznaczenie. Obojętne jak to nazwać, lecz na pewno najmniej ma wpływu na zasadnicze postępki sam człowiek. Stwierdziłem to wielokrotnie w ciągu swego życia. I mnie przypadek skierował do szeregów I Brygady Józefa Piłsudskiego.

Było tak: idąc Marszałkowską spotkałem Zygmunta Hempla, kolegę Bronka z Dublan, który podczas jednych wakacji był w Kłudnie na praktyce rolnej. Zygmunt podszedł do mnie i po zamienieniu paru słów powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać i zapytał o mój adres. Gdy dowiedział się, że mieszkam u generała Szymanowskiego ucieszył się i zapewnił mnie, że w najbliższym czasie do mnie przyjdzie. Przyszedł. Dowiedziałem się, że przyjechał do Warszawy z I Brygady Józefa Piłsudskiego na robotę konspiracyjną. Był podporucznikiem legionowym. O celach swej pracy konspiracyjnej w Warszawie nie

mówił. Przypuszczał, że może być śledzony i uważał, iż wizyty w domu rosyjskiego generała będą dobrze świadczyć o jego prawomyślności. Trochę to było naiwne, ale nie mieli wtedy ludzie pojęcia o zdolnościach rosyjskich organów śledczych.

Zygmunt opowiedział nam o Legionach i ułanach Beliny. Potrafił nam tak pięknie wytłumaczyć, że uczciwy Polak, jeśli chce walczyć o wolność Polski, to jedyne jego miejsce jest w Legionach, bo tylko Józef Piłsudski w swym programie politycznym ma niepodległość Polski, a nie żadną autonomię pod berłem cara. Przekonał i mnie, i Wiktora. Byliśmy zdecydowani. Musimy dostać się do Legionów.

Nadeszła wiadomość, że najstarszy mój brat, Zygmunt, został zmobilizowany. Ojciec, swojego czasu, wykupił go za 300 rubli z czynnej służby wojskowej, lecz dostał tzw. czerwony bilet, tj. przydział do pospolitego ruszenia I rzędu. Bronka rocznik też podlegał poborowi. Bronek, jako drużyniak nie chciał służyć w rosyjskim wojsku. Skontaktował się z Zygmuntem Hemplem i razem zamierzali przedostać się przez front do Legionów. Niestety front ustalił się i nie można było tego dokonać. Bronek musiał w końcu stawić się do poboru i był zabrany do Fenzy. I tak dwaj moi starsi bracia znaleźli się w wojsku rosyjskim, gdy ja byłem zdecydowany walczyć po przeciwnej stronie.

W maju zdałem maturę. Miałem już skończone 18 lat i miałem konia. Bo udało mi się ubłagać ojca o wyhandlowanie od podporucznika anglo-dońca „Waśkę". Ojciec dał mu trzyletnią klaczkę po naszej kucce i tak transakcja doszła do skutku. Waśka był to złoty kasztan z gwiazdką na czole, miary około 160 cm, lat miał chyba 14 i miał w zimie karbowaną sierść, jak fryzowaną. Ujeżdżony był świetnie, słowem doskonały koń dla ułana. Wprawdzie śmieli się wszyscy ze mnie, gdy mówiłem, że na Waśce zajadę do Legionów, ale ja w to święcie wierzyłem. Tymczasem, na wszelki wypadek ojciec kazał mi zapisać się na Kursy Agronomiczne Pomorskiego (późniejsza SGGW). Zapisałem się, choć bez wiary, że będę na nie uczęszczał.

Zaczęły się wakacje. Do Kłudna przyjechał Wiktor Szymanowski, Janek Chełmicki, pasierb Wandy oraz Wanda Piekarska, ps. „Pociecha", łączniczka wywiadu I Brygady. Wandziania, bo tak ja nazywaliśmy, miała w guzikach powprawiane meldunki, które miała przewieźć przez front. Wesoło było, mimo wojny. Wieczorami śpiewaliśmy piosenki patriotyczne przy akompaniamencie ojca na fortepianie, chodziliśmy na spacery, a po zachodzie słońca obserwowaliśmy, z wału nad stawami błyski dalekich rakiet puszczanych na pozycjach nad Bzurą. Przy zachodnim wietrze słychać było daleki ogień karabinów maszynowych, nie mówiąc o artylerii. Pierwszy atak gazowy też dał znać o sobie, mimo

odległości od frontu około 30 km, w Kłudnie koniczyna sczerniała, a fornale śpiący w otwartych drzwiach stajni (były upały) pobudzili się. Czekaliśmy, aby front ruszył się i umożliwił nam dostanie się do Legionów. Mój Waśka był już wyleczony i mógł iść znów na wojnę, aby walczyć po przeciwnej stronie frontu.

Przeszedł maj, czerwiec i więcej niż połowa lipca, a my ciągle czekaliśmy na możliwość przedostania się na drugą stronę frontu.

Aż oto któregoś lipcowego popołudnia zauważyliśmy olbrzymi tuman kurzu na zachodniej stronie pod naszym zagajnikiem. Wyszliśmy na drogę we wsi. Nadciągnęła wielka kolumna maszerującej piechoty rosyjskiej. Żołnierze spoceni i zmordowani zatrzymali się we wsi pijąc wodę. Słychać było narzekania i przekleństwa. Jakiś żołnierz – Ukrainiec – złośliwie wymyślał, twierdząc, że takiego parszywego kraju, gdzie są same piaski nie warto bronić. Dobrze, że się cofają, bo tu szkoda narażać życia za taki kraj. Dowiedzieliśmy się więc, że odwrót nareszcie rozpoczął się i zbliża się moment przez nas oczekiwany.

We wsi powstała panika. Chłopi zaczęli pakować rzeczy na wozy i uciekać. Nasi parobcy też przyszli do ojca z prośbą o pozwolenia na wyjazd. Ojciec był niezdecydowany i raczej chciał pozostać, lecz decyzję przyśpieszył Kozak, który wpadł przed dom i zaczął wrzeszczeć, aby wszyscy wyjeżdżali, bo będą palić, a kto chce zostać, to widać jest szpiegiem i zdrajcą. Ojciec zdecydował się wyjechać, zwłaszcza, że matka z Halą były już w Warszawie. Spakowano rzeczy najniezbędniejsze, zabrano bydło, parobcy popakowali na wozy i ojciec na czele takiego taboru wraz z Siankiem i Adasiem wyjechał.

Krótko rozmawiałem z ojcem. Oświadczyłem, że ja nie wyjadę, a postaram się przejść na drugą stronę frontu, aby wstąpić do Legionów. Ze mną pozostaną Wiktor, Janek i Wandziania. Ojciec nie protestował i wyraził zgodę. Pożegnaliśmy się serdecznie z ojcem, który nawet nie zamknął drzwi na klucz wychodząc z domu i widziałem, że ze smutkiem opuszczał nas i dom.

Nasza czwórka pozostała sama. Zapadał wieczór. W domu nie mogliśmy pozostać, bo w każdej chwili mogli przyjść Moskale i wygnać nas do Warszawy. Objąłem dowództwo. Żywność zabraliśmy z sobą, choć nikt nie myślał o jedzeniu. Zdecydowałem, że najbezpieczniej będzie spędzić noc w polu, w zagłębieniu sadzawki „Miroszczyzna". Noc lipcowa jest i krótka, i ciepła, a podniecenie i tak nie pozwoliło na spanie. Na zachodzie w wielu miejscach widać było łuny pożarów i słychać bliższe lub dalsze pojedyncze strzały karabinowe. Zaczynało świtać. Doszedłem do wniosku, że Miroszczyzna leży zbyt blisko drogi, aby bezpiecznie było pozostawać tu podczas dnia.

Poszliśmy więc głębokim rowem biegnącym między polami niezżętej pszenicy, oddalając się od drogi o blisko kilometr. Zatrzymaliśmy się z zamiarem

przeczekania do czasu wyjaśnienia się sytuacji. Któryś z nas wyjrzał z rowu. O jakieś dwieście kroków od nas poruszała się w naszym kierunku tyraliera piechoty rosyjskiej. Głupio nam się zrobiło. Jakoś trzeba wytłumaczyć, co robimy w rowie. Postanowiliśmy udawać, że jesteśmy uciekinierami z Żyrardowa i ze zmęczenia odpoczywamy w rowie. A dlatego w polu, bo boimy się bitwy. Po minutach tyraliera mijała nas. Natychmiast zaczęły się pytania, co robimy w polu. Tu Janek Chełmicki wykazał talent aktorski. Zaczął rozpaczać i grać komedię śmiertelnie zmęczonego, niemogącego iść dalej. Pozostawiono nas, ale jeden żołnierz pozostał z nami. Namawiał nas, abyśmy szli, a sam chyba miał ochotę postać, aby dostać się do niewoli. Na nieszczęście zauważył nas patrol konnych zwiadowców. Podjechał do nas podoficer i po paru pytaniach kazał nam iść pod nasz park, gdzie miał być jakiś dowódca. Faktycznie pod naszym parkiem i ogrodem okopywała się już piechota. Tu dopiero zrozumiałem, jak głupi był pomysł z udawaniem uciekinierów z Żyrardowa. Zdałem sobie sprawę, że przy przesłuchaniu przez inteligentnego człowieka te bujdy zostaną zdemaskowane, i mogą się źle skończyć. Postanowiłem mówić choć częściowo prawdę. Powiedziałem więc oficerowi, do którego nas skierowano, że jestem synem właściciela majątku Kłudno. Wiktor i Janek są kolegami, którzy byli u moich rodziców na wakacjach. Wandzianię też jakoś wytłumaczyłem. Naszą obecność w polu wytłumaczyłem względami bezpieczeństwa. Zeznań moich słuchał podoficer, który nas przyprowadził, a który słyszał bujdę o Żyrardowie. Chciał wtrącić się do mojej rozmowy z oficerem, robiąc uwagę, że jemu mówiliśmy coś innego, lecz oficer krzyknął na niego, aby nie pytany nie wtrącał się do rozmowy. Nam natomiast kazał natychmiast maszerować do Warszawy.

Wieczorem tego dnia dotarliśmy dość zmęczeni do Warszawy przynosząc najnowsze wiadomości z Kłudna.

Tak zakończyła się niepowodzeniem nasza wyprawa do Legionów.

Legiony

Pierwsza próba przedostania się przez front do Legionów nie udała się. Nie traciłem jednak nadziei, że w końcu jakąś drogą dotrę do celu. Chwilowo trzeba było czekać. W Warszawie nie zamieszkałem razem z rodzicami na Hożej, bo mieszkanie dorywczo wynajęte było nieco ciasne, lecz wprowadziłem się do mieszkania generałostwa, do Wiktora. Szymanowscy zostali ewakuowani do Rosji i pozostawili mieszkanie pod opieką Wiktora.

Od Hali dowiedziałem się, że jest ona w kontakcie z Polską Organizacją Wojskową. Ona też ułatwiła mi wstąpienie do POW. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że w naszym mieszkaniu na Hożej odbywały się konspiracyjne zebrania kierownictwa tej organizacji.

Ktoś puścił plotkę, że Moskale w wypadku opuszczenia Warszawy będą wyłapywać młodych ludzi celem wywiezienia ich do Rosji. Skorzystałem z tej okazji i wyprosiłem u ojca mały browning, który miał mi służyć do obrony przed wywiezieniem. Co prawda to mój wygląd, prawie dziecinny, był na pewno najlepszą obroną.

Byłem na jednej zbiórce organizacyjnej, na której uczono nas rozbierać i składać jakiś pistolet. Ja byłem dostatecznie obznajomiony z bronią, aby było mi to potrzebne. Swoją przynależność do POW trzymałem w ścisłej tajemnicy i nawet Wiktorowi o tym nie powiedziałem.

Nadeszła pamiętna noc z 4 na 5 sierpnia 1915 roku. Pobudziły nas grzmoty wysadzanych mostów na Wiśle. To był już pewny sygnał odejścia Moskali z Warszawy. Jeszcze spaliśmy po pełnej wzruszeń nocy, gdy obudził nas niemilknący dzwonek u drzwi frontowych. Był to łącznik zawiadamiający mnie, że mam się stawić na zbiórkę na ulicy Bednarskiej i podał numer domu oraz mieszkania. Po chwili drugi łącznik przybiegł do Wiktora. Szybko ubrałem się i poszedłem na Hożą, aby pożegnać się z rodzicami. Przed domem stał nasz powóz i ojciec odwiózł mnie na miejsce zbiórki. Z Pragi dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów.

W mieszkaniu wyznaczonym na miejsce zbiórki, w stołowym pokoju, zastałem kilku chłopców, a na dużym stole poukładane karabiny, bagnety oraz pas z ładownicami i ostrymi ładunkami. Któryś chłopiec kazał nam pobrać to uzbrojenie. Na cywilną marynarkę zapiąłem więc pas z ładownicami i bagnetem i wziąłem karabin. Wyszliśmy na Krakowskie Przedmieście i śpiewając „Hej strzelcy wraz" pomaszerowaliśmy do Pałacu Namiestnikowskiego, przed którym stał jeszcze pomnik Paskiewicza. Nieliczni przechodnie ze zdziwieniem na nas patrzyli nie zdając sobie sprawy, co to cywilne wojsko ma znaczyć. Niemieckie wojska dopiero wkraczały do Warszawy.

W Pałacu Namiestnikowskim zebrało się co najmniej z pół tysiąca takich wojaków jak ja. Spotkałem tam Wiktora Szymanowskiego, Janka Chełmickiego, Antka Wieniawskiego, Julka Kamlera i wielu innych.

Zajęliśmy Pałac i cała nasza początkową czynność polegała na trzymaniu wart przed budynkiem. Przyszedł wieczór. Byliśmy głodni, a spać nie było na czym. Wielu chłopców porozchodziło się do domów. Ja jednak zostałem i spałem na podłodze, na jakichś papierach i w ubraniu. Pamiętam tylko, że którejś

nocy przyszedł jakiś chłopiec i obudził mnie, i kazał mi iść na wartę. Ja stanowczo zaprotestowałem i nie poszedłem. Rano zostałem przedstawiony do raportu karnego. Raport przyjmował Wacław Jędrzejewicz[3] (późniejszy minister oświaty), którego znałem, bo moi rodzice przyjaźnili się z jego rodzicami, a nawet ojciec dopomógł mu do wykręcenia się od wojska rosyjskiego. Wacek miał poważną minę i nie zdradził się, że mnie zna, nagadał mi jakichś morałów, które wcale do moich cywilnych zapatrywań nie trafiły. Tak nic się na wojsku nie rozumiałem, a żadna szarża mi nie imponowała, że wszelkie morały były zupełnie zbędne.

Po kilku dniach przeprowadzono nas do jakiejś byłej fabryki obuwia nad Wisłą. Lecz i tu byliśmy zaledwie kilka dni. Przeszliśmy wreszcie na róg Wielkiej i Żurawiej (później nazwanych Poznańską i Żulińskiego) do budynku, w którym mieściło się gubernatorstwo warszawskie. Tu rozpoczęła się właściwa organizacja batalionu. Podzielono nas na kompanie i plutony, zaczęto żywić i przygotowywać mundury. Już dziś nie pamiętam, jak wynikła sprawa mego przydziału do patrolu konnego. Któregoś dnia wyjechałem do Kłudna po Waśkę ojciec dał mi go bez wahania. Ponieważ nie było młóconego owsa, a musiałem zabrać furaż dla konia, ojciec kazał naładować wóz drabiniasty niemłóconego, do którego przywiązałem mego wierzchowca, sam siadłem na wóz i ze strachem wyruszyłem do Warszawy. A bać się było czego. Niemcy mogli mi odebrać w drodze konia. Kamień spadł mi z serca, gdy wjechałem w bramę budynku na Żurawiej. Na pół spełniły się moje marzenia. Teraz już byłem pewien, że zostanę kawalerzystą. Powitany też zostałem entuzjastycznie, może nie tyle z mego przyjazdu, ile z powodu owsa. Przed stajnią siedział bowiem dojrzały już mąż, z przystrzyżonymi wąsami, wyszwarcowanymi na czarno, nieco łysiejącą czupryną, dość wysoki i bardzo przystojny. Był to Franciszek Żarnowski, również kandydat na beliniaka. W stajni stał „najpiękniejszy koń w Polsce" siwek pana Franciszka, który był bardzo spragniony owsa. Poznaliśmy się z nowym kolegą. Już było nas dwóch z końmi, zaczątek patrolu konnego przy batalionie. Wkrótce zjawił się i trzeci – Karol Koźmiński.

Franciszek Żarnowski był ziemianinem z Płockiego. Był zmobilizowany i służył w rosyjskim wojsku mając przydział przy sztabie armii. Jak twierdził, pełnił funkcję berajtera, tj. ujeżdżacza koni. Wtedy w to wierzyłem, dziś trąci to trochę bujaniem, ale to nie ma znaczenia. Fakt niezaprzeczony, że Franuś

[3] Wacław Jędrzejewicz (1893–1993) – generał brygady, członek POW i żołnierz Legionów Polskich, absolwent UJ i SGGW, po 1921 r. w służbie dyplomatycznej, następnie dyrektor departamentu MSZ, później w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Od 1939 na emigracji, założyciel Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku.

miał dosyć służby carskiej i któregoś pięknego poranka drapnął na swym siwku spod Kowna i oparł się aż u swych znajomych pod Mińskiem Mazowieckim. Tu doczekał przyjścia Niemców i przybył do Warszawy wstępując do batalionu warszawskiego POW.

Ponieważ on jeden miał jakie takie pojęcie o wojsku został moim przełożonym. Rad byłem z tego, bo chłopisko było zacne i serdeczne, a o konie dbał więcej niż o nas. Gdy go poznałem przyznawał się do 33 lat i tak miał do śmierci. Umarł jako emerytowany podpułkownik 7 pułku ułanów. Był dzielnym żołnierzem odznaczonym orderem Virtuti Militari kl. V i doszedł do funkcji zastępcy dowódcy pułku.

Drugim kolegą kawalerzystą był Karol Koźmiński. Młody 27-letni człowiek. Z zawodu trochę malarz, trochę ziemianin, chyba zbankrutowany, trochę literat, a w sumie bardzo sympatyczny, elegancki i dowcipny oraz przystojny człowiek. Przyprowadził gniadą klacz, mocno podrasowaną, lecz z dość słabymi nogami. Przezwałem ją Kizią i tak została do końca swej służby w Legionach. Karol nawzajem przezwał mego Waśkę Bazylem i też tak został.

Następnym kolegą był Wiśniewski. Starszy, dość grubawy pan, którego przezwaliśmy Biskupem. Kupił od Karola kasztana, dość dobrego konia, który przeżył swego nowego pana. Biedny Wiśniewski został ciężko ranny ekrazytówką w pachwinę, na pierwszym patrolu, i zmarł w szpitalu w Kowlu.

Wreszcie piątym w naszym patrolu był Wacław Stanielewicz zwany Wujem. Wuj był chyba handlowcem. Miał lat 32, średniego wzrostu, na trochę krzywych nogach, szalenie energiczny i przedsiębiorczy, od razu przejął na siebie sprawy naszego gospodarstwa patrolowego. Przyprowadził konika karego, kurtyzowanego i równie nerwowego jak i wariatowatego. Nazywał się Demon.

Prócz nas pięciu konnych było jeszcze kilku kandydatów na ułanów. Wprawdzie koni nie mieli, ale za to piękne ułanki z amarantowymi wyłogami oraz szable o błyszczących pochwach na długich rapciach. My natomiast porobiliśmy sobie zwykłe strzeleckie kurtki. Ja osobiście miałem mundurek uszyty z płaszcza rosyjskiego oficera zrobiony przez Żydka z Hożej ulicy, Jurkiewicza.

Któregoś dnia nasz Franuś oznajmił, że mamy iść do lekarza celem zbadania, czy nadajemy się do wojska. Ja jednak nie poszedłem. Zważyłem się i okazało się, że w mundurze, butach i z szablą ważę 120 funtów, tj. 48 kg. Wolałem nie ryzykować.

Zaczęliśmy szykować się do wymarszu na front, bo wiedzieliśmy, że musimy dołączyć do I Brygady. Jedynie Franek miał siodło wojskowe. Ja miałem siodło kupione kiedyś od jednego z kolegów szkolnych, które udawało

rosyjskie siodło służbowe, a faktycznie było zwykłym siodłem angielskim posiadającym okuty przedni i tylny łęk. Za poradą Franka poszedłem gdzieś „na Żydy" i udało mi się kupić juki oraz filcowy potnik. Z tego własnym sposobem sporządziłem sobie rynsztunek podobny trochę do wojskowego. Tylko zawdzięczając mojej muszej wadze mogłem odbywać marsze na takim siodle nie osiodławszy konia.

Organizacja batalionu dobiegała końca. Piechota dostała mundury, niestety, z zielonkawego materiału rosyjskiego, gdy w Legionach noszono mundury z sukna niebieskawego, austriackiego. Karabiny były różnych systemów, więc podobierano je kompaniami. Pojawiła się nawet kuchnia polowa. My kawalerzyści dostaliśmy karabinki kawaleryjskie Manlichera. Szable mieliśmy prywatne. Ja zarekwirowałem szablę gen. Szymanowskiego, do której doprawiłem piękną gardę od szabli kiedyś wykopanej, a pochodzącej z okresu Powstania Listopadowego.

Któregoś dnia batalion już umundurowany i uzbrojony, został poprowadzony przez naszych dowódców do kościoła Św. Krzyża na mszę.

My kawalerzyści maszerowaliśmy na końcu batalionu. W powrotnej drodze robiono nam trochę owacji, nawet piechurzy pozatykali sobie kwiaty do luf karabinów. My chyba też dostaliśmy trochę kwiatów.

Już dziś nie pamiętam, wiem tylko, że byłem tak szczęśliwy jak nikt inny. Przecież marzenia moje spełniły się. Byłem żołnierzem. Znalazłem się między nowymi kolegami, wprawdzie o wiele ode mnie starszymi, ale bardzo serdecznymi, odnoszącymi się do mnie bardzo po przyjacielsku. Bo moi cywilni koledzy wyłamali się: Wiktor Szymanowski wycofał się, Janek Chełmicki pojechał do Dziewanowa, Antka Wieniawskiego zatrzymał ojciec.

Wymarsz został wyznaczony na dzień 22 sierpnia 1915 roku. Zawiadomiłem o tym rodzinę. Rodzice przyjechali z Kłudna końmi. Prócz rodziców i najlepszej siostry Hali, żegnał mnie mój nauczyciel polskiego od Rontalera Mirosław Kryński. Pożegnanie nie było jakieś dramatyczne ze łzami i rozpaczą, choć szedłem na wojnę, z której mogłem nie wrócić. Może ojciec trochę mrugał, a matka silniej mnie ucałowała, ale nikt nie robił tragedii. Ja byłem tak dziecięco uradowany, że może to wpływało na spokój rodziny. Jakaś młodziutka panienka podeszła do mnie i przypięła mi błękitną wstążkę z medalikiem do munduru. Nie umiałem jej nawet serdecznie podziękować. Wreszcie pożegnał mnie i Bazyla nasz stangret Stasiek Kalinowski. Gdy już siedziałem na Bazylu, jeszcze Hala podeszła i założyła mi na szyję srebrny krzyżyk z Częstochowy, życząc, aby mnie strzegł i wtrąciła cichutko: „Bądź dzielny, abyś prześcignął Piłsudskiego". Słowa te wydały mi się jakby grzechem.

Komendant był w Otwocku, a z nim por. Orlicz-Dreszer[4], por. Wieniawa-Długoszowski[5], Sieroszewski[6] i pewno inni, których nie widziałem. Najwięcej imponował mi ordynans Orlicza – Jabłocki. Miał wysokie czako i ułankę.

Batalion był gotowy do wymarszu. Dowódcą naszym był por. Żuliński[7], kompaniami dowodzili świeżo mianowani podporucznicy – Bogusław Miedziński[8], Wacław Jędrzejewicz, Konrad Libicki[9] i Wysocki. Jednak na czele batalionu stanął major Żymierskimi[10] i on, na koniu Orlicza, wyprowadził nas z Warszawy. Przeszliśmy mostem pontonowym przez Wisłę, a za nami poszedł

---

[4] Gustaw Orlicz-Dreszer (1889–1936) – gen. dyw., oficer I Brygady Legionów Polskich, do której zdezerterował z armii rosyjskiej jako porucznik huzarów, w wojnie 1920 dowodził 2 dywizją kawalerii. W maju 1926 dowodził wojskami J. Piłsudskiego. Zginął w katastrofie pilotowanego przezeń samolotu w wodach Zatoki Gdańskiej pod Orłowem.

[5] Bolesław Wieniawa-Długoszowski (1881–1942) – gen. bryg., z wykształcenia lekarz. Literat. Członek Związku Strzeleckiego, żołnierz I Kompanii Kadrowej, następnie „beliniak" (p. uł. LP), od 1917 z ramienia POW w Rosji, przez trzy miesiące w areszcie bolszewickim, skąd ucieka i powraca do Warszawy. Od listopada 1918 do grudnia 1922 adiutant Józefa Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza, następnie m.in. dowódca 1 p. szwoleżerów i 1 dywizji kawalerii. 1936–1940 ambasador RP w Rzymie, 1940–1942 poseł RP na Kubie. Zmarł śmiercią samobójczą w Waszyngtonie.

[6] Wacław Sieroszewski (1858–1945) pisarz, działacz niepodległościowy. W 1878 zesłany na Syberię, przebywał tam 15 lat. Beliniak, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, w 1918 minister propagandy w rządzie lubelskim. 1933-1939 prezes Polskiej Akademii Literatury.

[7] Tadeusz Żuliński (1889–1915) – bratanek straconego na stokach Cytadeli (sierpnia 1864) Romana Żulińskiego, członka Rządu Narodowego. Działacz niepodległościowy, członek ZWC i Związku Strzeleckiego, w czasie wojny jeden z organizatorów POW w Warszawie. Wyruszył na czele batalionu na front wołyński, poległ 5 listopada 1915 na skutek ran odniesionych w bitwie pod Kamieniuchą.

[8] Bogusław Miedziński (1891–1972) – płk, członek ZWC i Związku Strzeleckiego, żołnierz I Brygady LP, członek Naczelnej Komendy POW, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Józefa Piłsudskiego. 1927–1929 minister poczt i telegrafów, później m.in. redaktor naczelny „Gazety Polskiej", 1938 marszałek Senatu, po wojnie na emigracji. Zmarł w Londynie.

[9] Konrad Libicki (1891–1980) – członek Związku Strzeleckiego, żołnierz I Brygady LP, w WP do 1927 w stopniu majora dypl., następnie na placówkach dyplomatycznych, 1933–1935 dyrektor naczelny Polskiej Agencji Telegraficznej, później do września 1939 prezes i dyrektor naczelny Polskiego Radia. Zmarł na emigracji.

[10] Michał Rola-Żymierski (właśc. Michał Łyżwiński, 1890–1989), żołnierz I Brygady LP, dowódca batalionu, ranny w boju pod Laskami, po rozwiązaniu Legionów w korpusie gen. Hallera jako szef sztabu w stopniu majora uczestniczy w bitwie z Niemcami pod Kaniowem na Ukrainie. Za przestępczy udział w aferze związanej z dostawami sprzętu (maski gazowe) dla armii przez firmę francuską „Protector" zostaje wyrokiem sądu wojskowego skazany i zdegradowany z generała brygady do szeregowca w 1927, po roku twierdzy ułaskawiony przez marszałka Piłsudskiego wyjeżdża do Francji, gdzie po pewnym czasie wstępuje do partii komunistycznej (PCF). W 1939 przerzucony na teren okupacji niemieckiej w Polsce, następnie komendant AL i od lipca 1944 naczelny dowódca LWP, po wojnie szef resortu obrony narodowej, usunięty ze stanowiska w 1948, po czym prezes rady nadzorczej Banku Handlowego; w okresie gierkowskim otrzymuje stopień… marszałka Polski; na IX zjeździe PZPR wchodzi w skład KC tej partii.

tłum odprowadzających. Hala szła za nami prawie do Miłosnej. Nie umiałem nawet zdobyć się na uczucie wdzięczności za okazane mi serce kochającej siostry. W Miłosnej zatrzymaliśmy się na postój obiadowy.

Biedni byli nasi piechurzy. Wielu miało nowe buty i żadnej zaprawy marszowej. Szli biedacy utykając, ale śpiewali. Nasz patrol jechał na przedzie, o jakieś dwieście kroków i czuliśmy się świetnie. Weseli doszliśmy do Wólki Mlądzkiej nad Świdrem przy szosie do Dęblina. Batalion rozkwaterował się, my rozsiodłaliśmy konie, a Wuj zaczął zaraz kombinować jakieś jedzenie. Noc przeszła spokojnie. Spałem jak zarżnięty.

Na drugi dzień rano wymaszerowaliśmy, lecz już nie szosą, a bocznymi drogami przez Glinianki na Dłużew. Zostałem wysłany do Dłużewa jako kwaterunkowy batalionu. Dziś wydaje mi się dziwne, że właśnie mnie, najmłodszego wysłano z takim zadaniem. Dostałem rozkaz, abym postarał się o przygotowanie w Dłużewie kolacji dla batalionu.

Pamiętam, gdy podjechałem pod ganek dłużewskiego dworu, zeszedł do mnie właściciel majątku pan Dłużewski i najpierw przyglądał mi się ciekawie. Ja, ze srogą miną oświadczyłem mu, że w niedługim czasie przymaszeruje do Dłużewa batalion, dla którego należy natychmiast przygotować kwatery i kolację. Dłużewski spoglądał na mnie z uśmiechem i widać było, że nie traktuje mnie zbyt poważnie, mój prawie dziecięcy wygląd i moje wymagania upoważniały go do tego. Powiedział więc z uśmiechem, że wszystko się zrobi tylko powoli i zapytał, z jakiego wojska jestem. Legionista – odpowiedziałem.

W Dłużewie byliśmy przyjęci z całym sercem, a oficerowie i podoficerowie zostali zaproszeni na kolację do dworu. Nam, kawalerzystom o tyle się udało, że rano, przed odmarszem, córka p. Dłużewskiego Zofia przyniosła nam do stajni porządne śniadanie.

Następny postój był w Seroczynie, majątku Wernerów. Szliśmy na Łuków. Do Łukowa był bardzo ciężki marsz dla piechoty, a dla mnie i tyle przykry, że przed Łukowem kazano mi oddać Bazyla dla dowódcy batalionu, bo chciał on jechać na czele swego wojska konno. Ja byłem oburzony. Oczywiście, że zażądano tego ode mnie, bo byłem najmłodszy, a mój Bazyl i ładny, i spokojny. Prawie płacząc maszerowałem na piechotę za batalionem.

W Łukowie wydano rozkaz nieopuszczania kwater. Oficerowie i podoficerowie zostali zaproszeni przez jakiś komitet na kolację. Mimo zakazu poszliśmy, po nakarmieniu koni, do restauracji na kolację, nic sobie nie robiąc ani z zakazu, ani obecności w sąsiedniej sali naszych szarż. Restaurator zapałał do nas takim sentymentem, że nie tylko nie chciał brać pieniędzy za kolację i wypite wino, ale jeszcze każdego obdarował butelką wina. Ja niestety, tak się dokumentnie zalałem, że ledwo doszedłem do stajni. Miałem tylko tyle

przytomności, że schowałem butelkę pod siodło, a sam przewróciłem się na słomę i usnąłem kamiennym snem. Nie byłem zupełnie przyzwyczajony do alkoholu, bo u nas w domu matka była wielką przeciwniczką picia. Dostawaliśmy najwyżej po kieliszku wina podczas imienin ojca lub matki. Na drugi dzień ledwo trzymałem się na nogach. Pamiętam tylko, że na zbiórce w drugim szeregu wysłuchałem reprymendy, jaką dostaliśmy od por. Żulińskiego, gdy nam wypomniano brak dyscypliny i wiele innych przykrych rzeczy. Muszę przyznać, że porucznik miał rację.

Z Łukowa pomaszerowaliśmy na Międzyrzec i Białą Podlaską. Marsz odbywał się bez żadnych specjalnych wydarzeń, prócz tego, że jedną kolację, może w Międzyrzeczu, dali nam Węgrzy ze swej kuchni polowej. Ten straszliwy gulasz był tak wypaprykowany, że nasze delikatne gardziołka w żaden sposób nie mogły go przełknąć.

Za Białą Podlaską zostaliśmy wysłani z Frankiem Żarnowskim i Karolem Koźmińskim w kierunku Terespola celem odnalezienia I Brygady, która miała maszerować w kierunku Wysokiego Litewskiego na południe. Teraz jechaliśmy przez kraj nawiedzony wojną. Wsie częściowo popalone, trupy zabitych, a już cuchnących koni spotykaliśmy często. Spotykaliśmy chłopów ciągnących do swych wsi z nieudanej i niepotrzebnej ucieczki przed Niemcami.

Wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg w jakiejś wsi, nie natrafiwszy w ciągu dnia na żaden ślad. Gdy szykowaliśmy sobie kolację, na naszą kwaterę przyjechało trzech ułanów Beliny, którzy jechali spod Lublina i tak jakby szukali Brygady, aby dołączyć do swego szwadronu. Byli to: Marian Skrzynecki i Słomkowski, trzeciego nazwiska już nie pamiętam. Noc zapowiadała się na ciepłą, więc spanie naszykowaliśmy sobie na dworze. W nocy czy nad ranem Franek posłyszał rozmowę dwu chłopów, którzy mówili, że w sąsiedniej wsi stoi jakieś dziwne wojsko – mówią po polsku, ale nie Austriacy ani Niemcy.

O świcie Franek obudził nas i zaraz zaczęliśmy czyścić i karmić konie. Był nieco mglisty poranek i w pewnym momencie z mgły wyłoniła się kolumna maszerujących ułanów. Widok jak z obrazu Kossaka. Czaka w ceratowych pokrowcach, szerokie płaszcze rozpuszczone i zakrywające zady koni, konie idące równym stępem, wszystko to zrobiło na nas szalone wrażenie. Prawdziwie polskie wojsko. Spełnione marzenia.

Osiodłaliśmy szybko nasze konie i popędziliśmy, aby dogonić dywizjon. Gdy mijaliśmy kolumnę galopując na czoło, pytano nas skąd jesteśmy. Krzyknęliśmy tylko: „Z Warszawy". Zaraz rozeszła się wiadomość o naszym przybyciu. Podjechaliśmy do Beliny[11]. Franek zameldował mu nasze przybycie

[11] Władysław Belina-Prażmowski (1888–1938) – płk, członek ZWC i komendant okręgu

i prosił o wiadomości o Brygadzie oraz o przyjęcie nas do dywizjonu. Natychmiast podjechał por. Grzmot-Skotnicki[12] i prosił Belinę, aby nas przydzielił do pierwszego szwadronu. Belina nie obiecywał, bo – jak mówił – przy sztabie Brygady mają formować pluton sztabowy i pewno zechcą nas tam przydzielić, ale pocieszył nas, że może uda mu się coś wytargować u szefa sztabu. Podobały się nasze konie i to też zachęcało, aby potargować się o nas.

Po uzyskaniu informacji, gdzie szukać Brygady, pojechaliśmy i znaleźliśmy koło południa biwakującą w lesie Brygadę. Mnie pozostawiono przy sztabie, a Franek z Karolem pojechali przyprowadzić batalion. Obco czułem się między piechurami, którzy nie omieszkali robić drobnych przycinków na temat kawalerii. Nie znałem się jeszcze na takich żartach. Raziło mnie straszliwie przeklinanie, o jakim nie miałem pojęcia, bo trzeba przyznać, że nasi leguni mieli niewyparzone buzie.

Zawołano mnie do szefa sztabu. Siedział na kocu stosunkowo młody i przystojny oficer, lecz bez żadnych odznak stopnia i polecił mi usiąść. Był to podpułkownik Kazimierz Sosnkowski[13]. Zaczął mnie pytać o Warszawę i jakieś sprawy polityczne, na które nie umiałem odpowiedzieć. Widząc, że ma do czynienia ze smarkaczem, pozwolił mi odejść. Byłem na niego oburzony, bo sam jadł, a mnie nie poczęstował, byłem wściekle głodny. Zupełnie nie rozumiałem dystansu, jaki dzieli oficera od rekruta, jakim byłem. Mnie żadna szarża nie imponowała, bo byłem przyzwyczajony do przebywania w towarzystwie oficerów.

Nadszedł wieczór, a batalion nasz nie nadchodził. Wysłano więc mnie na poszukiwanie. Wyjechałem i błąkałem się po jakichś spalonych wsiach, pogorzeliskach, wreszcie wjechałem na jakiegoś niepochowanego trupa. Bazyl wystraszył się, a ja również. Nie pamiętam, czy znalazłem wreszcie batalion

---

krakowskiego Związku Strzeleckiego; organizator i dowódca kawalerii I Brygady LP (1 p. ułanów – „beliniacy"). W kwietniu 1919 jako pierwszy wkracza do Wilna. Po 1920 m.in. wojewoda lwowski. Zmarł nagle w Wenecji.

[12] Stanisław Grzmot-Skotnicki (1894–1939) – gen. bryg. członek Związku Strzeleckiego, żołnierz LP (w sierpniu 1914 w słynnej pierwszej siódemce ułańskiej Beliny), w 1939 dowódca Pomorskiej Brygady Kawalerii, następnie Grupy Operacyjnej „Czersk". Poległ w nocy z 18 na 19 września w czasie walk odwrotowych pod Tułowicami.

[13] Kazimierz Sosnkowski (1885–1969) – gen. broni, absolwent Politechniki Lwowskiej, w 1908 założyciel Związku Walki Czynnej tamże, szef sztabu i komendant Związku Strzeleckiego, w 1914 szef sztabu i zastępca kom. I Brygady LP, po dymisji J. Piłsudskiego komendant I Brygady LP, aresztowany wraz z nim 22 lipca 1917, więziony w Gdańsku, Spandau, Wesel i Magdeburgu. W 1920 dowódca armii odwodowej, następnie minister spraw wojskowych do 1924; po 1926 inspektor armii, we wrześniu 1939 dowódca Frontu Południowego, od listopada 1939 do końca pierwszego półrocza 1940 komendant Związku Walki Zbrojnej z siedzibą w Paryżu, z ramienia Naczelnego Wodza. Lipiec 1943 – wrzesień 1944 Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, ustąpił ze stanowiska na znak protestu wobec polityki sojuszników w kwestii polskiej. Zmarł w Paryżu.

i jak tę noc zakończyłem. Rano odesłano nas pięciu do Beliny, tj. Żarnowskiego, Koźmińskiego, Stanielewicza, Wiśniewskiego i mnie. Zostaliśmy wszyscy przydzieleni do I szwadronu, II plutonu, 3 patrolu. Dowódcą szwadronu naszego był por. Stanisław Grzmot-Skotnicki, dowódcą II plutonu ppor. Jan Kawiński ps. „Doktór Janek", dowódcą 3 patrolu wz. st. ułan Justyn Koncki. Pluton nasz niedawno pod Lublinem poniósł duże straty, zginął dowódca plutonu ppor. Wysocki i było rannych paru ułanów. Przyszliśmy więc jako pożądane uzupełnienie.

Maszerowaliśmy przez Różankę na Włodawę, gdzie przeszliśmy na wschodni brzeg Bugu. Upamiętnił mi się postój we wsi nad jeziorem Dulma. Nieostrożnie położyłem się spać w chałupie, w której zastałem rozesłaną na podłodze słomę. Rano miałem już wszy w koszuli. To była pierwsza przykrość tej wielkiej przygody wojennej. Wszy mnie już nie opuściły przez wiele miesięcy. Tu też otrzymałem nowe siodło, wojskowe austriackie. Złożył mi je nasz patrolowy Koncki oraz spakował do juków mój majątek. Orzekł, że stanowczo mam za dużo rzeczy i część zabrał, co zresztą oddałem bez najmniejszego żalu.

Po jednodniowym postoju rano zarządzono odmarsz. Rozpocząłem siodłanie Bazyla pewno o pół godziny wcześniej od innych, lecz okazało się, że to wcale nie taka prosta sprawa. Austriackie siodła miały olbrzymie wełniane koce, które kładło się pod siodło. Wypakowane siodło było ciężkie i wrzucić go na grzbiet konia, nie mając ani wprawy, ani dostatecznych sił nie było łatwe, zwłaszcza, że koc zsuwał się na prawy bok. Próbowałem kilka razy i za każdym razem było źle. Na moje szczęście przed naszą kwaterą, na drodze, zatrzymała się bateria artylerii konnej. Podszedł do mnie kapral i zaproponował mi, widząc moją mitręgę, że osiodła mi konia. Był to kapral „Żmogus" (późniejszy pułkownik) Wąsowicz, dowódca pułku najcięższej artylerii. Ten zacny człowiek nie tylko pomógł mi, ale i dał jeszcze łańcuszek do munsztuka, którego mi brakowało do kompletu.

Dywizjon ułanów Beliny szedł dalej na Lubom. Z jednego postoju dostałem rozkaz eskortowania aresztanta do sztabu brygady. Swoją drogą trzeba przyznać, że takim smarkaczem jak ja zapychano dziury. Tam, gdzie starzy ułani umieli się wykręcić, pchano nowicjuszy. Nie znałem zupełnie żadnych obowiązków ani regulaminów, a mimo to wsadzono mi na głowę czako, z którego byłem niesłychanie dumny, a którego już nie chciał odebrać właściciel i kazano konwojować. Załatwiłem tę sprawę pomyślnie i dołączyłem do szwadronu.

6 września 1915 roku w drodze do Lubomia Grzmot przeprowadził z nami małe ćwiczenie w spieszaniu się do walki pieszej i to było jedyne moje przeszkolenie, które musiało mi wystarczyć na wiele miesięcy walk na froncie. W nocy razem z jednym ze starych ułanów stałem na czujce, co wtedy nazywało się wedeta.

Wchodziliśmy na teren działań wojennych. 7 września ruszyliśmy w kierunku na Kowel, w jakieś pół godziny po wymarszu do naszego patrolu podjechał kapral Kordian (Napiórkowski, którego imieniem nazwano później ulicę w Łodzi) i zażądał od Koneckiego, aby dał jednego ułana, który uzupełni skład jego patrolu rozpoznawczego. Oczywiście wyznaczono mnie, bo najmłodszy i ma dobrego konia. Dołączyłem do Kordiana i ruszyliśmy kłusem piaszczystą drogą leśną. Dostałem rozkaz wyjechania naprzód jako szpica. Kordian krzyknął tylko, abym zdjął karabinek z pleców, wyjechałem na skraj lasu i zobaczyłem przed sobą szosę, a za szosą wieś. Przed szosą stał chłop, do którego podjechałem, aby zapytać, czy we wsi są Moskale, gdy nagle ze wsi zaczęto strzelać. Mój Bazyl zdenerwował się, gdy kule zaczęły gwizdać, a ja nie wiedziałem, co mam robić. Obejrzałem się w tył i zobaczyłem ogony koni moich kolegów uciekających do lasu. Zawróciłem więc Bazyla i pognałem za nimi. Wieś, pod którą zostałem pierwszy raz w życiu ostrzelany nazywała się Myśliny.

Wieczorem stanęliśmy na kwaterach we wsi Obłapy. Tu dowiedziałem się, że na patrolu właśnie pod tymi Obłapami został ciężko ranny nasz kolega z Warszawy – Wiśniewski. Dostał ekrazytówką w pachwinę i w szpitalu zmarł. Nie powiem, aby ta wiadomość nie zrobiła na mnie silnego wrażenia. Żal mi było bardzo naszego „Biskupa". Lecz niewiele miałem czasu na zmartwienia. Ledwie „Wuj Janisz" rozpoczął organizować kolację i zaczął rozchodzić się zapach pieczonej gąski, wszedł jakiś ułan i oświadczył, że z rozkazu dowódcy plutonu mam natychmiast siodłać konia i jechać z meldunkiem do Beliny. Trudno, już taki los młodego żołnierza, że go ganiają jak burą sukę. Osiodłałem i pojechałem. Noc była dość ciemna, a drogę miał podaną mój towarzysz niedoli ułan Czarnecki. Jechaliśmy przez jakieś lasy, gdzie na nosa skręcaliśmy w tę, a nie w przeciwną stronę, wreszcie jakimś cudem trafiliśmy tam, gdzie trzeba było.

Przespaliśmy się w jakiejś stodole, nakarmiliśmy konie i trzeba było wracać do szwadronu. Proszę więc kolegę, aby mi pomógł złożyć koc, bo tego olbrzyma składanego w szóstkę trudno jest samemu złożyć. Zawsze składa się we dwóch. Ale pan Czarnecki, z zawodu murarz, a na pewno andrusiak warszawski, tylko spojrzał na mnie z pogardą i oświadczył: ja, panie łaskawy, zawsze sam składam koc, to i pan sam se złóż! Musiałem się męczyć, ale jakoś złożyłem.

Wróciliśmy do szwadronu. Znów maszerowaliśmy, jednak bez styczności z Moskalami. Kwaterowaliśmy w Serechowiczach, gdzie zapaliła się na podwórzu sterta słomy, lecz ułani okazali się świetnymi strażakami i nie dopuścili do zapalenia się budynków, później w Grabowej, gdzie stałem w nocy na warcie koło dworu, w którym kwaterował Belina. Byłem tak śpiący, że stojąc usypiałem. Pamiętam, że gdy ocknąłem się, usłyszałem jakiś szelest w krzakach. Wołam więc: „Stój! Kto idzie?". Nie słyszę odpowiedzi, odpinam bezpiecznik

i wołam, że będę strzelał. Wtedy słyszę głos Beliny: „Uspokójcie się i pozwólcie mi się spokojnie odlać”.

Koło 12 lub 13 września stanęliśmy nad Stochodem w Lubarce. W nocy byłem na czujce nad rzeką. Noc była księżycowa. Leżeliśmy na wilgotnej łące, ale nie było przykro, bo choć widać było dość dobrze. Podano nam, że po drugiej stronie rzeki są Moskale. Nasz rozprowadzający coś przegapił, bo nie ściągnął nas z czujki we właściwym czasie. Leżeliśmy więc drugie dwie godziny, bo z posterunku zejść samemu było nie do pomyślenia. Księżyc zaszedł i zrobiło się zupełnie ciemno. W pewnym momencie widzę, jak na tle nieba majaczą postacie, jakby szła tyraliera. Odpinam bezpiecznik i szykuję do strzału alarmowego. Nie strzelam jednak, kombinując, że stary ułan, który leży o kilka kroków ode mnie powinien pierwszy strzelić. Ale on może zasnął i nie widzi tyraliery? Przyglądam się dalej i dochodzę do wniosku, że to złudzenie. Kołyszą się na tle nieba krzaki poruszane wiatrem. Odetchnąłem! Byłaby kompromitacja, gdybym narobił fałszywego alarmu.

Z Lubarki idziemy do Stobychwy. Maszerujemy niedaleko lasami. W Stobychwie poprzedniego dnia nasz patrol z podporucznikiem Dudzieńcem został ostrzelany. Zginął Dudzieniec. Orlicz kazał nam rozkwaterować się w stajni folwarcznej na wysokim brzegu Stochodu. Widok na rzekę znakomity, ale i my jesteśmy widoczni. Kilku ułanów wybrało się nad rzekę po siano i zostali ostrzelani. Wrócili z niczym, ale wiadomo, że za Stochodem są Moskale. Mimo to jakoś dziwnie beztrosko podchodziliśmy do ich obecności. Konie stoją w drewnianej stajni, ułani porozpinali namioty właśnie od strony rzeki. Wieczór przeszedł zupełnie spokojnie. Byłem wyznaczony na czujkę od godziny 4 rano do 6. Gdy zrobiło się prawie widno, siedziałem na drągu ogrodzenia i patrzyłem w stronę rzeki, na łąki i las. Pamiętam, że myślałem o moim dalszym losie, czy powrócę z wojny, bo zaczynałem lepiej rozumieć jej niebezpieczeństwa.

Nagle kula świsnęła i posłyszałem wystrzał karabinowy. Po chwili rozległy się strzały na dobre. Strzeliłem na alarm. Z namiotów i ze stajni wysypali się ułani, niektórzy nawet nie ubrani, ale z karabinkami. Rozrzucili się w tyralierę i rozpoczęli ogień w kierunku lasu za rzeką. Po chwili zjawił się ppor. Kawiński i inni oficerowie szwadronu. Podał celownik. Tymczasem odezwała się artyleria. Nad rzeką pękł pierwszy szrapnel. Zobaczyłem dużą smugę dymu, lecz nie mogłem zrozumieć, co to jest. Widywałem wprawdzie wybuchające szrapnele, kiedy strzelano do niemieckich samolotów spod Grodziska, ale to były piękne obłoczki. Dopiero po następnych strzałach zrozumiałem, że do nas bije artyleria. Odezwały się też karabiny maszynowe. Obejrzałem się w tył i zobaczyłem dwie biedne białe kaczuszki za sobą. Nagle jedna oberwała w nogę. Posłyszałem rozkaz, aby w stajni siodłać konie i wyprowadzać za chałupy.

Popędziłem do stajni. Mój biedny Bazyl stał skulony i wystraszony. Obok niego leżał zabity koń. Dalej ułan Sieklucki ranny w brzuch. Wrzuciłem więc siodło na Bazyla i wyprowadziłem go ze stajni. W progu stoi Kawiński i pyta mnie: „A gdzie wasze czako? Wrócić i zabrać!". Oddałem Bazyla jakiemuś ułanowi, a sam wróciłem po czako. Gdy znaleźliśmy się za chałupami, zrobiło się bezpiecznie, bo tu nie sięgał ogień karabinowy. Z chałup zobaczyliśmy, jak w wóz przykuchenny uderzył granat i zabił oba konie. Zobaczył to mój patrolowy Koncki. Woła mnie i powiada, że na wozie było dużo kawy konserwowej, więc chodźmy po nią. Nie bardzo byłem tą propozycją zachwycony, ale wstydzę się odmówić, bo pomyśli, że tchórzę. Czołgamy się więc na brzuchach i docieramy do pogruchotanego wozu. Zdobywamy kilkanaście paczek faktycznie dobrej kawy i wracamy szczęśliwie do koni. Nie bardzo mamy gdzie zapakować kawę, ale opróżniamy częściowo juki i jakoś zabieramy zdobycz.

Stobychwa dnia 15 września 1915 roku to mój chrzest bojowy. Tu zobaczyłem trochę, co to jest wojna. Z naszego szwadronu był zabity ułan Sieklucki, ranni por. Lewandowski, wachmistrz Oster[14], ułan Bieliński i jeszcze około 8 ułanów, nie mówiąc o kilku koniach zabitych i rannych.

Po południu pomaszerowaliśmy do Lubarki. Tu staliśmy kilka dni, by wreszcie pójść dalej w kierunku Styru. Wreszcie na kilka dni przyszliśmy na kwatery do Kowla. Tu otrzymałem nareszcie upragnioną nową ułankę, spodnie z kantem i kożuszek. Oczywiście moją zabraną z domu ciepłą sławucką kurtkę cisnąłem na kwaterze jak coś bezwartościowego. Byli mądrzejsi ode mnie i sprzedali moją kurtkę Żydom.

Kowel był przepełniony wojskiem. Ludności pozostało niewiele, bo większość wyjechała do Rosji przed przyjściem Austriaków i Niemców. Handel zupełnie prawie ustał i nic kupić nie było można, zjeść też nie można było nigdzie. Nie mieliśmy więc żalu opuszczając to martwe miasto.

Przed wymarszem z Kowla zdarzyła się rzecz zabawna. Gdy staliśmy na zbiórce w szyku rozwiniętym i czekaliśmy na przyjęcie raportu przez Grzmota, nagle naszemu kochanemu „Wujowi Janiszowi" coś się przypomniało. I ni z tego, ni z owego, właśnie w momencie, kiedy Grzmot na swym Moskalu wyjechał przed front szwadronu, rozległ się piskliwy głos „Wuja": „Franek, bój się Boga, a zabrałeś konserwy z kwatery?". Grzmot najpierw oniemiał, później wrzasnął na „Wuja" i scholerował go uczciwie.

Z Kowla pomaszerowaliśmy nad Styr do Borowicz. Tu część z nas miała pozostać przy koniach, a część zaś iść do okopów. Zostałem wyznaczony do

[14] Tadeusz Oster-Ostrowski (1895–1916) – wachmistrz 1 p. ułanów LP, poległ 13 marca pod Wiesołuchą na Wołyniu; autor znanej pieśni poświęconej 1 Kompanii Kadrowej „Raduje się serce, raduje się dusza…".

pierwszej grupy, która szła do okopów. Przeszliśmy po chwiejącym się moście przez Styr i przez Kołki, aby obsadzić niewielki odcinek pod Koszyszczami.

Odcinek nasz znajdował się na skraju sosnowego lasu w odległości około 80 m od Moskali. Do okopu dochodziło się rowem dobiegowym. Okop był dość głęboki i miał na wierzchu pokrycie tzw. blindarzem. Każdy z nas miał swoją strzelnicę. Służbę pełniliśmy w ten sposób, że jedną dobę byliśmy w okopie i cały czas trzeba było być przy swojej strzelnicy, a drugą dobę było się w rezerwie, tj. w ciasnej ziemiance, w której wolno było zdejmować buty. Po pożywienie chodziło się rowem dobiegowym w tył o kilkaset kroków, gdzie w lesie za górką stały kuchnie polowe. Oczywiście nie chodzili wszyscy, lecz jeden zabierał możliwie dużą ilość porcji. W nocy ci, którzy byli w okopie, po dwóch wychodzili jako czujki do małego okopu w drutach. Tu każdy był zobowiązany w ciągu dwóch godzin wystrzelić co najmniej 60 ładunków.

Podczas pobytu naszej zmiany w okopach miał miejsce przykry incydent. W Borowiczach zgłosił się do szwadronu ochotnik. Przyjęto go, lecz że nie było dla niego konia przydzielono go do pomocy kucharzowi szwadronowemu. Ten nowy pomocnik znalazł się wraz z kuchnią za naszymi okopami. Któregoś dnia przyniósł on obiad Grzmotowi do okopów i korzystając, że wszyscy byliśmy zajęci jedzeniem i nikt na niego nie zwracał uwagi, wyskoczył na wierzch i pognał do Moskali. Nie pamiętam, aby ktoś do niego strzelił. Uciekł, a skutki jego ucieczki szybko odczuliśmy. Od tego dnia nie mieliśmy ani jednego obiadu spokojnego. Gdy zbliżała się godzina wydawania posiłku rozpoczynał się na nasz odcinek ogień artylerii. Strzelano po okopach i po rowie dobiegowym. Podczas niesienia obiadu, w rowie dobiegowym był zabity ułan Skaut, a nasz Kwiatek był ranny w rękę. Również podczas obiadu, podczas ostrzeliwania naszych okopów „szklanka" od szrapnela wpadła w otwór strzelniczy obok mnie, a obrączką miedzianą zabiła lufę karabinu, wyrzucając go i łamiąc kolbę. O parę kroków dalej inna „szklanka" urwała głowę jednemu ułanowi.

Druty kolczaste przed okopami były regularnie niszczone, co zmuszało nas do zastawiania wyrw kozłami hiszpańskimi. Robota była przykra i ciężka. Kozły, jak na moją siłę, były nieco za ciężkie, a trzeba było je dość daleko nosić i górą, oczywiście tylko w nocy i podczas strzelaniny. Pamiętam, jak którejś nocy nosiliśmy kozły, a z nami był ppor. Antoni Jabłoński, dowódca III plutonu w naszym szwadronie. Gdy zaczęła się trochę gęstsza strzelanina, kazał nam pokłaść się, a sam stał na wierzchu okopu i nawet nie pochylił się. Odważny był, a miał buzię piętnastoletniego chłopaczka, zawsze jakby trochę nadąsaną. Zginął w 1920 roku, przed samym zawieszeniem broni jako dowódca 11 pułku ułanów.

Któregoś wieczoru rozeszła się w okopach wiadomość, jakoby w nocy miał być przeprowadzony przez Moskali atak na nasze okopy. Akurat na mnie wypadała kolejka czujki w drutach. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli zacznie się przygotowanie artyleryjskie, to najpierw zostaną niszczone druty i ja z okopu nie będę mógł się wycofać. Bardzo mi się smutno zrobiło, bo nie ma się wielkiej ochoty w 18 latach umierać. Ale jak przynieśli kawę i zjadłem co było, humor poprawił się i nabrałem wiary, że może jakoś nie zginę. Na szczęście natarcia nie było.

Po pobycie przez dwa tygodnie w okopach wróciliśmy do Borowicz, a na nasze miejsce przyszła druga zmiana. Przez okres pobytu na tyłach tylko obrządzaliśmy konie kolegów, którzy wojowali.

I znów przyszła kolej na nas. Tym razem byliśmy na innym odcinku. Na prawo od nas byli Czesi. Odcinek był w sosnowym lesie i zupełnie spokojny. Cała nasza służba polegała na pilnowaniu w nocy Czechów, aby nie uciekali do Moskali. Mieliśmy obowiązek strzelać do każdego, który wyjdzie na wierzch z okopu.

Idylla ta jednak bardzo krótko trwała. Po trzech, czy czterech dniach otrzymaliśmy rozkaz przygotować się do wymarszu, i to pieszo. Marsz był dość ciężki, choć odległość nie była zbyt wielka, bo droga była bardzo zła. Przyszliśmy na odcinek pod Młody Stowygoroż. Coś okropnego. Okopy zalane wodą i zamarznięte. Ziemianek w ogóle nie ma. Teren podmokły, porośnięty rzadkim lasem brzozowym. Słaba linia drutu kolczastego. Jedyna zaleta to kompletna cisza. Siedzimy więc za okopami i przeklinamy na czym świat stoi. Kilku ułanów poszło na placówkę przed druty. Poszedłem po pewnym czasie zanieść im obiad. Patrzę, a o jakieś 100 kroków stoi pod sągiem drzewa Moskal i kiwa do mnie ręką, coś wskazując. Nie strzela, więc i ja nie zdejmuję karabinka. Okazuje się, że przed nami na tym odcinku siedzieli Czesi, którzy prowadzili z Moskalami handel wymienny. Wymiana odbywała się właśnie pod tym sągiem. Czesi dawali rum, a Moskale cukier. Oczywiście po naszym objęciu odcinka handel ustał.

Wieczorem rozpaliliśmy ognisko, bo był mróz. Lecz szybko trzeba było zgasić, bo zaczęto strzelać w kierunku ognia. Przez kilka nocy część z nas chodziła o około kilometr w tył, aby przespać się w zimnym baraku na zawszonej wolinie drzewnej. Wreszcie saperzy austriaccy zbudowali nam półziemianki, półbaraki i wstawili żelazne piecyki. Wewnątrz znajdowały się prycze, ale było tak ciasno, że musieliśmy układać się jak sardynki. Przewracanie się na drugi bok musiało odbywać się zbiorowo. Gdy przyszła odwilż do ziemianek zaczęła napływać woda. Prycze były na poziomie ziemi, leżących nie podmywało, ale wstać nie

było można nie zamoczywszy nóg. Nasz Franek, jako człowiek praktyczny i zaradny wykombinował wiadro, budził nas w połowie nocy, aby wylać około 100 wiader wody. W dzień rąbaliśmy brzozy Radziwiłłów, gdyż odcinek nasz leżał terenie dóbr ołyckich. Paliliśmy, ile się dało, a wszy lęgły się milionami i żyć nam nie dawały.

Któregoś wieczoru siedzieliśmy, jak zawsze, w ziemiance, a przy świetle palącego się piecyka Karol zdjął koszulę i bił wszy. Nagle w drzwiach ktoś stanął i powiedział: „Jak się macie chłopcy?". Karol coś mruknął na temat wszy, gdy Franek krzyknął: „Baczność!". W drzwiach stał Komendant Piłsudski. Zamienił z nami kilka słów i poszedł dalej.

W pierwszej dekadzie grudnia zmieniła nas nasza piechota. Nie wiem, czy my mieliśmy szczęście, czy pecha miała piechota, ale zaraz pierwszej nocy Moskale przeprowadzili wypad na tym odcinku. Doszło do walki na bagnety i Moskali wyparto, lecz nie obyło się bez strat z naszej strony.

Pod okopy przyprowadzono nam nasze konie i przed wieczorem wymaszerowaliśmy, lecz już nie do Borowicz, skąd przyszliśmy, a do Boguszówki. Marsz był ciężki. Byliśmy wymęczeni bardzo złymi warunkami i gorączką. Większość z nas miała tzw. hiszpankę[15]. Na dobitek prowadzący nas por. Jan Lewandowski w nocy pobłądził i podprowadził nas gdzieś pod Rożyszcze. Zaraz w nocy zaczęto śpiewać: „Którędy Jasiu, którędy Jasiu pojedziesz, pojedziesz, czy przez Rożyszcze, czy przez Koszyszcze, czy przez wieś, czy przez wieś...".

Boguszówka była to rozrzucona wieś między Kowlem, a Rożyszczami. Tu nastąpiło przeorganizowanie naszego trzyszwadronowego dywizjonu w pułk czteroszwadronowy. Rozpoczęto też ćwiczenia w mustrze. W szwadronie było dużo nowych ułanów, którzy wprawdzie byli już w ogniu, ale o zmianie szyku nie mieli najmniejszego pojęcia. Nas nowych po każdej wydanej komendzie starzy ułani musieli prawie popychać lub podgadywać, co mamy zrobić. Szybko uczyliśmy się regulaminu musztry, najpierw pieszo, później konno. Jeden Franuś Sarnowski zrobić umiał, co należało, ale regulaminowych komend nigdy się nie nauczył, a zawsze wydawał komendy po swojemu. Ponieważ został kapralem i naszym patrolowym, my nie robiliśmy mu żadnych trudności i zawsze wykonywaliśmy to, co potrzeba, bez względu na prawidłowo, czy nie, podaną komendę.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Pojechaliśmy z „Wujem Janiszem" do Rożyszcz po zakupy świąteczne. W jakiejś austriackiej kantynie dostaliśmy kilka butelek morelówki i dużą puszkę rolmopsów. Franuś zachował z okopów kilka rakiet, którymi mieliśmy zamiar uświetnić narodziny Chrystusa. Jednak

[15] Hiszpanka – rodzaj złośliwej grypy (przyp. red.)

świąt nie spędziliśmy w Boguszówce. Przeszliśmy całym pułkiem do Werchów. Była to duża wieś wołyńska. Kwaterę mieliśmy dobrą i stosunki z gospodarzami ułożyły się od razu jak najlepiej. Stali tu przed nami Węgrzy, którzy odnosili się do ludności brutalnie. U nas olbrzymia większość ułanów pochodziła z prawdziwej inteligencji, a sposób nasz odnoszenia się do prawosławnych wołyniaków, byt zupełnie poprawny. Uważaliśmy ich za swoich, bo przecież Wołyń należał do Polski. Oni też odpłacali nam sercem. Na naszej kwaterze była młoda dziewczyna Tatiana. Ładna i zdrowa. Zawsze wszyscy ją całowali, a ona uważała to za zupełnie naturalne.

Święta urządziliśmy sobie możliwie uroczyście, bo dla wielu z nas były to pierwsze święta spędzane poza domem rodzinnym. Nawet znalazł się opłatek. Po wilii, w której najważniejsza była morelówka i rolmopsy, wyszliśmy przed chałupę, aby wystrzelić rakiety. Franek strzelił, a wiatr zniósł nie wybuchniętą rakietę na dach stodoły. Rakieta na stodole zapaliła się. Na szczęście na dachu leżał topniejący śnieg więc udało nam się szybko zlikwidować groźbę pożaru.

Zaraz po świętach nasz szwadron przeszedł do sąsiedniej wsi zamieszkanej przez ludność polską. Wieś nazywała się Majdan. Była dużo uboższa od Werchów. Leżała na wielkiej polanie leśnej otoczona dość dzikim lasem i bagienkami. Powitanie nasze z nowymi kwaterami było przyjemne. Był mróz. Zeszliśmy z koni przed wyznaczoną nam kwaterą i Franuś zaraz zaczął oglądać pomieszczenie dla koni. Stara gospodyni wyszła z chałupy i wdała się w rozmowę z naszym patrolowym, gdy ja z Karolem wszedłem do chałupy i ujrzałem, o rozkoszy, na piecu patelnię pełną przysmażonych ziemniaków. W mgnieniu oka wyjęliśmy z cholew łyżki i ziemniaki momentalnie zniknęły w naszych żołądkach. Do końca naszego postoju w Majdanie babcia przypominała, że „Dudek ledwo zlazł z konia od razu zjadł kartofle".

Konie pomieszczenie miały dobre, ale my mieliśmy znacznie gorzej. Izba była dość mała, a w niej spało mnóstwo osób: babka z dziadkiem na piecu, pastuch Fanas na ławie pod piecem, dwie „rezerwistki", każda z dwojgiem dzieci, na dwóch łóżkach, wreszcie 10 ułanów na podłodze na codziennie wnoszonej słomie. W nocy siekierę można było powiesić. O otwarciu okna, zresztą zamkniętego na głucho, mowy być nie mogło. Nawet odsunięcie szybra, zwanego juszką, też powodowało protest.

Wieczory były długie i niewesołe. Fanas świecił łuczywem, zmieniając trzaski, my obsiadaliśmy niewielki stół, na którym paliła „kopciłka" i tłukliśmy wszy na koszulach. W tej zbożnej pracy pomagały nam często rezerwistki. Gdy nie było nafty i ta przyjemność odpadała.

Przez cały styczeń i luty 1916 roku nie wojowaliśmy prawie zupełnie, bo nie można nazwać wojną kilkakrotne wyjazdy na patrole spowodowane plotką,

jakoby na tyłach pokazały się drobne oddziały kawalerii rosyjskiej. Zbudowaliśmy z dylów drogę przez las i bagna do Werchów, jeździliśmy po siano do różnych zapadłych w lasach chutorów i to było całe wypełnianie czasu. Mimo tak monotonnego życia czuliśmy się dobrze. Kiedyś, przez jakąś okazję, matka przysłała mi ciepły sweter, kalesony i piękne myśliwskie ciepłe buty oraz list, w którym pisała dużo o domu, moc serdeczności i ubolewania nad moją ciężką dolą na wojnie w zimie. Odpisałem natychmiast i uspokoiłem matkę, prosząc, aby nie martwiła się moim losem, bo jestem najszczęśliwszym człowiekiem i czuję się świetnie wśród dobrych i serdecznych kolegów. Raz zostałem w tym czasie ukarany 15-minutową stójką pod szablę, bo nawymyślałem naszemu „frajtrowi" Kiedrzyńskiemu. Kiedrzyński przyszedł do szwadronu z cywila dużo później od nas i prochu prawie nie wąchał, a ponieważ był narzeczonym siostry Beliny, awansował na starszego ułana. To nas złościło, i na dobitek był mało urodziwy. Zezowaty, z okrągłą czerwoną twarzą, z iksowatymi nogami i limfatyczny. W sam raz na kawalerzystę! Jako kompan na kwaterze odznaczał się wyjątkową smrodliwością i straszliwym chrapaniem. Mimo takiej urody i on miał powodzenie. Kiedyś z bagien przywiózł nam siano Poleszuk, który gdy zobaczył Kiedrzyńskiego, tak się nim zachwycił, że taki ładny, taki czerwony i prosił, czyby ten ładny pan nie zechciał zrobić dziecka jego żonie. Namawialiśmy frajtra, ale nie chciał. Kiedyś złapaliśmy naszą sąsiadkę, starszą pannę, jak na wiejskie stosunki, Ewkę i wpakowaliśmy ją pod koc śpiącemu frajtrowi. Bronił się, a Ewka podrapała mu twarz.

Ostatnie dni lutego 1916 roku były słoneczne i tak ciepłe, że wydawało się, jakby już zimy miało nie być. Nawet nasz Grzmot nabrał ochoty do ćwiczeń i urządził nam jedną jazdę na ujeżdżalni. Uwagi robione, dotyczące prawidłowego siadu lub trzymania wodzy przyjmowałem prawie z oburzeniem, gdyż wydawało mi się, że konno jeździć umiem lepiej od moich instruktorów. Myliłem się niestety, bo kiedyś zrozumiałem, że oni nie umieli wiele nauczyć, ale i ja jeździłem – jak na wiejskiego chłopca – może dobrze, lecz to było jeszcze dalekie od prawdziwie dobrej jazdy.

W pierwszych dniach marca zbiorowy szwadron pod dowództwem Grzmota został wysłany na front. Ja też znalazłem się w tym szwadronie. Zadaniem naszym było obsadzenie linii na bagnach południowego Polesia nad rzeką Wesołuchą. Na piaszczystej wydmie między bagnami Austriacy wybudowali coś w rodzaju wsi i nazwali ją Froelischdorf. W tym Froelichsdorfie były baraki zbudowane z okrąglaków sosnowych jako kwatery. Stał tu 6 pułk ułanów austriackich, a my mieliśmy być im podlegli pod względem taktycznym. Właściwej linii obronnej nie było (w sensie ciągłej linii okopów). Była tylko linia

przeszkód z drutu kolczastego, za którą znajdowały się tzw. Blokhauzy, tj. małe forteczki zbudowane też z okrąglaków sosnowych.

Do blokhauzów dochodziło się po kładkach, bo znajdowały się na bagnach. Blokhauz obsadzał zawsze jeden pluton z karabinem maszynowym i pełnił służbę przez 24 godziny. Do rosyjskiej linii okopów, która znajdowała się za Wesołuchą, było dość daleko, bo około 7 kilometrów. Przestrzeń między naszą linią, a rosyjskimi okopami była niczyja. Tę niczyją ziemię stale trzeba było patrolować. Oczywiście pieszo.

Ja byłem jeden jedyny z koniem jako tzw. łącznik. Mój biedny Bazyl nie był tu szczęśliwy. Pracy miał mało, ale i wyżywienie podłe. Dostawał niewielką porcję owsa lub kukurydzy, ale siana ani słomy nie było zupełnie. Jakkolwiek nie byłem zobowiązany chodzić na patrole, lecz chodziłem stale, bo tam znajdowałem często kopki siana. Brałem z sobą obergurt, w który wiązałem możliwie największą wiązkę siana i przynosiłem memu biedakowi. Bazyl przez ten czas obgryzał dyle sosnowe.

Na patrole wychodziło się rano i szło się do wzgórza zwanego Tabalaberg, według mapy austriackiej, skąd było widać okopy rosyjskie po drugiej stronie Wesołuchy. Tu poleżawszy trochę i poobserwowawszy, co robią Moskale, wracaliśmy do baraków na obiad. Póki był mróz, patrolowanie nie było bardzo uciążliwe, lecz gdy przyszły odwilże, wracaliśmy zupełnie przemoczeni i trzeba było suszyć się przy żelaznych piecykach.

13 marca rano wyszedł patrol ułanów z 3 szwadronu. Po godzinie usłyszeliśmy słabą strzelaninę. Wkrótce zjawił się jeden z ułanów będących na patrolu, który przyszedł przez odcinek Austriaków i zameldował, że patrol nasz wpadł w zasadzkę i że są ranni i zabici. Grzmot natychmiast zebrał resztę szwadronu i ruszyliśmy na odsiecz. Lecz Moskale już wycofali się. Szedłem na szpicy i trafiłem na pierwszego naszego trupa. Był nim wachmistrz Oster-Ostrowski. Sam zastrzelił się, aby nie dać się wziąć do niewoli. Dalej znaleźliśmy Adama Sokołowskiego, późniejszego podpułkownika dyplomowanego i wojewodę nowogródzkiego, który był ranny, wreszcie ułana Wronę, późniejszego wojewodę pomorskiego ze zmienionym nazwiskiem na Lamot.

Lecz nie na tym skończyły się nasze utrapienia froelichsdorfskie, Którejś nocy, śpiąc, wydawało mi się, że słyszę jakieś huczenie i uczułem ciepło. Otworzyłem oczy i zobaczyłem wielki płomień wydobywający się spod prycz. Zrozumiałem momentalnie, że pożar ogarnął nasz barak. Krzyknąłem – pali się! Ułani zerwali się i kto co mógł złapał, zaczęli uciekać z baraku. Okazało się, że dyżurny usnął i to mocno, a barak był oświetlany świeczką zawieszoną na drucie u sufitu, świeczka się wypaliła, a knot palący się spadł na podłogę.

Na podłodze nigdy nie zamiatanej była masa woliny, która z łatwością się zapaliła.

Zbiórka na gołoledzi, na bosaka, nie należała do przyjemnych. Barak spłonął doszczętnie, a my tylko w bieliźnie, z małą ilością uratowanych kocy, przeszliśmy do zimnego pustego baraku, aby tam czekać kilka dni na przywiezienie jakiegoś przyodziewku. Spłonęła moja prawie nowa ułanka i buty, a nawet siodło.

Wreszcie przyszło umundurowanie, ale jakie? Węgierskie kożuszki granatowe, szamerowane żółtoczarnym sznurem, czerwone spodnie i filcowe buty. Wyglądaliśmy jak cudaki. Jak było głupio na patrolach! Te barwne odzienie stwarzało poczucie, że nas więcej widać.

Minął marzec i przyszła zmiana. Wróciliśmy znów do Majdanu, lecz jako oberwańcy. Teraz zaczęło się kombinowanie, aby powrócić do jakiego takiego wyglądu. Franek i Karol poszli z drugą zmianą i przetrzymali ich dłużej niż miesiąc w Froelichsdorfie. Wrócili gdzieś w końcu maja.

W czerwcu zmieniliśmy znów kwatery. Przeszliśmy do Sradysk nad Styrem. Wieś była duża i zmieścił się cały pułk. Trzeci i czwarty szwadron poszły do okopów pod dowództwem por. Janusza Głuchowskiego. Nas Franuś ganiał od świtu do pasienia koni na łąkach nad Styrem. Tak staliśmy spokojnie do pierwszych dni lipca.

Któregoś ranka stwierdziłem ze smutkiem, że zgubiłem krzyżyk. Został tylko łańcuszek. Poszukiwania były daremne, a że każdy żołnierz jest trochę przesądny, wróżyłem sobie, iż prawdopodobnie będę ranny. Krzyżyk jednak znalazłem. Był w bucie. To bardzo mi poprawiło humor.

Z kierunku frontu słyszeć się dawał odległy, lecz ciągły ogień artylerii. Zrozumieliśmy, że coś się dzieje niezwykłego, bo ogień wzmagał się. 4 lipca zarządzono alarm i wyszliśmy na front. Przeszliśmy Legionowo, osiedle przyfrontowe zbudowane przez legionistów i doszliśmy do sztabu naszej brygady, który stał na zachód od Wołczecka. Przez noc staliśmy w lesie nie rozsiodłując koni. Ogień artylerii austriackiej, której pociski leciały nad naszymi głowami, był tak silny, że konie nasze, które na ogół nie reagowały na huk, a raczej na świst pocisków karabinowych, szarpały się strwożone przy drzewach.

Rano spieszeni ułani poszli pod Wołczeck. Mnie wypadło, tym razem, zostać przy koniach. Bitwa na całym froncie rozgorzała na dobre i huraganowy ogień nie ustawał. Ciągle spotykało się niesionych lub wiezionych rannych żołnierzy, a nawet oszalałych z wrażenia. Gdzieś koła południa przyjechał Orlicz. Kazał mi siąść na konia i jechać za sobą. Ruszyliśmy w kierunku Wołczecka i dojechaliśmy do skraju lasu, gdzie znajdował się cmentarz. Z tego miejsca teren był otwarty aż do Wołczecka. Teraz Orlicz został przy cmentarzu, a mnie kazał jechać drogą na Wołczeck, nie mówiąc w jakim celu. Ruszyłem kłusem,

lecz po przejechaniu około 200 kroków posłyszałem wołanie, abym wracał. Zawróciłem i zostałem odesłany do koni. Początkowo nie mogłem zrozumieć, o co chodziło Orliczowi. Wreszcie domyśliłem się. Po prostu chciał sprawdzić, czy w Wołczecku już są Moskale, czy jeszcze nie, bo gdyby byli, zaczęliby do mnie strzelać. Wieczorem szwadron wrócił do koni i przeszliśmy do odwodu na inny odcinek. Noc znów przeszła bez spania. Byliśmy zmęczeni i nieludzko brudni. Były upały, a my ciągle w kurzu i pocie. Rano spieszeni poszliśmy obsadzić jakieś wzgórze w lesie sosnowym. Po pół godzinie, nie będąc w styczności z Moskalami, słysząc tylko nieustającą kanonadę, padły słowa naszego dowódcy plutonu: „Zwyciężyliśmy! Biegiem do koni!". Siedliśmy szybko i ruszyliśmy kłusem przez las. Lecz zostaliśmy nagle zatrzymani, gdy mieliśmy przeciąć drogę. Drogą wycofywał się 1 pułk naszej piechoty, na jej środku stał dowódca pułku Śmigły-Rydz, z trzcinką w ręku i spokojnie wydawał jakieś rozkazy. Dalej, pod rozłożystą sosną, zobaczyłem Komendanta Piłsudskiego, który przywołał Belinę. Belina siedząc na koniu pochylił się i wysłuchiwał rozkazów. Po przepuszczeniu piechoty ruszyliśmy dalej. Wiadomo już było, rozpoczął się odwrót.

Przy drodze naszego marszu natknęliśmy się na leżącego w krzakach rannego ułana rosyjskiego. Początkowo nie rozumieliśmy, co to znaczy, lecz później dowiedzieliśmy się, że na odcinku naszego 2 pułku na moment przed wycofywaniem się i przed zdjęciem ze stanowiska karabinu maszynowego, Rosjanie puścili do szarży 11 szwadronów. Szarżujący ponieśli szalone straty i szarża załamała się. Spotkanego, rannego ułana po prostu koń wyniósł aż na nasze linie.

Szliśmy lasami przez całą noc w kierunku Stochodu. Nakazana była bezwzględna cisza, nie wolno było palić! Rano nasz szwadron, a raczej dywizjon, bo był i 2 szwadron, zatrzymał się nad Czerewachą. Z naszego plutonu został wysłany patrol rozpoznawczy w kierunku marszu jakoby naszego 5 pułku piechoty. Nie brałem udziału tym patrolu, słyszałem tylko opowiadanie. Podobno ułan Bobrowski zastrzelił pomyłkowo, po ciemku naszego piechura. Następnie spotkali jakąś kolumnę. Na pytanie: „Kto idzie?" odpowiedź była w języku rosyjskim. Wywiązała się w ciemnościach strzelanina bez strat w naszym patrolu. Rano dowiedzieliśmy się, że został zabity major Wyrwa[16], a ranny podpułkownik Berbecki. Nie ma pewności, lecz jest duże prawdopodobieństwo, że spowodował to nasz patrol.

[16] Teodor Wyrwa-Furgalski (1890–1916) – ppłk, członek ZWC i Związku Strzeleckiego, w 1914 dowodzi IV batalionem strzelców, w trzydniowym boju pod Krzywopłotami (10-12 listopada) i przyczynia się walnie do powstrzymania Rosjan; poległ w największej bitwie legionowej w kampanii wołyńskiej pod Kostiuchnówką (5 lipca) trafiony kulą w serce podczas wymiany strzałów z patrolem kozackim.

Gdy piechota wycofała się, nasz dywizjon został dla osłony odwrotu. Na pierwszej linii opóźniania zostaliśmy spieszeni i po pojawieniu się szpicy rosyjskiej otworzyliśmy ogień. Jednak szybko wycofaliśmy się. Na drugiej – nie schodziliśmy już z koni, tylko strzelaliśmy z kręcących się rumaków. Tu posłyszałem powiedzenie Beliny, że spodziewa się obejścia nas przez Moskali. Mówił to do któregoś z naszych oficerów. Maszerowaliśmy przez las drogą wyłożoną okrągłymi balami w kierunku Trojanówki. Nagle posłyszeliśmy komendę por. Mariusza Zaruskiego[17], dowódcy 2 szwadronu: „Rozwiązać temblaki u szabel!", a po chwili: „Kłusem marsz!", wreszcie: „Galopem marsz!". Galopowaliśmy w kolumnie dwójkami, gdyż szerokość drogi nie pozwalała na inny szyk. Z prawej strony dochodziła jakaś wrzawa. Wyjąłem szablę z pochwy, co zrobili i inni ułani już bez komendy. W pewnym momencie zobaczyłem jeźdźca na siwym koniu, który przeskoczył przez rów przydrożny, a za nim wyłoniło się z lasu kilku naszych ułanów. Za nimi pędzili z krzykiem Kozacy. Zobaczywszy naszą kolumnę galopującą zatrzymali się przed rowem i zaczęli z najbliższej odległości strzelać z koni z karabinów.

Galopujący przede mną koń nagle potknął się i upadł, na niego wpadł mój Bazyl, a na Bazyla następny koń. Zrobiła się kupa koni i ludzi potłuczonych i potratowanych. Poczułem uderzenie w lewą dolną szczękę pod okiem. Gdy się wygramoliłem z tej kupy zostałem sam bez karabinka i szabli. Już do mnie pędziło dwóch Kozaków, jeden z lancą, drugi z obnażoną szablą, na widok lancy skierowanej do mego brzucha zdawało mi się, że kiszki podchodzą mi pod gardło. Wtem, przez ułamek sekundy, zobaczyłem szablę i poczułem uderzenie w prawą dolną szczękę i ból szyi. Zwaliłem się, na chwilę tracąc przytomność. Leżałem na drodze i czułem jak płynie ze mnie krew. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli mam przecięta arterię na szyi, to za chwile wyzionę ducha. Żal mi było życia, bo miałem dopiero 19 lat, ale pomyślałem, że to normalna rzecz umierać na wojnie. I nagle, zupełnie nie rozumiem dlaczego, przypomniały mi się słowa

[17] Mariusz Zaruski (1867–1941) – gen. bryg., marynarz, żeglarz, taternik, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, twórca Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. W 1914 początkowo w Zakopiańskiej Kompanii Strzelców, później - po przerwie - w 1 p. ułanów LP; w 1917 w stopniu rotmistrza za odmowę przysięgi internowany przez władze austriackie w Przemyślu. Jesienią 1918 działa na rzecz niepodległości odradzającego się państwa polskiego na Podhalu, Spiszu i Orawie, pozostając następnie w służbie czynnej (m.in. adiutant prezydenta Wojciechowskiego) do kwietnia 1926, gdy w stopniu generalskim zostaje przeniesiony w stan spoczynku. W latach 30. faktyczny kierownik organizacyjny Ligi Morskiej i Kolonialnej. Był także kapitanem harcerskiego żaglowca szkolnego „Zawisza Czarny". W 1939 przeżył oblężenie Lwowa, skąd następnie wywieziony przez władze sowieckie zmarł w szpitalu w Chersoniu koło Odessy.

pijanego wachmistrza Stefana Sroczyńskiego, który zdjął kiedyś przed krzyżem czapkę i powiedział: „Serwus Bóg".

Ocknąłem się, otworzyłem prawe oko, bo lewe miałem zapuchnięte, zobaczyłem dwóch Kozaków idących pieszo, a prowadzących konie w ręku. Podeszli do mnie i usłyszałem jak mówili, że jestem zabity. Zaczęli obmacywać mi kieszenie, lecz nic nie znalazłszy zdjęli mi z ręki zegarek i mały aluminiowy z miedzianym oczkiem pierścionek, który kupiłem od piechura, będąc w okopach, na miedzianym oczku wyryłem literę „Z", gdyż jako sztubak podkochiwałem się w Zosi Szymanowskiej. Udawałem martwego, tylko dużo wysiłku kosztowało mnie nie ruszanie się podczas obmacywania kieszeni, bo byłem za młodu bardzo łechczywy. Bałem się, że mogą mnie dobić. Następny Kozak, który do mnie podszedł widać zauważył, że żyję, bo powiedział, abym leżał spokojnie, to oddział sanitarny zabierze mnie.

Raptem rozległy się strzały i posłyszałem ogień karabinu maszynowego. Zaczęły świstać pociski. Jeden pocisk upadł blisko mojej głowy i zasypał mi twarz piaskiem. Zrozumiałem, że żyję i że trzeba się ratować. Podniosłem się i wszedłem do rowu przydrożnego. Rozejrzałem się i zobaczyłem grupki Kozaków w lesie, ale na drodze nikogo nie było. Ruszyłem więc, kryjąc się za krzakami, w kierunku Trojanówki. Byłem bardzo osłabiony. Uratowało mnie znalezienie manierki z wodą. Na drodze leżały trupy koni, słyszałem rżenie źrebaczka zabitej Bomby, na której jeździł kapral Kolec Smoleński i wreszcie zobaczyłem siedzącego na drodze Karola Koźmińskiego. Siedział w kucki, był zakrwawiony i nie słyszał mego cichego wołania. Nie czułem się na siłach pomóc mu, bo nie ryzykowałem wyjść na drogę. Po przejściu kilkuset kroków lasem doszedłem do naszej tyraliery. Tu już zaopiekowali się mną koledzy. Wziął mnie jeden pod rękę i prowadził do wsi. Gdy szliśmy przez otwartą przestrzeń między lasem a wsią, ostrzeliwała nas cały czas artyleria rosyjska.

Myślę, że musiałem wyglądać okropnie. Byłem czarny z brudu i zlany krwią. Mimo tego ze strachem wchodziłem do chaty, w której był punkt opatrunkowy, że zobaczę straszny widok rannych. Posadzono mnie na podłodze pod ścianą. Podszedł do mnie sanitariusz z wielkim balonem jodyny i chlustnął mi ją w obnażoną ranę. Od razu upadłem, bo mnie zamroczyło. Po pewnym czasie przyszedł Franek i „Wuj Janisz", aby mnie zabrać. Wpakowali mnie na jakiś wóz, na którym były rzeczy jakiegoś oficera, chyba Węgra i powieźli za Stochód. Jazda ta wykazała, do jakich granic posuwa się koleżeństwo na wojnie. Wuj schodził z konia, aby rękami podtrzymywać wóz na wybojach. Grupka saperów maszerujących przy drodze podeszła pytać, a jeden położył mi na piersiach zerwany krzaczek poziomek. W końcu po męczącej drodze dotarliśmy za Stochód do szpitala polowego I Brygady. Tu złożono mnie w jakiejś stodole,

gdzie przeleżałem, a może przespałem do rana. Tak skończył się dzień 7 lipca 1916 roku.

Rano zabrano mnie do namiotu, w którym była urządzoną sala operacyjna. Zdjęto ze mnie mundur i koszulę z zaschniętą krwią, położono na stole operacyjnym, zmyto ranę i kapitan doktor Rupert przystąpił do szycia rany. Chyba ryczałem przy pierwszym i drugim szwie, bo jakoś igła z trudem przechodziła przez moją skórę, później zemdlałem i nie czułem już bólu. Założono mi 12 szwów z jedwabiu. Prócz tego opatrzono mi prawą rękę, gdyż widać podczas rąbania mnie odruchowo zasłoniłem się ręką i miałem silnie skaleczone dwa palce.

Po operacji załadowano mnie i kilku innych rannych piechurów na wozy, aby odstawić nas do stacji kolejowej. Przed wyjazdem przyszedł do nas Komendant Piłsudski i pytał gdzie i jak kto jest ranny. Do mnie powiedział: „Ty, chłopcze, jesteś ranny jak prawdziwy ułan".

Przy stacji, na wielkim polu, leżało na słomie kilka tysięcy rannych żołnierzy. Byli legioniści, Austriacy, Niemcy, Węgrzy, Czesi i chyba wszystkie nacje monarchii austrowęgierskiej. Zabierano nas kolejno i kładziono na słomie w wagonach towarowych. Umarłych grzebano przy stacji. Pociąg trząsł niemiłosiernie, więc zmęczony dojechałem do Chełma. Tu znalazłem się w szpitalu etapowym jako ciężko ranny niezdolny chwilowo do dalszego transportu. Niedługo jednak przebywałem w Chełmie. Lekarz założył mi jakiś opatrunek, bandażując mokrym bandażem, który po zaschnięciu zrobił się twardy jak z kamienia. Znów wpakowano mnie do wagonu towarowego na słomę i pojechaliśmy. Spałem. Gdy się obudziłem byliśmy w Rozwadowie, a więc minęliśmy Lublin, gdzie był szpital legionowy. Zacząłem awanturować się, dlaczego nie pozostawiono mnie w Lublinie. Okazało się, że wywoływali legionistów, ale ja spałem, a moi towarzysze nie wiedzieli, że jestem legionistą, bo nie miałem czapki, a tylko Franka kożuszek austriacki. Przyszedł lekarz i zapytał umie, gdzie chcę jechać, do Krakowa, czy do Czech. Wybrałem oczywiście Kraków. Na dworcu w Krakowie wzięły mnie w opiekę niewiasty z Ligi Kobiet. Niestety jeść nie mogłem, bo sprawiało mi dużą trudność otwieranie ust, a głodny byłem bardzo. Zawieziono mnie do szpitala i znów zakwalifikowano widocznie jako ciężko rannego, bo położono mnie w separatce. Po pierwszym opatrunku, a raczej po zdjęciu chełmskich bandaży, podeszła do mnie sanitariuszka, jak się później dowiedziałem córka Henryka Sienkiewicza, podsunęła lusterko i wtedy dopiero zobaczyłem jak wyglądałem. Nawet przed zszyciem nie umyto mi twarzy, jedynie obok rany była czysta smuga ciała, reszta była zalepiona wołyńskim kurzem. Byłem przeraźliwie brudny. Po opatrunku wykąpano mnie. Przez pierwsze kilka dni i nocy musiałem mieć gorączkę. Dręczyły mnie jakieś straszne sny, nastąpiła

reakcja po trudach ofensywy Brusiłowa. Młody organizm szybko pokonał trudy i rany. Zostałem przeniesiony na salę ogólną i zacząłem chodzić.

Któregoś dnia, może już po zdjęciu szwów, stałem na półpiętrze schodów, gdy zobaczyłem, że na schody wchodzi ojciec, a za nim Hala. Mijali mnie, nie zauważywszy nawet, że stoję. Nie wiem nawet, czy się ucieszyłem, powiedziałem tylko ze spokojem: „Gdzie tatuś idzie?". Wtedy mnie poznali i oczywiście zaczęło się serdeczne powitanie. Okazało się, że szpital spisując moje dane ewidencyjne i mając adres rodziny, wysłał normalne zawiadomienie na drukowanej kartce, z której zostało wykreślone niepotrzebne, a pozostało słowo: verwundet – ranny. Ojciec nie wiedział, w jakim stanie mnie zastanie, pośpieszył przyjechać do Krakowa, zabierając i Halę. Ojciec był kilka dni. Obstalował mi u krawca nową ułankę ze spodniami i czapkę. Znów nabrałem wyglądu normalnego beliniaka. Po wyjeździe ojca niedługo już przebywałem w szpitalu. Odesłano mnie do stacji zbornej, skąd miałem być wysłany do domu rekonwalescentów. Raz wysłano mnie z jednym piechurem po chleb, który mieliśmy przywieźć na wózku ręcznym. Wstydziłem się w moim eleganckim, nowym mundurze pchać wózek przez ulice Krakowa, na szczęście zrobił to za mnie mój towarzysz z piechoty za całe dwie korony.

Dom rekonwalescentów legionowych znajdował się w Kamieńsku pod Piotrkowem. Mieścił się w fabryce giętych mebli, która oczywiście była nieczynna. Tu faktycznie można było przyjść do zdrowia. Gdy przyjechałem i przydzielono mi łóżko, na stoliku nocnym znalazłem kartkę pisaną przez moją matkę do swej znajomej p. Kowalskiej. Do dziś nie rozumiem, skąd mogła się tam znaleźć. Warunki w Kamieńsku były dobre, wyżywienie wyjątkowe, dostawaliśmy codziennie po dwa jajka, co było już w 1916 roku luksusem.

Upamiętnił mi się dzień 15 sierpnia, święto Matki Boskiej. Odbyła się msza polowa, po której kazanie wygłosił biskup Bandurski[18]. Zjechało moc ludzi. Biskup, prócz wspaniałego wyglądu, przypominającego jakiś obraz Matejki, wygłosił piękne i wzruszające kazanie. Mówił o Marii i Marcie. Przyrównując Legiony do Marii, że lepszą cząstkę wybrała. Ludzie płakali. Do dzisiaj tak wspaniałego kazania więcej nie słyszałem.

Przed moim wyjazdem z Kamieńska urządzono jakieś przedstawienie amatorskie. Zapowiedział mi przed przedstawieniem jeden starszy piechur,

[18] Władysław Bandurski (1865–1932) – kapłan archidiecezji krakowskiej, m.in. kanclerz Kurii, następnie biskup sufragan lwowski. Początkowo zwolennik orientacji narodowo-demokratycznej, następnie gorący orędownik ruchu niepodległościowego i Legionów Polskich, zaprzyjaźniony z J. Piłsudskim. Nie został wprawdzie pierwszym biskupem polowym WP, ale w oczach wojska za takowego uchodził. Po wojnie był m.in. kapelanem Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Autor głośnych kazań politycznych, zmarł w Wilnie.

z zawodu zecer, że jak on zaśpiewa przez siebie ułożoną piosenkę, to dopiero zobaczę, co to są ci ułani. I faktycznie zaśpiewał. „Czy we Lwowie, czy w Krakowie ułan szczęście ma, jedna pyta, co pan czyta, druga buzi da. Cygar stosy, papierosy i do kina wstęp, to wszystko zgarnia on, ten ułan niby pan, ja was ułanów znam", itd.

W końcu sierpnia lub w pierwszych dniach września odesłano mnie do kadry legionowej w Kozienicach. Tu już było wstrętnie, postanowiłem jak najprędzej stąd wydostać się. Zgłosiłem się więc do raportu do komendanta kadry pułkownika Zielińskiego z prośbą o wysłanie mnie do pułku na front. Pułkownik coś po góralsku mamrotał i złościł się, ale wreszcie powiedział, że jak zbierze się mały transport, to mnie wyśle. Dotrzymał słowa i dnia 7 września 1916 roku, w dwa miesiące po otrzymaniu rany dotarłem do mego plutonu moich najlepszych kolegów z trzeciego patrolu. Bazyl też czekał na mnie.

Patrol nasz znów zmniejszył się, ubył Karol Koźmiński. Z kolegów, których zastałem, byli: Żarnowski Franciszek, jako nasz patrolowy, Chruścicki Eugeniusz, Gutowski, zwany przez nas „Świniakiem Obrzydliwym", Kiedrzyński Marian, ps. „Mar", a zwany „Marmolada", Koncki Justyn, Koźmiński Stanisław (starszy brat Karola), zwany „Stara Kuźma", Krzaczyński Władysław, Kwieciński Kazimierz, zwany „Kwiatkiem", Stanielewicz Wacław, ps. „Janisz" zwany „Wujem", Suchorzewski Leon, zwany „Jajuszko"; wreszcie ja wróciłem, aby powiększyć patrol.

Franek zaraz opowiedział mi, jak uratował Bazyla, którego pod Trojanówką złapali Austriacy i już zaprzęgali do armaty oraz jak mój stary wierzchowiec nie dał się złapać na łące i trzy doby łaził samotnie.

Natychmiast zacząłem kompletować sobie rząd koński, bo mój ktoś sobie wypożyczył. Na szczęście w taborze znalazłem, choć nie nowe, ale w dobrym stanie siodło i koc, troki dostałem od kolegów, brakowało mi tylko obergurta, ale ten gwizdnąłem z wozu podczas alarmu w nocy.

Pułk stał w odwodzie w Piasecznie. Nic nie robiliśmy, prócz wypraw po owies. Niedaleko Piaseczna szedł tor kolejki wąskotorowej. Kolejka woziła prowiant, ale czasami i owies. Trzeba więc było czekać w rowie przy torze i gdy widać było worki na odkrytych wagonikach, wskoczyć na ostatni, aby zrzucić jeden worek do rowu. To wystarczyło na jakiś czas jako dodatek do normalnej porcji. Franek był zupełnie wyjątkowo dbały o konie. Dożywianie koni na łąkach w naszym patrolu było stałe, jak długo była trawa. Paśliśmy kolejno, ale wieczorem ja musiałem osobiście iść po Bazyla, bo nikomu nie dał się złapać. Zawsze go nabierałem na kawałek chleba. Podchodził do ręki, dostawał kawałek chleba i grzecznie szedł do stajni.

Nasi ułani byli zupełnie wyjątkowymi złodziejami i kradli Austriakom co się dało. Raz przyszła z kadry nowa bateria artylerii. Stanęli pod Piasecznem na polu, zamknęli obóz wozami i armatami i postawili posterunki, a jednak na drugi dzień na ćwiczeniach widziałem kilka nowych siodeł artyleryjskich, oczywiście ukradzionych.

Podczas postoju w Piasecznie raz tylko byłem wysłany z rozkazem czy meldunkiem do pierwszej linii pod Sitowicze. Muszę przyznać, że czułem się trochę nieswojo, po ostatnich moich tarapatach wojennych. Musiałem się trochę przemagać, aby nikt nie poznał, że miałem trochę cykorii.

W nasze spokojne życie przyfrontowe nagle uderzył grom. Komendant Piłsudski podał się do dymisji z Legionów. Reakcja w pułku natychmiastowa. Na zbiórkach w szwadronach oznajmiono nam, że Legiony nie mają racji bytu i że kto chce, może jechać do domu. Płakali starzy żołnierze, gdy ciskaliśmy broń na kupę. Była to raczej manifestacja, bo w nocy Moskale na jakimś odcinku podobno przerwali front i zrobiono u nas alarm. Pierwszy osiodłałem Bazyla i stanąłem na placu alarmowym, mimo że była noc i siodła mieliśmy roztroczone. Natychmiast wysłano mnie z meldunkiem do Komendy Legionów, że pułk gotów do wymarszu. Gdy zameldowałem to ustnie generałowi Puchalskiemu[19], powiedział mi: „Wy kłamiecie, to niemożliwe, aby w dwadzieścia minut pułk był gotów!". A jednak nie kłamałem. Alarm był niepotrzebny. Byliśmy już niepotrzebni, piechota sama sobie dała radę.

Na drugi dzień wszyscy królewiacy złożyliśmy podania na piśmie do cesarza austriackiego o zwolnienie nas z Legionów. Odesłano je do Komendy Legionów.

Po paru dniach przyszedł rozkaz załadowania się na wagony. Mieliśmy być przetransportowani na jakiś inny odcinek frontu, ale gdzie – było to tajemnicą. Dopiero w drodze, obserwując stacje kolejowe poznaliśmy, że jedziemy na północ. Wyładunek nastąpił na stacji Szerewilówka, co miało oznaczać Zerebiełówka na linii Brześć – Baranowicze. Kwatery otrzymaliśmy okropne we wsi Iwankowicze. Stara, zmurszała i zapluskwiona wieś, która przez Niemców została zakwalifikowana jako nie nadająca się do kwaterunku wojska. Jakoś zaczęliśmy się urządzać, ale mimo chłodnej już pory, bo był październik, nie ryzykowaliśmy spać w chałupach, a spaliśmy po stodołach.

Któregoś dnia zostałem wezwany do dowództwa pułku i oświadczono mi, że otrzymuję urlop. Byłem zupełnie zaskoczony, bo absolutnie nie spodziewałem

[19] Stanisław Puchalski (1867–1931) – gen. dyw., komendant LP (trzeci i zarazem ostatni, po gen. Baczyńskim i gen. Trzaska-Durskim) z ramienia naczelnego dowództwa armii austriackiej; od 1922 w stanie spoczynku.

się tego. Oczywiście bardzo się ucieszyłem, bo nawet po wyjściu ze szpitala nie mogłem otrzymać urlopu, gdyż w czasie ofensywy rosyjskiej było to wykluczone.

Jechałem do Warszawy razem z kolegą z plutonu ułanem Edwardem Wilczyńskim, ps. „Waganiec". Z dumą wiozłem na swych naramiennikach srebrną naszywkę starszego ułana otrzymaną w Piasecznie. Wieczorem dojeżdżaliśmy do Warszawy. Gdy z Pragi zobaczyłem światła miasta, w którym przeżyłem lata szkolne, kłamałbym, gdybym twierdził, że nie zrobiło to na mnie wrażenia. Jakoś mi się miękko zrobiło koło serca. Na noc przyszedłem do Hali, która mieszkała w Warszawie. Powitanie było oczywiście bardzo serdeczne. Nakarmiony i umyty zostałem wpakowany do miękko wysłanego łóżka, w którym niestety zupełnie nie mogłem spać. Było mi tak gorąco, że po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że może zasnę, gdy położę się na dywaniku obok łóżka. Myśl była dobra, od razu zasnąłem. Na drugi dzień pojechałem do Kłudna do rodziców. Przez cały urlop ciągle kursowałem między Kłudnem a Warszawą.

Zaszedłem któregoś dnia do szkoły. Stary dyrektor Rontaler powitał mnie bardzo serdecznie i musiałem z nim obejść wszystkie starsze klasy, gdzie mnie przedstawiał jako swego ucznia i obecnie ułana.

Sianek też robił co mógł, aby mi uprzyjemnić życie na urlopie. Ponieważ był znacznie lepiej uświadomiony w umiejętności wesołego spędzania czasu, zaprowadził mnie przede wszystkim do „Mirażu". Tu chłonąłem teksty kabaretowych piosenek i zachwycałem się nogami baletnic.

6 listopada 1916 roku byłem w Kłudnie i razem z ojcem pojechałem do Grodziska, aby posłyszeć odczytania na rynku manifestu o przyznaniu niepodległości Polski. Trzeba przyznać, że ludzi było bardzo mało i wiadomość przyjęli raczej dość obojętnie.

Wreszcie urlop skończył się i musiałem wracać do pułku. Nie byłem tym zmartwiony, raczej wracałem z radością do kolegów, z którymi byłem bardzo zżyty, a patrol uważałem za dom i rodzinę.

W Iwankowiczach życie płynęło wyjątkowo nudnie. Jedyną naszą troską były sprawy dożywienia koni, bo przyznawane racje były już dość skąpe. Któregoś wieczoru wybraliśmy się, aby ukraść trochę siana. Na polu była stodoła zawsze zamknięta, ale miała w jednej ścianie niewielki otwór, przez który szczupły człowiek mógł od biedy wejść. Postanowiono więc, że ja, jako szczupły, najwięcej dla tej funkcji będę się nadawał. Ponieważ otwór znajdował się jakieś półtora metra od ziemi, podsadzono mnie i zacząłem wyciągać siano, czy może koniczynę. Kiedy wyciągnąłem już tyle siana, że otwór był większy i zawisłem na brzuchu, mając cały tułów w stodole, a pupę i nogi na zewnątrz, kochani koledzy krzyknęli, że chłop idzie, wszyscy zwiali, a ja nie mogłem się

wygramolić. Czekałem, kiedy zacznie mnie walić w zadek. Na szczęście był to tylko koleżeński kawał.

W tym nudnym życiu zaczęły nadchodzić wiadomości polityczne. Niepodległa Polska miała mieć ustrój monarchiczny. Chwilowo zamiast króla miała być Rada Regencyjna, składająca się: z arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego, księcia Zdzisława Lubomirskiego i p. Józefa Ostrowskiego. Funkcję rządu miała spełniać Rada Stanu, w skład której wszedł Komendant Piłsudski. Wojsko miało być rozbudowane, a Legiony uważano za kadrę przyszłych sił zbrojnych. Czekaliśmy więc, co z tego wyniknie.

W grudniu dostaliśmy rozkaz do wagonowania się i przetransportowano nasz pułk do Ostrołęki. Tu stanęliśmy w koszarach dawnego pułku rosyjskich dragonów głuchowskich. Koszary były murowane i stosunkowo w nie najgorszym stanie, miały tylko dwie stajnie spalone, ale na nasz czteroszwadronowy pułk były zupełnie wystarczające (rosyjskie pułki kawalerii miały po 6 szwadronów). Miały olbrzymie piece, widocznie do palenia drzewem. Koszary właściwie nie były w mieście, a w Wojciechowicach, o jakieś 4 km od Ostrołęki przy szosie do Łomży. Była zima, a nam opału nikt nie dostarczał. Byliśmy zaradni i przyzwyczajeni do dawania sobie rady bez naszych dowódców. Na pierwszy ogień poszły pobliskie płoty, lecz to była kropla w morzu. W koszarach było straszliwie zimno. Zestawiliśmy po trzy łóżka i spaliśmy po trzech, ciasno obok siebie, przykryci trzema kocami. W nocy nikt nie ryzykował chodzenia do ustępu, a mieliśmy poprzeziębiane pęcherze. Po prostu wyskakiwało się do okna, otwierało się i lało z pierwszego piętra na dół. Podobno w ten sposób ktoś obsikał Belinę. Kawę niesiono w płóciennym wiadrze; rozlana na asfaltową podłogę natychmiast zamarzała. Tak biedowaliśmy, a humoru dodawała nam tylko młodość i zahartowanie w warunkach wojennych. Przeszliśmy na zaopatrywanie niemieckie tyłowe, więc gorsze niż frontowe. Głodno więc bywało dość często.

Tę biedę znosiliśmy wyłącznie sami, bo przez cały czas postoju w Wojciechowicach, ani razu do koszar nie zaszedł nasz „Grzmocik". Nawet raporty dzienne nosił mu pisarz szwadronowy do pokoju. Tylko takie inteligentne i ideowe wojsko, jakim byliśmy, mogło nie zdemoralizować się w takich warunkach. Wachmistrz – szef szwadronu był najwyższą instancją.

Gdzieś koło wiosny, zjawili się dwaj austriaccy oficerowie, a mieli być podobno naszymi instruktorami. Byli to: por. Ludwik Szwejcer i ppor. Leon Kniaziołucki. Obaj Polacy. Trzeba oddać im sprawiedliwość, że absolutnie nic nie robili i nigdy ich ani na ćwiczeniach, ani w koszarach nie widziałem. Jeszcze Szwejcer choć czasem konno jeździł, ale Kniaziołucki to chyba tylko przebywał w kasynie oficerskim.

Zmieniono nam broń. Zabrano nasze manlichery, a dostaliśmy nowe mauzery. Teraz dopiero zaczęła się mordęga z wiecznym czyszczeniem. Dali nam i lance, lecz bez temblaków ani tulei do strzemion. Przyszli wreszcie niemieccy instruktorzy. Rotmistrz von Stehoff i kilku podoficerów. Ci wzięli się do roboty i zaczęły się ćwiczenia. Nauczyli nas użycia lancy i metodycznie pokazali naukę wyszkolenia strzeleckiego.

Stworzono dwa kursy: jeden oficerski, drugi podoficerski. Nie jestem pewien, czym się powodowano przydzielając nas. Żadnych dokumentów stwierdzających wykształcenie nikt nie wymagał, wszystko opierało się na uczciwości ustnych zeznań. Wiem, że ja zostałem wyznaczony na kurs oficerski, mimo że kilku kolegów również z maturami przydzielono na podoficerski. Kurs trwał 6 tygodni. Było trochę podanych wiadomości teoretycznych, przypuszczam, że zaczerpniętych z przestarzałych regulaminów rosyjskich, bo jakoś większe mieli nasi dowódcy, zaufanie do wartości kawalerii rosyjskiej, niż austriackiej, czy niemieckiej. Wyobrażam sobie jaką tremę musieli mieć nasi wykładowcy, występując przed audytorium dość inteligentnym, a na pewno złośliwym, wykpiwającym małą wiedzę. W naszym pułku nie było ani jednego prawdziwie wykształconego wojskowo oficera. Byli to bezsprzecznie dzielni i często inteligentni ludzie, dobrzy dowódcy w polu na niskich szczeblach, ale bez kwalifikacji instruktorów. Nic więc dziwnego, że ich wykłady stały na niskim poziomie. Franuś kochany z reguły na tych wykładach zasypiał, a gdy go budziłem, aby nie chrapał; zawsze odpowiadał, że nie śpi, tylko się zamyślił.

Za to na musztrze odgrywali się na nas. Zwłaszcza ppor. Świerszcz-Pytlewski, były praporszczyk[20] rezerwy carskiej armii. Ten nam dawał szkołę. Konno ćwiczyliśmy na pewno lepiej niż kawaleria niemiecka, więc nasi niemieccy instruktorzy nic nie mieli do gadania.

Po 6 tygodniach odbył się chyba jakiś egzamin i otrzymaliśmy świadectwa, na których widniał też podpis von Stehoffa. Nic się jednak nie zmieniło w naszej dalszej pracy. Awansów żadnych nie było i jak przed kursem dalej musiałem od czasu do czasu stać na warcie, czego najbardziej nie znosiłem. Dla mnie warta to był koszmar. Stać dwie godziny i pilnować tego, czego nikt nie kradnie, było strasznie nudne. A te cztery godziny niby odpoczynku na wartowni, to też obrzydliwe.

Z nami też czasem nasi przełożeni mieli ciężki żywot. Kiedyś Grzmot ocknął się i postanowił zrobić ćwiczenia w polu. Oczywiście sam nie omieszkał spóźnić się, bo zaczynał ubierać się, gdy szwadron stał na zbiórce, wyjechaliśmy

[20] Odpowiednik chorążego w armii rosyjskiej (przy. red.).

do jakiejś wsi o kilkanaście kilometrów od koszar. Tu pozwolono nam zejść z koni i oczywiście nasi ułani rozbiegli się, aby znaleźć coś do zjedzenia. Nie pamiętam, czy była wyznaczona godzina odmarszu, dość że nasz „Kwiatek" spóźnił się i przybiegł do konia, gdy inni już siedzieli. Grzmot był wściekły. Natychmiast po powrocie do koszar rozkazał rozsiodłać konie i za 15 minut stanąć na zbiórce pieszo. Stanęliśmy oczywiście. Zaczęło się pędzenie po placu koszarowym. Wszelkie zmiany szyków wykonywaliśmy bezbłędnie. Wreszcie widać nie zadowoliło go to i podał komendę: „Biegiem marsz!". I dziwna rzecz, nie umawialiśmy się, a biegliśmy w miejscu. Gdy kazał przyspieszyć tempo, tylko szybciej przebieraliśmy nogami. To go opamiętało i kazał rozejść się do koszar. Młody był i na pewno dzielny żołnierz, ale nie bardzo taktowny i trochę zarażony opowiadaniami o regularnych armiach, gdzie poborowego żołnierza można było inaczej traktować. Mimo wszystko lubiliśmy go na pewno i ceniliśmy w nim jego wartości jako dowódcy w polu.

W lecie ktoś wymyślił, aby w Warszawie zrobić propagandowe przedstawienie przy udziale naszych ułanów. Miało się ono odbyć w parku Agrykola. Już nie wiem, kto wpadł na pomysł, aby pokazać walkę dwóch patroli. Ponieważ ułan Jakubski nauczył swego konia kłaść się, nauczono jeszcze jednego, czy może nawet dwa i to mieli być Kozacy. Nasz beliniacki patrol miał spotkać się z kozackim. Kozacy mieli pokłaść konie i ostrzelać z karabinków beliniaków. Beliniacy musieli zaszarżować z lancami Kozaków i wziąć jednego do niewoli, ten cały program przećwiczyliśmy kilka razy w koszarach. Ja byłem wyznaczony do patrolu beliniackiego i miałem być tym, który weźmie jeńca. Nic nie miałem przeciw wyjazdowi do Warszawy. Napisałem tylko do ojca, aby dosłał mi trochę furażu dla Bazyla i jego towarzyszy, co ojciec zrobił ku ogólnej naszej radości. Przedstawienie udało się znakomicie przy pięknej pogodzie. W jakimś piśmie widziałem swoją fotografię, jak prowadzę ułana Polakowskiego przebranego za Kozaka. Polakowski naprawdę miał gębę kozacką. Wygłupiał się przy tym do publiczności, która obdarowała go papierosami. Przyjechał oddziałek z 2 pułku ułanów z Mińska Mazowieckiego i pokazał jazdę maneżową. Nic nadzwyczajnego. Myśmy się lepiej podobali.

Dalej wlekły się dni codziennego życia koszarowego, tyle tylko, że było już lato, nie marzliśmy, a nasz Franuś znów pędził nas przed świtem do pasienia koni na łąkach nad Narwią. „Wuj" zorganizował kantynę pułkową, w której można było za markę zjeść kotleta mielonego z kartoflami, oczywiście kto miał tę markę. Żołdu dostawaliśmy chyba 4 marki na dekadę, ale to wszystko szło na pranie bielizny, bo nasze władze nie myślały o tym, aby bieliznę zmieniać.

O czystość musieliśmy dbać sami. Życie było też wyjątkowo podłe. Od czasu do czasu przywozili jakąś rybę morską, możliwe, że był to dorsz wielkich

rozmiarów. Śmierdział za to tak straszliwie, że cały teren koszar tonął w oparach tego zapachu. Nikt nie chciał tego jeść. Dopiero jak przysłali niemieckiego kucharza, który nauczył naszego Kuźbiała, jak się to przyrządza, z trudem i z głodu jedliśmy. W naszym patrolu zawsze jeden ułan jeździł o świcie na oklep do wsi za Narwią po mleko do kawy. Kiedyś była moja kolejka. Zebrałem manierki i na oklep, bez butów pojechałem przez bród po mleko. Był piękny ciepły ranek. Z napełnionymi manierkami wracałem, przejechałem bród i doszedłem do wniosku, że warto się wykąpać. Położyłem mój ciężar na brzegu, rozebrałem się, siadłem na Bazyla i wróciłem za Narew. Wjechałem na głębsze miejsce i trzymając się ogona końskiego płynąłem. Na środku Narwi puściłem ogon, aby samemu dopłynąć, ale przeliczyłem się z siłami i moimi umiejętnościami pływackimi. Zrozumiałem, że nie dopłynę i to zdenerwowało mnie, lecz opanowałem się. Uprzytomniłem sobie, że nikt mi nie pomoże i jedyny ratunek spokojnie płynąć z prądem, kierując się do brzegu. Wreszcie trafiłem na płytsze miejsce i zgruntowałem. Taka mała przygoda.

7 lipca 1917 roku, jak raz w rocznicę mojej rany pod Trojanówką, rozeszła się wiadomość, jakoby władze niemieckie zażądały od nas złożenia przysięgi. W rocie przysięgi, między innymi, był punkt, który mówił o wierności sprzymierzeńcom.

O ten punkt zaczęła się cała sprawa. Zaczęły się dyskusje, czy w ogóle przysięgać, ale szybko nasze rozterki zostały rozwiane. Ktoś poszedł do oficerów pytać, co robić. Dostaliśmy świetną odpowiedź. Czekać, co Komendant rozkaże. To nam w zupełności wystarczyło. Mieliśmy tak bezgraniczne zaufanie do Komendanta, że gdyby powiedział, że dla dobra Polski mamy skakać z dziesiątego piętra na bruk, to też skakalibyśmy.

Z niewiadomych dla nas powodów nagle w Wojciechowicach miały się odbyć zawody konne dla oficerów legionowych. Na polu piaszczystym za koszarami pobudowano przeszkody, zrobiono jakieś trybuny i zjechało się kilku oficerów z pułków piechoty i artylerii, Przed rozpoczęciem zawodów, na których widzami mieli być przede wszystkim nasi ułani, bo cywilnych osób prawie nie było, gdy zajęliśmy miejsca, podszedł do nas adiutant pułku ppor. Mieszkowski i oświadczył, że ułani mają wyjść z zajętych miejsc. To nas oburzyło. Ktoś krzyknął: „Do koszar!”. I cały tłum złożony z kilkuset ludzi wstał i zaczął iść w stronę koszar. Próbowano nas zatrzymać. Byliśmy obrażeni i nie chcieliśmy nikogo słuchać. Dopiero już prawie w koszarach zatrzymał nas Wieniawa i zaczął nam tłumaczyć, aby nie robić demonstracji. Jego wszyscy lubili, więc daliśmy się przekonać. Nie wróciliśmy jednak na stare miejsca, a obsiedliśmy w pobliżu placu wydmę piaszczystą, z której obserwowaliśmy zawody. Brawa biliśmy nie najlepiej jadącym, lecz tym kogo lubiliśmy. Ppor. Mieszkowski,

choć najlepiej przebył przeszkody został prawie wygwizdany. Gwizdano z cicha, ale braw nikt nie bił. Takie to już było to nasze wojsko.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym rozstrzygnęły się nasze losy. Nadszedł dzień przysięgi. Na placu koszarowym stanął cały pułk w szyku rozwiniętym, pieszo. Byliśmy wszyscy podnieceni, bo z rozkazu Komendanta mieliśmy odmówić przysięgi. Po niedługim oczekiwaniu przyjechał samochodem generał Zieliński[21] z Komendy Legionów i p. Górski z Rady Stanu. Przyszli przed front pułku. Belina złożył raport. Wtedy generał podał komendę: „Do przysięgi wystąp!". Nikt się nie ruszył z miejsca. Widać było pewną konsternację i generał po raz drugi podał tę samą komendę. Znów bez żadnej reakcji z naszej strony. Wobec tego oświadczono nam, że zostaniemy internowani. Wróciliśmy do koszar, aby pozostawić broń i natychmiast cały tłum wysypał się na plac z krzykiem. Kilku najgorętszych pobiegło do generała i Górskiego, wymyślając im, że sprzedali nas za niemieckie marki. Nieszczególne miny mieli obaj wysłannicy przysięgowi, jakkolwiek widać było, że panują nad strachem.

Teraz rozpoczęło się oczekiwanie, co dalej? W Rosji była rewolucja, rządy Kiereńskiego. Niemcy przedstawiały dość dużą siłę jeszcze. A my co? Mieliśmy iść do obozu jak barany? I znów wszystkie oczy były zwrócone na Komendanta, co on rozkaże, to zrobimy. Jeżeli każe bić Niemców, będziemy bili, jeśli każe iść do obozu – pójdziemy. Tymczasem Niemcy podesłali pod Ostrołękę jakiś szwadron czy dwa kawalerii. Przyszli na przeszpiegi wysłani poznaniacy i Ślązacy, pogadali z nami i poszli, dowiedziawszy się, aby lepiej z nami nie zaczynali, bo my nie żadne wojsko tyłowe, tylko tacy, którzy bić się umiemy i o rozbrojeniu nas niech nawet nie marzą. Stehoff pewno tego alarmu narobił. Mówiono, jakoby w swoim pokoju trzymał zataśmowany karabin maszynowy.

Przyszły wiadomości. Galicjanie mają wejść w skład Korpusu Posiłkowego przy armii austriackiej. Królewiacy zostaną internowani. Komendant nie zezwala na żadne walki, mamy iść do obozów.

Teraz powstał problem, co zrobić z prywatnymi końmi, których przecież nie mamy zamiaru oddać ani Niemcom, ani Austriakom. Zdecydowano, że ułanom posiadającym własne konie wyda się rozkazy marszowe i mogą konie odprowadzić, gdzie kto chce. Dostałem taki rozkaz. Osiodłałem Bazyla, wypożyczyłem czako i postanowiłem w ciągu dwóch dni dotrzeć do Kłudna. Co prawda była to odległość 160 km, ale to mnie nie przerażało. Wyjechaliśmy razem z kapralem Smoleńskim[22] (w 1939 roku był on jako pułkownik dyplomowany szefem Oddziału II Sztabu Głównego), który jechał gdzieś w ciechanowskie.

[21] Zygmunt Zieliński (1856–1925) gen. broni, oficer służby czynnej armii austriackiej, z ramienia jej naczelnego dowództwa komendant II Br. LP, uczestnik odsieczy Lwowa w 1918 roku.

[22] Józef Smoleński (1894–1978) – gen. bryg., beliniak, oficer w 7 p. uł. (1918–1920), ab-

Jechałem przez Różan i Pułtusk. Na nocleg zatrzymałem się w Łubienicy u państwa Dłużewskich. Przyjęto mnie z pewną rezerwą, bo w Polsce zawsze było dosyć różnych orientacji i nigdy nie było wiadomo, czy się trafi do przyjaciół, czy przeciwników politycznych. Grunt, że dali mi kolację, spanie i furaż dla Bazyla! Rano wyjechałem i przez Serock i Jabłonnę dotarłem do Warszawy. Trochę z duszą na ramieniu wjeżdżałem przez most Kierbedzia do miasta. Ten mój rozkaz marszowy wprawdzie miał pieczęcie, ale nie byłem pewien, czy będzie on respektowany przez Komendę Legionów i Niemców. Jeszcze to czako z fasonem na bakier nałożone wyraźnie mówiło, że jestem z pułku buntowników. Gdybym jechał w czapce, to można by posądzić mnie, że jestem z 2 pułku ułanów, z Mińska Mazowieckiego, pułku, który przysięgał. Ale czy mogłem wyrzec się czaka? Jakoś przez całą Warszawę przejechałem i nikt mnie o żadne dokumenty nie pytał. Teraz jechałem już dobrze znaną drogą przez Ożarów na Błonie. W Błoniu przez przypadek tylko nie straciliśmy życia obaj z Bazylem. Przejechałem już 80 km i zapadła noc. Byłem trochę zmęczony i zdrzemnąłem się. Bazyl znał drogę i szedł wolnym stępem, myślę, że też trochę drzemał. Przejeżdżaliśmy przez tor kolejowy na szosie z Błonia do Grodziska. Szlaban był otwarty. Nagle Bazyl przestraszył się, bo pociąg w pełnym biegu przejechał tuż za jego ogonem. Aż mi się zimno zrobiło. Przykro byłoby zginąć w głupi sposób, prawie pod samym domem, wracając z wojny.

W Kłudnie byłem kilka dni. Rodzice, jak zawsze lojalni, tylko zapytali, co mam zamiar robić? Powiedziałem, że moje miejsce jest tam, gdzie będą moi koledzy, a więc w obozie. Pojechałem w sąsiedztwo do Chlewni Wieniawskich. Syn p. Antoniego Wieniawskiego, wiceministra skarbu w Radzie Stanu, wstąpił, już po zejściu Legionów z frontu, do 2 pułku ułanów. Z młodym Antkiem znaliśmy się dobrze i byłem ciekawy, czy on przysięgał? Spotkałem w Chlewni profesora Biedrzyckiego, który znał mnie od Rontalera i zawsze mnie lubił, ale teraz śmiał się, że idę do obozu. Był zdania, że powinniśmy przysięgać. Stary p. Wieniawski też był tego zdania i zrozumiałem, że Antek przysięgał. Wróciłem do Kłudna i niepotrzebnie zabierając siodło pojechałem koleją do Ostrołęki.

Szczypiorno

W koszarach wojciechowickich pusto i smutno. Po powrocie z Kłudna nie zastałem już moich kolegów z plutonu. Pozostała tylko nieliczna grupka tych,

solwent Wyższej Szkoły Wojennej, komendant Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu (1935–1938), ostatni szef Oddziału II Sztabu Głównego. W czasie wojny w PSZ, m.in. w 1940 roku II zastępca ministra do spraw krajowych. Zginął w wypadku ulicznym w Londynie.

którzy mieli odejść do Korpusu Posiłkowego, tj. galileuszy. Zebrało nas się kilku spóźnionych i wydano nam zaraz rozkaz wyjazdu, abyśmy dołączyli do już internowanych. Nikt nas nie pilnował i mogliśmy właściwie jechać, gdzie nam się podoba, byle nas nie złapano. Jednak poczucie koleżeństwa i pewna dyscyplina w wykonaniu decyzji Komendanta brała górę nad chęcią urządzenia wygodniejszego życia. Postanowiliśmy jechać do obozu. W drodze przez Warszawę, gdzie przenocowaliśmy i podjedliśmy sobie porządnie, śmieliśmy się sami z siebie, że jedziemy samochcąc za druty i niepewny los. W Kaliszu najpierw poszliśmy do restauracji, gdzie zjedliśmy znów możliwie najlepszy obiad i dopiero zameldowaliśmy się w obozie. Niemcy przyjęli nas z wielkim zdziwieniem, ale co mieli robić, jak ktoś sam pcha się do piekła, to niech się smaży.

Koledzy przyjęli nas oczywiście bardzo serdecznie, ale trochę ze zdziwieniem. Obóz przedstawiał się niewesoło. Olbrzymie pole otoczone dwoma rzędami drutów kolczastych z wieżyczkami strażniczymi. Wewnątrz podzielony na tzw. bloki też drutem kolczastym, a w każdym bloku wielkie ziemianki, pokryte dachami. W każdym bloku mały placyk i droga wzdłuż ziemianek. W ziemiankach w środku korytarz, a po dwóch stronach prycze na poziomie ziemi. Na pryczach sienniki wypchane watą drzewną (woliną). Każdy otrzymał dwa koce, ale jakie? Cienki barchanik i bardzo słaby, wewnątrz którego były wszyte stare gazety i przepikowane. Nowy koc był sztywny, ale ciepły, lecz gdy gazety starły się na proszek, który porobił grudki w rogach kwadratów pikowania, koc nie przedstawiał już żadnej wartości.

W ziemiance naszego szwadronu zastałem dwóch oficerów, lecz z naszywkami wachmistrzów. Byli to rotmistrz Orlicz-Dreszer i porucznik Grzmot-Skotnicki, wreszcie nie znanego mi trzeciego oficera piechoty por. Maruszewskiego (przed drugą wojną światową wojewodę wileńskiego). Oficerowie ci, w tajemnicy przed Niemcami, udawali szeregowców, aby nie opuszczać swych dawnych podwładnych. Ceniliśmy ich za to. Zwłaszcza Orlicza, który po naszej nieszczęśliwej Trojanówce podobno bardzo ostro wystąpił przeciw Belinie za to, że w krytycznym momencie dla pułku opuścił nas i sam szybciej zwiał do Trojanówki. Orlicz po tej awanturze przeniósł się do piechoty i teraz wrócił między swych dawnych ułanów. Powiedziano więc mi na wstępie, że nie wolno zdradzić ich przed Niemcami i nie wolno ich tytułować według właściwych stopni.

Komendantem obozu wybranym przez wszystkich internowanych legionistów był wachmistrz Janusz Olszamowski, z zawodu skończony prawnik, bardzo poważny i godny najwyższego szacunku człowiek (zmarł w 1920 roku jako adiutant Naczelnika Państwa). Niemieckim komendantem obozu był major Kaupisch, staruszek z siwą brodą, który za bitwę pod Sedanem w 1871 roku,

przez protekcję swego syna, w 1917 roku dostał Żelazny Krzyż. Zastępcą jego był kapitan Sliwitz, wstrętny Prusak, stary dziad. Pilnował nas najgorszego gatunku Landsturm. Sami staruszkowie, ale ani jednego zdrowego, jedynie kulawi lub ślepi na jedno oko. A obóz był olbrzymi, bo oprócz nas legionistów siedziało kilka tysięcy Moskali, trochę Francuzów i Anglików oraz cywilni ludzie. Do pracy jednak używano tylko Moskali, bo gdy raz wzięto kilku legionistów, zaraz kilku zwiało.

Po przyjeździe zabrano nas do kąpieli. Tu siedział na stołeczku Moskal, trzymając przed sobą wielka michę jakiejś żółtej, śmierdzącej mazi i każdemu smarował wszelkie owłosione miejsca, prócz głowy, którą strzyżono. Po wykąpaniu i wydaniu koców, siennika, miski i łyżki, każdy dostał dużą garść jakiejś sieczki z zielonkawej, suszonej trawy. Miała to być namiastka herbaty.

Wyżywienie mieliśmy fatalne. Rano gorąca woda, kto chciał, mógł sobie zaparzyć tej niby-herbaty. Do tego 100 g gliniastego chleba, chyba z kasztanów, bo na pewno nie z żytniej mąki, na obiad zupa wodnista, w której pływało kilka ziarnek peluszki lub liści buraków pastewnych. Na kolację znów woda gorąca lub czasem kawa, a już zupełnie wyjątkowo zupa. Chleb, o ile ktoś nie zjadł na śniadanie, ale takich nie było...

Nic więc dziwnego, że bardzo szybko zaczął pępek przyrastać do krzyża. A tu wymyślił ktoś, że dla podtrzymania ducha mamy codziennie rano wychodzić na gimnastykę. Ja osobiście wykręcałem się od tego i prawie nigdy nie chodziłem, mimo protestów naszego „fikmajstra" Świderskiego. Za to w dzień graliśmy w karty na zapis. Muszę przyznać, że źle na tym wyszedłem. Gdy mnie zwolniono z obozu byłem wygrany od Maksa a przegrany do Rawicza. Maks mi nie oddał, a Rawiczowi ja musiałem oddać.

Inni zabawiali się grą w loteryjkę. Kapitalny był jeden młody andrusiak z piechoty, który siadał na dachu ziemianki i wywoływał numery w ten sposób, że wiele numerów miało nazwy np. 22 – dwie kaczuszki, 33 – garbata rodzina, 44 – dwa krzesełka, 69 – wte i nazad, 77 – dwie siekierki, 88 – baranie jaja, itd. Śpiewał też cudowne piosenki, których jednak lepiej nie pozostawiać potomności.

Do Szczypiorna przyjechałem 7 sierpnia (bo u mnie wszystko zaczynało się i kończyło przez wiele lat siódmego), gdy było lato w pełni. Lecz zaczynała się jesień, a z nią chłody, zwłaszcza nocami. Mieliśmy wszyscy poprzeziębiane pęcherze i w nocy trzeba było biegać po kilka razy. Ostrołęckim zwyczajem załatwianie się na cienko odbywało się przez okno, ku złości wartowników. Oczywiście powodowało to zrozumiałe zapachy. Zaczęły się wyprawy po węgiel, bo w ziemiankach były jakieś maleńkie kuchenki. Węgiel leżał na wielkiej

kupie koło kuchni, widziałem jak dwóch piechurów przyszło ukraść trochę węgla, którego pilnował staruszek wartownik. Bawili się z nim jak kot z myszą. Gdy jeden nabrał kilka kawałków i wartownik kuśtykał do tego, drugi korzystał z okazji i też brał. Żaden nie uciekał, póki nie nabrał tyle, ile uważał za stosowne. W ogóle wartownicy mieli z nami krzyż pański. Raz, podczas deszczu, gdy wartownik wszedł do budki, przewrócili go z budką, nakrywając go.

Po pewnym czasie zorganizował się w Kaliszu jakiś komitet, który trochę nas dożywiał. Przysyłał od czasu do czasu trochę chleba. Czekaliśmy z niecierpliwością nadejścia tego razowego chleba. Wypadało do podziału bochenek na pięciu. Trzeba było widzieć, jak skrupulatnie był on dzielony. A zjadany był na poczekaniu, na sucho. Dostawaliśmy czasami paczki żywnościowe od rodzin, lecz waga tych paczek była ograniczona, zresztą pod względem żywnościowym w 1917 roku było już bardzo ciężko, nawet na wsi. Moje paczki zawierały jedynie suchary z żytniego chleba razowego i trochę cukru w kostkach.

Paczkami dzieliliśmy się z najbliższymi kolegami. Znikały one prawie momentalnie. A oszczędzać nauczyliśmy się świetnie. I jedną kostką cukru na tzw. „prykuskę" umiałem wypić litrową butelką „herbaty".

Opiekę lekarską też mieliśmy wyjątkową. Kiedyś rozbolał mnie zepsuty ząb. Zgłosiłem się do dentysty, Po paru dniach przyszedł jakiś podoficer niemiecki i stanął na placyku. Na taborecie rozłożył narzędzia, drugi taboret stał dla pacjentów. Ustawiono nas w ogonek i kolejno podchodziliśmy do Niemca. Ten kazał siadać na taborecie i wysunąć odwróconą prawą dłoń, wreszcie otworzyć usta i bez żadnych ceregieli wyrywał ząb, kładł go na dłoni i krzyczał: „Abtreten!"[23]. I jakoś nikt nie dostał zakażenia.

Gdy już obóz dostatecznie nam dokuczył, zaczęło się kuszenie złożenia przysięgi. Rozpoczął tę akcję kapelan pod pozorem spowiedzi i niektórym wydało się, że sytuacja dojrzała i że można pokusić się na propozycję masowej kapitulacji. Przyjechał do Szczypiorna pułkownik Berbecki[24], były dowódca 5 pułku piechoty z I Brygady. Ten łajdak nie ośmielił się wejść na teren naszych ziemianek, lecz widzieliśmy go, jak szedł szosą. Na widok jego rozpoczęto taką kocią muzykę i tak go sklęto, że chyba nigdy w życiu czegoś podobnego nie słyszał. Oczywiście z naszego 1 pułku ułanów nikt do przysięgi znów nie

[23] Abtreten (niem.) – Rozejść się! (przyp. red.).

[24] Leon Berbecki (1875–1962) – gen. broni, od 1906 w armii rosyjskiej, w I Brygadzie LP dowódca batalionu, następnie 5 pp. Od stycznia 1917 szef sztabu Polskiego Korpusu Posiłkowego. Po 1920 m.in. dowódca Okręgu Korpusu w Grodnie i Toruniu. Od 1929 prezes Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. W latach 1939–1945 w niewoli niemieckiej, po wojnie wykładowca na Politechnice Śląskiej. Autor paszkwilanckich *Pamiętników*.

wystąpił. Lecz gdy staliśmy na zbiórce, pokazał się z piechoty jakiś amator przysięgi. Momentalnie oberwał cegłą. Kapitan Sliwitz rzucił się jak tygrys, aby złapać rzucającego, lecz ten skoczył na koniec i stanął spokojnie. Nikt nie chciał go wydać. Aresztowano więc cały nasz szwadron. Kapitan Sliwitz kazał nam maszerować na wartownię. Wyszedł więc wachmistrz, szef szwadronu, i podał komendę. Pomaszerowaliśmy, a przed wartownią stanęliśmy w szyku rozwiniętym. Naszych starych landsturmistów ogarnął strach i mimo wzywania: „Wache antreten!", nikt z wartowni nie wyszedł. Staliśmy tak bezczynnie i śmieliśmy się z naszych pogromców, a oni prawdopodobnie przypuszczali, że przyszliśmy ich rozbroić. Staliśmy z pół godziny i wreszcie dostaliśmy rozkaz powrotu do naszej ziemianki.

Aresztowanie naszego szwadronu nie uspokoiło nikogo. Kilkunastu piechurów zgłosiło się jednak do przysięgi i ci musieli wychodzić z siennikami na głowach. Gwizdy i przekleństwa żegnały ich, a prócz tego padały w ich kierunku kawałki cegieł i kamieni. Kapelanowi ks. Kwapińskiemu też się dostało za namowy przy spowiedzi. Zerwano mu naramienniki z kapelańskiego munduru i zbito po twarzy. Nikt go nie żałował, bo nie kapelańskie to zajęcie przy posługach religijnych prowadzić robotę propagandową.

Minął okres wzruszeń przysięgowych i znów zaczęło się to samo. Może z tą różnicą, że z wyżywieniem było coraz gorzej. Niemcy opóźniali nadsyłanie chleba z komitetu kaliskiego, a i paczki prywatne zaczęły się bardzo opóźniać. Dostałem jedną paczkę, w której suchary były kompletnie spleśniałe. Wyrzuciłem je za druty w stronę jeńców rosyjskich. Rzucili się na nie jak szakale i wyrywaIi sobie. Dziwny naród, dostawali paczki przez Czerwony Krzyż, ale wszystko sprzedawali, pieniądze zaszywając w ubraniu, a marło ich codziennie po kilkunastu. Prosiłem rodziców, jeszcze w lecie, aby przysłali do obozu cywilne ubranie i trzewiki. Paczkę dostałem i ubranie czekało na nieprzewidzianą wprawdzie wolność.

Pocztę roznosił w obozie podoficer niemiecki, mały, gruby Żydek, przezywany przez nas „Pępuszek". Był on zawsze witany z nadzieją na list lub bardzo rzadko na wezwanie do komendanta obozu w sprawie zwolnienia, bo czasami indywidualnie kogoś zwalniali. W pierwszej dekadzie listopada Pępuszek wywołał mnie do komendy obozu. Stary major Kaupisch przepytał mnie, aby stwierdzić, jak przedstawiają się moje personalia. W kilka dni później dostałem rozkaz przebrania się w cywilne ubranie, otrzymałem dokumenty i zostałem wypuszczony za druty obozu.

Wydawało mi się, że to chyba niemożliwe, abym był na wolności. Szybko szedłem do Kalisza i ciągle oglądałem się, czy czasem nie chcą mnie zawrócić do obozu. Przyszedłem na dworzec kolejowy, czekając na pociąg do Błonia.

Zaczął padać drobny śnieg i był maleńki mrozek. Ludzie poubierani w jesionki, a niektórzy nawet w futra, przyglądali się ciekawie młodemu chłopcu ubranemu w jasny, letni garnitur, lakierki dość zniszczone, ale dobrego pochodzenia i cyklistówkę. Nic więc dziwnego, że w pewnym momencie podszedł do mnie tajniak i wylegitymował mnie. Oczywiście papiery miałem w porządku. Niedługo czekałem na nadejście pociągu, siadłem i po kilku godzinach wysiadłem w Błoniu. Tu już nie bałem się zawrócenia za druty.

Szybko pomaszerowałem do Kłudna. Wszedłem do domu, bo drzwi były otwarte i na nikogo nie natknąłem się, więc siadłem w stołowym na otomanie i czekam. Po paru minutach, matka przechodząc przez pokój, zobaczyła mnie i zaraz zaczęły się powitania. Rodzice po obejrzeniu mnie stwierdzili, że wcale tak źle nie wyglądam, jak spodziewali się. Lecz to było tylko pierwsze wrażenie. Po kilku dniach, gdy opuchlina głodowa ze mnie zeszła okazało się, jak jestem zachudzony.

Cywil i student

Po powrocie do domu trzeba było załatwić wszelkie formalności. Najpierw musiałem się zameldować w komendzie placu w Grodzisku. Tu dowiedziałem się, że jestem dalej *Kriegsgefangener*[25] i muszę co miesiąc, w wyznaczonym dniu, meldować się. Później pojechałem z ojcem do władz powiatowych, gdzie wydano mi paszport cywilny, wprawdzie z fotografią w mundurze, bo cywilnej nie miałem. Wreszcie trzeba było postanowić, co dalej będę robił. Byłem w 1915 roku zapisany i przyjęty do obecnej Królewsko-Polskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ale tam kurs się już rozpoczął. Po naradzie z ojcem doszliśmy do wniosku, że rozpocznę naukę w 1918 roku, a ten rok posiedzę w Kłudnie, aby pomagać ojcu i wypocząć oraz trochę się odpaść.

Wzięliśmy więc przepustki do Warszawy, bo podczas okupacji trzeba było opłacać taki podatek, aby otrzymać prawo kupna biletu kolejowego, trochę jedzenia i pojechaliśmy, aby podekwipować się. Kupił mi ojciec dość kiepskie gotowe ubranie i na królikach bekieszę, kapelusz i buty. Teraz wyglądałem jak prawdziwy cywil.

W Kłudnie nie przepracowywałem się, bo szła zima i wiele do roboty nie było. Dość często wyjeżdżałem do Warszawy, aby spotkać się z kolegami. Był przecież Wiktor Szymanowski, Janek Chełmicki, Bolek Gryger, Paweł

[25] *Kriegsgefangener* (niem.) – jeniec wojenny (przyp. red.).

Bieżyński i inni. Czasami jeździłem na jakieś polowanie, bo choć nie miałem pozwolenia na broń, ale ten rygor był łagodnie przestrzegany.

Przyszła wiadomość o Bronku. Był on wzięty w 1915 roku jako poborowy do wojska rosyjskiego i początkowo był w Fenzie. Uwzględniono jednak jego polską maturę i odesłano go do szkoły junkierskiej piechoty. Skończył szkołę i został praporszczykiem, później podporucznikiem, wreszcie w 1917 roku był porucznikiem w 19 wołogodzkim pułku piechoty. Po rewolucji złożył podanie o przeniesie go do polskiej dywizji, którą dowodził pułkownik Żeligowski[26].

Został przeniesiony i w bitwie pod Stanisławowem dostał się do niewoli niemieckiej. Był w obozie w Neustadt. Ojciec zaczął więc starania o zwolnienie go i w 1918 roku, chyba wiosną, Bronek wrócił do Kłudna. Po spotkaniu z nim okazało się, że byliśmy pod Baranowiczami w jednym czasie, tylko po różnych stronach frontu. Teraz razem jeździliśmy meldować się w *Ortskommando*[27].

Nadeszło lato 1918 roku. Było to szczęśliwe lato, bo i któregoś popołudnia nadjechał jakiś wóz, a na nim Zygmunt z rodziną i manatkami. Nareszcie rodzice zebrali wszystkie rozproszone po świecie dzieci. Ojciec zakupił mszę w Żukowie i wszyscy pojechaliśmy do kościoła, aby podziękować Bogu za szczęśliwy powrót z wojny. Na chórze śpiewała nasza znajoma śpiewaczka panna Aleksandra Welke, która była na wakacjach w Chlewni u p. Wieniawskich i przyjechały obie z Janką Wieniawską.

Wprawdzie z wojny każdy z nas przywiózł po jednej dziurze w skórze, ale to nic nadzwyczajnego. Byliśmy wszyscy szczęśliwi, a choć nie było bogato, bo była jeszcze wojna, ale jeść jeszcze było co, a młodość swoje robiła. Przez całe lato utrzymywaliśmy bardzo serdeczne stosunki z Wieniawskimi, u których prawie codziennie bywaliśmy, albo Janka z Olą przychodziły do nas na podwieczorek.

Od jesieni mieliśmy z Bronkiem rozpocząć naukę. Bronkowi brakował jeszcze jeden rok do skończenia, a ja miałem rozpocząć wyższe studia. Sianek z Adasiem wyjechali na początku września do Warszawy, a ja z Bronkiem przed październikiem.

W SGGW spotkałem trochę znajomych, a dużo byłych wojskowych, dowborczycy, byli i legioniści. Pierwszy miesiąc, dla nas fuksów, był ciekawy, bo to immatrykulacja i wieczorek na powitanie nowych i inne stosunki niż w szkole.

Miesiąc przeleciał jak z bata strzelił i już ferie na Wszystkich Świętych. Wracam z Kłudna i łapie mnie Paweł Bieżyński, pyta: „Czy wiesz, że nasz pułk

---

[26] Lucjan Żeligowski (1865–1947) – gen. broni, do 1917 w armii rosyjskiej; w dniu 9 X 1920 na rozkaz J. Piłsudskiego opanowuje Wileńszczyznę jako tzw. Litwę Środkową. 1935–1939 poseł na Sejm. W czasie wojny na emigracji, zmarł w Londynie.

[27] *Ortskommando* (niem.) – komenda lokalna (przyp. red.).

1 ułanów na nowo się formuje?". „Gdzie?" – pytam. Paweł mówi, że wrócili z niewoli Orlicz i Grzmot. Pojechali do Chełma i tam będą formować pułk. Od razu byłem zdecydowany przerwać studia i jechać do pułku.

W powietrzu czuć było, że coś się stanie nadzwyczajnego. Zupełnie bez uzasadnionego powodu nie poszliśmy z Bronkiem meldować się u Niemców, choć termin nadszedł. Po wiadomości podanej przez Pawła zrobiliśmy małą naradę wojenną z kolegami. Postanowiliśmy, że ja pojadę do Chełma, a reszta ewentualnie dołączy po wiadomości, że trzeba jechać. Wiktor Szymanowski zgłosił chęć pojechania ze mną.

Natychmiast pojechałem do Kłudna, aby poprosić ojca o trochę pieniędzy, bo ze wstydem trzeba się przyznać, że byliśmy goli z powodu zgrania się w bakarata. Przyjechałem w nocy i musiałem zapukać do okna sypialni rodziców. Po powitaniu i wytłumaczeniu nocnego przyjazdu, oświadczyłem, że wyjeżdżam do wojska. Ojciec zwrócił mi uwagę, że mógłbym choć zapytać, czy ojciec mi pozwala porzucić studia. No to odpowiedziałem, że szanuję autorytet ojca i wolę nie pytać, bo w każdym wypadku pojadę. Ojciec oczywiście, jak zawsze, nie stawiał sprzeciwów i dał mi trochę pieniędzy.

Teraz trzeba było zdobyć przepustkę na teren okupacji austriackiej. W pałacu Mostowskich wydano nam ją bez żadnych trudności. Paweł radził, aby iść na Marszałkowską do jakiejś instytucji, która jakoby dawała pieniądze i kierowała byłych legionistów w Lubelskie. Poszedłem, aby uzyskać jakieś informacje, ale tu wyraźnie wyczułem tendencję zatrzymania nas w Warszawie.

5 listopada 1918 roku zdecydowałem, że na nic już nie czekam, tylko jutro rano wyjeżdżam. Zrobiliśmy więc małą bibkę pożegnalną z kolegami wieczorem, a rano byliśmy z Wiktorem na dworcu, kupiliśmy bilety i ruszyliśmy w nieznane. Wiktor wiózł zawiniętą w papier szablę swego ojca z huzarów, a ja w papier zapakowany mój mundur legionowy. Dojechaliśmy do Dęblina. Tu trzeba było przesiąść się i przejść z tzw. Dęblina niemieckiego na austriacki. Jakież było jednak nasze zdziwienie, gdy w Dęblinie austriackim zobaczyliśmy, że znikły gdzieś z czapek cesarskie bączki, a ich miejsce zajęły czerwone kokardki. Rewolucja już tu sięgnęła. Nie namyślałem się więc długo, tylko poszedłem za jakąś szopę i mimo zimna, przebrałem się w mundur. Teraz dopiero poszedłem do zawiadowcy stacji pytać o pociąg do Lublina. Zastałem tu więcej amatorów jazdy i też w mundurach legionowych, a między innymi wachmistrza Helduta z naszego pułku. Zawiadowca stacji okazał nam zrozumienie i obiecał, że choć pociągu nie będzie, ale będziemy mogli pojechać na lokomotywie, którą wysyła do Lublina.

Już było ciemno, gdy dojechaliśmy do Lublina, ale na szczęście trafiliśmy na pociąg do Chełma. W Chełmie zajechaliśmy do hotelu i tu dowiedziałem się, że

w tym samym mieszka Orlicz-Dreszer. Teraz tylko pozostawało zameldowanie się u swego starego dowódcy i złożenie w jego ręce swego dalszego losu...

Znów w mundurze i na wojnie

„Obywatelu rotmistrzu, starszy ułan Józef Szostak melduje się posłusznie!" – tak zameldowałem się Orliczowi leżącemu w łóżku, w pokoju hotelowym, dnia 7 listopada 1918 roku. Orlicz po przywitaniu się ze mną opowiedział mi, jak rozbroili Austriaków w Chełmie. Okazało się, że jest tu już kilku kolegów legionowych, beliniaków – Julek Kamler, Stefan Szyller, Lolek Niementowski, Konrad Zembrzuski i Tarnasiewicz. Jest również por. Grzmot-Skotnicki, chor. Kmicic-Skrzyński[28] i chor. Bieńkowski, prócz tych ppor. z wojska rosyjskiego Edward Rackmann.

Powiedział mi również, że w pobliżu Chełma, w majątku dzierżawionym przez naszego kolegę szwadronowego – Iwę Moraczewskiego – w Oszczowie, jest austriacki zapas koni taborowych, obsługiwany przez jeńców włoskich, który przejęliśmy. Mam więc razem z Wiktorem iść tam i zająć się chwilowo tymi końmi.

Jakoś dostaliśmy się do tego Oszczowa. Zastałem tu Julka Kamlera i Lolka Niementowskiego, coś przeszło 200 koni i trochę Włochów. Właściwie to tylko pilnowaliśmy naszych „Italiano", aby wszystkie konie były napojone i dostały obrok. Tu Julek powiedział mi w tajemnicy, że podobno mamy zostać podporucznikami. Nie wierzyłem temu, bo wydawało mi się to czymś niedoścignionym.

Po kilku dniach ściągnięto nas do Chełma. Rozpoczęła się organizacja pułku. Pułk miał składać się z 4 szwadronów liniowych, szwadronu karabinów maszynowych, szwadronu technicznego i taboru. Do Chełma zaczęli napływać masowo ochotnicy. Zaraz po powrocie Komendanta z Magdeburga i rozbrojeniu Niemców w Warszawie 11 listopada przyjechał Bronek z Siankiem, Janek i Bogdan Chełmiccy, Zygmunt z Adasiem, wreszcie Bolek Grygier. Napływało też dużo oficerów z armii rosyjskiej oraz ochotników (chłopów i byłych żołnierzy).

Przyszły awanse. Orlicz został majorem, Grzmot rotmistrzem, Kmicic i Bieńkowski porucznikami. Nam, absolwentom kursu oficerskiego z Legionów nadano chwilowo tytuły aspirantów oficerskich i kazano założyć srebrne

[28] Ludwik Kmicic-Skrzyński (1893–1972) – gen. bryg., żołnierz LP (w sierpniu 1914 w siódemce ułańskiej Beliny), we wrześniu 1939 dowódca Podlaskiej Brygady Kawalerii, której resztki walczyły do 5 października w składzie SGO „Polesie". Zmarł w Anglii.

paski na czapki. Rozdzielono nam funkcje. Wyznaczono mnie na adiutanta pułku. Wymyślił to Grzmot, chyba tylko dlatego, że miałem ładne buty. Zupełnie się nie nadawałem na to stanowisko, zwłaszcza w okresie organizacyjnym. Na moje szczęście zjawił się ułan Wyrzykowski, który był kancelistą w kancelarii pułkowej w Ostrołęce. Ten znał się troszeczkę na papierowej robocie. Awansował więc na szefa kancelarii. Moje zajęcie polegało głównie na chodzeniu ciągle i wszędzie z Orliczem, z wyjątkiem ubikacji.

W Chełmie miały się zorganizować szwadrony: drugi pod dowództwem ppor. Rackmanna, trzeci – pod por. Bieńkowskim, karabiny maszynowe – pod por. Karolem Dulembą z armii austriackiej, techniczny – pod ppor. Bernadzikiewiczem. Szwadron pierwszy – pod por. Kmicicem-Skrzyńskim miał się formować we Włodawie. Do tego szwadronu wybrano ochotników umiejących jeździć konno. Zostali więc wybrani moi bracia i koledzy, a więc: Zygmunt i Sianek (Adaś miał gorączkę i był w szpitalu), Wiktor Szymanowski, Bolek Grygier, Janek i Bogdan Chełmiccy. Bronek, jako były oficer piechoty, miał obiecane przez Orlicza przyjęcie do pułku, ale czasowo dali mu dowództwo kompanii sformowanej we Włodawie i tak już pozostał piechurem.

Któregoś dnia Bronek, który był jakiś czas komendantem dworca w Chełmie, zatelefonował do pułku, podczas obiadu, że z Dorohuska jedzie transport wojsk austriackich. Transport ten nie chce się zatrzymywać i nie reaguje na żadne sygnały. Orlicz natychmiast zrobił alarm. Pamiętam, że siedliśmy do karety, na dachu której postawiliśmy karabin maszynowy i popędziliśmy na stację. Natychmiast ustawiono karabin na peronie i zataśmowano go. Pociąg już zbliżał się do stacji. Opuszczony semafor może by nie pomógł, ale wycelowany karabin maszynowy zrobił swoje. Pociąg stanął. Jechał nim 1 pułk ułanów austriackich z Ekaterynosławia, gdzie był na okupacji, do Krakowa. Po rozmowie z dowódcą pułku ustalono: pozostawiamy oficerom pistolety; konie, zresztą nieliczne, bo pułk był spieszony, zabieramy; żywność pozostawiamy w ilości koniecznej na drogę. Proponujemy wstąpienie ochotników do naszego pułku. Zgłosiło się dwóch oficerów i 40 ułanów. Rotmistrz Marian Żółkiewski i porucznik Łubieński, z ułanów plutonowy Radzienta, kapral Żmuda, ułan Zembroń i wielu innych. Jakiś stary pułkownik austriacki, który jechał tym transportem, zaczął prawie płakać przed Grzmotem na czasy, jakie nadeszły. Grzmot mu dobrze odpowiedział: „Dla nas te czasy są świetne, tyle lat Polska czekała na niepodległość i wreszcie ją mamy!”.

Uzupełnienie pułku przez wyszkolonych kilkudziesięciu żołnierzy bardzo się przydało. Nasi ochotnicy byli pełni zapału i najlepszych chęci, ale zupełnie nie byli wyszkoleni. A wojsko było już potrzebne. We Włodawie miejscowi

rewolucjoniści napadli na nasz 1 szwadron. Na szczęście nie udało im się rozbroić naszych ułanów. Dostali w skórę i pouciekali. Lwów już walczył.

Do Hrubieszowa został wysłany rotmistrz Żółkiewski z zadaniem sformowania 4 szwadronu. Organizację części gospodarczej pułku powierzono ppor. Sikorskiemu, też beliniakowi. Zaczęło się ściąganie uzbrojenia, głównie karabinków i amunicji, ekwipunku i siodeł. Siodła przysłano nam z Kraśnika, gdzie była kadra kawalerii austriackiej, a gdzie formował się 3 pułk ułanów (późniejszy 7) należący, tak jak i my do I brygady kawalerii Beliny. Był szalony brak umundurowania. Wprawdzie ochotnicy robili, co było w ich mocy, aby upodobnić się do wojska, ale dopiero nieco rozwiązało sprawę sprowadzenie z Warszawy 500 płaszczy niemieckich. Kuchnie polowe znalazły się. Nawet dziś nie umiałbym powiedzieć, z jakich magazynów czerpaliśmy żywność i furaż. A koni ciągle przybywało. Gdzie kto zasłyszał, że zostały konie po Austriakach, zaraz wysyłano się i zabierało. Ja już dorobiłem się pięknego, gniadego wałacha. Nawet udało mi się zdobyć oficerskie siodło austriackie. Szablę wycyganiłem od Wiktora Szymanowskiego, tylko słabo było z pistoletem. Miałem, ale zepsuty. Wydano nam materiał na mundury i płaszcze. Bardzo lichy, ale daliśmy go do krawca w Chełmie. Sukno zamiast amarantowe dali nam czerwone. Mundury miały być szyte takie jak u Beliny, z tą tylko różnicą, że na spodniach miały być lampasy.

Na 1 grudnia wypłacono nam pierwsze pobory. Otrzymałem gażę podporucznika – 200 marek i dodatek funkcyjny 90 mk. Bronek przyszedł do mnie, aby zapytać, czy wypada nam brać pobory, bo przecież nie przyszliśmy do wojska po pieniądze. Ja też nie byłem pewny i zapytałem Orlicza, ale on mnie wyśmiał i kazał brać. Zygmunt nie przyznał się do swego stopnia porucznika z wojska rosyjskiego, bo chciał służyć w kawalerii, o ile pamiętam szybko został kapralem.

Pułk dość szybko zorganizował się. Ciągle napływali ochotnicy z cywila i przyjeżdżali dawni Beliniacy. Przyjechał Julek Dudziński, Kazik Mastalerz[29], Paweł Bieżyński, Kazio Kwieciński. Wszyscy oni awansowali bądź na aspirantów oficerskich, bądź na podoficerów.

Podczas kolacji w kasynie oficerskim w dniu 6 grudnia było ciemnawo i zimno. Jedliśmy jakieś paskudne kotlety, gdy Orlicz spokojnie powiedział: „Po kolacji poproszę do kancelarii dowódców 2 i 3 szwadronu i adiutanta pułku". Trochę dziwne nam się wydało to wieczorne zaproszenie służbowe. W kancelarii, bez żadnych wstępów, major powiedział: „Jutro o godzinie 7 rano musi

[29] Kazimierz Mastalerz (1896–1939) – płk, w 1939 dowódca 18 pułku ułanów w składzie Pomorskiej Brygady Kawalerii. 1 września poległ śmiercią bohaterską podczas przeciwuderzenia dwóch szwadronów pułku na niemieckie oddziały zmotoryzowane.

wymaszerować na wojnę szwadron zbiorowy w sile 120 szabel. Szwadrony 2 i 3 wyznaczą po dwa plutony". Major chciał, aby dowodził tym szwadronem ppor. Rackmann, lecz ten tłumacząc się stanem zdrowia prosił o zwolnienie, wobec tego dowództwo miał objąć por. Bieńkowski i 3 szwadron miał zorganizować tabor z kuchnią polową. W sprawie wyboru dowódców plutonów, major mnie zapytał o propozycję, ponieważ ja najlepiej znałem moich kolegów. Zaproponowałem: z 2 szwadronu Julka Kamlera i Zygmunta Sokołowskiego, a z 3 szwadronu Stefana Szyllera i Julka Dudzińskiego. Zastępcami dowódców plutonów zostali Kazio Kwieciński, Paweł Bieżyński, wachmistrz Radzienta i może Czesław Dudziński. Wachmistrzem szefem szwadronu został Kazik Mastalerz. Ja również prosiłem, abym mógł jechać z tym szwadronem w charakterze dowódcy plutonu, ale Orlicz kategorycznie mi odmówił. Byłem bliski płaczu, lecz on wcale na moje prośby nie reagował, tylko kazał mi wziąć papier i pisać rozkaz pod jego dyktando. Rozkaz rozpoczynał się stwierdzeniem, że on obejmuje dowództwo grupy pod Sokalem. Później były punkty dotyczące organizacji szwadronu, z podaniem obsady personalnej itd. Już zapisałem całą stronę i wreszcie nastąpiło ostatnie zdanie: „Na adiutanta grupy wyznaczam" – chwila milczenia – „aspiranta oficerskiego Szostaka Józefa". Myślałem, że podskoczę z radości. Po napisaniu rozkazu rozeszliśmy się, bo przed nami było moc całonocnej roboty. Najpierw przypilnowałem mego luzaka Michała Siwka, aby porządnie spakował moje siodło, bo żadnej walizki ani nie miałem, ani nie zamierzałem brać. Tkwił jeszcze we mnie prosty ułan, który cały majątek ma w siodle. Później poszedłem do drugiego szwadronu, dowiedzieć się, czy Adaś, mój najmłodszy brat 16-latek, został wyznaczony. Był wyznaczony. Pomogłem mu więc spakować siodło, bo wydali im z magazynów nowe rzędy i nikt nie umiał sobie dać z nimi rady, prócz starych beliniaków i nielicznych byłych Austriaków. Pracowaliśmy tak do późnej nocy. Własnymi rękami złożyłem kilkanaście siodeł. Mój Adaś dostał bułaną klacz, dość dobrą.

Szaro się robiło 7 grudnia, gdy szwadron stawał na zbiórkę na placu koszarowym. Już pierwsze trudności wystąpiły przy ustawieniu go w dwuszeregu. Konie nieujeżdżone nie chciały stawać, a ułani też nie umieli sobie poradzić. Wreszcie stosunkowo z małym opóźnieniem szwadron stanął i major odebrał raport. Ruszyliśmy przez miasto jeszcze prawie śpiące. Jechałem z Orliczem na czole szwadronu. Obejrzałem się w tył i zobaczyłem łby końskie, a nad nimi ułanów z karabinkami przez plecy kiwających się ruchem koni, jasno zrozumiałem, że tu jest moje właściwe miejsce, to jest mój żywioł i tylko jako żołnierz mogę być szczęśliwy. Po przejechaniu jakichś dwóch kilometrów od miasta zjechaliśmy z majorem na bok drogi, aby przepuścić obok siebie szwadron i zobaczyć jak wygląda kolumna marszowa. Obraz, jaki nam przedstawił się był

raczej smutny i nie napawał otuchą. Za kolumną pozostali pojedynczy lub po dwóch ułanów, którzy nie mogli sobie dać rady z wyłażącymi kocami spod siodeł lub innymi usterkami. Musiałem zejść z konia i pomagać biedakom. Po prostu byli niewyszkoleni i bardzo niezaradni. Mój Adaś jechał dość dzielnie obok dwukrotnie starszego od niego malarza Szygla. Najprzykrzejsze było ślizganie się koni. Nie były ostro kute, a było trochę gołoledzi.

Maszerowaliśmy z Chełma na Hrubieszów. Trzeba było przebyć 52 km na pierwszy marsz, dla niewytrenowanych koni i słabo jeżdżących ludzi, w zimie i po gołoledzi to wysiłek bardzo duży. Gdzieś przed wieczorem zatrzymaliśmy się na popas i zjedzenie obiadu z kuchni polowej. Po odpoczynku ruszyliśmy dalej, ale już po ciemku. Zdawało się, że nigdy nie dotrzemy do Hrubieszowa, marsz dłużył się niemiłosiernie. Dużo szliśmy pieszo, prowadząc konie w ręku. Wreszcie w ciemnościach zamajaczył jakiś człowiek i posłyszeliśmy meldunek: „Panie majorze, kapral Lakman melduje się jako łącznik z 4 szwadronu!" Był to Lolek Rackmann, który nigdy nie wymawiał „r". Hrubieszów był już blisko. Nasi zmachani śmiertelnie ułani, wątpię czy bardzo dokładnie opatrzyli konie, ale jakoś tam było. Nas, oficerów, zaprosił rotmistrz Żółkiewski na kolację. Były zimne (wystygłe) befsztyki, zadębiałe ziemniaki i straszna anyżówka. Ale dobre i to, byliśmy mu wdzięczni. Mimo trudu humor nas nie opuścił i śmieliśmy się do zaśnięcia, przed tym jednak próbując naszych szabel na jakimś łóżku koszarowym.

Rano major nakazał odpoczynek, a ponieważ 8 grudnia było świętem Matki Boskiej, szwadron poszedł do kościoła na Mszę. Zmobilizowano w Hrubieszowie wszystkich kowali i przez cały dzień musieli kuć nasze konie. Do wieczora przekuto ponad 80 koni na ostro. Reszta koni miała być przekuta na drugi dzień i dołączyć do szwadronu pod dowództwem wachmistrza Bieżyńskiego.

9 grudnia szwadron, już w sile tylko 83 szabel wyruszył przez Kryłów do Dołhobyczowa. Major ze mną pozostał w Hrubieszowie i dopiero przed południem ruszyliśmy tylko z luzakami przez Mircze i Wików do Dołhobyczowa. W Dołhobyczowie zastaliśmy już nasz szwadron na postoju ubezpieczonym, rozkwaterowany częściowo we wsi, a częściowo we dworze. Dwór, a raczej pałac przedstawiał się dość okazale i zamożnie, jakkolwiek właściciele p. Swieżawscy uciekli i pozostawili tylko gospodynię lub guwernantkę. Major ze mną zakwaterował się we dworze, choć zimno tam było piekielnie i z jedzeniem słabo.

Wstał dzień i w pokoju robiło się szaro. Może spałbym jeszcze, ale obudził mnie wybuch pocisku artyleryjskiego w pobliżu dworu. Zacząłem się szybko ubierać. Major też wstał i z flegmą zabierał się do golenia. Wybiegłem przed dwór i rozglądałem się, gdy podszedł do mnie Zygmunt Sokołowski. „Zamelduj

majorowi" – powiedział – „że mój pluton ma już osiodłane konie i jestem gotowy".

Przed dworem, nad gazonem znów pękł szrapnel. Wróciłem do dworu. Major golił się spokojnie, a gdy mu zameldowałem o gotowości Sokołowskiego, powiedział: „Kto kazał siodłać? Niech rozsiodła". Wyszedłem do Zygmunta i powtórzyłem mu rozkaz, ale dodałem od siebie, aby nie śpieszył się z rozsiodływaniem, bo to zwykły fason dreszerowski. Stałem jeszcze przed dworem, gdy wpadł na maleńkim koniku sierżant z piechoty z meldunkiem. Odebrałem meldunek i zaniosłem go majorowi. Major Bończa-Uzdowski[30] meldował z Oszczowa, że na niego wyszło natarcie i prosi, aby choć jednym plutonem uderzyć na skrzydło Ukraińców. Musiałem zawołać Sokołowskiego, któremu major dał zadanie współdziałania z batalionem majora Bończy. Po chwili nadszedł meldunek od por. Bieńkowskiego o natarciu na Dołhobyczów. Teraz już nie było żadnej wątpliwości, że Ukraińcy uderzyli na całą grupę Dreszera. Ogień wzmagał się. Już nie tylko artyleria strzelała, lecz odezwały się karabiny ręczne i maszynowe.

Major wyszedł przed dwór i polecił mi pozostać na miejscu, aby odbierać meldunki, a sam udał się do walczącego już szwadronu. Gdy zostałem sam przed dworem zorientowałem się, że ogień ukraiński jest prowadzony z kilku stron. Zrozumiałem, że jesteśmy otoczeni.

W prawo od dworu była stajnia cugowa i tu na progu zobaczyłem mego i majora luzaków trzymających nasze osiodłane konie. W lewo, o jakieś 100 metrów były zabudowania folwarczne, gdzie stał szwadron. Krzyknąłem więc na mego Michała, aby galopem przeskoczyli do zabudowań folwarcznych, co oni szczęśliwie wykonali, mimo ognia. Pozostałem sam i trochę głupio mi się zrobiło, gdy zobaczyłem koło stajni folwarcznej kilka biegających osiodłanych koni. Zrozumiałem, że nasi młodzi ułani popuszczali podczas strzelaniny konie i że jest jakiś bałagan. Pobiegłem więc w stronę folwarku i zobaczywszy w lewo, pod gorzelnią, jakichś ludzi zacząłem wołać, aby łapali konie, w odpowiedzi zostałem ostrzelany. Byli to już Ukraińcy. Sytuacja stała się nieprzyjemna. Na szczęście cały dobiegłem do stajni czy obory. Dostępu do budynków broniło kilku naszych dzielnych taborytów i kucharze, którzy ostrzeliwali się zza murowanego ogrodzenia. Konieczne było wyrzucenie Ukraińców z gorzelni, bo mogli nas obejść z tyłu.

Powziąłem w pośpiechu najgłupszą decyzję. Złapałem klacz wachmistrza Dudzińskiego – Bertę, siadając na nią i wołając, aby kto może siadał na koń.

[30] Władysław Bończa-Uzdowski (1887–1957) – gen. bryg. We wrześniu 1939 dowódca 28 dywizji piechoty.

Wyrwałem szablę z pochwy i ruszyłem z krzykiem, galopem w kierunku gorzelni. Gdy się obejrzałem, zobaczyłem za sobą wachmistrza Radzientę i jednego ułana. Szarżowanie na budynek nie miało najmniejszego sensu, ale głupie decyzje na wojnie też czasem są uwieńczone powodzeniem. Ukraińcy uciekli z gorzelni. Opamiętałem się jednak i oddając konie do stajni, wziąłem od rannego ułana karabinek, aby poprowadzić małe uderzenie na gorzelnię, bo nie wiedziałem, czy Ukraińcy dalej uciekli, czy są w budynku.

Na szczęście zjawił się aspirant Julek Dudziński. Ten wyjątkowo odważny i zdecydowany człowiek, po zamianie ze mną kilku słów, rzucił się z podniesionym mauzerem na gorzelnię i kto był pod ręką z nim. Wpadliśmy do budynku. Ukraińców zobaczyliśmy o jakieś 150 kroków leżących na śniegu. Mała ich grupka przesuwała się w kierunku dworu. W gorzelni został Dudziński, a ja z czterema ludźmi pobiegłem, aby nie dopuścić do zajęcia dworu. Dopadliśmy na czas, aby obsadzić budynek.

Ja stanąłem za rogiem dworu i rozpocząłem od razu strzelać do zbliżających się Ukraińców. Jeden z nich zauważył moje stanowisko i położył się za drzewem w odległości nie większej jak 50–70 kroków. Gdy tylko wychyliłem się z rogu strzelił do mnie. Chybił. Teraz zaczął się pojedynek. Po kilkakrotnej wymianie strzałów, bez rezultatu, strzeliłem w pień drzewa, za którym leżał Ukrainiec. Strzał ten spowodował, że mój przeciwnik wyskoczył zza drzewa i wtedy zdążyłem zarepetować i strzelić w biegnącego jak do zająca. Przewrócił się i więcej nie oddał już żadnego strzału. Ukraińców odpędziliśmy od dworu, któryś z ułanów mówił mi, że mój strzał trafił wroga w brzuch i leży martwy.

Koło południa Ukraińcy zostali odparci na wszystkich odcinkach z dużymi stratami, wzięliśmy 39 jeńców i jeden karabin maszynowy. Sukces był wielki, biorąc pod uwagę, że po naszej stronie walczyło 80 ochotników, którzy pierwszy raz byli w ogniu i byli uzbrojeni jedynie w ręczne karabinki, gdy Ukraińcy uderzyli na nas wsparci ogniem baterii artylerii lekkiej, karabinami maszynowymi oraz siłą 400 ludzi. Wśród Ukraińców było wielu byłych żołnierzy z armii austriackiej. Przewagą naszą było na pewno lepsze dowództwo. Ta nieliczna, ale bojowa kadra potwierdziła powiedzenie Napoleona, że więcej zrobi stado baranów dowodzone przez lwa, niż stado lwów dowodzone przez barana.

Wkrótce dołączył do Dołhobyczowa batalion majora Bończy z Oszczowa. Walka ucichła. Pozostała we dworze niewiasta przygotowała coś do jedzenia. Ledwo udało mi się zjeść jakiś kawałek nogi kurczaka, gdy przyszedł któryś z naszych dowódców i zameldował majorowi, że u dwóch jeńców, podczas odbierania im broni i amunicji, znaleziono kule ponacinane. Major Dreszer rozkazał mi, abym natychmiast zaimprowizował sąd polowy i obydwu Ukraińców skazał na rozstrzelanie. Nigdy nie miałem w sobie instynktu okrucieństwa,

prosiłem więc majora, aby zwolnił mnie z tego obowiązku. Dreszer rozgniewał się na mnie i powiedział, że mam wziąć jednego ułana, jednego podoficera oraz, że sam, podczas głosowania, mam mieć ostatni głos.

Sąd odbył się w szopie, gdzie przyprowadzono obydwóch i przyniesiono nacięte pociski. Znaleźli się i świadkowie spośród cywilnej ludności, którzy poznali tych Ukraińców i stwierdzili, że pochodzą oni z Uchrynowa i że brali udział w zamordowaniu księdza. Na podstawie dowodów rzeczowych i zeznań świadków sąd skazał obydwóch na rozstrzelanie. Spisałem w notesie mały protokół i odczytałem jeńcom wyrok. Upadli na ziemię i stracili przytomność. Mówiono mi później, że gdy na drugi dzień rozstrzeliwano ich, byli pół martwi ze strachu. Po powrocie z tego sądu do dworu miałem niesmak i powiedziałem, że czuję coś przykrego wobec samego siebie. Dreszer wyśmiał się ze mnie i moich dziecinnych przesądów.

Znów wziąłem się do jedzenia, gdy obserwator z piechoty siedzący na dachu dworu zameldował, że widzi kolumnę piechoty zbliżającą się w kierunku Dołhobyczowa. Major rozkazał mi wysłać jeden pluton z zadaniem zaszarżowania Ukraińców. Lecz żadnego wolnego plutonu nie było, wszystko było w linii. Wtedy otrzymałem rozkaz zebrania kogo się da i natychmiast bezwzględnie szarżować. Siadłem więc na swego gniadego, a za mną mój Michał i ruszyliśmy szukać ludzi. Pierwszym spotkanym był mój kolega od Rontalera, ułan Kosztowski, a po chwili spotkałem Zygmunta Sokołowskiego, który z 10 ułanami wracał z patrolu. Oświadczyłem mu, że muszę mu zabrać natychmiast jego ułanów, bo otrzymałem rozkaz zaszarżowania zbliżających Ukraińców. Zygmunt nie protestował, tylko oświadczył, że jeżeli jego ludzie mają szarżować, to on jedzie ze mną. Ruszyliśmy kłusem, bo czas naglił, prosto drogą, a następnie skręciliśmy w prawo na drogę prowadzącą w kierunku meldowanej kolumny. Droga szła nieco pod górę, a na końcu wsi widać było wiatrak po prawej stronie. Koło wiatraka pokazała się szpica. Wyrwaliśmy szable z pochew i ruszyliśmy galopem w kolumnie dwójkowej, bo szerokość drogi nie pozwalała na rozwinięcie. Właściwie szable mieliśmy tylko ja, Zygmunt i Kosztowski, reszta miała tylko karabinki. Ale nikt tego nie brał pod uwagę. Był wydany rozkaz szarżować – to szarżować. Pod wiatrakiem dopadliśmy pierwszego Ukraińca, który wpadł między Zygmunta i mnie. Rąbnęliśmy obaj, ja w prawo, Zygmunt w lewo. Na polu czerniło się od Ukraińców bezładnie biegających i zdezorientowanych naszym nagłym zjawieniem się. Rozpoczęli nerwowy ogień. Natychmiast zobaczyłem, jak Zygmunt, jadący po mojej prawej stronie, nagle rozkrzyżował ręce i runął na zad swej pięknej, kasztanowatej klaczy. W następnej chwili uczułem jakby silne uderzenie w głowę i wydawało mi się, że lecę na prawą stronę z konia, głową w dół.

Gdy zaczęła mi wracać przytomność, poczułem ból pod prawym okiem i porwały mnie wymioty. Leżałem głową w śniegu. Spróbowałem unieść się, aby zobaczyć gdzie jestem. Już robiło się ciemnawo, ale śnieg pozwolił mi rozróżnić jakieś ciemne plamy. Sądziłem, że leżę wśród Ukraińców i od razu przyszło mi do głowy, co ze mną zrobią, gdy zorientują się, że żyję. Sięgnąłem po pistolet, lecz futerał był pusty. Szabli nie było też. Gdy lepiej przyjrzałem się swoim, już jedynym, zdrowym okiem, stwierdziłem, że ciemne plamy to porozrzucane plecaki, a Ukraińców nie było widać. Znów zagadnienie, co robić? Jeżeli dojdę do wsi, to tam ukraińscy chłopi też mnie mogą zamordować. Postanowiłem iść do wsi. Wstałem i podpierając się na pochwie od szabli uszedłem kilka kroków, lecz czułem się tak słaby, że znów upadłem w śnieg. W pewnym momencie usłyszałem jakieś głosy i poczułem, że kładą mnie na nosze i niosą. Straciłem przytomność i tylko od czasu do czasu wracała mi, gdy ktoś bandażował mi głowę i gdy zobaczyłem gwiazdy nad sobą, leżąc na saniach.

Wieziono nas do Hrubieszowa, czterech zabitych i sześciu rannych. Takie były straty w pierwszej bitwie odtworzonego 1 pułku ułanów, który później został przemianowany na 1 pułk szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Ta pierwsza zwycięska bitwa zdecydowała o duchu pułku i wyrobiła, jako kamień węgielny, tradycje bojowe pułku. Dlatego dzień 10 grudnia został wybrany jako dzień święta pułku.

Odjechałem do szpitala, a na drugi dzień dołączyła reszta szwadronu, a z nią mój młodociany ułan Adaś. Nie widziałem się z nim, a los zrządził, że to najmłodsze chłopię z nas pięciu braci na wojnie, jemu przypadło w udziale trafić w najcięższe warunki walk zimowych dla odciążenia Lwowa. Do Dołhobyczowa dołączyły później inne szwadrony, z wyjątkiem pierwszego, który pozostał pod Włodawą i patrolował Wołyń.

W Hrubieszowie byłem kilka zaledwie dni. Pamiętam tylko taki moment, gdy przyszła do mnie jakaś sanitariuszka i zapytała, czy nie zechciałbym, aby mi sprowadzić księdza. Odmówiłem kategorycznie z oburzeniem, nie dlatego abym był niewierzący, lecz uważałem tę propozycję za przygotowywanie mnie na tamten świat. Ja zupełnie nie miałem ochoty umierać, zwłaszcza że czułem na swych ramionach wymarzone srebrne naramienniki podporucznika. Zapakowano nas rannych do towarowego wagonu, na słomę i pojechaliśmy do Lublina.

Do Lublina przyjechaliśmy, gdy się już robiło ciemno. Na dworcu czekał na nas wóz sanitarny, oczywiście konny i na żelaznych obręczach. Poukładano nas na noszach i wpakowano do wozu, lecz gdy to paskudne wozisko ruszyło, po kocich łbach, kłusem, w wozie rozległ się nieopisany krzyk. Jeden z ułanów był ranny w kolano i wstrząsy wozu sprawiały mu straszny ból. Zatrzymano więc

wóz i zaproszono przechodniów, aby zanieśli nosze z rannymi do szpitala. Nikt nie protestował i poniesiono nas.

Po parominutowym leżeniu na korytarzu szpitalnym wniesiono mnie na salę operacyjną. Tu po zdjęciu bandaży z głowy usłyszałem głośny śmiech i słowa: a to szczęściarz, znów dostał w łeb, i to z prawej strony. Śmiał się doktor Gołąb, który w Legionach był w szpitalu polowym brygady i asystował, gdy mnie zeszywali po Trojanówce, a później został młodszym lekarzem pułku.

Początkowo rana goiła mi się szybko, choć czułem się ciągle bardzo osłabiony. Leżałem na ogólnej sali, gdzie leżało kilkunastu rannych w walkach z Ukraińcami. Leżał tu kolega beliniak Kuc-Rakowski (ostatnio generał na Zachodzie) ranny ekrazytówką w stopę. Biedak jęczał z bólu i przeszkadzał w nocy spać. Odwiedził mnie w szpitalu jeden z kolegów, będący w sztabie brygady kawalerii. Prosiłem go, aby załatwił mi przewiezienie mnie do szpitala w Warszawie. Załatwił mi i sam mnie odwiózł do Warszawy, lecz nie do szpitala, a chwilowo do swych rodziców, państwa Mieszkowskich. Poszedłem do szpitala Ujazdowskiego i tam trafiłem na jakiegoś zacnego lekarza, który zgodził się, abym leczył się ambulatoryjnie, przychodząc codziennie na opatrunki. Rana wlotowa pod okiem zagoiła się, był tylko duży strup, ale wylotowa przez ucho wymagała opatrunków, zwłaszcza że lekarz obawiał się, abym nie dostał róży. Mimo tego wyprosiłem sobie, abym mógł pojechać na Wigilię do domu, do Kłudna.

Jak zwykle byłem leniem do pisania listów i nawet mi nie przyszło do głowy, aby zawiadomić rodziców, że jestem ranny. Dowiedzieli się jednak z ogłoszonej w gazecie liście strat. Siadłem w pociąg i przyjechałem do Grodziska. Koni na stacji oczywiście nie było, ale spotkałem p. Jana Plebańskiego z Izdebna i poprosiłem, aby mnie podwiózł do Chlewni. On okazał się jednak na tyle dobrym patriotą, że zawiózł rannego oficera aż do Kłudna. Po drodze nie omieszkał jednak zapytać, czy to prawda, że Piłsudski żeni się z Perlówną. Odpowiedziałem mu, że na froncie nic o tym nie wiadomo, sądzę jednak, iż są to złośliwe plotki przeciwników politycznych.

Niewesoła była Wigilia w 1918 roku w Kłudnie. Rodzice byli smutni, choć nadrabiali miną. Czterech synów było daleko na wojnie, a piąty z przestrzelonym łbem siedział obok Hali i stracił humor. Przecież od wielu lat nigdy tak szczupłe grono nie siadało do Wigilii. Zawsze było dużo osób, dużo jedzenia i wesołości.

W drugi dzień świąt wyjechałem do Warszawy, bo musiałem iść na opatrunek. Zamieszkałem w swoim studenckim mieszkaniu, bo ojciec po wyjeździe naszym do wojska nie zlikwidował tego lokum. Na Sylwestra nawet, z obandażowaną głową, poszedłem na bal w „Niespodziance". Pierwszy karnawał w niepodległej Polsce był wesoły, a wojsko miało wyjątkowe powodzenie.

Choć równo w dwa tygodnie po dołhobyczowskiej ranie byłem na Wigilii w Kłudnie, to okazało się, że wcale nie jestem już zdrowy. Zaraz po Nowym Roku zaczęła mnie boleć twarz. Poszedłem więc do szpitala po radę. Przyjął mnie jakiś stary lekarz z wielkimi ostrogami, co mnie od razu speszyło, orzekł, że to nic wielkiego i kazał, abym sobie zrobił gorący okład na twarz. Zrobiłem i dostałem strasznych bóli. Poprosiłem więc p. Rusiecką, od której odnajmowaliśmy pokoje, aby sprowadziła mi jakiegoś dobrego lekarza z miasta. I dobrze się stało, bo o dziesiątej wieczorem przyjechał doktor Ciechomski, sławny chirurg i orzekł, że zaraz rano muszę iść do szpitala, lecz nie do wojskowego, a do Dzieciątka Jezus. Napisał kartkę do profesora Kryńskiego z prośbą, aby mnie zoperował. Zapewnił mnie, że choć to jest cywilny szpital, ale nikt nie będzie się czepiał formalności, gdy chodzi o rannego żołnierza. Pieniędzy za wizytę też nie przyjął.

Na drugi dzień po wizycie doktora Ciechomskiego, z jego kartką zgłosiłem się w szpitalu Dzieciątka Jezus. Przyjęto mnie od razu bez żadnych trudności i otrzymałem separatkę. Nie czekałem długo na operację. W sali operacyjnej, prócz profesora Kryńskiego, byli inni lekarze. Jeden z nich zaczął ze mną wesoło rozmawiać, co oczywiście wprowadziło mnie w dobry nastrój. W pewnym momencie powiedział: „No kładź się pan, poruczniku!”. Zaraz położyli mi maskę na twarz, zaczęli lać chloroform i liczyć.

Ocknąłem się w separatce w łóżku. Zbolały byłem mocno, a najprzykrzejsza była jakaś gumowa rurka stercząca mi z nosa. Założono mi dren do zatoki Highmore’a i wypuszczono nosem. Z rurki kapała powoli ropa. Jak mi później wytłumaczył wesoły lekarz, pocisk ka-rabinowy przeszedł przez zatokę i tam prawdopodobnie pozostały odłamki kości, które spowodowały ropienie. Lecz najgorszy ból nie skończył się na operacji. Otworzyła mi się rana pod okiem. Była wtedy przy mnie matka i nie odstępowały mnie na zmianę z Halą. Wycierpiałem wtedy strasznie i dopiero usnąłem, gdy zbierający wrzód pod okiem pękł. Obudziłem się zlany ropą, ale ból minął, tylko ta rura w nosie sterczała. Aż któregoś dnia przyszedł wesoły lekarz z miseczką i pensetą. Zaczął oglądać moją rurę i nagle szarpnął ją pensetą i uciekł z pokoju. W nosie zrobiło się pusto i zimno. Po chwili otworzyły się drzwi i mój doktorek zaczął się śmiać z mego pustego nosa.

Jeszcze byłem bardzo słaby, gdy odwiedził mnie w szpitalu wachmistrz Dudziński. Przywiózł ciało zabitego drugiego kolegi spod Dołhobyczowa – Julka Kamlera. Julek zginął pod Sulimowem. Był ranny i wynosili go pod ogniem. Dostał wtedy drugi śmiertelny postrzał. Wynosił go mój młodociany ułan Adaś, oczywiście z innymi kolegami. Śmierć Julka Kamlera bardzo mnie zabolała, bo na pewno byliśmy w wielkiej przyjaźni. Julek zginął nawet w mojej bekieszy,

bo bardzo mu kolana marzły i zamieniliśmy się, ja wziąłem w zamian jego krótki kożuszek ułański. W niedługim czasie przyszła znów wiadomość o śmierci Antka Wabińskiego i Przybysza pod Krystynopolem.

Moi koledzy, młodzi podporucznicy ginęli jeden po drugim lub byli ranni. Chłopcy byli odważni i bardzo ambitni. Posądzenie, że któryś się boi, było największa hańbą. Ja też już nie mogłem wytrzymać w szpitalu, wypisałem się, jak tylko lekarze się na to zgodzili.

Któregoś dnia wieczorem przyjechał z frontu Adaś. Wyglądał bardzo źle, był strasznie mizerny, brudny i zawszony. Okazało się, że na froncie dostał tyfusu, bo warunki walk z Ukraińcami były wyjątkowo ciężkie. Przeleżał jakiś czas w szpitalu w Hrubieszowie i zamiast odesłać to 16-letnie dziecko na urlop, aby wydobrzał w lepszych warunkach, odesłano go do pułku na front. Na szczęście spotkał go rtm. Skotnicki, a widząc w jakim jest stanie, załatwił mu urlop i odesłał do Warszawy. Gdy na drugi dzień zmierzyłem mu gorączkę okazało się, że ma 40 stopni. Pobiegłem natychmiast do najbliższego lekarza. Sprawa nie obeszła się bez małej awantury, bo lekarz w tych godzinach nie przyjmował i miał na dobitek gości. Próbował się wykręcić od wizyty, ale moich kilka słów zdecydowanych na temat obowiązku w stosunku do chorego żołnierza zrobiło swoje. Adaś musiał być natychmiast odesłany do szpitala. Umieściłem go w szpitalu Czerwonego Krzyża. Zawiadomiłem rodziców o przyjeździe i chorobie Adasia. Matka i Hala przyjechały i nie odstępowały od łóżka chorego. Mimo największych wysiłków nie udało się utrzymać życia tego dzielnego i tak zdolnego chłopca. Umarł w początkach kwietnia, nawet nie odzyskawszy przytomności. Do śmierci ciągle bredził o wojnie. Pochowaliśmy go w Żukowie nawet z honorami wojskowymi i salwą honorową. Karawanem odwieźli go na Wolę, a tu trumnę przełożono na resorowiec kłudzieński i ja z kilkoma szwoleżerami odeskortowałem go do Żukowa.

Jakoś pewno w marcu zmieniono nazwę naszego pułku z 1 pułku ułanów na 1 pułk szwoleżerów. Wprowadzono też na kołnierze srebrne proporczyki oraz – zamiast dotychczasowych maciejówek – angielskie czapki, takie jakie nosili dowborczycy, z amarantowym otokiem i białą wypustką nad otokiem. Byliśmy bardzo dumni z nazwy oraz srebrnych proporczyków, bo to wyglądało po gwardyjsku. Komendant znalazł piękne rozwiązanie nadając nam nazwę szwoleżerów. W chaosie organizującego się wojska było aż 5 pierwszych pułków ułanów: nasz, odtworzony pułk Beliny, 1 pułk ułanów krechowieckich, pochodzący z legionu Puławskiego, 1 pułk ułanów Wielkopolskich, który otrzymał numer 15, 1 pułk ułanów Austriackich z Krakowa otrzymał numer 8, wreszcie 1 pułk ułanów wileńskich, któremu nadano numer 13. Największe pretensje do pierwszego numeru mogli mieć krechowiacy, bo prócz naszego pułku, byli

najwcześniej sformowanym polskim pułkiem. Nie wiem, ale przypuszczam, że myśl nadania nam nazwy szwoleżerów poddał Orlicz-Dreszer, bo od czasów Trojanówki istniał pewien antagonizm między nim a Beliną i Dreszer nie bardzo chciał nawiązywać do tradycji beliniackiej, a chciał stworzyć własną tradycję szwoleżerską.

Jeszcze byłem w szpitalu, gdy do Warszawy przyjechał z frontu Dreszer i polecił mi, abym przyszedł do niego. Okazało się, że mamy iść do Belwederu prosić Komendanta, aby przyjął szefostwo naszego pułku. Podobno, jeszcze w Ostrołęce, przed kryzysem przysięgowym, korpus oficerski 1 pułku ułanów Legionów uchwalił, aby zwrócić się z prośbą do Komendanta Józefa Piłsudskiego o przyjęcie szefostwa i pozwolenie używania nazwy 1 pułk ułanów Józefa Piłsudskiego. Teraz, Dreszer znając tę uchwałę, postanowił ją zrealizować. Niestety nie pamiętam daty, ale chyba było to na początku marca 1919 roku, gdy przybyliśmy do Belwederu koło południa w dużej delegacji. Był z nami gen. Kawecki, generalny inspektor kawalerii, podpułkownik Belina-Prażmowski, dowódca 1 brygady kawalerii, major Orlicz-Dreszer, ja jako adiutant pułku i jeszcze paru oficerów, podoficerów i ułanów lub już może szwoleżerów. Ustawiliśmy się w salonie w jeden szereg, według starszeństwa i gdy przyszedł Komendant, Dreszer wygłosił krótkie przemówienie, prosząc Komendanta o przyjęcie szefostwa pułku. W przemówieniu swym zaznaczył, że wykonuje uchwałę korpusu oficerskiego 1 pułku ułanów i że opóźnienie prośby było spowodowane chęcią zasłużenia na ten zaszczyt przez wykazanie wartości bojowej odtworzonego pułku. Dziś, po walkach odciążających dla Lwowa i po ofiarach przelanej już krwi, uważam, że zasłużył pułk, aby dostąpić tego zaszczytu, aby nosić imię Komendanta. Nie umiem dokładnie powtórzyć tego przemówienia, które wypadło i ładnie, i po żołniersku. Komendant przyjął szefostwo i pułk od tego dnia nosił nazwę Józefa Piłsudskiego – 1 pułk szwoleżerów Józefa Piłsudskiego (a nie imienia).

W końcu marca 1919 roku pułk ściągnięto z frontu do Warszawy na reorganizację. Najpierw przybyły szwadrony 2, 3, 4, K.M. i techniczny. 1 szwadron z Wołynia przybył nieco później. W tym czasie przydzielono do pułku szwadron rtm. Sokołowskiego, który był na Polesiu. Szwadron ten nosił barwy 5 pułku ułanów. W naszej organizacji otrzymał on numer 4, a nasz hrubieszowski 4 podzielono między szwadrony 2 i 3. Na dowódcę tego szwadronu wyznaczono por. Jana Głogowskiego, gdyż rtm. Sokołowski został przeniesiony do innego pułku. 4 szwadron czasowo pozostał na Polesiu.

Zaczęła się szybka organizacja pułku, uzupełniano konie i ekwipunek. Wydano nowe szable, produkcji jakiejś warszawskiej fabryki i trzeba przyznać, że dość liche, choć ładne. Ja zostałem przydzielony do 3 szwadronu,

dołhobyczowskiego. Zostałem dowódcą I plutonu. II pluton miał Kazio Maks, a III Stefan Szyller.

Któregoś dnia Dreszer mnie i Tadeuszowi Jaroszewiczowi kazał jechać do Bristolu, do pani Heleny Paderewskiej, żony premiera, a prezeski Białego Krzyża, aby poprosić ją o przydział bielizny dla pułku, bo stan był okropny. Intendentura nie obiecywała wydania. Przyjął nas adiutant pani Paderewskiej, bardzo wytworny porucznik z 3 pułku ułanów i oświadczył, że mamy się streszczać, bo pani prezydentowa śpieszy się na posiedzenie Rady Ministrów. Wyszła do nas po chwili we własnej osobie pani Paderewska, której przedstawiliśmy naszą prośbę w imieniu pułku. Dostaliśmy jakąś odpowiedź, która nie zapowiadała otrzymania koniecznej dla nas bielizny. W rezultacie nic nie dostaliśmy. Za to artyści warszawscy okazali się bardziej przychylni, gdyż zgodzili się bezinteresownie wystąpić na koncercie, z którego dochód został przeznaczony na zakup czapek dla pułku. Nareszcie pułk otrzymał jednakowe czapki szwoleżerskie.

Tymczasem zakup koni odbywał się prawie codziennie i prawie do ostatniej chwili przed wymarszem na stację załadowczą. Byłem w ciągłym ruchu. Jeszcze przed samym wymarszem dopasowywałem siodła na nowe konie. Wreszcie osiodłano konie i nareszcie zobaczyłem swój pluton w gotowości marszowej.

Wiedzieliśmy, że szykuje się jakaś wyprawa wojenna, lecz nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy skierowani. Pułk był przeorganizowany i nawet przyjęto kilku nowych oficerów. Obsada personalna pułku była następująca: dowódca pułku – major Orlicz-Dreszer, adiutant – ppor. Dudziński, dowódca 1 szwadronu – por. Kmicic-Skrzyński, 2 – por. Szwejcer, 3 – por. Bieńkowski, K.M. – por. Siciński, techn. – por. Karcz. 4 szwadronu nie ściągnięto z Polesia i dołączył do pułku znacznie później.

Około 12 kwietnia 1919 roku, po południu, wymaszerowaliśmy na dworzec wschodni, gdzie załadowaliśmy się do wagonów, wymarsz z Warszawy był wesoły. Szwadrony śpiewały dość niecenzuralne piosenki, ale nikt nic sobie z tego nie robił. Publiczność odnosiła się do nas z wielką sympatią. Nawet znany nam gazeciarz, którego przezywaliśmy redaktorem, podał mi na konia gazetę i nie chciał wziąć pieniędzy. Nastrój był świetny. Zaczęły też krążyć plotki, że jedziemy zdobywać Wilno.

Na drugi dzień rano wyładowaliśmy się na stacji Skrzybowce. Por. Bieńkowski kazał nam sprawdzić stan ilościowy ludzi. Kiedy zacząłem z notesu odczytywać nazwiska, okazało się, że mam o czterech szwoleżerów za dużo i co najlepsze, że niewyczytani przysięgali się, iż należą do mego plutonu. Byli bardzo niezadowoleni, gdy ich oddałem Maksowi. Ze Skrzybowiec przeszliśmy na kwatery do wsi Papiernia, gdzie kwaterował 1 szwadron i dowództwo pułku.

Odwiedziłem więc na kwaterach Sianka oraz starych kolegów: Wiktora Szymanowskiego, Bolka Grygiera, Janka i Bogdana Chełmickich. Zygmunta już nie było w szwadronie, zwolnił się na skutek choroby.

Po jedno- lub dwudniowym postoju w Papierni rano przeszliśmy do wsi Myto. Tu staliśmy przy koniach około godziny. Już wiedzieliśmy, że idziemy na Wilno. Gdy podszedłem do 1 szwadronu, Janek Chełmicki, jak zawsze pełen dowcipu i humoru, zaczął błaznować i pokazując na pobliski cmentarz, mówił, że pod Wilnem wszyscy tak będziemy leżeli. Nikt się tym nie przejmował i wszyscy się śmieli, wreszcie padła komenda „na koń" i ruszyliśmy na most przez Dzitwę.

Na moście stał Komendant Piłsudski. Natychmiast zerwały się entuzjastyczne okrzyki „Niech żyje!". I całe nasze zgrupowanie kawalerii, składające się z 11 szwadronów, krzyczało i to nie z rozkazu, lecz szczerze, tak jak może być szczery w swym entuzjazmie tylko żołnierz na wojnie, który wie, za co walczy i pod czyim dowództwem.

Nasza kombinowana brygada szła pod dowództwem podpułkownika Beliny- Prażmowskiego. Jako szefa sztabu miał majora Piskora[31], i to nam nasuwało przypuszczenie, że Komendant jednak mocno liczy na szefa sztabu, bo Piskor nie był kawalerzystą, ale mocnym człowiekiem.

Po paru godzinach marszu zawezwano mnie do dowództwa pułku i tu otrzymałem zadanie wysadzenia toru kolejowego pod stacją Bastuny, na linii Lida-Wilno. Minęliśmy Lidę, w której toczyła się walka i słychać było silną strzelaninę. Byliśmy już na tyłach wojsk sowieckich. Jako materiał wybuchowy do wysadzenia toru otrzymałem kilka granatów trzonkowych związanych drutem. Wytłumaczono mi, że granaty trzeba przywiązać do szyny przy podkładzie i odpalić jeden środkowy granat, w którym był zapalnik.

Ruszyłem z patrolem złożonym z 10 szwoleżerów, pełen niepokoju, jak wykonać zadanie, bo nie miałem najmniejszego pojęcia o minerstwie. Jechałem lasem. Gdy znalazłem się za stacją Bastuny i zobaczyłem tor, zeszliśmy z koni i pieszo podeszliśmy do toru. Było pusto i nikogo nie było widać. Założyliśmy więc spokojnie nasze granaty i odeszliśmy parę kroków, kładąc się na ziemi. Kapral Herniczek odpalił i odbiegł, padając. Po kilku sekundach nastąpił wybuch. Rezultat był zupełnie słaby. Wyrwało kawałek podkładu, wygięło szynę i wyrwało dziurę w nasypie. Wracaliśmy do koni, gdy z kierunku Lidy usłyszeliśmy

[31] Tadeusz Piskor (1889–1951) – gen. dyw., współzałożyciel ZWC w Belgii, gdzie studiował. W czasie wojny w I Brygadzie LP, następnie w POW na stanowiskach kierowniczych. We wrześniu 1939 dowódca Armii „Lublin", na czele której stoczył trzydniową bitwę pod Tomaszowem Lubelskim – wobec okrążenia przez Niemców skapitulował 20 września, w czasie wojny przebywał w niewoli. Zmarł w Londynie.

bardzo silną detonację i zobaczyliśmy olbrzymi słup czarnego dymu. Jak później mówiono, wyleciał w powietrze wagon z sowiecką amunicją. Nie doszliśmy jeszcze do skraju lasu, gdzie były nasze konie, gdy z Lidy wyjechał pociąg pancerny, a zobaczywszy nas oddał kilka strzałów szrapnelami. Naprawienie takiego uszkodzenia pod osłoną ognia z pociągu pancernego trwało bardzo krótko i pociąg odjechał w kierunku Wilna. Dołączyłem do naszego pułku w Bastunach, gdzie natknąłem się na stojącego jako czujka Sianka.

Trzeciego dnia marszu, zupełnie bez styczności z nieprzyjacielem, stanęliśmy w jakimś majątku na postój. Po kilkugodzinnym odpoczynku w nocy wymaszerowaliśmy. Nie miałem mapy i zupełnie nie orientowałem się, jak daleko jesteśmy od Wilna. Gdy zaczęło szarzeć podchodziliśmy już do Wilna. Była to Wielka Sobota dnia 19 kwietnia 1919 roku. Szwadron nasz został wyznaczony do osłony artylerii, jednego plutonu pod dowództwem por. Stanisława Kopańskiego[32]. Na większą ilość artylerii nie stać było jeszcze młodego Wojska Polskiego. Za to obsadę oficerską pluton miał za silną (por. Sarnecki, ppor. Józefowicz i pchor. Herse). Zrobiło się widno i słychać było gwizdanie parowozów na stacji w Wilnie, gdy do szwadronu naszego przygalopował major Dreszer. Był podniecony i zły. Kazał mi natychmiast kłusem z plutonem jechać prosto do miasta. Oświadczył, że nasz pułk musi pierwszy wejść do Wilna.

Między Dreszerem a Beliną ciągle istniało ciche nieporozumienie datujące się od Trojanówki. Belina, znając ambicję Dreszera, rozmyślnie kazał natarcie na dworzec przeprowadzić 11 pułkowi ułanów, aby honor pierwszego wkroczenia do miasta przypadł raczej Zarusce, a nie Dreszerowi. Lecz Dreszer nie ustąpił i dlatego mnie kazał wjechać konno, aby pokazać, że właśnie 1 pułk szwoleżerów wjechał pierwszy do miasta. Dojechałem do Ostrej Bramy, gdy na dworcu rozpoczęła się strzelanina. Zaskoczenie było zupełne. Nikt się nas nie spodziewał. Miasto spało spokojnie i tylko nieliczni przechodnie z walizkami lub pakunkami szli na dworzec. Jakież było ich szalone zdziwienie, gdy zamiast bolszewików zobaczyli polskich kawalerzystów.

Otrzymałem rozkaz cofnięcia się pod most kolejowy, spieszenia się i natarcia na plac przed stacją. Gdy spieszałem pluton nagle z nasypu toru stoczył się trup sowieckiego wartownika stojącego przy moście. Pobiegliśmy ulicą w lewo i gdy dochodziliśmy do placu ze stacji zaczęli się wysypywać ułani 11 pułku. Jakiś cywil podbiegł do mnie i powiedział, że w hotelu obok dworca nocuje

[32] Stanisław Kopański (1895–1976) – gen. dyw. W latach 1915–1917 w armii rosyjskiej, następnie w I Korpusie Polskim na Wschodzie. W 1918 uczestnik walk o Lwów. Po wojnie m.in. w Sztabie Głównym (szef Oddziału III w 1935). W czasie II wojny na Zachodzie, m.in. dowódca Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w czasie kampanii libijskiej, następnie od lipca 1943 szef Sztabu Naczelnego Wodza. Zmarł w Londynie.

Joffe, był to jeden z uczestników zawierania traktatu brzeskiego. Wpadliśmy do hotelu, lecz ten ważny bolszewik zdążył uciec, prawdopodobnie usłyszawszy strzały na mieście.

Walka w mieście rozgorzała na dobre. Z placu przed dworcem zostałem ściągnięty do szwadronu, początkowo pod most kolejowy, aby następnie razem ze szwadronem posuwać się, już spieszeni, w kierunku placu Katedralnego, gdzie toczyła się walka. Bolszewicy strzelali z okien domów. W tej wyjątkowo trudnej walce w mieście został ranny nasz dowódca szwadronu por. Bieńkowski oraz ppor. Ksawery Zalewski z 1 szwadronu.

Przez noc staliśmy na placyku przed kościołem, chyba św. Anny na ulicy Wielkiej (może się mylę, w każdym razie na ulicy prowadzącej od Ostrej Bramy do placu Katedralnego). Rano, 20 kwietnia, w pierwszy dzień Wielkiej Nocy otrzymałem rozkaz, abym przyprowadził szwadron do Zielonego Mostu. Szliśmy pod nurami, bo ciągle jeszcze pojedynczo strzelano z okien. Poszliśmy tak do wielkiej kamienicy stojącej tuż przy moście, z okien której widać było drugi brzeg rzeki. Spotkałem tu majora Dreszera, który rozkazał obsadzić szwadronem kamienicę i ostrzeliwać z okien drugi brzeg rzeki. Mnie osobiście zatrzymał. Stałem za rogiem domu i widziałem ulice naprzeciw mostu. Na trotuarze, za drewnianym słupem telefonicznym, leżał Wiktor Szymanowski i strzelał z karabinu. Na środku ulicy stała samotnie nasza armata, wycelowana w kierunku mostu, lecz bez obsługi. Obok niej leżała skrwawiona czapka artyleryjska. Wzdłuż ulicy trzaskały gęsto pociski karabinowe. Widać było, że armata jest widoczna z drugiego brzegu i na nią jest skierowany głównie ogień. Gdy tak patrzyłem, przeszła mi przez głowę myśl, że straszne byłoby wyjście na ulice, teraz i właśnie w tym momencie usłyszałem głos majora Dreszera: „Panie poruczniku, przyprowadzi pan tę armatę! No – biegiem marsz!”. Siła rozkazu dla żołnierza jest olbrzymia. Nie namyślając się zupełnie, podkasałem poły swego długiego płaszcza, wyskoczyłem na ulicę, biegnąc do armaty. Gdy wypadłem na ulicę, po prostu zagotowało się od wściekłego ognia z drugiego brzegu, padłem do armaty i skryłem się za tarczę. Z bramy domu obok posłyszałem krzyk któregoś z artylerzystów: „Nogi na lawetę, bo dostają po nogach!”. Położyłem się na chwilę i stwierdziłem, że tarcza jest w dwóch miejscach przestrzelona. Zaraz za mną, pojedynczo, dobiegło 6 szwoleżerów z 1 szwadronu, których major kolejno wysyłał. Pchnęliśmy armatę, możliwie kryjąc się za tarczą. Ogień zza rzeki jeszcze bardziej wzmógł się, lecz udało nam się wypchnąć armatę na zasłonięte od ognia miejsce. Jeden tylko szwoleżer został lekko ranny w rękę. Odetchnąłem, gdy znalazłam się za zasłoną.

Wreszcie, przywieziona koleją spod Lidy, nadeszła piechota i przy jej pomocy Wilno zostało ostatecznie opanowane.

Gdy później z Zamkowej Góry spojrzałem na miasto, nie mogłem wyjść z podziwu, jak mogliśmy porywać się z 10 szwadronami, bo dwa były za miastem, na opanowanie rozległego Wilna. Sukces nasz był możliwy tylko dzięki zaskoczeniu i brawurowemu działaniu. Zwykły rachunek sił nie doprowadziłby do decyzji uderzenia na Wilno. Jedynie geniusz wodza jest zdolny przeliczyć na realne jednostki takie czynniki jak zaskoczenie i charakter żołnierza. Marszałek Piłsudski to umiał.

Tylko kilka dni po zdobyciu Wilna byłem w pułku. W ostatnich dniach kwietnia, na skutek choroby zostałem odesłany do kadry – do Warszawy.

Dowódcą kadry pułku, później zwanej szwadronem zapasowym, był rtm. Marian Żółkiewski. Gdy się u niego zameldowałem, ucieszył się i wyznaczył mnie na adiutanta. Okres mego pobytu w kadrze odznaczał się wielkim nieróbstwem. Sam Maruchna też nic nie robił. Razem łaziliśmy po knajpach, piliśmy nie najmniej, noce odsypialiśmy w dzień, a służba jakoś kulawo lazła. Taki stan mógł być tolerowany jedynie podczas wojny i to w słabo jeszcze zorganizowanym wojsku. Oficerowie frontowi uważali, że pobyt w kadrze to okazja do użycia żywota przed ponownym wyjazdem na front. Żółkiewski był dzielnym oficerem rezerwy kawalerii austriackiej, ale na pokojowej stronie wojska mało się rozumiał. Był bardzo ładnym, o męskiej urodzie trzydziestokilkuletnim mężczyzną, trochę pijus, trochę wariatowaty, a bardzo sympatyczny, choć czasem rozbrajająco naiwny. Główną osobą w kancelarii kadry był wachmistrz, starszy człowiek, z zawodu urzędnik bankowy lub coś w tym rodzaju. On to ratował sytuację, gdy adiutant, tj. ja, odsypiał zaległości po wspólnym bałaganieniu się z dowódcą. Lecz i on nie na wszystko mógł poradzić i mimo najlepszych chęci robił głupstwa. Kiedyś przyszło pismo z Kurii Biskupiej wytykające, że kadra nie wysyła szwoleżerów w niedzielę do kościoła. Nasz wachmistrz oburzył się na taką uwagę i wystylizował odpowiedź, którą dowódca Okręgu Warszawskiego, gen. Trzaska-Durski, pokazał przy raporcie Marianowi z zapytaniem, czy on to podpisał. Żółkiewski oczywiście przyznał się do podpisu i otrzymał karę aresztu domowego. Podpisywał przeważnie pisma nie czytając ich.

W czerwcu uprzedzono kadrę, że na Boże Ciało będziemy musieli wystawić eskortę do uroczystego wyjazdu Naczelnika Państwa do Katedry na nabożeństwo. Marianek oszalał. Spędził wszystkich krawców, jacy byli w kadrze i z koców amerykańskich kazał szyć ułanki. Biegał ciągle do warsztatu i robił awantury, aby postraszyć krawców, że robota musi być na termin skończona. Dla większej parady sprowadzono z Mińska Mazowieckiego czaka beliniackie,

które po kryzysie przysięgowym zostały tam odesłane. Na dowódcę eskorty zostałem ja wyznaczony. I ja o siebie zadbałem i kupiłem kitę huzarską, która zatknięta do czaka bardzo efektownie wyglądała. W oznaczonym terminie stanąłem z plutonem przed Belwederem. Komendant, gdy wyszedł, aby siąść do landa, zobaczył czaka legionowe i uśmiechnął się. Po powrocie do Belwederu z Katedry, przez adiutanta zostałem zaproszony na obiad z Naczelnikiem Państwa. Wielki to był zaszczyt dla mnie. Ponieważ adiutant nie określił godziny, odprowadziłem pluton do koszar i na obiad nieco się spóźniłem. Kazano mi zapłacić karę w sumie 2 marek. Takie były zwyczaje w kasynie belwederskim. Również płaciło się karę za dowcipy trochę niecenzuralne. Pamiętam, że Wieniawa powiedział jakiś kawał, za który Komendant, śmiejąc się, kazał mu zapłacić. Wieniawa położył od razu 4 marki, zaznaczając, że na pewno powie jeszcze coś, za co wypadnie mu zapłacić. Wzbudziło to ogólny humor i wesoły nastrój.

Później jeszcze eskortowałem nuncjusza papieskiego Ratti[33], późniejszego papieża. Gdy zjeżdżałem w dół w Książęcą, mój Gach pośliznął się na szynie tramwajowej i upadł. Zerwałem się i natychmiast siadłem na konia, choć kita wypadła mi z czaka, zdążyłem jednak podać odpowiednią komendę i oddać honory. W wiele lat później, gdy Wieniawa był u papieża, wspomniał on ten wypadek.

Widocznie major Dreszer zorientował się, że Marianek nie jest odpowiednim człowiekiem na stanowisko, jakie piastuje, a nie chcąc go dyskwalifikować, przysłał z frontu do kadry anioła stróża w osobie Julka Budzińskiego, który był na pewno nie tylko odważnym i dzielnym oficerem, ale energicznym i poważnym człowiekiem. Julek został więc adiutantem kadry, a ja poszedłem do szwadronu marszowego, z którym miałem wyjść na front.

Nieszczęście chciało, że galopując na Gachu, ten w pełnym cwale przewrócił się, a ja padając przez łeb, wybiłem sobie prawą rękę ze stawu. Oprzytomniałem dopiero w szpitalu Ujazdowskim przy naciąganiu ręki. Oczywiście, że na dłuższy czas zostałem unieruchomiony i na front nie wyjechałem.

W październiku, gdy czułem się już dostatecznie dobrze, wyznaczono mnie na kurs do Szkoły Jazdy w Starej Wsi pod Warszawą. Tu było po 6 podporuczników lub poruczników z pierwszej i drugiej brygady jazdy. A więc z 1 pułku szwoleżerów, 7 i 11 pułku ułanów oraz z drugiej brygady z 4, 10 i 13 pułku ułanów. Dodatkowo było dwóch oficerów z pułków dragonów, tj. kawalerii dywizyjnej piechoty. Komendantem szkoły był płk Rudolf. Instruktorami jazdy konnej byli w naszej brygadzie rtm. Władysław Bzowski, a w drugiej brygadzie

[33] Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI (przyp. red.).

major Jakowlew – Rosjanin. Po inspekcji gen. Kaweckiego, generalnego inspektora kawalerii, na komendanta szkoły przyszedł ppłk Wołkowicki[34] – też Rosjanin (dowódca szwadronu z mitawskich huzarów z Częstochowy majora Dreszera, którego ten zaprotegował, jako porządnego Moskala), na zastępcę znów przyszedł major Swide von Poten, wiedeńczyk, który nie umiał zupełnie mówić po polsku. Wołkowicki też słabo mówił po polsku. Jak oni się porozumiewali, trudno powiedzieć. Początkowo główny nacisk był położony na jazdę konną. Dziś można się z tego tylko śmiać. Nasz Bzowski, zwany Bzuniem, twierdził, że najważniejsza jest umiejętność jazdy konnej. I faktycznie tego nas gorliwie uczono. Jeździliśmy po cztery godziny dziennie na lonży i bez strzemion. To były zapatrywania byłych oficerów z armii austriackiej. Pamiętam taki szczegół. Nasza kadra stała jakiś czas z kadrą 3 pułku ułanów w koszarach na Ułańskiej. Z 3 pułku ułanów wysyłali szwadron marszowy na front. Przyjechał podwozem gen. Kawecki na przegląd szwadronu. Wysiadł i spojrzał z daleka na szwadron. Krzyknął „Indianie" i odjechał. Nie zapytał, czy ułani umieją strzelać, czy mają pojęcie o służbie polowej, czy wreszcie umieją dostatecznie jeździć konno. To było nieważne. Ważne były tylko źle dopasowane napierśniki u siodeł i munsztuki. Po paru tygodniach przyjechał do szkoły major Francuz. Ten na pewno przewyższał inteligencją naszych Moskali i Austriaków. Major de Mazerat uczył nas służby polowej i trochę taktyki, zresztą wykładając po francusku, robił to przez tłumacza, którym był nasz kolega pułkowy ppor. Tadeusz Jaroszewicz. Przyjeżdżali też dorywczo inni oficerowie francuscy, do walki pieszej i gimnastyki. Byli to na pewno dobrzy instruktorzy, choć to, czego nas uczyli, to było dobre na zachodnim froncie pod koniec wojny. Nasza wojna odbywała się w innych warunkach i wymagała innej taktyki. W każdymi razie nauczono nas na pewno dobrze jeździć konno i uczyć jeździć, i dano nam choć nikłe pojęcie o zasadach służby w polu. Przed końcem kursu przyjechał jeszcze jeden instruktor od jazdy konnej, a był nim jeździec olimpijski major Rómmel[35]. Jego teorie były zaprzeczeniem teorii austriackich. Dał on nam początki jazdy sportowej przez przeszkody.

Podczas trwania kursu ożeniłem się z siostrą mego kolegi pułkowego Heleną Rackmann. Ożeniłem się bez formalnego pozwolenia, ale przeszło mi to jakoś bez konsekwencji służbowych, zwłaszcza że w tydzień po ślubie kurs został

[34] Jerzy Wołkowicki (1883–1983) – gen. bryg., oficer armii rosyjskiej, zasłużony i odznaczony w wojnie japońskiej, dzięki czemu będąc aresztowanym przez Armię Czerwoną w 1939 uniknął Katynia (!) i przeżył wojnę, w której ze względu na podeszły wiek nie brał już czynnego udziału.

[35] Karol Rómmel (1888–1967) – płk w czasie wojny w armii rosyjskiej, następnie w kawalerii WP, czynny w sporcie jeździeckim; brat gen. dyw. Juliusza Rómmla.

rozwiązany, a my odesłani do pułków. Lecz ja, z bólem w sercu, nie wróciłem do mego kochanego 1 pułku szwoleżerów, a byłem zmuszony do przeniesienia się do 7 pułku ułanów.

Sprawa przedstawiała się tak. Na sylwestra 1919 roku byłem zaproszony do rodziny mojej narzeczonej razem z Marianem Żółkiewskim. Gdzieś około drugiej w nocy, mając trochę w czubie pojechaliśmy do kasyna pułkowego, gdzie też obchodzono sylwestra. Między wieloma osobami na sylwestrze była aktorka operetki warszawskiej Wanda Filochowska, do której od dłuższego czasu płonął afektem nasz dowódca pułku major Dreszer. Znałem ją dobrze i nawet byłem z nią na ty. Po przywitaniu się z nią i pewno złożeniu życzeń noworocznych zacząłem ją prosić, aby coś zaśpiewała i w pewnym momencie, choć tego dobrze nie pamiętam, podobno pogładziłem ją pod brodą. Nie pamiętam, aby się na mnie obraziła, zdaje się, że uderzyła mnie po ręku. Tańczyliśmy jeszcze i nic nie wiedziałem, że burza wisi nad moją głową. W Nowy Rok około południa zjawili się u mnie, bardzo oficjalnie, por. Kmicic-Skrzyński i ppor. Dudziński, którzy w imieniu dowódcy pułku zażądali, abym złożył podanie o przeniesienie mnie z pułku. Prywatnie Dudziński powiedział mi, że obraziłem narzeczoną dowódcy pułku. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że Dreszer żeni się z Filochowską. Był to dla mnie wielki cios. Poszedłem jeszcze tego samego dnia przeprosić Filochowską, ale czułem się bardzo skrzywdzony. Więc moje rany i krew przelana w pułku nic nie były warte, wobec nawet nietaktu popełnionego w stosunku do osoby, o której nie wiedziałem, że wejdzie do rodziny pułkowej. Z rozdartym sercem zwróciłem się do kolegów legionowych, aby mi dopomogli przenieść się do 7 pułku ułanów, w którym wielu z nich służyło. Załatwili to z majorem Januszem Głuchowskim[36] i po złożeniu na piśmie podania z wyrażona zgodą majora Dreszera, zostałem w marcu przeniesiony do 7 pułku ułanów.

Pod koniec kwietnia, po rozwiązaniu kursu zostałem odesłany do kadry 7 pułku ułanów do Ciechanowa. Czułem się fatalnie, na szczęście przydzielono mnie do szwadronu marszowego, z którym po paru dniach wyjechałem na front, jako jego czasowy dowódca. Szwadron był pieszy, bez koni. To też uderzyło mnie w ambicję, ale zaciskałem zęby wiedząc, że w nowym środowisku muszę sobie zdobyć markę.

W pierwszych dniach maja wyładowałem się z moją marszówką w Podświlu i otrzymałem rozkaz maszerować do Hermanowicz. W Łóżkach przechodziłem przez kwatery szwadronu technicznego 7 pułku ułanów. Jako nowy oficer

[36] Janusz Głuchowski (1888–1964) – gen. dyw. W 1914 Beliniak, ostatni dowódca 1 p. uł. LP. W Wojsku Polskim m.in. komendant Centrum Wyższych Studiów Wojskowych i dowódca Okręgu Korpusu X w Przemyślu. W 1935–1939 wiceminister spraw wojskowych. Po wrześniu 1939 na Zachodzie. Zmarł w Londynie.

pułku zameldowałem się dowódcy szwadronu rotmistrzowi Paszkowskiemu. Ten oczywiście uważał, że nowa znajomość musi być i zmusił mnie do wypicia szklanki jakiejś strasznej samogony, bo wódki nie było. Już podczas marszu słychać było silny, choć daleki ogień artylerii. Byłem jedynym oficerem w tym pieszym szwadronie złożonym ze 140 rekrutów. Miałem tylko dobrego wachmistrza szefa z niemieckiej armii Bąkowskiego. Podoficerowie na plutonach byli do niczego, przeważnie łajzy i dekownicy, których wypchnięto na front. Wprawdzie w transporcie moim jechali moi koledzy ze szkoły w Starej Wsi, ale oni nie chcieli nic mieć wspólnego z pieszym szwadronem i zaraz po wyładowaniu się siedli na konie i pojechali do pułku.

Maszerowałem więc sobie po traktach wysadzanych dwoma rzędami z każdej strony piękny brzozami, zwanych napoleońskimi. Szedłem pieszo, choć miałem konia, którego mój luzak prowadził za szwadronem i rozmyślałem, jak z czołowego oficera 1 pułku szwoleżerów zjechałem na fusreitera w 7 pułku ułanów. Przecież jeszcze w listopadzie, gdy wręczano sztandar pułkowi, mnie ściągnięto ze szkoły i postawiono na tym honorowym miejscu przy sztandarze. Zmarzłem wtedy niesamowicie, bo był mróz, a Dreszer kazał nam jechać w mundurach, bez płaszczy. Lecz te przeciwności losu nie łamały mnie, miałem tylko wielki żal do Dreszera i do końca jego życia nigdy stosunki między nami nie wróciły do tych, jakie były jeszcze w Wilnie. Dreszer był silnym człowiekiem pod względem charakteru i na pewno wyjątkowo dobrym dowódcą bojowym, ale nie znosił wokół siebie ludzi mających własne zdanie. Był wyjątkowo zarozumiały i uważał, że myśleć to tylko on potrzebuje, inni muszą tylko słuchać i możliwie zachwycać się nim. Dlatego chętnie otaczał się miernotami. Miał przy sobie kilku bardzo tęgich oficerów, ale tych narzucono mu, jak np. ppłk. dypl. Lenczowskiego, od którego bezwzględnie wiele się nauczył.

Po kilku dniach marszu dotarłem wreszcie do Hermanowicz i tu zaczyna się nowy rozdział moich wspomnień. Zaczyna się pamiętny w zdarzenia rok 1920, który przeszedłem na froncie w 7 pułku ułanów, w pułku bardzo bojowym, a po wojnie odznaczonym orderem Virtuti Militari na sztandarze.

Rok 1920 – wojna

Rok 1920 miał wielkie znaczenie dla Polski. Był to rok początkowo wielkiego sukcesu i wielkich zamiarów, później ogromnego niebezpieczeństwa, aby skończyć się triumfem.

Wyprawa kijowska dała początkowy sukces terytorialny, nie dała jednak wypełnić zamierzonego zadania. Nie udało się rozbić sił przeciwnika, aby

uniemożliwić projektowaną ofensywę sowiecką przeciw Polsce. Zamierzenia polityczne też nie powiodły się. Ukraina nie odzyskała niepodległości. Wtedy, gdy na gruzach carskiej Rosji powstawały niepodległe państwa (nie mówiąc o Polsce) jak Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa, wielka Ukraina nie zdobyła się na zrzucenie jarzma niewoli. Widocznie naród ten nie dojrzał jeszcze do niepodległego bytu. Buntował się przeciw każdej władzy, a własnej nie wytworzył.

Ofensywa sowiecka Tuchaczewskiego na Polskę doprowadziła Moskali pod bramy stolicy i był okres, gdzie słabsi duchem myśleli o poddaniu Warszawy. Lecz Naczelny Wódz nie załamał się, a stworzywszy piękny plan kontrofensywy, rozbił doszczętnie zamierzenia sowieckie i zagrodził bolszewikom pochód na zachód Europy. Nie darmo jeden z mężów stanu, Anglik, nazwał bitwę pod Warszawą „Osiemnastą decydującą bitwą świata". Wreszcie po bitwie Grodzieńskiej i po rozbiciu Budionnego na południu, mogło dojść do korzystnego zawarcia zawieszenia broni i do zawarcia pokoju.

Rok 1920 przeżyłem na froncie, na stanowisku dowódcy plutonu w 7 pułku ułanów. Mało orientowałem się w ogólnym położeniu i nigdy nie upadałem na duchu w najcięższych chwilach, bo zawsze wiedziałem, że na wojnie, jak na wojnie, raz się jest pod wozem, to znów na wozie. Gdy się ma zaufanie do swego dowództwa, nie przeżywa się dramatów i rozterek. Żołnierz po prostu słucha i nie przejmuje się wielkimi zagadnieniami, a pozostawia je swoim przełożonym. Osobiście jest zadowolony, gdy jest najedzony, ma nakarmionego konia i jest wyspany.

Ja, pisząc swoje wspomnienia, nie mam zamiaru poruszać wielkich zagadnień, bo wtedy, gdy przeżywałem te wielkie chwile miałem lat 23 i umysłowość moja nie sięgała wysoko. Pięć lat spędzonych, z przerwą, w wojsku i na wojnie nie zrobiły ze mnie człowieka wyrobionego ani politycznie, ani wojskowo. Byłem tylko żołnierzem. Na pewno nie najgorszym, ale często lekkoduchem i naiwnym, choć z dużą dozą ambicji.

Gdy dochodziłem z moją marszówką do Hermanowicz w połowie maja, ofensywa sowiecka na północ od Polesia już była w toku, a wojska nasze były w odwrocie. Położenia na froncie zupełnie nie znałem, ale słysząc kanonadę artyleryjską orientowałem się, że coś się dzieje. W Hermanowiczach dostałem pisemny rozkaz z dowództwa 1 brygady kawalerii, w myśl którego zostałem wraz ze szwadronem oddany do dyspozycji grupy majora Tarabanowicza. Na dole rozkazu był dopisek własnoręczny Beliny następującej treści: „Ppor. Szostak jest odpowiedzialny, aby Hermanowicze nie były zajęte przez npla do dnia..." data dotyczyła następnego dnia po przyjściu do Hermanowicz. Dopisek ten mocno mnie zdziwił. To ja podporucznik, podległy majorowi mam być odpowiedzialny za wykonanie zadania bojowego?

Poszedłem do pałacu, w którym było dowództwo grupy i zameldowałem się. Major Tarabanowicz był do 1918 roku oficerem austriackim i nie zrobił na mnie wrażenia tęgiego dowódcy, natomiast jego szef sztabu kapitan Przyjałkowski przejawiał nadmiar fantazji, co tchnęło pozerstwem. Major oświadczył mi, że już czeka na niego powóz i zaraz odjeżdża, a ja mogę sobie sam bronić Hermanowicz. Na to zaprotestowałem i jakoś ten wyjazd odłożono.

Wróciłem do szwadronu i wybrawszy pozycję obronną, nakazałem okopywanie się. Na szczęście doleżeliśmy na pozycji do drugiego dnia i bolszewicy nie natarli i dlatego bez trudu zadanie zostało wykonane. Na drugi dzień został nakazany odwrót. Maszerowałem z 21 pułkiem piechoty. Dziś trudno mi określić, jak daleko cofnęliśmy się, zresztą bez styczności z nieprzyjacielem.

22 maja byliśmy w Szarkowszczyźnie. Stanęliśmy przed wieczorem we wsi, gdy zaczęło się natarcie sowieckie. Otrzymałem rozkaz przeprowadzenia przeciwnatarcia. Rozwinąłem szwadron na wschodnim skraju wsi. Moich 140 ułanów zajęło stosunkowo szeroki front. Przez nasz front przechodziła cofająca się piechota. Piechurzy dość beztrosko szli tyralierą, a nawet dwóch niosło na kiju dużą faskę masła. Przeszli przez naszą linię, gdy pojawili się bolszewicy. Nakazałem otwarcie ognia. Klęczałem za leżącą tyralierą, lecz gdy zaczęły gwizdać pociski bolszewickie, zauważyłem, że moi ułani, a właściwie rekruci, chowają głowy i strzelają Panu Bogu w okna. To mnie doprowadziło do złości, wstałem więc, a znalazłszy odłamaną gałąź wierzbową, porwałem ją i zacząłem walić tych wszystkich, którzy strzelali w górę. Skutek był znakomity. Zaczął się normalny ogień. Po pewnym czasie ktoś krzyknął z lewego skrzydła, że obchodzą nas. Spojrzałem i zobaczyłem jakiegoś wysokiego żołnierza, który machał czapką i coś krzyczał do nas. Zaczynał się zmierzch i trudno było poznać, kto to jest. Użyłem więc lornetki i stwierdziłem, że na nasze lewe skrzydło wychodzą bolszewicy. Nakazałem wycofywanie się. Niestety za sobą miałem rzeczkę i musieliśmy się wycofywać po wąskiej kładce koło młyna. Normalnie zastanawiałbym się, czy po niej przejdziemy, lecz pod ogniem przebiegliśmy bardzo zgrabnie. Na szczęście zaczęło się robić ciemno i ogień bolszewicki był mało skuteczny. Mimo to miałem kilku ludzi rannych i zabitych. Już za rzeką, gdy cofaliśmy się, jeden biedny rekrut był tak wystraszony, że szedł na czworakach. Zwróciłem mu uwagę, żeby podniósł się, lecz on nie posłuchał i w tym momencie otrzymał postrzał w głowę. Trup na miejscu. Przeznaczenie!

Po niefortunnym odwrocie spod Szarkowszczyzny cofaliśmy się dalej na zachód. Zostałem jednak wycofany z grupy majora Tarabanowicza i przeszedłem pod dowództwo naszej brygady w Jodach. Tu staliśmy kila dni i tu przybył do szwadronu nowy dowódca szwadronu ppor. Władysław Dunin-Borkowski oraz dwaj dowódcy plutonów: ppor. Kaftański i pchor. Śliwiński. Ja zostałem

dowódcą 1 plutonu i zastępcą Borkowskiego, z czego byłem bardzo zadowolony, bo spadł ze mnie obowiązek odpowiadania za działalność wątpliwej wartości oddziału.

Podczas postoju w Jodach zawezwano mnie, któregoś wieczoru, do sztabu brygady i doręczono mi rozkaz do 7 pułku ułanów, który stał nad granicą łotewską w odległości 50 km, z zadaniem dostarczenia go na drugi dzień rano. Wyznaczono mi marszrutę, oczywiście nie dając mapy, a podając tylko nazwy miejscowości, przez które mam jechać. Po drodze miałem wziąć kilku ułanów z 11 pułku, jako eskortę, bo rozkaz był ważny i pilny.

Ruszyłem więc zaraz z wieczora, ułanów przydzielono mi i jechałem od wsi do wsi pytając o drogę. Gdy pytałem, czy we wsi są nasze wojska, otrzymywałem odpowiedź, że były, ale poszły, a bolszewicy jeszcze nie przyszli. Zorientowałem się więc, że wyznaczono mi marszrutę w pasie, skąd odeszły nasze oddziały, a bolszewickie albo nie nadeszły jeszcze, albo mogły już nadejść. Lecz rano, dość i zmęczony, i głodny dotarłem do 7 pułku ułanów i rozkaz doręczyłem! Tu odpocząłem kilka godzin, coś zjadłem i nakarmiwszy Gacha ruszyłem w powrotną drogę. Po południu znalazłem się w Brasławiu nad jeziorem Dryświaty. Byłem bardzo głodny. Na szczęście spotkałem dwóch oficerów z piechoty, których zapytałem, czy jest jakaś możliwość dostania czegoś do zjedzenia. Oficerowie ci zaprosili mnie na jajecznicę, którą miał przynieść ich ordynans. I faktycznie przyniósł całą średniej wielkości miednicę pełną jajecznicy ze skwarkami i chleb razowy. Siedliśmy więc nad jeziorem i zjedliśmy we trzech całą zawartość miski. Po takim posiłku i po nakarmieniu Gacha ruszyłem w dalszą drogę, aby wieczorem dotrzeć do Jodów i oddać pokwitowanie. W sztabie brygady powitano mnie, jak gdybym powrócił z tamtego świata. Jak obliczyłem, zrobiłem podczas 24 godzin około 115 kilometrów. Mój Gach zdał egzamin wytrzymałości i okazał się lepszym, niż przypuszczałem.

W Jodach dowiedziałem się, że została zorganizowana armia rezerwowa pod dowództwem gen. Sosnkowskiego, która ma przeprowadzić kontrofensywę i że nasza brygada wchodzi w skład tej armii. I faktycznie przestaliśmy się cofać, a ruszyliśmy naprzód. Szwadron nasz brał teraz udział w kilku natarciach, w których ponosiliśmy minimalne straty, aż dotarliśmy pod Kulki, pomiędzy błotami Jelni a Dźwiną.

Nasza ofensywa nie posunęła się dalej. Niewielkiego odcinka frontu miała bronić nasza dwupułkowa obecnie brygada, bo 1 pułk szwoleżerów odszedł przed wyprawą kijowską, wzmocniona batalionami piechoty. Początkowo na wyznaczony odcinek wysłano szwadron techniczny i naszą marszówkę z zadaniem wytyczenia linii obronnej i wykopania okopów. Pracę rozpoczęliśmy rano.

Myślę, że wytyczenie linii nie było fachowo zrobione, choć mieliśmy najlepsze chęci, bo nikt z nas nie znał się na piechurskiej robocie.

Podczas kopania okopów zaszedłem na odcinek szwadronu technicznego porozmawiać z rtm. Paszkowskim. Rotmistrz zaczął chwalić moje blizny na twarzy i zazdrościł mi ich. Powiedziałem mu, że takich rzeczy nie należy zazdrościć, bo z ranami to nigdy nie wiadomo, jak się kończą. Wymówiłem widocznie w złą godzinę, bo koło południa, gdy okopy nie były jeszcze zupełnie skończone, rozpoczęło się natarcie bolszewickie, które zresztą zostało przez nasze pułki odparte, ale ciężko ranny został rtm. Paszkowski i po paru godzinach zmarł.

Na tej pozycji staliśmy około miesiąca, oczywiście rozbudowując ją. Na prawo od nas stał 11 pułk ułanów, na lewo batalion piechoty. Nasze szwadrony zmieniały się, tylko nasza marszówka stała cały czas w okopach. Nie była to specjalnie ciężka służba. Odcinek był raczej bierny, dostawaliśmy tylko od czasu do czasu porcje pocisków artyleryjskich, od których zginął ppor. Dąbrowski i kilku ułanów. Któregoś dnia pod koniec czerwca odwiedził nas w okopach Dreszer, który awansował już na pułkownika. Przygadywał mi do moich zapuszczonych rudych wąsów i odjechał.

W pierwszych dniach lipca zluzowała nas piechota, a nasza brygada pomaszerowała na stację załadowczą, gdzie załadowaliśmy się pospiesznie. Wieziono nas na południowy front. Jechaliśmy dniem i nocą przez Brześć, Kowel do Równego. Miałem silną biegunkę i byłem mocno wyczerpany, bo żywiono nas w ostatnich czasach konserwami mięsnymi. Jak nic nie jadłem, poprawiało mi się, lecz gdy z głodu znów zjadłem nieco konserw, zaczynało się od nowa. Dopiero w drodze wyleczyłem się radykalnie, bo nic nie jadłem prócz czarnych jagód.

Wyładowaliśmy się w Równem. Na dworcu spotkaliśmy oficerów z 3 dywizji piechoty. Byli pod wrażeniem nocnego napadu na nich kawalerii Budionnego, podczas którego ich dowódca gen. Berbecki jakoby uciekał w bieliźnie. Byli zupełnie zdemoralizowani i twierdzili, że przed kawalerią zupełnie obronić się nie można. Byłem innego zdania, ale wytłumaczyć im tego nie mogłem.

Nasz szwadron pozostał na kwaterach w jakiejś wiosce tuż pod miastem. W powietrzu czuło się złą sytuację i pewne naprężenie nerwowe. Około 6 lub 7 lipca dostaliśmy rozkaz osłaniania olbrzymiej kolumny taborów cofających się z Równego na Klewań. Maszerowaliśmy więc obok szosy od strony wschodniej, skąd mogło przyjść zagrożenie. Tak doszliśmy do Klewania, gdzie zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Było spokojnie i nie było nawet słychać żadnych strzałów. Poprosiliśmy dowódcę kolumny, aby zezwolił ułanom powsiadać na wozy, gdyż byli już dość pomęczeni maszerując w upał i w kurzu.

Zezwolił. Lecz ledwie kolumna przeszła około pół kilometra, nagle została ostrzelana ogniem karabinu maszynowego. Powstała panika. Ledwie zdążyłem część ułanów zebrać przy sobie, gdy szosa opustoszała, pozostało tylko trochę połamanych wozów w rowach i poprzewracanych, okaleczonych koni. Reszta galopem uciekła. Sądny dzień. Rozsypałem moją garstkę w tyraliery i zajęliśmy stanowisko na skraju lasu blisko szosy. Bolszewików nie było widać, prawdopodobnie jakiś podjazd z taczanką narobił takiego rejwachu. Po pewnym czasie posłyszeliśmy turkot pociągu za nami. Okazało się, że w pobliżu przechodzi tor kolejowy, na którym stoi pociąg pancerny. Załadowaliśmy się więc na pancerkę, która zawiozła nas do Kowla.

Z Kowla natychmiast odesłano nas do Zamościa, gdzie organizowała się konna armia gen. Sawickiego. Tu zebrał się nasz cały szwadron. Nawet moje i Borkowskiego rzeczy z naszymi młodocianymi ordynansami dotarły. Tu muszę podkreślić spryt mojego Lucjana Szwejkowskiego i Wojtka. Chłopcy pozostali w Równem z wozami jednokonnymi, na których były nasze walizki, gdy Budionny zajmował Równe. Udało im się wyjechać z miasta i okrężnymi drogami po kilkunastu dniach dotarli pod Zamość. Pod Zamość ściągały z różnych kadr szwadrony marszowe, złożone ze starych rezerwistów kawalerii państw zaborczych, na koniach z zakupu krajowego oraz z demobilizowanych oddziałów kawalerii amerykańskiej. Szwadrony te nie przedstawiały wartości bojowej i na pewno ustępowały znacznie szwadronom ochotniczym, młodym i zaprawionym w ostatnich miesiącach walk. Uzupełniono więc nimi szwadrony, aby przemieszać naszych starych żołnierzy z mniej bojowym elementem rezerwowym.

Konna armia gen. Sawickiego miała się składać z dwóch dywizji i jednej samodzielnej brygady. 1 dywizję objął pułkownik artylerii Juliusz Rómmel, 2 dywizję pułkownik, z austriackiej armii, Orzechowski. Samodzielną brygadą dowodził pułkownik Orlicz-Dreszer. Nasz 7 pułk ułanów miał wejść w skład 2 dywizji konnej.

Z postoju pod Zamościem dostałem kilkudniowy urlop, który formalnie liczył się jako wyjazd służbowy do Warszawy w sprawie siodeł. Po parodniowym pobycie w Warszawie wyjechałem do pułku. Trzeba przyznać, że pobyt w Warszawie w tym czasie był po prostu krępujący. Na trotuarach widziało się wymalowane białą farbą napisy: „Wszyscy na front". Na ulicach prawie nie spotykało się oficerów, wyczuwało się napięcie z powodu rozwijającej się ofensywy bolszewickiej, a do wojska wstępowali już nie tylko młodzi ludzie, lecz i starsi, niejednokrotnie szedł ojciec z synem.

Gdy przyjechałem pod Zamość pułku już nie zastałem. Zaczęło się więc poszukiwanie. Byłem we Lwowie, Brodach, Kamionce Strumiłowej, gdzie

spotkałem ładujących się szwoleżerów, wreszcie po kilku dniach trafiłem na ślad pułku i znalazłem go w Uchrynowie, niedaleko od Dołhobyczowa. Tu dowiedziałem się, że nasza piesza marszówka została nareszcie rozformowana, a ja zostałem przydzielony do 1 szwadronu, którym dowodził ppor. Jakóbski, gdyż poprzedni dowódca rtm. Piasecki objął dowództwo pułku. Tu dowiedziałem się o niefortunnej bitwie pod Klekotowem, gdzie wielkie straty poniósł 5 pułk ułanów i o odebraniu dowództwa 2 dywizji kawalerii płk. Orzechowskiemu.

Był początek sierpnia 1920 roku. Od ppor. Borkowskiego dowiedziałem się o przygotowaniach do naszej kontrofensywy. Powiedział mi to pod wielkim sekretem, wierzyłem mu, bo objął stanowisko adiutanta pułku i mógł o tym wiedzieć. Ucieszyła mnie ta wiadomość, bo serce się krajało, słysząc o postępach bolszewików. A już najprzykrzejszą rozmowę miałem z jakimś posłem na sejm, którego spotkałem w wagonie, jadącego na front, który zaczął mówić do nas kilku młodych oficerów o ewentualności oddania Warszawy. Zaprotestowaliśmy jednogłośnie, że to jest niemożliwe.

Z Uchrynowa wyszliśmy wieczorem, gdyż pułk otrzymał zadanie przeprowadzenia wypadu na Krylów w celu zniszczenia mostu, który bolszewicy zaczęli budować na Bugu. Marsz był wyjątkowo uciążliwy z powodu kompletnych ciemności. Aby nie stracić łączności i nie rozerwać kolumny marszowej zakładaliśmy naszym przewodnikom białe chustki od nosa pod kołnierze na plecach. Zadanie zostało wykonane przez czołowy szwadron, bez naszego udziału. Rano wróciliśmy na kwatery, aby po nakarmieniu koni wymaszerować. Szliśmy w ogólnym kierunku na północo-zachód i przechodziliśmy przez Dołhobyczów. Nawet odjechałem na chwilę od szwadronu, aby zobaczyć miejsce, gdzie byłem ranny w 1918 roku. Na kwatery przyszliśmy późnym wieczorem i szalenie zmęczeni gdzieś w rejon między Zamościem a Hrubieszowem. We wsi stała piechota na postoju ubezpieczonym. Spaliśmy snem prawdziwie kamiennym i dopiero rano dowiedzieliśmy się, że w nocy było natarcie na wieś, które piechota odparła i budzono nas bezskutecznie. Nie słyszeliśmy żadnej strzelaniny. 15 sierpnia doszliśmy pod Rejowiec i weszliśmy w skład 4 brygady kawalerii dowodzonej przez pułkownika Nieniewskiego. Brygada składała się z 3, 7 i 16 pułków ułanów.

Dzień 16 sierpnia 1920 roku to pamiętny dzień rozpoczęcia naszej zwycięskiej kontrofensywy z nad Wieprza. Dla naszego szwadronu to też pamiętna data. Było to pierwsze uderzenie i zatrzymanie posuwających się naprzód wojsk bolszewickich, które dla naszej brygady odbyło się pod wsią Cyców.

Rano wyszliśmy z kwater i słychać było strzelaninę karabinową. To 3 pułk ułanów prowadził natarcie na tę wieś. Wkrótce nasz 1 szwadron otrzymał

zadanie natarcia w szyku konnym, tj. szarżowaniu. Moment rozpoczęcia szarży miał być podany przez obserwatora, ppor. Rudnickiego, który siedział na drzewie. Mieliśmy ruszyć, kiedy bolszewicy pod naciskiem natarcia 3 pułku ułanów zaczną się cofać. Stanęliśmy rozwinięci w dwóch rzutach, każdy w linii harcowników, z obnażonymi szablami. Pierwszy rzut stanowiły: I pluton ppor. Raczyńskiego i II pluton mój, w drugim rzucie były plutony III pod ppor. Olechnowiczem i IV pod pchor. Suchodolskim. Tak staliśmy pewno około 20 minut, choć trudno jest w takich chwilach ocenić czas. Nerwy są naprężone, bo szarża, przy szybkostrzelnej broni palnej jest zawsze wielkim ryzykiem. Ja to doskonale rozumiałem, bo już w dwóch szarżach w łeb dostałem. Zawiązałem wodze munsztukowe na węzeł, gdyż mój Gach był i szybki i szalenie ostry, a nie miałem ochoty sam jeden szarżować i czekałem na rozkaz. W pewnym momencie podjechał do nas ppor. Wilczyński i z patosem zaczął nam winszować pięknego, kawaleryjskiego zadania. Taki patos dobry jest w książkach, ale nie w polu. Zdaje się, że powiedziałem mu parę słów na ten temat.

Wreszcie padła komenda i ruszyliśmy parę kroków kłusem, później galopem, wreszcie cwałem z okrzykiem „Hurra!". Pędziliśmy jak szaleni i już konie zaczęły słabnąć, gdy ujrzeliśmy bolszewików. Zobaczyłem przed sobą jakiegoś brodacza, który złożył się z karabinem, nawet nie słyszałem, czy wystrzelił, mijając wyrżnąłem go szablą przez łeb. Coś wrzasnął i zdaje się, że poprawił go ułan jadący za mną. Nagle ujrzałem przed sobą szeroki rów z wodą, lecz mój Gach przefrunął przez niego. Dopadliśmy do jakichś zabudowań, pod którymi zobaczyłem masę bolszewików. Gdy byłem od nich w odległości około 20 kroków, mój Gach nagle przeszedł kilka kroków kłusem i runął na prawy bok. Ogień był tak szalony, że słychać tylko szum straszliwy, ani huku, ani świstu nie słyszałem. Na szczęście nie przygniótł mi nogi, więc zerwałem się i zobaczyłem gnających do mnie bolszewików, wołających: „Łowi oficera!".

Nie czekałem, aż ich bagnety znajdą się w moim ciele. Zawróciłem biegiem w krzaki. Biegłem jak zając, klucząc. Strzelali za mną, lecz już nie widzieli mnie. Pistolet oberwał mi się, byłem tylko z szablą, której garda była zakrwawiona, jak również prawy but był zlany krwią mego Gacha. Wszędzie na około widać było leżące trupy końskie i ludzi rannych lub zabitych. Zdałem sobie sprawę, że szarża nasza została krwawo odparta. Pieszo dotarłem do pułku.

Byłem kompletnie wyczerpany fizycznie, nerwowo również. Straty nasze były ogromne, a z 5 oficerów biorących udział w szarży zabity był ppor. Jakubski, razem z koniem, ranni byli ppor. Olechowicz i pchor. Suchodolski, ten ostatni dwukrotnie przebity bagnetem przez płuca, ja miałem zabitego konia, ppor. Haczyński, jedyny oficer, wyjechał na rannej klaczy. Ze 120 szarżujących ułanów tylko 40 wróciło konno, później jeszcze 40 dołączyło pieszo

i pobrali żyjące konie po rannych i zabitych kolegach. Stan szwadronu stopniał do 80 szabel.

Tegoż dnia wracało dwóch naszych kolegów z Lublina do pułku i natknęli się na oddział bolszewicki, który ich zarąbał. Byli to ppor. Pohowski i ppor. Bieliński. Ppor. Olechwicz, jakkolwiek ranny w nogę i rękę zmarł w szpitalu w Lublinie. Mimo naszych strat i odparcia szarży, bolszewicy uciekli i opowiadali chłopom, że szarżowała na nich angielska kawaleria.

Od Cycowa ruszyliśmy naprzód w ogólnym kierunku północnym. Nasza brygada znajdowała się pomiędzy 1 dywizją piechoty a 3 dywizją piechoty. Szliśmy teraz szybkimi marszami na Białą Podlaską. Pod Kleszczelami zostałem wysłany na patrol. Dostałem rozkaz, abym nie przyprowadzał żadnych jeńców, a strzelał na miejscu. Rtm. Piasecki był wściekły za straty pod Cycowem, ale głównie za śmierć Bielińskiego i Pohowskiego. Po oddaleniu się od pułku posłyszałem za sobą silną strzelaninę artyleryjską i karabinową, która zresztą trwała bardzo krótko. Jechałem dalej. Dojeżdżając do jakiejś wsi zobaczyłem kryjącego się pod przydrożnym krzyżem oberwanego i nędznego bolszewika, który wznosząc ręce do góry poddawał się i jęczał: „Pan, nie ubiwaj!”. Nie miałem sumienia mordować bezbronnego i kazałem zabrać go. Gdy wjeżdżałem do wsi, chłopi powiedzieli mi, że we wsi jest kilku bolszewików. Podzieliłem pluton na części i objeżdżając wieś na końcu jej złapaliśmy grupkę ubranych w skórzane kurtki bolszewików. Poddali się bez próby obrony. Był to oddział łączności artyleryjskiej grupy uderzeniowej. Zabrałem i ich, za co dostałem wymówkę od rtm. Piaseckiego. Na drugi dzień kazał ich wszystkich rozstrzelać. Bardzo mi się to nie podobało. Wojna wojną, ale to było morderstwo niegodne prawdziwych rycerzy. Po powrocie do pułku dowiedziałem się, że 3 pułk ułanów natknął się na maszerującą grupę artylerii i wziął ją do niewoli. Strzały, które słyszałem, to była krótka obrona artylerii.

Pod Janowem Podlaskim przeszliśmy Bug i przez Hajnówkę szliśmy na Białystok. Zadaniem naszym było odcięcie odwrotu kawalerii Gajdana, cofającej się znad Wisły. Niestety przeszli oni granicę Prus Wschodnich i tam zostali rozbrojeni. Pomaszerowaliśmy dalej na Augustów, prawie bez walki.

Miałem tu zabawny wypadek. Po bitwie pod Cycowem szwadronem naszym dowodził ppor. Haczyński, a ja byłem jego zastępcą, zresztą jedynym młodszym oficerem w szwadronie, bo był jeszcze tylko pchor. Borg, dawny podoficer austriacki. Haczyński odjechał do dowództwa pułku, a ja prowadziłem szwadron na kwatery. Gdy wjeżdżałem do wsi, w której mieliśmy kwaterować i gdzie byli już nasi kwaterunkowi, weszła również do wsi, drogą pod kątem prostym do kierunku mego marszu, kompania piechoty litewskiej. Zatrzymaliśmy się i my, i Litwini. Nie byliśmy na to przygotowani i nie wiedzieliśmy, jak mamy siebie

traktować. Czy jesteśmy na stopie wojennej, czy nie? Podjechałem do dowódcy kompanii i zapytałem, gdzie maszeruje. Oświadczył, po polsku, że ma rozkaz zakwaterować się w tej wsi. Zaproponowałem mu, aby wyszedł, bo my mamy taki sam rozkaz. Po krótkich pertraktacjach ustaliliśmy, że my jako kawaleria zajmiemy większość wsi, a im na końcu wsi pozostawimy kilka obejść. Po godzinie przyjechał Haczyński. Zameldowałem mu o Litwinach.

Tak jak i ja nic nie wiedział. Po naradzie doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, gdy się na noc ubezpieczymy od nich, a tymczasem zaprosimy dwóch oficerów kompanii litewskiej do nas na kolację. Poszedłem ich zaprosić. Przyszli. Padał drobny deszcz. Weszli na naszą kwaterą w płaszczach, odpięli pasy z pistoletami i założyli je na mundury, mimo że byliśmy bez pasów i broni. Uważaliśmy to za brak grzeczności i zaufania do nas. Kolacja była oczywiście skromna i bez wódki. Rozmowa nie bardzo się kleiła, a tematów politycznych nikt nie poruszał. Umówiliśmy się tylko, że jutro rano ja pojadę z dowódcą kompanii litewskiej do rtm. Piaseckiego, aby wyjaśnić nasz stosunek. Muszę nadmienić, że obaj oficerowie litewscy dobrze mówili po polsku. Rano Litwin przyjechał konno przed naszą kwaterę i razem pojechaliśmy do sąsiedniej wsi do dowództwa naszego pułku. Przed kwaterą dowództwa poprosiłem Litwina, aby zaczekał, a sam zszedłem z konia i poszedłem do rtm. Piaseckiego. Zameldowałem mu o wszystkim. Piasecki nie chciał rozmawiać z Litwinem. Rozkazał rozbroić Litwinów i wyraził swoje niezadowolenie, że nie zrobiliśmy tego sami, bez rozkazu. Wyszedłem z chałupy i podałem Litwinowi do wiadomości otrzymany rozkaz. Myślałem, że spotkam się z protestem lub nawet z oporem. Tymczasem mój Litwin powiedział: „To lepiej" i bez ociągania się oddał, na moje żądanie, swój pistolet. Wróciliśmy do naszej wsi i zajechaliśmy na naszą kwaterę, gdzie omówiliśmy sprawę rozbrojenia kompanii. Zostało postanowione, że Litwini złożą swoją broń na własne wozy taborów, przy których my wystawimy posterunki. Wszystko odbyło się bez trudności i sprzeciwów. Przed południem nastąpił wymarsz. Kompania litewska maszerowała czwórkami, bez broni, za szwadronem. Maszerowaliśmy na Augustów. W drodze przyszedł rozkaz, aby Litwinom oddać broń i zwolnić ich, co oczywiście natychmiast zostało wykonane. Szliśmy na Suwałki, a w drodze minęło nas kilkakrotnie parę samochodów z oficerami francuskimi i angielskimi. Na kwaterach stanęliśmy pod Suwałkami, nasz szwadron nad jeziorem Krzywe.

W rejonie Suwałk nasza brygada bardzo rozrosła się. Przybyły jeszcze trzy pułki rezerwowe kawalerii. Brygadę podzielono na dwie półbrygady. Pierwsza pod dowództwem majora Bystrama w składzie 3 pułku ułanów, 21 pułk ułanów majora Dąbrowskiego (późniejszy 23 pułk ułanów), oraz zbiorowy pułk czteroszwadronowy majora Reliszko. Druga półbrygada dowodzona przez majora

Piaseckiego (zweryfikowany) składała się z 7 i 16 pułków ułanów oraz z pułku Jazdy Ochotniczej majora Jaworskiego (późniejszego 19 pułku ułanów).

Kilkanaście dni staliśmy pod Suwałkami nic nie robiąc. Którejś nocy posłyszeliśmy strzelaninę i niebawem przyjechał goniec z dowództwa pułku z rozkazem. Został zarządzony alarm i natychmiast wymaszerowaliśmy do Suwałk. Okazało się, że Litwini napadli na nasz 2 szwadron kwaterujący na północ od miasta. Pułkiem dowodził major Lewandowski (również zweryfikowany). Zarządził on, aby nasz szwadron zrobił obejście pieszo na skrzydło ugrupowania litewskiego. Poszliśmy na lewo od szosy prowadzącej od Suwałk do Kalwarii w jakieś pola i pagórki. Nic nie było widać i trudno było się orientować. Słychać było tylko słaby ogień karabinowy. Leżeliśmy z pół godziny, wreszcie zaczęło szarzeć i okazało się, że istotnie jesteśmy na skrzydle piechoty litewskiej. Poderwaliśmy się do szturmu z krzykiem i wpadliśmy na szosę. I jak w komedii wpadłem prosto na porucznika litewskiego, tego, który jadł ze mną kolację pod Augustowem. Był tak przerażony, że powtarzał, „Ja nic nie winien, ja dopiero tu przyszedłem". Uspokoiłem go, że jest w niewoli i nikt go nie zamorduje. Na szosie zobaczyliśmy armatę litewską, która zaprzodkowała i zaczęła uciekać w stronę Kalwarii. Goniliśmy ją jakiś czas, ale uciekła, pędząc galopem.

Do sztabu półbrygady nadszedł dziennik personalny, z którego dowiedzieliśmy się wyników weryfikacji. Ja zostałem zweryfikowany na porucznika, jak i większość moich kolegów, choć niektórzy otrzymali stopnie rotmistrzów, między innymi i Haczyński.

Rozpoczęła się wojna z Litwinami. Po tym pierwszym pogromie pod Suwałkami poszliśmy na północ. Stanęliśmy w jakiejś wsi wieczorem i obstalowaliśmy sobie u gospodyni naszej kwatery gęś. Zapłaciliśmy uczciwie i na rano miała być upieczona. Aż tu nad ranem Litwini prowadzą natarcie na naszą wieś. Ja z plutonem zostałem skierowany na ubezpieczenie skrzydła. Walka rozgorzała na całego. Litwini mocno naciskają. Nasza gęś w niebezpieczeństwie, po niedługim czasie orientuję się, że nic nie zagraża w kierunku, który ubezpieczam. Idę więc z propozycją, aby wyznaczono mi inne zadania. Widzę, że na małym wzniesieniu stoi major Lewandowski i patrzy przez lornetkę. Walę do niego, ale on stoi pod ogniem, więc nie jest mi bardzo przyjemnie też tam wystawiać się. Ale trudno, melduję się, pytając o ewentualne nowe zadanie. A flegmatyczny i wyjątkowo odważny Jasio Lewandowski powiada: „Widzicie, Duduś, chyba dadzą nam w dupę!". „Ale co mam robić?", – pytam. „A róbcie, co chcecie! Może idźcie do szwadronu!" – odpowiada i pokazuje mi kierunek, gdzie leży szwadron. Zabieram więc pluton i pod ogniem prowadzę w kartofle do szwadronu. Jesteśmy pod silnym ogniem i mamy już kilku ludzi rannych. Kiedy sytuacja wydaje się krytyczna, nagle Litwini zaczynają wiać.

Okazało się, że wysłany na prawe ubezpieczenie kapral Skalski z kilkoma ułanami w krzakach natknął się nagle na paru Litwinów, a że chłopak był do rzeczy, krzyknął „Hurra!" i oddał kilka strzałów. To tak przeraziło Litwinów, że wycofali się i to tak pośpiesznie, że trudno ich było dogonić. Nasza gęś została uratowana od znalezienia się w żołądkach litewskich, a przepisowo trafiła do naszych.

Teraz pochód na północ został wstrzymany i pułk dostał nowe zadanie. Okazało się, że Litwini teraz prowadzą działania na Augustów z zamiarem zamknięcia nas w wielkim worku, z możliwością przyparcia do Prus Wschodnich. Lecz major Piasecki zareagował na pewno inaczej, niż Litwini mogli przypuszczać. Wcale nie próbował przebijać się z Suwałk na Augustów. Otrzymaliśmy zadanie marszu w kierunku Sejn i wyjścia na tyły oddziałów litewskich działających na Augustów. Manewr w zupełności powiódł się i przyszliśmy do Augustowa nie z północy, a ze wschodu, rozbijając siły litewskie. Podczas krótkiego postoju w mieście, zresztą zmoczeni i zmęczeni, obserwowaliśmy, jedyny raz w tej wojnie, próby bombardowania nas przez lotnika litewskiego. Bombki małego kalibru padły daleko od nas w polu. Wróciliśmy w rejon Suwałk. Choć Litwini w tym okresie mieli na pewno przewagę liczebną, to nie mogli równać się z nami. Mieli słaby korpus oficerski, przeważnie z armii rosyjskiej, stosujący taktykę z wojny światowej, niedającą rezultatów w warunkach dużych przestrzeni przy małym nasyceniu wojskiem. Mieli lepszą broń, bo niemiecką, ale niezaprawionego żołnierza do walki.

Była druga połowa września, gdy rozpoczęła się ostatnia decydująca bitwa grodzieńska. Nasza 4 brygada kawalerii wraz z 2 brygadą w bitwie tej otrzymała zadanie wyjścia na tyły wojsk sowieckich i odcięcia im odwrotu. Wyruszyliśmy z rejonu Suwałk na wschód. Na południe od nas miała przełamać linię obronną litewską 1 dywizja piechoty. Szliśmy przez piękne lasy nad jeziorem Wigry. Było moc rydzów, aż żal było, że nie można ich zbierać. Nastrój był świetny i humory znakomite. Dochodząc do rejonu naszych podstaw wyjściowych do natarcia na, podobno umocnioną, pozycję litewską, zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek i zeszli z koni. Obok naszego szwadronu stała jakaś szopa, w której prawdopodobnie odbywała się kiedyś zabawa, o czym świadczyły resztki kolorowej bibułki służącej jako dekoracja. Nasi ułani zeszli do niej i zaraz jeden zaczął grać na harmonii, a inni tańczyć z karabinkami na plecach. I tacy są prawdziwi żołnierze. Gdy kule nie gwiżdżą, a są najedzeni i wyspani, nie myślą o śmierci, lecz cieszą się chwilą. To jest młodość i tężyzna ducha! Po chwili padła komenda: „Na koń!" i ruszyliśmy dalej. Już dały się słyszeć pierwsze strzały, to nasz 4 szwadron rozpoczął natarcie. My mieliśmy wykorzystać powodzenie i maszerować konno jako straż przednia pułku. Szliśmy leśną drogą

wśród rzadkiego lasu i w lewo na dużej polanie widać było dowództwo naszego pułku oddalone o jakieś 500 kroków. Rtm. Haczyński polecił mi, abym podjechał do dowództwa i zapytał czy ma maszerować już ubezpieczony. Pogalopowałem, zapytałem i wracałem do szwadronu z rozkazem ubezpieczenia się, gdy zwróciło moją uwagę, że po obu stronach drogi, którą maszeruje szwadron, leżą pościnane drzewa. Dojeżdżałem do czoła szwadronu, gdy nagle otwarto do nas bardzo silny ogień z małej odległości. Haczyński zawrócił pod ogniem szwadron i skryliśmy się za górkę, spieszając się do walki pieszej. Ruszyliśmy do natarcia i doszliśmy do opuszczonych okopów. Strat nie mieliśmy najmniejszych, ani w ludziach, ani w koniach, jedynie Haczyński zgubił mapę. Weszliśmy do wsi leżącej w dole za okopami. Litwinów wziął już do niewoli 16 pułk ułanów, który zaszedł ich z boku. Nie wytrzymałem i powiedziałem oficerowi litewskiemu, że marnie strzelali, bo nikt z nas nie oberwał, mimo tak małej odległości. Ten tylko warknął: „Żebym ja miał takich starych żołnierzy, jak wy, to bym z panami już tu nie rozmawiał".

Dotychczas szliśmy przez tereny należące do Polski, a zajęte przez Litwinów podczas pochodu bolszewików na Warszawę. Teraz mieliśmy wejść na terytorium litewskie i zająć nadgraniczne miasteczko Kopciowo. Zajęcie Kopciowa poszło gładko, bo nikt go nie bronił. Weszliśmy pieszo wieczorem i Litwini zupełnie o tym nie wiedzieli. W nocy zostałem wysłany na patrol i posłyszałem gwałtowny ogień armatni z bliskiej odległości, jakby skierowany na sąsiedni patrol. Wróciłem do Kopciowa i tu zostałem z plutonem wysłany na placówkę. Leżeliśmy w krzakach. Ciemno było, choć oko wykol. Nagle moja czujka wystawiona naprzód strzeliła. Posłałem kaprala, aby sprawdził do kogo strzelała. Kapral wrócił i zameldował, że ułan stojący na czujce zobaczył jakiegoś jeźdźca i do niego strzelił, a wydaje mu się, że ten spadł z konia. Posłałem jeszcze raz i poleciłem sprawdzić i ewentualnie przynieść czapką zabitego. Przynieśli mi czapkę i legitymacje. Jeżeli jeszcze coś wzięli, to mi nie powiedzieli. Czapka miała czerwony otok, bo zaświeciłem dyskretnie latarką elektryczną, Legitymacja litewska opiewała na lejtnanta artylerii jakiegoś tam nazwiska. Leżeliśmy dalej cicho. W ciszy nocnej posłyszałem coś jakby gryzienie wędzideł przez konie. Wydało mi się to dziwne. Moi ułani też to posłyszeli. Znów posłałem patrol dla sprawdzenia. Co się okazało? Przed nami stoi pluton artylerii litewskiej. Kanonierzy i jezdni poschodzili z koni i pokładli się pod armatami, gdyż po zabiciu ich dowódcy nie wiedzieli, co robić. I tak bez trudu zdobyliśmy dwie armaty z jaszczami. Oczywiście obraliśmy Litwinów z broni i ja sam wziąłem sobie mauzer z kolbą. Gdy się rozwidniło, podoficer litewski zameldował mi, że pod lasem stoi ich wóz z konserwami, po który natychmiast posłałem. Konserwy bardzo nam się przydały, bo byliśmy

głodni, a kuchnie jeszcze nie nadeszły. Gdy zacząłem dzielić konserwy między naszych ułanów, podoficer litewski zaczął protestować, twierdząc, że to ich konserwy. Wytłumaczyłem mu jednak, że są jeńcami, a zdobyczą wojenną, to ja zarządzę bez pytania o jego zdanie. Litewscy żołnierze nie mogli zrozumieć wojny z Polską. Mówiło ich wielu po polsku i nie mieli żadnych wrogich uczuć do nas, tak zresztą jak my do nich. Te przeszło 400 lat unii z Polską ciągle miało znaczenie u wielu ludzi na Litwie. Jedynie niewielka grupa szowinistów litewskich i karierowiczowska góra rządowa, ulegająca od wielu lat wrogiej propagandzie rosyjskiej, a później niemieckiej, nie chciała zgody z Polską, obawiając się wynaradawiania. Pewno inaczej i dziś Litwa wyglądałaby, gdyby była nadal w unii z Polską...

Z Kopciowa ruszyliśmy na Druskienniki, gdzie uchwyciliśmy niezniszczony most na Niemnie i poszliśmy dalej na Raduń. Mój pluton w szpicy pułku, gdy o świtaniu wchodziliśmy do Radunia. Na rynku zastałem kuchnię litewską, do której kucharze nalewali spokojnie wody, zupełnie nie przestraszeni naszym widokiem. Kuchnia była niemiecka, jednokotłowa i w bardzo dobrym stanie. Od razu pomyślałem, że Haczyński, jako dobry gospodarz, ucieszy się taką zdobyczą. Kazałem więc kucharzom zaprzestania nalewania wody, aby odesłać ich z kuchnią i końmi do tyłu. Starszy kucharz zaczął usilnie protestować, twierdząc, że pan kapitan mordę mu zbije jak nie będzie na czas śniadania, bo jego kompania stoi w sąsiedniej wsi i szykuje się do odmarszu. Jednak parę miłych słów, jakie usłyszał od ułana, który miał go eskortować, przekonały go szybko.

Raduń był punktem granicznym terenów polskich oddanych przez bolszewików Litwinom. Na wschód, za Dzitwą panowali bolszewicy. W Raduniu stanął sztab brygady. Ja z dwoma plutonami i plutonem karabinów maszynowych zostałem wysłany jako ubezpieczenie z kierunku Dzitwy. Zatrzymałem się na wzgórzu mając doskonały wgląd w całą rzekę. Przede mną widać było most na rzece i kręcących się bolszewików. Kazałem postawić dwa karabiny maszynowe na wzgórzu i na moją komendę otworzyć ogień na namiot przy moście i most. Zaskoczenie było kompletne i bez trudu zajęliśmy most i zdobyliśmy karabin maszynowy. W ciągu dnia staliśmy nadal na wzgórzu, na moście mając tylko czujki. Na noc przeniosłem placówkę nad samą rzekę, stawiając na moście k.m. i wysuwając czujki do lasu na wschodnim brzegu. Koło północy czujka zameldowała, że słyszy jakby zbliżające się konie. Byliśmy w pogotowiu, lecz zabroniłem strzelać bez mojej komendy. Po paru minutach posłyszeliśmy zbliżający się patrol konny i w ciemnościach zobaczyliśmy jeźdźca wjeżdżającego na most. Chciałem cały patrol sprzątnąć, nie dawałem więc komendy otwarcia ognia. Bolszewik stanął na moście i zapytał: „Ej ty, czej eto pulemiot?”. „Ognia!”, skomenderowałem. Karabin oddał jeden strzał i zaciął się. Bolszewik

zawrócił konia i pogalopował. Ogień z ręcznych karabinków w ciemnościach okazał się mało skuteczny. Za rzeką znaleźliśmy jednego zabitego konia.

W Raduniu byliśmy już na tyłach wojsk sowieckich walczących pod Grodnem, spod którego rozpoczęli już odwrót. Nie orientowali się, że mają na swoich tyłach nas i dlatego do Radunia przyjechał szef sztabu 21 dywizji piechoty sowieckiej, aby zakwaterować swój sztab. Oczywiście został wzięty do niewoli. Później, już w Lidzie nasza 1 DP[37] stoczyła ciężką walkę z usiłującą się przebić na wschód 21 DP sowiecką.

Z małym opóźnieniem ruszyliśmy na tyły Lidy, w której byli jeszcze bolszewicy. Znów jechałem w szpicy pułku. Dostałem instrukcję, aby działać szybko i zaczepnie, gdyż pułk idzie w niedalekiej odległości i natychmiast mnie wesprze. Minąłem tor Lida–Mołodeczno i posuwałem się piaszczystą drogą wśród rzadkich krzaków jałowca. W krzakach spotkaliśmy sowiecki wóz taborowy, z którego zabrałem dobry płaszcz angielski i oddałem memu luzakowi, aby zachował go dla mnie, bo miałem zupełnie podarte spodnie, a nasze ciężkie tabory były daleko i nieprędko mogły do nas dołączyć. Liczyłem, że uda mi się uszyć gdzieś z niego spodnie. Nagle moi flankierzy meldują, że zbliża się od strony Lidy duża kolumna piechoty sowieckiej. Melduję o tym natychmiast dowódcy pułku. Dostaję rozkaz dołączenia do szwadronu i wraz z nim i 2 szwadronem szarżowania. Już kłusem dochodzi nasz 1 szwadron. Stajemy jako I pluton na czele szwadronu i formujemy kolumnę szóstkami. Po chwili z krzaków wyłania się czoło maszerującej kolumny piechoty sowieckiej. Ruszamy z krzykiem galopem. Teraz już, nie jak pod Cycowem, ułani mają lance. Bolszewicy otwierają bezładny bardzo silny ogień, lecz my jesteśmy już w pełnym galopie. Na prawo widzę pędzącego majora Piaseckiego i ryczącego jak bawół por. Borkowskiego. Nagle ogień urywa się, bolszewicy rzucają broń, podnoszą ręce do góry i zaczynają uciekać, wpadamy w już luźną kolumnę i zaczyna się kłucie i rąbanie. Lecz ja widzę to tylko przez bardzo krótką chwilę, bo mój nowy amerykański koń, którego otrzymałem (po zabitym por. Bielińskim i po stracie mego Gacha), niesie mnie samotnego prosto do Lidy. Nie mam zupełnie ochoty w pojedynkę zajmować miasta i robię wszelkie wysiłki, aby oszalałą bestię zatrzymać. Mój Bis, bo tak się nazywa, mimo munsztuka pędzi. Wreszcie udaje mi się skierować go na dużą kępę jałowca. Bis hamuje, lecz spod jałowca wyłania się czterech bolszewików z karabinami. Sytuacja przykra, jestem sam, bo nasi zostali z tyłu. Jedyne wyjście: podnoszę szablę do góry i wrzeszczę: „Zdawajsa, brosaj wintowku!”. Bolszewicy rzucili karabiny i podnieśli ręce do góry. Jestem panem sytuacji. Bis zatrzymany, a bolszewicy poddali się. Popędzam ich, aby

[37] DP – dywizja piechoty (przyp. red.).

biegli do tłumnie już branych do niewoli swych towarzyszy. Jeszcze raz miałem szczęście, bo jakaś nasza bateria zajechała na stanowisko i oddała niepotrzebnie kilka strzałów, z których jeden granat uderzył bardzo blisko mnie.

Sukces był kompletny. 54 pułk piechoty sowieckiej był rozbity wzięliśmy około 500 jeńców i około 200 było rannych i zabitych. Nasze straty minimalne, jeden ułan lekko ranny i kilka koni rannych. Sztandar pułkowy też wpadł w nasze ręce. Szarża odbyła się pobliżu wsi Pierepieczyca.

Szybko zebraliśmy się znów, choć nie w pełnym składzie, bo część ułanów zawieruszyła się przy odprowadzaniu jeńców i ruszyłem dalej z plutonem na szpicę. Maszerowaliśmy tzw. traktem napoleońskim w kierunku stacji Niemen. Trakt biegł równolegle do toru kolejowego w odległości jakichś 100 metrów. Po przejściu kilku kilometrów zobaczyliśmy za torem jakąś olbrzymią kurzawę. Początkowo byliśmy skłonni przypuszczać, że to nasza 2 brygada kawalerii, która współdziałała z nami. Haczyński trochę zaniepokoił się tym widokiem i podjechał do mnie polecając mi, abym wyjechał na tor i zobaczył przez lornetkę, co to za kolumna. Pogalopowałem i stwierdziłem, że to kawaleria bolszewicka, której czoło posuwa się szybko w naszym kierunku i jest już blisko toru. Gdy dopadłem do Haczyńskiego bolszewicy już przechodzili tor i rozwijali się do szarży. Byliśmy oddaleni od czoła pułku o prawie kilometr. Sytuacja była zła. Nas było maksimum 60 szabel, a bolszewików znaczna przewaga. Haczyński podał komendę i obnażywszy szable ruszyliśmy galopem do tyłu. Bolszewicy chcieli nam przeciąć drogę i zaczął się wyścig. W pewnym momencie, gdy ich czoło zbliżało się do nas, krzyknęliśmy „Hurra!" i bolszewicy nie zaryzykowali uderzyć na nas, a zatrzymali się i nam udało się przerwać do swoich. Niebawem wyjechały taczanki 16 pułku ułanów i ostrzelały bolszewików, którzy uciekli. Podobno poszczerbili tylko jakiś patrol 3 pułku ułanów.

Wieczorem dotarliśmy w pobliże Niemna. I znów miałem pracowitą noc. Zostałem wysłany na patrol z zadaniem znalezienia brodu na Niemnie. Ruszyłem więc w kierunku, gdzie według informacji ludności cywilnej miał znajdować się bród. Ciemno było i trudna była orientacja, ale jakoś dotarłem do miejsca, gdzie miał być bród. Zatrzymałem patrol za zabudowaniami, a sam z podoficerem zeszedłem do rzeki, lecz widocznie z drugiego brzegu posłyszano nas i zostaliśmy ostrzelani. Nie było więc żadnej możliwości w nocy, przy obsadzeniu przeciwnego brzegu, próbować przejścia brodem. Wróciłem więc do pułku i zameldowałem o moich spostrzeżeniach.

Rano przeprawiliśmy się, dość głębokim brodem, całą brygadą koło stacji Niemen, przez rzekę i pomaszerowaliśmy w kierunku na Stołpce. Byliśmy ciągle na tyłach sowieckich wojsk. W drodze na Stołpce przechodziliśmy przez Szczorce. Z pięknego pałacu zostały spalone mury i żelazne bramy z herbami

Chreptowiczów. Tu Niemen był już płytki i przeprawa odbyła się bez trudu. Szliśmy w kierunku Kojdanowa i Mińska Litewskiego.

W pierwszych dniach października, w drodze na Kojdanów, w nocy spieszeni przechodziliśmy przez jakąś rzeczkę. Było ciemno, gdy rozległą doliną doszliśmy do mostu. Nagle zostaliśmy bardzo silnie ostrzelani z przeciwnego brzegu. Zmusiło to nas do cofnięcia się na wysoki brzeg i rozpoczęcia walki ogniowej. Muszę przyznać, że podczas tej strzelaniny po ciemku ogarnął mnie strach. I to nawet wielki strach. Na szczęście zobaczyłem obok siebie, o kilka kroków w prawo, klęczącego kaprala Czajkowskiego, który ze spokojem dobrego żołnierza, strzelał. Dobrze, że było ciemno i nikt mnie nie widział, bo mogłem mieć głupią minę, ale widok ten podziałał na mnie świetnie. Zawstydziłem się sam siebie. Pomyślałem – jak to, to młody kapral nie boi się, a ja, porucznik, mam bać się, i od razu strach minął. Gdy zaczęło szarzeć strzelanina ucichła. W rozległej dolinie pozostała opuszczona armata z zabitymi końmi, a przy niej bolszewicki kanonier o drewnianej nodze, kaleka. Okazało się, że natknęliśmy się na cofającą się brygadę sowiecką, w skład której wchodziły dwa pułki złożone z Polaków – komunistów (pułki: warszawski i miński). Cała ta awantura odbyła się pod wsią Żołnierkowicze.

Kojdanów zajęła 2 brygada i szliśmy na Mińsk Litewski, gdy zawrócono nas. Przez Stołpce skierowano nas na południowy skraj Puszczy Nalibockiej, gdzie mieliśmy mieć kilkudniowy odpoczynek. A bardzo nam był on potrzebny, bo przecież prawie bez wypoczynku maszerowaliśmy spod Równego aż za Kojdanów. To ładne kilka setek kilometrów. Na przydzielonych kwaterach zaczęliśmy się trochę urządzać, marząc o wyspaniu się bez butów, rozebrani i bez alarmów. Poszliśmy nawet z granatami nad rzeczkę i udało się złapać niezłego pstrąga. Siedzieliśmy przy kolacji, gdy pod oknem posłyszałem tupot kopyt końskich. Od razu mnie tknęło, że już nasz wypoczynek diabli wzięli. Wszedł ułan i oddał Haczyńskiemu rozkaz. Natychmiast wymarsz, bez taborów tylko z wozem amunicyjnym i kuchnią. Trudno! To jest wojna.

I znów całą noc marsz. Przeszliśmy przez całą Puszczę Nalibocką z południa na północ i wyszliśmy pod Raków. Raków był obsadzony i broniony. Frontowe natarcie na okopy nie dało rezultatów, wtedy skierowano nasz pierwszy i drugi szwadron do jakiegoś folwarczku, gdzie po spieszeniu się ruszyliśmy do natarcia. Natarcie było przeprowadzone z wielką brawurą i w ostrym tempie. Wyszliśmy na lewe skrzydło nieubezpieczonych okopów. Kiedy bolszewicy zobaczyli nas, najpierw pojedynczo zaczęli wyskakiwać z okopów i uciekać do pobliskiego Rakowa, a później już cała obsada bezładnie uciekała. Popędziliśmy za nimi. W wąskiej ulicy miasteczka zbity tłum uciekał. Do pierwszych domów dopadł jednak nasz celowniczy z karabinem maszynowym i nie czekając na

podstawę oparł karabin o parkan i otworzył ogień. My też nie próżnowaliśmy i z ręcznych karabinów strzelaliśmy do uciekających. Przykry był widok wielu zabitych. Wyglądali nie jak żołnierze, ale jak nędzarze. Karabiny na sznurkach, zamiast plecaków worki z kilkoma surowymi ziemniakami, ubrania tandetne i zniszczone tak, że nawet nasze marne umundurowanie wydawało się dostatnim. Raków został zdobyty.

Spotkałem tego dnia kilku kolegów z 10 pułku ułanów, z którymi byłem na kursie w Starej Wsi. Obserwowali nasze natarcie i byli zachwyceni. Twierdzili, że ich pułk nigdy by tak nie poszedł brawurowo jak my. Zwróciłem im uwagę, że to tylko zależy od nich – oficerów. Ułani we wszystkich pułkach są jednakowi i zawsze pójdą za swymi dowódcami. Wartość naszych polskich pułków zależy wyłącznie od wartości dowódców. Trzeba przyznać, że tak 1 pułk szwoleżerów, jak i 7 pułk ułanów, gdzie większość dowódców pochodziła z 1 pułku ułanów Legionów – korpusy oficerskie, pod względem bojowym, były świetne. Dowodzi tego procent zabitych oficerów obu pułków, który przez dwa lata wojny z bolszewikami wyniósł około 50%. Na pewno mogliśmy ustępować byłym oficerom armii zaborczych pod względem formalnego wyszkolenia i bardziej zewnętrznych form wojskowych, ale nigdy pod względem wypełnienia zadań bojowych.

Z Rakowa ruszyliśmy na Radoszkowice, które zajęliśmy bez walki. Pamiętam, że Haczyński kazał zarekwirować w tym miasteczku samowar. Z Radoszkowic maszerowaliśmy na północ w kierunku na Krzywicze. Podczas tego marszu kwaterowaliśmy którejś nocy w okolicy Sosenki. Tu nad ranem obudził nas nagły, a niespodziewany ogień artylerii. Granat uderzył w róg chałupy, w której spałem. Kilka pocisków padło na wieś. Haczyński wysłał mnie do dowódcy pułku. Miałem okazję podziwiać zimną krew majora Piaseckiego. Gdy zameldowałem mu, że w szwadronie został zarządzony alarm i już kończę siodłać konie, a rotmistrz Haczyński przysyła mnie po rozkazy, wysłuchał spokojnie, siedząc na rozesłanej słomie na podłodze, bez koszuli i pił kawę z menażki. Popatrzył na mnie i powiedział: „Siadajcie, Duduś! Może napijecie się kawy?”, a do ordynansa: „Daj kawy panu porucznikowi!”.

I znów do mnie: „A wiecie, że Kuc (rtm. Sakowski) jest ranny w dupę?”. A artyleria strzela dalej. Po niedługim czasie ogień ustał i któryś ze szwadronów przyprowadził trochę jeńców i kilka wozów, byliśmy ciągle na tyłach wojsk sowieckich.

13 października 1920 roku podchodziliśmy pod Krzywicze. Nasz szwadron wyruszył w nocy w kierunku stacji. Maszerowaliśmy w ciemnościach po jakichś bezdrożach i nic się nie orientowałem, gdzie właściwie jesteśmy. Pod

jakąś wsią usłyszeliśmy, że drogą przez wieś maszeruje kolumna piechoty bolszewickiej. Byliśmy na otwartej przestrzeni i nie mogliśmy się wdawać w walkę ogniową ani szarżować w nieznanym terenie i po ciemku. Minęliśmy się więc bez walki. Rano, 14 października podchodziliśmy do stacji Krzywicze. Ze wzgórza zobaczyliśmy olbrzymią kolumnę cofającej się piechoty. Spieszyliśmy się i otworzyliśmy do niej ogień. Zrobiło się niewielkie zamieszanie, lecz kolumna wycofywała się dalej. Nic więcej nie mogliśmy zrobić. Zwłaszcza, że Haczyński był powiadomiony o mającym nastąpić o godzinie 12 zawieszeniu broni i przerwaniu działań wojennych. Wiadomość była nieścisła, czy coś się zmieniło, gdyż zawieszenie broni było zawarte z dniem 18 października 1920 roku. Nic jednak dziwnego, że wiadomość o zakończeniu działań wojennych nie dawała bodźca do narażania życia i nasze działanie było już mniej aktywne. W kilka dni po zawieszeniu broni w rejonie Krzywicz odbyła się msza polowa dla zbiorowych szwadronów z pułków 2 i 4 brygad kawalerii. Szwadron zbiorowy z 7 pułku ułanów był pod moim dowództwem. Spod Krzywicz Haczyński wyjechał na urlop, a ja objąłem dowództwo pierwszego szwadronu i otrzymałem rozkaz marszu do Dzisny.

Wojna o odzyskanie niepodległości Polski była skończona. Wojna, do której solidarnie stanął cały naród, była zwycięska. Wojska sowieckie zostały rozbite i niezdolne do prowadzenia, w krótkim czasie, dalszych działań. My również byliśmy wyczerpani ogromnie i zmęczeni.

Niech historycy oceniają, jak chcą, ale powodzenie nasze zawdzięczać możemy z jednej strony sprzyjającym warunkom politycznym, ale z drugiej, że w epoce tej znalazł się w Polsce wielki człowiek, który przerastał na pewno wszystkich ówczesnych polityków i generałów polskich wartościami charakteru, wiedzy, uczciwości i miłowania Ojczyzny. Był nim Józef Piłsudski. Tego Wielkiego Polaka zesłała nam Opatrzność, abyśmy zaznali prawdziwej niepodległości, o którą walczyło kilka pokoleń.

Ja osobiście patrząc na Marszałka i słysząc od jego bezpośrednich współpracowników o Nim, a w końcu czytając w Sztabie Głównym protokoły Jego odpraw – jestem i będę do śmierci Jego gorącym czcicielem i najwierniejszym zwolennikiem. Chciałbym dożyć tego momentu, kiedy wróci w Polsce cześć dla tego Wielkiego Człowieka, podeptana przez ludzi zaprzedanych naszym wrogom.

W Dziśnie – daleko na północy

Po zawieszeniu broni dowództwo 4 Brygady Kawalerii przeszło do Głębokiego, a dowództwo 7 pułku ułanów do Łóżek. Część szwadronów rozmieszczono na linii demarkacyjnej, a jedynie nasz szwadron miał stać w pasie neutralnym w Dziśnie. Mój odcinek ciągnął się wzdłuż Dźwiny od granicy łotewskiej przez Dzisnę i skręcał ku południowi, pewno ze 20 kilometrów do odcinka 4 szwadronu. Szwadron miał wyznaczone miejsce postoju w Dziśnie, z zadaniem wystawienia placówki nad Dźwiną w określonym miejscu w odległości około 20 kilometrów w kierunku granicy łotewskiej. Zostaliśmy wzmocnieni plutonem k.m.

Do Dzisny pomaszerował ze mną zastępca dowódcy pułku major Lewandowski, który zresztą natychmiast wrócił do Łóżek. Nie bardzo rozumiałem cel tej asysty, ale nic mi to nie przeszkadzało.

I tak mając 23 lata znalazłem się jako jedyna władza Rzeczypospolitej w małym powiatowym (za carskich czasów) miasteczku, na dalekich kresach i dość znacznego obszaru wsi i osiedli. Zdawałem sobie sprawę z odpowiedzialności nie tylko za strzeżenie granicy, ale i zorganizowanie życia i porządku na terenach, które miały wchodzić w granice naszego państwa. Nie miałem żadnego doświadczenia w tym względzie ani wiadomości. Byłem od wczesnej młodości żołnierzem i mogłem działać jakimś instynktem, a nie wyrozumowaniem. Załatwiłem więc najpierw sprawy wojskowe. Rozkwaterowałem szwadron. Wybrałem miejsce na stałą placówkę na skraju miasteczka nad Dźwiną, gdzie stał stale, na zmianę, jeden pluton z karabinem maszynowym z zadaniem strzeżenia przejścia przez rzekę, choć most był zerwany i można było zawsze przeprawić się poza miasteczkiem. Wysłałem placówkę w stronę granicy łotewskiej i wreszcie wybrałem sobie względnie możliwą kwaterę w opuszczonym domku po poczcie. Byłem jedynym oficerem w szwadronie, bo miałem tylko trzech podchorążych. Podchorąży Leopold Berg, były podoficer kawalerii austriackiej, dzielny człowiek, o bardzo małej inteligencji, a wielkim zamiłowaniu do gromadzenia majątku z łupów wojennych, był moim zastępcą. Zrobiłem go komendantem placu. Drugim podchorążym był Henryk Suchodolski. Wrócił ze szpitala po ranach otrzymanych w szarży pod Cycowem, student prawa, dzielny młody człowiek, kulturalny i inteligentny. Trzeci to pchor. Bronisław Chamiec, obywatel ziemski z Polesia, z wykształceniem wyższym rolniczym, również dzielny, inteligentny i kulturalny człowiek, starszy ode mnie o kilka lat. Miłe i zacne chłopisko.

Pierwszą czynnością organizacyjną życia cywilnego było zwołanie rady miejskiej. Zjawiło się trzech starszych ludzi. Jeden Polak, zarządzający czy właściciel klubu szlacheckiego z carskich czasów, drugi Rosjanin i trzeci Żyd. Oświadczyłem im z powagą, że objąłem w imieniu Rzeczypospolitej władzę w Dziśnie i powiecie i że mają słuchać moich rozporządzeń. Kazałem uruchomić szkoły. Była jedna szkoła powszechna i gimnazjum. Szkoła powszechna miała być prowadzona w języku polskim, natomiast gimnazjum nie miało nauczycieli Polaków, tylko Rosjan. Zezwoliłem więc, aby starsze klasy uczyły się w dalszym ciągu po rosyjsku, a do młodszych klas obiecałem przydzielić nauczycieli spośród inteligentów – ułanów. Inspektorem szkolnym zrobiłem pchor. Chamca, a Henio Suchodolski też musiał być nauczycielem. Po paru tygodniach odbyło się uroczyste pokazanie mi szkoły powszechnej, gdzie zasiadłem na przygotowanym dla mnie „tronie", a dzieci deklamowały wierszyki i śpiewały polskie piosenki. Bergowi też kazałem zaprowadzić porządek w mieście, a głównie zabroniłem wypuszczania świń i kóz na ulicę i kazałem zamiatać chodniki. Kazałem zorganizować areszt cywilny, ale nie miałem za co aresztantów żywić. Wprowadziłem więc płatne przepustki na wjazd i wyjazd z miasta, co dawało minimalny dochód, ale wystarczający. Również nakazałem lekarzowi cywilnemu zbadać pod względem zdrowotnym prostytutki miejscowe, a dwie chore odesłałem do dowództwa pułku, skąd je odesłano do szpitala do Wilna. Trochę było płaczu, ale nie ustąpiłem i musiały wyjechać.

Wreszcie osobiście musiałem być sędzią, i to w wielu różnych sprawach, nawet o rozwody przychodzono do mnie, lecz tych nie udzielałem. Kiedyś przyszła do mnie starsza kobieta ze skargą na chłopa, który korzystając z zawieruchy wojennej zajął bezprawnie jej gospodarkę. Kazałem przyprowadzić jej świadków, którzy zresztą zgodnie zeznali, że baba nie kłamie i faktycznie jest wdową samotną, a chłop bezprawnie zabrał jej gospodarkę. Posłałem pisemny rozkaz do chłopa, aby natychmiast oddał gospodarkę właścicielce. Po dwóch dniach kobieta przyszła z płaczem, że rozkaz mój nie został wykonany. Tego miałem dość. Posłałem do wsi podoficera z kilkoma ułanami i kazałem chłopu publicznie wsypać parę batów i dopilnować zwrotu gospodarki. Skutek był znakomity. Ludność od razu zrozumiała, że rozkazy muszą być wykonywane bez oporu.

Miałem nakazane wysyłanie codziennych meldunków sytuacyjnych do dowództwa pułku, do Łóżek. Zbierałem więc wiadomości, przeważnie pochodzące od ludności cywilnej, co zaznaczałem w meldunkach, ale w niedługim czasie udało mi się zorganizować własny wywiad. Mianowicie jeden z ułanów przebierał się po cywilnemu i szedł za Dźwinę, przez lód i przynosił sowieckie gazety oraz po wyrobieniu sobie znajomości z ludźmi zza Dźwiny również przynosił wiadomości.

Po paru tygodniach zaczął się przemyt. Z Polski wynoszono sól, kamienie do zapalniczek. To zaczęło demoralizować niektórych ułanów i z tym musiałem walczyć, aby nie dawali się przekupywać. Również zaczęli się pojawiać ludzie uciekający z Rosji do Polski. Tych wysyłałem do dowództwa pułku, choć przeważnie usiłowali mnie namówić, abym wydawał im przepustki do Wilna. Wydawało mi się to za niewskazane, zresztą nie byłem upoważniony do wydawania takich dokumentów.

Życie w Dziśnie było właściwie, na dłuższą metę, straszne. Zupełny brak inteligentnego towarzystwa polskiego, brak książek, żadnych absolutnie rozrywek. Nawet kart do gry nie było, ani partnerów. Wyżywienie było prymitywne, wódki też brak zupełny, trafiał się czasami straszny, śmierdzący nieprawdopodobnie i słaby samogon, którego przełknąć nie można było bez wstrząsu odrazy. Ułani zaczęli organizować sobie tańcówki, na które dałem zezwolenie, często na nie przychodziłem, aby popatrzeć. Muszę przyznać, że zachowanie ułanów było bez zarzutu. Byli formalnie eleganccy.

Na 29 listopada, nie wiem dlaczego, umyśliłem, że trzeba zrobić obchód powstania. Kazałem więc, aby na wszystkich domach znalazły się flagi państwowe. Biedne Żydki darły prześcieradła i wsypy, ale na wszystkich domach pojawiły się barwy biało-czerwone. Zdarzyła się też zabawna sytuacja. Rano na rynku stanął szwadron w szyku konnym, bo miałem przyjąć defiladę. Wyjechałem przed front i odebrałem raport od pchor. Berga. Na rynku zebrał się dość, jak na wyludnioną Dzisnę, duży tłumek, który z ciekawością obserwował i czegoś oczekiwał. Chciałem przemówić do ułanów, a że miałem i mam wstrętny i bardzo donośny głos rozpocząłem od słowa: „Ułani". Gdy padło pierwsze donośne słowo, tłumek rzucił się do ucieczki, lecz widząc, że mu nic nie grozi po chwili zawrócił, ale był zawiedziony, bo myślał, iż został już zawarty pokój i to jest powodem uroczystości.

Ułanom postój w Dziśnie bardzo się podobał i bardzo sobie chwalili. Nawet nasz stary kucharz oficerski Waszczuk ożenił się. Też był śmieszny nasz stary od smażenia „bifszteksów". Gdy chciał się ożenić, przyszedł zapytać o pozwolenie. Kazałem mu napisać podanie do dowódcy pułku. Odpisali mu i dostał pozwolenie. Po kilkunastu dniach dowiedziałem się, że ożenił się z inną niewiastą niż opiewało pozwolenie. Wołam go i raczej dla żartu pytam, czy to prawda.

– Tak jest, ale czy to panu majorowi nie wszystko jedno, z którą się ożeniłem, zresztą one od jednej ciotki – odpowiada.

– A, jak od jednej ciotki to w porządku!

Chłopisko było stare, był ochotnikiem z 1918 roku.

Od naszego przyjścia do Dzisny, tj. od końca października, złapał mróz i trzymał do lutego, bo w końcu tego miesiąca wymaszerowaliśmy. Wilki szalały i przychodziły nawet na krańce miasteczka. Łącznicy jeżdżący z meldunkami do Łóżek niejednokrotnie mieli stracha, bo szły za koniem, ale nie ryzykowały napadać, widać nie były jeszcze bardzo głodne.

Na początku grudnia wrócił z urlopu Haczyński i teraz ja miałem urlop. Do urlopu o tyle przygotowałem się, że krawiec w szwadronie uszył mi trencz z koca amerykańskiego i pokrył kożuch, a Żyd Bimbat dostarczył kołnierz z zająca, ufarbowany chyba atramentem na czarno, i przezwał go „kotikiem". Zebraliśmy się z moim ordynansem Lucjanem Szwejkowskim i podwodą wyruszyliśmy do Łóżek, do dowództwa pułku, gdzie otrzymałem dokumenty urlopowe i gażę oraz rozkaz zameldowania się w Głębokim w sztabie brygady. Z Głębokiego, zmieniając podwody i jadąc dniem i nocą, mimo silnego mrozu, wreszcie dotarłem do Łetup, skąd chodził jakiś jeden pociąg do Wilna. Droga była szalenie uciążliwa, gdyż z Łetup jechaliśmy na parowozie i w drodze trzeba było jeszcze ładować z sągów drzewo, bo zabrakło paliwa. W Wilnie przenocowałem w hotelu, a przed kolacją chciałem się ogolić i tu, gdy spojrzałem w lustro zobaczyłem, że moje „kotiki" zrobiły ze mnie Murzyna, na szczęście woda z mydłem pozwoliła przywrócić mnie do rasy białych ludzi. W szalonym tłoku dojechałem do Warszawy. Tu znów przenocowałem i wreszcie po tygodniu jazdy, przez Toruń dotarłem do Wąbrzeźna, gdzie chwilowo zamieszkała moja żona, oczekująca na urodzenie Adasia.

W Wąbrzeźnie mieszkała moja siostra Wanda Chełmicka, gdyż mąż jej po sprzedaży majątku Białkowo kupił willę. Naprzeciw ich willi był domek, który znów kupiła przyjaciółka matki mojej p. Julia Kowalska. Od niej wynajęła dwa pokoje z kuchnią moja żona. Pomysł był słaby. W pobliżu w Radowiskach mieszkali moi rodzice. Ojciec, po sprzedaży Kłudna, ratując dewaluujące się pieniądze, kupił tam niewielkie gospodarstwo, tzw. po pomorsku „gburstwo". To przypuszczalnie skłoniło moją żonę, gdy ja byłem na wojnie, do wyjazdu do Wąbrzeźna. Urlop przeszedł raczej wesoło na łonie rodziny, lecz zbliżał się koniec, a rozwiązanie nie następowało. Telegraficznie przedłużono mi urlop. Wreszcie 25 stycznia 1921 roku urodził się Adaś, a ja 23 musiałem wyjechać do pułku.

I znów, po makabrycznej drodze, znalazłem się w Dziśnie. Lecz tu zastałem już zmienione warunki. Haczyński rozpuścił ludzi. Zaczął się przemyt przez granicę. Ułani łapali przemytników, odbierali towary, które cichaczem sprzedawali innym po to, aby znów je odebrać. Haczyński odnosił się do tych handli z dużą tolerancją, co uważałem za bardzo szkodliwe.

Natychmiast po powrocie z urlopu zostałem wysłany z plutonem z zadaniem patrolowania brzegów zamarzniętej Dźwiny. Upłynął termin zawieszenia broni, nie było wzmianki o przedłużeniu. Wkrótce jednak nadeszła wiadomość i niepewność skończyła się.

W końcu lutego lub w początku marca 1921 roku na nasze miejsce do Dzisny przyszedł szwadron 19 pułku ułanów. 7 pułk ułanów miał być przetransportowany do Kraśnika. Marsz z Dzisny do Mołodeczna, do stacji załadowczej – 200 kilometrów przy 25 stopniach

Ok. 1924. Por. Józef Szostak z żoną i dzieckiem.

Ok. 1924. Stoją m.in. por. Józef Szostak z żoną.

mrozu nie należał do przyjemnych marszów. W Mołodecznie doręczono mi depeszę z wiadomością, że żona moja jest ciężko chora i z prośbą, abym natychmiast przyjechał. Otrzymałem bez trudności urlop, mimo że depesza szła 3 tygodnie. Jechałem z duszą na ramieniu, bo nie byłem pewien, czy nie przyjadę nawet po pogrzebie. W Wąbrzeźnie jednak okazało się, że niebezpieczna gorączka popołogowa szczęśliwie minęła, tylko maleńki Adaś niedomagał.

Wracając do pułku, w Warszawie zaszedłem odwiedzić moich kolegów szwoleżerów. Dowódcą kadry był rtm. Dudziński. Julek wpadł na mnie z żądaniem, abym natychmiast wracał do szwoleżerów. Oświadczył, że on załatwi wszelkie formalności odnośnie przeniesienia w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Oczywiście bardzo mi to odpowiadało, bo jakkolwiek nie było mi źle w 7 pułku ułanów, ale zawsze tęskniłem do szwoleżerów i oni też, mimo wszystko, trochę mnie uważali za szwoleżera na gościnnych występach w ułanach. Niejednokrotnie major Piasecki, po jakiejś udanej akcji 7 pułku ułanów, pytał, czy szwoleżerowie lepiej by ją przeprowadzili.

Po paru dniach, gdy wróciłem pod Kraśnik, pojechałem do dowództwa pułku prosić o zgodę i pozwolenie na powrót do szwoleżerów, musiałem wysłuchać wielu wymówek i obietnic związanych z chęcią opuszczenia pułku, ale ostatecznie otrzymałem zgodę. Moje przeniesienie zostało załatwione bardzo szybko i po pożegnaniu, które mi zgotowali oficerowie i podoficerowie szwadronu, mocno pokropione alkoholem, znalazłem się w Warszawie w szwoleżerach.

Po zameldowaniu się w kadrze 1 pułku szwoleżerów od razu dostałam mieszkanie w budynku oficerskim w koszarach przy ulicy Ułańskiej (późniejsza Szwoleżerów) i mogłem od razu sprowadzić rodzinę z Wąbrzeźna. Mały Adaś był ciężko chory, bo urodził się w zimnym i wilgotnym mieszkaniu, ale uważałem, że raczej w Warszawie znajdę lepszych lekarzy, więc zdecydowałem przejazd do stałego już mieszkania. Wezwany dr Stankiewicz orzekł, że Adaś jest kompletnym inwalidą, ale postanowił doprowadzić go do zdrowia. Faktycznie w niedługim czasie był zdrów.

Szybko zagospodarowaliśmy się w Warszawie i przed 19 marca miałem wyjechać do Chełma do pułku na uroczystość dekoracji sztandaru pułkowego orderem Virtuti Militari. Uszyłem więc sobie już u porządnego krawca nowy mundur, kupiłem czapkę i wyjechałem wraz z Dudzińskim do Chełma, gdzie kwaterował chwilowo pułk.

Uroczysta dekoracja sztandaru została wyznaczona przez Marszałku na dzień Jego imienin, tj. 19 marca 1921 boku. Dzień był dość pogodny i raczej ciepły, jak na marzec. Szwadrony pułku w szyku konnym ustawiły się na placu koszarowym. Ja z podporucznikiem Dziadulskim zostaliśmy wyznaczeni do sztandaru, co zostało uwiecznione na fotografii, której już nie mam, ale jest

ona w Księdze Jazdy Polskiej. Podpułkownik Jan Głogowski, klęcząc, pochylił sztandar przed Marszałkiem, który przypiął doń srebrny krzyż orderu Virtuti Militari klasy V. Po defiladzie, która nie była imponująca, gdyż pułk był bardzo źle umundurowany i trochę za mało zadbał o efekt zewnętrzny, odbył się w kasynie oficerskim obiad. Na obiedzie tym Marszałek wygłosił przemówienie. Całości już dziś nie jestem w stanie odtworzyć, lecz główny ustęp pamiętam prawie dosłownie „...Ile razy potrzebowałem kawalerii, zawsze oczy moje pałały na wasz pułk, rzucałem was po wszystkich frontach jak piłkę bilardową i nigdy nie zawiedliście mnie. Dziękuję wam za to szwoleżerowie!". Te słowa zostały później wyryte, złotymi literami jako motto, na tablicy poległych która znajdowała się w kościółku pułkowym. Budynek ten w Polsce Ludowej został oddany Kościołowi narodowemu[38], a tablice usunięto.

Z Chełma Marszałek wyjechał do Tomaszowa Lubelskiego na dekorację 1 pułku ułanów krechowieckich i 14 pułku ułanów jazłowieckich. W delegacji od 1 pułku szwoleżerów na tę uroczystość został wyznaczony rtm. Rackmann i ja. Zabrano nas pociągiem specjalnym Naczelnika Państwa. Z tej uroczystości pojechaliśmy jeszcze do Kraśnika na uroczystość nadania sztandaru i dekoracji tegoż w 7 pułku ułanów.

Tu również odbyła się dekoracja oficerów i szeregowych pułku orderem VM. Z boleścią dowiedziałem się, że w ostatniej chwili skreślono mnie z listy dekorowanych. Podobno zaprotestował rtm. Gorzechowski, motywując moim odejściem z pułku. Nie byłem na to przygotowany, gdyż płk Dreszer uzgodnił z płk. Głuchowskim, że mam dostać VM z 7 pułku ułanów, choć Orlicz chciał mi nadać ze szwoleżerów i o tym mnie powiadomił. Przykro mi było na tym oficjalnym obiedzie, choć major Piasecki po dekoracji tłumaczył mi, że to się stało wbrew jego woli. Marszałek, podczas przemówienia przypiął trochę łatkę, chyba pod adresem Głuchowskiego, mówiąc, że jakkolwiek pułk był bardzo bojowy, ale miał fetysza – konia, który mu trochę przeszkadzał. Po tych uroczystościach wróciłem do Warszawy.

W końcu marca lub w pierwszych dniach kwietnia, po podpisaniu traktatu ryskiego, pułk został ściągnięty do Warszawy. Jednak nie od razu mógł zająć swoje koszary, gdyż część koszar zajmowały różne jednostki wojskowe, które podczas wojny umieszczono w naszych koszarach. I tak drugi szwadron umieszczono czasowo w Rembertowie, a czwarty w Starej Wsi. Ponieważ dowódca 4 szwadronu był na urlopie (por. Stempkowski Michał[39]), a jego zastępca

[38] Tj. Kościołowi polsko-katolickiemu.

[39] Michał Stempkowski (1896–1988) – płk kawalerii WP. Po wybuchu I wojny światowej służył w armii rosyjskiej. Od listopada 1917 do maja 1918 w I Korpusie Polskim walczył z bolszewikami, od listopada 1918 z wojskami niemieckimi. Po wrześniu 1939 w konspiracji na róż-

był mało energiczny, otrzymałem rozkaz objęcia czasowo dowództwa 4 szwadronu. Bez entuzjazmu wyjechałem do miejsca niedawno ukończonej szkoły jazdy. Faktycznie w szwadronie zastałem duży bałagan. Wziąłem się więc do roboty i po paru dniach zaprowadziłem porządek i podciągnąłem trochę dyscyplinę. W Starej Wsi byłem kilka dni, bo wrócił z urlopu Michał Stempkowski. W Warszawie, na wniosek majora Karcza, postanowiono oddanie mi, już etatowo, dowództwa trzeciego szwadronu, którym słabo dowodził por. Wendorf. Ten szwadron był specjalnie memu sercu miły, gdyż było w nim jeszcze wielu szwoleżerów spod Dołhobyczowa i spod Wilna. Objąłem więc szwadron, który kwaterował w Warszawie i zacząłem urządzać się w koszarach już na stałe.

Ten pierwszy nasz pobyt w stałym garnizonie nie od razu nabrał cech stałości. Ciągle jeszcze panowały stosunki jak na kwaterach podczas wojny. Widział to płk Dreszer, który był naszym dowódcą w 2 dywizji kawalerii i odczuwał konieczność zrobienia z nas regularnego wojska, bo na czas pokojowy to byliśmy trochę walecznym towarzystwem na pół tylko wojskowym. A korpus oficerski szwoleżerów znał swoją wartość bojową i śmiało wypowiadał swoje zapatrywania i nie zawsze był skłonnym poddawać się, w sprawach pokojowych, swemu dowódcy. Płk Dreszer postanowił sprowadzić do pułku kilku oficerów z armii rosyjskiej, którzy lepiej znali się na porządkach pokojowych od wychowanych na wojnie i bojowych legionistów. Nam natomiast to podejście zupełnie nie trafiało do przekonania. Miał przyjść do pułku, jako zastępca dowódcy, tj. Jana Głogowskiego, major Rowiński z 2 pułku ułanów. Zaraz powstał sprzeciw, bo my chcieliśmy, aby zastępcą był Karcz. Jednak Rowiński przyszedł i choć był na pewno niezłym oficerem, a do tego bardzo pracowitym, stosunek do niego był raczej nieprzychylny. Nie miał VM, gdy większość starszych oficerów, jak Karcz czy Mastalerz, było dekorowanych na froncie. Bojowością nam nie imponował. Również przydział do pułku por. Józefa Trepto spotkał się ze sprzeciwem korpusu oficerskiego i znów, mimo odrzucenia przy balotażu jego kandydatury, Dreszer przydzielił go do pułku.

Mimo tych tarć pułk szykował się do oficjalnego wjazdu do stolicy z frontu. Nie można było w takim stanie defilować przez Warszawę, w jakim pułk się znajdował. Wydano więc nam nowe umundurowanie, a nawet jednakowe siodła, bo w pułku były różne typy, zaczynając od austriackich, kończąc na meksykańskich. Konie też trzeba było nieco podkarmić. Wreszcie postanowiono dobrać konie maściami, co wymagało wymiany koni między szwadronami. Pierwszy szwadron miał mieć konie gniade, drugi i trzeci – kasztany, czwarty

nych stanowiskach w ZWZ-AK, w 1944 komendant Okręgu Łódź Armii Krajowej. Więziony po wojnie, mieszka w Warszawie.

skarogniade, a szwadron karabinów maszynowych – kare, szwadron techniczny – różne.

Na dzień 22 maja został wyznaczony oficjalny powrót pułku z frontu do Warszawy. Miasto przygotowało obiad dla żołnierzy w Saskim Ogrodzie. Rano przeszliśmy nad Wisłą do mostu Kierbedzia, skąd już oficjalnie z orkiestrą przybyliśmy na Plac Zamkowy. Tu zatrzymaliśmy się i po spieszeniu się, wyznaczeni do dekoracji uszykowali się w jeden szereg. Marszałek Piłsudski osobiście nas udekorował orderem Virtuti Militari. Tym razem już z dumą jechałem przez Warszawę, bo prócz Krzyża Walecznych, który otrzymałem z 7 pułku ułanów, miałem to najbardziej cenione odznaczenie. Mój krzyż miał numer 2733.

Życie pokojowe w szwoleżerach

Rozpoczęliśmy w wojsku życie pokojowe. Przystąpiono do reorganizacji wojska i wprowadzenia nowych regulaminów, opartych w znacznym stopniu na regulaminach francuskich i doświadczeniach z minionej wojny. U nas w kawalerii kłóciły się jednak ciągle wpływy oficerów z byłych armii zaborczych. Pułki jeszcze przez długi czas były niejednolite. Tam, gdzie był dowódca i większość korpusu oficerskiego z armii rosyjskiej – pułk wyglądał jakby z innej armii niż pułk, gdzie panowały wpływy austriackie. Nasze pułki pochodzenia legionowego, głównie powstałe z 1 pułku ułanów Beliny, były znów mieszaniną wpływów obu armii zaborczych. Najmniejszy wpływ na kawalerię miała była armia niemiecka. Zresztą i władze złożone w postaci różnych inspektorów stawiały różne wymagania, jeżeli inspekcjonujący pochodził z armii austriackiej, to z góry było wiadomo, że najważniejszą rzeczą będzie dopasowanie rzędów końskich i zewnętrzny wygląd oddziału. Według tych czynników zostanie oceniony dowódca. Gdy znów inspekcjonującym będzie dawny oficer armii rosyjskiej, to na pewno ze wstrętem popatrzy na łańcuszki u munsztuków, a najważniejsze będzie rąbanie szablą i musztra na sygnał trąbki. Starzy oficerowie jeszcze ciągle żyli wspomnieniami armii carskiej lub cesarsko-królewskiej. Nie widać było początkowo, aby ktoś myślał, czy przyszła wojna będzie podobna do minionej, czy może zupełnie inna.

Ja, dowodząc 3 szwadronem, a poznawszy słabostki różnych przełożonych, umiałem dogodzić podczas inspekcji każdemu z nich. W Starej Wsi nauczył nas rtm. Bzowski jak wycyzelować dopasowanie rzędów, łącznie z pozatykaniem zbędnych dziurek, nie mówiąc już o dopasowaniu napierśników. Znów major Rowiński kładł wielki nacisk na rąbanie, więc i tego nauczyłem w szwadronie. W koszarach też wprowadziłem duży porządek, a już stajnia moja

wyglądała wzorowo, wszystkie przegrody między końmi były pooplatane słomą, jak również słupy. Słoma pod końmi zawsze czysta i dyżurni umieli przepisowo meldować się. Nic więc dziwnego, że szybko mój szwadron stał się najlepszym szwadronem liniowym w pułku. Konkurował ze mną jedynie szwadron karabinów maszynowych dowodzony przez mego szwagra rtm. Edzia Rackmanna. Miał on świetnego wachmistrza szefa, starego zupaka austriackiego, chor. Szczudluka. Ja też miałem bardzo dobrego szefa w szwadronie, którego odziedziczyłem po rozwiązanym szwadronie technicznym, a mianowicie st. wachmistrza Stefana Tatara. Staliśmy w jednym budynku koszarowym i nawzajem prześcigaliśmy się w porządkach. Przy takim dążeniu do lepszego służba zawsze zyskiwała, nic więc dziwnego, że zawsze mój szwadron był używany do wszelkich pokazów. Tylko swego zastępcę miałem dość słabego, a był nim por. Wisłocki z armii rosyjskiej. Lecz wkrótce dostałem ze szwadronu pchor. Pasicza, bardzo miłego chłopaka, ale lenia, oraz dwóch podchorążych szkoły: Kazimierza Sołtana i Edwarda Mańkowskiego.

O ile w szwadronie szło wszystko jak najlepiej i stosunki z mymi podwładnymi układały się bez zarzutu, to niestety w pułku zaczęły się nieporozumienia. Pułkownik Orlicz-Dreszer na pewno był zdolnym oficerem bojowym, o twardym charakterze i wielkich wymaganiach od podwładnych, ale był szalenie zarozumiały i nieznoszący obok siebie żadnej indywidualności. Uważał siebie za skończoną doskonałość, którą trzeba tylko podziwiać i zachwycać się nią, i być jej bezwzględnie oddanym. Uważał, że sławę pułk zawdzięcza wyłącznie jemu. Inaczej na to patrzyli oficerowie pułku. Myśmy znów uważali, że sławę Orlicz zawdzięcza wartościom bojowym podwładnych, czego dowodem była śmierć 50% oficerów i szwoleżerów oraz pięćdziesiąt kilka ran odniesionych przez oficerów. Rotmistrz Dudziński był 5 razy ranny, a Ciurlik-Nowiński – 4, w ciągu dwóch lat wojny. Dwukrotnie rannych było dużo.

Niestety, ale ten znakomity oficer, jakim był bezsprzecznie Dreszer, lubił otaczać się wazeliniarzami i popierał cichych, a posłusznych.

Dowódcą pułku był ppłk Jan Głogowski, oficer o wyjątkowej odwadze, lecz spokojny i flegmatyczny. Biedak męczył się, bo chciał i Dreszerowi dogodzić, i z korpusem oficerskim być w zgodzie. Już przydział do pułku majora Rowińskiego i por. Trepto nadwyrężył stosunki między oficerami a Dreszerem, ale dwa następne zajścia doprowadziły do poważniejszych nieporozumień. Koło Dreszera kręcił się nielubiany w pułku Żyd, chor. Likiernik. Nie wiem już na jakim tle miał on sprawę honorową z rtm. Dudzińskim. Sprawa została skierowana do pułkowego sądu honorowego, którego byłem członkiem. Likiernik sprawę w sądzie przegrał. Dreszer uważał, że sąd nie miał racji i bezprawnie kazał sąd rozwiązać. Sprawa oparła się o wyższe władze, które jednak dla zachowania

autorytetu dowódcy dywizji, uznały rozwiązanie składu sądu. To spowodowało wielkie oburzenie i niechęć do Dreszera.

Mniej więcej w tym czasie przyszedł rozkaz Naczelnego Wodza nakazujący zwołanie zebrania kawalerów orderu Virtuti Militari w celu wyboru kandydata do odznaczenia orderem czwartej klasy. Z pułku właściwie powinien zostać wybrany, jako najwięcej zasłużony, pierwszy dowódca, którym był Orlicz. Lecz jego popsute stosunki z pułkiem spowodowały, że prócz niego wystawiono jeszcze kandydatury Głogowskiego i Dudzińskiego. Efekt był taki, że głosy rozstrzeliły się i nikt z nich nie otrzymał odznaczenia i nie wszedł do kapituły orderu. A np. w 7 pułku ułanów jednogłośnie wybrano majora Piaseckiego i otrzymał on order czwartej, a nawet trzeciej klasy i wszedł do kapituły.

Te nieporozumienia z Dreszerem spowodowały, że rtm. Dudziński został przeniesiony do 24 pułku ułanów, a rtm. Rackmann do 4 pułku ułanów. Obaj oni podali się do dymisji z wojska i wyszli do rezerwy. Mnie też groziło przeniesienie, przynajmniej w moim przekonaniu, jak również por. Kazimierzowi Maxowi. Lecz my nie chcieliśmy czekać aż nas przeniosą i spróbowaliśmy sami wynieść się. W tym celu zwróciliśmy się do dowódcy szwadronu przybocznego Naczelnego Wodza z prośbą o przyjęcie, wiedząc, że tam są wakanse, gdyż dwóch naszych kolegów beliniaków wychodzi do rezerwy, mianowicie Adam Michalewski i Kazimierz Rojowski. Rtm. Markiewicz obiecał rozpatrzyć nasze kandydatury i dać nam znać. Mieliśmy nadzieję przyjęcia, bo dwóch innych oficerów tego szwadronu, a mianowicie rtm. Adam Radomyski i por. Aleksander Kwiatkowski przygotowywali się do Wyższej Szkoły Wojennej i byli na urlopie.

Przed 19 kwietnia 1922 roku zostałem wydelegowany jako przedstawiciel 1 pułku szwoleżerów na uroczystość rocznicy zdobycia Wilna. Podczas tej uroczystości byłem na oficjalnym obiedzie w województwie, podczas którego przemawiał Marszałek. W przemówieniu tym Marszałek motywował, dlaczego był przeciwny przyłączeniu Litwy Środkowej z Wilnem do Polski w takiej formie, jak to zrobiono. Myślą przewodnią Marszałka było nawiązanie stosunków z Litwą Kowieńską i doprowadzenie może nawet do dawnej unii.

Po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że prowadząca prace komisja weryfikacyjna, w skład której wchodził pułkownik Dreszer, skreśliła mnie z listy rotmistrzów z lokaty 299, na porucznika lok. 2 ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 roku. To wstrzymanie w awansie wpłynęło na całą moją karierę wojskową, bo zamiast zostać rotmistrzem ze starszeństwem z czerwca 1919 roku, jak to było w proponowanej liście starszeństwa oficerów kawalerii, zostałem porucznikiem i musiałem czekać na awans co najmniej cztery lata. Tak mnie ukarał płk Dreszer.

W szwadronie przybocznym

8 maja 1922 roku dostałem telegraficzny rozkaz zameldowania się natychmiast w szwadronie przybocznym Naczelnego Wodza. Taka forma przeniesienia była możliwa jedynie w Kwaterze Naczelnego Wodza i ze względu, że szwadron chwilowo został bez oficerów. Zameldowałem się więc u rotmistrza Dunin-Markiewicza, który był w tym czasie komendantem Kwatery Naczelnego Wodza i któremu podlegały szwadron i kompania przyboczna oraz autokolumna. Z przykrością znów dowiedziałem się, że będę tylko młodszym oficerem szwadronu, a nie zastępcą dowódcy, jak to było umówione w pierwszej rozmowie z rtm. Markiewiczem, gdyż Komisja Weryfikacyjna ma por. Kwiatkowskiego zweryfikować na rotmistrza.

Parę dni sam byłem w szwadronie i prowadziłem zajęcia, lecz po niedługim czasie przybył do szwadronu jeszcze jeden oficer, a mianowicie ppor. Józef Makowiecki z 13 pułku ułanów. Kandydatura por. Maxa nie została uwzględniona i Kazio pozostał w pułku.

Szwadron przyboczny był bezsprzecznie najładniejszym i najlepiej wyposażonym szwadronem kawalerii polskiej i służenie w nim można było zaliczyć do wyjątkowego szczęścia. Nie mówiąc już o zaszczycie służby przy Naczelnym Wodzu, co musiało być związane z zaufaniem do wartości i wierności oficera, ale i służba była ciekawa, a warunki pracy dogodne.

Szwadron przyboczny Naczelnego Wodza zajmował koszary razem z kompanią przyboczną Naczelnego Wodza na ulicy Huzarskiej (późniejsza 29 Listopada), pierwszy budynek od ulicy. Koszary były urządzone, jeżeli nie luksusowo, to przynajmniej dostatnio. Każdy ułan (bo choć byli na ewidencji szwoleżerów nazywali się ułanami) miał swoje porządne drewniane łóżko z siennikiem, poduszką wypchaną sianem, dwoma prześcieradłami i porządnym kocem, szafkę na rzeczy i taboret, nie licząc stołów, ławek i stojaków na karabinki i szable. Każdy pluton miał swoją salę złożoną z dwóch części, w jednej stały łóżka, szafki i taborety, czyli część sypialną, a w drugiej części stały stoły i ławki, co stanowiło jadalnię i świetlicę. Umundurowanie było inne niż w pułkach. Czapki były okrągłe, jak szwoleżerów, z granatowym otokiem i białymi wypustkami. Ułanki z sukna niemieckiego (feldgrau), kołnierz z proporczykami biało-amarantowymi, w środku ze srebrnym, wąskim paskiem, spodnie do długich butów z amarantowymi lampasami i podszyte lejami ze skóry. Płaszcze też z takiego samego sukna. Jako dodatki paradne były białe etyszkiety i białe rękawiczki. Oficerowie przy takich samych ułankach mieli srebrne etyszkiety, pasy, rapcie i również białe rękawiczki. To umundurowanie nosiło się od parady, bo na co

dzień mundury były takie jak w całym wojsku, tylko z proporczykami szwadronu i zamiast numeru na naramiennikach – orzełki.

Szwadron składał się z czterech plutonów, po 25 szabel i dość dużego taboru, bo aż 5 wozów i bryczki. Zorganizowany był dobrze, co było bezsprzeczną zasługą rtm. Karkiewicza, który był dobrym gospodarzem i umiał wprowadzić dobre obyczaje i tradycje do szwadronu. Konie szwadron miał dobre, same kasztany, choć niektóre nadawały się już do wybrakowania. Siodła były austriackie, artyleryjskie, a koce pod nie amerykańskie „khaki". Karabinki francuskie, małe i lekkie, ale marne, szable francuskie długie i ciężkie oraz lance, również francuskie. Proporce do lanc biało-amarantowe.

Stan podoficerów zawodowych jak na jeden szwadron był wysoki. Jedynie wachmistrz – szef szwadronu, st. wachmistrz Witczak Narcyz był starym żołnierzem z korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego z 1 pułku ułanów Krechowieckich, reszta podoficerów była już wychowankami szwadronu. Na ogół byli to dobrzy podoficerowie, znający służbę, zdyscyplinowani i oddani szwadronowi. Zastępcą dowódcy w każdym plutonie był podoficer zawodowy, jak również zawodowi byli funkcyjni, jak mundurowy, prowiantowy, furażer, a nawet rymarz i podkuwacz.

Codzienną służbą szwadronu był podwójny posterunek przy schodach w Belwederze, na który szło razem z wartą kompanii przybocznej sześciu ułanów i jeden rozprowadzający. My, oficerowie szwadronu, kompanii i autokolumny pełniliśmy, mniej więcej raz w tygodniu, nocną służbę w adiutanturze w Belwederze, razem z jednym z oficerów z Naczelnego Dowództwa. Służba nie była ciężka, choć nie można było spać ani położyć się, a jedynie siedzieć na fotelu przed kominkiem, jeżeli było zimno.

Konstytucja była uchwalona, a łącznie z tym na jesieni czy na początku zimy miały się odbyć wybory Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnik Państwa miał ustąpić ze swego stanowiska. Odbiło się to trochę na szwadronie. Nastąpił jakby pewien zastój. Zaprzestano uzupełniać szwadron tak w umundurowanie, jak i konie. Rtm. Markiewicz odszedł do rezerwy i został starostą. Dowództwo kwatery objął rtm. Radomyski, a szwadronu rtm. Kwiatkowski. Obaj oni odpadli przy egzaminie do Wyższej Szkoły Wojskowej. Radomyski był nadzwyczaj porządnym człowiekiem, bardzo zdyscyplinowanym, ale mało energicznym, natomiast Kwiatkowski był skończonym leniem i absolutnie nic nie robił. Przychodził do szwadronu około 9 rano, podpisał raporty, pobawił się ze swym psem – wilkiem Luxem i przepadał bez wieści, a my z Józkiem Makowieckim pracowaliśmy sami. Czasami, gdy wypadło eskortować jakiegoś posła nadzwyczajnego lub ambasadora przy składaniu listów uwierzytelniających Naczelnikowi Państwa, Kwiatkowski zjawiał się, siadał na konia i występował jako dowódca

szwadronu, aby później znów zniknąć jak kamfora. Radomyski to widział i choć zły był, ale jakoś nie umiał czy nie chciał energicznie reagować.

Po pewnym czasie takie spokojne życie zaczęło być nudne. Szwadron był dobrze wyszkolony, a służby stosunkowo mało. W niedziele Radomyski zmuszał nas do chodzenia do Kaplicy przy pałacu Łazienkowskim, gazie chodzili nasi ułani, a kapelan Naczelnika Państwa ks. Tokarzewski odprawiał mszę św. Po mszy do szwadronu co niedziela zajeżdżał adiutant generalny Naczelnika Państwa gen. Jacyna[40]. Jego przyjazd wyglądał tak: szwadron, po powrocie z kościoła, stał w dwuszeregu przed koszarami. Generał podchodził do pierwszego lepszego ułana, patrzył na niego przez chwilę, wreszcie zadawał pytanie, mocno kresowym akcentem, „A wy z jakiej guberni?". Ułan odpowiadał śmiało i wyraźnie: „Z województwa warszawskiego, panie generale!". Takie pytania były zadawane kilku ułanom, a następnie generał szedł do kuchni, próbował obiad i spełniwszy swój obowiązek dobrego przełożonego, odjeżdżał. Trochę podśmiewaliśmy się w duchu ze staruszka. Był on, mimo polskości, wychowawcą dzieci carskich Mikołaja II, a generałowa – frejliną dworu. Gen. Jacyna był morskim artylerzystą z zawodu, znał języki i do funkcji reprezentacyjnych nadawał się, zresztą do niczego innego nie był używany.

Gdy nadeszło lato, doszedłem do wniosku, że trzeba namówić rtm. Radomyskiego, aby puścił szwadron, razem ze szwoleżerami, na manewry. Najpierw wybuchł żywiołowy protest. Po co szwadronowi przybocznemu manewry, jak jakiemuś liniowemu szwadronowi? Nawet Witczak był oburzony na taką propozycję. Ja jednak nie ustępowałem, bo Kwiatkowski nie liczył się, on brał urlop. Dowodziłem, że szwadron wypuszcza do rezerwy co roku ponad 70 kawalerzystów, którzy nie są dostatecznie przygotowani bojowo. W końcu Radomyski dał się przekonać i załatwił formalności związane z naszym wyruszeniem jako piąty szwadron szwoleżerów. Oczywiście, że ja i Józio Makowiecki tylko wzięliśmy udział w tych manewrach. Byliśmy zresztą niedaleko od Warszawy i w razie potrzeby można było szwadron ściągnąć do miasta. Radomyski tylko rozpaczał, że konie schudną, ale jakoś bardzo nie schudły.

Po przydzieleniu mnie do szwadronu przybocznego byłem raz wyznaczony jako dowódca eskorty w pociągu Naczelnego Wodza podczas wyjazdu Marszałka do Brześcia nad Bugiem. Miało się tam odbyć wręczenie sztandaru któremuś z pułków 30 dywizji piechoty. Wieczorem, gdy nadeszła pora kolacji, adiutant Marszałka rtm. Sołtan oświadczył mi, że zostanę przedstawiony Marszałkowi

[40] Bolesław Jacyna-Jatelnicki (1890–1972) – gen. bryg., od 1910 oficer armii rosyjskiej, w 1917 w I Korpusie Polskim na Wschodzie, w 1919 uczestnik walk na froncie cieszyńskim i ukraińskim, następnie komendant Wielkopolskiej Szkoły Podchorążych Piechoty. W 1932 awansowany na gen. bryg.

jako nowy oficer szwadronu przybocznego. Gdy weszliśmy do wagonu jadalnego, Sołtan zameldował Marszałkowi, że przedstawia por. Szostaka jako nowego oficera szwadronu przybocznego. Marszałek spojrzał na mnie i podając mi rękę powiedział: „Nie trzeba go przedstawiać, znam go dawien z dawna". Byłem dumny, że Marszałek mnie poznał, widząc kilka razy zaledwie. Tu, podczas kolacji byłem świadkiem rozmowy Marszałka z gen. Rozwadowskim. Gen. Rozwadowski namawiał Marszałka do zrobienia zamachu stanu, gdyż był to okres przesilenia gabinetowego, po ustąpieniu gabinetu premiera Ponikowskiego. Generał namawiał do dyktatury. Pamiętam doskonale jak Marszałek nie zgadzał się z generałem, klarując mu, że nie należy nawet stwarzać takiego precedensu, nie mówiąc o ujemnych stronach dyktatury.

Wieczorem byliśmy na przyjęciu w kasynie oficerskim. Byłem zachwycony zachowaniem się Sołtana jako adiutanta. Był tak na miejscu, jak trudno sobie lepiej wyobrazić. Poważny i nieprawdopodobnie elegancki, uprzejmy i grzeczny dla każdego. Stał w pobliżu Marszałka gotowy na skinienie. W odpowiednim czasie przypomniał o terminie wyjazdu. Ja też trzymałem się mocno, pamiętając o mojej funkcji. Mimo namów prawie nic nie piłem.

W grudniu 1922 roku odbyły się wybory Prezydenta Rzeczypospolitej. Został wybrany Prezydentem prof. Gabriel Narutowicz. 10 grudnia na święcie pułkowym szwoleżerów widziałem, jak Marszałek rozmawiał z ppłk. Głogowskim, wydając mu zarządzenia odnośnie uroczystości przekazania władzy. Jak się później dowiedziałem, Marszałek, spodziewając się jakichś zamieszek, polecił Głogowskiemu wyznaczyć jakiegoś dowódcę szwadronu spokojnego i taktownego, który będzie eskortował Prezydenta do sejmu.

Głogowski w swej poczciwości uznał, że najlepiej nada się do tego dowódca 1 szwadronu rtm. Żuromski, który był słabym oficerem bojowym i do tego fujarą. Oczywiście ta fujara nie tylko nie osłoniła Prezydenta przed wrogimi demonstrantami, ale jeszcze sam oberwał po łapie kijem od jakiegoś draba. Prezydent dojechał do sejmu obrzucony pigułami śniegu. Dopiero przed sejm sprowadzony drugi szwadron z rtm. Mastalerzem wypełnił należycie swój obowiązek i odeskortował Prezydenta do Łazienek w porządku. To była wstrętna demonstracja, niegodna Polaków, w stosunku do pierwszego prezydenta, wyjątkowo mądrego i uczciwego człowieka.

Po tej przykrej demonstracji odbyła się w Belwederze odprawa wszystkich oficerów. Nastrój był poważny, gen. Jacyna zdenerwowany i trzęsący się, a Marszałek zły. Marszałek zaczął wydawać rozkazy dotyczące przekazania władzy Naczelnika Państwa Prezydentowi. Gdy doszło do funkcji, jaką miał wykonać szwadron przyboczny, Marszałek pominął rtm. Kwiatkowskiego i zaczął mnie wydawać rozkazy. Oczywiście nie śmiałem meldować, że dowódcą szwadronu

jest Kwiatkowski i stojąc na baczność wysłuchałem rozkazów. Po odprawie zapytałem jednak rtm. Radomyskiego, kto ma odpowiadać za wykonanie rozkazów, ja czy Kwiatkowski? Radomyski był w głupim położeniu i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, ale powiedział, że Kwiatkowski.

Mimo tego ja musiałem zająć się przygotowaniem szwadronu, łącznie z wypożyczeniem dwóch oficerów ze szwoleżerów, bo brakowało dwóch dowódców plutonów. Pożyczyłem więc podporucznika Kazimierza Sołtana i por. Vacquereta.

O wyznaczonej godzinie szwadron przybył przed domek w parku Łazienkowskim, gdzie chwilowo zamieszkiwał Prezydent Narutowicz i już pod naszą eskortą został odprowadzony do Belwederu. Na dziedzińcu belwederskim odbyło się przekazanie oddziałów przybocznych przez Naczelnika Państwa Prezydentowi Rzeczypospolitej. Po tej formalności zeszliśmy z koni i w pałacu przedstawiono nas Prezydentowi. Prezydent podał każdemu rękę i na tym nasza funkcja została skończona.

Na drugi dzień zaczęliśmy normalne zajęcia. Tyle tylko, że rtm. Radomyski zawiadomił mnie o odejściu rtm. Kwiatkowskiego ze szwadronu i że mam w zastępstwie w dniu 16 grudnia objąć dowództwo szwadronu. Rtm. Kwiatkowski nic mi nie przekazywał ani nie zdawał, zresztą to było niepotrzebne, bo ostatnio ja lepiej orientowałem się w sprawach szwadronu i służby niż on.

Pamiętny jest dla mnie ten dzień 16 grudnia, nie dlatego, że objąłem szwadron. Wróciłem około godziny jedenastej z ćwiczeń pod Wilanowem. Ułani rozsiodływali konie, a ja poszedłem do kancelarii szwadronowej. Nagle zadźwięczał telefon. Mówił major Maciesza z Belwederu – alarm, natychmiast przed Belweder. Wypadłem z kancelarii i krzyknąłem: „Alarm! Siodłać i zbiórka!”. Moi ułani świetnie wyszkoleni rzucili się biegiem do stajni. Z wartowni przy bramie koszarowej jeden z ułanów pobiegł otworzyć bramę przy pałacu Myśliwieckim, od której klucz był zawsze w szwadronie. Siedliśmy na koń i galopem ruszyliśmy przez Łazienki. Przegalopowaliśmy obok pałacu Łazienkowskiego i pod górę do Belwederu. Na rondzie przed bramą Łazienkowską przy Belwederze stał mjr Maciesza. Spojrzałem na zegarek – upłynęło 8 minut od zarządzenia alarmu. „Bardzo sprawnie”, pomyślałem. Otrzymałem rozkaz, aby kłusem jechać przed Zachętę. Ruszyliśmy więc dalej, już kłusem przez Aleje Ujazdowskie, Bracką, Mazowiecką do Zachęty. Tu na schodach stał rtm. Sołtan, podszedł do mnie i powiedział: „Pan Prezydent zabity”. Po chwili podjechało lando belwederskie. Postawiłem szwadron w rozwiniętym szyku, aby oddać honory. Wyniesiono nosze z ciałem Prezydenta przykrytym biało-czerwoną flagą. Nosze ustawiono na otwartym landzie. Szwadron sprezentował broń. Generał Jacyna i rtm. Sołtan stanęli na stopniach landa i ruszyliśmy do Belwederu. Po

przybyciu na miejsce szwadron nie odszedł od razu do koszar. Zeszliśmy z koni i pozostawaliśmy jakiś czas koło Belwederu.

Tu dopiero dowiedzieliśmy się, że Eligiusz Niewiadomski strzelił z pistoletu w plecy Prezydentowi podczas otwierania wystawy w Zachęcie i że został ujęty, zresztą nie próbując nawet ucieczki. I tak zginął pierwszy Prezydent niepodległej Polski. Człowiek o wielkiej kulturze, mądry i wykształcony oraz bezsprzecznie uczciwy patriota. Podłość endecka! Ci ludzie, którzy później ze strachu czy dla kariery przylepili się do komunistów, wtedy zamordowali legalnego Prezydenta, dlatego że był kandydatem Marszałka Piłsudskiego. Wstrętne było i to, że jeszcze z Niewiadomskiego robiono bohatera.

W Polsce była sytuacja napięta. Konstytucyjnym zastępcą Prezydenta, do czasu nowego wyboru, był marszałek sejmu Rataj. Nastąpiła natychmiastowa zmiana rządu. Premierem został gen. Sikorski, a szefem sztabu głównego Marszałek Piłsudski.

Trumna ze zwłokami Prezydenta Narutowicza do czasu pogrzebu pozostawała w Belwederze. Moi ułani trzymali przy niej wartę honorową. Pamiętam, gdy przed pogrzebem przyprowadziłem szwadron w poliże Belwederu i czekając, zeszliśmy z koni. Podszedłem do bramy podwórza belwederskiego. Stało tam dużo generałów i starszych oficerów. Z wartowni belwederskiej szła zmiana posterunków do pałacu. Moi ułani maszerowali tak sprężyście i pięknie, że zwróciło to ogólną uwagę. Posłyszałem wtedy, jak któryś z generałów powiedział: „Widziałem zmianę warty w pałacu cesarskim w Petersburgu, ale tak maszerujących kawalergardów jak ci ułani, nie widziałem". Przyjemnie mi się zrobiło, bo to była już moja praca. Podczas pogrzebu szwadron maszerował plutonami rozwiniętymi za rodziną, rządem i sejmem. Na wysokim karawanie stała trumna przykryta flagą państwową i wieńcami. Padał śnieg. Obok trumny szli żołnierze z kompanii przybocznej z zapalonymi pochodniami. Ten smutny obrządek pozostawił mi silne wrażenie. Szliśmy Alejami Ujazdowskimi, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem do Katedry.

20 grudnia 1922 roku odbyły się nowe wybory na Prezydenta. I nów został wybrany kandydat Marszałka Piłsudskiego – Stanisław Wojciechowski. Teraz już nie użyto szwoleżerów do eskorty. Otrzymałem rozkaz stawienia się ze szwadronem na ulicy Smolnej, gdzie zamieszkiwał nowo obrany Prezydent, z zadaniem eskortowania. Było już ciemno. Po niedługim oczekiwaniu zeszedł Prezydent. Podałem komendę i oddaliśmy przepisowo honory. Prezydent wsiadł do belwederskiego landa, zaprzęgniętego w piękne, białe konie anglo-normandy, dawne króla belgijskiego, a pozostałe po niemieckim generale Beselerze, ruszyliśmy do sejmu. W sejmie Prezydent złożył przysięgę, a następnie pojechaliśmy do Katedry, do stojącej tam trumny Prezydenta Narutowicza, wreszcie

z powrotem do Belwederu. Tu na podwórzu odbyło się przekazanie oddziałów przybocznych nowemu Prezydentowi. Kazano nam zejść z koni i nie rozbierając się nawet z płaszczy, zostaliśmy przedstawieni nowej Głowie Państwa. Prezydent robił wrażenie jakby trochę oszołomionego tempem wypadków. Nikomu z nas nie podał ręki i patrząc raczej nas nie widział. Późno wieczorem wróciliśmy do koszar.

Następnej nocy miałem służbę w Belwederze. Wszyscy oficerowie oddziałów przybocznych, tak jak za czasów Marszałka, pełnili służbę nocną przy Prezydencie. Zadaniem naszym był nadzór nad bezpieczeństwem, gdyż komendantami warty belwederskiej byli sierżanci z kompanii przybocznej. Wartę zasadniczo wystawiała kompania przyboczna, a szwadron dawał tylko 7 ułanów na posterunek honorowy wewnątrz pałacu. Dyżurny oficer, teraz już sam jeden, siedział w adiutanturze, tj. w pokoju obok głównego salonu (zdaje się, że obecnie salon ten nazywa się salą pompejańską), w którym były zainstalowane dwa telefony, jeden bezpośredni do miasta i drugi do centrali belwederskiej. Prócz tego był również dzwonek z apartamentów pierwszego pietra, gdzie zamieszkiwał dawniej Marszałek, a później Prezydent. Oczywiście nie wolno było spać ani robić sobie ulg w umundurowaniu, jak zdejmowania pasa z pistoletem lub nawet rozpinania kołnierza.

Rano o godzinie 7 wszedł do adiutantury Prezydent. Zameldowałem się jako oficer dyżurny. Prezydent podał mi rękę i zapytał, czy spałem w nocy. Powiedziałem, że instrukcja nie pozwala spać. Prezydent uznał to za niesłuszne i powiedział, że pozwala spać na kanapie.

Zbliżał się dzień Wigilii. Zostaliśmy zawiadomieni, że na wieczerzy wigilijnej wszyscy oficerowie, pełniący służbę przy Prezydencie, mają być w Belwederze. Zupełnie nam to nie odpowiadało, bo każdy w tym dniu raczej woli być w rodzinie, ale zaproszenie Prezydenta równało się rozkazowi. O oznaczonej godzinie stawiliśmy się w adiutanturze belwederskiej, oczywiście bez żon. Po parominutowym oczekiwaniu wszedł Prezydent z żoną oraz z synem i córką. Podeszliśmy, aby przywitać się. Prezydent przedstawiał nas kolejno żonie. Pani Wojciechowska była jakby speszona i nie bardzo wiedziała jak ma nas oficerów traktować. Niezdecydowanie podawała rękę do pocałowania. Zasiedliśmy do stołu po uprzednim połamaniu się opłatkiem. Na końcu stołu zasiedli również starszy lokaj Różalski, który przeżył 13 panów w Belwederze, a 14 był obecny Prezydent, oraz stangret, stary dorożkarz warszawski – Obrębski. Wilia była dość skromna, a nastrój raczej naciągnięty. Wszyscy się źle czuli i zadowoleni byli, gdy wreszcie mogli wrócić do domów.

Stosunki w Belwederze zaczęły się zmieniać. Początkowo pozostał ten sam personel, który był przy Naczelniku Państwa. Generalnym adiutantem był

jeszcze gen. Jacyna, ale już było wiadomo, że na jego miejsce jest wyznaczony gen. Frankowski, który zresztą nie objąwszy swej nowej funkcji po paru dniach zmarł. Szefem kancelarii wojskowej był jeszcze major Świtalski[41], późniejszy premier i marszałek sejmu. Adiutantami byli por. Horodecki i por. Łaszkiewicz. Rotmistrz Sołtan odszedł. W oddziałach przybocznych nic się nie zmieniło, tylko ja zostałem mianowany etatowym dowódcą szwadronu przybocznego, już obecnie Prezydenta Rzeczypospolitej. Po pewnym czasie adiutantem generalnym został powołany z rezerwy do wojska rtm. Pusłowski, lecz był bardzo krótko. Po nim przyszedł pułkownik Mariusz Zaruski z dowództwa 23 pułku ułanów. Odszedł major Świtalski, a na jego miejsce przyszedł z rezerwy major artylerii Kazimierz Mazanek. Szefem kancelarii cywilnej został mec. Konstanty Lenc, na miejsce mec. Cara. Wszystkie te zmiany nastąpiły w ciągu pierwszego kwartału 1923 roku.

Któregoś dnia, w końcu lutego lub na początku marca, gdy kończyłem służbę nocną w Belwederze, Prezydent zapytał mnie o stan szwadronu. Zameldowałem,

Boże Narodzenie 1923 w Belwederze – Szwadron Przyboczny Prezydenta RP. Siedzą od lewej: NN, por. Józef Szostak, NN, rtm. Adam Radomyski.

[41] Kazimierz Świtalski (1886–1962) – płk, działacz niepodległościowy przed 1914. W czasie wojny oficer I Brygady LP, w Wojsku Polskim na różnych stanowiskach, aktywny uczestnik przewrotu majowego, od 1926 min. WRiOP, następnie premier, a później wojewoda krakowski. W latach 1930–1939 poseł i marszałek Sejmu, następnie senator i wicemarszałek Senatu. Po wojnie więziony na Mokotowie, zginął w wypadku ulicznym w Warszawie.

Boże Narodzenie 1925 w Belwederze – Szwadron Przyboczny Prezydenta RP.

że mam za mało koni i dość już zniszczone mundury paradne (ułanki). Prezydent rozkazał mi, abym porozumiał się z płk. Zaruskim i uzupełnił wszelkie braki. Zrobiłem więc zestawienie braków i zameldowałem się u płk. Zaruskiego. Pułkownik, który zresztą w krótkim czasie został mianowany generałem brygady, załatwił wszystko w Ministerstwie Spraw Wojskowych. I rozpocząłem pracę nad uzupełnieniem stanu ludzi, koni i umundurowania. Jeździłem więc po pułkach kawalerii według rozdzielnika Ministerstwa Spraw Wojskowych i wybierałem ludzi i konie. Wybierałem dorodnych chłopców i konie kasztany, których zresztą w pułkach było dużo. Zajęliśmy się gorliwie doszkoleniem ułanów, których stan był o wiele słabszy od moich starych przyboczniaków, zwłaszcza w musztrze formalnej. Mundury szyły warsztaty DOK[42] I w Cytadeli. Jeździłem tam kilkakrotnie, aby dopilnować szycia. Poprzednie ułanki były z sukna niemieckiego (feldgrau), obecne szyte już z sukna polskiego, używanego przez armię polską, tj. „khaki". Czapki też, na wniosek Radomyskiego, a za aprobatą gen. Zaruskiego zmieniono, z okrągłych, noszonych przez szwoleżerów, na rogatywki z amarantowym otokiem. Tu okazało się pewne uprzedzenie Radomyskiego do 1 pułku szwoleżerów. Szwadron przyboczny liczył się na ewidencji pułku i mobilizacyjnie miał być 5 szwadronem liniowym.

[42] DOK – dowództwa okręgów korpusów – terytorialne organy Ministerstwa Spraw Wojskowych w II RP (przyp. red.).

Ale Radomyski i Zaruski służyli w ułanach, a Markiewicz też był ułanem, więc w szwadronie żołnierze nazywali się ułanami, a nie szwoleżerami. Nie miałem nic do gadania i musiałem zgodzić się na zmianę czapek. Spodnie też szyto już bez lampasów. W połowie kwietnia miałem szwadron skompletowany zupełnie.

Zatwierdzono mi nowe etaty, które sam opracowałem. Szwadron miał składać się z dowódcy w stopniu majora, czterech dowódców plutonów w stopniach od rotmistrza do podporucznika, wachmistrza szefa, 5 trębaczy, 4 plutonów po 25 szabel oraz w każdym plutonie po dwa konie zapasowe. W każdym plutonie były po trzy sekcje, po 8 ułanów konne i czwarta sekcja bez koni, jako zapasowa rezerwa ludzi. Przy tym etacie, gdy szwadron występował w całości konno, nie brakowało ludzi, aby wystawić wartę honorową w Belwederze. Funkcyjni też byli uwzględnieni, jako podoficerowie zawodowi lub nadterminowi, a mianowicie: podoficer sanitarny, podoficer weterynaryjny, podkuwacz, rymarz i krawiec oraz magazynier, furażowy i prowiantowy. Tabor przewidywał: kuchnię polową dostarczaną na wyjazdy poza garnizon, 2 wozy furażowe, 1 wóz przykuchenny, 1 oficerski i chyba jeden sprzętowy dla podkuwacza. Co roku miałem otrzymywać uzupełnienie rekrutów w ilości 80. Tu była jakiś czas walka z Radomyskim, który uważał, że należy brać uzupełnienie z już podszkolonych ludzi z pułków. Ja stanąłem na stanowisku, że lepiej jest wychować sobie ułana od rekruta, niż brać ponarowionych różnymi systemami szkolenia z pułków. Ostatecznie stanęło na moim. Warunkiem przydziału do szwadronu było: narodowość wyłącznie polska, umiejętność czytania i pisania, prawidłowa budowa ciała, wzrost 174 do 176 cm. System szkolenia był też inny niż w pułkach, bo gdy w pułkach dążyło się do jak najszybszego osiągnięcia gotowości mobilizacyjnej, ja szkoliłem tak, aby do 3 maja osiągnąć najlepsze wyszkolenie formalne, tj. jazdę konną, musztrę pieszo i konno, strzelanie oraz wychować ludzi pod względem największej dyscypliny i zrozumienia zaszczytu służby przy osobie Głowy Państwa.

Do szwadronu otrzymałem nowego oficera, por. Stanisława Mirowskiego, z 21 pułku ułanów, który był siostrzeńcem Prezydenta. Nabytek był rozpaczliwy. Mirowski był starszy wiekiem ode mnie o ładne parę lat. Przyszedł z młodego i dość marnego pułku, bez żadnych tradycji bojowych, a z narowami byłej armii carskiej, więc ja jako legionista wcale mu nie przypadłem do gustu. A on mnie, bo nie znalazłem w nim absolutnie żadnych wartości. Był słabym instruktorem, ponury, wiecznie z niezadowoloną miną, nietęgi jeździec, wreszcie mało zdyscyplinowany.

Drugim przydzielonym oficerem był ppor. Kazimierz Sołtan. Przydział tego oficera ja sam zaproponowałem, bo znałem go, gdyż przyszedł do 1 pułku

szwoleżerów ze szkoły podchorążych kawalerii w Grudziądzu i był przydzielony do mego 3 szwadronu. Sołtan był na pewno dobrym oficerem. Nie odznaczał się jakąś wybitną inteligencją, był trochę snobem, ale jako dowódca plutonu był bez zarzutu, był dobrym instruktorem i miał dobrą prezencję.

Przed 3 maja 1923 roku szwadron miałem gotowy do eskortowania Prezydenta podczas święta narodowego. Lecz jeszcze wcześniej czekała mnie niespodzianka. Dostałem rozkaz wyjazdu ze szwadronu do Gdyni. W Gdyni miała się odbyć uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę dworca morskiego, co było wyznaczone na dzień 1 kwietnia 1923 roku. Budowa portu w Gdyni była dopiero rozpoczęta. Załadowaliśmy się więc na Dworcu Zachodnim. Załadowanie odbyło się szybko i wprawnie, gdyż zdążyłem jeszcze przeprowadzić ćwiczenia w załadunku, a przy dużej dyscyplinie nie było niedociągnięć.

Odprowadził nas na dworzec rtm. Radomyski, a gdy rozlokowaliśmy się w wagonie osobowym, zapytał, czy nie wzięliśmy z sobą coś do jedzenia. Okazało się, że ja mam schab i bułki, a ktoś inny wódkę. Poczciwy smakosz nie wytrzymał nerwowo i sam zaproponował, aby wypić strzemiennego. Dopiero jak sobie podjadł pojechał do domu, a my do Gdyni.

Do Gdyni przybyliśmy na dwa dni przed przyjazdem Prezydenta. Gdynia była małą rybacką wioską, w której nie starczyło nawet miejsca, aby zakwaterować cały szwadron, jeden pluton musiał kwaterować na Kamiennej Górze. Ja osobiście kwaterowałem razem z Józiem Makowieckim u jakichś Niemców lub może Kaszubów, którzy byli na tyle delikatni, że zdjęli ze ściany portret Wilhelma II. Nie mogę tylko zrozumieć, w jaki sposób porozumiewał się z gospodynią ordynans Maxa – Rybak. Ale jakoś umiał się dogadać i jedliśmy dobrze, zwłaszcza smakowały nam smażone flądry. W Gdyni nie było jeszcze co zwiedzać. W budowie było pierwsze molo. Widać było potężne pale wbite w dno i między nie wwalone kamienie. Nad brzegiem stał jeszcze nieotynkowany nowy budynek, miał to być hotel czy pensjonat, a może restauracja pod nazwą „Riwiera". Na redzie widać było stojące okręty francuskie i angielskie. W oczekiwaniu na przyjazd Prezydenta, poznaliśmy się z naszymi marynarzami z kanonierki „Komendant Piłsudski", zaprosili nas na skromne śniadanie w swojej mesie.

23 kwietnia przyjechał do Gdyni Prezydent. Oczekiwałem go przed dworcem i eskortowałem na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod Dworzec Morski. Publiczności było bardzo mało i skromnie ta uroczystość wypadła. Potem Prezydent zeszedł na brzeg i rozkazał mi wjechać ze szwadronem do morza. Mój Elektor trochę fukał i nie bardzo zdradzał zapał do wejścia do tak dużej i słonej wody, ale ostrogi pomogły i rad nierad wszedł, a za nim cały szwadron. Przejechaliśmy kawałek, zamaczając konie po brzuchy. Następnie

1923. Oficerowie Szwadronu Przybocznego Prezydenta RP na terenie koszar przy ulicy 29 Listopada w Warszawie. Stoją od lewej: por. Józef Makowiecki, por. Stanisław Mirowski, por. Józef Szostak, por. Kazimierz Zaleski, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan.

1923. Oficerowie Szwadronu Przybocznego Prezydenta RP na terenie koszar przy ulicy 29 Listopada w Warszawie. Stoją od lewej: NN, por. Józef Szostak, płk Mariusz Zaruski, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan, rtm. Adam Radomyski, por. Mieczysław Poniatowski.

1923. Dowódcy plutonów Szwadronu Prezydenta RP. Widoczni od prawej: por. Stanisław Mirowski, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan, por. Józef Szostak, por. Józef Makowiecki.

1923. Ćwiczenia na placu maneżowym na terenie koszar przy ulicy 29 Listopada. Pierwszy z lewej por. Józef Szostak

eskortowaliśmy Prezydenta do Oksywia i z powrotem do Gdyni, gdzie w jakiejś szopie odbyło się śniadanie wydane przez Prezydenta. Na śniadaniu tym byli oficerowie marynarki francuskiej i angielskiej. Prezydent wygłosił przemówienie, które wywołało gwałt w prasie zagranicznej i Ministerstwo Spraw Zagranicznych miało z tym kłopot. Ja osobiście nic w tym przemówieniu nie usłyszałem nadzwyczajnego, ale też zupełnie nie znałem się ani na polityce, ani na dyplomacji. Wieczorem Prezydent odjechał, a nas też załadowano i tym razem przez Wolne Miasto Gdańsk pojechaliśmy do Warszawy.

Wyładowałem się na Pelcowiźnie dnia 1 maja. Nawet nie pamiętałem o tej dacie i spokojnie maszerowałem przez most Kierbedzia i Krakowskie Przedmieście do Nowego Światu, aby dojść do Alei Ujazdowskich. Na ulicach było mało ludzi, ale jakoś na to nie zwróciłem uwagi, może byłem trochę zmęczony nocą spędzoną w wagonie. Dopiero na Nowym Świecie zobaczyłem w oddali jakieś chorągwie czy transparenty i nielicznych ludzi idących jezdnią. Nagle podjechał do mnie na motocyklu jakiś oficer i oświadczył, że jest wysłany z Komendy Miasta, z rozkazem, abym natychmiast skręcił w Chmielną, a później przez Bracką, Wiejską i Myśliwiecką jechał do koszar. Zapytałem, co jest powodem, abym dalszą drogą maszerował? Odpowiedział, że nie wypada, aby szwadron przyboczny Prezydenta maszerował w pochodzie socjalistycznym. Pochód był tak stosunkowo mizerny, że nawet nie zorientowałem się, kto idzie przede mną. Wbrew temu, co się dziś opowiada o rozpędzaniu pochodów, zupełnie nie widziałem policji ani żadnego rozpędzania, i o ile wiem, w dniu tym żadnych awantur nie było.

Święto Narodowe 3 maja odbyło się w tym roku po raz pierwszy z udziałem Prezydenta. Oczywiście eskortowałem go na plac rewii. W drodze powrotnej z placu Piłsudskiego na Krakowskim Przedmieściu publiczność zgotowała Prezydentowi żywiołową owację. Jechałem regulaminowo z trębaczem przy prawym tylnym kole landa i aż koń mi się płoszył, gdyż publiczność rzucała kwiaty do landa przed nosem mego Elektora. Nawet mi do głowy nie przyszło, że ktoś może wykonać jakiś zamach. Chciałbym dzisiaj widzieć jakiegoś dygnitarza, który odważyłby się tak jechać, chyba żeby publiczność stanowili sami ubowcy, lub zrewidowani partyjniacy.

Któregoś dnia w maju, podczas służby, zapytał mnie Prezydent, czy szwadron wychodzi wiosną na łąki, aby paść konie na trawie? To zapytanie spowodowało, że otrzymałem rozkaz wynajęcia pastwiska i wymarszu. Nie wiedziałem, jak się takie pasienie ma odbywać, lecz na szczęście znalazłem w starym regulaminie rosyjskiej kawalerii ustęp mówiący o pasieniu koni. Po załatwieniu różnych formalności związanych z kredytem na ten cel, udało mi się znaleźć pastwisko odległe od Warszawy, bo aż pod Białą Podlaską w majątku Tarebela, który

Kwiecień 1923. Oficerowie Szwadronu Przybocznego Prezydenta RP nad Zatoką Gdańską. Od lewej: por. Stanisław Mirowski, por. Kazimierz Zaleski, por. Józef Szostak, por. Józef Makowiecki, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan.

Kwiecień 1923. Oficerowie Szwadronu Przybocznego Prezydenta RP nad Zatoką Gdańską. Od prawej: wachmistrz Narcyz Witczak-Witaczyński, por. Józef Szostak, por. Stanisław Mirowski, por. Kazimierz Zaleski.

Kwiecień 1923. Oficerowie Szwadronu Przybocznego Prezydenta RP nad Zatoką Gdańską. Na pierwszym planie z lewej por. Kazimierz Pereświet-Sołtan. Z tyłu od lewej: por. Stanisław Mirowski, NN, por. Kazimierz Zaleski, por. Józef Szostak.

Kwiecień 1923. Widoczni od prawej: por. Stanisław Mirowski, por. Kazimierz Zaleski, rtm. Adam Radomyski, por. Józef Szostak, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan, por. Józef Makowiecki.

dzierżawił mój ówczesny szwagier, rtm. rez. 1 pułku szwoleżerów Edzio Rackmann. Wynająłem od niego około 15 hektarów łąki pod lasem za stosunkowo niską cenę. Stajni na taką ilość koni nie było, ale dał nam drzewo na zbudowanie konowiązów, a że był początek czerwca konie mogły stać na dworze. Ułani mieszkali w namiotach. Prowiant dla ludzi pobieraliśmy z Białej z oddziałów tamtejszego garnizonu.

Wymarsz i droga były dla nas oficerów i ułanów pewnym urozmaiceniem życia garnizonowego. Pamiętam, że pierwsza kwatera wypadła nam w Dębem Wielkim. Właściciel, jakiś słabszy hrabia, usilnie dopytywał się mnie, czy pan Prezydent będzie wiedział, że jego szwadron właśnie tu kwaterował albo może to na specjalny rozkaz Prezydenta stanęliśmy w jego majątku.

Pierwszy dzień pasienia koni zaczął się bardzo smutno. Rano wyprowadziliśmy konie na łąkę. Najmniej spokojne ułani trzymali w ręku. Reszta ułanów była rozstawiona na skraju łąki, bo bałem się, że konie mogą przekroczyć granice dzierżawy i potratować pola. Kilka minut zaledwie konie pasły się spokojnie, gdy wtem nagle, zdaje się, że Hetman podniósł łeb, rozejrzał się, fuknął i ruszył galopem w kierunku Warszawy, a za nim cały szwadron koni. Ledwie kilka zdołano zatrzymać. Konie poszły. Natychmiast osiodłano złapane konie i rozpoczął się pościg. Do wieczora wyłapaliśmy wszystkie, lecz jeden był tak silnie pokaleczony, że policja szła za śladami krwi, przypuszczając jakieś morderstwo. Kilka koni przeszło przez takie bagno, o którym ludzie mówili, że nawet bydło tam nigdy nie przeszło. Jeden koń tonął w torfowisku i uratowali go chłopi. Oczywiście po moim meldunku o wypadku Radomyski rozpaczał, a gdy wróciłem po paru tygodniach do Warszawy, znów narzekał, że konie pochudły. Oczywiście, że musiały trochę schudnąć, bo podczas pasienia, które później odbywało się już bez kłopotu, konie nie dostawały zupełnie owsa, a trawa bardzo je przeczyściła. Ale skutki pasienia okazały się świetne. Wszystkie stare konie wyregulowały sobie znakomicie żołądki i później w szybkim czasie poprawiły się. Najlepszym przykładem był mój Elektor, który w zimie wyglądał zawsze dobrze, a na wiosnę chudł, że nie można było na nim występować. Po jednym pasieniu wyleczył swój żołądek i do śmierci wyglądał dobrze.

Rotmistrz Radomyski, który nie lubił żadnych innowacji, początkowo był bardzo niezadowolony, ale po krótkim czasie przekonał się, że łąki dały dobry rezultat. Do mojej osoby odnosił się też z pewną rezerwą. Ze wszystkimi oficerami belwederskimi był na ty, ale ze mną i Maxem zawsze na pan. Dopiero po wielu latach, gdy on jako pułkownik był w KOP, a ja z Maxem w Wyższej Szkole Wojennej, spotkaliśmy go na ulicy i poszliśmy razem „pod Ryjka" na wódkę, i przyznał nam się, że nie wypił z nami bruderszaftu, bo uważał, że mamy go nawet za „Boże podszycie". To było niesłuszne mniemanie, bo

zawsze szanowaliśmy w nim porządnego człowieka, tylko trochę fujarę. Teraz zaczął się do mnie przekonywać, zwłaszcza jak usłyszał parę komplementów pod adresem szwadronu.

W kwietniu 1924 roku Prezydent zapragnął zobaczyć szwadron. Nie byłem z tego zadowolony, bo jeszcze wyszkolenie nie stało na takim poziomie, aby można było się popisywać. Namawiałem Radomyskiego, aby ten przegląd odłożyć na późniejszy termin, ale ten poczciwina zawsze bał się i nic nie załatwił. Wyznaczono więc dzień. Wyszykowałem szwadron i wyruszyłem na Pole Mokotowskie. Z przykrością zobaczyłem, że po chwili przyjechał Komendant Miasta gen. Suszyński[43], nie mówiąc o gen. Zaruskim i rtm. Radomyskim. Z dala stał szwadron policji konnej. Czekaliśmy dość długo na przyjazd Prezydenta i konie zmarzły, bo był zimny dzień. Wreszcie po odebraniu raportu Prezydent kazał, aby ułani jechali pojedynczo wkoło niego. Podałem komendę i zaczął się mały bałagan, bo wystałe i zmarznięte konie awanturowały się, a młodzi i niedoszkoleni jeszcze ułani słabo sobie dawali z nimi radę. Prezydent robił uwagi odnośnie koni i nawet kazał jednego zupełnie dobrego konia (Drągal) zbrakować. Ja z tego przeglądu miałem kacenjamer, ale zapytany gen. Zaruski stwierdził tylko, że czapki były za mało na bakier. Później policja poprosiła, aby Prezydent zobaczył ich musztrę. Skompromitował się dowódca szwadronu, który przy Prezydencie robi uwagi.

3 maja 1924 roku odbyło się odsłonięcie pomnika księcia Józefa Poniatowskiego na placu Piłsudskiego przed kolumnami pałacu saskiego. Na tę uroczystość przyjechał z Francji marszałek Foch. Uroczystość była wspaniała. Obok pomnika stały posterunki w mundurach z okresu Księstwa Warszawskiego. Na tę uroczystość eskortowałem Prezydenta w landzie oraz w drugim jechał Marszałek Piłsudski z marszałkiem Fochem. Owacje zgotowane tak Prezydentowi, jak i Marszałkom były żywiołowe i z trudem można było przejechać przez ulice.

Nie pamiętam dziś dokładnie, ale chyba w drugiej połowie maja albo na początku czerwca przyjechała do Polski królewska para rumuńska. Protokół był ściśle opracowany, szwadron miał dwukrotnie eskortować króla i królową. Pierwszy raz z Dworca Wiedeńskiego do Pałacu Łazienkowskiego i drugi raz na pola wyścigowe na Mokotowie. Przy landzie, w którym miał jechać Prezydent z Królem Ferdynandem, jechać mieli gen. Orlicz-Dreszer i gen. Suszyński, natomiast przy królowej Marii i prezydentowej Wojciechowskiej – ja. Punktualnie o wyznaczonej godzinie stawiłem się ze szwadronem przed dworcem. Gen. Suszyński był bardzo zdenerwowany i kilkakrotnie mnie pytał, czy zdążę sprawnie

[43] Stefan Suszyński (1872–1940) gen. dyw. WP. Brał udział w I wojnie światowej. 1 lutego 1920 objął Komendanturę m.st. Warszawy. 7 września 1939 aresztowany przez NKWD, wywieziony do obozu pracy Dolinka k. Karagandy.

wziąć między plutony landa? Zapewniłem go, że może być spokojny. Po niedługim oczekiwaniu posłyszałem z dworca dźwięki orkiestry grającej hymn. Byłem gotowy. W kilka minut później zobaczyłem na schodkach wyjściowych z dworca na ulicę króla, w kasku błyszczącym z kitą i w mundurze oraz królową w towarzystwie Prezydenta i pani Wojciechowskiej. Król nieszczególnie wyglądał. Mały, ze szpakowatą brodą i chyba na krzywych nogach, za to królowa była wspaniała. Gdy podałem komendę i podjechałem, aby zdać raport królowi, zlustrowała mnie od orzełka na czapce po podkowy Elektora. Sprawnie ruszyliśmy przez Aleje Jerozolimskie, Nowy Świat, Plac Trzech Krzyży, Aleje Ujazdowskie do Łazienek. Jechałem przy królowej i miałem czas przyjrzeć się jej. Rozmawiała przez tłumacza z prezydentową. Jako tłumacz i czasowy adiutant przy królowej był płk Konstanty Przeździecki. Elegancki to on był, ale aby czy bardzo mądry, to wątpię. Dawny carski oficer ułanów gwardii z Warszawy. Królowa kilkakrotnie popatrzyła na mnie, a ja starałem się mieć możliwie poważną minę, choć miałem ochotę uśmiechnąć się. W czasie przejazdu przez Warszawę od czasu do czasu słychać było okrzyki na cześć, ale tylko królowej. Przed Pałacem Łazienkowskim oddaliśmy wysiadającym honory i odmaszerowałem do koszar. Nie później niż w dwie godziny przysłano mi do domu order „Gwiazdy Rumunii".

3 maja 1924. Szwadron przed Belwederem. Na pierwszym planie oficerowie. Widoczni m.in. rtm. Józef Szostak (3. z lewej), por. Kazimierz Zaleski (1. z prawej).

Przez okres pobytu pary królewskiej w Polsce musiałem bywać na śniadaniach i obiadach w Pałacu Łazienkowskim, gdzie odbywały się posiłki dla świty królewskiej, bo król i królowa jadali w Belwederze. Warty przy pałacu pełniła kompania przyboczna, ale jedną dobę pełnił szwadron. Komendantem warty był por. Zalewski. Ten, gdy królowej nie było w pałacu, zwiedził jej pokój. Opowiadał później, że w pokoju było kilka zegarków porozstawianych w różnych miejscach i kilka papierośnic z papierosami specjalnie robionych w Polsce dla królowej z napisem „Królowa Maria". Moi oficerowie wszyscy otrzymali ordery rumuńskie, jak również podoficerowie i kilkunastu ułanów.

Po raz drugi eskortowałem parę królewską na wyścigi konne. Przyjechałem ze szwadronem do Pałacu Łazienkowskiego, który na ten czas był zamknięty dla publiczności, zsadziłem ułanów z koni, bo kazano mi jeszcze zaczekać. Widziałem, jak Marszałek Piłsudski szedł z królową Marią pod rękę alejką nad stawem i bardzo wesoło musieli rozmawiać, bo oboje uśmiechali się. Po kilku minutach para królewska i prezydentostwo zajęli miejsca w landach i ruszyliśmy na Pole Mokotowskie przez Łazienki, Bagatelę, plac Unii Lubelskiej.

Na tor wjechaliśmy od stajen, jadąc środkiem toru, tuż za barierą odgradzającą właściwy tor od reszty pola. Licznie zgromadzona publiczność cały czas oczekiwała jadących. Szwadron mój musiał wyglądać wspaniale na tle zieloności pola, wyrównane czwórki z powiewającymi proporcami biało-amarantowymi na lancach. Po przejściu eskortowanych gości na trybuny, szwadron na oczach tysiącznych tłumów miał wykonać parę ewolucji, aby odjechać na środek pola i zsiąść z koni. Wszelkie poruszenia wykonano bez zarzutu. Gdy podałem komendę „Do zsiadania!", z dwuszeregu wykonano cztery rozluźnione szeregi tak równo, a lance przerzucono na lewą stronę jak jedną. Tylko na moment wzniosły się proporce w górę, aby równo opaść. „Z koni!" wykonano jednocześnie bez żadnych opóźnień. Poszedłem i ja na chwilę na trybuny. Raptem okazało się, że mam moc znajomych. Podchodzili witać się ze mną ludzie, których znałem najwyżej z widzenia, a wszyscy winszowali mi wyglądu i sprawności poruszeń szwadronu. Wreszcie po wyścigach para królewska wyjechała z Polski.

Jeszcze przed wyjazdem miałem możność być na galowym przedstawieniu w Teatrze Wielkim. Loża królewska była zrobiona, na przedstawienie, w środku na pierwszym piętrze. Gdy weszła królowa do loży, wyglądała wspaniale. Miała na głowie jakiś diadem z brylantów niesłychanie efektownie wyglądający, wielką wstęgę jakiegoś orderu przez ramię i chyba białą suknię. Parze królewskiej zgotowano owację, ale najwięcej okrzyków było słychać na cześć królowej. Nasz ówczesny premier też wystąpił w galowej sukmanie. Jak

zwykle Wincenty Witos nigdy nie chciał włożyć krawata. Cała widownia była we frakach, a panie w wieczorowych sukniach z dekoltami oraz biżuterią.

W lecie zostałem mianowany rotmistrzem ze starszeństwem z 1 lipca 1925 roku z lokatą 2. Ze szwadronu udało się spławić por. Mirowskiego na stanowisko adiutanta oddziału przybocznego. Jakkolwiek por. Zalewski, który przyszedł za adiutanta, aby opróżnić miejsce dla siostrzeńca Prezydenta, nie był zbyt tęgim oficerem, ale wolałem już jego, jak wiecznie niezadowolonego i z obrażoną miną Mirowskiego. Zalewski był miłym człowiekiem, miał cichy dowcip, dość słabe zdrowie i żadnej przeszłości bojowej. Wprawdzie miał Krzyż Walecznych, ale jakim cudem go dostał? Przyparty do muru, nie umiał powiedzieć, gdzie zasłużył na to bojowe odznaczenie.

Brakowało mi ciągle jeszcze jednego oficera. Wreszcie znalazłem. Przyjechała na zawody konne do Warszawy grupa oficerów przygotowujących się na olimpiadę. Między nimi był por. 15 pułku ułanów Mieczysław Poniatowski. Poznałem się z nim i zaproponowałem mu przydział do szwadronu. Był on bojowym oficerem odznaczonym jako ułan 11 pułku orderem Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych. Opinię miał bardzo dobrą, był przystojny, choć średniego wzrostu, elegancki, choć trochę z manierami rosyjskiego gwardzisty. Ojciec jego był dymisjonowanym generałem brygady (tytularnym). Teraz miałem już plutony kompletnie obsadzone i na stałe. Pierwszym, szkolnym dowodził por. Makowiecki, drugim – por. Poniatowski, trzecim – por. Sołtan, a czwartym – por. Zalewski.

W 1924 roku też mieliśmy wyjechać na łąki. Tym razem zrobiłem już lepiej. Ogłosiłem w Gazecie Rolniczej, że chcę wynająć łąkę w odległości około 50 km od Warszawy. Przedłożył swoją ofertę p. Stanisław Dłużewski z Dłużewa. Pojechałem więc do Dłużewa, tego, w którym byłem na kwaterze jako młodociany Legionista w 1915 roku. Dogadaliśmy się łatwo i wynająłem łąkę w folwarku Lasomin należącym do Dłużewa. Warunki były bardzo dobre. Była stajnia, a właściwie stodoła, w której mogły pomieścić się wszystkie konie, łąka nad Świdrem, na wzgórku miejsce na namioty dla ułanów, a dla nas oficerów stary, uroczy dworek w małym, zapuszczonym parku. Zaprowiantowanie w 7 pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim.

Dwa lata jeździliśmy do Lasomina na łąki. Koniom to świetnie robiło, a my też byliśmy zadowoleni takim wypoczynkiem, podoficerowie i ułani też lubili te wyjazdy. Wyrobiliśmy sobie świetne stosunki w całej okolicy. Oficerów zapraszano na wszelkie przyjęcia, a dla ułanów urządzałem zawody konne połączone z zawodami wyszkoleniowymi, a potem zabawę taneczną. Wynajmowałem kapelę cygańską, a w kuchni polowej przygotowywało się masę gulaszu, którym

częstowano gości. Mięso i okowitę dostarczali okoliczni ziemianie z panem Berkowskim na czele. Na nasze zabawy zjeżdżali okoliczni chłopi, a dziewczyny miały prawdziwą przyjemność wytańczyć się do rana z ułanami. Ułani też sobie chwalili.

My najczęściej bywaliśmy w Służewie i Nowym Dworze u p. Berkowskich, gdzie zawsze była wspaniała kolacja z zakąskami, których nigdy nie miała najlepsza restauracją.

Po pobycie na łąkach wracaliśmy do Warszawy, aby na początku sierpnia wyruszyć na manewry razem ze szwoleżerami.

Do przyjemności służby w szwadronie przybocznym należała możność bywania w teatrach rządowych w loży Prezydenta. Wystarczyło tylko zatelefonować do adiutantury, aby zapytać, czy nie idzie do teatru Prezydent lub ktoś z jego rodziny, a jeśli nie, to można było iść. Bywaliśmy również na wszystkich rautach urządzanych w Zamku przez Prezydenta. Choć najpiękniejszy raut był kiedyś w Pałacu Łazienkowskim. Na sali balowej pięknie tańczyli menueta primabalerina opery warszawskiej Szmolcówna i baletmistrz Zajlich. Sala była oświetlona świecami, tak jak za króla Stanisława Augusta, kolacja była też wspaniała. Pamiętam, że do stojących na boku nas, oficerów szwadronu przybocznego, podszedł ówczesny premier gen. Sikorski, aby trącić się z nami kieliszkiem.

Z gen. Sikorskim miałem kiedyś specjalną rozmowę. Było tak. Miałem nocną służbę w Belwederze. Gdzieś po północy dzwoni telefon. Melduję się. Słyszę głos kobiecy:

– Jestem hrabina – jakaś tam, dziś nie pamiętam nazwiska – Przyjechałam ze Lwowa. Rano ma być rozstrzelany Niewiadomski, proszę obudzić pana Prezydenta i uzyskać pozwolenie zobaczenia się z nim jeszcze w nocy (z Niewiadomskim).

– Nie obudzę pana Prezydenta – odpowiadam.

Słyszę podniesiony głos i kategorycznym głosem powtórzone żądanie. Znów spokojnie odpowiadam, że nie obudzę.

– To co ja mam zrobić – pyta hrabina?

– Nie wiem – odpowiadam.

– To ja zatelefonuję do gen. Sikorskiego – mówi.

– To już pani sprawa. Jak pani uważa.

Położyła słuchawkę. Po paru minutach znów telefon. Melduję się. Słyszę:

– Tu generał Sikorski. Co pan nasyła na mnie w nocy jakieś wariatki? Jak jeszcze raz ta pani zadzwoni, to niech ją pan zeklnie i niech pan powie, aby do mnie nie telefonowała.

Zameldowałem, że wcale jej nie kierowałem do pana generała, ale nie mogłem jej zabronić telefonować, a na żądanie obudzenia pana Prezydenta odpowiedziałem odmownie.

Prezydent Wojciechowski nie lubił generała Sikorskiego, może dlatego, że generał robił dużo szumu koło siebie i robił się bardziej popularny od Prezydenta. Generał nie lubił wcześnie wstawać, a Prezydent wyznaczał mu rozmowy o 7 rano. Niejednokrotnie mając służbę nocną, którą kończyłem o 9, meldowałem Prezydentowi generała. Generał był zawsze zły, gdy przychodził tak wcześnie do Belwederu.

Gdy jeszcze Marszałek był Naczelnikiem Państwa, co niedzielę przychodził do Belwederu jeden kolejarz. Był lekko zalany. Stawał przed podwójnym posterunkiem honorowym moich ułanów, przed głównymi schodami i wygłaszał programowe przemówienie, zawsze pełne entuzjazmu dla Marszałka. Gdy w Belwederze zamieszkał Prezydent, kolejarzowi to jakoś nie odpowiadało. Przyszedł i wygłosił przemówienie, po którym więcej go nie wpuszczano, a raczej wypraszano, bo do Belwederu każdy mógł wejść bez żadnych trudności. Kolejarzowi też za tę mowę nikt nic nie zrobił.

Kiedy moje władze przełożone uznały, że jestem trochę przepracowany, a chcąc mi również dopomóc materialnie, wysłano mnie z Prezydentem do Spały. Tu faktycznie miałem prawdziwy wypoczynek. Nic absolutnie do roboty. Wygodne mieszkanie w pokoju gościnnym, dobre wyżywienie na koszt Prezydenta i nic do roboty. Urlopu nigdy nie brałem, więc taki wypoczynek przydał się, choć w krótkim czasie zacząłem nudzić się jak mops. Muszę powiedzieć, że stosunek Prezydenta do mnie był jak najbardziej przychylny. Ja, ze swej strony, byłem zawsze na miejscu i zawsze pamiętałem, że mam do czynienia z Głową Państwa. Widocznie to Prezydentowi odpowiadało, bo dla adiutantów umiał być czasem przykry. Po przyjeździe do Spały Prezydent zapytał mnie, czy ja poluję? Zameldowałem, że obecnie nie, bo nie mam nawet strzelby. Po południu przyniesiono mi do pokoju strzelbę i ładunki oraz zawiadomienie, że mam jechać z Prezydentem na kaczki. Pojechaliśmy samochodem nad jakieś jeziorko w lasach spalskich. Stanąłem na stanowisku, ale kaczek nie widziałem. Słyszałem, że inni strzelali, ale ja nie. Gdy zeszliśmy się w samochodzie Prezydent od razu zapytał, czy strzelałem? Odpowiedziałem, że nie. Gdy wysiedliśmy przy następnym jeziorku, adiutant podszedł do mnie i szepnął mi, abym strzelał, bo Prezydent będzie niezadowolony. Znów nic nie widziałem, ale zepsułem dwa ładunki, a zapytany, czy co zabiłem, odpowiedziałem, że dostała, ale wpadła w trzcinę. Prezydent chciał, aby ją szukać, lecz na szczęście zrobiło się ciemno i trzeba było wracać na kolację. Kilkakrotnie jeszcze jeździłem z Prezydentem

na kaczki, ale nie miałem szczęścia i nic nie zabiłem. Prezydent miał swoje słabostki i mimo dużego dobrobytu, jaki mu dawało jego stanowisko, był czasami małostkowy, choć poczciwy.

Również pani Wojciechowska była czasem przewrażliwiona. Kiedyś trochę za późno zawiadomiono mnie, że czas na obiad. Kiedy wszedłem do stołowego pokoju, wszyscy już siedzieli przy stole. Ukłoniłem się z daleka Prezydentowi i siadłem na moim miejscu, tj. na końcu stołu, bo za mną siedział już tylko Mundzio, syn Prezydenta. Starszy kamerdyner Różalski roznosił drugie danie, na które były kurczęta i kuropatwy. Nagle Prezydent ogłasza, że można wziąć albo pół kurczęcia, albo całą kuropatwę. Jestem przedostatni i na półmisku widzę pół kurczaka i całą kuropatwę. Biorę więc pół kuropatwy, aby Mundziowi pozostawić też możność wyboru. Mundzio bierze kurczaka, a Rożalski z połową kuropatwy na półmisku zmierza do wyjścia. Nagle słyszę głos Prezydenta: „Rożalski, wróćcie się! Panu rotmistrzowi należy się pół kuropatwy". Prezydentowa też tego dnia patrzyła na mnie niechętnym wzrokiem. Domyśliłem się, że pewno ma do mnie pretensje, że się z nią nie przywitałem, całując ją w rękę. Jakkolwiek po zjedzeniu każdego posiłku nie było zwyczaju dziękować, a tylko kłanialiśmy się Prezydentowi i rozchodziliśmy się, postanowiłem załagodzić niesłusznie zebrane chmury i po obiedzie podszedłem do prezydentowej i podziękowałem jej za obiad, oczywiście całując ją w rękę. Natychmiast rozpogodziła oblicze, zapytała, co robiłem przed obiadem, a gdy odpowiedziałem, że jeździłem łódką po Pilicy, wyraziła żal, bo chętnie by ze mną popływała. Częstowała mnie również pięknymi owocami, które stały na stole, proponując, abym wziął do pokoju, jeżeli zaraz nie mam na nie ochoty. Te słabostki na pewno nikomu nie szkodziły.

Zawsze doznawałem dużo życzliwości ze strony Prezydenta Wojciechowskiego. Nie wiem, czy mnie lubił, ale na pewno szanował i miał do mnie zaufanie. Przypuszczam, że dużą rolę odegrała opinia Marszałka o mnie. Kiedyś, jeszcze na początku urzędowania Prezydenta, gdy jego stosunki z Marszałkiem były jak najlepsze, przyszedł do adiutantury, kiedy miałem służbę, ówczesny sekretarz cywilny Prezydenta, a dawny adiutant Marszałka, Maurycy Potocki z Jabłonny i witając się ze mną powiedział, że na górze u Prezydenta jest w tej chwili Marszałek. Wydawał on opinię o oficerach pozostawionych w Belwederze. „Gdyby Marszałek wydał taką opinię o mnie, jaką wydał o panu, byłbym dumny". Więcej mi nie powiedział. Może właśnie to wpłynęło, że jak tylko była jakaś niewyraźna sytuacja, jak np. 1 maja, zawsze na służbę i to w dzień, bez kolejki, byłem wyznaczany. Jadałem wtedy w prywatnej części Belwederu razem z Prezydentem i jego rodziną.

Na jesieni 1924 roku rotmistrz Radomyski i por. Makowiecki postarali się o odkomenderowanie ich na kurs dowódców szwadronów w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Kurs ukończyli w czerwcu 1925 roku i powrócili na swe dawne stanowiska.

Tymczasem życie w szwadronie płynęło spokojnie i bez specjalnych zmian. Znów byliśmy na łąkach w Lasominie, lecz już teraz miewaliśmy gości i z Warszawy. Był kiedyś odwiedzić nas gen. Zaruski z żoną, major Mazanek, również z żoną, a nawet mecenas Lenc. Sąsiednie ziemiaństwo odwiedzało nas często i my bywaliśmy u nich. Zabawa dla ułanów też odbyła się i czuliśmy się w Lasominie jak u siebie w domu. W sierpniu 1925 roku wzięliśmy udział w koncentracji 2 Dywizji Kawalerii pod Dęblinem. Niestety ciągle padały deszcze i prawie nie wysychaliśmy.

Na jesieni, ze względów czysto osobistych, postarałem się i ja o odkomenderowanie mnie na kurs dowódców szwadronów do CWK w Grudziądzu. Przeszkolenie na pewno było mi potrzebne. Ostatecznie byłem raczej oficerem praktykiem. Kurs oficerski w Legionach nie miał żadnej wartości, prócz liźnięcia jakichś przestarzałych wiadomości teoretycznych, kurs w Starej Wsi też nauczył nas tylko jeździć konno, nawet dość dobrze, ale też nic więcej. Rozumiałem, że mój podwładny Józio Makowiecki umie teraz znacznie więcej niż ja. Konieczne było douczać się. Jeżeli byłem nawet bardzo dobrym oficerem, to zawdzięczałem to jedynie wrodzonym zdolnościom w tym kierunku, umiejętności podpatrywania innych i wykorzystywania wszelkich okazji, aby uzupełniać swoje braki.

Gdy zdawałem czasowo szwadron Makowi, szwadron był w pełnym rozkwicie pod każdym względem, tak pod względem wyszkolenia, jak i zagospodarowania. Koszary i stajnia były kapitalnie wyremontowane z posadzkami na podłodze i zawsze wyfroterowane. Konie pozestawiane tak w plutonach, że w pierwszym szeregu były same z łysinami – tak były umieszczane w stajni, że od strony okien stały konie pierwszego szeregu, a na stanowiskach wewnętrznych – drugiego. Zaprowadziłem, że wszystkie pasy na paradę były białe, co bardzo efektownie wyglądało. Oficerowie dostali na siodła waltrapy z haftowanymi orłami. W ogóle szwadron wyglądał tak pięknie, że gdy go zobaczył gen. Konarzewski[44], szef administracji armii, to po prostu piał z zachwytu i powtarzał tylko: „Pięknie, panie rotmistrzu!”.

[44] Daniel Konarzewski (1871–1935) – gen. dyw. z armii rosyjskiej, w latach 1919–1925 organizator 1 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty, później na różnych wysokich stanowiskach w armii, m.in. 1925–1931 I wiceminister spraw wojskowych i szef administracji Armii.

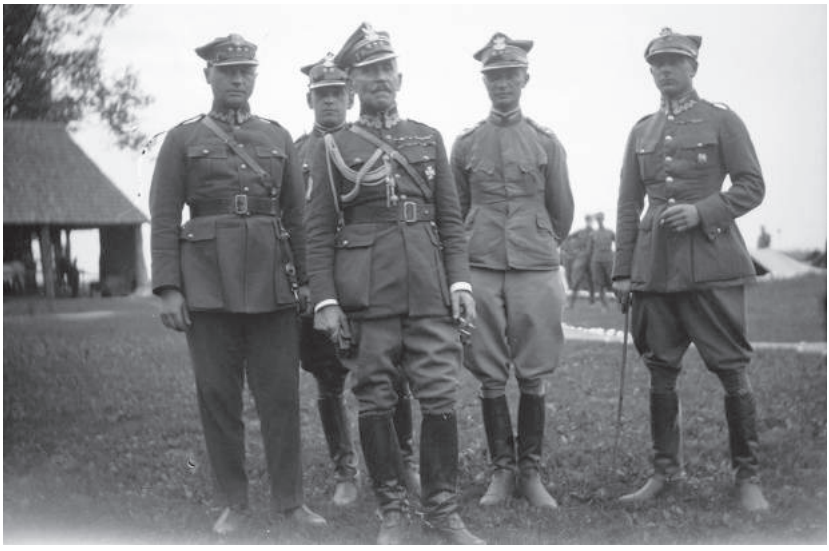

Lipiec 1924 w Lasominie. Stoją od lewej: rtm. Adam Nebelski, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan, płk Mariusz Zaruski, rtm. Józef Szostak, por. Mieczysław Poniatowski.

Lipiec 1924 w Lasominie. Stoją: rtm. Józef Szostak (trzeci z prawej), jego żona (trzecia z lewej), por. Mieczysław Poniatowski (pierwszy z lewej). Siedzi por. Kazimierz Zaleski. Najwyżej por. Kazimierz Pereświet-Sołtan.

Lipiec 1924 w Lasominie. Rtm. Józef Szostak (stoi, drugi z prawej), siedzi por. Kazimierz Pereświet-Sołtan.

Lipiec 1924 w Lasominie. Stoją od lewej: por. Mieczysław Poniatowski, żona rtm. Szostaka, rtm Józef Szostak.

Z początkiem listopada wyjechałem do Grudziądza. Tu spotkałem dawnych kolegów nawet ze Starej Wsi, tylko już w stopniach rotmistrzów. Komendantem CWK był gen. dyw. Castenedello Kasprzycki[45], może polskiego pochodzenia, ale zniemczały, słabo i śmiesznie mówiący po polsku. Prawie każde zdanie rozpoczynał od słów: „Albo po temu moi panowie". Był on na pewno dobrym komendantem szkoły, gdyż zachował powagę i autorytet przełożonego oraz posiadał wiele taktu w postępowaniu. Nie było rzeczą łatwą utrzymać w dyscyplinie oficerów kawalerii. Trzeba wziąć pod uwagę, że do Grudziądza zjeżdżali się z całej Polski oficerowie, którzy przeszli dwie wojny, mieli często piękne odznaczenia bojowe, zasługi w organizacji swych pułków, a przy tym wszystkim obdarzeni niejednokrotnie bujnym temperamentem i niewylewający za kołnierz. Gdy taki pan wjechał z dalekich kresów, z Nieświeża czy z Prużan do Grudziądza, to zdawało mu się, że to Paryż i że tu można się dopiero wyżyć. Nic więc dziwnego, że trafiały się od czasu do czasu jakieś kawały, które trzeba było łagodzić i załatwiać. Generał zawsze umiał jakoś wszystko taktownie rozplątać.

Tok pracy na kursie wyglądał następująco: od godz. 6 do 8 jazda konna na ujeżdżalni krytej w zimie, bo na wiosnę na otwartej. Później śniadanie w kasynie. Do obiadu zajęcia teoretyczne, przerwa na obiad i znów zajęcia do godz. 16

Listopad 1924. Rotmistrz Józef Szostak na przeszkodzie triplebarre.

[45] Stefan de Castenedelo Kasprzycki (1870–1936) – gen. dyw. WP. W sierpniu 1920 został komendantem Centralnej Szkoły Jazdy w Grudziądzu

Wrzesień 1924. Rotmistrz Józef Szostak na przeszkodzie oxer.

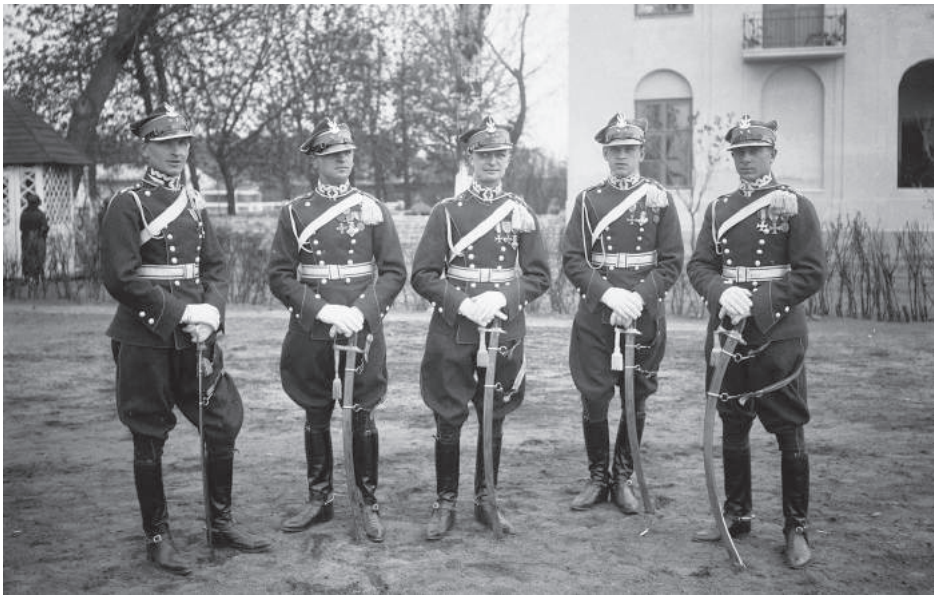

Kwiecień 1925. Major Adam Radomyski (czwarty z lewej) i rotmistrz Józef Szostak (czwarty z prawej).

czy 17. Po zajęciach przebieraliśmy się i wszyscy pędzili do kawiarni „Wielkopolanka", a wieczorem często do kabaretu czy raczej na dancing w „Mazurce". Dyrektorem nauk był za moich czasów, tj. na kursie 1925 na 26 rok ppłk dypl. Rudolf Dreszer, brat Orlicza. Głównym instruktorem wyszkolenia był ppłk Skuratowicz; bardzo surowy i wymagający. Wykładowcą taktyki ogólnej był rtm. dypl. Żurawski, a taktyki kawalerii – rtm. dypl. Janusz Albrecht. Instruktorem wyszkolenia wojskowego, w mojej grupie, był major Stanisław Kucharski. Był on dobrym instruktorem, ukończył kurs we Francji w Saumur, bojowy nie był, raczej dekownik, ale inteligentny i kulturalny człowiek. Głównym instruktorem jazdy konnej był ppłk Kossak (nic wspólnego z malarzem). Typowy głupek austriacki, który urządzał nam pisemne klasówki z jazdy konnej. Ten, na zakończenie kursu powiedział, że jeżeli zgodzę się pozostać jako instruktor jazdy konnej w Grudziądzu, postawi mi najwyższą ocenę, ale jeżeli nie, to obniży mi o jeden stopień. Odpowiedziałem, że proponowano mi w 1923 roku przydział grupy olimpijskiej i też nie zgodziłem się. Teraz nie mam zamiaru mieć rozum tylko w siedzeniu, a na stopniu mi nie zależy, bylem umiał dobrze jeździć.

Życie w Grudziądzu płynęło utartym rytmem. Na Wielkanoc byłem w Warszawie i dowodziłem szwadronem na uroczystym wręczeniu przez Prezydenta chorągwi oddziałowi przybocznemu. Po świętach wróciłem na kurs.

Nadszedł maj. I do Grudziądza doszły mętne wiadomości wypadków w Warszawie. Początkowo nic nie rozumiałem. Poszedłem wreszcie prywatnie do Rudolfa Dreszera. Ten wytłumaczył mi, że Marszałek przeprowadza zamach stanu. Byłem w rozterce zupełnej i bliski rozpaczy, bo z jednej strony z całego serca życzyłem Marszałkowi zwycięstwa, a z drugiej uważałem, że mój obowiązek jest być przy Prezydencie, gdy ten jest w potrzebie, zwłaszcza że nie powinienem zawieść jego zaufania, po opinii wydanej o mnie przez Marszałka. Mało brakowało, abym strzelił sobie wtedy w łeb. Wyszedł rozkaz, odczytany przed frontem całego Centrum Wyszkolenia Kawalerii przysłany z Ministerstwa Spraw Wojskowych o rozwiązaniu 1 pułku szwoleżerów i innych pułków, stojących po stronie Marszałka. Za tym rozkazem nadeszła znów wiadomość o zwycięstwie Marszałka, abdykacji Prezydenta i zmiany rządu.

Faktycznie, że w Polsce źle się działo. Prezydent zerwał zupełnie stosunki z Marszałkiem i był pod silnym wpływem Władysława Grabskiego, a również endecji. Rządy ciągle się zmieniały, a w wojsku też był duży bałagan. Podochodzili do władzy różni słabi ludzie. Gen. Sosnkowskiego spławiono na DOK Poznań, a gen. Sikorskiego na DOK Lwów. Ministrem Spraw Wojskowych został jakiś trep austriacki gen. Malczewski. Garnizon warszawski też zaczęto obsadzać różną miernotą i hołotą. Nawet do 1 pułku szwoleżerów wpakowano na zastępcę dowódcy majora Wirskiego, Czecha, którego prawdziwe nazwisko

26 kwietnia 1926. Uroczystość w Łazienkach Królewskich. Defilada Szwadronu Przybocznego przed prezydentem Stanisławem Wojciechowskim (czwarty z prawej). Szwadron prowadzi rtm Józef Szostak. W drugim szeregu z szablą w dłoni por. Kazimierz Pereświet-Sołtan.

26 kwietnia 1926. Oficerowie po złożeniu wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza. Widoczni od prawej: por. Stanisław Mirowski, por. Kazimierz Zaleski, por. Henryk Comte, gen. Mariusz Zaruski, mjr Adam Nebelski, rtm. Józef Szostak.

26 kwietnia 1926. Święto Oddziału Przybocznego Prezydenta RP. Oficerowie i goście na schodach przed wejściem. W pierwszym szeregu od lewej: ppor. Józef Czesław Wilczyński, mjr Andrzej Meyer, gen. Mariusz Zaruski, mjr Adam Radomyski, mjr Adam Nebelski. W drugim szeregu od prawej: NN, NN, NN, por. Kazimierz Pereświet-Sołtan (pierwszy wśród oficerów), rtm. Tadeusz Głębocki, rtm. Józef Szostak. W trzecim szeregu pierwszy z lewej por. Kazimierz Zaleski. W trzecim szeregu pierwszy z prawej por. Stanisław Mirowski. W kapeluszu ks. Marian Tokarzewski. Oficerowie po złożeniu wieńca na Grobie Nieznanego

Żołnierza. Widoczni od prawej: NN, por. Henryk Comte, NN, NN, rtm. Józef Szostak, NN, por. Kazimierz Zaleski.

było Wislużil. Była to wyjątkowa świnia. Były i inne nabytki w rodzaju rtm. Zawadila lub Niżałowskiego.

Gdy tylko dowiedziałem się o końcowym przebiegu wypadków w Warszawie, poprosiłem o pozwolenie wyjazdu na kilka dni do Warszawy.

Po przyjeździe natychmiast poszedłem do szwadronu. W szwadronie, tak jak w całym wojsku, panował smutny nastrój. Ci, którzy dotrzymali przysięgi byli stroną przegraną i mimo swej wierności obawiali się, że będą narażeni na szykany i przykrości, zwycięzcy natomiast mieli, mimo wszystko, pewien kacenjamer, choć uważali za swój obowiązek dochować wierności i mieć zaufanie do poczynań Marszałka.

Poprosiłem do siebie oficerów szwadronu. Makowiecki był chory i leżał w szpitalu. Przyszedł Sołtan i ppor. Wilczyński, który od jesieni 1925 roku był przydzielony do szwadronu na miejsce por. Poniatowskiego, który odszedł do swego dawnego pułku. Zaleski skompromitował się i wolał nie pokazywać mi się na oczy. Uciekł od szwadronu i schował się gdzieś, nie biorąc udziału w wypadkach majowych. Oświadczyłem oficerom, że z relacji, jakie zebrałem, uważam wypełnienie obowiązku ochrony Prezydenta przez szwadron przyboczny za czyn zgodny z honorem i obowiązkiem żołnierskim i że zrobię wszystko co będzie możliwe, aby z tego tytułu nikogo krzywda nie spotkała. Uważam również, że gdy wszystko wraca znów do normalnego życia, a szwadron przyboczny ma być rozformowany, aby podkreślić naszą lojalność w stosunku do Marszałka, chcę prosić, aby szwadron w całości był przydzielony do 1 pułku szwoleżerów. Zgodzili się ze mną.

Zwróciłem się z tą prośbą do gen. Orlicz-Dreszera. Nie grałem z nim w ciuciubabkę, lecz wprost powiedziałem, że nawet gdybym ja dowodził szwadronem przybocznym podczas wypadków majowych, to mimo mojej czci dla Marszałka i wiary w Niego, musiałbym dochować wierności Prezydentowi i nie opuścić go w potrzebie. Dreszer przyznał mi rację, tak nakazywał honor. Obecny przy tej rozmowie gen. Głuchowski nie zgodził się z moim stanowiskiem i uważał, że powinienem opuścić szwadron.

Długo jeszcze ścierały się zdania o powinnościach żołnierskich i jedni potępiali zamachowców, inni uważali, że właśnie tak trzeba było postąpić, gdyż ważniejsza jest Ojczyzna niż przysięga. Marszałek rozkazał zaprzestanie wszelkich dochodzeń słuszności. W myśl tego, gdy wróciłem po skończeniu kursu w Grudziądzu, odbyło się spokojne rozwiązanie oddziału przybocznego. Chorągiew odprowadziliśmy z paradą do Muzeum Wojska, część kompanii przybocznej została wcielona do nowo sformowanego oddziału zamkowego, oczywiście bez oficerów, którzy zachowali się podczas wypadków majowych fatalnie, a szwadron w pełnym składzie został wcielony do 1 pułku szwoleżerów. Płk.

Głogowskiemu żal było rozformowywać tak piękny szwadron i znalazł dobre wyjście. Pozostawił szwadron tak jak był, tylko przydzielił do niego jednego oficera, por. Badowskiego i wachmistrza szefa starszego wachmistrza Fidusiewicza, zresztą najlepszego podoficera pułku i nadał mu numer drugi, a dawny drugi szwadron pułku rozdzielił między szwadrony pułku. Ja zaś dalej dowodziłem swoim szwadronem, tylko zdjęliśmy orzełki z naramienników, a założyli pułkowe J.P. i wydano nam okrągłe czapki szwoleżerskie. Koszary dostałem dobre od ulicy Myśliwieckiej i przeniosłem do nich cały majątek szwadronu przybocznego. Znów musiałem zagospodarowywać się na nowo, aby doprowadzić do wzorowego porządku cały rejon, który był w dość opłakanym stanie. Wprawdzie koledzy podśmiewali się ze mnie i nazywali mnie dziedzicem a Fidusiewicza karbowym, ale po paru tygodniach wyglądało wszystko porządnie.

Znów w szwoleżerach

Początkowo moi, już teraz, szwoleżerowie czuli się w pułku trochę jakby niewinnie skrzywdzeni. Nawet ministerstwo zezwoliło, aby do końca służby nosili odznaki szwadronu przybocznego, ale ja uważałem, że to może stwarzać niepotrzebny antagonizm, zwłaszcza że zależało mi, aby jak najszybciej zatrzeć zewnętrzne odznaki niedawnej walki po przeciwnych stronach. Wytłumaczyłem swoim chłopcom, że cyfry na naramiennikach pułku zasłużonego bojowo podczas bitwy i odznaczonego na sztandarze orderem Virtuti Militari, są nie mniej zaszczytne niż były orzełki. Doskonale na nastrój wpłynęło przedstawienie i awansowanie na kaprala szwoleżera Lisowskiego za piękny wyczyn bojowy, którego dokonał jako ułan szwadronu przybocznego. Lisowski został wysłany z Wilanowa do Włoch, do gen. Ładosia z rozkazem. W drodze zabili mu konia, lecz on pieszo zaniósł rozkaz i przyniósł potwierdzenie odbioru do Wilanowa. Awans ten podkreślił poszanowanie czynu bez względu, po której stronie został spełniony.

W ostatnich dniach lipca wyszliśmy na koncentrację dywizji pod Ostrołękę, a ściślej nad granicę Prus Wschodnich. Pamiętam, że któregoś dnia zapowiedziano nam, że do dywizji przybędzie nowy Prezydent, prof. Mościcki. Bardzo byliśmy ciekawi, jak wygląda. Na wielkim polu stanęła cała dywizja, złożona z trzech dwupułkowych brygad. Widok był piękny, ale jak nam się podobało, gdy Prezydent wyjechał przed front konno! W meloniku, w czarnym rajtroku i białych spodniach wyglądał wytwornie. Za nim konno adiutant płk Zahorski i adiutanci. Prezydent przed każdym oficerem salutującym szablą uchylał

melonika, a przed sztandarami kłaniał się nisko. Na nas zrobiło to dobre wrażenie.

Niestety Prezydent Wojciechowski nie umiał zachować się tak, aby wojsku przypadło to do gustu. Pamiętam jakąś olbrzymią defiladę na Polu Mokotowskim, gdzie gen. Sikorski, jako minister ściągnął trzy dywizje piechoty i naszą dywizję kawalerii. Sam oczekiwał ze sztabem, siedząc na białym koniu, na Prezydenta i zdał mu raport. Eskortowałem wtedy Prezydenta i jechałem obok niego. Stał w landzie i nie posadził obok siebie majora Mazanka, który zastępował chorego gen. Zaruskiego, a kazał mu usiąść naprzeciw siebie na ławeczce. Podczas przejazdu przed frontem tej masy wojsk, gdy wszystkie orkiestry grały Hymn Narodowy i sztandary pochylały się, Prezydent nie zdjął ani razu melonika, który używał, gdy należało użyć cylinder, a jedynie podnosił rękę, co miało prawdopodobnie być namiastką salutowania. Robiło to fatalne wrażenie i było przykro komentowane.

Podczas tych manewrów miał miejsce humorystyczny wypadek. Było w awizie rozkazu dywizji umieszczone ogłoszenie, że ze szpitala, chyba w Myszyńcu, zbiegł umysłowo chory i polecenie, aby w razie spotkania go, dostarczyć zbiega władzom cywilnym. Ogłoszenie to było podane również sołtysom. W tym czasie dowódca 4 pułku strzelców Konnych ppłk Lecewicz, który był lekkoatletą, robił treningowy bieg przy szosie tylko w majteczkach kąpielowych. Był ranek i chłopi jechali na targ do Myszyńca. Nagle zobaczyli golasa biegnącego przy szosie. Uznali go za zbiegłego wariata, a to, że mówił, iż jest pułkownikiem, tym bardziej utwierdziło ich w słuszności mniemania, bo czyż pułkownik biegałby goły przy szosie? Nic nie pomogło i dostarczyli biedaka sołtysowi najbliższej wsi, aby po przesiedzeniu w jakimś chlewiku wreszcie wytłumaczyć pomyłkę.

Już tuż pod Ostrołęką rozeszła się wiadomość, że nasz dowódca ppłk Głogowski odejdzie z pułku na stanowisko generalnego adiutanta. Pułk miał objąć płk dypl. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Trochę z rezerwą odnosiliśmy się do tego, bo były głosy, że Wieniawa nie był prawie wcale w linii, a zawsze w sztabach, tylko jako podporucznik jeszcze w Legionach i kilka miesięcy w Ostrołęce dowodził szwadronem. Jak sobie da radę? Baliśmy się, że dopiero teraz Wirski zrobi się niezbędny, a tego wszyscy nie cierpieli. W połowie września wróciliśmy z manewrów i plotki zrealizowały się. Wieniawa objął pułk. Jednak prędko zjednał nas sobie swoim nadzwyczajnym taktem i bardzo ujmującym sposobem podejścia do ludzi i inteligentnym postępowaniem.

Żaka (Jana) Głogowskiego wszyscy szanowali w pułku za jego wartości bojowe i odwagę, ale trzeba przyznać, że na czas pokojowy nie był on najlepszym dowódcą pułku, interesował się bardzo „szportem", choć sam jeźdźcem

był nietęgim, ale najważniejszych spraw pułkowych nie rozumiał i nie widział. Wyszkoleniem też mało zajmował się, a już o szkoleniu oficerów w ogóle nie myślał i nie umiałby nawet poprowadzić. Wiele ważnych spraw składał na barki swego zastępcy, majora Wirskiego, który ogólnie był niecierpiany.

Wieniawa zupełnie inaczej podszedł do swej funkcji. Przede wszystkim pomyślał o korpusie oficerskim, słusznie rozumując, że od wartości oficerów zależy wartość każdego oddziału. Początkowo pozostawił Wirskiego, lecz po pewnym czasie spławił go z pułku, tak jak szereg innych bezwartościowych oficerów, których napchano do pułku za czasów Głogowskiego. Zajął się również korpusem podoficerów zawodowych i w krótkim czasie był przez nich niesłychanie lubiany, a zwłaszcza szanowany.

Takt Wieniawy był godny naśladownictwa. Wieniawa wprowadził zwyczaj, że raz w miesiącu odbywały się wspólne kolacje wszystkich oficerów z żonami. Na jednej z pierwszych kolacji, gdy wstano od stołu i zaczęto tańce, kilku oficerów przeszło do biblioteki i rozpoczęło grę w baka. Wieniawa podszedł do stolika i przysiadając się na chwilę postawił parę złotych, nie robiąc żadnych uwag grającym. Na drugi dzień zwołał zebranie oficerskie i zaproponował powzięcie uchwały, aby w kasynie nigdy nie grać w hazardowe gry. Umotywował swoją propozycję bardzo rzeczowo. Wniosek został przegłosowany i zapadła uchwała. Od tego dnia nigdy w kasynie nikt nie grał w gry hazardowe.

Któregoś ranka przychodzę do szwadronu i zastaję kartę służbową od adiutanta, że mam przedstawić wachmistrza Fidusiewicza do raportu karnego. Jestem niepomiernie zdziwiony, gdyż ten wartościowy, bojowy i wyjątkowych wartości podoficer nie mógł, moim zdaniem, zasłużyć na pułkowy raport karny. Pytam, o co mają pretensje do szefa. Na to mówi mi Fidusiewicz, że major Wirski kazał przedstawić wszystkich szefów szwadronów liniowych do raportu karnego, gdyż jego zdaniem siodła w zbiorowym szwadronie, wychodzącym na pogrzeb gen. Szymanowskiego, były niezupełnie dobrze stroczone. Mnie, jakby kto lejc pod ogon wsadził, jak to? To wachmistrz szef ma odpowiadać za niedokładne troczenie? A od czego dowódca plutonu, który wyjechał z takim plutonem? Kto wreszcie dowodzi szwadronem i odpowiada za nieporządki w nim?

Nie biorę Fidusiewicza i sam pędzę do dowództwa pułku. Tu spotykam rtm. Nowińskiego z jego szefem. Odwołuję Nowińskiego na bok i pytam, czy uważa za słuszne przedstawienie szefa do raportu? Nowiński to dzielny, ale głupi chłop, awansowany z podoficera, nie zastanawia się, tylko wykonuje rozkaz. Proszę adiutanta, aby przed raportem zameldował mnie do dowódcy pułku. Wieniawa przyjmuje mnie uśmiechem i pyta, w jakiej sprawie przychodzę? Melduję, że szukam sprawiedliwości. Pytam więc, kto dowodzi 2 szwadronem, ja czy Fidusiewicz? Wieniawa nie bardzo jeszcze rozumie, o co chodzi, ale powiada, że

oczywiście ja. To dlaczego za wadliwe troczenie siodeł, uważane przez majora Wirskiego, ma odpowiadać mój szef, a nie ja? Proszę pana pułkownika, aby mnie ukarał, ale ja szefa nie mogę przedstawiać do raportu za moje ewentualne winy. Wieniawa chwilę zastanowił się i odpowiedział: „Ma pan rację, panie rotmistrzu. Proszę wszystkich szefów odesłać do koszar, a poproszę do siebie dowódców szwadronów". Wysłuchaliśmy krótkiej reprymendy i na tym sprawa skończyła się. Wirski był oczywiście na mnie wściekły, ale musiał się ze mną liczyć, bo wiedział, że mam najlepszy porządek i na pewno najsumienniej prowadzony szwadron.

Gospodarka Wieniawy w pułku też zaczęła dawać dobre rezultaty. Postarał się o pełny komplet mundurów służących od parady. Rozpoczął remonty koszar i urządzenie kasyna oficerskiego i podoficerskiego, a co najważniejsze, doprowadził znów do zgrania się pułku w jedną zgodną rodzinę o wielkiej ambicji pracy i oddania pułkowi.

Przyszło lato 1927 roku i okres koncentracji letniej. Ja dostałem rozkaz odejścia ze szwadronem jako kawaleria dywizyjna do 28 DP na czas koncentracji letniej, do Czerwonego Boru. Nie byłem tym rozkazem zachwycony, ale co było robić? Rozkaz jest rozkazem. Wyszykowałem szwadron i zameldowałem się u gen. Bończy-Uzdowskiego, mego starego znajomego spod Dołhobyczowa. Pomaszerowaliśmy do Czerwonego Boru. Kwatery dostałem początkowo marne, ale pozwolono znaleźć sobie lepsze. Znalazłem, w Pniewie nad Narwią.

Droga była przyjemna i ludność odnosiła się do nas bardzo przychylnie. Nocowaliśmy w którejś wsi, a właściwie zaścianku szlacheckim szlachty zagrodowej, już w Łomżyńskim. Rano, przed wymarszem posyłam po sołtysa, aby mu zapłacić za siano dla koni pobrane przez szwoleżerów na noc. Sołtys przyszedł, więc pytam, wiele sobie liczą? Sołtys na to pytanie odpowiada, że pieniądze to oni chcą tylko od koni oficerskich, bo od żołnierskich to nie trzeba płacić, oficerowie mają pieniądze, to niech płacą. Uśmiałem się z takich zapatrywań, podziękowałem przez sołtysa ludności i zapłaciłem za 10 koni. Trudno drogę tylko znosił przydzielony do szwadronu na staż kapitan huzarów rumuńskich Ionel Lupesku. Ten biedak, jakkolwiek był młody, bardzo elegancki i przystojny, ale słaby fizycznie i leniwy. Ten wyglądał jak zbolała niedołęga i albo spał, albo narzekał, że go wszystkie kości bolą.

Rozpoczął się okres intensywnych ćwiczeń. Prawie zawsze musieliśmy wstawać bardzo wcześnie, bo często pozorowaliśmy nieprzyjaciela i na stanowiska wyjściowe trzeba było dość daleko maszerować. Lupesku ani razu nie był na ćwiczeniach, bo zawsze zaspał, a później gęsto się tłumaczył, że czuł się chory. Najwięcej chyba przeszkadzała mu jego przystojna żona.

Pniewo to była wieś i majątek. Kwaterowaliśmy we wsi, w majątku kwaterowała tylko część oficerów i to nie od razu. Właściciele majątku państwo Jabłońscy prosili nas, aby u nich kwaterować, więc początkowo wsadziłem do nich Jonela. Okazało się, że Jerzego Jabłońskiego znałem jeszcze ze szkoły Rontalera, a pani Jabłońska pochodziła z Besarabii i była kuzynką pani Lupesku, która była Polką też z Besarabii. To wszystko wpłynęło, że stosunki między oficerami szwadronu a właścicielami majątku ułożyły się jak najlepiej. Nasz Lupesku, mimo że był z żoną, miał wielką ochotę czarować okoliczne panny, które jednak chętniej patrzyły na moich oficerów. We dworze często graliśmy wieczorami w pokera. Zawsze do gry namawiał najwięcej Lupesku, lecz w dość krótkim czasie ppor. Wilczyński, który kiedyś nie grał, tylko kibicował, zauważył, że Lupesku robi drobne szacherki. Zameldował mi o swoich spostrzeżeniach. Oczywiście nie wypadało mi robić z tego jakiejś sprawy honorowej, bo przecież był on oficerem tylko armii sprzymierzonej i na stażu, ale przestaliśmy z nim grać w pokera. Dopytywał się dlaczego, ale nie uważałem za potrzebne tłumaczyć mu.

Jedyny raz kiedy, Lupesku podczas manewrów wyjechał razem ze szwadronem, to była defilada na święto żołnierza 15 sierpnia. Ubrał się w swoją bermycę z kitą i dolman szamerowany, aby najpiękniej wyglądać z nas wszystkich. Niestety nie udało mu się. Gdy po defiladzie ruszyliśmy na kwatery jadąc bokami szosy, środkiem jechały powozy przybyłych na defiladę ziemian, Lupesku, zamiast jechać przy szwadronie, „toczył koniem" przy powozach i paniach. Nagle koń mu się potknął i Lupesku zleciał z niego. Diabelna kompromitacja. Nie podniósł się od razu, lecz udawał zemdlonego. Gdy podjechałem do niego, pani Jabłońska szepnęła mi, abym się o niego nie niepokoił, bo na pewno więcej udaje, niż jest to warte. Już nie siadł na konia i odjechał powozem na kwaterę. Nie pojechał też, mimo zaproszenia, na uroczysty obiad urządzony przez 56 pułk piechoty. Miał rację, bo piechurzy podśmiewali się z jego wypadku.

Wieczorem byliśmy na kolacji imieninowej u pani Marii Jabłońskiej. Aby podkreślić naszą pamięć o jej imieninach sprowadziliśmy z Warszawy olbrzymie pudło czekoladek, wręczenie którego odbyło się rano przed wymarszem na defiladę. Rano podjechaliśmy pod dwór i trębaczowi kazaliśmy tak długo grać pobudkę, aż wyszła solenizantka. Wtedy winszując jej, ofiarowaliśmy czekoladki. Była bardzo zadowolona.

Zabawa imieninowa przeciągnęła się do rana, młodzi tańczyli, starszyzna grała w karty. Ja musiałem jednak wcześniej wyjść, bo trzeba było jechać na ćwiczenia. Zawodowych oficerów zostawiłem pannom, a sam pojechałem z rezerwistami odbywającymi 6-tygodniowe przeszkolenie. Oczywiście, dowódca

Przy telefonie mjr Józef Szostak. Pierwszy z lewej por. Jan Motz.

dywizji gen. Bończa-Uzdowski przyjechał, aby zobaczyć, czy po balu szwoleżerowie będą na służbie. Wszystko było w porządku.

W połowie września skończyła się koncentracja 28 DP i wróciłem ze szwadronem do Warszawy. Dostaliśmy pochwałę w rozkazie dywizji, z podkreśleniem, że byliśmy jedynym oddziałem, na który nie wpłynęła żadna skarga od ludności cywilnej.

Po powrocie dostałem rozkaz, abym napisał opinię kapitanowi Lupesku. Prosiłem Wieniawę, aby zwolnił mnie z tego obowiązku, gdyż opinia mogłaby być jedynie ujemna, a nie przypuszczałem, jak to będzie przyjęte ze względów dyplomatycznych. Wieniawa przyznał mi rację i sam napisał. Oczywiście była wykrętna, a jedynie dodatnią cechą tego oficera było wyrobienie towarzyskie. Po tym Lupesku został odwołany ze stażu.

Jeszcze we wrześniu zostałem kiedyś zawezwany do dowódcy pułku. Pułkownik Wieniawa bez ogródek oświadczył, że dla dobra pułku chce mnie przesunąć z dowództwa szwadronu na stanowisko adiutanta pułku. Nie robił tego w kategorycznej formie, a raczej jako propozycję, motywując następująco: staż dowodzenia szwadronem mam aż za duży, bo 6 lat, jestem najstarszym rotmistrzem w pułku i przeszkolonym, jestem jednym z najstarszych szwoleżerów i mam duży autorytet wśród oficerów. Wszystko to przemawia za możliwością dobrego sprawowania tej funkcji, zwłaszcza że pułkownik otrzymał, prócz

19 maja 1928. Wizyta bp. Władysława Bandurskiego w 1 pułku szwoleżerów. W pierwszym szeregu od prawej: płk Sergiusz Zahorski, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, bp Władysław Bandurski. W drugim szeregu od prawej: mjr Kazimierz Busler, NN, NN, rtm. Józef Szostak, rtm. Wacław Calewski.

Maj 1928. Wizyta oficerów japońskich w 1 pułku szwoleżerów i 1 Dywizjonie Artylerii Konnej w koszarach przy ulicy 29 Listopada w Warszawie.

9 czerwca 1928. Wizyta oficerów rumuńskich w 1 pułku szwoleżerów w koszarach przy ulicy 29 Listopada w Warszawie.

23 czerwca 1928. Na pierwszym planie płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Najbliżej niego rtm. Józef Szostak. Trzeci z prawej konno por. Mieczysław Bigoszewski.

27 września 1928. Odchodzący do cywila na ostatniej zbiórce. Widoczni m.in.: rtm. Józef Szostak (pierwszy oficer z lewej), płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (drugi oficer z lewej).

dowodzenia pułkiem, dodatkową funkcję od Marszałka. Dlatego adiutant będzie musiał w imieniu dowódcy załatwiać wiele spraw samodzielnie. Wprawdzie 9 lat temu byłem adiutantem, ale w obecnych warunkach ta funkcja inaczej wyglądała niż w 1918 roku. Zgodziłem się oczywiście i 2 szwadron zdałem. Wyznaczenie mnie na adiutanta było początkiem zrozumienia tej funkcji w całej kawalerii, gdy dowódcy pułków zrozumieli, że adiutant jest raczej szefem sztabu pułku, a nie oficerem ordynansowym, zwłaszcza pań pułkownikowych.

Wieniawa kiedyś nawet bardzo silnie to podkreślił, gdy ktoś o mnie powiedział:

– Adiutant pana pułkownika.

– Nie mój adiutant, a pułku – sprostował.

Wieniawa, który miał wielkie poczucie humoru i lubił puszczać w świat kawały, nawet o sobie, opowiedział kiedyś w kawiarni „Europejskiej" kawał, który w parę lat później opowiadano mi w Wilnie. Kiedy zaproponowałem Dudusiowi (bo tak mnie prywatnie nazywał), aby został adiutantem pułku, zastrzegłem, że nigdy nie możemy być jednocześnie zalani. Po paru tygodniach, przychodzi do mnie adiutant, ubrany służbowo, z szablą i orderami i melduje, że staje do raportu z zażaleniem. Pytam

– O co chodzi?

– Zapytuję posłusznie, kiedy będzie wreszcie moja kolejka, abym mógł się zalać?

Do końca dowodzenia pułkiem przez Wieniawę byłem adiutantem i praca nasza układała się jak najlepiej. Zmienił się zastępca dowódcy pułku, bo odszedł major Wirski, a na jego miejsce przyszedł ppłk Kazimierz Duchnowski, wojenny oficer 14 pułku ułanów, z opinią jednego z najdzielniejszych oficerów tego świetnego pułku. Niepotrzebnie tylko Wieniawa dał się namówić, ulegając swemu dobremu sercu, na przydział do pułku Gruzina, majora Jedigarowa. Ten nabytek był jak najgorszy, gdyż Jedigarow nie tylko nic nie umiał, ale był głupi jak but, tylko chytry spryciarz. Leń i blagier, podał się za księcia gruzińskiego i imponował czasem głuptasom snobom. Z nim nie byłem w dobrych stosunkach, bo pożytku pułk nie miał z niego żadnego i tylko kompromitował barwy pułku. Wreszcie zaczął mówić o sobie, że jest gruzińskim Wieniawą. Tego było dość i wreszcie wylano go z pułku.

Duchnowski też nie grzeszył zbytnią pracowitością, ale był dobrym oficerem i znał się na służbie. W 1928 roku wyjechaliśmy na manewry na północ od Płocka. Wieniawa pozostał z rozkazu Marszałka w Warszawie, a pułkiem dowodził Duchnowski. Duchnowski jednak też więcej kochał swoją żonę niż służbę i zakwaterował się we dworze o dwa kilometry od dowództwa pułku, sprowadzając tam swoją połowicę.

Trzeba przyznać, że żonę miał bardzo przystojną, choć z brzydkimi nogami, Rosjankę z pochodzenia, na małżeństwo z którą 14 pułk ułanów nie dał mu pozwolenia i musiał się przenieść do KOP. Zresztą Duchnowska źle się zapisała później, podczas okupacji. Przez tę żonę Duchnowski zwichnął sobie całą karierę wojskową. Jej nietaktowne zachowanie doprowadziło, że odebrano mu dowództwo 23 pułku ułanów i przeniesiono na boczny tor, tj. na Rejonowego Inspektora Koni.

Jego niefrasobliwość nie wyszła mu na złe, bo ja sam załatwiałem jako adiutant wszelkie sprawy pułkowe i nawet zawarłem cichą umowę z szefem sztabu dywizji, majorem dypl. Dworakiem, aby nie kwestionował niektórych papierów podpisanych przeze mnie, a nie Duchnowskiego.

W październiku 1928 roku miał się odbyć rajd konny z Warszawy przez Skierniewice, Łódź, Częstochowę i Kraków do Morskiego Oka. Wieniawa oświadczył, że on też weźmie udział w tym rajdzie i zaczęliśmy trenować i konie, i siebie. Dla mnie to było łatwe, bo miałem 31 lat, ale Wieniawa był starszy ode mnie o 17 lat i miał już 48 lat, a był znacznie mniej wytrenowany w długich marszach konnych. Pojechaliśmy i podziwiałem wytrzymałość tego człowieka.

Drugi nocleg wypadł nam w Łasku. Starosta zaprosił Wieniawę na kwaterę i oczywiście, zamiast pozwolić mu wypocząć po przeszło 100-kilometrowym marszu, trzymał go przy kieliszku do rana. O godzinie 5 wyjeżdżaliśmy. Wieniawa po nieprzespanej nocy siadł na konia i jechaliśmy razem, trzymał się

zupełnie dobrze, mimo że wysiłek był duży i piątą część drogi szliśmy pieszo prowadząc konie w ręku. Dopiero po 70 kilometrach, gdy zatrzymaliśmy się na popas w majątku pana Siemińskiego w Dubicach, poprosił właściciela o kąpiel. Wykąpał się i pojechaliśmy po obiedzie dalej, do Częstochowy. Ciemno już się zrobiło, a Częstochowy ciągle nie było widać. Wreszcie przy drodze zobaczyliśmy idące wiejskie kobiety. Zapytałem więc z konia, czy daleko jeszcze do Częstochowy? Jakaś starsza niewiasta zatrzymała się i po pewnym namyśle odpowiedziała: „A będzie z połowa drogi". Wybuchnęliśmy śmiechem, nie pytając więcej.

W Dubicach spotkał nas teść Sołtana, stary dyrektor Jaworski. Ten zacny stary raptus od razu nas sterroryzował swoją opieką. Musieliśmy zjeść z nim kolację w Częstochowie, nakrzyczał w hotelu, aby palono w piecu, wreszcie zapędził nas do łóżek.

W Krakowie był dłuższy postój, bo około 20 godzin. Droga do Nowego Targu była dość ciężka ze względu na górzysty teren i konie były już trochę zmęczone po przeszło 380 km, ale napojone na Obidowej wodą z dużą ilością cukru znów nabrały sił. Z Nowego Targu, na drugi dzień, był wyścig. Jechaliśmy do Poronina i stąd każdy mógł jechać, którędy chce, do Morskiego Oka. My wybraliśmy drogę przez Murzasichle. Droga była okropna, kamienista i pod górę. Z Nowego Targu do Poronina 24 km jechaliśmy cały czas kłusem, ale z Poronina aż do szosy z Zakopanego do Morskiego Oka musieliśmy iść pieszo, prowadząc konie w ręku, bojąc się, aby sobie na kamienistej drodze nie powykręcały nóg. Za to gdyśmy siedli na konie, widocznie wysokość i zmiana ciśnienia, a może powietrze spowodowały, że konie zrobiły się lekkie i jakby wypoczęte. Ruszyliśmy od razu kłusem pod górę. Szły, jakby świeżo ze stajni. Nie dojeżdżając do Morskiego Oka zaproponowałem Wieniawie, aby wyjechał naprzód, gdyż czas liczono każdemu indywidualnie, a z Warszawy wyjechał 5 minut przede mną. Nie zależało mi, aby mieć czas lepszy o te 5 minut, jeżeli przyjedziemy do mety jednocześnie. Wieniawa ruszył więc dalej, a ja wstrzymałem moją wariatowatą Omyłkę. Lecz nie mogłem jechać stępem ani chwili. Omyłka stała zawsze razem z Pikusiem Wieniawy i gdy tylko Pikuś oddalił się zaczęła rżeć, a później tak się awanturować, że przejeżdżając obok przepaści na zakręcie drogi, mało brakowało, aby tam wpadła, wreszcie ruszyła galopem, a zatrzymać zwariowanego konia w takich warunkach terenowych nie jest ani łatwo, ani bezpiecznie. Dojechałem do mety jakieś 2 minuty po Wieniawie. Teraz konie zabrali już ordynansi, aby je odprowadzić pod opiekę chor. Baszkira do Zakopanego, gdzie miał się odbyć przegląd koni. Gen. Dreszer, który był kierownikiem rajdu, oświadczył, że po krótkim odpoczynku mamy iść piechotą do Czarnego Stawu. I my po 500 km w siedzeniu, w butach z ostrogami

3 października 1928. Rajd żołnierzy 1 pułku szwoleżerów do Morskiego Oka. Stoją od lewej: por. Stefan Cichocki, NN, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, rtm. Józef Szostak.

musieliśmy piąć się jeszcze te 200 metrów w górę. Po zejściu Dreszer zaproponował, że kto chce, może odjechać autem do Zakopanego, ale on z chętnymi przenocuje w schronisku i na drugi dzień przyjdzie przez góry. Znalazło się kilku amatorów górskiego spaceru, lecz my szwoleżerowie pojechaliśmy autem. Wieczorem Wieniawa wpisał u Trzaski do księgi pamiątkowej: „Koniec rajdu – teraz frajda" i frajda była do rana.

Tym rajdem pułkownik dypl. dr Bolesław Wieniawa Długoszowski zakończył dowodzenie pułkiem, przechodząc na inne, wyższe stanowisko. Zdał dowództwo ppłk. dypl. Janowi Karczowi[46], który właśnie na jesieni ukończył Wyższą Szkołę Wojenną, oczywiście z humorem mówiąc: „Karcz mnie wykarczował z pułku". Jednakże niezupełnie wykarczował, bo Wieniawa do końca swej bytności w Polsce zawsze się pułkiem interesował i zawsze zasięgano jego rady w każdej ważniejszej sprawie dotyczącej pułku.

Ja niedługo byłem już adiutantem przy Karczu. Jakkolwiek znaliśmy się dawno i byliśmy w najlepszych stosunkach, nawet mieszkając naprzeciwko siebie, szczerze mu powiedziałem, że wolałbym, aby sobie dobrał innego adiutanta.

[46] Jan Karcz (1898–1942) – płk dypl. we wrześniu 1939 dowódca Mazowieckiej Brygady Kawalerii, w czasie wojny czynny w ZWZ, aresztowany przez gestapo i w następstwie zamordowany w Oświęcimiu.

3 października 1928. Rajd żołnierzy 1 pułku szwoleżerów do Morskiego Oka. Stoją od lewej: por. Kazimierz Pereświet-Sołtan, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, rtm. Józef Szostak, NN, NN, por. Stefan Cichocki, NN, por. Jan Motz.

Karcz zrozumiał mnie i przesunął – na stanowisko dowódcy szwadronu zapasowego, gdzie był etat majora.

Jako adiutant pułku zostawiłem po sobie, oczywiście przy akceptacji Wieniawy, kilka pamiątek, jak piękne płomienie do fanfar, zaprojektowane przez ppor. rez. Michała Bylinę, a wzorowane na płomieniach szwoleżerów napoleońskich. Pieniądze na nie wystarał się Wieniawa i to niemałe, bo 4 płomienie kosztowały 5000 zł. Były pięknie haftowane srebrem i złotem, a były używane tylko przy wielkiej paradzie pułku. Orkiestra pułkowa też została doprowadzona do porządku i ubrana w wyszywane na rękawach srebrne trójkąty, nie mówiąc o ubraniu kotlisty, a zwłaszcza jego konia. Przy mnie i pod moją redakcją została wykonana Złota Księga pułku, część I i II.

Podczas dowodzenia pułkiem przez Wieniawę została ustanowiona odznaka pułkowa, którą ja zaprojektowałem, a zebranie oficerskie zatwierdziło, której drobny szczegół w rysunku zaproponował do zmiany grawer Gontarczyk z Miodowej. Odznaka była w formie srebrnej ośmioramiennej gwiazdy, z mniejszymi promieniami między głównymi ośmioma. W środku na amarantowym polu cyfra pułkowa J.P. pole obramowane wstążką o barwach wstęgi orderu Virtuti Militari. Opracowany przez nas regulamin, a zatwierdzony przez ministra spraw wojskowych przewidywał, że odznakę pułkową mogą otrzymać żołnierze,

26 października 1928. Uroczystość z okazji objęcia dowództwa 1 pułku szwoleżerów przez ppłk. Jana Karcza. Siedzą od lewej: ppłk Jan Karcz, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, rtm. Józef Szostak.

26 października 1928. Uroczystość z okazji objęcia dowództwa 1 pułku szwoleżerów przez ppłk. Jana Karcza. Oficerowie pułku. W pierwszym szeregu od lewej: por. Mieczysław Bigoszewski, NN, ppłk Jan Karcz, płk Jan Głogowski, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Powyżej prawego ramienia płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego rtm. Józef Szostak. W ostatnim szeregu pierwszy z lewej por. Kazimierz Pereświet-Sołtan. W przedostatnim szeregu trzeci z prawej por. Stefan Cichocki.

którzy brali udział w wojnie w pułku, a podczas pokoju oficerowie po dwuletniej służbie w pułku, a szwoleżerowie po rocznej. Mogą, ale nie muszą. O tym decyduje komisja, a zatwierdza dowódca. Gdy została wprowadzona odznaka, komisja nie zgodziła się na nadanie odznaki Wirskiemu i mimo namawiań Wieniawy, który ze względów na jego stanowisko, chciał mu nadać, komisja twardo stanęła. Wobec tego w pierwszym nadaniu przyznano odznaki tylko żołnierzom z wojny. Gdy Wirski odszedł z pułku, wtedy dostali inni za czasy pokojowe.

Z dniem 1 stycznia 1929 roku zostałem mianowany majorem. Zostało nas tylko dwóch, ze starszeństwem z 1923 roku, reszta była rotmistrzami z 1919 roku. Trochę podgoniłem opóźnienie. W tym też roku wyszedł rozkaz, że do Wyższej Szkoły Wojennej kandydaci nie będą sami zgłaszali się do egzaminów, a będą wyznaczani przez dowódców pułków. Myślałem, że może Karcz mnie wyznaczy, lecz wyznaczył majora Mastalerza. Nie miałem o to żalu, bo Mastalerz był starszy ode mnie, a moje chęci więcej były powodowane ambicją, niż chęcią ukończenia szkoły. Nie byłem zarozumiałym co do moich wartości. Zawsze myślałem, że jestem dobrym oficerem liniowym, ale znałem swoje braki z wiedzy ogólnej i moje horyzonty myślowe daleko nie sięgały. Miałem raczej trochę kompleks niższości. Na namowy brata Bronka, który ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w 1927 roku, abym zdawał do szkoły, kategorycznie odmawiałem, bo uważałem, że na pewno nie zdałbym. Tak że wyznaczenie Mastalerza uważałem raczej za słuszne i to potwierdzało moje mniemanie o sobie. Mastalerz odbył staże, ale gdy doszło do kursu próbnego, wycofał się i jedno miejsce nie zostało wykorzystane przez pułk.

W 1930 roku majorowie Mastalerz i Taube zostali awansowani na podpułkowników i obaj odeszli z pułku. Wtedy Karcz przesunął mnie na stanowisko kwatermistrza pułku. Byłem zrozpaczony, bo zupełnie nie znałem się na sprawach gospodarczych w zakresie pułku. Przy gospodarce ryczałtowej, którą wprowadzono w wojsku, kwatermistrz był jakby dyrektorem administracyjnym pułku. Musiał myśleć i mądrze planować zaopatrzenie tak w żywność, jak w umundurowanie, sprzęt taborowy oraz utrzymanie koszar.

Dobrze wspominałem czas dowodzenia szwadronem zapasowym, gdyż wtedy używał mnie Karcz bardzo często do spraw liniowych, które lubiłem i na których znałem się dobrze, na manewry w 1929 roku wyjechałem pełniąc w zastępstwie funkcję zastępcy dowódcy pułku, koncentracja była pod Łowiczem. Pierwsze kwatery wypadły w rejonie Błonia, a więc w moich rodzinnych stronach. Burmistrzem w Błoniu był wtedy Jan Kulisiewicz, mój kolega szkolny z 1 klasy. Ten sprytny człowiek, przypuszczam, że trochę z wyrachowania, zrobił w magistracie przyjęcie dla wszystkich oficerów. Dla nas to było miłe urozmaicenie podczas marszu. Bardzo mnie tam honorowali, jako pochodzącego

13 lipca 1929.Pożegnanie rezerwistów. W środku trzech oficerów mjr Józef Szostak.

rodem z powiatu błońskiego. Na kwaterach staliśmy w Bożej Woli p. Tabora, którego znałem przed wojną jako dyrektora fabryki zapałek „Błonie". Pod Łowiczem kwaterowaliśmy we wsi Kombina, nad Bzurą. Była to piękna i zamożna wieś. Gospodyni na kwaterze Karcza przyjęła go przemówieniem, podkreślając,

26 czerwca 1930, Warszawa. W pierwszym szeregu od lewej stoją: rtm. Mieczysław Bigoszewski, rtm. Mieczysław Badowski, NN, ppłk Jan Karcz, mjr Józef Szostak, NN, rtm. Jan Motz. W trzecim szeregu szósty z lewej – por. Kazimierz Pereświet-Sołtan (z odznaczeniem).

1930. Siedzą m.in.: płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (czwarty z lewej), ppłk Jan Karcz (piąty z lewej), ppłk Zygmunt Wenda (czwarty z prawej), rtm. Jan Motz (drugi z prawej). Stoją m.in.: rtm. Mieczysław Badowski (drugi z lewej), mjr Józef Szostak (ósmy z lewej), por. Józef Wilczyński (dziewiąty z lewej), rtm. Franciszek Flatau (dziesiąty z lewej), por. Kazimierz Pereświet-Sołtan (czwarty z prawej).

1 czerwca 1930. Uroczyste powitanie prezydenta Ignacego Mościckiego w pałacu hrabiego Maurycego Potockiego. Na pierwszym planie od lewej: adiutant prezydenta kpt. Bolesław Suszyński, hrabia Maurycy Potocki, żona Maurycego Potockiego Maria Brydzińska, adiutant prezydenta rtm. Wacław Calewski, prezydent Ignacy Mościcki, premier Walery Sławek, wiceminister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki, gen. Jan Karol Wróblewski, minister reform rolnych Witold Staniewicz, minister rolnictwa Leon Janta-Połczyński, Michał Mościcki, szef kancelarii prezydenta Adam Lisiewicz, zastępca szefa kancelarii prezydenta Zygmunt Skowroński. Pod czwartą kotarą z lewej stoją od lewej: Kazimierz Świtalski, NN, dowódca oddziału zamkowego mjr Edward Czuruk. Pod czwartą kotarą od prawej stoją od lewej: mjr Józef Szostak, rtm. Jan Motz, rtm. Franciszek Flatau, płk Jan Karcz.

że jej to zaszczyt przynosi kwaterowanie dowódcy pułku i zapytała, czy może nas ugościć. Oczywiście podziękowaliśmy za zaproszenie i zasiedliśmy do stołu. Gospodyni nalała sobie kieliszek wódki i przepiła do pułkownika, resztę z kieliszka strzepując na podłogę, ale z nami nie usiadła, tylko bardzo gościnnie nas obsługiwała. Byłem po prostu zachwycony zachowaniem się tej chłopki, była pełna godności własnej, ale bardzo grzeczna i miła, choć nie pierwszej młodości.

Podczas tych manewrów mieliśmy jedne ćwiczenia pokazowe dla jugosłowiańskiego ministra spraw wojskowych. Trzeba przyznać, że słuchacze zrobili na nas jak najlepsze wrażenie, zewnętrznie byli bardzo eleganccy. Niestety ćwiczenie zakończyło się o tyle tragicznie, że utonął w Bzurze por. Gustaw Zieliński z naszego pułku. Spadł z brodu i niemożliwy był wszelki ratunek. Ciało wydobyto po 4 godzinach. Podczas obiadu przemawiał generał Serb. Mówił po serbsku, lecz kto znał rosyjski język, nietrudno mu było zrozumieć. Złożył pułkowi kondolencje z powodu śmierci Zielińskiego. Bardzo byliśmy wszyscy przygnębieni tym wypadkiem, gdyż Zieliński był ogólnie lubianym i szanowanym oficerem. Gdyby nie ta śmierć, można by zaliczyć manewry pod Łowiczem do jednych z przyjemniejszych.

Po Mastalerzu zastępcą dowódcy pułku został ppłk Konrad Zembrzuski, który wrócił do pułku ze stanowiska adiutanta Marszałka. Zembrzuski był beliniakiem i starym żołnierzem z Kompanii Kadrowej. Chłopisko było zacne, choć nietęgi był z niego kawalerzysta.

W 1930 roku znów spotkał mnie zawód. Karcz, gdy wyznaczył Mastalerza do Wyższej Szkoły Wojennej zapewnił mnie, że w następnym roku wyznaczy mnie, choć ja wcale się o to nie rozbijałem. Lecz gdy przyszedł rozkaz w tej sprawie, nic mi nie mówiąc wyznaczył por. Cichockiego. Bardzo mi było przykro, bo nie posądzałem Karcza o taką nieszczerość, zwłaszcza że Cichocki wcale nie był tęgim oficerem, chyba tylko z tuszy. Cichocki oblał się na kursie próbnym i do szkoły nie został przyjęty.

Na manewry w 1930 roku wyszliśmy pod Sieradz. Z Warszawy ja sam prowadziłem pułk, bo Karcz i Zembrzuski mieli trochę później przyjechać koleją. Marsz ten pozostał w mojej pamięci, gdyż przez cały czas lały deszcze i mokliśmy bez przerwy.

Do funkcji kwatermistrza pomału zacząłem się wciągać i rozumieć, o co chodzi. Miałem stosunkowo dobrego płatnika, który przedtem był oficerem żywnościowym, kpt. Kowalskiego. Był to człowiek inteligentny, ale nieszczęśliwy. Ożenił się kiedyś z prostą robotnicą, nawet przystojną i zdrową niewiastą, która bardzo go terroryzowała, a on wobec niej był zupełnie bezwolny. Miał słaby i tchórzliwy charakter i bał się mnie panicznie. Natomiast oficerów

żywnościowego i materiałowego miałem raczej słabych i musiałem za nich myśleć. Mimo że kwatermistrzostwo jakoś pchałem, ale nie miałem do tej funkcji serca i marzyłem, aby się jej pozbyć.

Na początku marca 1931 roku przyszedł kiedyś do mnie Józio Makowiecki i przyniósł ze sobą Dziennik Rozkazów Ministra Spraw Wojskowych. W dzienniku tym były podane zmienione warunki przyjęcia do Wyższej Szkoły Wojennej, polegające na tym, że do szkoły nie wyznaczają kandydatów dowódcy, a kandydaci sami składają podania o przyjęcie. Kandydaci musieli odpowiadać następującym warunkom: opinia wybitna lub bardzo dobra, matura, stopień nie niższy jak porucznika, nieprzekroczone 35 lat. Przedwstępne egzaminy miały się odbyć w pierwszej połowie maja, a więc, jak dla mnie czas na przygotowanie się – zaledwie dwa miesiące. Podane było, z czego będą egzaminy. A więc ze znajomości Ogólnej Instrukcji Walki oraz regulaminów: piechoty, kawalerii, artylerii i chyba saperów, z historii wojennej: kampania włoska Napoleona i wojna polsko-rosyjska 1830–31 rok, wreszcie wiedza ogólna. Gdy mi to Makowiecki przeczytał i zaproponował, abyśmy razem złożyli podania o dopuszczenie do egzaminów, kategorycznie odmówiłem, uważając to za bezczelność, aby porywać się na rzeczy niemożliwe do osiągniecia. Dotychczas kandydaci do Wyższej Szkoły Wojennej przygotowywali się do egzaminów po dwa lata i też oblewali się. Trepto 3 razy zdawał i dopiero za trzecim razem był przyjęty i to nie wiadomo, czy na pewno zdał, a czy Wieniawa nie maczał w tym palców. Dla mnie to był ostatni dzwonek, bo miałem już skończone 34 lata, a do tego uważałem, że lepiej być dobrym oficerem liniowym, niż kiepskim dyplomowanym lub kompromitować się oblaniem. Ale Mak był nieustępliwy i tak długo mnie przekonywał, aż trafił we właściwy argument. Słusznie powiedział: „Złóżmy podania i uczmy się. Jak nie będziemy się czuli na siłach, aby zdawać – wycofamy się, ale czego się nauczymy, to nam zostanie". Bronek też mnie kiedyś namawiał, ale nie przekonał i nie dałem się namówić. Bez wielkiego przekonania złożyłem podanie Karczowi do zaopiniowania i przesłania drogą służbową dalej. Nie przyklasnął on moim zamiarom. Zaopiniował przypuszczalnie sprawiedliwie i dobrze, ale nie namawiał mnie i nie podtrzymywał w zamiarze. Z jego rozmowy ze mną raczej wyczułem, że nie uważa mnie za odpowiedniego kandydata na oficera dyplomowanego, ale nie odmawiał mi. Nie zgodził się na ułatwienie mi nauki i żądał, abym nadal pełnił obowiązki kwatermistrza, a uczyć się mogę po godzinach pracy.

Teraz ja zawziąłem się i zaczęliśmy z Makiem naukę. Prócz mnie i Maka z pułku złożył podanie również Cichocki, aby jeszcze raz próbować szczęścia. Uczyliśmy się z Makiem bardzo gorliwie. Nie chodziliśmy przez dwa miesiące absolutnie nigdzie. Od godziny 15 do 24 co najmniej, kuliśmy. Jeszcze

Sierpień 1930. Obóz ćwiczebny 1 pułku szwoleżerów.Drugi z lewej – mjr Józef Szostak.

Sierpień 1930. Obóz ćwiczebny 1 pułku szwoleżerów.Na czele – mjr Józef Szostak.

Sierpień 1930. Zabawa pożegnalna na wsi. Pierwszy z lewej przy stole siedzi mjr Józef Szostak.

Sierpień 1930. Zabawa pożegnalna na wsi. Tańce z udziałem szwoleżerów. W centrum – mjr Józef Szostak.

5 kwietnia 1931. Rezurekcja – procesja pod baldachimem przy kościele garnizonowym 1 pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W procesji (pod baldachimem) uczestniczą rtm Józef Szostak (z lewej) i ppłk Jan Karcz (z prawej).

5 kwietnia 1931. Święcone w kasynie podoficerskim. W grupie żołnierzy widoczni dowódca pułku Jan Karcz (drugi z prawej) i Józef Szostak (pierwszy z prawej).

musieliśmy dodatkowo douczać się języka francuskiego, bo i z tego był egzamin. Wreszcie na początku maja uważałem, że jestem na tyle przygotowany, aby ryzykować zdawanie, choć największe niebezpieczeństwo tkwiło w wiedzy ogólnej. Polityką nigdy nie zajmowałem się i miałem w tej dziedzinie bardzo słabe wiadomości.

Nadszedł dzień egzaminów. Wchodząc do szkoły, gdy zobaczyłem popiersie Napoleona stojące przed budynkiem Wyższej Szkoły Wojennej na Koszykowej, jakoś zwątpiłem, aby mogło mi się udać przekroczyć progi tej uczelni na dłużej. Zdawało nas około 300 oficerów, między innymi i Janek Chełmicki, który był porucznikiem 36 pułku piechoty. Egzaminy trwały tydzień. Na pożegnanie przemówił do nas komendant szkoły, gen. Kutrzeba. Mówił bardzo krótko. Stwierdził, że spotkamy się we wrześniu w znacznie zmniejszonym gronie, lecz aby się nie zrażać, gdyż do szkoły można zdawać kilka razy, a uczyć się trzeba zawsze.

Po pewnym czasie podano nam do wiadomości wyniki egzaminu przedwstępnego. Dowiedziałem się, że zdałem i zostałem dopuszczony do egzaminu wstępnego oraz że mam odbyć staż w piechocie i artylerii. Karcz postarał się, abym staż w piechocie odbywał w Warszawie w 37 pułku piechoty i abym mógł pomóc memu następcy, może czasowemu, rtm. Stempkowskiemu Michałowi. Staż w artylerii miałem odbywać w 14 pułku artylerii lekkiej z garnizonu Poznań.

Ciężki i bardzo nudny był staż w piechocie. Musiałem bardzo wcześnie wstawać, aby nie spóźnić się na ćwiczenia, wyjeżdżając tramwajem z trudem zajeżdżałem na Pragę i doganiałem batalion maszerujący na Pelcowiznę, na plac ćwiczeń. Tu nudziłem się jak mops, patrząc na chwyty bronią, walkę na bagnety czy wyszkolenie strzeleckie. Raz tylko wziąłem udział w ćwiczeniach polowych, podczas których dowodziłem batalionem. Śmiać mi się chciało, gdy po zdaniu raportu dowódcy pułku, przed wymarszem, ten wyraził zdziwienie, że nie zrobiłem żadnego błędu podając komendy dla batalionu, tak jak by to było coś trudnego nauczyć się tych paru komend.

Na staż do Poznania nie potrzebowałem jechać. Pojechałem od razu na poligon w Pohulance za Wilnem, gdyż w tym czasie 14 pal[47] już był w drodze. Zameldowałem się u płk. Gałązki, dowódcy pułku, bardzo miłego górala. Prócz mnie był tu jeszcze rtm. Roman Stankiewicz z 13 pułku ułanów, z którym po raz trzeci spotykałem się na kursie oraz kapitan Wojciech Wajda, bardzo przyjemny człowiek i major Aleksandrowicz. W 14 pal było nam dobrze, tylko cierpiałem stale na brak snu. Dowódcą grupy artylerii był płk Chmurowicz, a dowódcą

[47] Pal – pułk artylerii lekkiej (przyp. red.).

piechoty dywizyjnej 17 DP płk Alter[48], przydzielony do grupy artylerii jako kierownik taktyczny. Obaj byli dawnymi oficerami austriackimi i uważali, że nie wypada im grać w brydża ze swymi podwładnymi, ale ze stażystami można. Często więc musieliśmy do rana, razem ze Stankiewiczem, przesiedzieć przy kartach z naszymi czasowymi przełożonymi. Pożytek z tego był tylko taki, że graliśmy lepiej od pułkowników i wygrywaliśmy. Poznaliśmy przez te parę tygodni rzemiosło artyleryjskie na tyle, że od biedy moglibyśmy kierować ogniem z punktu obserwacyjnego. Na pożegnanie urządzono dla nas kolację, podczas której wygłoszono parę przemówień pod naszym adresem. Ja, jako najstarszy stopniem stażysta, też zabrałem głos, dziękując naszym artylerzystom za pogłębienie naszej wiedzy, a pułkownikom Chmurowiczowi i Alterowi również za uzupełnienie naszych poborów wygranymi w brydża. To zakończenie wywołało humor wśród mało wesołego nastroju.

Wreszcie we wrześniu zaczął się tzw. kurs próbny, który trwał 6 tygodni. Był to właściwie bardzo skrupulatnie przeprowadzony egzamin, gdzie każdy kandydat, prócz prac pisemnych, odpowiadał z każdego przedmiotu 3 do 4 razy i to dość długo, za każdym razem przed innym wykładowcą. Dwa momenty miałem przykre. Wykładowcą taktyki piechoty był ppłk Salini i gdy u niego odpowiadałem, miał on ciągle niezadowoloną minę i co pewien czas zadawał pytanie: „No i co dalej?". To mnie wyprowadziło z równowagi, lecz gdy po wyjściu na korytarz rozmawiałem z Makiem, będąc najgorszych myśli, podszedł do mnie asystent taktyki piechoty, major Brajczewski i uspokoił mnie, że odpowiadałem zupełnie dobrze i abym się nie przejmował, bo płk Salini jest dobry chłop, tylko ma taki przykry sposób zadawania pytań. Drugim przykrym momentem były odpowiedzi z taktyki kawalerii. Egzaminował mnie major Biernacki. Zadał mi kilka pytań, na które na pewno dobrze odpowiedziałem, lecz jemu moje odpowiedzi nie odpowiadały i nie zgodziliśmy się. Nie miałem przekonania do tego oficera, gdyż wiedziałem, że bardzo mało przebywał w linii i że ja mam na pewno więcej wiadomości z taktyki kawalerii niż on. Ale on był asystentem tego przedmiotu. Pamiętam, że wychodząc po egzaminie, gdy do któregoś z kolegów powiedziałem, że chyba się oblałem, stary woźny, który podawał mi płaszcz, wtrącił się do rozmowy i powiedział: „Ja panie majorze jezdem stary prefesur szkoły. Tu już niejeden tak mówił. Jeszcze pan major będzie wykładowcą".

Teraz zaczął się okres denerwującego oczekiwania na ostateczne wyniki egzaminów. Czekałem na decyzję, czy będę dalej kwatermistrzem, czy przyjmą

[48] Franciszek Alter (1889–1945) – gen. bryg. We wrześniu 1939 dowódca 25 dywizji piechoty w składzie Armii „Poznań". Zmarł w niemieckim obozie jenieckim.

mnie do szkoły. Na kursie próbnym było nas ponad stu, a przyjętych miało być 50. W czasie trwania kursu Karcz odszedł z pułku na stanowisko szefa departamentu kawalerii w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Pułk objął przeniesiony z artylerii konnej do kawalerii płk dypl. Antoni Trzaska-Durski (niekoniecznie dobre pociągnięcie Wieniawy). Bardzo nieprzychylnie patrzyliśmy na tę zmianę, zwłaszcza, że Durski nie umiał, tak jak Wieniawa, wziąć za serca oficerów i cały pułk. Odnosił się sztywno, a my znów nie byliśmy tacy, aby nam to zaimponowało lub nas nastraszyło, też byliśmy sztywni i tylko służbowi.

Na parę dni przed ogłoszeniem wyników przyszedł do mnie Cichocki, z wiadomością, że do szkoły został przyjęty tylko Mak, a on i ja nie będziemy przyjęci, ale gdyby Wieniawa zwrócił się do gen. Kutrzeby, to byłaby możliwość i nas przyjęcia. Proponował, abym poszedł do Wieniawy i poprosił go, to na pewno dla mnie zechce interweniować. Odpowiedziałem kategorycznie, że w żadnym wypadku nie będę próbował dostać się do szkoły przez protekcję i do Wieniawy nie pójdę. Przykro mi było bardzo, że mój wysiłek nie osiągnął skutku, ale godziłem się z losem. Już nawet w pułku zaczęły się drobne przymówki, że Mak młodszy zdał, a ja nie. Wieczorem tego dnia wpadł do mnie Karcz pytając o wyniki egzaminu. Powiedziałem mu, że oficjalnych jeszcze nie ma, ale Cichocki gdzieś się dowiedział, że jakoby nie zdałem. Karcz obiecywał mi, że jako szef departamentu może zapytać Kutrzebę o wyniki egzaminów oficerów kawalerii. Na drugi dzień przyszedł do mnie Karcz i powiedział, że i rozmawiał z Kutrzebą. Cichocki narobił rozmyślnie plotek, aby przez moją osobę uzyskać protekcję dla siebie. Ja i Mak zdaliśmy obaj. Ja z 10 lokatą. Cichocki oblał się. Byłem szczęśliwy, bo ostatecznie moje pojęcie o samym sobie poprawiło się. Jeżeli wytrzymałem konkurencję z tyloma najlepszymi oficerami, to nie muszę być już takim zerem umysłowym. Rad byłem, że nie będę już kwatermistrzem, a ambicja moja została mile połechtana!

W Wyższej Szkole Wojennej

Na początku listopada 1931 roku rozpoczęliśmy pierwszy rocznik Wyższej Szkoły Wojennej. Na naszym roczniku było stosunkowo bardzo dużo kawalerzystów, bo aż 13. Na 50 słuchaczy to 25%. To był dowód, że mimo wszystko w kawalerii poziom inteligencji był wyższy na pewno niż w piechocie. Piechota miała czterokrotnie większą ilość oficerów niż kawaleria, a do szkoły zdała z piechoty stosunkowo mała ilość, bo w tych 75% byli oficerowie artylerii, saperów i lotnictwa oraz łączności. Najstarszym kawalerzystą byłem ja. Drugim

oficerem z 1 psz[49] był Józio Makowiecki, później Edward Boniecki z 1 pu[50], rtm. Sienkiewicz i rtm. Bidwin z 2 pu, rtm. Jan Jastrzębski z 2 psz, rtm. Roman Stankiewicz z 13 pu, rtm. Leon Pruszanowski z 15 pu, rtm. Kozłowski z 19 pu, por. Bolechowski z 18 pu, rtm. Zatorski z 4 psk[51], rtm. Jerzy Anders z 9 psk, rtm. Zygmunt Dobrowolski z 10 psk. Po pierwszym roczniku odpadł rtm. Anders, a przybył rtm. Grzegorz Dobrowolski z 17 pu.

Pierwszego dnia, gdy przyszliśmy do szkoły, w auli stały biurka z przypiętą karteczką z nazwiskiem słuchacza. Poszukując swego miejsca zobaczyłem karteczkę z napisem: por. Juliusz Szostak. Pomyślałem, że to jakaś pomyłka, lecz po chwili sprawa się wyjaśniła. Drugi Szostak był porucznikiem 2 dak[52] z Dubne. Na każdym biurku leżała sterta skryptów oraz wykaz przedmiotów, które należało zakupić, jak kalka, krzywomierz, linijki i grafiszablony itp. Rozległ się dzwonek, zajęliśmy swoje miejsca i na katedrę wszedł gen. Kutrzeba, który wygłosił bardzo krótkie przemówienie i natychmiast zaczął się przewidziany programem wykład. Każdy wykładowca miał notes, w którym były ponaklejane nasze fotografie, tak że nikogo nie pytano o nazwisko.

Na drugi czy trzeci dzień po rozpoczęciu kursu zostałem wezwany do gen. Kutrzeby. Nie wiedziałem, co było powodem tego wezwania, ale z szablą i przy orderach zameldowałem się. Generał zapytał mnie, jak to się mogło stać, że major Biernacki, asystent taktyki kawalerii postawił mi przy egzaminie niedostateczny stopień. Generał sprawdził moje opinie oraz przebieg służby i nie może zrozumieć, jak to się mogło stać i wydaje mu się nie do wiary, aby major kawalerii, tak świetnie opiniowany, mógł przy egzaminie odpowiadać na niedostateczną notę. Zameldowałem generałowi, że nadal uważam moje odpowiedzi za dobre, lecz widocznie mówimy innym językiem. Powtórzyłem jedno z pytań i moją odpowiedź. Wydaje mi się ciągle, że mając dużo praktycznych wiadomości, raczej ja mam rację, nie major Biernacki. Gen. Kutrzeba nie miał mi za złe, że nie zgadzam się z wykładowcą, tylko dał mi taką naukę: „Jeżeli wyda się panu, że wykładowca nie ma racji, niech pan nie śpi całą noc i dobrze przemyśli zagadnienie, a jeżeli będzie pan pewien, iż racja jest po pana stronie, proszę nie ustępować i śmiało przyjść do mnie, to omówimy sprawę".

Mimo rozmowy z generałem, wydaje mi się, że wykładowcy nie byli zupełnie pewni moich wiadomości. Po pewnym czasie zauważyłem, że jestem częściej niż inni pytany, lecz to niedługo trwało i tak jakby przekonali się do

[49] Psz – pułk szwoleżerów (przyp. red.).
[50] Pu – pułk ułanów (przyp. red.).
[51] Psk – pułk strzelców konnych (przyp. red.).
[52] Dak – dywizjon artylerii konnej (przyp. red.).

mnie. Major Biernacki odszedł ze szkoły i więcej z nim nie miałem do czynienia. Ogólnie na pierwszym roczniku nauka szła mi dobrze, nie wyróżniałem się, w moim przekonaniu, ale nie byłem na szarym końcu. Pracy było zawsze dużo, ale nie zaniedbywałem nauki. Pamiętam, że kiedyś dostaliśmy zadanie do domu z taktyki artylerii i przez jeden dzień nie mieliśmy iść do szkoły. Natychmiast po powrocie do domu zasiedliśmy z Makiem do roboty. Siedzieliśmy prawie całą noc i po przespaniu się paru godzin, siedliśmy znów do pracy. Pracowaliśmy cały dzień i calutką następną noc, aby rano oddać na czas wykonane i porządnie przepisane prace. Po pewnym czasie zwrócono nam je poprawione. Na mojej był tylko podpis generała i napis „praca wzorowa". Byłem bardzo zadowolony.

Podczas prac pisemnych w szkole nikt nas nie pilnował i tzw. ściąganie było dozwolone, gdyż całości pracy nikt nie był w stanie przepisać, a jeżeli jeden drugiego zapytał o decyzje, to jeżeli nie umiał jej dostatecznie umotywować i dać odpowiednie wykonanie, to i tak praca mogła być niedostateczna. W szkole było bardzo rozumne podejście do zagadnień taktycznych. Cenione były rozwiązania oryginalne, niekoniecznie szymlowe. W ogóle zwracano uwagę na charakter słuchacza. Jeżeli nawet ktoś powziął złą decyzję, ale spostrzegł to i nie załamywał się, lecz starał się wybrnąć z sytuacji, był dobrze notowany.

Trochę poczułem się „kopnięty w ambicję", gdy wyznaczono dwóch kandydatów na kurs do Francji, ale właściwie nie miałem racji. Wyznaczono rtm. Makowieckiego i por. Ziranala. Mak na pewno był jednym z najlepszych słuchaczy, ale Ziranal był bardzo porządnym chłopakiem, ale nie wyróżniał się niczym specjalnym.

Nadeszło lato 1932 roku i zajęcia teoretyczne na pierwszym roku dobiegały końca. Teraz zaczęły się tzw. podróże taktyczne. Pierwsza podróż była ze służby sztabów tylko do Skierniewic, gdzie przerabialiśmy zorganizowanie stacji zaopatrzenia i ewakuacji. Druga też w okolice tych samych Skierniewic, lecz z taktyki artylerii. Ciągle orientowaliśmy mapy na Dębową Górę (nie przypuszczałem wtedy, że będę tam ukrywał się). Nie były to ciekawe podróże, lecz wygodne bardzo. Szkoła dostawała do dyspozycji cały pociąg sanitarny. Mieszkaliśmy po 10–12 w wagonie, mając każdy wygodne łóżko. Przed pierwszą podróżą zwrócili się do mnie koledzy kawalerzyści z propozycją, abyśmy zajęli jeden wagon. Odmówiłem. Uważałem, że tego rodzaju separowanie się, wobec i tak wrażliwych piechurów, pogłębiałoby antagonizm istniejący w wojsku, a zatarty w szkole. Trzeba przyznać, że koleżeństwo na naszym roczniku było wielkie, co zresztą bardzo skutecznie podtrzymywał nasz płk Warzybok, „baca" rocznika. I dziś uważam, że dobrze zrobiłem odrzucając tę propozycję.

Jedna z ostatnich podróży była z taktyki ogólnej. Przed wyjazdem dostaliśmy nowy skrypt, dość gruby. Jakoś opanowało mnie lenistwo, mimo namów

Maka, nie mogłem zabrać się do przeczytania go. Byliśmy w rejonie Mławy, właśnie pod wsią, gdzie kawaleria Gaj-Chana, szarżując wyrąbała batalion 18 DP w 1920 roku. Tu zaczęto mnie maglować. Podano mi w założeniu marsz dywizji piechoty w walce spotkaniowej z dużym zgrupowaniem kawalerii. Ppłk dypl. Nadachowski, wykładowca taktyki ogólnej, w obecności kierownika kursu płk. dypl. Jaklicza[53], pyta mnie długo i szczegółowo. Odpowiadam zupełnie dobrze, widzę, że są ze mnie zadowoleni. Na zakończenie ppłk Nadachowski zwraca się do wszystkich słuchaczy i mówi: „Widzą panowie, jak ktoś dokładnie przeczytał i przemyślał skrypt, to rozwiązuje zagadnienie zupełnie dobrze". Myślałem, że pęknę, tak mi się chciało śmiać. Z podróży wyszedłem bardzo dobrze i choć nam tego nie mówiono, ale miałem dobre samopoczucie.

Pierwszy rocznik skończyliśmy, z wyjątkiem rtm. Jerzego Andersa, któremu po urlopie zaproponowano egzamin poprawkowy ze służby sztabów lub wycofanie się ze szkoły. Anders odszedł.

Urlop spędzałem w Warszawie. Raz idąc do miasta spotkałem gen. Wieniawę, który po krótkiej rozmowie zapytał mnie, czy po skończeniu szkoły zechcę przyjść do niego, do 2 DK[54] na stanowisko szefa sztabu. Oczywiście podziękowałem generałowi za propozycję, zgadzając się bez zastrzeżeń. Podczas urlopu dostaliśmy do przeczytania parę prac z dziedziny operacyjnej. Bardzo mnie te zagadnienia interesowały. Na pierwszym roczniku przerabiało się taktykę na szczeblu dywizji piechoty i brygady kawalerii, na drugim zaś operacje na szczeblu grupy operacyjnej i trochę armii.

Muszę dziś przyznać, że doktryna wojenna propagowana w Wyższej Szkole Wojennej grubo za mało wybiegała wyobraźnią w przyszłość. Wszystko było oparte na doświadczeniach I Wojny Światowej, nieco zmodyfikowane przez doświadczenia 1920 roku. Wprawdzie to był rok 1932, ale jeszcze za mało liczono się z możliwością rozwoju nowoczesnych broni, a zwłaszcza lotnictwa i broni pancernej. Również za mało liczono się z możliwościami produkcyjnymi kraju, planując np. za duże zużycie amunicji artyleryjskiej. Nawet kiedyś po jakimś omówieniu ćwiczenia, gen. Kutrzeba poruszył, jak rozwiązać to samo zadanie przy mniejszych ilościach artylerii i amunicji. Widać, że on też zastanawiał się nad możliwościami istotnymi, nie myśląc w kategoriach oderwanej od życia teorii.

---

[53] Józef Jaklicz (1894–1969) – płk dypl. żołnierz LP i PSZ, w latach 1935–1939 szef Oddziału III i zastępca szefa Sztabu Głównego – współtwórca planu operacyjnego „Z" (tj. działań WP w wojnie obronnej z Niemcami), po wrześniu 1939 na Zachodzie, m.in. w latach 1942–1944 konspiracyjny dowódca WP na terenie Francji. Zmarł w Paryżu.

[54] DK – dywizja kawalerii (przyp. red.).

Łatwo jest dziś krytykować, ale przecież w 1932 roku obowiązywał jeszcze Traktat Wersalski i Hitler nie był u władzy. Niemcy miały 100-tysięczną Reichswehrę i Polska, pod względem ilości wojska w czasie pokojowym, była silniejsza. Dlatego wszystkie nasze założenia do ćwiczeń operacyjnych były budowane na tej podstawie.

Po sześciotygodniowym urlopie rozpoczęliśmy studia na drugim roczniku. Teraz, gdy zaczęły się sprawy operacyjne i wyszliśmy z ciasnego kółeczka dywizji piechoty lub brygady kawalerii, nabrał w smaku do tych szerszych zagadnień. To mi odpowiadało, gdyż kończyło się rzemiosło, a zaczynał się przedsmak sztuki wojennej.

Późną jesienią była zapowiedziana gra wojenna, na którą mieli przybyć, jako obserwatorzy, dygnitarze wojskowi. Mieliśmy trochę emocji, jaką kto otrzyma funkcję. Wreszcie płk Jaklicz przyszedł do auli, aby podać do wiadomości przydziały. Ja, jako najstarszy kawalerzysta, byłem nastawiony, że otrzymam dowództwo brygady kawalerii. Pułkownik czytał i zdawało się, że już wszystkie funkcje są obsadzone, a o mnie ani słowa. Dopiero na końcu podano mój przydział na najwyższe stanowisko, bo szefa sztabu armii niebieskiej. Szefem sztabu armii czerwonej został major saperów Weryho. To było wielkie wyróżnienie nas obu. Dowódcami armii na takich szkolnych grach wojennych byli zawsze wykładowcy. Wtedy zrozumiałem, że jestem uważany za jednego z czołowych słuchaczy na roczniku.

Nadszedł termin gry. Rozdano założenia. Ja, jako szef sztabu otrzymałem na piśmie decyzje dowódcy armii oraz wytyczne wykonawcze, a już moim obowiązkiem było sporządzić pierwszy rozkaz operacyjny. Wszystko szło zupełnie dobrze. Grze przysłuchiwał się, między innymi, gen. dyw. Fabrycy, jako 1 wiceminister Spraw Wojskowych. Podczas gry stwarzano często takie sytuacje, gdzie musiał decydować szef sztabu, bo sprawy były niecierpiące zwłoki, a dowódcy chwilowo nie było.

Ta pierwsza gra wojenna odbywała się na granicy Prus Wschodnich podczas walki spotkaniowej na początku wojny. W drugim dniu gry, gen. Fabrycy zaczął też zadawać pytania. Wynikła taka sytuacja, nastąpił kryzys bitwy. Według decyzji dowódcy armii, nasza 16 DP musiała wytrzymać silny nacisk nieprzyjaciela, w celu umożliwienia przegrupowania sił i przejścia do działań zaczepnych. Od wytrzymałości tej dywizji zależało powodzenie. Dowódca armii polecił szefowi sztabu pojechać do dowódcy 16 DP i ustnie przedstawić mu położenie i wytłumaczyć wagę wyznaczonego zadania. W tym momencie zwraca się do mnie gen. Fabrycy i mówi:

– Pan, panie majorze jest szefem sztabu armii, a ja jestem dowódcą 16 DP. Nawiasem mówiąc dowodziłem w czasie wojny właśnie 16 DP.

Proszę ze mną przeprowadzić taką rozmowę, jaką by pan przeprowadził w rzeczywistości.

Trochę mnie to zaskoczyło, ale nie straciłem rezonu. Zapytałem tylko:

– A więc ja jestem, w tej chwili, również generałem, jako szef sztabu armii.

– Tak – odpowiada gen. Fabrycy.

Zaczynam mówić.

– Przyjeżdżam samochodem do mp[55] dowódcy 16 DP, wchodzę do pomieszczenia, gdzie znajduje się pan generał, mówię dzień dobry i siadam przed mapą. Panie generale, przyjeżdżam z polecenia dowódcy armii, aby z panem generałem omówić położenie i zamiar. Ogólne ugrupowanie pan zna. W obecnym położeniu cały ciężar bitwy zwali się na pana dywizję. Przechodzimy kryzys i od charakteru pana generała oraz wytrzymałości dywizji zależy nasze powodzenie. W nocy nastąpią przegrupowania i rozpoczniemy działania zaczepne na skrzydło nieprzyjacielskie, co powinno być uwieńczone zwycięstwem. Jeżeli 16 DP wytrzyma w obronie, honor zwycięstwa, w znacznym stopniu, będziemy zawdzięczać panu generałowi i może pan liczyć na odznaczenie. Jeżeli natomiast pan się załamie i nie wytrwa w obronie, bitwy nie wygramy, a pan może liczyć tylko na kapelusz.

Skończyłem.

Gen. Fabrycy jakby się speszył i nie wiedział, jak ma traktować moją odpowiedź. Wreszcie zaczął się śmiać, a z nim wszyscy obecni. Moja odpowiedź została uznana za dobrą, choć płk Jaklicz za tablicą pogroził mi palcem, co miało znaczyć: „Nic ci zrobić nie możemy, ale szelma to ty jesteś!". Koledzy, którzy to słyszeli, zaśmiewali się z miny gen. Fabrycego i mówili: „Ale ty Józiu masz tupet!". Z gry tej wyszedłem bardzo dobrze i to umocniło mnie w dobrej opinii, jako czołowego słuchacza.

O ile taktyka ogólna bardzo mnie interesowała i nie znajdowałem większych trudności w rozwiązywaniu zadań, o tyle służba sztabów na szczeblu grupy operacyjnej czy armii była trudna i nie bardzo, początkowo, mogliśmy sobie dawać radę. Do pierwszego zadania domowego w ogóle nie wiedzieliśmy jak przystąpić. Zebraliśmy się nawet większą grupą u jednego z kolegów z piechoty, który zdobył jakiś stary szymel, aby naradzić się i omówić rozwiązanie, ale chyba rozwiązaliśmy je źle.

Koleżeństwo, jak już wspomniałem, było na roczniku bardzo rozwinięte i zawsze jeden drugiemu starał się dopomagać. Uczyliśmy się przeważnie po dwóch lub trzech. Na pierwszym roczniku uczyłem się zawsze z Makiem, a gdy on wyjechał do Paryża, moim kompanem stał się rtm. Jan Jastrzębski, a często

[55] Mp – miejsce postu (przyp. red.).

dołączał do nas rtm. Roman Stankiewicz. Janek był dzielnym oficerem, odznaczonym orderem Virtuti Militari, który zdobył w 12 pułku ułanów w 1920 roku. Przez kolegów niekoniecznie zbyt lubianym, za swój cięty język i krytyczne podchodzenie do ludzi, do których jakby był uprzedzony. Nieraz myślałem, że musiało go spotkać wiele przykrości od ludzi i dlatego patrzy na nich z rezerwą. Do mnie dziwnie przylgnął i do dziś jesteśmy w wielkiej przyjaźni.

Te na pewno wzorowe stosunki koleżeńskie, w znacznym stopniu, można było zawdzięczać „bacy" Bronkowi Warzybokowi. Kiedyś, podczas ćwiczenia pisemnego w auli, jeden z kolegów zwrócił się do drugiego zapytaniem, na które nie dostał odpowiedzi, a jakąś opryskliwą uwagę. Po zajęciach „baca" zatrzymał nas i wobec zebranych kolegów napiętnował ten wypadek. Nietęgo czuł się ten kolega, gdy musiał długo czekać, aż odrobił sobie złą markę.

Był zwyczaj, że jeżeli któryś z kolegów dał złą odpowiedź, a wykładowca zapytał drugiego słuchacza, czy zgadza się z poprzednią odpowiedzią, każdy z zasady odpowiadał, że zgadza się, tylko… Sam miałem taki wypadek. Jeszcze na pierwszym roczniku, wykładowca ze służby sztabów, zadał Makowi pytanie na temat ewakuacji rannych. Mak, moim zdaniem, odpowiedział źle. Wykładowca zwraca się do mnie:

– Czy pan major Szostak zgadza się z odpowiedzią kolegi?

– Zgadzam się – odpowiadam.

– Proszę umotywować, wobec tego, swą zgodę.

Nie wierzyłem w słuszność odpowiedzi, ale umotywowałem, że tak też można było rozwiązać zagadnienie, jakkolwiek można rozwiązać i inaczej i tu dopiero podałem moje rozwiązanie.

Stosunki koleżeńskie dlatego były dobre, bo nikt nie myślał o wybijaniu się kosztem klęski kolegi. Wszyscy uważaliśmy, że ponieważ państwo łoży na każdego słuchacza około stu tysięcy złotych, aby z niego zrobić oficera dyplomowanego, musimy pracować uczciwie i pomagać sobie wzajemnie. Nasz rocznik gen. Kutrzeba nazwał rocznikiem „solidnym".

Koło Bożego Narodzenia, podczas przerwy na korytarzu spotkałem por. Cichockiego, który już chyba przy protekcji Wieniawy, wreszcie dostał się na pierwszy rocznik. Cichocki, jako młodszy kolega pułkowy, zapytał mnie, czy nie słyszałem, że z ich rocznika mają kilku słuchaczy zwolnić ze szkoły? Nic o tym nie słyszałem, bo nie interesowały mnie sprawy ich rocznika. Po pewnym czasie otrzymuję pisemne wezwanie, abym zameldował się u komendanta kursu, płk. Jaklicza. Przychodzę, na drugi dzień, z szablą i orderami i zupełnie nieświadom swoich grzechów, melduję się. Jaklicz jest ogromnie oficjalny i sztywny, jak to się nigdy nie zdarzało w stosunku do mojej osoby. „Proszę mi szczerze i prawdę powiedzieć, skąd pan wie, że z pierwszego rocznika będzie

usuniętych paru słuchaczy" – zadaje mi pytanie. Patrzę na niego i nie rozumiem o co mu chodzi, bo zapomniałem już o rozmowie z Cichockim. Najpierw podkreślam, że przypominanie mi o mówieniu prawdy, jest zbędne, gdyż nigdy nie meldowałem, w swoim życiu, nieprawdy żadnemu przełożonemu, a następnie oświadczam, nikt mi nic na ten temat nie mówił, bo nie biorę pod uwagę plotki, o której mówił mi Cichocki. Jaklicz odetchnął i powiedział mi już innym tonem, że generał kazał mu zrobić dochodzenie, skąd ta wiadomość dostała się między słuchaczy. Cichocki, wzięty do galopu powiedział, że dowiedział się o tym ode mnie. Posądzano któregoś z asystentów, że się wygadał wobec mnie, bo wiedziano, iż z paroma jestem w dobrych stosunkach i na ty. Cichocki jeszcze raz okazał się świnią.

W zimie odbyła się druga gra wojenna dotycząca działań kawalerii. Założenie było oparte na tle działania kawalerii niemieckiej w 1915 roku na wschód od Wilna. I tym razem przypadła mi najwyższa funkcja, bo dowódcy korpusu kawalerii w wypadzie na tyły nieprzyjaciela. Gra nie była specjalnie ciekawa, bo kierownik katedry taktyki kawalerii płk dypl. Konstanty Drucki-Lubecki, który był kierownikiem gry, choć sam był bardzo uczony, grę prowadził bez temperamentu. Pod koniec gry stworzył jakąś sytuację, w której pozornie dowódca korpusu (tj. ja) mógł pochopnie powziąć nową decyzję. Podano mi położenie i padło pytanie: „Co pan po otrzymaniu tego meldunku robi?". Jak dla kawału, moje mp znajdowało się we wsi Wygódka. Odpowiedziałem więc: „Siedzę w Wygódce i namyślam się nad decyzją". Wszyscy wybuchnęli śmiechem, prócz mnie. Jaklicz po grze powiedział mi: „Wiem, że pan nikogo się nie boi, ale chyba pan wreszcie za swoje kawały posiedzi". Moje kawały miały ten skutek, że i wykładowcy zaczęli je stosować, aby ożywić niejednokrotnie wykład.

Na ogół wykłady były prowadzone świetnie. Zawsze bardzo dobrze opracowane, wygłaszane dobrym językiem i ciekawie się ich słuchało. Chyba najpiękniej jednak mówił ppłk dypl. Nowosielski (zginął w 1939 roku jako dowódca 77 pp). Jego wykład, na tak prozaiczny temat jak zaopatrzenie w mięso, był tak wygłoszony, że wszyscy z przyjemnością słuchali. Mówił pięknym językiem i głos miał zupełnie wyjątkowy.

W końcu maja 1933 roku ukończyliśmy zajęcia teoretyczne i zaczął się okres podróży taktycznych. Lubiłem te podróże, bo choć pracy było bardzo dużo, ale i humoru też masa. Zabierałem z sobą do wagonu olbrzymi kufer, w którym mieściło się moc rzeczy, nawet buty z prawidłami i ten dom na kołach zupełnie mi odpowiadał. Wyżywienie było bardzo dobre, choć jak na kasyno oficerskie dość drogie, bo 5 zł dziennie, ale 4 razy i obiad oraz kolacja zawsze gotowane z mięsem. Generał zaprowadził nawet taką ulgę, że zezwolił na przychodzenie

na posiłki w piżamach, z powodu dużego gorąca w wagonach. Również do wagonów, gdzie pracowaliśmy, też nie obowiązywał mundur. Kiedyś stoimy na jakiejś stacji. Na sąsiedni tor wjeżdża pociąg i zatrzymuje się obok naszego. Koledzy siedzą w piżamach i grają w brydża, gdy ja stoję w oknie. Nagle do okien przybyłego pociągu tłoczą się panienki, chyba pensjonarki, dopytując się, co to znaczy taki pociąg z czerwonymi krzyżami, w którym jest tylu mężczyzn w piżamach. Objaśniam im więc, że to nowy sposób leczenia wariatów, przez wożenie ich pociągiem. Ja jestem sanitariuszem, ale ci to sami wariaci, choć mogą temu zaprzeczać. Oczywiście podniosły się protesty.

Podczas jednej podróży płk Drucki-Lubecki oświadczył mi, że po skończeniu szkoły mam pozostać w szkole w charakterze asystenta taktyki kawalerii. Podziękowałem mu za uznanie, ale nie reflektuję na to stanowisko, gdyż mam już inną propozycję. Później dowiedziałem się, że powtórzono moją odpowiedź gen. Kutrzebie, który jakoby miał powiedzieć, że moja kandydatura jest już zatwierdzona, a o przydziałach oficerów dyplomowanych decyduje szef Sztabu Głównego i o ile chodzi o szkołę również Komitet (gen. Sosnkowski i Śmigły-Rydz), a ten również mnie zatwierdził. Nie chciałem w szkole pozostać, gdyż nie zawsze zgadzałem się z płk. Druckim-Lubeckim, a wykłady musiały być zatwierdzane przez wykładowcę danej katedry i aprobowane przez Komendanta Szkoły. Nie chciałem wykładać tego, w co sam nie wierzyłem. Uprzedziłem gen. Wieniawę, że mogą być trudności z moim przydziałem do 2 DK.

Przez cały okres szkoły byłem zawsze w świetnym humorze, zresztą tak jak w ciągu całego życia, do czasu śmierci Adasia i Maciejka. Do służby podchodziłem sumiennie, ale i wesoło. Zawsze podczas przerw w ćwiczeniach, tj. co 3 do 4 dni pociąg zatrzymywał się na całą dobę w jakimś mieście. Wtedy Jaklicz wyganiał nas z wagonów, byśmy trochę wypoczęli umysłowo. Szliśmy często grupami pobałaganić się do knajp. Zasiadaliśmy przy zestawionych stolikach i zaczynało się od „wina i fruktów", tj. wódki i pomidorów oraz ogórków. Takie hulanki nie kosztowały zbyt drogo, a z pieniędzmi nie było już tak zupełnie źle, bo otrzymywaliśmy dodatki za odkomenderowanie, które były wyższe niż koszt wyżywienia w kasynie.

Muszę się przyznać, że jakkolwiek nigdy nie byłem awanturniczo usposobiony, nawet pod wpływem alkoholu, to w Bydgoszczy zrobiłem grubą awanturę. Było tak: przyszliśmy na dancing w kilku kolegów, przeważnie kawalerzystów. Było bardzo wesoło. Zauważyłem, że jedna z tańczących, przystojnych niewiast bardzo mi się przygląda. Nie wiedziałem, kto to może być i nie mogłem sobie przypomnieć, czy ją znam. Wreszcie koledzy też zwrócili na to uwagę. Pani ta, gdy tańcząc znalazła się w pobliżu naszego stolika, powiedziała na tyle głośno, że posłyszałem: „No i nie poznaje mnie". To

mnie zaintrygowało i gdy orkiestra zaczęła grać, wstałem i poprosiłem ją do tańca. W tańcu przypomniała mi, że poznaliśmy się w drodze do Worochty. Jechaliśmy po podróżach taktycznych na pierwszym roczniku, na podróż raczej krajoznawczą do Worochty. Byliśmy wszyscy po cywilnemu, w ubraniach wycieczkowych, jak pumpy itp. Zajmowaliśmy kilka przedziałów w 2 klasie. W jednym wolnym przedziale siedziała skromnie przystojna panienka i coś czytała. Jeden z moich kolegów zdradzał wielką ochotę, aby z nią porozmawiać. Panienka nie zwracała uwagi na jego zaczepki, ale była mocno speszona. Ja, stojąc na korytarzu zobaczyłem to i trochę zrobiło mi się żal młodej panny, która nie wie, co zrobić. Wszedłem więc do jej przedziału najzwyczajniej i po prostu powiedziałem jej, kim my jesteśmy i rozwiałem jej obawy. Przedstawiłem się i zapytałem, czy pozwoli sobie przedstawić moich kolegów. Wszystko zostało załatwione grzecznie i formalnie, a panna bawiła się świetnie do Jaremcza, gdzie wysiadła, umawiając się na dancing z mymi kolegami. Okazało się, że była córką starosty z Torunia i była na dancingu w Bydgoszczy ze swoim narzeczonym i liczniejszym towarzystwem, któremu mnie przedstawiła. Wypiliśmy nie najgorzej. Gdy to towarzystwo wychodziło, a było już mocno późno, wyszedłem bez czapki przed lokal, coś jeszcze rozmawiając. W tym czasie portier zamknął drzwi na klucz. Ja chcę wrócić do kolegów, a drzwi zamknięte. Zacząłem walić ze złością i otworzono mi. Ale wpadłem we wściekłość i zażądałem, aby właściciel lokalu natychmiast mnie przeprosił. Ponieważ właściciel lokalu schował się, bo czuł, że zanosi się na grubszą awanturę i nikt mi nie dawał satysfakcji, siadłem na krześle na środku dancingu i zażądałem, aby ktoś w imieniu właściciela przeprosił mnie przez pocałowanie mnie w but, klęcząc. I starszy kelner zrobił to publicznie. Po chwili jednak zjawił się oficer inspekcyjny z komendy miasta i poprosił mnie bardzo uprzejmie o legitymację. Podałem mu. Zapisał sobie moje nazwisko i przydział. Wróciłem do pociągu i po umyciu się wyszedłem z wagonu, bo trzeba było wyjeżdżać na ćwiczenia. Gdy wszyscy wsiadali do ciężarówek, Jaklicz zwrócił się do mnie i powiedział: „A pan, majorze pojedzie z nami". Siadłem do osobowego samochodu wraz z płk. Jakliczem i ppłk. dypl. Klimeckim i gdybym nie miał takiego kaca jak miałem, to pewno myślałbym, że kariera zwichnięta. Ruszyliśmy i nagle obaj wykładowcy zaczynają się strasznie śmiać, wreszcie pytają, co mi przyszło do głowy, aby wybierać taką formę przeprosin. Uśmieli się serdecznie i powiedzieli, że raport z komendy miasta już będzie wycofany i do generała sprawa nie dojdzie, abym się nie trapił. A ponieważ obaj byli piechurami, tylko sobie westchnęli, że też jak jakiś kawał to zawsze musi zrobić kawalerzysta, a piechurów nigdy na to nie stać. Inny temperament, zresztą była to jedyna awantura, jaką w życiu zrobiłem.

Z Bydgoszczy pojechaliśmy do Gdyni. Po 10 latach zobaczyłem miast małej wioski rybackiej – miasto i port. Już nawet nie można było poznać tego miejsca, w którym wjeżdżałem do morza ze szwadronem przybocznym w 1923 roku. Zwiedziliśmy w Gdyni jedynie artylerię nadbrzeżną i kompanie reflektorów, a poza tym chodziliśmy na plażę i po knajpach.

Zanim odbyły się dwie ostatnie i najcięższe podróże, mieliśmy podróż z historii wojennej. Zwiedziliśmy teren bitwy pod Brzezinami i rtm. Dziewanowski, asystent historii wojennej, miał bardzo ciekawy wykład. Na wykład ten przybył inspektor armii gen. dyw. Sosnkowski. Przed wykładem Dziewanowski uprzedził, kto będzie odpowiadał przy generale. O mnie nie było mowy. Słuchałem więc wykładu z dużym zainteresowaniem, lecz i ze spokojem, że nie będę pytany. Gdy jednak Dziewanowski doszedł do momentu, gdy lewe skrzydło XV korpusu zostało zagrożone, a obok przechodziła dywizja kawalerii gen. Richthofena z zadaniem osłony od zbliżającej się, choć jeszcze z dość dużej odległości, kawalerii rosyjskiej Nowikowa, a dowódca niemieckiej piechoty prosił Richthofena o bezpośrednią osłonę wiszącego skrzydła, nagle zadano mi pytanie:

– Panie majorze Szostak, co pan zrobiłby na miejscu gen. Richthofena?

Nie byłem przygotowany na pytanie, ale nie pesząc się odpowiedziałem:

– Według niemieckiej doktryny Richthofen prawdopodobnie zastosował się do prośby i zamiast wykonywać nakazane mu zadanie, osłonił skrzydło piechoty, natomiast według naszej doktryny nie powinienem zwracać uwagi, co komu wisi, tylko wykonać nakazane zadanie.

Gen. Sosnkowski najpierw spojrzał na ranie srogo, a ponieważ wszyscy wybuchnęli śmiechem, też roześmiał się i darował mi to „co komu wisi". Odpowiedź była zresztą zupełnie dobra.

Jeździliśmy teraz ciągle i tylko na krótko wracaliśmy do Warszawy. Zwiedzaliśmy przemysł wojenny. Widzieliśmy wiele ciekawych rzeczy. Teraz też rozumiałem, dlaczego dyrektorzy wielkich zakładów przemysłowych pobierają tak wielkie pensje. Zwiedzaliśmy którąś z hut na Górnym Śląsku. Dyrektor tej huty musiał mieć nie byle jaką głowę, aby tak olbrzymi zakład prowadzić rentownie, bo przecież było to towarzystwo akcyjne i nikt na pewno nie trzymałby dyrektora, który nie dałby dywidendy. Wspaniale też wyglądał żłobek w fabryce masek gazowych w Radomiu, coś zupełnie wyjątkowego.

Wróciliśmy do Warszawy, aby parę dni odpocząć przed podróżą z operacyjnej służby sztabów. Podając nam funkcje na tę podróż, Juklicz nie omieszkał mi przygadać, powiedział: „Niech panowie odpoczną trochę, a major Szostak niech się pouczy dobrze, bo będzie kwatermistrzem armii". Wiedziałem już o tym wcześniej od wykładowcy i żadne pouczenie już nie mogło pomóc. Funkcja ta

jest wyjątkowo trudna i jeżeli ktoś nie ma wyobraźni, nigdy dobrze nie wywiąże się z zadania. Kwatermistrz musi sobie wytworzyć obraz przebiegu zamierzonych operacji i do tego dostosować swój plan zaopatrzenia i ewakuacji. Tu głowa musi dobrze funkcjonować, inaczej klapa.

Wyjeżdżaliśmy z Warszawy wieczorem. Wszyscy koledzy poszli do swoich wagonów spać, ja zostałem wezwany do kierownictwa. Tu wręczono mi założenie do ćwiczenia i w wagonie wykładowców, w osobnym przedziale, polecono do rana opracować plan zaopatrzenia i ewakuacji. Przesiedziałem prawie całą noc, lecz na rano oddałem opracowany plan. Trzy dni trwały rozgrywki w terenie, podczas których wielokrotnie musiałem odpowiadać. Wreszcie przyszedł dzień zakończenia ćwiczenia i omówienie. Omówienie trwało długo i teraz dopiero dostałem porządną szkołę. Odpowiadałem na pytania ppłk. Sulisławskiego tyle razy, że w końcu gen. Kutrzeba zwrócił uwagę wykładowcy, aby mnie więcej nie pytano. Odpowiadałem dobrze, czego najlepszym dowodem było powiedzenie płk. Jaklicza: „Pan chyba więcej umie ode mnie z tej służby sztabów". W nagrodę za dobre wywiązanie się z funkcji kwatermistrza, zostałem zwolniony na trzy dni z dalszego ciągu ćwiczenia, gdzie miałem mieć jakąś mało ważną funkcję.

Podczas ostatniej podróży operacyjnej, w rejon Tarnopola, otrzymałem funkcję dowódcy grupy operacyjnej. Podczas tej podróży poszło mi o tyle gorzej, że narobiłem kierownictwu kłopotu, rozwiązując zadanie inaczej niż zaplanowało kierownictwo. Jaklicz był niezadowolony, lecz umotywowałem mu swoje rozwiązanie i musiał się zgodzić się, że nie było ono złe.

Wreszcie pod Zbarażem zakończyliśmy szkołę. Odbyła się tradycyjna „ostatnia kota". Według zwyczaju Wyższej Szkoły Wojennej na ostatniej kocie pije się z wykładowcami koktajl, który ma przeważnie więcej spirytusu niż wina. Niestety padał deszcz i musieliśmy, zamiast na wzgórzu, wypić na maleńkim dworcu kolejowym. Wesoło było bardzo i urżnęliśmy zawiadowcę stacji i kasjera w jednej osobie, a prócz tego jakąś parę nowożeńców, jadącą do rodziny przedstawić się. Tych dwoje wnieśliśmy do pociągu, zalanych „w trupka", płacąc kierownikowi pociągu, z góry, karę za zanieczyszczenie wagonu.

Po powrocie do Warszawy odbyło się oficjalne wręczenie dyplomów. Dyplomy wręczał Szef Sztabu Głównego, gen. Gąsiorowski. Dyplom był skromny i stwierdzał, że np. major X został mianowany oficerem dyplomowanym.

Po rozdaniu dyplomów, zaraz w auli, podano lampkę wina. Podczas tej już prywatnej rozmowy, podszedł do mnie gen. Kutrzeba i wziąwszy mnie na bok, zaczął mi dziękować, że podczas całego mego pobytu w szkole nie używałem nigdy żadnej protekcji, a ukończyłem szkołę tylko własną pracą. Nie rozumiałem o co chodzi, gdyż nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, abym mógł

uciekać się do protekcji. General w dalszym ciągu mówił: „Szostak, pan wie, że gdyby nawet pan mniej pracował, to znaleźliby się tacy, którzy by pana popierali i dlatego cieszę się, że pański dyplom jest uczciwie zapracowany". Dopiero po pewnym czasie zdałem sobie sprawę o co chodziło. Rok przede mną był w szkole adiutant Prezydenta major Kazimierz Jurgielewicz, noszący barwy naszego pułku. Ten jakoby nic się nie uczył i zawsze zastawiał się służbą przy Prezydencie. Również por. Cichocki był przyjęty do szkoły przez protekcję (wylany z pierwszego rocznika). Tę rozmowę powtórzyłem kiedyś Wieniawie i nie omieszkałem wyrazić swego zdania, że protekcja może być bardzo pożyteczna, o ile ułatwia się wartościowym ludziom, ale popieranie miernot, tylko przez dobre serce, przynosi ujmę popierającemu i stratę Państwu. Na zakończenie rozmowy gen. Kutrzeba życzył mi, abym został marszałkiem kawalerii oraz radził, abym zawsze trzymał się swojej broni. Tego trochę nie rozumiałem, czyżby generał miał o mnie opinię, że nie nadaję się do większych spraw, jak kawaleria.

Ogłoszono teraz nasze przydziały po szkole. Tylko ja i ppłk Warzybok zostaliśmy wyznaczeni na stanowiska szefów sztabów dywizji. Przed udaniem się do miejsc przydziałów, mieliśmy odbyć krótkie staże w różnych sztabach. Ja i jeszcze 4 kolegów otrzymaliśmy staż w Oddziale III Sztabu Generalnego. Prócz tego mieliśmy jeszcze wykonać prace dyplomowe, które miały już tylko wpływ na dalszą karierę. Ja wybrałem sobie temat: „Obrona przeciwlotnicza państwa", pracę wykonałem i oddałem w terminie. Poprawiał ją późniejszy generał Stanisław Kopański i uznał za dobrą.

Zaraz po rozdaniu dyplomów z dumą założyliśmy akselbanty[56] i orzełki na kołnierze mundurów, odznaki oficerów dyplomowanych, również na prawą kieszeń odznakę szkolną.

W sztabie 2 Dywizji Kawalerii

Odbyłem staż i skończyłem urlop na jesieni 1933 roku. Jeszcze podczas urlopu płk Karcz, szef Departamentu Kawalerii zaproponował mi wyjazd służbowy do Krakowa, aby dopomóc mu w organizacji wielkiej rewii kawalerii na Błoniach Krakowskich w 250 rocznicę Odsieczy Wiednia. Chętnie się na to zgodziłem, bo ułatwiało mi to obejrzenie nie byle jakiego widowiska. Zobaczyć 12 pułków kawalerii w defiladzie, to było na co patrzeć. Rewia ta miała też znaczenie doświadczalne i ćwiczebne, bo koncentracja pułków pod Krakowem

[56] Akselbant – naramienny sznur ozdobny (przyp. red.).

została przeprowadzona marszem konnym, a nie transportami kolejowymi. Defilada wypadła wspaniale. Pułki defilowały kluczem. Dla każdego pułku grali właśni trębacze. Orkiestry te podjeżdżały galopem i stawały naprzeciw trybuny Marszałka Piłsudskiego. Już sam wygląd orkiestr był piękny. Wszystkie na siwych koniach, okrytymi czaprakami o barwach pułkowych, grały każda własnego marsza. Po zakończonej defiladzie publiczność przerwała wszelkie kordony i wysypała się na Błonia wiwatując na cześć Marszałka. Byłem również na obiedzie w kasynie garnizonowym, podczas którego Marszałek i Prezydent, obaj w świetnych humorach, egzaminowali Karcza, czy po barwach proporców potrafi podać numer i nazwę pułku. Jednak Karcz pamiętał barwy 40 pułków. Wieczorem byłem na pięknym raucie na Wawelu. Kraków przez okres kilku dni przed rewią oszalał. Wpuszczenie do tego cichego miasta oficerów z 12 pułków kawalerii zrobiło swoje. Kraków szumiał. Lokale były pełne i wyjątkowo wesołe.

Zameldowałem się wreszcie w moim miejscu przydziału. Teraz gen. Wieniawa powiedział, ile miał trudności z wydarciem mnie szkole, ale jakoś wszystko zostało przezwyciężone. Stary szef sztabu, major dypl. Chwalibogowski jeszcze urzędował, ale wkrótce odszedł, przekazując mi bardzo pobieżnie swoje funkcje. Początkowo byłem trochę oszołomiony, gdyż tego, czego uczyłem się w szkole nie miało zastosowania w życiu pokojowym. Roboty bieżącej nie było dużo, więc powoli, a dokładnie zaznajamiałem się z nowymi obowiązkami.

Któregoś dnia zawołał mnie gen. Wieniawa i zażądał, abym mu podał któregoś z kolegów, z mego rocznika, jako kandydata na I oficera sztabu. Nie pamiętam, kogo podałem, lecz na pewno nie Jastrzębskiego. Po paru dniach dowiaduję się od generała, że on najchętniej wziąłby rtm. dypl. Jastrzębskiego. Zaprotestowałem. Generał pyta, dlaczego. Melduję, że bardzo dobrze żyłem właśnie z Jankiem, ale jako podwładnego nie chcę go mieć. Ma bardzo trudny charakter, szybko i nie licząc się ze słowami potrafi wyrazić krytykę, nie zawsze opartą na mocnych podstawach. Mimo tego generał upodobał sobie Janka, a mnie tylko tyle powiedział, że na pewno dam sobie z nim radę.

Janek został przydzielony do sztabu, na wstępie, gdy się zameldował, szczerze mu powiedziałem, że protestowałem i nie chciałem, aby przyszedł do sztabu, bo choć żyliśmy zawsze dobrze, ale obawiam się, że nasze służbowe stosunki mogą popsuć koleżeńskie, a tego nie chciałbym.

Spięcie nastąpiło w krótkim czasie. Dostaliśmy rozkaz przeprowadzenia w dywizji ćwiczenia aplikacyjnego na mapie dla oficerów sztabowych. Został narzucony temat i teren. Zrobiłem więc założenie do tego ćwiczenia i zanim go przedstawiłem generałowi, dałem Jastrzębskiemu do przeczytania. Janek odniósł mi je i krótko oświadczył: idiotyczne. Choć byłem wściekły na niego,

powiedziałem tylko służbowo: „Pan rotmistrz przyniesie mi na jutro opracowane inne założenie w tym samym terenie i na ten temat". Janek wyszedł i na drugi dzień przyszedł, aby zameldować, że nie widzi możliwości w tym terenie i na ten temat ułożenia innego założenia. Wtedy powiedziałem mu parę słów do słuchu, aby nie wykorzystywał koleżeńskich stosunków między nami, bo inny szef sztabu za takie powiedzenie wykończyłby go w opinii. Od tego czasu już pracowaliśmy jak najlepiej i w zupełnej harmonii.

Przygotowaliśmy ćwiczenie najdokładniej w świecie, bo mieliśmy ambicję, aby nowy sztab pokazał, że zna się na rzeczy. Omówiłem z generałem przebieg ćwiczenia i mam wrażenie, że Wieniawa był zadowolony i zobaczył jaką wartość może mieć uczciwy sztab. Ćwiczenie odbyło się w styczniu 1934 roku, w obecności aż trzech generałów inspektorów armii: gen. Orlicz-Dreszera, gen. Osińskiego i gen. Kutrzeby. Po ćwiczeniu i po omówieniu przez gen. Wieniawę, zabierali głos inspektorzy. Jedynie gen. Dreszer miał różne zastrzeżenia, podsunięte głównie przez ppłk. Lenczowskiego, a zwanego w wojsku „Taschenmoltke", I oficera jego sztabu. Natomiast gen. Kutrzeba zawołał mnie i Jastrzębskiego i wyraził nam swoje uznanie za dobrze przygotowane ćwiczenie. To nam dało dużą satysfakcję, gdyż gen. Kutrzebę zawsze uważaliśmy za najbardziej wykształconego generała i na jego opinii najwięcej nam zależało.

Po omówieniu, podczas kolacji, zatelefonował z Belwederu ppłk Busler, adiutant Marszałka z wiadomością, że wyszedł dziennik personalny, w którym jest podany mój awans na podpułkownika. Po chwili dostałem telefon z domu z zapytaniem, czy można wydać moje mundury, bo przysłał po nie krawiec Rychter, aby dohaftować drugą gwiazdkę. Ten cwaniak już dowiedział się, kto awansował z jego klientów.

W marcu miała się odbyć w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych wielka gra wojenna, w której gen. Wieniawa miał dowodzić korpusem kawalerii wzmocnionym dywizją pancerną. Ja byłem wyznaczony na szefa sztabu korpusu, a dywizją pancerną miał dowodzić płk dypl. Rowecki. Byliśmy korpusem niemieckim, który miał przeprowadzić uderzenie z Dolnego Śląska na Łódź. A więc już w 1934 roku była rozpatrywana taka możliwość, która w 1939 roku w nieco zmienionej formie i znacznie większymi siłami urzeczywistniła się.

W lutym generał pojechał do Zakopanego na narty. W tym czasie nadeszła jakaś zmiana w założeniu i zażądano od generała zmiany jakiejś decyzji. Janek namówił mnie, abym pojechał do Zakopanego rozmówić się osobiście z generałem. Byłem więc kilka dni, bo generał zatrzymał mnie, aby pobawić się wesoło.

Gra wojenna w GISZ pozwoliła na zgranie się dowódcy z jego szefem sztabu, co już do końca naszej wspólnej służby pozostało i dawało najlepsze rezultaty. Gdy rozdano pierwsze założenia i polecono przedstawić rozkazy,

omówiliśmy z generałem zadanie i położenie, z których wypłynęła decyzja. Wtedy generał zwrócił się do mnie: „No Duduś, piszemy rozkaz". A ja na to: „Nie panie generale, nie piszemy, tylko ja piszę. Przedstawię panu generałowi jego decyzję na piśmie i jeżeli uzna pan, że jest ona dobrze sformułowana, podpisze pan, a rozkaz to ja sam napiszę i przedstawię do podpisu. Jeżeli będzie zły, poprawię według wskazówek pana generała". Wieniawa najpierw miał trochę zaskoczona minę, lecz jako mądry człowiek, od razu zrozumiał, że musi być podział obowiązków i akceptował moje podejście, które zresztą było zgodne z obowiązującymi przepisami o funkcjonowaniu sztabów. Podpisał więc sformułowane przeze mnie decyzje i namówiłem go, aby poszedł sobie do bufetu. Gdy wychodził, odezwały się głosy innych generałów: „Bolek, ty nie piszesz rozkazu?". Na to Wieniawa: „W moim sztabie szef sztabu pisze rozkaz w myśl mojej decyzji". Rozkaz był napisany w terminie i bez poprawek oddany do kierownictwa. W toku rozgrywek gen. Zając, który był dowódcą armii powziął, moim zdaniem, błędną decyzję. Zameldowałem o tym Wieniawie i prosiłem, aby wpłynął na zmiany, w odniesieniu do naszego korpusu. Wieniawa kazał mnie rozmawiać z gen. Zającem. Niestety nie dał się przekonać. Na omówieniu właśnie to mu wytknięto, jako główny błąd. Miałem pełną satysfakcję.

Podczas letniej koncentracji miały się odbyć zawody międzypułkowe o „Buńczuk". Regulamin, który dotychczas obowiązywał w dywizji, a ułożony chyba przez Treptę, jako szefa sztabu, a nie zmieniany przy Chwalibogowskim, przewidywał, że każdy pułk wystawia jeden szwadron do zawodów. Ponieważ ludzie są ułomni i każdy dowódca chce wobec przełożonego wyglądać jak najlepiej, wytworzyło to niezdrowe i szkodliwe podejście do zagadnień wyszkolenia. Pułki wybierały najlepszych ludzi i najlepsze konie do jednego szwadronu i ten był intensywnie szkolony, gdy inne szwadrony mogły być spokojnie zaniedbywane. Taki system nie dawał absolutnie pewności, że zdobywca buńczuka jest najlepiej wyszkolonym pułkiem. Przedstawiłem moje obiekcje generałowi i zaproponowałem, że opracuję nowy regulamin oparty na innych zasadach. Generał zgodził się rozpatrzyć moje propozycje. Mój regulamin był oparty na zasadzie, że w rozgrywkach biorą udział wszystkie pododdziały pułku, a ich dowódcy losują, w jakiej konkurencji dany szwadron weźmie udział. Ponieważ dowódcy nie wiedzieli, co im los przyniesie, musieli szkolić jednakowo gorliwie tak np. wyszkolenie strzeleckie, jak władanie bronią czy służbę polową. Dopiero suma punktów osiągnięta przez wszystkie pododdziały, ze wszystkich konkurencji była brana w rachubę. Tego rodzaju warunki zmuszały do podciągnięcia całego pułku, a nie jednego wybranego szwadronu. Po przedstawieniu mego projektu, generał rozpatrzył go i omówił pewne szczegóły oraz zatwierdził. Rozesłaliśmy nowe warunki pułkom, a jeden egzemplarz posłałem do

Ministerstwa Spraw Wojskowych do Departamentu Kawalerii. Projekt uzyskał uznanie i nawet stał się obowiązującym dla całej kawalerii.

Przed koncentracją letnią zatelefonował kiedyś do mnie Karcz i oświadczył mi, że na naszą dywizję spadnie w tym roku obowiązek przeprowadzenia ćwiczeń doświadczalnych. Z dywizji ma być zorganizowana brygada o pełnym składzie wojennym, z pełnym sztabem i wszystkimi służbami. Będę mógł sobie dobrać jakich zechcę oficerów do sztabu, byle ćwiczenie się udało. Dwukrotnie przeprowadzane tego rodzaju doświadczenia nie dały pozytywnego rezultatu i jeżeli i u nas nie udadzą się, to trzeba będzie pomyśleć o ewentualnej zmianie całego systemu zaopatrywania. Poprosiłem Karcza, aby przesłał mi sprawozdania z poprzednich nieudanych ćwiczeń. Chciałem dociec, co było powodem niepowodzeń. Karcz przysłał mi dwa sprawozdania. Po przestudiowaniu ich zrozumiałem, gdzie pies był zagrzebany. Cały błąd polegał na złym funkcjonowaniu dowództwa. Nie było ścisłego podziału kompetencji. Dowódca nie dowierzał szefowi sztabu i kwatermistrzowi (gen. Kmicic-Skrzyński) i sam wydawał rozkazy. Szef sztabu ze swej strony wchodził w kompetencje kwatermistrza i też wprowadzał bałagan. Rezultat tego nieumiejętnego podziału funkcji doprowadził, że wojsko nie miało prowiantu ani amunicji, a tabory błąkały się po lasach.

Zameldowałem o rozmowie z Karczem gen. Wieniawie i dałem mu do przeczytania oba sprawozdania. Zaproponowałem, aby kwatermistrzem na tych ćwiczeniach zrobić rtm. dypl. Jastrzębskiego. Wieniawa zgodził się bez zastrzeżeń. Omówiliśmy więc najdokładniej podział kompetencji z tym, że pod grozą kompromitacji, nie wolno było wchodzić w nie swoje kompetencje. Wieniawa wykazał pełne zrozumienie takich konieczności i zapewnił, że nie ma zamiaru popełniać błędów swoich poprzedników w takich ćwiczeniach, zwłaszcza że ma pełne zaufanie do swego sztabu.

Na koncentrację wyruszyliśmy w pierwszych dniach sierpnia, początkowo w rejon Płońska. Tu przeprowadziliśmy ćwiczenia razem z saperami z Modlina. W rejonie Wyszogrodu ćwiczyliśmy przeprawę przez Wisłę po zbudowanym w ciągu nocy przez saperów moście pontonowym. Po tych ćwiczeniach pomaszerowaliśmy w rejon Kutna, gdyż tu mieliśmy odbyć dnia 15 sierpnia święto żołnierza. Dzień ten rozpoczęliśmy mszą polową, a następnie piękną defiladą 6 pułków kawalerii i dwóch dywizjonów artylerii konnej. Defilada odbyła się galopem, co na pewno bardzo efektownie wyglądało, a już artyleria konna wywołała chyba największe zachwyty. Po południu zostały zorganizowane zawody konne, a wieczorem społeczeństwo kutnowskie urządziło bal. Na balu tym byliśmy, niestety, tylko w polowych mundurach i w długich butach, bo na koncentrację wyszliśmy jak na wojnę, nie zabierając szaserów i lakierków.

Na bal generał przyszedł wraz ze mną nieco później, na nasze powitanie podszedł jeden ze starszych ziemian okolicznych, przedstawił się i zaprosił do stołu, przy którym było zgromadzone większe towarzystwo. Po przedstawieniu się i przywitaniu, któryś z ziemian zwrócił się do Wieniawy z zaznaczeniem, że przy stole są sami endecy. Na to Wieniawa, z właściwym sobie humorem, odpalił: „A to świetnie się składa, bo ja też jestem endek z I Brygady". Powiedzenie to wprowadziło od razu dobry i wesoły nastrój, a ponieważ generał w towarzystwie był czarującym człowiekiem, od razu lody pękły. Trzeba zaznaczyć, że ziemiaństwo kutnowskie nie było w dobrych stosunkach z 37 pułkiem piechoty stacjonującym w Kutnie, a to zawdzięczając – z jednej strony – małemu taktowi dowódcy tego pułku, z drugiej – nastawieniu endeckiego społeczeństwa. Nawet po naszym przyjściu do Kutna, Wieniawa dostał list od tego pułkownika, który prosił, aby nie nawiązywać żadnych stosunków z tamtejszym, nieprzychylnym społeczeństwem. Wieniawa nie zgadzał się z tym podejściem i właśnie uważał, że stosunki trzeba uregulować. Wydaje się, że społeczeństwo kutnowskie, chcąc podkreślić, że ich nieprzychylny stosunek nie dotyczy wojska, a raczej wyłącznie garnizonu, a nawet ściślej tylko dowódcy pułku, starało się specjalnie okazać nam serce i sympatię. Nie chciano brać pieniędzy za siano dla koni i czyniono inne grzeczności. Widać było, że Wieniawa przypadł wszystkim bardzo do gustu. Jeden z najbogatszych ziemian i główna osoba wśród endeków, zaprosił nas

2 sierpnia 1934. Stoją m.in.: gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski (ósmy z lewej), gen. Tadeusz Kasprzycki (dziewiąty z lewej) i płk Józef Szostak (dziesiąty z lewej).

na drugi dzień po balu na kolację do swego majątku. O ile pamiętam nazywał się Jasiukiewicz. Ponieważ na drugi dzień mieliśmy nocne ćwiczenia, Wieniawa przyjął zaproszenie. Wiedziałem, że podczas kolacji możemy być wciągani w rozmowy polityczne, umówiłem się z mymi oficerami sztabu, że o polityce może sobie rozmawiać generał, ale my będziemy zbywać te rozmowy żartami. Nie naszą rzeczą żołnierską jest mieszanie się do polityki.

Na drugi dzień po balu, punktualnie o oznaczonej godzinie podjechaliśmy pod dwór. Na ganku oczekiwał nas gospodarz domu. Dwór był elegancki i mógł pretendować nawet do pałacu. Kolacja była też odpowiednio wytworna. Szybko zorientowano się, że nie mamy zamiaru rozmawiać na tematy polityczne i jeżeli chodzi o mnie, raz tylko jakiś młody człowiek podchodząc z butelkami, zapytał, czy wolę wódkę, czy endecki koniak? Nie pamiętam, co odpowiedziałem.

Z rejonu Kutna pomaszerowaliśmy przez Kłodawę w rejon Koła. W Kole sztab stał parę dni i została przeprowadzona reorganizacja do ćwiczeń doświadczalnych. Ćwiczenia miały być dwustronne. Nasza ćwiczebna brygada była w pełnym wojennym składzie, a z przeciwnej strony miała być brygada wielkopolska, o zwiększonym stanie pokojowym i nie obciążona służbami. Brygadą tą dowodził płk dypl. Abraham. Kierownikiem ćwiczenia był gen. Dreszer. Zdaje mi się, że podstawą wyjściową dla naszej strony był Konin. Przed samym rozpoczęciem ćwiczeń najechała nas masa obserwatorów, tak z Ministerstwa Spraw Wojskowych, jak ze Sztabu Głównego i nawet Wyższej Szkoły Wojennej. Pamiętam, że zaraz z początku miałem małe spięcie z byłym swoim wykładowcą służby sztabu, z pierwszego rocznika Wyższej Szkoły Wojennej ppłk dypl. Sosabowskim[57]. Ten zaczął mi przeprowadzać egzaminy moich podkomendnych, co sobie wyprosiłem, gdyż odrywał ich od pracy. Bardzo obrażony pobiegł do generała, który posadził go na odpowiednie miejsce, tak że uspokoił się.

Wreszcie rozdano założenie i ćwiczenie rozpoczęło się. Teraz rój obserwatorów czekał, jak szybko wydam pierwszy rozkaz operacyjny. Po zreferowaniu generałowi zadania i położenia, szybko otrzymałem pierwszą decyzję. Mój sztab funkcjonował sprawnie i rozkaz ukazał się szybciej o 20 minut, niż to było przewidziane według normy. Po podpisaniu natychmiast został rozesłany do oddziałów. Oddziały bojowe ruszyły do akcji, służby zajmowały nakazane ugrupowanie. Kwatermistrz otrzymał motocykl do swej dyspozycji i odpowiednie

[57] Stanisław Sosabowski (1892–1967) – gen. bryg., w czasie I wojny w armii austriackiej, po 1920 w Oddziale IV Sztabu Generalnego, we wrześniu 1939 dowódca 21 pp „Dzieci Warszawy", którym doskonale dowodził m.in. na pozycjach obronnych dzielnicy Grochów. W czasie wojny organizator i dowódca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, na czele której uczestniczył w operacji desantowej w rejonie Arnhem-Driel (18–26 IX 1944). Zmarł w Londynie, prochy sprowadzono do Warszawy w 1969.

środki łączności, aby mógł sprawnie kierować służbami, będąc stale zorientowanym w sytuacji taktycznej. Od pierwszego dnia wszystko funkcjonowało normalnie i nie natrafialiśmy na specjalne trudności. Każdy robił swoje i nikt nie wchodził w kompetencje drugiego. Zaopatrzenie funkcjonowało sprawnie.

Drugiego dnia akcji miałem humorystyczne zdarzenie. Jadę samochodem generała do któregoś pułku. Naprzeciw mnie jedzie samochód z proporcem ministra Kasprzyckiego. Widząc, że samochód ten hamuje, kazałem stanąć. Wychodzę z samochodu i idę w kierunku ministerialnego wozu, aby się zameldować. Gen. Kasprzycki stoi już na szosie i czeka na mnie. Melduję się i mam zamiar referować położenie. Raptem pada pytanie: „A dlaczego pan pułkownik jest w nieprzepisowym płaszczu?". Faktycznie byłem w krótkim angielskim płaszczu, kupionym z intendentury za jakąś drobną sumę (może 20 zł), gdyż przepisowy miałem przy siodle. Nie speszyłem się, tylko odpowiadam, że przepisowy mam przy siodle, a ten, który mi sprzedał II wiceminister, jest wygodniejszy do samochodu, a kosztował tylko 20 złotych, oraz myślę, że I wiceminister nie może gniewać się za to, co sprzedał II wiceminister. Kasprzycki zaczął się śmiać i powiada: „A dlaczego mnie takiego płaszcza nie sprzedał?".

Trzeciego dnia ćwiczeń musiałem uspokajać Wieniawę, bo zaczął się niepotrzebnie denerwować. Wydawało mu się, że ambicją Abrahama jest wzięcie do niewoli Wieniawy i jego sztabu. Nasze dowództwo dotychczas pracowało spokojnie, a sztab był dostatecznie ubezpieczany. Mieliśmy stale łączność z oddziałami, przy wzorowym funkcjonowaniu szefa łączności kpt. Zgorzelskiego i szwadronu łączności.

W trzecim i ostatnim dniu ćwiczeń sytuacja bojowa była nieco trudniejsza, ale nie była zła. Nasz odwód miał być zaangażowany. Trzeba pecha, że przyjechał do nas rozjemca gen. Skotnicki i rozpoczął teoretyczne wywody o miejscu dowódcy, na co ja mu powiedziałem, że miejsce dowódcy musi być tam, skąd mu jest najlepiej dowodzić. Niestety generał Wieniawa posłuchał Skotnickiego i siedliśmy na konie udając się do odwodowego pułku. W drodze narwaliśmy się na szarżujący szwadron 15 pułku ułanów, tj. nieprzyjaciela. Dowódca tego szwadronu tylko z szykiem zasalutował szablą generałowi i popędził dalej, a my jak niepyszni wróciliśmy do naszego miejsca postoju.

Podczas omówienia prowadzonego przez gen. Dreszera, gen. Wieniawa otrzymał pochwały i słowa uznania, natomiast Abraham został „schepany" w dziki sposób. Zresztą zupełnie słusznie, bo szalał, chciał być wszędzie osobiście i dowodzić bez sztabu. Nawet kiedyś przyjęliśmy telefon, kiedy szef sztabu pytał, czy ktoś nie wie, gdzie się zapodział dowódca brygady? Nawet latał samolotem. Mimo że wyszliśmy z tych ćwiczeń jak najlepiej, Dreszer nie

omieszkał robić jakiejś przykrej wycieczki pod adresem sztabu, oczywiście kierowanej w mój ogródek.

Po manewrach zaprosił wszystkich oficerów pan Taczanowski do Wilczyna. Przyjęcie było wspaniałe i urżnęliśmy się setnie. I wtedy po raz ostatni rozmawiałem z gen. Dreszerem. Był zalany i całował mnie prosząc, abym nigdy nie dopuścił, by zmieniono datę święta pułkowego 1 pułku szwoleżerów z 10 grudnia na inną datę. Dziwny człowiek, narobił mi dużo krzywdy w życiu, a jednak nie mógł mnie nie szanować, co zawsze wychodziło, gdy był nietrzeźwy. Pamiętam, że kiedyś w kasynie pułkowym na jakiejś zabawie podszedł do niego jeden ze słabszych oficerów pułku, który właził mu bez wazeliny w d... i zaproponował napicie się. Dreszer odwrócił się niegrzecznie i powiedział: „Piję tylko z odważnymi. Chodź Szostak, napić się ze mną!". Dreszer nie znosił ludzi, którzy nie padali przed nim plackiem. Z Wieniawą, choć byli kolegami od 1914 roku, też był w złych stosunkach i dopiero prawie przed śmiercią Dreszera doszli do porozumienia. Nie znosił, że ja zawsze miałem swoje zdanie i nie umiałem bałwochwalczo zachwycać się nim. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, że choć był raczej samoukiem wojskowym, talent dowódczy miał wielki, charakter również, douczył się teoretycznie też wiele, tak że nie słyszałem, aby powiedział coś, nad czym można by postawić znak zapytania, a to niestety zdarzało się naszym niektórym generałom. Myślę, że dodatni wpływ na jego wykształcenie teoretyczne miał „Taschenmoltke".

Po powrocie z koncentracji zaczęło się normalne spokojne życie, roboty było nie za wiele. Rano o 8 jeździłem codziennie z generałem konno na Siekierki lub dalej, zależnie od ochoty. Po spacerze generał szedł na śniadanie i wracał około 10. Załatwialiśmy sprawy służbowe i Wieniawa przeważnie czytał lub coś pisał. Około 1 wyjeżdżał do Ziemiańskiej. Czasem spotykaliśmy się po południu, aby i pójść razem do teatru lub na jakąś imprezę. Lubił mnie i chciał, bym mu towarzyszył. Chętnie przebywałem w jego towarzystwie, bo był nadzwyczajnie ciekawym człowiekiem. O wielkiej szlachetności i bardzo dobrym sercu, bezgranicznie oddany Marszałkowi Piłsudskiemu. Wykształcony wszechstronnie o bystrym umyśle i wielkich zdolnościach. Lubił operować różnymi mądrymi powiedzeniami. Np.: „Kawalerzysta musi mieć gorące serce, lecz zimną głowę", lub: „My, Polacy, mamy serce umieszczone zbyt blisko głowy", albo: „Kawalerzysta może robić głupstwa, ale nie może robić świństw, a dyplomata może robić świństwa, ale nie może robić głupstw".

Kiedyś, podczas przejażdżki konnej, rozmawiając, pozwoliłem sobie na wyrażenie opinii, że niepotrzebnie trzymamy w wojsku kontraktowych oficerów Ukraińców, Wieniawa wtedy dał mi naukę, którą pamiętam do dzisiejszego dnia. Powiedział: „Jest pan oficerem dyplomowanym i nie powinien pan

w kategorycznej formie zabierać głosu na temat, który pan zbyt mało zna. Nie wolno panu sądzić z powierzchownych znajomości zagadnienia". Miał generał stuprocentową rację. Od tego czasu wystrzegam się twierdzeń w sprawach, w których mam wątpliwości, czy znam je dobrze.

W zimie z 1934 na 1935 rok brałem jeszcze raz udział w grze wojennej w GISZ, na stanowisku szefa sztabu grupy operacyjnej, której dowódcą był gen. Wieniawa. Gra ta była poświęcona zagadnieniom kwatermistrzostwa. Na grze, tytułem próby, wprowadzono nowy system, który zresztą nie zdał egzaminu, a polegający na tym, że kwatermistrz podlegał bezpośrednio dowódcy. W tym wypadku koordynatorem był sam dowódca, a nie szef sztabu. W naszej grupie operacyjnej kwatermistrzem był jakiś pułkownik dyplomowany, zastępca dowódcy Okręgu Korpusu Łódź. Był on stopniem starszy ode mnie i jakkolwiek sprawy operacyjne należały do mnie, ciągle chciał nałamywać sprawy operacyjne do wygód kwatermistrzostwa. Chciał, aby nos był dla tabakiery, nie tabakiera dla nosa. Biedny Wieniawa był ciągle między młotem i kowadłem, bo rozumiał, że mam rację stawiając na pierwszym planie działania operacyjne, a nieprzyjemnie mu było odmawiać słuszności starszemu stopniem oficerowi. Kierownikiem gry miał być gen. dyw. Konarzewski, który jednakże, chyba dyplomatycznie, zachorował i grę prowadził gen. Sławoj-Składkowski. Po grze gen. Składkowski miał piękne omówienie. Mówił nie tylko mądrze, ile tak ładnie, że zdarzył się niebywały w wojsku wypadek, generałowi bito brawo.

Wczesną wiosną 1935 roku zakomunikował mi gen. Wieniawa, że muszę odejść z dotychczasowego stanowiska. Jako podpułkownik muszę odbyć staż zastępcy dowódcy pułku. Z przykrością myślałem o odejściu, Wieniawa był przełożonym, którego najwięcej szanowałem, ze wszystkich jakich miałem i najwięcej lubiłem. Gdyby nie szalony temperament, któremu dawał często ujście w kieliszku, można by zaliczyć go do najtęższych głów w wojsku. Kryształowo uczciwy i honorowy często podchodził do ludzi ze zbyt wielką ufnością. Był poetą i do wojska, zwłaszcza kawalerii, którą gorąco kochał, podchodził czasem jak poeta. Starałem się wtedy sprowadzać go z nieba na ziemię. Nie chcę być zarozumiały, ale wydaje mi się, że byliśmy wyjątkowo dobrze dobraną parą, Wieniawa jako dowódca, a ja jego szef sztabu. Lecz dobrym szefem sztabu mogłem być tylko przy nim. Aby być lojalnym, muszę mojego przełożonego szanować, w innym wypadku albo nie mogę go słuchać, albo narzucam mu swą wolę. Przy Wieniawie mogłem być zupełnie lojalnym.

Wieniawa był niezwykle wesołym i dowcipnym człowiekiem. Robił często różne kawały, ale tylko prywatnie. Na służbie był poważny i miał wielką zaletę umiejętności uważnego wysłuchania każdego referatu i rzeczowego wydania opinii lub decyzji. Na sprawy służbowe miał zawsze czas i załatwiał je bardzo

solidnie. Był absolutnie idealnym przełożonym. Niestety te wielkie zalety Wieniawy znane były w wojsku i to wśród ludzi, którzy mieli z nim bezpośrednią styczność, natomiast wśród społeczeństwa, a nawet wojskowych, którzy znali go z widzenia lub prywatnie, sądy były powierzchowne i często fałszywie krzywdzące. Dużo kawałów krążyło po Warszawie na temat Wieniawy. Wiele z nich było zmyślonych lub rozmyślnie złośliwie rozpuszczanych. Ogólnie wiadomym było, że Wieniawę lubi i ceni Marszałek Piłsudski, a więc, aby uderzyć w Marszałka pośrednio, rozpuszczało się różne kłamstwa o Wieniawie. Miało to dowodzić jakimi ludźmi otacza się Marszałek. Puszczano np. opowiadanie, że 1 pułk szwoleżerów opłaca naukę jego córki, gdyż jest tak zadłużony, iż nie stać go na kształcenie własnego dziecka. Oczywiście tego rodzaju kłamstwa trafiały do uszu nieżyczliwych ludzi.

Były rozpuszczane rozmyślnie. Mówiono, że „Adria" umorzyła długi Wieniawy, bo nie jest w stanie ich zapłacić. Wszystko ohydne kłamstwa! Dobrze znałem Wieniawę, nie tylko służbowo, ale i prywatnie, abym nie wiedział o jego grzechach. Zewnętrznie wyglądał na rozrzutnego. Faktycznie, jeżeli gdzieś się pojawił, płacił raczej dużo i to ludzie widzieli, bo był bardzo popularną osobą. Lecz nikt nie widział, że nieraz po kilka tygodni nie pokazywał się na mieście. Nikt również nie wiedział lub nie chciał wiedzieć, skąd miał pieniądze. Nieliczni tylko wiedzieli, że dorabiał sobie takimi pracami, jak tłumaczeniem z francuskiego książek lub pisaniem scenariuszy filmowych, nie mówiąc o odczytach. Wtedy, gdy zarobił parę tysięcy, potrafił dać orkiestrze 100 złotych lub zapłacić grubszy rachunek, Nigdy nie korzystał ze swych stosunków, aby robić majątek. Wiem, że proponowano mu kupno jakiegoś majątku poniemieckiego, obiecując dogodną pożyczkę – kategorycznie odmówił, Nie brał również pożyczek na swój mająteczek pod Nowym Sączem, a przecież na pewno mógł.

Ci, którzy znali dobrze Wieniawę i ci, którzy nie dawali wiary w głupie plotki, lubili go nadzwyczaj i pojawienie się jego było przyjmowane z entuzjazmem, bo w towarzystwie był wprost uroczy. Miał wspaniałe powiedzonka. Gdy został mianowany generałem, awanse wyszły przed Nowym Rokiem, tak że nie mógł jeszcze założyć odznak generalskich na uroczyste składanie życzeń noworocznych Prezydentowi. Na Zamku zaczepia go któryś z generałów i pyta: „A cóż to pan generał jeszcze z pułkownikowską czapką?". Na to Wieniawa: „Bo trzeba mieć głowę generalską, a nie tylko czapkę". W Nowy Rok 1934 zrobił mi niezły kawał. Mieliśmy na 11 godzinę jechać do Zamku. Przychodzę więc do jego mieszkania w Pałacu Myśliwieckim i widzę, że jeszcze po Sylwestrze jest nieco pod gazem, ale nic – jedziemy. Po oficjalnym złożeniu życzeń Prezydentowi podchodzę do Wieniawy, aby odmeldować się i przypomnieć mu, że jest zaproszony do Prezydenta na śniadanie. Wieniawa jednak zatrzymuje

mnie i twierdzi, że muszę z nim iść również. Tłumaczę mu, że to jest niemożliwe, gdyż nie jestem proszony, ale on upiera się i grozi, że sam nie pójdzie. Na pewno jakoś gładko wykręciłbym się, ale traf chciał, że podszedł do nas płk Głogowski, adiutant generalny Prezydenta, który przypomina również generałowi o śniadaniu. Na to Wieniawa: „Słuchaj Jack! powiedz Prezydentowi, że jak nie zaprosi Dudusia na śniadanie, to ja też nie przyjdę". Głogowski bierze to na serio, znika i po paru minutach podchodzi do mnie z oficjalną miną, aby mi zakomunikować, że pan Prezydent prosi mnie na śniadanie. Co robić? Musiałem być. Czułem się nieco głupio, bo na śniadaniu byli sami ministrowie, z generałów tylko Dreszer i Wieniawa, a z niewiast tylko żony adiutantów. Muszę im oddać sprawiedliwość, że prócz pani Głogowskiej, zachowały się wobec mnie nader głupio. Znałem je dawno, lecz one zadzierały nosa i patrzyły pytającym wzrokiem, skąd ten intruz znalazł się w tym towarzystwie. Siedziałem oczywiście przy końcu stołu między szefem protokołu dyplomatycznego Romerem, a jego zastępcą Łubieńskim.

Na Nowy Rok 1935 znów nowy kawał. Jak poprzednio przychodzę po Wieniawę do pałacu i zastaję go nie ubranym. Proponuję, aby zrezygnował z jazdy do Zamku, bo możemy się spóźnić. Jest pod rauszem i na gwałt zaczyna się golić. Pomagam mu i przypinam do munduru liczne ordery i wreszcie wypadamy do auta. Rzucam za nim płaszcz, bo jest tylko w mundurze. Jedziemy. Przyjeżdżamy do Zamku na ostatni moment, idąc do wielkiej sali, w której oczekują przedstawiciele wojska, przechodzimy przez sale, gdzie jest zgromadzony Rząd. Wieniawa zatrzymuje się, składa elegancki ukłon, podnosi rękę do czoła, jakby zasłaniał się od słońca i nagle mówi : „A, mężowie stanu, myślałem, że niżej stanu". Jedni witają go ze śmiechem i serdecznie, lecz widać i oburzone miny. Wchodzimy do wielkiej sali. Szeregiem stoją generałowie i starsi oficerowie. Na przodzie stoi I wiceminister, gen. Kasprzycki. Wieniawa staje na baczność i mówi: „Przepraszam pana generała, że się trochę spóźniłem, ale mój szef sztabu nieco się zalał na Sylwestra i musiałem mu pomagać ubierać się". Wszyscy w śmiech, bo wiedzieli, że było odwrotnie. Gen. Kasprzycki roześmiał się, a my zajęliśmy, w ostatniej chwili, nasze miejsce. Przez Wieniawę i mnie wielu ludzi znało w wojsku i uważało nas za dobraną parę. Wieniawa często mawiał:

– Duduś, żebym nie ja, to pan byłby największym draniem w wojsku.

– Tak – odpowiadałem – ale pan generał w to sam nie wierzy!

Teraz, gdy miałem odejść ze sztabu, postawiłem sprawę ostro. Powiedziałem Wieniawie, że musi przeprowadzić, abym zastępcą został w 1 pułku szwoleżerów. „Wiem – powiedziałem – że teraz jest tam Trepto, ale ja mam większe prawo do pułku niż on. Niech pan generał wpakuje Treptę choćby na szefa sztabu DOK Warszawa, bo tam wakuje miejsce, a mnie do szwoleżerów". Tak się też stało.

Zastępca dowódcy pułku

W marcu 1935 roku zdjąłem akselbanty i zostałem zastępcą dowódcy 1 pułku szwoleżerów. Wprawdzie czułem się, jakbym był nieco zdegradowany, bo z szefem sztabu więcej się liczono niż z zastępcą, ale to było konieczne. Pocieszeniem było zwiększenie poborów o 50 złotych, gdyż dowódca 1 pułku szwoleżerów pełnił teoretycznie funkcję dowódcy I Brygady Kawalerii i otrzymywał automatycznie dodatek służbowy brygadiera, a zastępca natomiast dodatek dowódcy pułku.

Gdy odchodziłem ze sztabu dywizji obsada personalna była następująca:

- Dowódca dywizji – gen. bryg. dr Bolesław Wieniawa Długoszowski,
- Szef sztabu – ppłk dypl. Józef Szostak,
- I oficer sztabu – rtm. dypl. Jan Jastrzębski,
- II oficer sztabu – rtm. Oskar Berenson,
- Kierownik kancelarii – chor. Budziński,
- Dowódca I brygady – vacat (wz. płk dypl. Antoni Trzaska-Durski),
- 1 pułk szwoleżerów J.P. – jak wyżej,
- 1 pułk strzelców konnych – płk Adam Zakrzewski,
- 12 Brygada – płk Piotr Skuratowicz,
- oficer sztabu – rtm. dypl. Antoni Malinowski,
- 5 pułk ułanów – ppłk Stefan Chomicz,
- 7 pułk ułanów – płk dypl. Juliusz Filipowicz,
- 13 Brygada – płk inż. Zygmunt Podhorski,
- 4 pułk strzelców konnych – płk Mikołaj Więckowski,
- 11 pułk ułanów – płk Stanisław Klepacz,
- 1 Dywizjon Artylerii Konnej – ppłk dypl. Stefan Czerwiński,
- 12 Dywizjon Artylerii Konnej – ppłk Stachowicz,
- Szwadron pionierów – rtm. Zdanowicz,
- Szwadron łączności – kpt. Barcikowski.

Wydaje mi się, że płk Durski rad był z mego przyjścia do pułku, gdyż wiedział, co umiem i co mogę. Złożył więc na moje barki faktyczne dowodzenie pułkiem, pozostawiając sobie drobiazgi czysto zewnętrzne, które go najbardziej interesowały. Zasadniczo z Durskim byłem w dobrych stosunkach, ale jakby nieszczerych. Choć niewątpliwie szanował mnie i wypadało mu liczyć się ze mną, to jednak wątpię, aby mnie lubił. Czuł, że więcej umiem od niego i lepiej znam się na kawalerii, co nie było dla niego przyjemne. Miał jedną wielką zaletę – nie przeszkadzał mi w pracy i pozostawiał dużo swobody działania. Gdybym

zmienił, bez jego wiedzy, dowódcę szwadronu, pewno nie miałby pretensji, ale gdybym ośmielił się kazać przewiesić jakiś szyld z lewej strony na prawą, tego nie darowałby. Już taki był. W moim pojęciu był słabym oficerem, zwłaszcza jako dyplomowany. Lubował się w zewnętrznych formach i te go interesowały. Jemu pułk zawdzięczał gustowne urządzenie kasyna oficerskiego i na tym znał się znacznie lepiej ode mnie. Szkoleniem oficerów nie zajmował się zupełnie, choć to należało do jego obowiązków, jako dowódcy, a zawsze tak umiał jakoś pokręcić, abym ja musiał to robić za niego. Raportów karnych z reguły nie załatwiał i zawsze znalazł jakiś powód, aby właśnie w tym czasie musiał pojechać do miasta. Oczywiście był dobry, bo nikogo nie ukarał, a ukarać musiał jego srogi zastępca. Choć nie szanowałem go jako przełożonego, ale kochając pułk, ze skóry wychodziłem, aby wszystko szło jak najlepiej, choć laury zbierał Durski.

Lata, kiedy byłem zastępcą w pułku, były latami smutku. W 1935 roku zmarł Marszałek Piłsudski, szef naszego pułku. W 1936 roku zginął tragicznie gen. Dreszer, pierwszy dowódca szwoleżerów.

Śmierć Marszałka nastąpiła w dniu 12 maja, w dzień święta pułkowego 1 pułku strzelców konnych. Byłem wydelegowany, wraz z rtm. Motzem i rtm. Sołtanem na to święto. Pojechaliśmy samochodem do Garwolina, zabrani przez gen. Wieniawę. Po obiedzie żołnierskim generał odjechał, polecając nam pozostać. Na odjezdnym szepnął nam, że stan zdrowia Marszałka jest zły i dlatego woli wcześniej być w Warszawie. Wieczorem odbywał się bal w kasynie oficerskim. Pamiętam, że tańczyłem walca z panną Kucińską, jedną z uczestniczek dzisiejszych zawodów konnych, gdy podszedł do mnie oficer inspekcyjny pułku, przeprosił moją danserkę oraz zakomunikował o wezwaniu mnie do telefonu z Warszawy. Posadziłem Zosię i pobiegłem do budki telefonicznej. Dzwonił Durski i zmienionym głosem, wydał rozkaz natychmiastowego powrotu do Warszawy. Poprosiłem płk. Zakrzewskiego o odesłanie nas samochodem do Warszawy. Już po północy byliśmy w pułku. Zastaliśmy wszystkich oficerów w kasynie, gdzie zakomunikowano nam o śmierci Marszałka.

Dziś wątpię, aby ktoś zrozumiał, jakim to było ciosem dla nas. Marszałek był przez nas, szwoleżerów, nie tylko szanowanym i czczonym, ale kochanym. Wydawało się nam, że słońce przestanie świecić, gdy go nie stanie! Wśród wszystkich w pułku, zaczynając od najstarszych oficerów, przez podoficerów, szwoleżerów oraz rodzin pułkowych zapanowało dziwne przygnębienie i smutek. Ludzie formalnie płakali, myśląc o śmierci tego największego Polaka ostatniej epoki.

Na zebraniu oficerskim, wszystkich noszących mundur szwoleżerski, zapadła uchwała, że na znak żałoby po szefie pułku, będziemy nosili czarny sznurek

wokół lewego naramiennika. Odznaka ta została później zatwierdzona przez Ministra Spraw Wojskowych.

Podczas wyprowadzenia trumny Marszałka z Belwederu asystował nasz jeden szwadron, który składał się z samych podoficerów. Szwadronem dowodził sam dowódca pułku, a na plutonowych byli rotmistrze, dowódcy szwadronów. W poczcie sztandarowym byli ci sami oficerowie, którzy byli podczas dekoracji sztandaru orderem Virtuti Militari, tj. ja i major Dziadulski. Na pogrzeb do Krakowa też pojechał jeden nasz szwadron, a ja osobiście prowadziłem 40 pocztów sztandarowych wszystkich pułków kawalerii.

Żałoba po Marszałku trwała w wojsku 6 tygodni, po czym znów rozpoczęło się normalne życie. Znów rozległy się dźwięki trąbek sygnałowych w koszarach i oddziały śpiewały wracając z ćwiczeń.

Po przyjściu na stanowisko zastępcy wziąłem się solidnie do roboty. Najpierw podciągnąłem dyscyplinę. Przyuczyłem do punktualności. Na początku mego urzędowania wyznaczyłem zbiórkę pułku do wymarszu na ćwiczenia polowe, lecz mimo szczegółowego rozkazu pisemnego szwadrony nieco pospóźniały

Garwolin, 1935. Siedzą: ppłk Józef Szostak (drugi z lewej), płk Adam Zakrzewski (trzeci z lewej), gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski (czwarty z lewej), gen. Gustaw Orlicz-Dreszer (piąty z lewej).

się. Byłem wściekły, ale nic nie powiedziałem. Przyszliśmy do Piaseczna, wtedy zebrałem wszystkich oficerów w osobnym pokoju w knajpie i wypaliłem im taką reprymendę, że zrozumieli, o co chodzi. Od tego czasu nie było nigdy najmniejszych opóźnień. Po tym kazaniu kazałem podać wódkę i oświadczyłem, że jako kolega chętnie się ze wszystkimi napiję, ale służbowo nigdy nikomu nie przepuszczę uchybień. Byłem ze wszystkimi oficerami na ty, to znaczy, że według ówczesnych zwyczajów, ja im mówiłem prywatnie ty, a oni do mnie panie pułkowniku i tylko starsi koledzy, z którymi byłem mocno zżyty, prywatnie mi tykali. Jednak panował taki zwyczaj, że jeżeli zwracałem się do któregoś oficerów per pan, ten stawał na baczność, gdyż wiedział, iż chodzi o sprawy służbowe, bo podczas służby nigdy nie tykałem. To rozgraniczenie spraw służbowych od prywatnych miało wielkie znaczenie. Jeżeli ktoś był skarcony lub ukarany służbowo, nigdy prywatnie nie mógł być obrażony.

Ponieważ ja odbierałem raporty karne, zaprowadziłem taki zwyczaj, że przed przyprowadzeniem do raportu delikwenta, dowódca szwadronu musiał mi zreferować oskarżenie. Jeżeli sprawa była stosunkowo mało ważna, polecałem, aby go ukarano w zakresie kompetencji szwadronu, gdyż przy raporcie pułkowym nikt nie powinien otrzymać niższej kary od takiej, jaką może nałożyć bezpośredni dowódca. A jednak raz miałem taki wypadek, że przy raporcie pułkowym nie ukarałem wcale. Po świętach Bożego Narodzenia rtm. Sołtan przedstawia do raportu karnego młodego szwoleżera za samowolne opuszczenie koszar na kilka dni. Melduje się do raportu szwoleżer jak malowany. Pytam go, czym jest w cywilu? „Kryminalista" – odpowiada. Myślałem, że sobie żarty robi, więc ostro na niego wsiadłem. „Co to znaczy kryminalista?" – pytam. Jestem z zawodu złodziejem. To mnie trochę zatkało. „Dlaczego samowolnie oddaliliście się z koszar podczas świąt?" – pytam. „Panie pułkowniku, chciałem być choć raz na święta w domu. Nas, złodziei, policja zawsze przed świętami zamyka i ja już kilka lat nie byłem w święta w domu, a przecież nas, młodszego rocznika na święta nie puszczają, tak jak starszy rocznik, więc uciekłem". Zrozumiałem go. „Więc może się tak umówimy, wy mi dacie uczciwe słowo, że podczas służby wojskowej nie będziecie kradli i wyrzekniecie się swego fachu oraz będziecie dobrym żołnierzem, a ja was nie ukarzę". „Daję uczciwe słowo, że nigdy nie zrobię nic takiego, co by było niedozwolone w wojsku". Odszedł nie ukarany. Pytałem później rtm. Sołtana: „Jak się sprawuje Zamojski?". „Bardzo dobry żołnierz!" – chwalono go.

W czerwcu 1935 roku wyszliśmy na ostre strzelanie bojowe do Podzamcza, pod Maciejowice. Miejsce to wybrał płk Zakrzewski, chcąc dopomóc hr. Zamoyskim przez wynajęcie od nich terenów na poligon. Zakrzewski był niebywałym snobem i lizusem wobec przełożonych, a udającym wielkiego demokratę

wobec podoficerów. Nie spotkałem tak fałszywego człowieka. Gdy byłem szefem sztabu dywizji nadskakiwał mi do obrzydliwości, a gdy wyszedłem do pułku, zmienił się od razu. W Podzamczu przeprowadziliśmy wszystkie przewidziane programem strzelania oraz kilka większych ćwiczeń polowych. Byłem sam z pułkiem, gdyż Durski był chory, zresztą nie kwapił się na taki wyjazd.

Na koncentrację letnią wyszliśmy w rejon Płońska. Tu też odbyły się zawody o buńczuk. Wiedziałem, że pułk nic nie wygra, bo znałem jego stosunkowo niski poziom wyszkolenia. Tak się też stało, ale nie miałem sobie nic do zarzucenia, gdyż przyszedłem zbyt późno, aby dociągnąć braki.

W zimie brałem udział w grze wojennej w Łucku, prowadzonej przez gen. Osińskiego: Gra nie była specjalnie ciekawa. Po zakończeniu jej w województwie odbył się bal, podczas którego mój kuzyn, adwokat Zagórski, przedstawił mnie wojewodzie Józewskiemu. Też nic ciekawego.

W marcu 1936 roku znów byłem powołany na grę wojenną do Krakowa, prowadzoną przez gen. Berbeckiego. Miałem funkcję dowódcy pułku, a ponieważ miałem rękę na temblaku, po wypadku na nartach w lutym, więc nawet byłem zwolniony od pisania. Na grze tej spotkałem płk. Jaklicza. Ostatniego dnia gry trochę wpadłem. W rozmowie z szefem sztabu kierownictwa dowiedziałem się, że w ostatnim dniu dowódcy pułków nie będą już pytani. Będąc pewnym, że będę tylko kibicem podczas gry, trochę się spóźniłem. Wchodzę do kasyna garnizonowego, a na schodach łapie mnie Stefan Czerwiński i mówi, że wołają mnie do kierownictwa. Zimno mi się zrobiło, bo nic nie wiem, jaka jest sytuacja. Stefan idąc ze mną pokazuje mi mapę i pobieżnie informuje mnie. Mam kaca, ale trudno – co będzie, to będzie – idę. Gen. Berbecki zadaje mi pytanie, na które zgaduję odpowiedź. Po kilku pytaniach zwalniają mnie. Odpowiadałem słabo, bawiąc się w ogólniki. Wyszedłem do bufetu z zupełnie złym samopoczuciem. Po chwili wszedł za mną płk Jaklicz. Dowiedziałem się, że jest obecnie szefem Oddziału III Sztabu Generalnego i proponuje mi przejście do niego. Zapytałem tylko, czy po moich dzisiejszych odpowiedziach nie zraził się do moich wartości. Powiedział, że ma dla mnie bardzo ciekawą robotę, ale pogadamy o tym w Warszawie.

W kilka dni po powrocie do Warszawy zawezwał mnie do siebie, ponawiając propozycję. Bardzo mu podziękowałem, ale oświadczyłem, że nie mogę niestety z niej skorzystać. Musiałem mu wyklarować, że względy pułkowe przeszkadzają temu. Przecież sam prosiłem Wieniawę, abym mógł odbywać staż liniowy w swoim pułku, a gdy tylko pojawiła się możliwość opuszczenia go, bez skrupułów mam odejść? Zameldowałem, że będę czuł się dumny, jeżeli kiedyś dostanę się do oddziału operacyjnego, ale teraz muszę odmówić. Jaklicz był zły i nagadał mi, że my szwoleżerowie to się trzymamy jak Żydzi.

Rozstaliśmy się i nie miałem już żadnej nadziei, aby taka propozycja mogła się powtórzyć.

W czerwcu znów byliśmy w Podzamczu, lecz tym razem pojechał Durski. Nudził się biedak jak mops, bo strzelania go nie interesowały. Siadał więc na bryczkę i wyjeżdżał w świat. Wreszcie zainicjował zawody, w których brała udział ludność cywilna obojga płci. To wypadło bardzo dobrze pod względem propagandowym. Choć największą wartość miał fakt, gdy jednemu chłopu piorun zabił krowę na pastwisku, a oficerowie złożyli się i dali mu około 100 złotych na kupno nowej.

Którejś niedzieli, Durski z nudów zaproponował, aby pojechać ciężarówką do Kazimierza nad Wisłą. Wycieczka była wesoła, lecz po przyjeździe do Kazimierza posłyszeliśmy nadany przez głośniki komunikat o śmierci gen. Dreszera. Natychmiast wróciliśmy do Podzamcza i tu postanowiliśmy, że ja z jednym szwadronem zbiorowym jeszcze na noc wyruszę do Warszawy. Marsz był dość forsowny, bo w ciągu nocy musiałem zrobić 90 do 100 km. Na rano byłem w Warszawie, ledwo jeszcze tego samego dnia wieczorem załadowaliśmy szwadron do wagonów i pojechaliśmy do Gdyni. Na Oksywiu odbył się pogrzeb, w którym wziął udział Prezydent, choć w jego imieniu przemawiał gen. Wieniawa. Piękne było przemówienie, w którym podkreślił, między innymi, zupełną bezinteresowność Orlicza w sprawach materialnych.

Gen. dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer zginął zupełnie niepotrzebnie i tylko dlatego, aby zaspokoić swój sentymentalizm i wykazać, w nieodpowiednim miejscu, brawurę. Całe życie był sentymentalny. Odkąd go znałem bliżej, zawsze się w kimś kochał. Kiedy rozwiódł się z pierwszą swoją żoną, Wandą z Nowackich, która była wybitnie nietaktowną i zazdrosną niewiastą, ożenił się w niedługim czasie z Amerykanką, zresztą w typie bardzo podobną do jego pierwszej żony. Mimo, że nie był już młodzikiem, kochał się w niej szalenie i ta miłość spowodowała nieszczęśliwą śmierć. Pani Dreszerowa wracała z Ameryki do Gdyni. Jej zakochany małżonek zapragnął ją powitać przez pokiwanie ręką z samolotu, gdy statek będzie podpływał do mola. Generał, jako instruktor lotnictwa, był w Grudziądzu i tam uprzedzali go, że warunki atmosferyczne nie pozwalają na lot nad morzem. Mimo tego, generał z brawurą kazał lecieć. I przywitał żonę. Samolot wpadł do morza i zginęli, prócz generała, ppłk dypl. Loth oraz kpt. pil. Łagiewski. Przeznaczenie! Rozumiem, że bywają wypadki, kiedy człowiek na wysokim stanowisku musi ryzykować życiem, gdy chodzi o jakąś ważną sprawę. Ale wykazywać brawurę i ginąć dla głupstwa, to zupełnie niepoważne.

W sierpniu, na koncentrację dywizji, pomaszerowaliśmy pod Sandomierz. Znów sam prowadziłem pułk, bo Durski wziął urlop. Przypuszczał, że w rozgrywkach o buńczuk pułk nie wygra, więc wolał nie asystować przy przegranej.

Drogę mieliśmy bardzo przyjemną. Stosunek ludności cywilnej do wojska był niesłychanie przychylny i wszędzie czuliśmy się jak serdecznie przyjmowani goście. Kwatery w Sandomierskim też były doskonałe, zwłaszcza dla dowództwa pułku, bo kwaterowaliśmy w Sobódce, w majątku naszego oficera rezerwy por. Karola Wickenhagena.

Rozgrywki o buńczuk przyniosły nam zwycięstwo i tym przyjemniejsze, że po raz trzeci, a więc buńczuk pozostawał już na stałe w pułku. Zawiadomiony o tym Durski natychmiast przyjechał do pułku, aby uroczyście odebrać ten zewnętrzny znak wartości wyszkoleniowej pułku. Nie mogę powiedzieć, aby choć za grosz przyczynił się do tego zwycięstwa. Jego udział w wyszkoleniu wyglądał tak: przeprowadzam nocne ćwiczenia pułku. Przed rozpoczęciem zbieram oficerów kasynie rozdaję założenie i omawiam przebieg ćwiczenia. Wchodzi Durski, melduję mu, co robię. Siada i nic nie mówi, nie pyta ani o temat ćwiczenia, ani o założenia. Gdy skończyłem, pada pytanie: „A czy pan pułkownik zarządził w jakich rękawiczkach mają jechać oficerowie, z mankietami, czy bez?”. Odpowiadam, że nie pomyślałem o tym, ale bez. Całą noc był na ćwiczeniu i nic nie mówił, dopiero rano odezwał się, aby zapytać, kiedy i gdzie będzie śniadanie. Gdy Durski przyjechał pod Sandomierz, nastrój w pułku był świetny, wszyscy odczuwali radość z powodu zwycięstwa. Każdy czuł, że choć trochę przyczynił się do sukcesu. Pojechaliśmy bryczką na zwiedzanie zakwaterowania poszczególnych szwadronów. Nasi szwoleżerowie umieli urządzać kwatery. Przed kwaterą dowódcy szwadronu zawsze stała lanca z proporcem szwadronowym. Na każdej kwaterze ze słomy upleciony znak, ze słomianymi frędzelkami oznaczającymi ilość koni i ludzi, siodła i broń na prowizorycznych stojakach i tak ułożona, aby podczas nocnego alarmu nikt niczego nie szukał, a mógł w najszybszym czasie osiodłać konia i stanąć na placu alarmowym. Jednym słowem kwatery były urządzone bez zarzutu. Ale nie wiem dlaczego, Durski chciał znaleźć w całym dziurę. Zdjął z gwoździa zawieszony płaszcz, odwinął mankiet i znalazł w nim trochę paprochów z siana. Jego, w przykrej formie uwaga, zwrócona pod adresem dowódcy plutonu, plutonowego i szwoleżera zrobiła najgorsze wrażenie. Po cichu mówiono, że pułkownika nie było podczas rozgrywek, a jak przyjechał, to zamiast podziękować za zwycięstwo, czepia się drobiazgów. Widocznie stare austriackie nawyki. Lecz i ja nie wytrzymałem tym razem i powiedziałem mu, co myślę. Jeżeli śpi się w sianie, to mogą się dostać paprochy za mankiet i to jest nieważne, a ważne było zachowanie się wszystkich żołnierzy pułku, którzy wykazali nie tylko poziom wyszkolenia, ale głównie szaloną ambicję i duży wysiłek, aby zdobyć zwycięstwo, a za to nie dostali nawet dobrego słowa.

19 czerwca 1936. Pogrzeb gen. Gustawa Orlicz-Dreszera. Przy lawecie z lewej ppłk Józef Szostak.

15 sierpnia, w dniu święta żołnierza, w Sandomierzu odbyła się defilada, a później wręczenie buńczuka. Durski z dumą odebrał tę odznakę pracy pułku pod względem wyszkolenia, no i wychowania. Bo wykazana ambicja pułkowa to też wartościowy czynnik. Po tej uroczystości i po kolacji urządzonej przez gen. Wieniawę dla dowódców pułków, Durski wyjechał. Dywizja przeszła w rejon Lublina. Tu zostaliśmy przeorganizowani w brygadę trzypułkową, aby wziąć udział w wielkich manewrach w rejonie Łodzi, dokąd byliśmy przetransportowani koleją.

Podczas tych manewrów dowodziłem pułkiem, uzupełnionym przez 5 pułk ułanów. Przez cały okres ćwiczeń padały deszcze, co fatalnie odbijało się na zewnętrznym wyglądzie koni. I znów miałem tu rozmowę z gen. Kasprzyckim, który zobaczywszy konie stojące na dworze, zmarznięte, skulone i z podniesioną sierścią, zainteresował się, dlaczego tak źle wyglądają. Wytłumaczyłem mu, że przy tak forsownych ćwiczeniach i przy panującej pogodzie trzeba konie jeszcze lepiej karmić. Na tych manewrach był nowy Generalny Inspektor Sił Zbrojnych gen. Śmigły-Rydz. O ile wiem, kilku starszych panów otrzymało kapelusze. Organizacja ćwiczeń też była nieszczególna, bo nawet nie mieliśmy czasu, aby przed defiladą oczyścić choć z grubsza rynsztunek, a bezpośrednio z defilady musiałem kłusem z pułkiem gnać do Łodzi, aby

zdążyć na wyznaczoną godzinę załadunku wagonów. Do Warszawy odjechaliśmy koleją.

Już dziś nie pamiętam jaką drogą, ale jeszcze pod Sandomierzem płk Jaklicz ponowił swoją propozycję przeniesienia mnie do Sztabu Głównego. Teraz już byłem zdecydowany ją przyjąć. Pojechałem do gen. Wieniawy na rozmowę i zgodziliśmy się obaj, że nie należy odmawiać. Proponowałem tylko, aby na moje miejsce w pułku był wyznaczony stary szwoleżer major Dziadulski. Jakkolwiek był on jeszcze za młodym majorem, ale Ministerstwo Spraw Wojskowych, pod wpływem Wieniawy, mianowało go. Ja po manewrach wziąłem miesiąc urlopu i pojechałem do sanatorium wojskowego do Ciechocinka. Gdy wróciłem, zostałem przeniesiony do Oddziału III Sztabu Głównego.

W Sztabie Głównym

Przeniesienie mnie do Oddziału III Sztabu Głównego uważałem za wielki zaszczyt i wyróżnienie. Oddział operacyjny był główną komórką mózgu sztabu. Tu opracowywało się podstawowe zagadnienia przyszłego planowania wojennego. Za życia Marszałka Piłsudskiego Oddział III zajmował się wyszkoleniem, gdyż sprawy operacyjne były w GISZ. Z chwilą gdy gen. Śmigły-Rydz został Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych i mianował Szefem Sztabu Głównego gen. Wacława Stachiewicza, rola Sztabu Głównego zmieniła się. Sprawy operacyjne przeszły do Sztabu Głównego, a szefem Oddziału Operacyjnego został płk dypl. Józef Jaklicz, kolega gen. Stachiewicza z Wyższej Szkoły Wojennej w Paryżu. Płk Jaklicz zaczął więc sobie kompletować obsadę oddziału. Nie usunął starych oficerów, gdyż byli to na pewno dobrzy pracownicy, ale dokompletowywał nowymi. Zmieniła się nieco organizacja oddziału, jakkolwiek etaty do końca nie były zmienione. Według etatów był szef, zastępca szefa i samodzielne referaty operacyjne. Faktyczna organizacja była następująca: szef, zastępcą był najstarszy stopniem i starszeństwem oficer, bez względu na funkcję, samodzielny referat operacyjny „Wschód", samodzielny referat operacyjny „Zachód", sam. ref. oper. „Ogólny", sam. ref. „Terenowy", sam. ref. „Saperów", sam. ref. „Łączności" oraz sam. ref. operacyjne armijne. Sam. ref. oper. armijnych było tyle, ile było przewidzianych armii na wypadek wojny. Referenci ci ściśle współpracowali z Inspektorami Armii i byli przewidziani na stanowiska szefów oddziałów operacyjnych w poszczególnych armiach. Wszystkie samodzielne referaty operacyjne podlegały bezpośrednio szefowi oddziału, a samodzielne referaty operacyjne „Wschód" i „Zachód" współpracowały tylko z samodzielnymi referatami armijnymi.

Gdy przyszedłem do Oddziału III obsada była następująca:

- Szef – płk dypl. Józef Jaklicz,
- Z-ca szefa – ppłk dypl. Sztarejko,
- S.r.o. „Wschód" – ppłk dypl. Józef Szostak,
- S.r.o. „Wilno" – ppłk dypl. Majewski,
- S.r.o. „Baranowicze" – mjr dypl. Czyżewski,
- S.r.o. „Armii Rezerwowej" – ppłk dypl. Leopold Okulicki,
- S.r.o. „Polesie" – mjr dypl. Józef Kajzer,
- S.r.o. „Wołyń" – ppłk dypl. Jan Narzymski,
- S.r.o. „Podole" – mjr dypl. Antoni Grudziński,
- S.r.o. „Zachód" – ppłk Jan Berek,
- S.r.o. „Pomorze" – ppłk dypl. Ogórkiewicz,
- S.r.o. „Poznań"
- S.r.o. „Łódź"
- S.r.o. „Kraków" – ppłk dypl. Pyszora,
- S.r.o. „Ogólny" – ppłk dypl. Andrzej Marecki,
- S.r. „Terenowy" – mjr dypl. Jacyna,
- S.r. „Saperów"
- S.r. „Łączności" – mjr dypl. Rola.

Każdy referat miał swój oddzielny pokój z telefonem. Prócz podanych referatów, była kancelaria z kierownikiem kapitanem Nawrockim, cztery doskonałe i inteligentne maszynistki oraz kreślarz. Stosunki służbowe były nadzwyczaj dobre i postawione na najwyższym poziomie. Wszyscy pracownicy, bez wyjątku, musieli złożyć dodatkową przysięgę o zachowaniu tajemnicy i trzeba przyznać, że tajemnica była zachowywana najściślej. Nikt nie przestrzegał w głupi sposób punktualności. Przychodziło się do biura między 8 a 9 godziną rano, aby przed szefem, który przychodził o godz. 9. Natomiast każda praca musiała być wykonana w terminie. Jeżeli była konieczność pracy po normalnych godzinach służbowych, trzeba było mieć pozwolenie pisemne od szefa, gdyż jedynie to upoważniało do zerwania plomby z żelaznej szafy z dokumentami. Szafy były plombowane przez oficera dyżurnego oddziału i sprawdzane, czy są dokładnie zamknięte oraz czy papiery z kosza są zabrane do spalenia. Swoje przyjście i odejście trzeba było wpisać do książki u żandarma dyżurnego, a przed wyjściem zatelefonować do oficera inspekcyjnego Sztabu, aby zaplombować szafę. Najmniejsze uchybienie w sprawie zachowania tajemnicy groziło odpowiedzialnością sądową, no i oczywiście konsekwencjami służbowymi. Gdy ktoś miał jakąś sprawę do szefa, wpisywał się do arkusza w kancelarii, podając nazwisko i numer telefonu. W ciągu dnia szef wzywał do siebie telefonicznie. Jeżeli któryś z nas wychodził do miasta, nie potrzebował pytać o pozwolenie,

a jedynie wpisywał się w kancelarii, podając, kiedy wróci i ewentualnie numer telefonu, pod którym należy go szukać. Przy wyjazdach służbowych nigdy nie wypisywano rozkazów jazdy, otrzymywało się bilet I klasy stały, a po powrocie podawało się dane do wypłaty diet. Wszystko było oparte na wierze w uczciwość i honor oficera. I na pewno nikt nigdy nie zawiódł zaufania przełożonych. Stosunki prywatne między szefem i kolegami były postawione na stopie koleżeńskiej, choć nie składano sobie wizyt w domu. Po przyjściu każdego nowego oficera do Oddziału robiło się w kasynie małe przyjęcie, podczas którego pito z nim bruderszaft. Również odchodzących zawsze się żegnało kolacją i wręczano, wszystkim jednakowe, srebrne pudełko na papierosy z podpisami kolegów. Taka już była tradycja Oddziału III Sztabu Głównego.

Oddział III Sztabu Głównego mieścił się w prawym skrzydle pałacu Saskiego, na I piętrze. Tu zameldowałem się u płk. Jaklicza. Przyjął mnie serdecznie, bo lubił mnie jeszcze z czasów Wyższej Szkoły Wojennej. Rozpoczął rozmowę od zawiadomienia mnie o czekającej wielkiej pracy, którą będę musiał wykonać razem z kilkoma kolegami. „Teraz – powiedział – nie wolno będzie panu patrzeć na mapę tak, jak dotychczas patrzył pan na setkę lub nawet trzechsetkę. Od dziś musi pan stać od mapy na trzy kroki, bo nie strona taktyczna będzie pana obchodzić, a strona operacyjna. Tu musi się pan przestawić myślowo na szerszy sposób patrzenia. Będzie się pan zajmował całością frontu wschodniego. Przy pracy swej będzie pan mógł w każdej chwili porozumiewać się ze mną". Otrzymałem oddzielny pokój z biurkiem, telefonem, szafą żelazną (pustą) i skrytką żelazną w ścianie. Mój referat dotychczas nie istniał, a więc nie otrzymałem żadnych dokumentów w spadku.

Pierwszą pracą, jaką otrzymałem, było napisanie dla Szefa Sztabu referatu o pasie granicznym, w związku z ukazaniem się nowej ustawy. Bardzo się namęczyłem, bo nie miałem pojęcia, jak do tego zagadnienia podejść i jaka jest forma pisania takich referatów. Wreszcie z trudem urodziłem to dzieło, które nie było zachwycające. Jaklicz też nie był zachwycony.

Drugą pracą, jaką otrzymałem, było obliczenie przemarszu jednostek sowieckich stojących nad granicą do naszej granicy. Ciągle było to prace dorywcze, a nie ta zasadnicza, o której mówił mi Jaklicz przy meldowaniu się. Byłem jakby egzaminowany, przy tym Jaklicz mówił mi, że gen. Stachiewicz przy każdym widzeniu pyta o mnie. Mam przypuszczenie, że zbierano o mnie informacje przez kontrwywiad. Nie dziwiłbym się temu, gdyż w przyszłości w moim ręku znajdowały się dokumenty najwyższej wagi operacyjnej i powierzyć ich nie wolno było człowiekowi, do którego nie miałoby się pełnego zaufania. Wreszcie otrzymałem do przestudiowania protokoły odpraw Marszałka Piłsudskiego dotyczące frontu wschodniego.

Protokoły były pisane na maszynie i oprawione jak książka. Takich książek sporządzono kilka sztuk i były najściślej tajne. Była to dla mnie ewangelia. Po przestudiowaniu ich poznałem całą wielką mądrość Marszałka i zrozumiałem jego wartość jako wodza. Odprawy te stanowiły podstawę do opracowania planu operacyjnego na wypadek wojny z Rosją. Pierwszy protokół odpraw, zatytułowany: „Ocena terenu" stawiał jako zasadę, że Polska nie może prowadzić z Rosją wojny zaczepnej. Pacyfistyczne nastroje państw zachodnich doprowadziłyby do potępienia Polski w wypadku agresji z naszej strony i nie moglibyśmy liczyć na pomoc. Natomiast agresja sowiecka pozwalała liczyć na pomoc dla Polski przez Zachód. Drugą podstawową zasadą było stwierdzenie, że Polska nie może prowadzić wojny na dwa fronty. Z tej pierwszej zasady konsekwentnie wypływały wszystkie odprawy dotyczące poszczególnych odcinków frontu.

Marszałek Piłsudski przywiązywał wielką wagę do zachowania tajemnicy i dlatego przypuszczalnie nie podał szczegółowych wytycznych jako całości, a jedynie z wytycznych do działań poszczególnych odcinków można było zrozumieć myśl przewodnią początkowych działań.

Po przestudiowaniu protokołów odpraw nareszcie dostałem zapowiadaną pracę. Na polecenie Generalnego Inspektora Sztab Główny miał przepracować: „Możliwości rozwinięcia rosyjskiego na północ od Polesia". Tę pracę miałem wykonać wraz z mjr. dypl. Mareckim i mjr. dypl. Grudzińskim. Obu tych oficerów znałem jeszcze przed przyjściem do sztabu. Marecki był asystentem taktyki ogólnej, gdy byłem w Wyższej Szkole Wojennej, a Grudzińskiego poznałem jako pierwszego oficera sztabu 2 DK. Powierzona nam praca była niełatwa i bardzo odpowiedzialna, gdyż miała być ewentualną podstawą do decyzji. To samo zagadnienie opracowywał w GISZ płk dypl. Glabisz. Nasza praca miała przedstawić: 1. dyslokację pokojową wojsk rosyjskich w Europie (Armia Dalekiego Wschodu nie była brana pod uwagę); 2. możliwości mobilizacyjne i ewentualne jednostki rezerwowe; 3. możliwości transportu kolejowego; 4. stan wyszkolenia i stan moralny; 5. rozbudowa dróg od garnizonów do granicy Polski oraz rozbudowa fortyfikacji i ich charakter; 6. stosunek sił polskich i rosyjskich nad granicą z chwilą zarządzenia mobilizacji. Dane do tej pracy miał dostarczać Oddział II sztabu. Kontakt z dwójką miał utrzymywać mjr Grudziński i on dostarczał nam wszelkich wiadomości. Wiadomości napływały stale i gdy wrysowałem na schemat pierwsze miejsca postoju poszczególnych jednostek, w niedługim czasie napływały dalsze i albo trzeba było zmieniać albo uzupełniać. Widać było np., że niektóre jednostki w głębi Rosji znikały, a po pewnym czasie pojawiały się one w pobliżu granicy zachodniej. Całe dywizje przychodziły i rozpoczynały budowę koszar czy obozów. Porównując wiadomości sprzed paru lat z ostatnimi

wiadomościami jasno było widać, że Rosja coraz więcej wojsk gromadzi nad polską granicą. Podstawę teraz stanowił szkic, który jasno obrazował dyslokacje, a do tego dołączony opis pozwalał na wyciągnięcie wniosków. Po sporządzeniu pierwszego rozdziału referowałem go płk. Jakliczowi i po omówieniu z nim opracowanie było referowane przez pułkownika Szefowi Sztabu. Przy tym referacie byłem zawsze obecny, aby udzielać wyjaśnień dotyczących szczegółów. Gen. Stachiewicz żądał bardzo ścisłych odpowiedzi i niedopuszczalne było wszelkie „pływanie" lub odpowiedzi ogólnikowe. Miał tę wielką zaletę, że nie gubił się w szczegółach, jeżeli żądał kilku szczegółów, to tylko dlatego, aby sprawdzić, czy wnioski są słuszne. Nie znosił mętnych odpowiedzi i sam byłem świadkiem, jak powiedział parę bardzo przykrych słów płk. dypl. Szychowskiemu. O ile dyslokacja pokojowa mogła być ustalona stosunkowo ściśle, to możliwości mobilizacyjne i wystawienie jednostek rezerwowych było już trudniejsze do rozszyfrowania i oparte raczej na wnioskowaniu o rozmieszczeniu rezerw w rejonie stacjonowania jednostek pokojowych. Oczywiście w odniesieniu do jednostek rezerwowych można było jedynie mówić o tych, które mogą powstać bezpośrednio po ogłoszeniu mobilizacji. Drugi szkic, robiony kolorami, przedstawiał dyslokację jednostek pokojowych i rezerwowych, na podstawie tego szkicu można było wnioskować, które jednostki mogą przekroczyć granicę Polski, dochodząc marszem pieszym, a które muszą być dowiezione koleją. Szkic ten posłużył do opracowania przypuszczalnego rosyjskiego planu transportów. Opracowanie tego planu było powierzone mjr. dypl. Kajzerowi. Biorąc za podstawę dyslokacje jednostek zmobilizowanych i układ sieci kolejowej plan miał przewidywać, że jednostki będą przewiezione na ten odcinek frontu polskiego, na który najłatwiej i w najkrótszym czasie można je przetransportować. Wykonanie tego planu dawało obraz, w jakim czasie może być zakończona koncentracja wojsk rosyjskich przeciw Polsce i jakie oraz ile jednostek może się znaleźć naprzeciw poszczególnych naszych odcinków armijnych. Opracowanie tej części trwało długo, gdyż była to praca wyjątkowo żmudna i niełatwa.

Prócz obrazu koncentracji plan ten dał również dane dla lotnictwa, gdyż obrazował, przez które węzły kolejowe i w jakim czasie będzie przechodziło najwięcej transportów. Po sporządzeniu szkicu koncentracji, o ile był on zbliżony do rzeczywistości, wypływał wniosek, że nasilenie wojsk rosyjskich nie będzie większe na północ od Polesia niż na południe.

Stan wyszkolenia i stan moralny wojsk rosyjskich wykazywał, według danych dwójki, że jakkolwiek poziom wyszkolenia młodszych oficerów stoi na dość wysokim poziomie, to starsi oficerowie stoją stosunkowo niżej. Zniesieni przez Stalina oficerowie polityczni, są jednak przewidziani na wypadek wojny, co może świadczyć, że dowódcy nie są darzeni pełnym zaufaniem, skoro trzeba

nad nimi trzymać „aniołów stróżów" w postaci politruków. Szeregowi są raczej na ogół dobrze wyszkoleni i trzymani w surowej dyscyplinie. Podawano nawet, że zostało zabronione przeklinanie.

Rozbudowa komunikacji, a zwłaszcza dróg bitych, w kierunku granicy Polski od miejsc postoju jednostek wojskowych, świadczyła o agresywnych zamiarach. Również budowa fortyfikacji nadgranicznych nie miała charakteru obronnego, a raczej osłony koncentracji.

Wnioski, jakie można było wyciągnąć z naszego opracowania, wyraźnie wskazywały na przygotowania Związku Radzieckiego do wkroczenia w granice Polski przy pierwszej nadającej się okazji politycznej. W ostatniej części naszej pracy już sam opracowałem, jaki będzie stosunek sił naszych i rosyjskich, jeżeli nasz alarm będzie zarządzony z jednodniowym opóźnieniem w stosunku do alarmu rosyjskiego. Następnie przedstawiłem ten stosunek przy jednoczesnym zarządzeniu alarmu, wreszcie jeżeli wyprzedzimy alarm o jeden dzień. Te trzy ewentualności przedstawiłem na szkicach. Kiedy, blisko po roku, pracę ukończyliśmy i została ona zreferowana w ostatecznej formie Szefowi Sztabu Głównego, gen. Stachiewicz, zobaczywszy trzy ostatnie szkice, stwierdził, że one mają największą wartość i dają dużo do myślenia, a zmuszają do wyciągania wniosków.

„Możliwości rozwinięcia rosyjskiego na północ od Polesia" zostały wykonane w dwóch egzemplarzach i jeden przesłany do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, do ewentualnego zatwierdzenia. Nie znam opracowania płk. Glabisza, ale myślę, że nie było lepiej opracowane. Kilkakrotnie, w trakcie opracowywania, rozmawiałem z nim i omawialiśmy pewne zagadnienia, a na ogół byliśmy zgodni. Natomiast w rozmowie z naszym attaché wojskowym w Moskwie ppłk. dypl. Zaborowskim niezupełnie zgadzaliśmy się. Uważam to za zrozumiałe o tyle, że on opierał swoje wiadomości na tym, co sam zdobył, a my mieliśmy wiadomości podane przez Oddział II, a więc znacznie większe i płynące z wielu źródeł. Po pewnym czasie płk Jaklicz zawiadomił mnie, że praca nasza została przyjęta i zatwierdzona. Może więc ona służyć jako podstawa do pierwszych wiadomości o nieprzyjacielu podanych dowódcom armii.

Dziś już nie pamiętam, czy był to rok jeszcze 1936, czy 1937, gdy płk Jaklicz polecił mi, abym był na Zamku na uroczystości wręczenia buławy marszałkowskiej gen. Śmigłemu-Rydzowi. Jakkolwiek uważałem marszałka Śmigłego za uczciwego człowieka, dobrego Polaka i tęgiego generała, to byłem zdecydowanym przeciwnikiem mianowania go marszałkiem. Jestem prawie pewien, że Marszałek Piłsudski nigdy nie myślał, że po jego śmierci będzie mianowany, w ten sposób, nowy marszałek. Jeżeli nie awansował inspektorów armii na generałów broni, to chyba tylko dlatego, aby jego następca otrzymał ten stopień.

Zasługi Śmigłego tak nagle jeszcze nie wzrosły, aby nagle przeskoczył z generała dywizji na marszałka. Ten awans był tylko pomysłem Prezydenta Mościckiego, przy zmianie pragmatyki oficerskiej, aby mieć silniejsze poparcie na swym stanowisku. To były motywy, dla których nie chciałem brać udziału w tej uroczystości i nie poszedłem na Zamek.

Bardzo mi się nie podobała polityka personalna marszałka Śmigłego. Była zupełnie inna niż Marszałka Piłsudskiego. Obecnie awansowano cały szereg oficerów odstawionych na „boczny tor". Nie byli oni pomijani w awansie bezpodstawnie, bo wielu z nich znałem osobiście, ale dlatego, że nie nadawali się na wyższe stanowiska. Teraz poawansowali i pootrzymywali odpowiednie do stopni funkcje, z których nie mogli się należycie wywiązać, wprowadzając bałagan i zmuszając czasami do kilkakrotnych prób, wreszcie do zwolnienia ze stanowisk. Zatykali miejsca zdolniejszym, co na pewno nie było z pożytkiem dla wojska. Szkoda, że nie można było zasłużonych ludzi dla kraju nagradzać w inny sposób, np. majątkiem, a nie stanowiskami, na które nie nadawali się. Trudno, każdy człowiek ma swój ograniczony pułap możliwości umysłowych i pchanie go siłą wyżej niż on jest zdolny wznieść się, nie może dać dobrych rezultatów. Niestety Marszałek Piłsudski miał zbyt mało wiary w młodsze pokolenie.

Kiedyś w rozmowie z Wieniawą, wspomniał mi o małej wierze Marszałka w młode pokolenie oficerów. Zaproponowałem wtedy taką prośbę, którą wydawało mi się, że warto przedstawić Marszałkowi. Proponowałem przeprowadzenie przez Marszałka gry wojennej na takim poziomie, jak się robi dla kandydatów na generałów, a powołanie na nią np. naszego rocznika Wyższej Szkoły Wojennej. Przekona to Marszałka, że poziom młodych oficerów, odpowiednio wykształconych, nie będzie nasuwał obaw co do przyszłości. Wieniawie mój projekt przypadł do gustu i powiedział, że zaproponuje go Marszałkowi, niestety, choć podobno Marszałek go przyjął, nie zdążył go wprowadzić w czyn.

Poza polityką personalną, pociągnięcia marszałka Śmigłego wydawały mi się zupełnie celowe, zwłaszcza reorganizacja Sztabu Głównego i przywrócenie mu właściwej funkcji. Również opracowanie nowego planu mobilizacyjnego opartego na bardziej realnych podstawach, jeżeli chodzi o możliwości zbrojeniowe, a postawienie możliwie dużej ilości jednostek w gotowości mobilizacyjnej już w alarmie, miało podstawowe znaczenie dla obronności Kraju. Nie mówiąc o takich sprawach, jak budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego. Zwrócenie również większej uwagi na obronę przeciwlotniczą i przeciwpancerną, też było zasługą marszałka Śmigłego.

Następną wielką pracą, jaką rozpocząłem, było opracowanie podziału sił między poszczególne armie i odwody Naczelnego Wodza. Oczywiście otrzymałem

ścisłe wytyczne do tej pracy i w trakcie jej toku otrzymywałem uzupełnienia i wyjaśnienia. Ponieważ praca ta była najściślej tajna, Szef Sztabu żądał, abym wszystko sam wykonywał i nawet musiałem pisać na maszynie osobiście. To zabierało mi moc czasu, lecz wreszcie nabrałem wprawy. Wszelkie tabele musiałem sam sobie ułożyć, bo żadnych wzorów nie było. Przy tej pracy byłem w stałym kontakcie z Oddziałem I Sztabu. Dzięki zrozumieniu przez płk. dypl. Wiatra, szefa Oddziału I, ważności mojej pracy, wszystko układało się zupełnie harmonijnie. Wreszcie, gdy O. de B.[58] zostało sporządzone, Szefostwo Komunikacji Sztabu Głównego mogło przystąpić do opracowania planu transportowego.

Teraz rozpoczęła się moja współpraca z Szefostwem Komunikacji. Do uzgadniania ze mną wszelkich zagadnień i wątpliwości został wyznaczony mjr dypl. Nowosielski. Ten mały, robiący wrażenie brudnego, człowiek znał się na sprawach komunikacji świetnie i współpraca z nim też układała się zupełnie dobrze. Szef Sztabu polecił mi kiedyś, abym wglądał w prace komunikacji, a kiedy zameldowałem mu, że na ten temat mam tylko wiadomości ze szkoły, co jest nieco za mało, odpowiedział, że właśnie dlatego mi poleca, bo będę umiał rozumować tylko logicznie i nie zaciemnię sobie umysłu przepisami. Przekonałem się później, że miał rację. Praca nad planem transportowym trwała kilka miesięcy. Była to olbrzymia robota i gdy wreszcie została skończona, armie mogły otrzymać dane, na jakich stacjach i w jakim czasie może nastąpić wyładunek ich sił.

Następną bardzo poważną pracą, jaką otrzymałem, było, na podstawie protokołów odpraw Marszałka Piłsudskiego, sprecyzowanie zadań dla poszczególnych armii językiem przyjętym w wojsku. Marszałek używał języka z okresu, kiedy nomenklatura polska jeszcze nie istniała, a więc np. „ariergarda" itp. Po sprecyzowaniu zadań oficerowie odcinkowi mieli przedstawić je swoim inspektorom armii w celu skonfrontowania, czy oni tak samo te zadania rozumieli. Po pewnym czasie od wszystkich odcinków armijnych otrzymałem odpowiedzi, z wyjątkiem armii „Podole". Gen. Fabrycy zapowiedział, że sam przyjdzie do Sztabu Głównego, aby tę sprawę omówić osobiście. Przyjechał i omawialiśmy w ten sposób, że ja musiałem powiedzieć, jak rozumiem zadanie armii postawione przez Marszałka, a generał oświadczył, iż on tak samo rozumie. Rozmowa ta nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia.

Latem 1937 roku otrzymałem rozkaz od płk. Jaklicza, że mam z Szefem Sztabu Głównego i nim jechać na inspekcje fortyfikacji poleskich. Jechał również inspektor saperów, gen. Dąbkowski.

[58] Ordre de Bataille (fr.: porządek bitewny) – schemat organizacyjny wojsk lub ich część. Termin ten oznaczał również rozkaz o ustawieniu wojsk przed bitwą (przyp. red.).

Marszałek Piłsudski nie był zwolennikiem budowy fortyfikacji, ale godził się na nie w wyjątkowych wypadkach. Front obronny Polski od agresji rosyjskiej wynosił około 2 tysiące kilometrów, łącząc się na północy z Łotwą, a na południu z Rumunią. Skrócenie tego rozległego frontu, w stosunku do posiadanych sił, dawało Polesie i częściowo Puszcza Nalibocka. Wynosiło to około 400 km. Polesie dzieliło front rosyjski na dwie części, dlatego ubiernienie tego odcinka przez zamknięcie fortyfikacjami nielicznych przejść pozwalało na zaoszczędzenie sił na fronty czynne, tj. na północ i południe od Polesia. Te motywy skłoniły, że zdecydowano Polesie fortyfikować.

Wyjechaliśmy salonką przyczepianą do pociągów, a więc mieliśmy podróż wygodną. Zwiedziliśmy budowę fortyfikacji, prowadzoną przez ppłk. sap. inż. Wańkowicza (brata Melchiora). Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że był on energicznym organizatorem i świetnie umiał odpowiadać na wszelkie pytania stawiane przez gen. Stachiewicza. Wyjazd ten był dla mnie bardzo pożyteczny, gdyż zobaczyłem, jak wygląda strona techniczna budowy schronów i jaki jest ich szalony koszt. Nie jestem zupełnie pewien, czy konieczne było budowanie tak solidnych schronów i wydaje mi się, że gen. Dąbkowski był trochę zasugerowany fortyfikacjami linii Maginota, którą zwiedzał przed rozpoczęciem robót. Koszt przeciętnego schronu uzbrojonego tylko w karabin maszynowy i zamykający ogniem 600-800 metrów w dwie strony, wynosił około 100 tys. złotych. Lecz były schrony, choć nieliczne, które kosztowały nawet do miliona. Łatwo było więc zdać sobie sprawę jak ogromne musiałyby być koszty zbrojeń.

W rejonie Łuninca zobaczyłem, jak polescy chłopi zabezpieczali się przed złością ludzką. Pod wsią zobaczyłem kawał pola zastawiony jakby stołami, na których stały sterty. Byłem pewien, że to ochrona od wody, lecz wyjaśniono mi, że dlatego cała wieś stawia sterty na jednym polu, aby nikt przez złość nie podpalił, bo wtedy spłoną wszystkie. Dziwny naród ci poleszucy. Będąc pod Łunińcem powędrowaliśmy kiedyś drożyną pośród bagien i doszliśmy do chutoru. Przed chałupą poleszuk rąbał drzewo. Generał zapytał go, jakiej jest narodowości. Chłop popatrzył na nas i nic nie odpowiedział, jakby nie rozumiejąc pytania. Ale przed chałupę wyszła baba i widać była więcej rozgarnięta, bo odpowiedziała za chłopa: „On to tutejszy, ale nasz syn to już taki jak wy". To miało znaczyć, że Polak.

Po tej podróży musiałem napisać raport, nad którym dość się namozoliłem. Podróż ta nie była jedyna. W 1938 roku byłem znów z Szefem Sztabu na ćwiczeniach flotylli pińskiej. Ciekawie to wojsko było przystosowane do poruszania się po drogach wodnych Polesia. Artyleria na monitorach, a karabiny maszynowe na kutrach opancerzonych. Przypuszczam, że przez Polesie, w wypadku wojny, większe siły nie byłyby w stanie skutecznie działać. Oczywiście nieprzyjaciela.

Byłem również na inspekcji fortyfikacji na wschód od Baranowicz. Fortyfikacje te miały zadanie czysto osłonowe. Chodziło o utrzymanie przez czas wyładunku wojsk węzła kolejowego Baranowicze. Nie miały się one bronić przez jakiś dłuższy czas, a więc nie musiały być tak solidne i tak drogie, jak były. O ile na Polesiu fortyfikacje miały być obsadzone specjalnymi oddziałami fortyfikacyjnymi, o tyle pod Baranowiczami miała je obsadzić 20 DP. Obliczyłem więc ilość schronów i potrzebną ilość już tylko karabinów maszynowych. Okazało się, że dywizja nie miała takiej ilości broni, jaka była potrzebna do obsadzenia wszystkich schronów. Oczywiście wykazałem to później w raporcie. Podczas tej drugiej podróży zwiedzaliśmy również przygotowania zalewów, co miało mieć znaczenie dla obrony przeciwpancernej. Prace te na odcinku baranowickim też pozostawiały dużo do życzenia. Zabagnienie dolin rzek następowało zbyt wolno, zwłaszcza w przypadku suchego lata. Tu gen. Stachiewicz miał pretensje do projektantów, którzy albo źle obliczyli, albo umyślnie podali niższe sumy w kosztorysach, aby na rozpoczęte roboty uzyskać później dodatkowe kredyty na budowę zbiorników wody.

Widać, że naszych inspektorów armii ogarnął szał fortyfikacyjny, bo i gen. Dąb- Biernacki wystąpił z projektem budowy fortyfikacji w rejonie Mołodęczna. I tam jeździłem z Szefem Sztabu. Mróz był wtedy około -25° i praca w terenie była szalenie uciążliwa.

Podczas pierwszego wyjazdu byłem jakoś w świetnym humorze i trzymały mnie się kawały. Nawet byłem trochę w strachu, czy generał nie ma mi tego za złe. Ale podczas drugiej podróży, kiedy myłem się przed naszą salonką na jakiejś stacyjce, gen. Stachiewicz przechodząc, powiada: „Pułkowniku, co pan tak zdziadział w tym sztabie? W zeszłym roku to pan opowiadał wesołe kawały, a w tym jest pan taki poważny". Jak to nigdy nie wiadomo, co jest lepiej.

Na jesieni 1938 roku Szef Sztabu miał być na manewrach na Wołyniu. Zostałem wysłany samochodem do Łucka, gdyż miałem referować przebieg ćwiczenia generałowi. Wyjechałem z Warszawy po południu, przenocowałem w Brześciu i rano wyjechałem do Łucka, w południe byłem w Łucku i ledwie się tu zakwaterowałem, dostałem depeszę, abym natychmiast wracał do Warszawy. Zjadłem obiad i natychmiast ruszyliśmy w drogę. Mocno zmęczony późnym wieczorem byłem w Warszawie.

Polska postawiła sprawę oddania Zaolzia przez Czechosłowację, zabranego, wbrew umowie podpisanej przez Masaryka w 1920 roku, kiedy wojska sowieckie były pod Warszawą. Byłem potrzebny w sztabie, aby zestawić O. de B. armii gen. Bortnowskiego, która miała zająć ten niewielki odcinek terenu z walką lub bez. Nie miała być przeprowadzana nawet częściowa mobilizacja, a cała operacja miała być przeprowadzona możliwie najtańszym kosztem

i siłami pokojowymi. Była to bardzo ryzykowna sprawa, bo gdyby w tym czasie wynikł jakiś konflikt zbrojny, to przeprowadzenie sprawnej mobilizacji stawało się niemożliwe. Jednostki pokojowe były na pewien czas zdezorganizowane. Pracowałem całą noc, poprzedzającą zgodę Czech na zwrot Zaolzia. Gdy położyłem się nad ranem spać i mocno zasnąłem, około południa obudziły mnie dźwięki hymnu, nadawanego przez radio sąsiadów. Od razu domyśliłem się, że Czechy musiały skapitulować. Ubrałem się i pojechałem do sztabu. Tu dowiedziałem się o wszystkim. W okresie zajmowania Zaolzia mieliśmy wyznaczane dyżury w sztabie przy dalekopisie. Zajmowanie odbyło się bezkrwawo, z wyjątkiem jedynej śmiertelnej ofiary, którą był mój kolega od Rontalera – major Stefan Rago. Ten dzielny oficer, z którym spotkałem się w 7 pułku ułanów na froncie, zginął przez jakieś nieporozumienie. Co prawda śmierć ta była dla niego jedynym honorowym wyjściem, gdyż był już zdecydowanym alkoholikiem i zaczynał robić kawały, które doprowadziłyby do smutnych konsekwencji.

Po zajęciu Zaolzia jeździłem później z pułkownikiem Jakliczem, aby zwiedzić fortyfikacje czeskie, które wpadły w nasze ręce. Trzy obiekty z kompleksu sudeckiego były bardzo solidne i kosztowne, z wieżami pancernymi. Natomiast szybko budowane fortyfikacje przeciw nam były zupełnie słabe i przełamanie ich nie sprawiłoby większych trudności. Małe bunkry były zbudowane na sposób francuski, to znaczy że były bronione przez ogień flankowy z sąsiedniego bunkra. Nie byłem nimi zachwycony. Przy okazji zwiedziliśmy hutę w Trzyńcu. Imponująca. Ludność Zaolzia była czysto polska i okazywała dużo radości z powrotu do Polski. Nie mogę się zgodzić z tym opowiadaniem, że nie powinniśmy zajmować Zaolzia. Śląsk Cieszyński, zamieszkany przez ludność polską, podstępnie nam zabrany w okresie niesłychanie trudnym dla Polski, nie powinien wrócić do nas dlatego, że Niemcy zabierali Sudety. Gdyby Czesi mieli zamiar stawić opór i walczyć o swą ojczyznę, na pewno Polska byłaby ich sprzymierzeńcem. Lecz oni poddali się bez walki, czym bardzo nam zaszkodzili, choćby tylko dlatego, że nawet ich fortyfikacje zbudowane wielkim nakładem kosztów, przeciw Niemcom, wiązały się z naszymi fortyfikacjami Górnego Śląska. Przez zajęcie Sudetów nasz front przeciwniemiecki bardzo się rozszerzał i stał się jeszcze trudniejszy do obrony niż był po zerwaniu traktatu wersalskiego. Jeżeli anschluss z Austrią, bez reakcji ze strony państw zachodniej Europy, był pierwszą zapowiedzią rozszerzania apetytów niemieckich, to sprawy czechosłowackie budziły już poważny niepokój i zagrażały wojną. Niestety na poczynania Hitlera patrzono z dużym pobłażaniem. Największą winę ponosi bezsprzecznie Francja. Ona nie reagowała na propozycję Marszałka Piłsudskiego, aby rozpocząć wojnę prewencyjną, jak tylko Hitler zaczął łamać traktat wersalski. Również starania marszałka Śmigłego spotkały się ze sprzeciwem. Francuzom

zdawało się, że za linią Maginota są bezpieczni. Nie można się więc dziwić, że Polska spodziewając się konfliktu z Niemcami, a będąc odosobniona, starała się drogą dyplomatyczną odsunąć niebezpieczeństwo wojny, za co tak bardzo teraz potępiają ministra Becka.

Po zakończeniu spraw zaolziańskich w dalszym ciągu przygotowywałem ostateczne zakończenie planu na wypadek wojny z Rosją. Dla każdej armii wschodniej została opracowana teka zawierająca następujące dokumenty: 1. Zadanie armii; 2. Odcinek armii wrysowany na mapę 1:300 000; 3. O. de B. armii; 4. Terminy przybycia jednostek i ich miejsca wyładunku; 5. Rejony koncentracji wielkich jednostek; 6. Przewidywane siły nieprzyjaciela przed frontem armii i ich ewentualne terminy koncentracji. Każda teka została sporządzona w dwóch egzemplarzach. Jeden egzemplarz otrzymał dowódca armii, drugi pozostawał w mojej kasie ogniotrwałej. Na początku 1939 roku teki zostały przeze mnie zawiezione do GISZ i rozdane, na odprawie, przez marszałka Śmigłego inspektorom armii.

O ile pamiętam Oddział IV Sztabu Głównego przygotował teki dotyczące służb. W trakcie przygotowywania tek, nie pamiętam, czy w końcu 1938 roku czy na początku 1939 roku został przydzielony do mego referatu kpt. dypl. art. Jędrzejowski. Młody ten oficer bardzo mi dopomógł w technicznej stronie sporządzania tek, gdyż były one ściśle tajne i nikt mi, prócz niego nie mógł pomagać. Jędrzejowski znał się na introligatorstwie, co było z pożytkiem dla zewnętrznej strony opracowania dokumentów.

Kiedy przyniosłem moje teki na salę konferencyjną przed odprawą marszałka Śmigłego z inspektorami armii, już kilku inspektorów było na sali. Pamiętam, jak byłem niemile dotknięty, gdy posłyszałem, jak gen. Norwid-Neugebauer klarował płk. dypl. Glabiszowi, jakie miejsce powinien zajmować ze względu na swoje starszeństwo. Wstrętna małostkowość.

Po opracowaniu tek mógłbym mieć zupełnie mało roboty, lecz płk Jaklicz polecił mi, abym razem z ppłk. dypl. Mareckim opracował instrukcję dotyczącą rozdziału map w okresie transportów koncentracyjnych. Instrukcja musiała być bardzo dokładnie przemyślana i jasno napisana. Dużo nas ona kosztowała wysiłku, ale po wielu poprawkach ukończyliśmy ją i zdaje się, że zdała egzamin na początku wojny 1939 roku.

W drugiej połowie marca (możliwe, że 18) dowiedziałem się od mjr. dypl. Czyżewskiego o zajęciu przez Niemców Kłajpedy[59]. I właśnie w tym dniu zostałem wezwany telefonicznie do płk. dypl. Jaklicza. Jaklicz stojąc przed swoją

[59] Niemcy zajęli Kłajpedę 23 marca 1939 (przy. red.).

wspaniałą mapą (kręconą elektrycznie), zapytał mnie, czy wiem o zajęciu Kłajpedy. Odpowiedziałem, że wiem.

– I co pan myśli, pułkowniku? – zapytał Jaklicz.

– Myślę – odpowiedziałem – że teraz przyjdzie kolej na nas.

– A co my zrobimy?

– Wydaje mi się, że będziemy się bili. Będzie wojna.

Na to Jaklicz:

– Ale pan sobie zdaje sprawę, że dostaniemy w dupę!

– Tak, dostaniemy, gdyż są znacznie silniejsi od nas, ale w końcu będą pobici przez innych – odpowiedziałem.

Jaklicz wtedy, już do siebie powiedział: – I do nas wejdą wojska sowieckie, a dużo czasu upłynie zanim się ich pozbędziemy.

Dziś widzę, że szef Oddziału III Sztabu Głównego słusznie przewidywał, lecz ja nie byłem wtedy tak czarno nastrojony. Od tego dnia wypadki potoczyły się szybko.

Po skończonej pracy, w dniu tym, zaszliśmy z płk. dypl. Narzymskim do baru Europejskiego na „jedną" wódkę. Spotkaliśmy tam płk. dypl. Jana Karcza, dowódcę Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Przy pobliskim stoliku siedział gen. Szylling, inspektor armii Kraków, gen. Trojanowski, dowódca Okręgu Korpusu Warszawa i gen. Bończa-Uzdowski, dowódca 28 DP. Byli w dobrych humorach i po pewnym czasie zaprosili nas do swego stolika. Gen. Trojanowskiego znałem dawno, jeszcze z 1918 roku, gdy był dowódcą okręgu chełmskiego. Chwalił się zawsze, że w tym okresie miał pięciu braci Szostaków pod swoją, choć niebezpośrednią, komendą. Gen. Bończę-Uzdowskiego znałem również dawno, a on mnie pamiętał spod Dołhobyczowa, bo wtedy jako major dowodził batalionem. Lubił tytułować mnie podchorążym, a ja wtedy tytułowałem go majorem. Przy stoliku zaczęła się rozmowa na temat ostatnich wypadków, gdyż wiadomość o Kłajpedzie rozeszła się już po mieście. W toku rozmowy wyłoniła się ocena wartości korpusu dowódczego naszej armii. Generałowie twierdzili, że najwięcej można liczyć, w wypadku wojny, na generałów i młodszych oficerów. Ja byłem zupełnie odmiennego zdania, co zresztą głośno powiedziałem. Uważałem, że najbardziej wartościowym elementem byli oficerowie, którzy przeszli pierwszą wojnę światową lub polsko-bolszewicką i otrzymali gruntowne wykształcenie wojskowe, pokojowe. Do wielu generałów nie miałem zupełnie zaufania. Moim zdaniem byli to bardzo dzielni ludzie w okresie minionej wojny, ale niedouczeni, a na tyle zarozumiali, że nie pracowali nad sobą i sami się nie dokształcali. Co do młodzieży, która nigdy prochu nie wąchała, lecz była dobrze wyszkolona, uważałem, że część z nich wyrobi się na dobrych bojowych oficerów, a część odpadnie nie wytrzymując charakterem.

Od zajęcia Kłajpedy zaczęła się w Sztabie Głównym intensywna praca. Nastąpiły również zmiany organizacyjne. Płk dypl. Jaklicz został mianowany zastępcą Szefa Sztabu Głównego do spraw operacyjnych i podlegał mu Oddział III i II oraz sztab lotniczy i inspektorat saperów. Ja byłem już w tym okresie najstarszym oficerem Oddziału III i zastępcą szefa Oddziału, gdyż stanowisko etatowe zastępcy było zniesione, a zastępował najstarszy oficer. Jakoby Jaklicz stawiał moją kandydaturę na szefa oddziału, lecz nie zgodzono się, podobno ze względu na stopień podpułkownika. Uważałem to za słuszne. Na stanowisko szefa Oddziału III został wyznaczony znakomity oficer, płk dypl. Stanisław Kopański. Bardzo mnie to ucieszyło, bo znałem tego dzielnego oficera i najporządniejszego człowieka.

Plan wojny z Niemcami nie był opracowany, a choćby był, straciłby swoją aktualność. Pamiętam, że gdy Niemcy ogłosili Protektorat Czech i Moraw, byłem wtedy z referatem u gen. Stachiewicza. Zadzwonił telefon. Generał podszedł do telefonu i po krótkiej rozmowie położył słuchawkę, i powiedział do mnie:

– Wie pan, dzwonił Beck. Niemcy zajęli Czechy.

– To zmienia zupełnie nasze możliwości frontu zachodniego – powiedziałem.

Do opracowania planu „Zachód" został wyznaczony ppłk dypl. Marecki, dotychczasowy kierownik samodzielnego referatu ogólnego. Właściwie powinien to robić ppłk dypl. Berek, lecz jemu Jaklicz polecił prowadzenie mapy wiadomości o Niemcach. Do mnie zwrócił się Jaklicz, zresztą w bardzo delikatnej formie, abym pomógł Mareckiemu w opracowaniu dokumentów dotyczących frontu zachodniego, ponieważ miałem już w tych sprawach doświadczenie nabyte przy opracowywaniu planu wschodniego. Oczywiście, że nie robiłem żadnych kwestii z mego starszeństwa stopnia i pomagałem Mareckiemu. U nas w Oddziale III panowały naprawdę rozumne stosunki i nie powodowaliśmy się drobnymi ambicyjkami, jak to się często zdarzało w wojsku, a robiliśmy zawsze to, co było potrzeba.

Praca nad planem zaczęła się bardzo intensywnie. Marecki dostał od razu pomocnika w osobie kpt. dypl. Utnika. Rozpoczął pracę Oddziału III, gdyż my musieliśmy przygotować materiał podstawowy do pracy dla Oddziału IV i Szefostwa Komunikacji, które musiało opracować plan transportowy.

Nasz system mobilizacyjny pozwalał na zmobilizowanie alarmowe poszczególnych okręgów korpusów. Ze względów politycznych został w marcu zmobilizowany korpus IX, tj. Brześć n. Bugiem. Zmobilizowano wtedy 20 DP, 30 DP i 9 DP z Siedlec oraz Nowogródzką Brygadę Kawalerii. Jednostki te systemem pokojowym zostały przewiezione nad granicę niemiecką. W wojsku zaczął się ruch, a u niektórych ludzi podenerwowanie.

U nas w sztabie, niestety, też wynikł pewien incydent, który obnażył słabość niektórych ludzi. Mianowicie, któregoś dnia przyszedł do mnie mjr dypl. Szomański z Oddziału IV, bardzo zdenerwowany i poprosił o rozmowę. Oświadczył mi, że przyszedł do mnie po porozumieniu się z kolegami z Oddziału IV, mając do mnie zaufanie, chce się dowiedzieć, dlaczego mimo groźby wojny, oni – Oddział IV nic nie robi. On i jego koledzy posądzają kogoś o zdradę. Wytłumaczyłem mu, że my w Oddziale III pracujemy intensywnie i skoro będzie gotowy materiał operacyjny, dopiero wtedy mogą w Oddziale IV przystąpić do pracy. Mjr Szomański, już uspokojony, wyszedł ode mnie. Teraz ja byłem w rozterce ducha. Czy mam o tym zameldować, czy nie? Doszedłem jednak do wniosku, że źle się dzieje w Oddziale IV i to jeszcze przed zaczęciem wojny. Zameldowałem o tym Jakliczowi. Uważałem, że sprawa jest zbyt poważna, abym mógł zachować ją w tajemnicy. W tym wypadku, gdy chodzi o przygotowania wojenne, nie wolno powodować się względami źle zrozumianego koleżeństwa. Jaklicz tak jak i ja uważał, że sprawa tak poważna, jak załamywanie się jeszcze przed wojną, musi być podana do wiadomości Szefa Sztabu Głównego. W rezultacie płk dyp. Hyc – szef Oddziału IV został przeniesiony na inne stanowisko, a na jego miejsce przyszedł płk dypl. Sulisławski, mój wykładowca służby sztabów z drugiego rocznika Wyższej Szkoły Wojennej.

Praca w Oddziale III szła z pełnym zrozumieniem potrzeby. Siedzieliśmy po nocach. Aby nie zwracać uwagi społeczeństwa i innych niepowołanych osób, okna sztabu zostały zasłonięte czarnym papierem.

Po paru dniach dowiedzieliśmy się, że niemiecki sztab generalny również okna na noc zasłania. Otrzymaliśmy od Generalnego Inspektora zadania dla armii na piśmie. Pisane były własnoręcznie przez marszałka Śmigłego. Przepisaliśmy je na maszynie. Ja później wykonałem szkic na schemacie 1:1 000 000 naszego ugrupowania wstępnego. Uderzyło nas od razu kordonowe rozciągnięcie wielkich jednostek nad granicą. Długo rozważaliśmy z Jędrkiem Mareckim, dlaczego powstała taka decyzja. Szefostwo komunikacji już pracowało nad planem transportowym, gdy płk Kopański objął urzędowanie.

Poszedłem do nowego szefa ze szkicem i nie omieszkałem wyrazić swego zdziwienia na temat kordonowego ugrupowania. Po prostu nie rozumiałem tej decyzji. Wypływało to z tego, że nie znałem treści naszej umowy z Francją i zapatrywań Marszałka na wartość tej umowy. Płk Kopański również nie był zachwycony takim ugrupowaniem, ale uważał, że już nic nie można zmienić. Rozmawiałem też z płk. Jakliczem na ten temat. Jaklicz był tajemniczy, a gdy mu powiedziałem, że przy takim ugrupowaniu zostaniemy od razu rozbici, zapytał mnie, jaką ja miałbym decyzję? Odpowiedziałem, że według mojego zdania myślą przewodnią powinno być niedopuszczenie do rozbicia sił, cofając się choćby

do granicy rumuńskiej. Tracić teren, a nie tracić wojsk. Jaklicz tylko tyle powiedział: „Niech pan tego nikomu nie mówi, bo okrzyczą pana jako defetystę".

W lecie 1939 roku płk Jaklicz wyjeżdżał do Paryża razem z gen. Kasprzyckim, aby omówić z Francuzami sprawy naszego sojuszu wojskowego. Przed wyjazdem prosił mnie, abym w razie jakiegoś wypadku z nim, zniszczył jego prywatne papiery przechowywane w jego biurku (szelma – kobieciarz!). To powrocie z Paryża zapytałem go o możliwości francuskie. Oczywiście nie mógł mi nic powiedzieć, gdyż to była najściślejsza tajemnica, ale jednak mruknął: „Nie mają ciężkiej artylerii". To mi wystarczyło. Działania zaczepne ze strony francuskiej były nierealne. Łamanie linii Zygfryda odpadało. Obrona za linią Maginota.

Wydaje mi się, że teraz już rozumiem, o co chodziło marszałkowi Śmigłemu i całemu Komitetowi Obrony Rzeczypospolitej. Nie mam żadnych na to dowodów, ale przypuszczam, że ocena położenia Polski była następująca: od okresu zakończenia wojny polsko-sowieckiej i Traktatu Ryskiego Polska musi się liczyć, że będzie zmuszona bronić jeszcze w przyszłości swej niepodległości. Niepodległość Polski może być zagrożona przede wszystkim od wschodu, gdyż dążeniem komunizmu jest rozprzestrzenienie go na cały świat. Droga komunizmu na zachód prowadzi przez Polskę. A więc Polska pierwsza musi być skomunizowana, co nie uda się przeprowadzić drogą pokojową. Marszałek Piłsudski kiedyś powiedział do Wieniawy, który mi to powtórzył: „Komunizm to wielki eksperyment – Polskę nie stać na eksperymenty". I faktycznie w Polsce komunizm był niepopularny i nie mógł inaczej się przyjąć, gdyby nie był narzucony siłą bagnetów sowieckich. Zresztą przewidywanie było słuszne i obecne dążenia przez tzw. socjalizm do komunizmu są możliwe tylko przy oparciu o siłę sowiecką, wbrew woli prawie całego narodu.

Wiadomości zdobywane przez wywiad świadczyły wyraźnie o przygotowywaniu sowieckiej ekspansji militarnej, przez Polskę, na zachód. A więc byliśmy zagrożeni od wschodu na pewno. Wszelkie twierdzenia, że Sowiety nigdy nie miały zamiarów agresywnych w stosunku do Polski, są zwykłym kłamstwem. Potwierdził to rok 1939.

A teraz zachód. Oczywiście, że trzeba się było liczyć, że „Drang nach Osten" nie zniknął z umysłów niemieckich. Lecz po pierwszej wojnie światowej bronił nas przed Niemcami Traktat Wersalski. Stutysięczna Reichswehra nie była bardzo groźna, zwłaszcza przy naszym sojuszu wojskowym z Francją. Tym się też tłumaczy, że do roku 1933, tj. do czasu dojścia do władzy Hitlera – Polska głównie była nastawiona na obronę od wschodu. Gdy Hitler złamał Traktat Wersalski i rozpoczął zbrojenia, a alianci zgodzili się na to i nie reagowali zbrojnie

– w 1934 roku[60] Marszałek Piłsudski zaproponował Francji wspólne, profilaktyczne uderzenie na Niemcy. Francja nastrojona pacyfistycznie i widocznie uważająca, że jej niewykończone fortyfikacje linii Maginota zabezpieczają ją dostatecznie – odmówiła. To zrobili politycy francuscy, bo sądząc z listów – jakie otrzymałem od Józia Makowieckiego z Paryża, francuskie koła wojskowe były tego zdania jak nasz Marszałek. Wykładowcy w École de Guerre[61] mówili Makowieckiemu o konieczności profilaktycznej wojny. Polska w odosobnieniu nie mogła uderzyć na Niemców i była zmuszona zawrzeć pakt o nieagresji. Hitler, w okresie zbrojenia się, chętnie zawarł taki pakt, bo zależało mu na czasowym pokoju. Po śmierci Marszałka Piłsudskiego marszałek Śmigły znów w 1936 roku proponował, jeszcze nie spóźnione, uderzenie na Niemnów[62]. Znów nastąpiła odmowa. Obecnie zarzuca się, że Polska nie zawarła sojuszu z Sowietami i nie zgodziła się na przepuszczenie wojsk sowieckich przez Polskę. Bo wpuszczenie Sowietów do Polski równało się utracie niepodległości. Zmusiłoby do zmiany ustroju i doprowadziłoby do takiej samej nędzy jak w Sowietach. Tego olbrzymia większość Polaków nie chciała. Na pewno nie chcieli wszyscy chłopi, bo bali się kołchozów jak zarazy. Nie chciała inteligencja posiadająca i nie posiadająca, nie chciała też klasa robotnicza – na pewno w znacznej części. Strach przed komunizmem i widmo sowieckiej nędzy były wielkie: Polska nie mogła pójść w niewolę Sowietów dobrowolnie. A więc byliśmy w 1939 roku zagrożeni z dwóch stron, od wschodu i od zachodu. Marszałek Piłsudski twierdził, że nie możemy, w żadnym wypadku, walczyć na dwa fronty. A więc jakie wyjście? Nie mamy sił do pokonania Niemców. Może ich pokonać tylko ktoś inny. Trzeba, aby w wypadku napadu na Polskę wynikł konflikt ogólnoświatowy, to może po klęsce Niemców odzyskamy niepodległość. Jeżeli słusznie oceniam położenie, to jedynym celem Polski, w wypadku napadu Niemców, będzie doprowadzenie do wojny światowej. Jeżeli istotnie był taki cel, to nie można powiedzieć, że nie został on osiągnięty. Wojnę wypowiedziała Anglia i Francja. Z tą chwilą nasze zadanie było skończone. Teraz bardziej zrozumiały jest nasz plan operacyjny. Chodziło, aby przeprowadzić demonstrację zbrojną, dla wywołania wojny światowej, ponosząc możliwie małe straty.

Jeżeli nie mieliśmy sił do pobicia Niemców, a na pewno nie mieliśmy, bo nie miały i nawet takie potęgi jak Anglia, Francja i Rosja, to co by pomogło, gdybyśmy walczyli jeszcze kilka tygodni lub nawet miesięcy – dłużej? Prócz strat nic

[60] Chodzi oczywiście o rok 1933 – zob. Leszek Moczulski, *Wojna prewencyjna. Czy Piłsudski planował najazd na Niemcy?*, Bellona 2017, s. 5–99 (przyp. red.).

[61] *École Supérieure de Guerre* – Wyższa Szkoła Wojenna w Paryżu (przy. red.).

[62] Propozycja Śmigłego była związana z zajęciem Nadrenii przez Niemcy. L. Moczulski, *Wojna prewencyjna...*, s. 129–157 (przy. red.).

byśmy nie osiągnęli. A co by nam pomogła Rosja? Rosja, która szykowała się do wojny od, co najmniej, 1926 roku, posiadała dwa i pół raza więcej ludności od Niemców, olbrzymie zasoby surowcowe, pierwsza stworzyła korpusy moto-mechaniczne, korpusy lotnicze, jednostki spadochronowe, Rosja, która miała dwa lata od zapoznania się z nowoczesną taktyką niemiecką i nowoczesnym uzbrojeniem, ta Rosja cofa się od pierwszego uderzenia Niemców aż pod Moskwę! Dlatego wydaje się, że i polityka, i plan strategiczny Polski był słuszny. Nie było innego wyjścia odpowiadającego narodowi. Musieliśmy ponieść klęskę militarną, aby w ostateczności zyskać politycznie. Czy zyskamy? To się okaże, bo do dziś wojna właściwie nie jest zakończona. Traktat pokojowy nie jest zawarty, a świat siedzi na beczce prochu.

A teraz krytyka operacyjna. Jest ona na pewno potrzebna dla nauki, ale jeżeli cel jest osiągnięty to „zwycięzców nie sądzą". Myśmy, moim zdaniem cel osiągnęli. A co by było, gdyby było? Co by było, gdyby gen. Kutrzeba to zrobił, a gen. Rómmel tamto lub gen. Bortnowski owo? Czy wojnę wygralibyśmy? Czy to ułatwiłoby sprzymierzeńcom zwycięstwo? Nie!

Gdyby Francja rozpoczęła działania zaczepne przeciw Niemcom z chwilą napadu na Polskę, wtedy zupełnie byłaby inna sprawa. Wtedy trzeba byłoby wykazać całą sztukę dowodzenia, waleczność i ofiarność wojsk. Wtedy błędy operacyjne i taktyczne odgrywałyby ogromną rolę. Ale przy bierności sprzymierzeńców wszelkie wysiłki byłyby sztuką dla sztuki i nie dałyby pozytywnych rezultatów. Dlatego, taką książkę jak Kirchmayera[63], uważam za publikację czysto dochodową i chęć zrobienia wazeliny do gładszego zrobienia świńskiej kariery.

Przy rozpatrywaniu wszelkich na dużą skalę prowadzonych działań wojennych nie można podchodzić bez założeń politycznych. Wojna to ostatni argument dyplomacji w osiągnięciu celów politycznych. Dlatego od dziś będę bronił marszałka Śmigłego-Rydza, bo uważam, że ten nieszczęśliwy człowiek, z całą świadomością, wziął na siebie straszny ciężar przewidywanej przegranej militarnej dla osiągnięcia celu politycznego, tj. uratowania, choć w przyszłości, niepodległości, wolności i suwerenności Polski. Przyznaję się, że pomstowałem na niego w 1939 roku i uważałem, że raczej powinien zginąć, niż wyjechać z Polski. Dziś mu to przebaczyłem. Nie każdego stać na bohaterstwo osobiste oddania życia, zwłaszcza gdy otoczenie wmawia w kogoś, że jeszcze jego rola nie jest skończona. Marszałek Śmigły był na pewno honorowym żołnierzem

[63] Chodzi prawdopodobnie o *Kampanię Wrześniową* Jerzego Kirchmayera, wydaną w 1946 (przyp. red.).

i najuczciwszym patriotą, a na pewno chciał jak najlepiej dla Polski i nie powodował się własnymi ambicjami.

Z tych wyżej podanych względów nasza krytyka planu ugrupowania początkowego była na pewno powierzchowna. Ani ja, ani Marecki nie znaliśmy myśli przewodniej Naczelnego Wodza, opartej na celach politycznych. Podeszliśmy do zagadnienia zwyczajnie, tak jak nas uczyli w szkole, po żołniersku. Bronić się aż do zwycięstwa, co oczywiście było nierealne. Ale w naszych umysłach nie mieściła się taka szybka klęska militarna. Wszystkie powierzone nam prace wykonywaliśmy najskrupulatniej i najlojalniej. Początkowo nie znałem mego przydziału mobilizacyjnego. Nic nie wskazywało na moje odejście ze Sztabu Głównego. Śledziłem więc systematycznie prowadzoną przez ppłk. Berka mapę wiadomości. Któregoś dnia doszedłem do wniosku, że Niemcy prowadzą powolną mobilizację przez powoływanie roczników na ćwiczenia i nie zwalnianie ich. Również powstawały obozy ćwiczeń, które dość wyraźnie wyglądały na koncentrację. Poszedłem z tym do Jaklicza i postawiłem wniosek, aby zmobilizować bez ogłaszania mobilizacji te dywizje piechoty, które osiągały gotowość po 7–14 dni. Uważałem, że w wypadku wojny nie zdążą się one w ogóle zmobilizować. Proponowałem, aby powołać do jednostek mobilizujących na ćwiczenia oficerów i szeregowych rezerwy, a konie zakupić i w ten sposób najpóźniej mobilizujące się jednostki zmobilizować najpierw. Według mego zdania pozwoliłoby to postawić w stan gotowości całą armię w ciągu 36 godzin. Po paru dniach dostałem odpowiedź od płk. Jaklicza, że Marszałek nie zgadza się i twierdzi, że zdążymy się zmobilizować. Później okazało się, że nie zdążyliśmy, ale i tak to nie miało zasadniczego znaczenia.

Dostaliśmy z Mareckim protokoły odpraw Generalnego Inspektora z Inspektorami Armii. Gdzieś w lipcu Marszałek powiedział, że wojna będzie we wrześniu. Tak się stało. Protokoły te nie były pocieszające. Wykazywały słabą wyobraźnię u naszych wyższych dowódców. Pamiętam, że gen. Dąb-Biernacki, wyznaczony na dowódcę armii rezerwowej rozpracowywał teren tak, że wyraził się dosłownie: „Muszę wiedzieć, gdzie będę walczył ogniem, a gdzie uderzał bagnetem". Na to dziecinne twierdzenie Marszałek zwrócił mu uwagę, że to są prace nierealne, nie negując konieczności rozpoznania terenu ewentualnych przyszłych walk armii.

W końcu czerwca otrzymałem telefoniczne zapytanie z Departamentu Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych, lub może zapytał mnie Jaklicz, który pułk wybieram: 13 pułk ułanów czy 8 pułk strzelców konnych, gdyż muszę iść na dowództwo pułkiem. Byłem już 5 lat podpułkownikiem, a pułkownikiem nie można było zostać bez dowodzenia pułkiem. Mimo wszystko czułem się bardzo zawiedziony. Ogólnie, wszyscy w szwoleżerach uważali, że ja przyjdę na

dowództwo swego macierzystego pułku, ale płk dypl. Janusz Albrecht z pułku nie odchodził i miejsce było zajęte. Nawet na wiosnę, kiedy Jaklicz wspomniał o możliwości mego ewentualnego odejścia na pułk, namawiałem go, aby zaproponował Szefowi Sztabu Głównego przesunięcie Albrechta na szefa sztabu KOP. Wydaje mi się, że gen. Stachiewicz nie adorował Albrechta i nie zgodził się na taką propozycję. Nie było wyjścia. Wybrałem 13 pułk ułanów Wileńskich. Pułk miał ładne tradycje i wolałem Nowowilejkę niż Chełmno.

W ostatnich dniach czerwca i pierwszych dniach lipca wyjechałem na kilka dni prywatnie z Warszawy na Śląsk Cieszyński. Gdy wróciłem, po paru dniach nadeszła na piśmie moja nominacja na dowódcę 13 pułku ułanów Wileńskich. Byłem nawet rad, że na zbliżającą się wojnę idę do linii, a nie będę w sztabie. Odchodzili również na pułki moi koledzy z Oddziału III: ppłk dypl. Stanisław Sienkiewicz i ppłk dypl. Jan Berek.

W 13 pułku ułanów Wileńskich

Po otrzymaniu nominacji na dowódcę pułku powinienem natychmiast odejść ze sztabu, zostałem jednak zatrzymany do dnia 27 lipca 1939 roku.

Z prawdziwą boleścią zdejmowałem barwy 1 pułku szwoleżerów J.P. Mój ukochany pułk, w którym z małymi przymusowymi rozstaniami, przesłużyłem od osiemnastoletniego rekruta do zastępcy dowódcy pułku, w stopniu podpułkownika, był mi zawsze najdroższy i z dumą nosiłem jego barwy. Dwadzieścia cztery lata to długi okres, a ja w pułku przesłużyłem od 1915 do 1939 roku. Lecz rozkaz w wojsku jest świętą rzeczą. Włożyłem więc rogatywkę z różowym otokiem i zmieniłem na naramiennikach cyfrę z J.P. na 13. Gdy tak przebrany poszedłem do GISZ spotkałem tam gen. Głuchowskiego, I wiceministra Spraw Wojskowych. Nie podszedłem do niego przywitać się, lecz widziałem, jak zrobił pewien gest, gdy zobaczył mnie w innych barwach. Na drugi dzień powtórzył mi ktoś z Ministerstwa Spraw Wojskowych, że gen. Głuchowski kazał mi powiedzieć, że jak tylko zwolni się miejsce dowódcy pułku w szwoleżerach, to natychmiast będę przeniesiony na to stanowisko. Odpowiedziałem, że dziękuję, ale nie skorzystam z tego, bo byłoby to, w moim przekonaniu, ubliżające 13 pułkowi ułanów, którego dziś jestem dowódcą.

Ponieważ nie mogłem od razu objąć dowództwa pułku pojechałem na jeden dzień do Wilna, aby zameldować się dowódcy brygady gen. Rudolfowi Dreszerowi. Porozumiałem się przed wyjazdem telefonicznie z szefem sztabu brygady w sprawie przyjęcia mnie przez generała. Gdy wysiadłem na dworcu w Wilnie, oczekiwał mnie ppłk dypl. Skrzydlewski, szef sztabu brygady, który odwiózł

mnie do sztabu. Po formalnym zameldowaniu się, rozmawiałem z generałem dość długo. Opowiadał mi dużo o pułku i wydawał opinie o poszczególnych oficerach. Zresztą te opinie pokojowe zupełnie nie sprawdziły się podczas wojny. Np. o rotmistrzu Sedivi, wydał opinię jako o oficerze przeciętnym, nawet słabym taktycznie, a podczas wojny był on jednym z najdzielniejszych oficerów. Tegoż dnia musiałem z Dreszerem pojechać do pułku do Nowowilejki, z czym się nie liczyłem. W pułku było zebranie z oficerami rezerwy, a później śniadanie w kasynie. Gdy przyjechałem, zrobił się ruch. Przyjazd nowego dowódcy pułku zawsze jest sensacją. Oficerowie zebrali się w kasynie i przy szablach, i orderach, uszykowani w jeden szereg, zostali mi przedstawieni, wymieniając stopnie, nazwiska i zajmowane stanowiska.

Gdy wchodziłem na salę balową, gdzie byli zebrani oficerowie pułku, czułem się jak aktor wchodzący na scenę. Wiedziałem, że będę obejrzany i zaopiniowany krytycznie, a każdy mój ruch i każde słowo będzie omawiane. Wiedziałem, że aby przewodzić, trzeba stać wyżej od przewodzonych i nie tylko stopniem wojskowym i nominacją, lecz pod każdym względem, tak pod względem charakteru, rozumu, wykształcenia, kultury, ale i zewnętrzne cechy odgrywają dużą rolę. Byłem ubrany bez zarzutu i wiedziałem, że umiem nosić mundur i umiem się w nim ruszać, lecz nie byłem przygotowany do przemówienia, a musiałem jednak przemówić.

Po przedstawieniu się oficerowie przeszli do sali jadalnej i podano wódkę z przekąskami, major dypl. Szajter, zastępca dowódcy pułku, wypił moje zdrowie. Teraz ja musiałem powiedzieć. Powiedziałem, zresztą bardzo krótko, że uważam sobie za zaszczyt wyznaczenie mnie na stanowisko dowódcy pułku, który jest starym pułkiem i posiada piękne tradycje bojowe, a ja je wysoko cenię, gdyż jako rodowity szwoleżer Józefa Piłsudskiego, pochodzę z pułku o bogatej przeszłości bojowej. „Nie chcę dużo mówić, bo czego dokonam w pułku, to się okaże, zapewniam panów tylko, że przychodzę do was z otwartym sercem i najlepszymi chęciami".

Po moim krótkim przemówieniu zapanował świetny nastrój i ja poczułem się wśród moich nowych podwładnych i kolegów – doskonale. Trzeba podkreślić, że u nas w kawalerii panowały bardzo dobre stosunki i dobre obyczaje. Uważaliśmy się za jedną rodzinę, lecz w odróżnieniu od piechoty zależało nam na służbie w danym pułku, a nie garnizonie. My szwoleżerowie byle w pułku, to mogliśmy iść do każdego garnizonu. Przywiązanie do pułku pozostawało na zawsze. Na święta pułkowe zjeżdżali się prawie wszyscy do swych macierzystych pułków. Łączyła nas zawsze odznaka pułkowa, jako symbol przynależności do wspólnej rodziny.

Wróciłem do Warszawy i znów po kilku dniach wyjechałem do Grodna, aby zameldować się u dowódcy Okręgu Korpusu i przedstawić się szefom służb korpusu. Nie zdążyłem tylko przed odejściem pociągu być u szefa sanitarnego i szefa weterynarii, co pociągnęło za sobą pewne szykany ze strony szefa sanitarnego.

Dokładnie 27 lipca 1939 roku dwa wozy meblowe zabrały moje rzeczy z mieszkania przy ulicy Szwoleżerów 16, z domu, w którym przemieszkałem, zmieniając mieszkania na coraz większe i lepsze, przez 20 lat. Tu przeżyłem całą młodość i doznałem największych powodzeń w życiu służbowym, tu wychowali się moi, nigdy nie zapomniani synowie, Adaś i Maciuś. Stąd musiałem wyjechać na zawsze, bo dziś już nawet śladu nie ma z domu. Opuszczałem mój ukochany pułk i moją drogą Warszawę.

Na Dworcu Głównym w Warszawie żegnali mnie koledzy szwoleżerowie, z orkiestrą pułkową, która zagrała mi marsza 1 pułku szwoleżerów, a następnie 13 pułku ułanów. Tak rozstałem się z moim dawnym, wspaniałym życiem.

Gdy rano 23 lipca przybyłem do Nowowilejki, tego samego dnia przyszły moje meble i rzeczy. Wynająłem w 19 pal konie do sprowadzenia z Wilna do Nowowilejki wozów meblowych i wynająłem cywilnych ludzi, którzy znieśli mi meble do mieszkania. Urządziłem się szybko i na stałe. Nie chciałem, aby mój przyjazd do 13 pułku ułanów wyglądał na coś tymczasowego, na jakiś chwilowy *stage*.

Pułk był na strzelaniach, na poligonie Pohulanka. Na 2 sierpnia, tj. w 25 rocznicę wyruszenia patrolu Beliny i 25-lecie 1 pułku szwoleżerów, wyznaczyłem na oficjalne objęcie pułku, które miało się odbyć na Pohulance. Chwilowo zapoznawałem się z pułkiem teoretycznie, tj. w Nowowilejce. Orientując się doskonale w ogólnej sytuacji politycznej, pierwsze moje kroki skierowałem do referatu mobilizacyjnego. Zbadałem elaborat i poleciłem go natychmiast zaktualizować. Zresztą muszę przyznać, że dzięki oficerowi mobilizacyjnemu rtm. Walerjanowi elaborat był w dużym porządku i wymagał minimalnej aktualizacji. Zdawałem sobie sprawę, że ten elaborat w niedługim czasie będzie potrzebny i musi zdać egzamin.

2 sierpnia koleją pojechałem na Pohulankę. Na uroczystość objęcia pułku przybył zastępca dowódcy Brygady, płk dypl. Drucki-Lubecki, stary, wojenny oficer 13 pułku ułanów. Ponieważ mój poprzednik płk Chmielewski wcześniej już odszedł na 3 pułk ułanów – 13 pułk zdawał mi zastępca dowódcy major dypl. Szajter. Uroczystość ta odbyła się trochę inaczej niż to było praktykowane ogólnie. Pułk stanął nie w umundurowaniu pokojowym, a w czysto polowym, tj. w hełmach stalowych i z lancami bez proporców, z maskami przeciwgazowymi

i łopatkami przy boku. Zresztą wszystko odbyło się regulaminowo. Został mi oddany sztandar pułkowy, który odebrałem klęcząc i ucałowałem jego róg. Nadano mi odznakę pułkową, którą normalnie dostaje się po 2 latach bytności w pułku, a tylko dowódca dostaje od razu. Po uroczystości odbył się obiad w kasynie poligonowym, podczas którego troszkę sobie popiliśmy.

W następnym dniu zacząłem robić, dość szczegółowy, przegląd wyszkolenia bojowego poszczególnych szwadronów. Ogólnie stwierdziłem po paru dniach przeglądu, że pułk jest na dość wysokim poziomie, co dawało pewną gwarancję, że w czasie wojny wywiąże się z zadań.

Muszę jeszcze wspomnieć, że podczas obiadu, po objęciu pułku, nadeszła depesza z Rzymu od gen. Wieniawy-Długoszowskiego, naszego ambasadora przy Kwirynale, następującej treści: „Winszuję 13 pułkowi ułanów dowódcy, a pułkownikowi pułku. Wieniawa".

Zastałem na poligonie pismo dowódcy korpusu, niezałatwione przez majora Szajtera, oczekujące mojej decyzji. Korpus przysyłał odpis raportu szefa sanitarnego DOK III z inspekcji sanitarnej przeprowadzonej w 13 pułku ułanów na poligonie. Raport ten stawiał wiele zarzutów pod adresem dowództwa pułku i kończył się poleceniem ukarania winnych i zameldowania wymiaru kar dowódcy korpusu. Zbadałem dokładnie wszystkie zarzuty, z których najważniejsze okazały się nieuzasadnione. Poleciłem więc adiutantowi pułku rtm. Tarnowskiemu, wytłumaczyć wszystkie zarzuty, w myśl moich wytycznych, a na zakończenie prosiłem dowódcę korpusu o zwolnienie mnie z obowiązku nakładania kar na oficerów, motywując, że nie uważam za dobry system wychowawczy rozpoczynać dowodzenie pułkiem od karania. Nikogo nie ukarałem i tak pozostało.

W ogóle przyjąłem jako zasadę, że nic nie krytykowałem tego, co zastałem. Na początek tylko patrzyłem i rozpytywałem o wszystko. Chciałem dokładnie poznać pułk i zrozumieć dlaczego jest tak, a nie inaczej, bo przecież mój poprzednik też myślał i jeżeli coś ustanowił, to musiało mieć jakieś uzasadnienie.

Przed moim przyjazdem do pułku wynikł przykry incydent między dwoma oficerami. W kasynie, po wódce, posprzeczali się o jakieś głupstwo por. Makaliński i por. Rostworowski. Por. Rostworowski podobno lubił sobie popić i bywał często awanturniczo usposobiony. W tym wypadku posunął się tak daleko, że uderzył w twarz por. Makalińskiego. Dziś ludzie biją się po twarzach i obcierają się chusteczką, a w najlepszym razie skarżą się do sądu. U nas w wojsku wtedy, to było coś tak strasznego i tak szalona obraza, która mogła być załatwiona jedynie na drodze honorowej przez pojedynek. Zanim objąłem pułk, pojedynek na szable odbył się i por. Rostworowski został ranny oraz udzielono mu urlopu. Nie zastałem go więc w pułku.

Ponieważ zająłem się gorliwie sprawami pułkowymi, wniknąłem i w sprawy finansowe oficerów i podoficerów zawodowych. Okazało się, że są oficerowie i podoficerowie zadłużeni w spółdzielni pułkowej. Trzeba było ten problem rozwiązać. Po dokładniejszym zbadaniu sprawy doszedłem do wniosku, że przyczyną długów u oficerów jest pewnego rodzaju lekkomyślność, natomiast podoficerów – ciężary rodzinne w postaci dużej ilości dzieci.

Po kilku dniach wyjechałem więc do Warszawy do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Tu załatwiłem sprawy w Biurze Personalnym, przeniesienie por. Rostworowskiego do innego pułku, gdyż mimo pojedynku w jednym pułku z Makalińskim służyć nie mogli. Załatwiłem pozwolenie na małżeństwo ppor. Szamoty, wreszcie udałem się do Szefa Administracji Armii gen. Litwinowicza i tu uzyskałem zapomogę dla podoficerów. Dla oficerów prosiłem o pożyczkę, gdyż zapomogi nie chciałem, uważając, że za lekkomyślność nie należy dawać zapomóg. Pożyczki, ze względów formalnych, nie otrzymałem.

Przed 15 sierpnia 1939 roku pułk powrócił z Pohulanki do Nowowilejki, aby wziąć udział w Święcie Żołnierza i 25-leciu 1 Dywizji Piechoty Legionów, na które przyjechał Prezydent Mościcki. W Wilnie odbyła się defilada, w której wziąłem udział ze szwadronem z pułku. Po defiladzie, o godz. 17 odbył się podwieczorek u wojewody w ogrodzie, byłem tam i później poszliśmy do restauracji na kolację w dość licznej kompanii, był z nami również nasz attaché wojskowy w Kownie, płk dypl. Żółtek-Mitkiewicz. Z nim przyjechało do Wilna z Litwy parę osób cywilnych. Podczas kolacji, w rozmowie z przyjezdnymi, miałem możność przekonać się o strasznej nienawiści Polaków z Litwy do Litwinów. Do pewnego stopnia miało to swoje uzasadnienie, gdyż nienawiść do Polaków była podsycana wśród Litwinów tak przez dawne rządy carskie, jak przez Niemców, co powodowało szykany w stosunku do wszystkiego co polskie. Nie było mi do smaku, gdyż zawsze byłem zwolennikiem porozumienia z Litwą.

Na 20 sierpnia otrzymałem zaproszenie od kolegów z Oddziału III Sztabu Głównego na wieczór pożegnalny odchodzących nas trzech ze sztabu na pułki, tj. Stasia Sienkiewicza, Janka Berka i mnie. Oczywiście pojechałem. Na zakończenie, po kolacji płk Jaklicz powiedział mi, że mobilizacja alarmowa będzie w tych dniach zarządzona. Lecz to nie mogło wyrównać opóźnienia dywizji mobilizujących się w mobilizacji powszechnej. Z kasyna Sztabu Głównego poszliśmy jeszcze z ppłk. Narzymskim na dancing do „Bristolu". Tu spotkałem naszego attaché wojskowego z Londynu płk. pil. Kwiecińskiego. Siedzieliśmy w loży i dużo z nim rozmawiałem na temat przyszłej wojny. Kwieciński uważał, że o wszystkim zadecyduje lotnictwo i przesadnie oceniał wpływ moralny bombardowań na ducha stron wojujących. Twierdził, że Niemcy nie wytrzymają

bombardowań alianckich. Wojna pokazała coś innego. Lotnictwo miało kolosalne znaczenie, ale nie rozstrzygnęło o zwycięstwie.

Dzień 21 sierpnia był dniem, w którym ostatni raz widziałem mego najukochańszego brata i największego przyjaciela – Bronka. Gdy żegnaliśmy się w Warszawie, w jego mieszkaniu przy ulicy Mochnackiego, żaden z nas nie myślał, że widzimy się po raz ostatni. Zginął miesiąc później w Warszawie dnia 25 września 1939 roku.

Wróciłem do Nowowilejki oczekując na rozkaz mobilizacyjny. Adaś i Maciuś wrócili z Michałowszczyzny już do Nowowilejki. Adaś był przyjęty do Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, Maćka przeniosłem do Liceum przy Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Wiedziałem, że zaczną się ciężkie i straszne czasy, których już nic nie odwróci. Wojna wisiała w powietrzu.

Przed 24 sierpnia otrzymałem tajny rozkaz stawienia się na strzelnicy bojowej wraz z dowódcami szwadronów, rusznikarzem i strzelcami wyborowymi po jednym z każdego szwadronu. Nakazano przywieźć z magazynu mobilizacyjnego skrzynię z napisem: „Sprzęt optyczny". Dowódca brygady, obecny na strzelnicy, odebrał od wszystkich przysięgę dotycząca zachowania w tajemnicy tego, co będziemy robili. Po otwarciu skrzyni wyjęto długie karabiny przeciwpancerne. Przeprowadziliśmy próbę strzelania, po czym karabiny zostały dokładnie wyczyszczone przez rusznikarza, nasmarowane i zapakowane do skrzyni. Przed zapieczętowaniem kazałem rusznikarzowi wziąć miarę na zrobienie tulei do strzemienia, z buta karabinu. Karabin taki miał otrzymać każdy pluton liniowy. Wzór karabinu był jeden tak dla piechoty, jak i kawalerii, a sposób wożenia go, ze względu, przypuszczam, na tajemnicę, nie został podany. Zdecydowałem więc, że w moim pułku będzie wożony tak jak lanca, w tulei przy strzemieniu, gdyż był za długi i za ciężki, aby można go było wozić na plecach. Poleciłem, aby w warsztacie rusznikarskim wykonano natychmiast 12 tulei-butów do strzemion, a warsztat krawiecki wykonał 12 pokrowców brezentowych. Wszystko zostało szybko i dokładnie wykonane, gdyż liczyłem się z każdą chwilą zarządzenia mobilizacji alarmowej. Świadczył o tym przydział w ostatnich dniach uzupełnienia nowego uzbrojenia i ekwipunku. Otrzymaliśmy już wcześniej najnowsze armatki przeciwpancerne, karabiny maszynowe ciężkie i ręczne, taczanki pod karabiny maszynowe i łączności, ręczne karabinki i pistolety, całkowite umundurowanie i siodła. Wiedziałem, że gdy nastąpi mobilizacja będę miał pułk wyposażony we wszystko nowe i w najlepszym gatunku.

Gdybyśmy w 1918 roku tak wyekwipowani wyszli na wojnę, to bylibyśmy najlepszym wojskiem. Byliśmy, w granicach ówczesnego planowania, na pewno zapięci na ostatni guzik. To, na co Polskę było stać – dała nam. Nie byliśmy wojskiem przygotowanym organizacyjnie i wyposażeniowo do wojny, jaka

miała się rozpocząć, ale to było niemożliwe, choćby ze względu na warunki gospodarcze i finansowe Polski. Z pustego i Salomon nie naleje. A gdyby nawet i nalał, to w odosobnieniu nie mogliśmy pokonać takiej potęgi jaką byli Niemcy.

Sylwester 1932. Na jednym krześle siedzą płk. Bolesław Wieniawa Długoszowski i rtm. Józef Szostak. Z lewej, na pierwszym planie, w długich białych sukniach, stoją małżonki obu kawalerzystów: Bronisława Wieniawa-Długoszowska oraz Helena Szostak

Część II

1939—1955

Spis treści

Druga wojna światowa 239
Okupacja i ukrywanie się. 253
W Związku Walki Zbrojnej. 267
Na skrawku Niepodległej Polski 288
W niewoli. 313
Na wolności 326
W Łodzi. 362
Zapłata za wierną służbę 364
Zakończenie 407

Druga wojna światowa

Byłem na pewno jedynym oficerem Wileńskiej Brygady Kawalerii, którego wojna i mobilizacja nie zaskoczyły. Czekałem tylko na ten moment. Znałem przydział naszej brygady i jej miejsce koncentracji. Oczywiście zachowałem te wiadomości wyłącznie dla siebie.

Nic więc dziwnego, że gdy 24 sierpnia 1939 roku o godzinie 5 rano, zbudził mnie dzwonek przy drzwiach frontowych, wiedziałem o co chodzi. Wstałem i osobiście otworzyłem drzwi. Oficer inspekcyjny pułku podał mi depeszę zwykłą. Otworzyłem ją natychmiast i przeczytałem: „Zarządzam mobilizację alarmową, godz. A – godzina 6 dnia 24.08.1939 r.". Ubrałem się natychmiast, uprzednio nakazawszy oficerowi inspekcyjnemu otworzenie instrukcji alarmowej i wykonanie jej. Po paru minutach byłem w swoim gabinecie służbowym. Oficer mobilizacyjny podał mi zaraz teczkę dowódcy pułku i przyniósł dziennik mobilizacyjny pododdziałów, które rozdałem i poleciłem rozpoczęcie o godz. 6 wszystkich czynności związanych z mobilizacją. Wszystko szło sprawnie i bez specjalnych trudności; nie można było liczyć drobnych uchybień, które nie przyniosły szkód. Opóźniło się trochę przybycie koni, gdyż chłopi, zwłaszcza Białorusini, zanim namyślili się, że trzeba konie zaprowadzić przed komisję, musieli dość długo skrobać się w głowę i stękać. Fakt, że w nakazanym terminie gotowość mobilizacyjna została osiągnięta. Pułk został zmobilizowany z jednym, stosunkowo mało ważnym brakiem, tj. brakiem po jednym na pluton juku amunicyjnym do ręcznego karabinu maszynowego. Zabraliśmy konie juczne, licząc, że juki nadejdą.

Zrobiłem przegląd pułku w pełnym składzie z taborem na placu koszarowym. Pułk wyglądał wspaniale i był solidnie uzbrojony i wyekwipowany, na dobrych koniach wierzchowych i świetnych w armatach i taczankach.

Gdybyśmy taką kawalerię mieli w 1920 roku! Niestety, wtedy mieliśmy bardzo źle wyekwipowaną, słabo wyszkoloną, jedynie ze wspaniałym duchem. W 1939 roku ta świetna kawaleria, na pewno z dobrym duchem, była już bronią przestarzałą na nowoczesną wojnę, zwłaszcza z przeciwnikiem zachodnim. Dużo by można na ten temat mówić i pisać, lecz ja nikogo nie potępiam, bo znam warunki, które zmuszały do takich, a nie innych decyzji. Sądzić powierzchownie jest bardzo łatwo, lecz takie sądy są niepoważne i nie zamierzam brać ich pod uwagę.

Po zakończeniu mobilizacji oczekiwałem na rozkaz załadowania pułku. O ile pamiętam, załadunek odbył się na stacji Bezdany w dniu 28 lub 29 sierpnia. Załadunek i transport rozpoczął się bez żadnych zakłóceń. Zmieniłem tylko częściowo planowanie rozłożenia transportu, gdyż osobiście pojechałem pierwszym transportem, oczywiście zabierając swoje konie i samochód osobowy, a nie drugim – jak to było przewidziane początkowo.

W Bezdanach żegnały nas żony oficerów i podoficerów zawodowych, które jednak nie wierzyły, że jedziemy na wojnę. Słyszało się takie powiedzenia, że powiozą nas nad granicę, postoimy tam i wrócimy. Niestety stało się zupełnie inaczej. Wiedziałem, że wojna będzie i dlatego żegnając się z moimi najbliższymi prosiłem, aby trzymali się razem i nie rozłączali się z sobą. Liczyłem na bardzo ciężkie momenty i uważałem, że łatwiej je przetrzymają razem niż każde z osobna. Nie posłuchała mnie Hela i pozostawiła w 1940 roku na Litwie, aby już nigdy nie zobaczyć biednego Maciejka...

Z Bezdan jechaliśmy przez Lidę. W Skrzybowcach pociąg nasz zatrzymał się na tyle, że zdążyłem na bilecie wizytowym napisać parę słów pożegnania do matki i wysłać przez jakiegoś chłopca do gminy, gdzie urzędował, jako wójt, brat mój młodszy – Sianek. Dalej jechaliśmy przez Siedlce, Warszawę i Łódź. Wojny jeszcze nie było, więc transport odbywał się bez przeszkód. Po drodze spotkaliśmy parę transportów z zachodu, z rezerwistami. Ogólnie nastrój był dobry i wszędzie ludzie odnosili się do wypadków, które miały nadejść z zaufaniem i otuchą. Wyobraźnia źle działała.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września wyładowywaliśmy się po ciemku, bez rampy, na jakiejś małej stacyjce pod Zgierzem. Mimo trudności w budowaniu w ciemnościach pomostów z podkładów, wyładunek odbył się bez żadnych wypadków. O świcie byliśmy na kwaterach. Zaraz rano wysłałem samochód do Łodzi, bo coś tam szwankowało. Przydzielony mi podczas mobilizacji, zamiast „łazika", Polski Fiat 508, zielony, nie był w zupełnie dobrym stanie. Możliwe, że szofer – rezerwista, nie znał go dobrze, nie bardzo dając sobie radę przy zapalaniu.

Około południa nad naszymi kwaterami pojawił się pierwszy samolot niemiecki. Ostrzelaliśmy go z karabinów maszynowych, lecz bezskutecznie. Do wieczora 1 września cały pułk był wyładowany bez strat, mimo że ostatni transport był lekko bombardowany i znajdował się na kwaterach. O rozpoczęciu się wojny dowiedziałem się z komunikatu radiowego. Wieczorem powrócił z Łodzi szofer i opowiadał o bombardowaniu miasta, był mocno wystraszony, ale samochód zaczął normalnie zapalać się.

Nasza wileńska brygada była w odwodzie Naczelnego Wodza i rozmieszczona została w rejonie Brzezin. Wieczorem przeniosłem się na kwaterę wyzna-

czoną mi przez brygadę, do jakiegoś dworu, którego właściciele byli Niemcami. Ponieważ cały pułk miałem już na kwaterach, pojechałem samochodem do Brzezin, aby zameldować w brygadzie gotowość. W sztabie brygady zastałem tylko szefa sztabu, ppłk. dypl. Jerzego Skrzydlewskiego, który robił wrażenie zrozpaczonego i mało przytomnego. Oświadczył mi, że przygotowuje rozkaz do wymarszu, a w związku z tym należy natychmiast zarządzić pogotowie marszowe. Zdziwiło mnie to trochę, bo nie sądziłem, aby w pierwszym dniu wojny już była konieczność użycia odwodowej jednostki Naczelnego Wodza. Nie przypuszczałem, aby sytuacja zmuszała do takiej decyzji. Wróciłem więc na kwaterę i zarządziłem pogotowie marszowe. Niebawem nadszedł rozkaz brygady i w nocy ruszyliśmy w kierunku Moszczenicy.

Z przykrością stwierdziłem, że mój wojenny zastępca, major Wójtowicz, jest nieobecny. W przejeździe przez Warszawę wysiadł z transportu i spóźnił się na pociąg. Byłem wściekły na taki brak dyscypliny, zwłaszcza u mego zastępcy. Gdyby nie wypadki wojenne, gdzie nie było nawet czasu na takie sprawy, powinienem był oddać go pod sąd.

Maszerowaliśmy nocą. Gdy się rozwidniło, zatrzymaliśmy się w lesie na postój i karmienie koni. Tu otrzymałem rozkaz, aby pozostać do zmierzchu i w nocy przejść do Moszczenicy, gdzie miałem jako zadanie obsadzić obronnie las. Obronę zorganizowałem. Koło południa zostałem wezwany do sztabu brygady. Pojechałem samochodem i trafiłem na moment wyjazdu gen. Dąb-Biernackiego[64], dowódcy armii rezerwowej, zwanej później armią „Prusy". Odprowadzał go do samochodu dowódca brygady płk. dypl. Konstanty Drucki-Lubecki. Posłyszałem taki urywek rozmowy: płk. Drucki-Lubecki wyraził wątpliwość co do terminowości nadejścia meldunków, na co gen. Dąb-Biernacki odpowiedział takim zdaniem: „Ułani są sprytni, jakoś dostarczą". Nie rozumiałem początkowo o co chodzi, lecz wkrótce sprawa została wyjaśniona. Otrzymaliśmy rozkład wysłania z każdego pułku brygady (pułki ułanów 4, 13 i 23) po jednym plutonie z radiostacją, jako podjazdy, z zadaniem wdarcia się w głąb ugrupowania niemieckiej dywizji pancernej, celem stwierdzenia kierunku posuwania się głównych sił. Zadanie było niewykonalne, bo gdyby nawet podjazd dotarł i stwierdził, to nie miał możliwości dostarczenia meldunku przy

[64] Dąb-Biernacki Stefan (1890–1959) – gen. dyw., członek Polskich Drużyn Strzeleckich, od sierpnia 1914 w I Brygadzie Leg. Pol., w 1917 po kryzysie przysięgowym internowany w Beniaminowie. W WP m.in. dowówdca I Bryg. piechoty legionowej (grudzień 1919 – lipiec 1920), w latach 30. Inspektor Armii (Wilno). W kampanii 1939 dow. Armii „Prusy" (odwodowej), później we Francji. W ramach akcji „antysanacyjnej" prowadzonej przez rząd RP kierowany przez gen.W. Sikorskiego został jednym z głównych kozłów ofiarnych wśród „winnych klęski wrześniowej". Od czerwca do listopada 1940 internowany w obozie Rothsay na wyspie Bute w Szkocji, następnie zdegradowany i usunięty z armii. Zmarł na obczyźnie.

pomocy konnego gońca, gdyż zasięg naszych pułkowych radiostacji był do 30 km. Podjazdy musiały iść bez dróg na odległość ponad 60 km.

Tu wyszły nierealne mrzonki gen. Dąb-Biernackiego. Pisywał artykuły o działaniu patroli, jako inspektor armii, gdy podpułkownicy poruszali najpoważniejsze zagadnienia operacyjne. Tak się rozpoczęło niepotrzebne i bezcelowe trwonienie sił. Brygada straciła bez celu jeden szwadron.

Wysłałem więc z 1 szwadronu ppor. Barsegowa z plutonem i radiostacją. Plątał się biedak kilka dni nie nadesławszy żadnego meldunku i w końcu dołączył do pułku.

Gen. Dąb-Biernacki był świetnym dowódcą dywizji na wojnie w 1920 roku, ale jego umysłowość prawdopodobnie osiadła na laurach tamtych czasów i nic nie pokazał w 1939 roku. Gdy czytałem jego wypowiedzi umieszczone w protokółach odpraw w GISZ, już wtedy miałem duże wątpliwości, czy dorósł on do powierzonego mu stanowiska. Okazało się to w toku działania. Rozrzucił armię rezerwową na znacznej przestrzeni i nic nie osiągnął. Las pod Moszczenicą obsadziliśmy i staliśmy tam przez całą dobę bez kontaktu z nieprzyjacielem. Jedynie byliśmy lekko bombardowani przez lotnika lecącego na Piotrków. Zmieniła nas 29 Dywizja Piechoty, a my przeszliśmy do lasów Lubień. Tu dwie noce szykowaliśmy się do natarcia pieszego na niemiecką jednostkę pancerną. Mieliśmy nacierać razem z piechotą. Zdejmowaliśmy ostrogi i rozdawali granaty ręczne, wreszcie natarcie zostało odwołane. Jedynie nasz 3 szwadron wystawiony na czaty zdobył niemiecki samochód pancerny. Przestrzelił go z karabinu przeciwpancernego podoficer weterynaryjny szwadronu, który odebrał tę broń właściwemu strzelcowi i pokazał, co potrafił. Tam, w lasach Lubień, dowiedzieliśmy się o walkach Wołyńskiej Brygady Kawalerii i o jej wielkich stratach.

Już kilka dni wojna trwała, a nasza brygada jeszcze nawet porządnie prochu nie powąchała. Chwilowo tylko maszerowaliśmy, i to w nocy. Unieszkodliwiliśmy dwa samochody pancerne. Jeden wzięty przez 13 pułk ułanów i jeden przez 23 pułk ułanów, rozwalony z armatki przeciwpancernej. Na zarządzonej odprawie dowódców pułków, w lesie, bo właśnie w tym czasie wieś była bombardowana przez lotnictwo, dowiedzieliśmy się, że mamy przejść do rejonu Sulejowa. Zostałem wyznaczony z 13 pułku ułanów jako straż przednia brygady. Na odprawę tę przyjechał gen. Rudolf Dreszer, nasz pokojowy dowódca brygady, a obecnie dowódca Grupy Operacyjnej Kawalerii.

Dowództwo Grupy Operacyjnej Kawalerii było planowane w planie mobilizacyjnym na wojnę z Sowietami. Teraz było raczej dowództwem dyspozycyjnym i sztab nie był nawet kompletnie zmobilizowany. Nie słyszałem, aby gen. Dreszer miał jakąś funkcję, ale przyjechał na odprawę do nas.

Przypuszczam, że generał był lepiej zorientowany w ogólnym położeniu niż my i tym tylko mogę sobie tłumaczyć jego zdenerwowanie. Mimo wszystko zupełnie mnie zaszokował swoim zwróceniem się do nas, dowódców pułków, z apelem, abyśmy się nie poddawali. Nikomu nawet myśl taka nie powstała w głowie i taki apel zrobił jak najgorsze wrażenie.

Jako straż przednia brygady zostałem wzmocniony dyonem pancernym. Lecz to wzmocnienie okazało się zupełnie teoretyczne. Dowódca pancerniaków zameldował mi, że wobec braku w jego dywizjonie działek przeciwpancernych jest bezbronny i udziału w walce z niemiecką bronią pancerną brać nie może. Powiedziałem mu, zdaje się coś bardzo przykrego i odesłałem do tyłu. Sam ruszyłem z pułkiem w nakazanym kierunku. Gen. Dreszer jechał konno obok mnie. W pewnym momencie usłyszałem strzały na prawo od osi naszego marszu. Wysłałem patrol na rozpoznanie. Generał zaczął się bardzo denerwować, co już zaczęło zwracać uwagę oficerów. Z przykrością, ale byłem zmuszony poprosić go, aby trzymał więcej na wodzy swoje nerwy, bo to ujemnie wpływa na moich podwładnych. Strzały okazały się niegroźne. Patrol niemieckich samochodów pancernych natknął się na nasz szwadron pionierów, który samochody postrzelał i wziął jeńców. Doszliśmy bez styczności z nieprzyjacielem do Pilicy w rejon Sulejowa.

Otrzymaliśmy zadanie zamknięcia przejść przez Pilicę. Na lewo od 13 pułku ułanów Pilicę obsadzał 23 pułk ułanów. Prawe skrzydło miałem wiszące i sam się ubezpieczałem. Nad Pilicą staliśmy tylko przez dzień, bo w nocy otrzymałem rozkaz z brygady, przywieziony przez oficera, nakazujący odmarsz do rejonu Opoczna, gdzie miałem otrzymać dalsze rozkazy. Ponieważ miałem zorganizowaną obronę i rozbudowaną łączność telefoniczną, zatelefonowałem do 23 pułku ułanów, aby ich zawiadomić o otrzymanym rozkazie i uprzedzić o odmarszu oraz o zwinięciu połączeń telefonicznych. Nakazałem natychmiastowe zwinięcie obrony i możliwie szybki odmarsz, gdyż zależało mi, aby jak największą część marszu odbyć nocą. Odległość do Opoczna wynosiła 50 km. W dzień byliśmy narażeni na bombardowania lotnicze.

Wkrótce dowiedziałem się, że 23 pułk ułanów do brygady nie dołączył. Jakoby ten sam oficer, który przywiózł mi rozkaz do odmarszu, doręczył również rozkaz odmarszu 23 pułkowi ułanów. Podobno rozkaz odebrał adiutant, bo dowódca pułku ppłk. dypl. Miłkowski spał. Adiutant nie obudził dowódcy, uważając, że odmarsz nie może odbyć się wcześniej jak rano, ze względu na zmęczenie koni i ludzi. Bałwan! Rano było już za późno i pułk został rozbity i rozproszony. Do końca kampanii do brygady nie dołączył.

Ja z 13 pułkiem ułanów dotarłem do Opoczna o świcie. Miasteczko było prawie puste i częściowo spalone. Rozkazów żadnych nie otrzymałem. Minąłem

więc Opoczno i zatrzymałem pułk w niewielkim lasku. Nakazałem karmienie koni i przygotowanie obiadu. W pewnym momencie, gdy byliśmy już ukryci w lesie, nadleciały samoloty niemieckie i zaczęły krążyć nad lasem. Adiutant podał mi książeczkę z sylwetkami samolotów, na podstawie której stwierdziłem, że były to nurkowce – „sztukasy". Krążyły nad nami, a ja odmawiałem „zdrowaśki". Matka Boska Ostrobramska zmiłowała się nad wileńskimi ułanami... Gdyby zaczęło się bombardowanie zmasowanego pułku na stosunkowo małej przestrzeni, pułk na pewno poniósłby olbrzymie straty. Na szczęście po paru minutach samoloty odleciały, a ja odetchnąłem.

Około południa przyjechał do pułku oficer ze sztabu brygady i przywiózł mi mapy, lecz nie doręczył żadnego rozkazu. Ponieważ był samochodem, poleciłem mu, aby zameldował brygadierowi gdzie jestem i przywiózł mi rozkaz. Wreszcie przed wieczorem otrzymałem rozkaz marszu do lasów Jedlińsk, na północ od Radomia.

Pomaszerowałem znów nocą, lecz świt nas zastał jeszcze w marszu. Zaczęła się działalność lotnictwa. Rozrzuciłem pułk w szyki luźne, co obniżyło znacznie straty podczas bombardowania, które zresztą nie miało gwałtownego charakteru. Teraz miałem możność zaobserwować, co znaczy na wojnie dowódca i zaufanie do niego. Już w czasie dziennego marszu, po bombardowaniu, musieliśmy przejść jakąś rzeczkę. Most był zajęty przez przechodzącą artylerię. Zatrzymałem pułk i wydałem rozkaz krycia się pod drzewami. Sam stanąłem pod jednym z wielu drzew przy drodze. Natychmiast koło mnie zgromadziło się kilkunastu jeźdźców, pozostawiając wiele wolnych drzew. Dziwni ludzie. Wydawało im się, że tam gdzie stoi ich dowódca, tam jest najbezpieczniej. Niełatwo było ich namówić, aby nie robili skupiska w jednym miejscu.

Mimo całej grozy wojny i wtedy bywają momenty humorystyczne. Podczas nalotu, gdy pułk był rozsypany w szykach luźnych, a szwadrony maszerowały polami po obu stronach drogi, ja osobiście z trębaczem jechałem przez wieś środkiem drogi. W pewnym momencie zobaczyłem osiodłanego konia stojącego obok „sławojki" (wiejski wychodeczek) i lancę opartą o ten budyneczek. Podjechałem więc, aby się przekonać, kto tam jest. Okazało się, że tak skutecznie schował się przed bombardowaniem jeden z ułanów – rezerwista, ze szwadronu straży przedniej. Nie załatwiał się, tylko tak chronił swoje ciało. Zawstydziłem go i kazałem natychmiast dogonić jego pluton.

Koło południa dotarliśmy do nakazanego miejsca, gdzie zastałem sztab brygady, 4 pułk ułanów, artylerię i inne jednostki brygady. Brakowało tylko 23 pułku ułanów.

Z prawdziwą przykrością muszę stwierdzić, że nasze dowództwo brygady funkcjonowało źle. Nie wiem czyja to była wina. Płk. dypl. Drucki-Lubecki był

oficerem wykształconym, na pewno o wysokim poczuciu honoru, może i odważny, lecz bez temperamentu. Typ raczej profesora niż dowódcy kawalerii. Szef sztabu ppłk. dypl. Skrzydlewski, wydaje mi się, że od pierwszego dnia wojny załamał się. Widziałem tam tylko dzielnego, młodego rotmistrza dypl. Kuczyńskiego.

Brygada otrzymała rozkaz od armii zorganizowania przedmościa na zachodnim brzegu Wisły pod Maciejowicami. Armia nie orientowała się, że stan brygady był zmniejszony o jeden pułk. Podała więc zarys przedmościa jak na trzy pułki.

Przy błyskawicznej wojnie, jaką prowadziliśmy, rozkazy bywają przeważnie spóźnione i najczęściej niewykonalne. Wydaje się, że właściwsze byłoby wydawanie wytycznych, aby wykonawcy wiedzieli o co chodzi przełożonemu i wykonywali tak, jak położenie pozwala. Szybka zmienność położenia nie dopuszcza sztywności rozkazodawstwa.

Przed wymarszem, na odprawie, po zapoznaniu się z zadaniem, postawiłem wniosek, aby wobec zmniejszenia się stanu brygady zarys przedmościa znacznie zmniejszyć i dostosować do posiadanych sił. Dowódca brygady zgodził się ze mną i wydał odpowiednie rozkazy. W marszu w nocy zmienił decyzję i polecił zastosować się do zarysu podanego przez armię, tj. obsadzić duże przedmoście. O świcie obsadziliśmy je, słabo zamykając najważniejsze kierunki. Mój 13 pułk ułanów obsadzał północną część przedmościa, na lewo, na południu miałem 4 pułk ułanów. Odwodu nie było lub był minimalny i nigdzie nie mógł wkroczyć natychmiast. Nic więc dziwnego, że przy pierwszym uderzeniu, nawet słabym, obrona na odcinku 4 pułku ułanów pękła. Niemcy dotarli do mostu i most uszkodzili. Brygada znalazła się na lewym brzegu Wisły, przyparta do rzeki, bez możliwości wycofania się na wschodni brzeg. Płk. Drucki-Lubecki stracił głowę. Widziałem, że ten honorowy człowiek, był bliski samobójstwa. Podszedłem do niego i zupełnie ostro powiedziałem, że nie czas szukać łatwego wyjścia dla siebie. W tej trudnej sytuacji trzeba znaleźć wyjście, aby móc dalej walczyć. Pułkownik zreflektował się i rozkazał rozdzielić się pułkami i przejść Wisłę wpław. Zarządziłem więc szukanie przejścia na północ od Maciejowic, gdyż przeprawę chciałem przeprowadzić w ciągu nocy. Tragiczne to były poszukiwania, lecz jednak do rana przeprawiliśmy się na prawy brzeg Wisły. Były straty. Pierwszy szwadron stracił prawie wszystkie konie. Siodła przewiózł na łodziach, a konie pędził tabunem. Konie zawróciły i rozbiegły się. Drugi szwadron odłączył się w nocy i dołączył do pułku po paru dniach. Utonęła jedna armatka przeciwpancerna i kuchnia.

Za Wisłą zebrałem pułk, lecz bez dwóch szwadronów. Dołączyło do mnie trochę różnych ludzi z pododziałów brygady. Wieczorem przyjechał na mój

postój płk. Drucki-Lubecki. Był zupełnie wytrącony z równowagi. Oświadczył mi, że ma jakieś rozkazy, o których mi nie powiedział, zaznaczył jednak, że sumienie taktyczne nakazuje mu, aby skierować mnie do lasu Sokół. Tu mam się zorganizować i mam szukać łączności w Maciejowicach.

Wyruszyłem więc na noc w nakazanym kierunku. W drodze usłyszałem dość bliskie wybuchy, podobne do wybuchów pocisków artyleryjskich. Okazało się, że Niemcy oddali kilka strzałów na drogę, którą miałem za chwilę maszerować. Były to strzały z moździerzy. Po paru minutach posłyszeliśmy szum motorów i wkrótce zamajaczyły w ciemnościach sylwetki czołgów. Nie mieliśmy przyrządów do armatek do strzelania nocnego, a znajdowałem się na otwartej przestrzeni, to spowodowało, że nie rozpocząłem walki z czołgami, a rozminąłem się z nimi. Sukces był prawie niemożliwy, a straty, nawet jeżeli nie krwawe, to mogło nastąpić rozproszenie pułku w nocy i trudność w zebraniu. Na świt dotarłem do lasu Sokół. Lecz nie było mowy o żadnej reorganizacji. Trzeba było ubezpieczyć się i nawiązać łączność z jakimś dowództwem.

Okazało się, że na szosie lubelskiej stoją czołgi niemieckie. Nie otrzymałem żadnego zadania ani wytycznych, jak również nie znałem własnego położenia. Stałem więc w lasku ubezpieczony, zajmując front w kierunku szosy lubelskiej. Do mego lasu zaczęli napływać pojedynczo różni żołnierze, a nawet cywilne osoby. Nawet przyszedł jakiś urzędnik sądowy, który prosił, aby od niego odebrać i pokwitować 700 złotych rządowych pieniędzy! Kazałem adiutantowi potwierdzić odbiór, bo pieniądze były potrzebne na żywienie pułku, wobec kompletnej dezorganizacji tyłów.

Około południa wysłałem rozpoznanie na szosę. Wywiązała się strzelanina, podczas której został ranny w szyję jeden z oficerów szwadronu łączności brygady. Podczas tej strzelaniny dostałem meldunek, że Niemcy wychodzą na nasze tyły i na koniowodnych. Nie było chwili czasu do stracenia. Rozkazałem pozostawić po jednym ułanie na 6 koni, a wolnych ludzi zebrałem i poprowadziłem osobiście do przeciwuderzenia. Niemcy uciekli.

Kiedy sytuacja trochę się wyjaśniła, odesłałem rannego oficera do Maciejowic oraz patrol celem szukania jakiejś łączności z naszymi oddziałami. Po dwu godzinach ranny oficer wrócił i przywiózł mi tylko taką wiadomość, że w Maciejowicach nikogo nie ma, a od spotkanych artylerzystów odpisał rozkaz nakazujący zebranie się kawalerii w rejonie Włodawy, gdzie dowództwo obejmuje gen. Anders[65]. Byłem zupełnie zdezorientowany. Sumienie taktyczne

[65] Anders Władysław (1892–1970) – gen. broni, od 1914 w armii rosyjskiej, w 1917–1918 w polskich korpusach wschodnich, w kwietniu 1919 szef sztabu Armii Wielkopolskiej, później dowódca 15 p.uł. W maju 1926 szef sztabu wojsk rządowych, później kolejno: szef sztabu Inspek-

brygadiera wpakowało mnie do tego lasu i pozostawiło bez żadnego zadania. Zrozumiałem, że jestem zupełnie sam, pozostawiony własnemu losowi, z tą niewielką garścią żołnierzy, za których ponoszę odpowiedzialność. O jakichś działaniach partyzanckich nawet mi się nie śniło. Uważałem, że nawet w tym rozpaczliwym odwrocie nie wolno się załamywać.

Postanowiłem iść do rejonu Włodawy. Postanowić łatwiej niż wykonać. Od wschodu miałem niemieckie czołgi, a od zachodu Wisłę. Doczekałem do wieczora i pomaszerowałem na południe w kierunku na Ryki. W nocy przeciąłem szosę lubelską i pomaszerowałem na wschód. Stale natrafiałem na ślady bombardowań niemieckich, na trupy ludzi i koni.

Spotykałem również pojedynczych żołnierzy z oddziałów gen. Andersa. Maszerowałem tak kilka dni. Na którymś z postojów dołączył do mnie szwadron pod dowództwem por. Lipkowskiego, byłego oficera szwoleżerów. Tak jak dołączył, tak się i odłączył, po moich uwagach, że zabraniam złego obchodzenia się z ludnością... Siły moje wzrosły, gdyż spotkałem dywizjon rtm. Parafianowicza z 4 pułku ułanów. Teraz miałem prawie pełny pułk. Tak maszerując dotarłem pod Włodawę.

Patrol wysłany do Włodawy stwierdził, że miasteczko jest opanowane przez Niemców. Pod wieczór udało mi się wreszcie nawiązać łączność z 41 Rezerwową DP. Zdaje mi się, że było to 17 września 1939 roku, tj. w dniu, kiedy wojska sowieckie wkroczyły do Polski.

Zameldowałem się w dowództwie dywizji i wreszcie otrzymałem rozkazy i zadania. Zadaniem moim było ubezpieczenie zachodniego skrzydła obrony 41 DP, nie pamiętam pod jaką miejscowością. Muszę podkreślić, że 41. Rezerwowa DP zmobilizowana ze Szkoły Podchorążych Piechoty była świetną jednostką bojową. Nie zdemoralizowała jej nasza klęska. Widziałem jej piękną dyscyplinę.

Gdy w nocy leżałem na jakiejś kupie słomy w polu, gdzie było moje miejsce postoju, bo pułk ubezpieczając piechotę zajmował spiesznie pozycję obronną, przemaszerowała koło nas Mazowiecka Brygada Kawalerii.

---

toratu Kawalerii, dowódca 2 BK, dowódca Nowogrodzkiej BK, którą dowodził w początkach kampanii 1939 (później grupą kawalerii). Ranny, w szpitalu we Lwowie aresztowany przez władze sowieckie i wywieziony do Moskwy. Po uwolnieniu (sierpień 1941) organizator i dowódca Armii Polskiej w ZSRR, następnie na Środkowym Wschodzie. W 1944 dowódca 2 Korpusu Polskiego w składzie 8 Armii Brytyjskiej, na czele którego odbył całą kampanię włoską. Po dymisji gen. K. Sosnkowskiego, będącego w niewoli, pełnił obowiązki Naczelnego Wodza do 21 czerwca 1945, formalnie będąc w tym czasie Generalnym Inspektorem Polskich Sił Zbrojnych. Awansowany na gen. broni w stanie spoczynku w 1964. Zmarł w Londynie, pochowany na cmentarzu wojennym w Monte Cassino.

Płk. dypl. Karcz[66], gdy się dowiedział, że przechodzi przez stanowiska 13 pułku ułanów, przyszedł do mnie. Porozmawialiśmy parę minut serdecznie, bo takie nocne i przypadkowe spotkanie podczas wojny jest zawsze bardzo cenne. Na drugi dzień otrzymałem rozkaz z 41 DP, abym dołączył z pułkiem do Mazowieckiej Brygady. Byłem bardzo zadowolony, że będę z ludźmi, których znałem od wielu lat i z którymi mnie wiele łączyło, bo dowódcy pułków Mazowieckiej Brygady i ich dowódca byli moimi starymi kolegami. Za Chełmem, maszerując w kierunku na Zamość, dołączyłem do nich.

Zanim znalazłem się w Mazowieckiej Brygadzie spotkałem jakiś oddział na postoju, złożony z rezerwistów kawalerii. Z rozmowy z oficerami dowiedziałem się o zarządzeniu marszu do granicy rumuńskiej lub węgierskiej. Poza granicę mieli przejść obowiązkowo oficerowie zawodowi, natomiast rezerwa i szeregowi według własnej woli. Wiadomość tę potwierdził mi później płk. Karcz. Gen. Anders ze swymi oddziałami pomaszerował do granicy węgierskiej. Mazowiecka Brygada szła jego drogą, lecz została zatrzymana przez gen. Dąb-Biernackiego z zadaniem osłony tyłów piechoty, również maszerującej do granicy. Płk. Karcz otrzymał radiową depeszę od gen. Andersa z ostrzeżeniem o Krasnobrodzie. Kiedy gen. Dąb zwolnił brygadę i zezwolił jej, na własną rękę, maszerować, było już za późno. 23 września, gdy maszerowaliśmy w kierunku Suchowoli (między Tomaszowem Lubelskim a Zamościem) już kolumna nasza została ostrzelana dalekim ogniem artyleryjskim. Pamiętam radość jednego ułana, który dostał odłamkiem pocisku w daszek od hełmu. Podjechał do mnie i pokazał z radością swój uszkodzony hełm i chwalił go, że uratował mu życie.

Wieczorem zaczął padać drobny deszcz. Zatrzymaliśmy się obok jakiejś opuszczonej wsi. Na skraju wsi, w chałupie, gdzie leżał ranny ułan z 8 pułku, odbyła się odprawa. Z Mazowieckiej Brygady ubył 1 pułk szwoleżerów, który znalazł się u gen. Andersa, natomiast został dołączony pułk kawalerii KOP, nie mówiąc o 13 pułku ułanów. Okazało się, że Suchowola, która leżała na drodze naszego marszu na Krasnobród i dalej, jest zajęta przez Niemców i musimy się przez nią przebić. W nocy miało wyruszyć natarcie piesze przez Suchowolę w składzie 7 pułku ułanów i pułku KOP. Ja z 13 pułkiem ułanów, a za mną 11 pułk ułanów, mieliśmy iść w drugim rzucie. Płk. Karcz nakazał wymarsz drugiego rzutu po otrzymaniu meldunku od 7 pułku ułanów o zajęciu Suchowoli.

---

[66] Karcz Jan (1892–1943) – gen. bryg., od 1915 w wojsku austriackim uczestnik obrony Lwowa 1918, w WP w 7 p.uł. i 1 p.szwol. Od kwietnia 1937 w stopniu płk. dowódca Mazowieckiej BK, na czele której odbywa także kampanię 1939. Czynny w ZWZ od 1940, ps. „Jan". Aresztowany w końcu 1942 został osadzony w obozie w Oświęcimiu i tam 25 stycznia 1943 rozstrzelany za działalność w obozowej organizacji podziemnej podległej AK. Mianowany pośmiertnie gen. bryg. w 1969.

Była bardzo ciemna noc i padał deszcz. Mieliśmy maszerować pieszo, a konie mieli prowadzić konowodni za nami. Meldunek nie nadchodził. Płk. Karcz zarządził wymarsz drugiego rzutu, na czele którego miał maszerować sztab brygady prowadzony przez przewodnika, gdyż map nie było. Wyruszyliśmy. Ciemności nieprawdopodobne. Nic nie widać prócz rakiet, którymi Niemcy wytyczają swoje pozycje. Nietrudno było stwierdzić, że jesteśmy w dużym kotle. Po bardzo krótkim czasie stwierdziłem, że łączność ze sztabem brygady została stracona. Sytuacja fatalna, ale maszeruję już na nosa. Słychać strzały karabinowe na prawo od nas. Melduje mi się dowódca z jakiegoś patrolu, zapytany z jakiego jest oddziału – odpowiada, że z pułku rezerwowego kawalerii ppłk. Wani. Był wysłany na patrol, został ostrzelany i stracił zupełnie orientację. Kazałem mu dołączyć do mojej kolumny. Maszeruję dalej, choć zupełnie nie wiem, czy we właściwym kierunku. Dopiero chyba po dwu godzinach natykam się niespodziewanie na sztab brygady. Płk. Karcz zupełnie nie orientował się, że szedł sam ze sztabem, ja też nie przypuszczałem, że jestem niedaleko od sztabu. Zaczyna powoli robić się szarawo. Zatrzymaliśmy się w jakimś zagłębieniu terenu i staramy się zorientować w sytuacji. Przed nami pojedyncze strzały. To Suchowola i tam walczy 7 pułk. Gdy się trochę więcej rozwidnia, padają pojedyncze strzały w naszym kierunku, zza zabudowań na lewo od naszej osi marszu. Wysyłam 2 szwadron rtm. Zakrzewskiego z zadaniem rozpoznania, jaka siła znajduje się w majaczącej wsi i wyrzucenia Niemców. Rozwidnia się. Zaczyna się silny ogień skierowany na nas. Nadchodzi meldunek od ppłk. Skrzyneckiego, że dowodzony przez niego 7 pułk ułanów walczy we wsi Suchowola, lecz opór jest silny i Niemców nie mogą wyrzucić. Niemcy, którzy nas ostrzeliwują, flankują natarcie Skrzyneckiego. Płk. Karcz nakazuje natarcie 13 pułku ułanów celem osłony skrzydła i tyłów 7 pułku ułanów. Rozsypuję więc mój pułk w tyralierę i ruszamy do natarcia. Przygważdża nas do ziemi karabin maszynowy umieszczony na wiatraku. Ogień artylerii i moździerzy niemieckich wzmaga się. Są już ranni i zabici. Ratuje sytuację bateria 1 dywizjonu artylerii konnej im. J. Bema. Jak podczas Powstania Listopadowego artyleria gen. Bema, tak nasza bateria wyjeżdża na otwarte stanowiska i ogniem bezpośrednim, za drugim strzałem rozwala wiatrak. Karabin maszynowy milknie, ruszamy naprzód. Dochodzi do walki na bagnety, której Niemcy nie wytrzymują i zaczynają się cofać. Silny ogień artylerii hamuje nas. W pewnym momencie podają po linii, że Niemcy obchodzą nasze lewe skrzydło. Powstaje małe zamieszanie i próby cofania się. Lecz dobrze jest mieć donośny głos. Gdy mimo ognia, wstałem i krzyknąłem: „Ułani wileńscy nie cofają się! Naprzód!", wszystko ruszyło z powrotem i sytuacja została opanowana. Lecz niebawem nadjechał pod ogniem dowódca 7 pułku ułanów ppłk. Marian Skrzynecki. Oświadczył, że nie może przełamać

oporu Niemców, lecz może się wycofać konno, byleby 13 pułk ułanów osłonił mu tyły. Płk. Karcz, chcąc ratować choć część sił, zezwolił na wycofanie się 7 pułku ułanów. Pozostałem na osłonie i wiedziałem, że to już nasz koniec. Straty były duże, a wycofanie się będzie bardzo ciężkie. Leżeliśmy na czystym polu pod koncentrycznym ogniem artylerii i moździerzy. 7 pułk ułanów wycofał się. Wtedy płk. Karcz nakazał wycofanie 13 pułku ułanów. Wycofywanie się pod ogniem, w dzień, po czystym polu i pod górę było bardzo ciężkie. Las był w odległości około kilometra. Wydałem rozkaz, aby szwadrony wycofywały się plutonami do lasu, choć wiedziałem, że poniesiemy wielkie straty, lecz pozostanie kilka godzin, do nocy, byłoby jeszcze gorsze.

Gdy znaleźliśmy się w lesie, tj. sztab brygady i dowództwo 13 pułku ułanów, zebrałem około 15 ułanów. Szwadrony zdziesiątkowane wycofywały się jak który mógł, w inną część lasu. Z kotła niemieckiego nie przebiliśmy się.

Mieliśmy teraz tylko dwie drogi do wyboru: albo pójść do niewoli, albo małymi grupkami próbować wydostać się z kotła przez lasy zamojskie. Zdecydowaliśmy się na tę drugą ewentualność. Zgłosił się do mnie por. Makaliński z prośbą o pozwolenie zebrania ochotników i próby wydostania się konno. Zgodziłem się, bo każdy już musiał próbować szczęścia na własną rękę. Ja z płk. Karczem zeszliśmy do leśniczówki, aby naradzić się i coś zjeść. Była nas spora grupka oficerów i ułanów ze sztabu i dowództwa pułku, razem około 12. W pewnym momencie wyszedł z lasu jakiś żołnierz z białą szmatą na kiju i zameldował, że w pobliżu stoi placówka niemiecka, która go wysłała, aby namówić nas do poddania się. Nie chcieliśmy z nim w ogóle gadać, więc odszedł. Zdecydowaliśmy, że w grupie, w której będą: płk Karcz, ja, major kontraktowy (Gruzin) Jedigarow, rtm.dypl. Landowski, major Wójtowicz, rtm. Tarnowski, trębacz plut. Juchniewicz i jeszcze kilku podoficerów i ułanów, razem około 12 osób, będziemy próbowali pieszo wydostać się z kotła i na przełaj lasami dojść do granicy węgierskiej.

Przed wieczorem nadeszły do rejonu lasu resztki naszej piechoty, z generałami Kruszewskim i Dindorf-Ankowiczem oraz z paroma oficerami ich sztabów. Po naradzie z nimi postanowiliśmy zostać do następnego dnia na miejscu, gdyż piechota miała podjąć jeszcze próbę przebicia się. Zwłaszcza, że Suchowola została opuszczona przez Niemców po wycofaniu się 7 pułku ułanów i pułku kawalerii KOP. Wieś przedstawiała straszny obraz. Masa trupów ludzkich i końskich. Chałupy w znacznej części spalone razem z ludźmi. Widok na wpół spalonych ciał ludzkich był okropny. W Suchowoli spotkaliśmy płk. Filipowicza, dowódcę Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Był strasznie zmęczony i zupełnie nie można było z nim rozmawiać.

Na drugi dzień, tj. 25 września natarcie piechoty nie zdołało rozbić kotła. Ruszyliśmy więc piechotą, na przełaj, przez lasy w kierunku Zamościa, aby później skręcić w kierunku na Sandomierz. Ja z busolą Bezarda prowadziłem tę grupę rozbitków. Na noc dotarliśmy do jakiegoś domu w lesie, na górze, blisko szosy na Zamość. Przyjęto nas bardzo gościnnie. Tu spotkaliśmy płk. Komorowskiego (późniejszego gen. Bora[67]), który również z kilkoma oficerami kierował się na San i ku granicy węgierskiej. Umówiliśmy się, że będziemy szli osobno, a spotkamy się na nocleg w oznaczonej wsi. Jednak nie spotkaliśmy się więcej.

Wiedzieliśmy, że po rozbiciu naszej grupy Niemcy będą się wycofywali ku zachodowi, a tereny te będą zajmowały wojska sowieckie. Po paru dniach marszu zorientowaliśmy się, że idziemy między dwoma wojskami. W jednej wsi spotkaliśmy kolumnę taborową wiozącą amunicję Mazowieckiej Brygady. Płk. Karcz rozkazał dowódcy kolumny amunicję zakopać, a konie i wozy rozdać chłopom. Sobie zatrzymaliśmy dwa wozy, którymi dotarliśmy do Sanu na południe od Rozwadowa. Przejście przez San w mundurach było niemożliwe, gdyż rzeka była obsadzona przez Niemców, a na mostach kontrola. Byliśmy już przeszło tydzień w drodze i dość wyczerpani, jednak za żadną cenę nie chcieliśmy się dostać do niewoli. Zwłaszcza Karcz twierdził, że on absolutnie niewoli nie wytrzyma, a już na pewno sowieckiej.

Postanowiliśmy zrezygnować z marszu do granicy i raczej iść do Warszawy i ukrywać się. Zresztą przekroczenie Sanu też jeszcze nie rozwiązywało sprawy. Za Sanem były wsie ukraińskie, których ludność była wrogo nastawiona i w małej grupie łatwo było nie dotrzeć do celu. Ruszyliśmy więc ku północy, jako pierwszy etap wybierając rejon Zaklikowa, gdyż tam szwagier Karcza – Czarkowski dzierżawił folwark.

Byliśmy o kilka kilometrów od Zaklikowa, gdy spotkaliśmy jakiegoś jegomościa, jak się później okazało urzędnika z poczty z Zaklikowa, który przyjechał

[67] Komorowski Tadeusz (1895–1966) – gen.dyw., w 1914 por. kawalerii w armii austriackiej, w WP zastępca dowódcy 9 p.uł., w 1920 dowódca 12 p.uł., następnie dowódca 9 p.uł., od listopada 1958 komendant Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. W kampanii 1939 zastępca dowódcy kombinowanej Brygady Kawalerii płk. A. Zakrzewskiego, która weszła w skład grupy kawalerii gen. W. Andersa. W konspiracji powołany na komisarza Obszaru Kraków ZWZ (od listopada 1940 do sierpnia 1941) ps. „Korczak", awansowany na gen. bryg. w maju 1940, następnie zastępca Komendata Głównego ZWZ AK. Po aresztowaniu gen. S. Roweckiego powołany na dowódcę AK (17 lipca 1943), ps.: „Lawina", „Znicz", „Bór". Mianowany Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych jeszcze pod koniec Powstania Warszawskiego (od 30 września 1944 do 5 maja 1945 przebywał w niewoli niemieckiej). Faktycznie funkcję tę pełnił gen. W. Anders. Zmarł w Londynie.

wozem i brał drzewo na opał z sągów w lesie. Karcz wdał się z nim w rozmowę, z której dowiedział się, że w majątku dzierżawionym przez Czarkowskiego jest jego drugi szwagier, prawnik Jun z żoną i dziećmi, a Czarkowski leży w szpitalu w Lublinie. Staliśmy na szerokim, piaszczystym trakcie i każdy z nas wstydził się zwrócić uwagę, że stoimy w najbardziej niewłaściwym miejscu do rozmów. I faktycznie, w pewnym momencie spostrzegliśmy duży patrol niemieckiej kawalerii, który nas zauważył i galopem otoczył. Nie było rady, byliśmy zaskoczeni i wzięto nas do niewoli. Patrol prowadził starszy podoficer, który widząc, że wziął do niewoli kilku sztabowych oficerów, wdał się w rozmowę. Karcz, który dobrze mówił po niemiecku, zaczął mu dowodzić, że zwycięstwo niemieckie jest tylko chwilowe i że w końcu dostaną lanie. Podoficer cały czas trzymał w ręku pistolet. Obawiałem się, że Karcza zastrzeli, bo zły był i cały czas rozmowy przechwalał się niemieckimi sukcesami. Wreszcie kazał nam iść do Zaklikowa, twierdząc, że tam już nas zabiorą do obozu.

Ruszyliśmy więc do miasteczka, lecz bez najmniejszego zamiaru ponownego dostania się w ręce niemieckie. Gdy weszliśmy w jakąś uliczkę, mały jakiś chłopaczek ostrzegł nas, że za rogiem ulicy stoją Niemcy. Wobec tego weszliśmy do obejścia jakiegoś gospodarstwa. Na podwórzu nikogo nie było. Weszliśmy więc do otwartej stodoły i wdrapaliśmy się wysoko pod dach na siano. Chwilowo nie wiedzieliśmy co dalej robić i dość bezradnie leżeliśmy, trochę podrzemując. Nagle ktoś wszedł do stodoły. Ostrożnie obserwowaliśmy z góry. Był to ten sam urzędnik pocztowy, z którym rozmawialiśmy w lesie. Karcz zaczął z nim rozmawiać. Okazało się, że przyszedł, aby nam zaproponować wydostanie się z Zaklikowa. Miał znajomego geometrę, zresztą emigranta rosyjskiego, który miał wóz i konie i który podjął się kilku z nas wywieźć, lecz w przebraniu cywilnym. Po naradzie zdecydowaliśmy, że ja z Karczem pojedziemy do Czarkowskich. Jak nam się uda, to przyślemy dla reszty cywilne ubrania, aby mogli jutro tak samo wyjechać. Geometra miał dostać za to parę metrów owsa dla koni.

Zdjąłem mój płaszcz wojskowy i furażerkę, bo hełm i lornetkę pozostawiłem w Suchowoli, a któryś z oficerów dał mi jakieś strasznie oberwane palcisko cywilne, inny, jeszcze ohydniejszy kapelusz.Włożyłem to i przy mojej nieogolonej twarzy z rudym zarostem, wyglądałem jak pastuch wiejski u marnego gospodarza. Karcz wyglądał niewiele lepiej. Tak przebrani wyszliśmy ze stodoły i poszliśmy za naszym przewodnikiem do geometry. Przechodziliśmy na rynku obok Niemców, którzy jednak żadnej uwagi na nas nie zwrócili. Pomogliśmy geometrze zładować drzewo z wozu, umościliśmy siedzenia z worków ze słomą i wyruszyliśmy w drogę. Na skraju miasteczka stała placówka niemiecka z karabinem maszynowym, obok której musieliśmy przejechać. Jechaliśmy kłusem,

lecz obok placówki zwolniliśmy do stępa i zapalając spokojnie papierosy minęliśmy, nie zatrzymywani, to przykre miejsce. Już dalsza droga odbyła się bez żadnych niebezpieczeństw.

Po paru kilometrach dojechaliśmy do majątku, spotkaliśmy przed gankiem szwagierkę Karcza – Marysię Junową. W pierwszym momencie nie poznała nas, lecz to trwało bardzo krótko i natychmiast rozpłakała się. Nie mogliśmy się dziwić, bo przed miesiącem widziała nas jako eleganckich oficerów, a teraz zobaczyła strasznych, nie ogolonych oberwańców.

Zatrzymaliśmy się tu parę dni, posyłając cywilne ubrania dla pozostałych w Zaklikowie kolegów. Wszyscy, z wyjątkiem Landowskiego, dołączyli do nas i zostali poumieszczani w sąsiednich dworach. Landowskiego zatrzymała niemiecka placówka, gdyż nie chciał włożyć cywilnego ubrania. Kosztowało go to później 5 lat oflagu.

Po paru dniach wypoczynku, jakiego takiego odżywienia się, po zdobyciu przez Juna w gminie fałszywych dowodów osobistych i wreszcie po wykombinowaniu marnych ubrań cywilnych, postanowiliśmy dostać się do Warszawy.

Straszne to były dla nas czasy. Byliśmy tak przybici klęską, jaka spotkała Polskę, że trudno dziś sobie to wyobrazić. Każdorazowe przebudzenie się rano było wprost koszmarne, gdy człowiek zdał sobie sprawę, że Polska leży w gruzach, a my, którzyśmy wszystko oddali dla ratowania kraju, zostaliśmy jak bezpańskie psy, rzuceni na tułaczkę i konieczność ukrywania się. Nasze żołnierskie dusze buntowały się. Rozmawialiśmy z Karczem, że jednak nie nadajemy się do żadnej roboty konspiracyjnej i tylko wtedy znów staniemy w szeregach walczących, kiedy można będzie wystąpić w charakterze żołnierzy. Los zrządził zupełnie inaczej. Karcz zginął w Oświęcimiu jako przywódca konspiracji obozowej, ja znalazłem się w szeregach Armii Krajowej i w Powstaniu Warszawskim.

Okupacja i ukrywanie się

Ruszyliśmy, już we dwójkę z Karczem, rzemiennym dyszlem ku Warszawie. Jechaliśmy przez Zawichost, gdzie przeprawiliśmy się przez Wisłę, do Sobótki, majątku Karola Wickenhagena, oficera rezerwy szwoleżerów. Karol już wrócił z wojny i przyjął nas dość serdecznie. Po przenocowaniu odesłał nas do swego szwagra, który z kolei skierował nas z listem do innego sąsiada w kierunku na Radom. Dziś już nie pamiętam jak nazywał się majątek, do którego przyjechaliśmy. Uderzyło nas, że na drzwiach wejściowych do dworu był przybity bilet wizytowy z tytułem Ritter von Jasiński.

Nie wiedzieliśmy, czy mamy wejść, czy zawrócić. Okazało się jednak, że nasz Ritter był poczciwym polonusem i przyjęto nas bardzo serdecznie. Musieliśmy wziąć udział w modlitwach wieczornych całego domu, wraz ze służbą, gdzie pani domu odczytywała stare modlitwy z okresu popowstańczego, co było naprawdę bardzo wzruszające.

Ponieważ nie chcieliśmy jechać przez miasto, Radom objeżdżaliśmy. Wszędzie w majątkach dawano nam konie i listy polecające i tak znaleźliśmy się w majątku państwa Grodzieńskich. Tu przyjęto nas wyjątkowo serdecznie. Pani domu nie pozwoliła nam wyjechać, póki nie wyprano nam bielizny. Pan Grodzieński, widząc, że jestem bardzo źle ubrany, w bardzo delikatnej formie ofiarował mi jedno ze swoich ubrań, a pani żyletkę. Ten uczciwy i dzielny patriota jeździł codziennie do Radomia i ułatwiał ucieczkę jeńcom.

Jedynie, w czasie całej drogi ku Warszawie, źle byliśmy przyjęci, nawet nieludzko, w majątku bogato wyglądającym, Daszewskiego. Ten podchorąży 11 pułku ułanów, a więc z brygady Karcza, nie chciał nas przenocować i odesłał nas do majątku pani Kawińskiej.

Przez Pilicę przewiozła nas jakaś dzielna chłopka łodzią. Padał deszcz i od rzeki szliśmy mokrą łąką do majątku pana Bonieckiego. Tu, gdy zjawiło się dwóch nieznanych przybyszów i to podczas obiadu, nastąpiła pewna konsternacja. List polecający był pisany najprawdopodobniej dość oględnie i stary pan Boniecki nie wiedział jak nas traktować. Po obiedzie, zresztą bardzo skromnym, poprosiliśmy gospodarza na chwilę rozmowy. Przedstawiliśmy się i szczerze powiedzieliśmy, kim jesteśmy. Sytuacja natychmiast się zmieniła i byliśmy serdecznie traktowani, zwłaszcza gdy powiedziałem, że jestem kolegą bratanka, rtm. Edzia Bonieckiego z 1. pułku ułanów Krechowieckich.

Ostatnim etapem jazdy końmi był majątek Machnatka pani Pszczółkowskiej, teściowej naszego kolegi ze szwoleżerów, Mirka Olszewskiego. Wprawdzie młoda pani Pszczółkowska przyjęła nas z wielkim strachem, co nie przypadło nam do gustu i chętnie przyjęliśmy propozycję udania się do jej świekry, która po oddaniu majątku synowi sama mieszkała w domku w lesie. Stara pani Pszczółkowska przyjęła nas bardzo serdecznie. Tu umówiliśmy się z Karczem, że ja pojadę kolejką do Warszawy, aby zorientować się w sytuacji, a on poczeka na mój przyjazd w Machnatce. Wieści, jakie docierały tu, były przerażające. Mówiono, że Warszawa w ogóle nie istnieje, że jest tak zburzona, iż nawet nie będzie jej można odbudować.

Gdy dotarłem do Warszawy, trudno opisać jakie uczucia we mnie grały. Nie mogłem się pogodzić, że wśród wielu niesprzątniętych gruzów i ruin, chodzą sobie spokojnie i butnie niemieccy żołnierze, a ja muszę się przemykać jak zbrodniarz, i to w moim ukochanym mieście.

Rozpocząłem poszukiwania rodziny. Zastałem wszystkich przy życiu z rodziny Heli, a dowiedziałem się o śmierci mego najukochańszego brata, Bronka i o stracie nogi przez bratową Halinę, żonę Bronka. Dowiedziałem się również, że na dwa dni przed moim przyjazdem był Adaś w Warszawie. Adam wyjechał, aby przedostać się przez kordon i dojechać do Wilna, do matki. Widocznie nieszczególnie był przyjęty przez rodzinę Heli, skoro wywnioskował, że lepiej, aby matka i Maciek nie wracali do Warszawy. O mnie nic nie wiedział.

Po krótkim pobycie w Warszawie wróciłem do Machnatki, aby opowiedzieć Karczowi co widziałem. Warszawa wyglądała strasznie.

Dużo domów spalonych, gruz na ulicach i placach. Ogólne narzekanie na rząd i wojsko z powodu klęski. Jednym słowem, w ciągu ośmiu tygodni od mego ostatniego pobytu, Warszawa z gwarnego i wesołego miasta, zrobiła się smutnym i półspalonym rumowiskiem. Ludzie wytrąceni z równowagi nie byli w stanie jeszcze zorganizować sobie nowego życia. Ja też nie wiedziałem co robić. W każdym razie z Machnatki musiałem wyjechać. Wyjechałem, rozstając się z Karczem na zawsze. Zmarł, czy raczej został zamordowanyw Oświęcimiu, złapany przez Niemców pod Zaklikowem, gdzie ukrywał się, pilnując stawów rybnych.

Wróciłem do Warszawy. Miałem bardzo mało pieniędzy, a musiałem gdzieś mieszkać i z czegoś żyć. Brat Heli – Janek, bojąc się trzymać mnie u siebie, gdyż on jeden wyszedł z opresji wojennych najmniej poszkodowany, postarał się przez swego szwagra, doktora Orzechowskiego, o umieszczenie mnie u sióstr doktora, dwóch starych panien, które mieszkały w małej posiadłości w Mogilnicy.

Przyjęto mnie tam bardzo ozięble, zwłaszcza że dr Orzechowski miał przyjechać, czy napisać do swych sióstr w sprawie mego pobytu. Nie zjawił się jednak ani nie napisał, nic więc dziwnego, że stare panny, które mnie nie znały, niechętnie się odnosiły do mego pobytu. Po paru dniach wyjechałem z Mogilnicy i wróciłem do Warszawy.

Tu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Spotkałem Zosię, żonę Edka Rackmanna, drugiego brata Heli. Zosia, bez żadnych ceregieli i wykrętów, zaprosiła mnie do swego majątku na Podlasiu, do Falatycz. Wyekwipowałem się trochę po cywilnemu, a że od bitwy pod Suchowolą przestałem golić wąsy, zmieniłem się nieco i nabrałem ekonomskiego wyglądu. Umówiliśmy się z Zosią, że będę występował na zewnątrz w charakterze nowo zaangażowanego rządcy majątku. Muszę zaznaczyć, że będąc pod Zaklikowem, udało nam się z Karczem zdobyć tymczasowe dowody osobiste, nawet z fotografiami, choć na własne nazwisko.

W Warszawie spotkałem kilku kolegów, a między innymi rtm. Landowskiego, któremu udało się wykręcić z obozu jenieckiego w Radomiu oraz

rtm. Sołtana. Obaj oni zameldowani byli w niemieckiej komendzie miasta i uważali, że zostaną pozostawieni na wolności. Nawet Landowski twierdził, że może na 11 listopada zamkną ich na parę dni i naszykował sobie na tę ewentualność trochę papierosów. Namawiali i mnie, abym się zameldował. Nie miałem najmniejszej ochoty i choć to było trochę ryzykowne, nie zameldowałem się. Uniknąłem pięciu lat oflagu.

Drogę do Falatycz mieliśmy bardzo przykrą. Towarowymi wagonami dojechaliśmy do Siedlec. Było już ciemno, a wagony nieoświetlone. Nasłuchałem się rozmówek szmuglerek na temat wojny. Jedna z nich usilnie dowodziła, że wojnę przegraliśmy wyłącznie z winy oficerów, bo oni zupełnie nie znali się na dowodzeniu. Gdyby dowodzili sierżanci i plutonowi, bo ci się tylko znali na wojsku, to na pewno bylibyśmy w Berlinie. W Siedlcach obowiązywała godzina policyjna. Musieliśmy więc siedzieć w zatłoczonym korytarzu. Po pewnym czasie zjawiło się paru żołnierzy niemieckich, którzy, za opłatą kilku złotych, przeprowadzili ludzi do domów, a nas odeskortowali do hotelu. Rano w hotelu jakiś zbir, prawdopodobnie szpicel niemiecki, przeprowadził przesłuchanie nas. Głupi ten człowiek nieumiejętnie udawał, że tylko przez ciekawość chce z nami porozmawiać, ale – na szczęście – nie przeszkodził nam w wyjeździe do Platerowa. W Falatyczach poczułem się bezpieczniejszy. Edek załatwił mi sprawę zameldowania w gminie i tak jakoś zalegalizowałem swój pobyt. Służba folwarczna nie znała mnie, prócz jednego fornala i pokojówki, którzy byli kiedyś w Warszawie i widzieli mnie jako oficera, ale myśleli, że jeszcze przed wojną wyszedłem z wojska.

Początkowo nic nie robiłem, lecz to trwało bardzo krótko. Bezczynność jest męcząca, więc zacząłem Edkowi pomagać w gospodarstwie. Najpierw zająłem się końmi i spichrzem, później coraz więcej zacząłem brać na siebie różnych zajęć, tak że służba zaczęła mnie tytułować panem rządcą. Byłem z tego zadowolony, gdyż to stwarzało dobre upozorowanie mego pobytu w Falatyczach.

Szła zima i to nie byle jaka. Zima z 1939 na 1940 rok na Podlasiu była bardzo mroźna. Jeżeli było mniej niż 20 stopni poniżej zera, to uważało się, że jest nie bardzo zimno. Na szczęście, z namowy Edka, odkupiłem od niego za całe posiadane pieniądze parę metrów żyta, za które nabyłem kożuch. Nie marzłem więc dozorując młocki czy prac w śpichrzu przy czyszczeniu ziarna. W lutym Edek otrzymał zawiadomienie, że w Siedlcach będą sprzedawać konie dla rolnictwa. Miał sam jechać, gdyż potrzebował więcej koni, lecz pewno ze względu na mróz, wykręcił się jakimś powodem i prosił, abym ja pojechał. Bardzo mi to było nie na rękę, bo unikałem spotkań z ludźmi, ale pojechałem. Pamiętam, że był dzień 13 lutego, mróz 35 stopni, a więc jazda niezbyt miła. Jechałem saniami, zakryty baranicą, w fińskiej czapce Edka, z obmarzniętymi wąsami

i należało przypuszczać, że nikt mnie poznać nie powinien. A jednak było inaczej. Kupiłem Edkowi jakieś trzy zgody i gdy poszedłem płacić do starostwa, tam natknąłem się z punktu na swego kolegę od Rontalera, Łuniewskiego, który był weterynarzem. Na szczęście nie zauważył mnie, a miałem już nieco stracha, że powie coś nieostrożnie i wsypa gotowa.

Po paru dniach po powrocie z tej wyprawy zjawił się w Falatyczach rtm. Paweł Bieżyński, też ukrywający się. Paweł był moim kolegą z SGGW i z Legionów. Widział mnie, jak jechałem saniami przez Siedlce i – mimo zmienionego wyglądu – poznał mnie. Domyślił się, że mogę być w Falatyczach. Od Pawła dowiedziałem się, że istnieje jakaś organizacja konspiracyjna, na czele której stoi gen. Karaszewicz-Tokarzewski[68]. Proponował mi, abym i ja do niej przystąpił, jednak nie podał mi ani celów tej organizacji, ani żadnych bliższych szczegółów. Do konspiracji zawsze miałem wstręt, a do generała Tokarzewskiego żadnego zaufania. Tego głównego teozofa Polski poznałem na jakiejś grze wojennej w GISZ i wcale mnie jego osoba nie pociągała. Uważałem go za mało poważnego człowieka, zwłaszcza że słyszałem o nim od kolegów ze Lwowa, oficerów dyplomowanych, zupełnie niepochlebne opinie. Nie uważałem, aby mógł on być właściwym człowiekiem na wodza ruchu podziemnego. Odmówiłem wstąpienia do tej organizacji.

Na wiosnę zjawił się u mnie w Falatyczach por. Makaliński z 13 pułku ułanów. Był ranny już w partyzantce, a w tym czasie pracował w lasach Mienia pod Mińskiem Mazowieckim. Prosił, abym go odwiedził. Jakimś cudem dowiedział się w Warszawie, gdzie jestem i przyjechał z Mieni do Falatycz na rowerze.

W czerwcu 1940 roku pojechałem do Mieni, aby zobaczyć się z Makalińskim. Szanowałem tego młodego oficera, bo był on bezsprzecznie jednym z najbardziej bojowych oficerów 13 pułku ułanów. Trafiłem na imieniny jego

[68] Karaszewicz-Tokarzewski Michał (1893–1964) – gen. broni, członek Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, od sierpnia 1914 w I Brygadzie LP. W listopadzie 1918 w stopniu ppłk i dowódcy 5 ppleg. uczestniczył w odsieczy Lwowa. Później m.in. szef Departamentu Piechoty w MSWojsk., dowódca 19 i 25 DP (awans na gen. bryg. w 1924), dowódca Okręgu Korpusu III (Grodno) 1932–1936, Okręgu Korpusu VI (Lwów) 1936–1938, Okręgu Korpusu VIII (Toruń) 1938–1939. Założyciel i komendant, jeszcze w oblężonej Warszawie, pierwszej organizacji konspiracyjnej (powołanej z rozkazu marszałka E. Śmigłego-Rydza, przekazanego z Rumunii) – Służby Zwycięstwa Polski, na bazie której powstał Związek Walki Zbrojnej, a następnie Armia Krajowa. Odsunięty wkrótce od dowodzenia z rozkazu Naczelnego Wodza gen. W. Sikorskiego przedostał się do Lwowa, by kierować organizacją na terenie okupacji sowieckiej. Wkrótce został aresztowany (marzec 1940) i przewieziony do Moskwy. Uwolniony w sierpniu 1941 został dowódcą 6 Lwowskiej DP w formowanej w ZSRR Armii Polskiej. Dowodził nią także na Środkowym i Bliskim Wschodzie do marca 1943. Awansowany na gen. dyw. 1 stycznia 1943. Do końca wojny dowodził III Korpusem Polskim. Awans, na gen. broni w 1946. Zmarł w Casablance (Maroko), pochowany w Londynie.

przełożonego, byłego wachmistrza 1 pułku szwoleżerów. Ten oczywiście przyjął mnie z entuzjazmem. Podczas tego przyjęcia imieninowego przyjechał do leśniczówki leśniczy. Nasz wachmistrz musiał go zaprosić do stołu. W toku rozmowy okazało się, że leśniczy kończył w Warszawie leśnictwo w SGGW i że jest Niemcem (mimo, że nosi polskie nazwisko) i to Niemcem zajadłym. Takie towarzystwo mi zupełnie nie odpowiadało. Ponieważ byliśmy po wielu kieliszkach, a Niemczura momentalnie się zalał, nagadałem mu dużo przykrych rzeczy, obiecując nawet stryczek. Na drugi dzień wyjechałem z Makalińskim do Warszawy, a Niemczura albo nie pamiętał co posłyszał, albo wolał nie robić z tego użytku. Myślę jednak, że raczej nie pamiętał.

Makaliński wprowadził mnie na jakieś zebranie konspiracyjne na Żoliborzu. Przewodniczył jakiś starszy pan, wydawało mi się, że widywałem go w GISZ. Na tym zebraniu powiedziałem otwarcie, kim jestem i zapytałem, czy mogą mi powierzyć jakąś funkcję. Nie odniosłem wrażenia, aby im na mojej osobie zależało. Dostałem dość wymijającą odpowiedź, z której zrozumiałem, że ani mój stopień, ani funkcje przedwojenne nie odpowiadają zebranym, abym z nimi współpracował w konspiracji. Ponieważ nie byłem nigdy amatorem podziemnej roboty, wróciłem do Falatycz, właściwie niezaangażowany. Zdaje się, że organizację tę stworzył major Włodarkiewicz[69], który później był w ZWZ i podobno umarł podczas okupacji.

Makalińskiego też więcej nie widziałem. Dowiedziałem się znacznie później, że został on aresztowany przez Niemców, nakryty na jakiejś robocie konspiracyjnej i zamordowany w Oświęcimiu. Makaliński był niezwykle odważny, ale nie zawsze celowo brawurujący. Raz mu się udało, jak mi opowiadał, gdy do Mieni przyjechał jakiś oddział niemiecki. Oficer, Niemiec, zapytał go czy jest oficerem. Makaliński odpowiedział, że tak. Niemiec pyta: „Ale rezerwy?”. Makaliński: „Nie, zawodowy”. Niemiec wyjątkowo nie aresztował go. Ale to się raz tak udało. Bardzo go żałowałem.

W sierpniu wyszło rozporządzenie niemieckie, wzywające wszystkich oficerów ukrywających się jeszcze, do zameldowania się w najbliższych komendach niemieckich, pod grozą kary śmierci. Również osoby dopomagające oficerom

[69] Włodarkiewicz Jan Henryk (1900–1942) – ppłk., w WP od września 1919 w kawalerii, od 1935 w stopniu kapitana w Wydziale Specjalnym (w dywersji pozafrontowej) Oddziału II Sztabu Głównego. We wrześniu 1939 w 41 Rezerwowej DP (Armia Lublin), a po jej rozformowaniu walczył samodzielnie dalej do 15 października. Współorganizator w Warszawie i od listopada 1939 komendant Tajnej Armii Polskiej (ps. „Darwicz” i in.). Od stycznia 1941 Komendant Naczelny Konfederacji Zbrojnej – pionu wojskowego Konfederacji Narodu, od lipca 1941 współorganizator „Wachlarza”, a po scaleniu KZ z ZWZ jego komendant (wrzesień 1941). Zmarł we Lwowie w swym konspiracyjnym mieszkaniu w niewyjaśnionych okolicznościach – nie da się wykluczyć skrytobójstwa z powodów politycznych.

w ukrywaniu się, podlegają karze śmierci. Sytuacja była fatalna. W Falatyczach byłem pod własnym nazwiskiem i w wypadku wsypy, Edkowie nie mogliby się wykręcić, że nie wiedzieli kim jestem. Musiałem wyjechać z Falatycz. Meldować się nie miałem najmniejszego zamiaru. Ale gdzie wyjechać? Ci, co mnie znali bali się mnie przyjąć. Ci co nie znali – bali się ryzykować i przyjmować ludzi nieznanych. Z pomocą przyszedł mi dzierżawca majątku Czeberaki (majątek braci Edkowej), taki poczciwy Staś Olszowski. Ten od razu mi powiedział, że znajdzie mi przytulisko. I faktycznie znalazł. Nowy dowód osobisty obiecał mi szwagier Stasia, profesor Makarczyk, a zgodziła się przyjąć mnie pani Ostrowska z Dębowej Góry pod Skierniewicami. Miałem tam być w charakterze ogrodnika.

W Dębowej Górze byłem w 1933 roku razem z Wieniawą, jako świeżo upieczony szef sztabu 2 Dywizji Kawalerii, w odwiedzinach u szwoleżerów, którzy tam kwaterowali przed wymarszem na rewię krakowską. Wątpię, aby pani Ostrowska mnie pamiętała, ale pamiętała mnie Anka Kózkowa, jej córka, a wdowa po poruczniku pilocie i ona głównie namówiła matkę i bratową, też wdowę (mąż jej, Stanisław Ostrowski, zginął w 1939 roku), aby mnie przyjęły.

W pierwszych dniach września wyjechałem przez Warszawę do Dębowej Góry. W Warszawie zaszedłem do profesora Makarczyka, który dał mi in blanco podpisany, nowy tymczasowy dowód osobisty. Wpisałem więc nowe swoje nazwisko – Józef Kowalski, z zawodu robotnik.

Mój przyjazd do Warszawy zbiegł się z przyjazdem Heli z Litwy. Zostawiła tam chłopców, a sama wróciła do rodziny. Nie chcę o tym pisać, ale to pozostawienie synów było dla mnie wielkim zawodem [...][70].

Na drugi dzień wyjechałem do Skierniewic koleją. Idąc szosą do Dębowej Góry układałem sobie całą legendę, co mam mówić i kogo udawać. Usiadłem przy szosie, aby chwilę odpocząć i spojrzałem na swoje paznokcie. Były czyste i ładnie obcięte. Zupełnie nie pasowały do całego wyglądu człowieka poszukującego pracy fizycznej, a przyszłego ogrodnika. Zacząłem więc drapać ziemię w rowie przydrożnym, aby zabrudzić je. Podszedł do mnie jakiś człowiek, który wdał się ze mną w rozmowę i oczywiście zaczął mnie wypytywać o sprawy osobiste. Powiedziałem mu, że jestem uciekinierem z wileńszczyzny i idę szukać pracy w Dębowej Górze lub gdzie się da. Namawiał mnie, abym szedł z nim do Żelaznej, gdzie jest owczarzem. Obiecałem mu, że jeżeli nie znajdę pracy w Dębowej Górze, przyjdę do niego do Żelaznej, aby mi ułatwił znalezienie pracy. Wreszcie doszedłem w południe do dworu. Przed dworem stała jakaś

[70] Ze względu na bardzo osobisty charakter, uznaliśmy za stosowne pominięcie trzech wierszy odnośnego fragmentu wspomnień (przyp. Wyd. Pol.).

stara kobieta i woziła dziecko w wózeczku. Zapytałem ją o panią Ostrowską. Mało uprzejmie wskazała mi drogę do kuchni. Wszedłem po kilku schodkach do wielkiej izby, w której był wprawdzie piec kuchenny, ale nie było widać, aby tu gotowano. Na skrzypnięcie drzwi wyszła z sąsiedniej kuchni kucharka i zapytała mnie, w jakiej sprawie przychodzę. Odpowiedziałem, że słyszałem jakoby dziedziczka poszukiwała kogoś do pracy w ogrodzie i proszę, abym mógł zobaczyć się z dziedziczką. Po niedługim czasie wyszła do mnie pani Ostrowska i od razu zaczęła oczami dawać znaki, abym był ostrożny. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że nowy człowiek wzbudza ciekawość, byłem więc nastawiony do odegrania roli uciekiniera ze wschodu poszukującego pracy. Po stosunkowo krótkiej rozmowie zostałem przyjęty do pracy i zawezwany do kuchni na obiad. Tu, oczywiście, musiałem kucharce i pokojówce opowiedzieć coś niecoś o sobie. Ponieważ legendę miałem już ułożoną, łgałem jak z nut bez zająknięcia.

Jadłem w kuchni obiad, chyba pierwszy raz w życiu. Myślałem, jak los rzuca człowiekiem. W 1932 roku, gdy byłem na pierwszej podróży taktycznej z Wyższą Szkołą Wojenną, byliśmy pod Skierniewicami. Z każdego punktu w terenie orientowaliśmy mapy na Dębową Górę. Ta miejscowość utkwiła mi w pamięci, zwłaszcza że ostatnie w tym dniu ćwiczenie polegało na napisaniu jakiegoś rozkazu dla artylerii. Pisaliśmy, leżąc pod parkiem dworu. I znów, w 1933 roku byłem tu jako gość szwoleżerów i pani Ostrowskiej. Nigdy mi do głowy nie mogło przyjść, że znów się tu znajdę, lecz jak bardzo w zmienionej sytuacji.

Po obiedzie powiedziano mi, że mam się zakwaterować w pokoiku na folwarku. Kwatera była okropna. Pokoik mały, bez żadnego umeblowania, tylko siennik na podłodze. Tylko moje zahartowanie na niewygody i konieczność życiowa pozwoliły mi pogodzić się z taką poniewierką. Ze względów konspiracyjnych było to może i słuszne, ale bardzo przykre, W ciągu dnia pilnowałem ogrodu, ale noce były okropne. Marzłem strasznie.

Na szczęście ta poniewierka trwała parę dni. Sytuacja radykalnie się zmieniła, gdy do Dębowej Góry przyjechała siostra pani Ostrowskiej. Pani ta, rzekomo, wydała o mnie jak najlepszą opinię i pani Ostrowska weszła do kuchni, oświadczając wobec służby, że dowiedziała się od siostry o mnie pochlebnej opinii, wobec tego mam się dziś przeprowadzić do pokoju we dworze. Nareszcie zacząłem mieszkać jak człowiek.

Po paru dniach mieszkania we dworze zadomowiłem się i naturalnie musiałem coraz więcej opowiadać o sobie. Opowiadałem, że byłem sierotą wychowanym we dworze. Pracowałem po majątkach jako lokaj lub stangret, a ostatnio byłem kamerdynerem u adwokata w Wilnie, skąd uciekłem przez zieloną granicę. Tym się tłumaczyła moja umiejętność zachowania się i sposób wyrażania się w mowie. Nie potrzebowałem więc sztucznie używać jakiejś gwary lub

kaleczyć języka. Przeniesienie mnie do dworu było zupełnie naturalne, gdyż we dworze mieszkały same niewiasty i raźniej było, gdy był choć jeden mężczyzna.

Mieszkając we dworze miewałem okazję do porozmawiania normalnego, bez udawania, z panią Ostrowską, jej córką lub synową, bo te trzy niewiasty tylko wiedziały, kim jestem. Zachowana była bardzo ścisła konspiracja i wszelkie pozory. Na ile byłem dobrze zakonspirowany i na ile wszyscy wtajemniczeni grali dobrze swe role, może posłużyć następujący fakt. Mieszkająca we dworze, wysiedlona ze swego majątku, pani Siemiątkowska, zwróciła uwagę pani Ostrowskiej, że jej się coś wydaje, iż ten Kowalski to chyba cichcem sprzedaje owoce przez płot. Oczywiście Anka, przy okazji powtórzyła mi to, pękając ze śmiechu i radości. Dowodziło to, że nikt mnie nie posądza, iż mogę być kimś innym niż się podaję.

Życie zaczęło się układać znośnie.W niedzielę, po obiedzie, słyszałem piskliwe wołanie: „Kowalski!", odpowiadałem więc z ogrodu: „Słucham, pani dziedziczko!" i szedłem na ganek. Tu pani Ostrowska pokazała mi wzrokiem na osłonięte dzikim winem okno i odeszła. Stał tam kieliszek dobrej wiśniówki i filiżanka czarnej kawy. Wypijałem to ze smakiem i szedłem do ogrodu.

W ogrodzie siadywałem często w słomianej budzie, gdzie miałem bardzo dużo czasu na rozmyślania. Rozmyślałem nie o swoim położeniu, bo z tym się godziłem, lecz o różnych sprawach przeszłości i przyszłości Polski. Czasami te rozmyślania były przerywane przez przyjście kogoś z domowników po owoce. Kiedyś przyszedł na jabłka kuzyn pani Ostrowskiej, przyjezdny z Warszawy, były urzędnik z MSZ – Perłowski. Wdał się ze mną w rozmowę. Starałem się mówić jak najmniej, a raczej odpowiadać i to dość naiwnie. Niewiele to pomogło. Powtarzała mi Anka, że Perłowski zapytał ją, kim jestem. W myśl naszej umowy powiedziała: „Uciekinier, a tu ogrodnik". „Uważajcie!" – powiedział, zaczął się śmiać i dodał: „Ręczę, że on wam buja". Nie wiem czy na wszelki wypadek, ale zawsze był dla mnie bardzo grzeczny, jak również jego żona, Szkotka.

Po zbiorze owoców pracowałem w ogrodzie najczęściej z tak zwanym ogrodnikiem, którym był mało inteligentny, nieco przyuczony chłop, nazwiskiem Słodki. Lecz bardzo często pomagałem Ance, która w miarę możności wyszukiwała takie roboty, abyśmy mogli swobodnie rozmawiać. Te roboty były dla mnie wielkim odprężeniem, gdyż ciągłe kłamstwo i trzymanie siebie na wodzy, aby nie powiedzieć czegoś, co mogłoby spowodować wsypę i zmusić do szukania innego przytuliska było bardzo męczące. Ludzie, którzy tego nie przeżywali, nie są w stanie zrozumieć, jak bardzo jest męcząca ciągła czujność. Gdybym choć na chwilę przypuszczał, że będę musiał ukrywać się przez pięć lat, pewno bym się zastrzelił, nie wierząc, że to jest możliwe bez wpadki.

Szła jesień. Zaczęły się zimna i słoty. Życie robiło się coraz cięższe. Któregoś dnia poszedłem do Skierniewic, aby się ostrzyc. Naturalnie, że we wszystkich skupiskach ludzkich musiałem być specjalnie ostrożny i czujny, gdyż moc ludzi znało mnie z Warszawy, zwłaszcza byli żołnierze. Poszedłem więc do jakiegoś podłego fryzjera w bocznej uliczce. Skutki nie dały długo na siebie czekać. Ten brudas skaleczył mnie na szyi. Po paru dniach zrobiła się krosta, bardzo bolesna. Owiązałem szyję chustką, ale kark bolał coraz więcej.

W końcu listopada lub na początku grudnia, w niedzielę, wysłała mnie pani Ostrowska do sąsiedniej wsi, aby dowiedzieć się, czy nie mają siana na sprzedaż. Był lekki mróz. Poszedłem pieszo i w drodze poczułem, że mam gorączkę. Po powrocie, mimo niedzieli, musiałem okryć brzoskwinie słomą, bo na noc zaczął brać większy mróz. Gorączka się wzmogła i rano już nie wstałem.

Mieszkałem w bardzo zimnym pokoju. Nie pamiętam, ile dni leżałem, lecz pewno dwa lub trzy, kiedy przyjechała do Dębowej Góry akuszerka, wezwana w jakiejś sprawie związanej z urodzeniem, już kilkumiesięcznego, wnuka pani Ostrowskiej. Sprowadzono ją do mnie. Akuszerka poradziła, abym z nią pojechał do Skierniewic i kupił w aptece propidon, to zrobi mi zastrzyk. Uprzedziła jednak, że wywoła to silną gorączkę. Pojechałem i zrobiła mi zastrzyk. Kiedy wróciłem, nie zdążyłem się nawet rozebrać, jak dostałem okropnych dreszczy i bardzo wysokiej gorączki.

Na szczęście wróciła do Dębowej Góry Anka, której jakiś czas nie było, bo gdzieś wyjeżdżała. Zajęła się mną szczerze i naprawdę, jak prawdziwa siostra miłosierdzia. A to miłosierdzie było konieczne i może jemu zawdzięczam, że piszę te słowa. Zaczęła palić w piecu, wynosiła nocniki, a robiła to wszystko tak, aby nie zwracać uwagi służby na jej prawdziwie serdeczną opiekę. Wreszcie sprowadzono do mnie felczera, którego tytułowano doktorem. Ten stwierdził, że mam wielki karbunkuł i konieczne jest zrobienie cięcia, aby wypuścić ropę. Jak się później dowiedziałem, twierdził, że sprawa była bardzo niebezpieczna, gdyż wszystko było za późno. Wyciągnięto mnie z łóżkiem do okna i w tym zimnym pokoju, pokrajał mi kark na żywca. Co użyłem, to trudno opisać. Ropa lała się jak z wiadra. Po operacji Anka ubrała mnie w swoją piżamę, która do rana, przez bandaże została doszczętnie zmoczona ropą. Felczer nauczył Ankę, jak ma robić opatrunki, a sam przyjechał jeszcze raz i zrobił mi drugi zastrzyk propidonu.

Pomału zacząłem wracać do zdrowia. Opatrunki, codziennie robione przez Ankę, trwały jeszcze blisko dwa miesiące, ale już mogłem chodzić i coś niecoś robić. Muszę przyznać, że gdyby Anka się mną nie zajęła, na pewno dziś już po mnie nie pozostałoby nawet wspomnienie. Uratowała mi życie.

Około Bożego Narodzenia 1940 roku wyjechali z Dębowej Góry państwo Siemiątkowscy i zwolnił się wygodny pokój, z wstawioną kuchenką na węgiel.

Zostałem więc, jako rekonwalescent, przeniesiony do tego pokoju. Pod pozorem konieczności posiadania stale ciepłej wody, polecono mi palić w kuchence. Miałem więc ciepło. W ogrodzie nie było roboty. Trzeba było jednak jakoś upozorować trzymanie mnie we dworze. Otrzymałem więc nową funkcję, która polegała na paleniu we wszystkich piecach, administrowaniu węglem oraz wydawaniu prowiantu ze spiżarni. Prócz tego, nowo przyjęty administrator polecił mi wymalowanie różnych tablic do obory itp. Robiłem to chętnie, bo jeszcze byłem osłabiony po chorobie i odpowiadała mi wszelka praca niewymagająca wysiłku fizycznego. W lutym 1941 roku byłem już na tyle zdrowy, że zacząłem znów pracować w ogrodzie. Przycinałem drzewa i pracowałem przy przygotowaniu inspektów.

Praca w ogrodzie zajmowała mi dokładnie cały dzień, bo od świtu do zmroku, z przerwami na posiłki. I to może było nawet dobrze, bo nie miałem czasu na rozmyślania. Wieczorem, gdy położyłem się do łóżka, zasypiałem momentalnie. Przez zimę tak się wszyscy do mnie przyzwyczaili, a raczej do mojej osoby, że już raczej stałem się domownikiem, niż wynajętym pracownikiem. Zresztą za moją pracę nie dostawałem żadnego wynagrodzenia, a pracowałem jedynie za mieszkanie, wikt i opierunek. W Falatyczach Edek zmusił mnie do przyjmowania małej pensyjki na papierosy. Tu nie dostawałem nic i nawet nie przyjąłbym. Uważałem, że sam fakt trzymania mnie, z narażeniem życia, był tak wiele wart, iż pracą moją nie byłem w stanie spłacić należności.

Służba może trochę niechętnie patrzyła na moje przywileje, ale pogodziła się z tym. Nie dziwiło więc już nikogo, że gdy Anka jechała konno do swego majątku do Wałowic, w powiecie rawsko-mazowieckim – jechałem z nią. W drodze mogliśmy swobodnie rozmawiać. Dla mnie miało to wielką wartość, bo przecież byłem skazany na stałe obcowanie z kucharką, pokojówką lub Słodkim. Często pani Ostrowska przychodziła do mego pokoju wypić podwieczorek. Wtedy zawsze dostawałem coś dobrego, co zjadałem na rachunek dziedziczki. Pozory były zawsze zachowane. Kiedyś stangret zagadnął mnie, gdy siodłałem sobie ogiera, którego polecono mi przejeżdżać, skąd umiem jeździć konno i skąd się tak dobrze znam na końskich sprawach. Wyjaśniłem mu, że za młodu byłem chłopcem stajennym na torze wyścigowym. Oczywiście uwierzył. Moja znajomość z końmi musiała być jakoś wyjaśniona.

Pękałem w duszy ze śmiechu, jak kiedyś młody Jan Siemiątkowski w rozmowie ze mną zapytał, czy po wojnie mam zamiar wrócić na Wileńszczyznę? Bo gdyby nie, to on chętnie wziąłby mnie do swego majątku na stangreta. Podziękowałem mu za tę propozycję.

Na wiosnę Niemcy zarządzili licencjonowanie ogierów w Skierniewicach. Wszyscy fornale i chłopcy bali się jechać na jedynym ogierze. Ogier był pełnej

krwi, kupiony przed wojną przez młodego Ostrowskiego na torze wyścigowym, dobrze utrzymany i rzadko przejeżdżany. Ktoś musiał go doprowadzić przed komisję. Pani Ostrowska zwróciła się do mnie z prośbą, abym pojechał. Nie wypadało mi odmówić, choć bardzo nie miałem ochoty. Pojechałem. Ledwo przyjechałem na plac, gdzie odbywała się komisja, zauważyłem, że wśród niemieckich oficerów i esesmanów był mój dawny oficer ze szwadronu przybocznego, por. Kazimierz Zaleski. Przed wojną był już w rezerwie i pracował na wyścigach konnych jako starter. Nie chciałem, aby mnie widział, bo nie wiedziałem, co go łączy z Niemcami, skoro jest w komisji. W ostatniej chwili przed wywołaniem Dębowej Góry, oddałem ogiera do potrzymania fornalowi, który tam przyjechał z rządcą, tłumacząc się nagłym bólem brzucha. W ten sposób uniknąłem spotkania z Zaleskim. Po pewnym czasie odbyło się licencjonowanie klaczy. I znów mnie wysłano z klaczą pełnej krwi, wierzchówką Anki. Tym razem nie mogłem się wykręcić i musiałem klacz podprowadzić przed komisję. Zaleski poznał mnie. Zrobił się blady jak płótno. Widziałem, że mało nie zemdlał. Zupełnie nie patrzył na klacz, tylko machnął ręką i wybełkotał, aby klacz odprowadzić. Siadłem więc na „Fetę" i pojechałem do Dębowej Góry. Zastanawiałem się, czy Zaleski wsypie mnie, czy jest porządnym człowiekiem? Na szczęście nie okazał się świnią, a bałem się, bo nigdy nie był odważny i nie wykazywał wartości charakteru. Do szwadronu przybocznego dostał się przypadkowo, na zamianę za gorszego od niego por. Mirowskiego, siostrzeńca prezydenta Wojciechowskiego, którego, ze względu na pokrewieństwo z Głową Państwa, przyjęto protekcyjnie. Po tym spotkaniu prosiłem panią Ostrowską, aby mnie więcej w takich sprawach nie wysyłała. Moja wsypa byłaby i jej wsypą.

Zresztą w czasie mego pobytu w Dębowej Górze było parę, nawet humorystycznych kawałków, które na szczęście nie skończyły się tragicznie. Najwięcej byłem niezadowolony z nieostrożności ludzi, spowodowanej przez gadulstwo. Wychodziła za mąż młoda Ostrowska (synowa Jolanta) za starego kawalera Okęckiego. Okęcki był znany z zadartego nosa – snob. Jolanta nie omieszkała powiedzieć narzeczonemu, kim jestem. Kiedyś pielę ze Słodkim cebulę czy coś innego i przychodzi do ogrodu Jolanta z Okęckim w poszukiwaniu Anki. Jolanta miała zwyczaj witania się, więc całowałem ją w rękę, co nie było nic dziwnego, ale gdy Okęcki podał mi rękę, obejrzałem się, czy aby Słodki tego nie widzi. Na szczęście nie widział, bo moja legenda prysłaby na pewno. Dziedzice nie podawali ręki pracownikom ogrodowym. Wtedy jeszcze nie było takiej demokracji.

Kiedyś znów, w sobotę po obiedzie, idę z grabiami, aby zagrabić dziedziniec przed gankiem. Było lato, więc idę w trepach drewnianych i w lnianych spodniach, chyba nawet bez koszuli, opalony na Murzyna. Widzę, że

w otwartym oknie siedzi Anka i rozmawia z młodą i bardzo przystojną niewiastą, którą często widywałem w Warszawie w towarzystwie por. Gadomskiego ze szwoleżerów. Przeszedłem, nie oglądając się, bo nie chciałem być poznany. Później opowiadała mi Anka, że niewiasta ta (żona Bolesława Piaseckiego – zginęła w oddziałach Radosława podczas Powstania Warszawskiego) zapytała, kim jestem. Otrzymała odpowiedź, że wysiedlony, pracuję jako ogrodnik. „Dziwne – powiedziała Piasecka – bardzo podobny do pułkownika Szostaka ze szwoleżerów".

W lecie przyjechała do Dębowej Góry szwagierka Anki – Danusia, żona drugiego Kózki, też lotnika, będącego w oflagu. Dużo z nią rozmawiałem. Opowiedziała mi dość dużo na temat organizacji podziemnych, jak również, że wszyscy zawodowi oficerowie, z rozkazu gen. Sikorskiego, powinni do tych organizacji należeć. Po namyśle doszedłem do wniosku, że mimo wstrętu do konspiracji, muszę się dowiedzieć bliższych szczegółów. Pojechałem więc do Warszawy i za pośrednictwem Heli spotkałem się z majorem Bigoszewskim z 1 pułku szwoleżerów. Od niego dowiedziałem się, że jest w Warszawie major Hrynkiewicz, a dużą figurą organizacyjną jest płk. dypl. Janusz Albrecht[71], ostatni dowódca szwoleżerów. Prosiłem więc moich dawnych kolegów, aby mi ułatwili widzenie się z Albrechtem. Załatwił mi to Hrynkiewicz, który skontaktował mnie z głównym „personalnikiem" organizacji Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), Wolańskim (ppłk.Gorazdowski[72]). Okazało się, że Wołańskiego znam, bo był on

[71] Albrecht Janusz (1892–1941) – płk, od 1911 w Związku Strzeleckim, 1914–1917 w kawalerii Legionów Polskich, później w POW, w 1920 w 1 p. szwoleżerów, później na różnych stanowiskach w kawalerii – od sierpnia 1937 dowódca 1 p. szwoleżerów, którym dowodził w kampanii 1939. Wzięty do niewoli niemieckiej po trzech dniach zbiegł i przystąpił do SZP, w której był szefem sztabu od stycznia 1940. Następnie od czerwca 1940 na tym samym stanowisku w ZWZ. Aresztowany 7 lipca 1941 w Warszawie, został przewieziony do Kielc. Torturowany, po złożeniu zeznań, zgodził się na przekazanie Roweckiemu niemieckiej propozycji zawarcia z ZWZ „cichego układu", w myśl którego ZWZ miałby zaniechać prowadzenia sabotażu, dywersji i propagandy, a strona niemiecka w zamian zawiesić zwalczanie ZWZ. Zwolniony 27 sierpnia 1941 wrócił do Warszawy i podjął próbę dotarcia do Roweckiego, by osobiście przedstawić mu propozycję władz niemieckich. Po stwierdzeniu bezskuteczności tych starań i braku szans na przyjęcie przez ZWZ podobnego układu z Niemcami – zobowiązany oficerskim słowem honoru do powrotu do Kielc po spełnieniu misji – popełnił samobójstwo 6 września 1941 (A. K. Kunert, *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939–1944*, Warszawa 1987, t. 1, s. 27).

[72] Gorazdowski Jan Nepomucen (1896–1957) – płk, od 1915 w armii rosyjskiej, później w I Korpusie Polskim na Wschodzie, od listopada 1918 oficer służby stałej w WP. W kampanii 1939 w stopniu majora dowódca batalionu stołecznego WP. Zakończył ją w szeregach SGO „Polesie" pod Kockiem. W konspiracji w Warszawie od października 1939, w listopadzie 1942 awansowany na ppłk. i mianowany szefem Biura Personalnego w Oddziale I Komendy Głównej AK. Funkcję tę pełnił aż do rozwiązania AK, w organizacji „Nie", a następnie w Delegaturze Sił Zbrojnych. Aresztowany w 1949, zwolniony z więzienia w 1956 i zrehabilitowany.

kolegą Bronka z Wyższej Szkoły Wojennej i poznałem go kiedyś, odprowadzając Bronka na pociąg, kiedy wyjeżdżali w podróż taktyczną ze szkołą.

Nie pamiętam, ile razy wyjeżdżałem do Warszawy, aby uzyskać kontakt z Albrechtem. Zatrzymywałem się wtedy u Mietka Bigoszewskiego. Wreszcie powiadomiono mnie, gdzie i kiedy ma nastąpić spotkanie. Było ono wyznaczone gdzieś w rejonie Mochnackiego, blisko Filtrowej. Gdy czekałem na przyjście Albrechta, zobaczyłem idącego płk. Pełczyńskiego[73]. Podszedł on do mnie i oświadczył, że Albrecht nie przyjdzie, a on nie może teraz ze mną dłużej rozmawiać, ale wyznaczył mi spotkanie, po tygodniu, w początkach września, podając adres w rejonie Teatru Polskiego oraz hasło.

Wróciłem więc do Dębowej Góry, aby zlikwidować swoje sprawy i wyjechać już na stałe do Warszawy. W Warszawie, po dwu latach okupacji, wiele się zmieniło i mogłem już bezpieczniej poruszać się, bo mniej znajomych spotykałem. Pożegnałem więc panią Ostrowską i podziękowałem za gościnę. Wyjechałem cicho, tak jak przyjechałem.

W wyznaczonym terminie i w wyznaczonym miejscu stawiłem się puktualnie na spotkanie z płk. Pełczyńskim. Na to spotkanie przyszedł również płk. dypl. Tatar[74]. Tu oświadczono mi, to co mówiła mi Danusia, że jest rozkaz gen.

---

[73] Pełczyński Tadeusz (1892–1985) – gen. bryg, w czasie studiów na UJ członek Związku Strzeleckiego, od sierpnia 1914 w Legionach Polskich (I i III Brygada), w 1920 dowódca batalionu Szkoły Podchorążych Piechoty, po wojnie na różnych stanowiskach, m.in. szef Oddziału II Sztabu Głównego WP (1927–1932 i 1935–1937). Po kampanii 1939 w konspiracji SZP-ZWZ, od lipca 1940 do kwietnia 1941 Komendant Okręgu Lublin, następnie zastępca szefa sztabu, a po aresztowaniu płk. J. Albrechta szef sztabu Komendy Głównej ZWZ-AK, ps. „Grzegorz". Awansowany na gen. bryg. w listopadzie 1943. W czasie Powstania Warszawskiego ciężko ranny w miejscu dowodzenia Komendy Głównej (4 września 1944) pozostał nadal zastępcą dowódcy AK, funkcję szefa sztabu przekazując płk. J. Szostakowi. Po kapitulacji w niewoli, a następnie w Wielkiej Brytanii, czynny w organizowaniu i kierowaniu Studium Polski Podziemnej – zmarł w Londynie. Żona, Wanda z Filipkowskich była kurierką I Brygady LP, posłanka na Sejm (1935–1938), czynna w AK. Zmarła w Londynie w 1976. Syn Krzysztof, student architektury poległ 17 sierpnia 1944 na Mokotowie w szeregach pułku „Baszta".

[74] Tatar Stanisław (1896–1980) – gen.bryg., od 1915 w armii rosyjskiej, następnie w I Korpusie Polskim na Wschodzie, w WP na różnych stanowiskach w artylerii. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie i Paryżu. W kampanii 1939 dowodził w stopniu płk. artylerią 3 DP leg., od 8 września całą dywizją. Od stycznia 1940 szef Oddziału III (operacyjny i szkoleniowy) w Komendzie Głównej ZWZ, ps. „Erazm". Opracował z zespołem m.in. plan „Burza". W nocy z 15/16 kwietnia 1944 odleciał do Londynu „Mostem I". Został tam zastępcą szefa sztabu Naczelnego Wodza i podlegał mu Oddział VI (specjalny – ds. łączności z krajem). Towarzyszył premierowi S. Mikołajczykowi w podróżach do Waszyngtonu i Moskwy. W lipcu 1947 w tajemnicy przed rządem RP na uchodźstwie zorganizował, wraz z paroma stronnikami, przewiezienie z Londynu do Warszawy, w samolocie wiozącym zwłoki gen. Żeligowskiego, tzw. złota FON-u (ponad 350 kg złota). Powrócił do kraju w 1949; wkrótce potem aresztowany i postawiony wraz z kilkoma innymi oficerami WP przed sądem. Skazany na dożywocie został zwolniony w 1956 i zrehabilitowany.

Sikorskiego, nakazujący należenie do ZWZ. Tym niemniej prosiłem, aby mi sprecyzowano, jaki jest cel organizacji. Uzyskałem odpowiedź, że celem jest przeprowadzenie powstania zbrojnego przeciwko Niemcom. Gdy wyraziłem powątpiewanie, czy powstanie może mieć widoki powodzenia – Tatar oświadczył mi, że powstanie będzie przeprowadzone tylko w tym wypadku, o ile będą realne szanse powodzenia. Celem politycznym było, aby jak najszybciej zorganizować administrację i wojsko, bo liczono się z wkroczeniem armii sowieckiej. Zależało, aby wyzwolenie się z niewoli zostało dokonane własnymi siłami. Wojska sowieckie muszą być przepuszczone na okupację Niemiec, lecz w Polsce muszą być gośćmi, a nie okupantami. Oczywiście oceniano, że klęska niemiecka nastąpi na zachodzie. Przyjmowano nawet hipotezę, że Niemcy skapitulują na zachodzie, a będą dążyły do tego, aby jak najmniej ucierpieć od okupacji sowieckiej. Jak się później okazało, przewidywania te były niesłuszne. Po tej rozmowie wyraziłem gotowość na wstąpienie do ZWZ i złożyłem przysięgę. Otrzymałem przydział do Oddziału III sztabu Komendy Głównej. Moim bezpośrednim przełożonym był płk dypl.Tatar, ja miałem być jego zastępcą. Zresztą, jak się później dowiedziałem, Tatar miał nas tylko dwóch, a mianowicie mnie i Kirchmayera.

Otrzymałem czas na zainstalowanie się w Warszawie. Pomogli mi w tym mjr Hrynkiewicz i Bigoszewski. Przez parę dni po przyjeździe do Warszawy mieszkałem u Bigoszewskiego, a następnie skontaktowali mnie oni z dr. Wójcickim, który był dyrektorem ogrodów miejskich i miał możliwości przyjmowania ludzi do pracy. Wójcicki, jako były podchorąży 7 pułku ułanów z 1920 roku, znał mnie,choć ja jego nie pamiętałem. Zapewnił mi posadę gajowego w lesie bielańskim, z tym, że będę na liście płacy i będę otrzymywał 200 złotych miesięcznie, co było bardzo mało, ale mogę nic nie robić. Muszę tylko być zameldowany na Żoliborzu i muszę otrzymać skierowanie faktyczne przez Arbeitsamt. Mieszkać miałem natomiast w jego domu w Laskach, płacąc niewiele za utrzymanie. Ułożone było wszystko doskonale, bo z wyjątkiem fałszywego dowodu osobistego, reszta była legalna. Trudność była tylko z zameldowaniem się, ale to rozwiązała mi Zosia Klepaczowa. Zameldował mnie u siebie Jerzy Kamler, dawny ułan z 7 pułku ułanów, brat Julka.

W Związku Walki Zbrojnej

Początkowo nie powiedziano mi, że dlatego nie uzyskałem kontaktu z Albrechtem, iż ten został aresztowany przez Niemców, następnie wypuszczony na słowo honoru, po uprzednim storturowaniu i wreszcie, że popełnił samobójstwo.

Płk dypl. Tadeusz Pełczyński, ps. „Grzegorz", został na miejsce Albrechta szefem sztabu ZWZ, płk dypl. Stanisław Tatar, ps. „Erazm" był szefem Oddziału III (operacyjnego). Kto jest Komendantem Głównym ZWZ nie wiedziałem, a dowiedziałem się znacznie później.

Po zaprzysiężeniu mnie, Grzegorz zapytał, jaki chcę mieć pseudonim. Nie myślałem o tym, ale szybko zdecydowałem się i przyjąłem pseudonim „Filip", na pamiątkę mego dziadka – powstańca z 1863 roku, Filipa Antoniego.

Tatar bardzo się obawiał mojej dekonspiracji. Chciał zachowywać może nawet przesadną ostrożność. Żądał, abym ograniczył moje pokazywanie się na mieście do minimum. Miał on sporo racji, gdyż ja, służąc przez wiele lat w Warszawie, miałem dużo znajomych i znali mnie ludzie, o których nawet nie wiedziałem, iż wiedzą kim jestem. Początkowo, do czasu mego, możliwie bezpiecznego zainstalowania się w Warszawie, kontakty ze mną bardzo ograniczył.

Jerzy Kamler, ten najwartościowszy człowiek, zameldował mnie w swym mieszkaniu, jako sublokatora, przy ulicy Słowackiego 27/33. Mogłem teraz iść do Arbeitsamtu po skierowanie na Bielany. Tu miałem prześmieszną rozmowę. Starsza urzędniczka, Polka, która mnie załatwiała, kazała sobie podać mój przebieg pracy z ostatnich 10 lat. Ponieważ taki przebieg pracy wypełniałem w Dębowej Górze, a sądząc, że mogą go przesłać ze Skierniewic z tamtymi bujdami, starałem się podać możliwie to samo, z tym że na końcu podałem moją pracę jako ogrodnika. Urzędniczka skrupulatnie wypełniła moje zmyślone zajęcia jako stangreta, lokaja itp., aż wreszcie rzekła: „No, ale chyba przyjemnie panu, że został pan ogrodnikiem, bo lokajem to tak jakoś nie bardzo chyba przyjemnie być". Mało nie pękłem w duszy ze śmiechu, ale poważnie oświadczyłem, że żadna praca nie hańbi, byle ją uczciwie wykonywać.

Kiedy załatwiłem sprawę fikcyjnej pracy, z bardzo drobnym zarobkiem, mogłem wyjechać do Lasek i zamieszkać.

Przed wyjazdem skontaktowałem się z Tatarem, który wyznaczył mi miejsce naszego spotkania w Milanówku. Podał mi również sposób utrzymania z nim łączności za pośrednictwem jego łączniczki, „Lolity".

W Laskach czułem się fatalnie. Zaczynały się już chłody jesienne i w pokoju było często zimno. Wyżywienie było bardzo skromne i raczej stale byłem głodny. No i szalona nuda. Wprawdzie Tatar dał mi do opracowania pewne zagadnienie, ale i tak miałem dużo wolnego czasu. Moje wyprawy do Milanówka, ze względu na trudności komunikacyjne, musiały trwać z reguły dwa dni, z koniecznością nocowania. Nocleg w Milanówku, w jakiejś prymitywnej chałupce był bardzo niewygodny. Byłem przyzwyczajony do ciężkiego życia podczas okupacji, ale teraz warunki miałem okropne.

Kiedyś, jadąc do Milanówka, zaszedłem na Słowackiego 27, do Kamlerów, aby dowiedzieć się co słychać i czy nie ma jakichś wiadomości lub listu dla mnie. Byłem mocno głodny, bo z Lasek wyjechałem po słabym śniadaniu. Zastałem tylko Zosię Kamlerową, żonę Jerzego, której prawie nie znałem. Zosia po krótkiej rozmowie zapytała, czy jadłem obiad, i czy nie jestem głodny. Podziękowałem, kłamiąc, że jestem po obiedzie i zupełnie niegłodny, choć kiszki mi grały marsza. Nie chciałem nadużywać dobroci ludzi, którzy i tak wyświadczyli mi dużo, że mnie „trefnego" zameldowali w swoim mieszkaniu. Zosia poprosiła, abym chwilę pozostał sam i wyszła z pokoju. Po paru minutach wróciła, niosąc na tacy jajecznicę z kiełbasą, chleb, masło i pełny kieliszek. Nie miałem już siły udawać i zjadłem wszystko, co dostałem. Byłem i jestem do dziś wdzięczny Zosi za jej dobre serce i zrozumienie głodnego konspiratora.

Postanowiłem wyjechać z Lasek. Musiałem znaleźć mieszkanie w Warszawie. Byłem nędzarzem, bo Erazm zdecydował, że będę otrzymywał tylko połowę należnego mi uposażenia, ze względu na teoretyczną, płatną posadę. Jeszcze z tej nędznej pensyjki część oddawałem Heli, która choć miała zawsze więcej ode mnie i miała rodzinę w Warszawie, nie krępowała się brać pieniądze.

Szukałem jakiegoś pokoju na Żoliborzu, lecz nic nie mogłem znaleźć. Dopiero gdzieś na jakimś drzewie zobaczyłem karteczkę z ogłoszeniem o pokoju do wynajęcia. Poszedłem pod wskazany adres na Krasińskiego. Okazało się, że to adres pośredniczki, która najpierw kazała mi zapłacić 10 złotych wpisowego, a dopiero zaprowadziła mnie na ulicę Słowackiego 2, gdzie jakaś wdowa po sędzi miała pokój do odnajęcia. Po krótkich targach zgodziłem pokój za 70 złotych miesięcznie, z używalnością kuchni i zastrzeżeniem dwutygodniowego wymówienia. Pośredniczka kazała sobie zapłacić również 70 złotych. Zapłaciłem i byłem zniszczony finansowo.

Lecz gdy sprowadziłem się z moim skromnym dobytkiem, sędzina oświadczyła mi po paru dniach, że wymawia mi mieszkanie. Co było robić? Przyjąłem to filozoficznie. Kupiłem jeden aluminiowy garnek, trochę kartofli i parę kostek maggi i tak próbowałem żyć.

Było to takie życie, ale nie do wytrzymania. Mój babsztyl sterczał nade mną, gdy gotowałem swój skromny posiłek i bawił mnie rozmową. Stale chciała wykazać swoją wyższość nade mną, gdyż widziała w moim dowodzie osobistym wpisany zawód – robotnik. Kiedyś zagadnęła mnie, czy czytam prasę konspiracyjną? Oczywiście zaprzeczyłem. Na to babsztyl: „A to szkoda, bo dowiedziałby się pan, że na przykład pani Duchnowska, żona podpułkownika wojsk polskich współpracuje z Gestapo, a mieszka nad nami". Odpowiedziałem, udając obojętność, że nie znam żadnych żon wojskowych.

To mimowolne ostrzeżenie było mi na pewno potrzebne. Duchnowską dobrze znałem, była Rosjanką i w ogóle podejrzanym typem już przed wojną. Musiałem się teraz bardzo pilnować, aby się z nią nie spotkać przypadkowo gdzieś na schodach czy w innym miejscu. Postanowiłem jednak skorzystać z wymówienia mieszkania i wyprowadzić się.

Znów musiałem się zwrócić do pośredniczki. Najpierw zapytała mnie, czy nie reflektowałbym na zamieszkanie u jakiejś niewiasty, u której byłoby mi bardzo dobrze, ale musiałbym wypełniać obowiązki małżeńskie. Oczywiście to było nie do przyjęcia, już choćby ze względów konspiracji, gdyż najwięcej wsyp było przez stosunki z zazdrosnymi i bez skrupułów niewiastami. Wobec tego mogła mi zaproponować mieszkanie u jednej wdowy z dwojgiem małych dzieci, ale konieczne jest przekonanie jej, że nie jestem żaden kanciarz, bo ona nie chce mieć sublokatora mężczyzny. Jakoby ostatni jej sublokator mężczyzna, okradł ją i uciekł. Parę dni trwały namowy, wreszcie wynajęła mi pokój. Dała się przekonać, ponieważ zapewnili ją z Bielan, że pracuję i że dostanę drzewo na opał. Pokój był z wejściem z przedpokoju, niekrępujący, lecz przylegał do klatki schodowej i dlatego bardzo zimny.

Sędzina była na mnie oburzona za wyprowadzkę, zwłaszcza że przy płaceniu odtrąciłem jej jakąś drobną kwotę, jako karę za niezaciemnienie okna przez jej synka. Sprawa wyglądała groźnie, ale skończyła się szczęśliwie. Pamiętam, że przyniosłem sobie od Jerzego Kamlera półeczkę ze skrytkami. Był wieczór. Zasiadłem do opracowania jakiegoś zagadnienia poleconego mi przez Erazma. Sędziny nie było w domu, był tylko jej synek, mały chłopak. Raptem słyszę dzwonek. Wyszedłem otworzyć drzwi i widzę dwóch policjantów, Niemców. Włażą do przedpokoju. Zimno mi się zrobiło, bo pomyślałem, że po mnie. Jeden szwab mówi słabo po polsku, że okno jest nie zasłonięte, a ktoś zapalił światło i zaraz zgasił. Mam zapłacić karę, chyba 50 złotych. Gdy to posłyszałem od razu nabrałem pewności siebie i zacząłem się targować. Nie ustąpili i karę zapłaciłem, na co dostałem pokwitowanie. Później wyjaśniło się, że chłopiec wpadł do kuchni i nie zwracając uwagi, że okno jest nie zasłonięte, zapalił światło, coś wziął i zaraz zgasił. Pech chciał, że szedł patrol i zobaczył to.

Na odchodnym sędzina oświadczyła mi, że wypowiedzenie zrobiła na wszelki wypadek, ale uważała je za nieobowiązujące. Ja natomiast nie uważałem za stosowne podawać jej właściwego powodu mojej wyprowadzki. Zresztą przed wyprowadzeniem natknąłem się na Duchnowską na ulicy, blisko domu. Nie zauważyła mnie, bo miała krótki wzrok.

Nie pamiętam nazwiska wdowy, u której zamieszkałem przy ulicy Krasińskiego 20 m. 165, na I piętrze. Pokój, jak dla konspiratora, miał tę zaletę, że był przy klatce schodowej i można było nie dzwonić, a zapukać w umówiony

sposób w ścianę. Z Erazmem było umówione, że on będzie do mnie przychodził, aby uniknąć możliwie mego wychodzenia w dzień na miasto. Przed każdym przyjściem Erazma musiałem telefonować do jego jednej z łączniczek – Janiny (Pronaszko), aby było wiadomo, że żyję i nic groźnego nie ma. Erazm, gdy przychodził, siedział zwykle kilka godzin i omawialiśmy różne zagadnienia związane z planowaniem przygotowania powstania. Te długie posiedzenia Erazma zwróciły uwagę mojej gospodyni i kiedyś nagabnęła mnie, czy ja czasem nie pracuję w jakiejś konspiracji. Ponieważ mąż jej zginął w Oświęcimiu, bała się, aby jej dwóch synków nie zostawić zupełnymi sierotami. Z bólem serca musiałem kłamliwie zapewnić ją, że nie mam nic wspólnego z konspiracją, a przychodzenie „Czarnego", jak nazywała Tatara, jest związane z handlem, bo przecież ciężko jest wyżyć tylko z pracy na Bielanach. Wydawało się, że uwierzyła w moje opowiadanie.

Musiałem pozorować, że istotnie pracuję. Wychodziłem więc z domu i najczęściej jechałem tramwajem na Bielany. Tu jadłem w leśniczówce zupę za 10 groszy, porozmawiałem z podobnymi do mnie pozornymi pracownikami, którymi byli profesorowie wyższych uczelni, jak rektor Górski, profesor Rafalski, prof. Patkowski i inni. Wracałem do domu, po drodze kupowałem w halach na Żoliborzu kawałek mięsa, smażyłem je na kuchence gazowej, jadłem i byłem po obiedzie. Gdy się ściemniło, wychodziłem albo do Kamlerów lub czasem do Schoen-Wolskich (również na Żoliborzu). Mojej gospodyni wytłumaczyłem, że jestem kontrolerem gajowych i dlatego wychodzę w różnych porach.

Okres mieszkania na Krasińskiego u fryzjerki nie odznaczał się intensywną pracą konspiracyjną. Erazm ciągle bał się moich wędrówek po mieście i mojej wsypy. Stale powtarzał żądanie, abym jak najmniej pokazywał się na mieście. Utrzymywał ze mną stały kontakt i co kilka dni przychodził. Omawialiśmy wtedy różne zagadnienia taktyki powstańczej oraz planowania walk w tzw. ogniskach. Erazm omawiał to ze mną, a następnie z Kirchmayerem. Zestawiał sobie nasze poglądy i wyciągał wnioski, lecz nigdy nie dopuścił do naszego spotkania. Wiedzieliśmy o sobie, ale nie mieliśmy możności bezpośrednio porozmawiać.

Po pewnym czasie zaaklimatyzowałem się w Warszawie i wszystko układało się pomyślnie. Dużo było humorystycznych momentów tej mojej konspiracji. Ponieważ w dowodzie osobistym miałem napisany jako zawód – robotnik, musiałem trochę udawać, tak w sposobie wyrażania się, jak i zachowania, przynależność do tej klasy społecznej.

Mieszkanie mojej gospodyni składało się z dużej kuchni i dwóch małych pokoi, z których jeden ja zajmowałem. W kuchni moja gospodyni, jako fryzjerka, przyjmowała klientelę. Podczas mego gotowania na maszynce gazowej grzały się jednocześnie rurki i odbywało się czesanie. Klientki mojej gospodyni znały

mnie więc i często chętnie rozmawiały. Była tam jedna „dama", która bardzo lubiła podkreślać, że miała maturę, była urzędniczką. Kiedyś w rozmowie owa „dama" zapytała mnie, skąd posiadam więcej wiadomości niż przeciętny robotnik i wyraziła żal, że nie mam żadnego wykształcenia. Wytłumaczyłem jej, że choć nie ukończyłem nawet szkoły powszechnej, ale sam się uczyłem i interesowałem wieloma zagadnieniami, bo marzeniem moim było zostać posłem na Sejm. Stwierdziłem zresztą, podczas mego ukrywania się, że najłatwiej jest bujać półinteligenta. Trudno jest nabrać prostego człowieka, który jest przeważnie podejrzliwy, jak również prawdziwego inteligenta. W kamienicy znano mnie jako starego kawalera i takiego poczciwego Kowalskiego. To moje nazwisko nie bardzo było szczęśliwie wybrane, bo jak przejrzałem listę lokatorów mojej olbrzymiej kamienicy na Krasińskiego, to stwierdziłem że mieszka w niej coś pięciu Kowalskich. Myślałem nieraz, że jak Gestapo zechce aresztować, to może przypadkiem zabrać nie tego Kowalskiego, na którego ma ochotę.

Przyszły święta Bożego Narodzenia 1941 roku. Na wilię zaprosili mnie Kamlerowie. W tej najzacniejszej rodzinie czułem się jak u swoich najbliższych. Byli zawsze idealnie dobrzy dla mnie, a mieszkali na Słowackiego, więc przez ogródki łatwo było do nich przejść, nie idąc nawet ulicami.

Po Nowym Roku 1942, Erazm zawiadomił mnie, że zrzucili z Anglii kilku spadochroniarzy i że, między innymi, jest jeden major saper, ps. „Maciej", który leży ranny w domu obok Kamlerów u pani Kurowskiej. Polecił mi, abym go odwiedził i porozmawiał z nim. Podał mi hasło. Dodał, że Maciej będzie miał przydział do III Oddziału i będzie ze mną współpracował. Poszedłem więc i zastałem go leżącego w łóżku. Po rozmowie wyszedłem zupełnie zdruzgotany. Maciej oświadczył mi, że nie można liczyć na jakieś poważniejsze działania Anglików, oczywiście zaczepne, przed 1944 rokiem, a w najlepszym wypadku na pomocnicze, mniejsze w 1943 roku. Nie wyobrażałem sobie, jak będziemy mogli przetrwać w konspiracji jeszcze najmniej dwa lata. Opowiedział o stosunkach panujących na emigracji, które zupełnie mnie nie zachwyciły. Maciej, który nosił pseudonim Maciej Kotwicz, a nazywał się Kalenkiewicz[75], ukończył

[75] Kalenkiewicz Maciej (1906–1944) – ppłk., absolwent (z 1 lokatą) Oficerskiej Szkoły Inżynierii, instruktor w Szkole Podchorążych Rezerwy Saperów i Centrum Wyszkolenia Saperów w Modlinie; ukończył studia na Politechnice Warszawskiej i I rok w Wyższej Szkole Wojennej. W kampanii 1939 początkowo oficer sztabu w Suwalskiej BK a pod koniec adiutant mjr. H. Dobrzańskiego „Hubala", dowódca Oddziału Wydzielonego WP, którego wkrótce został zastępcą. W grudniu 1939 przedostaje się przez Węgry do Paryża. W Anglii współorganizator szkolenia spadochronowego i współautor koncepcji łączności lotniczej z krajem. Przeszkolony i zrzucony wraz z 5 innymi „cichociemnymi" 27/28 grudnia 1941 na północ od Łowicza. Otrzymał przydział do Oddziału III Komendy Głównej ZWZ-AK (ps. „Kotwicz"). W listopadzie 1944 wyjechał jako inspektor Komendy Głównej na teren Okręgu Nowogródek, następnie dowódca Zgrupowań

przed wojną pierwszy rocznik Wyższej Szkoły Wojennej. Pracował w 1939 roku przy budowie fortyfikacji w rejonie Augustowa.

Pod koniec kampanii wrześniowej 1939 roku, Maciej dostał się do zgrupowania ośrodka zapasowego Wileńskiej Brygady Kawalerii w Wołkowysku, dowodzonego przez ppłk. Jerzego Dąbrowskiego. Z tego oddziału odłączył się sławny pierwszy partyzant, major Henryk Dobrzański (Hubal), a Maciej wraz z nim powędrował aż do Gór Świętokrzyskich. Po czasowym rozwiązaniu partyzantki w zimie z 1939 na 1940 rok, Maciej przedostał się do Anglii. Tam był bardzo czynny wśród młodzieży oficerskiej. Jak słyszałem od Erazma, młodzież oficerska typowała Macieja na szefa sztabu głównego. W 1940 roku miał on wyjechać do Tobruku, do Kopańskiego, czy może do Andersa[76], lecz w ostatniej chwili zmieniono decyzję i wysłano go jako „zrzutka" do kraju. Odniosłem wrażenie, że gen. Sikorski wolał go nie mieć na emigracji.

Maciej był bardzo inteligentnym i odważnym oficerem, czego dał wiele dowodów. Charakter nadzwyczaj prawy i uczciwy, szybko decydujący się i energiczny, jakkolwiek zewnętrznie wyglądający raczej na kleryka, a nie oficera. Głęboko wierzący. Nie pozbawiony dużej zarozumiałości, co spowodowało jego zupełnie indywidualne podejście do własnej polityki. Razem z jego zaletami i wadami, Maciej był bardzo wartościowym człowiekiem.

Zrzut wykonany w zimie, między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, wypadł tak nieszczęśliwie, że trafił w rejon Modlina, na terytorium przydzielonym do „Reichu" (Rzeszy Niemieckiej) i to na las. Grupa zrzutków, kierując się ku Warszawie, natknęła się na strażnicę straży granicznej. O ile pamiętam, dwóch zrzutków pozostało zaczepionych spadochronami na drzewach, którym nie mogli od razu przyjść z pomocą i ci później zginęli[77]. Po zorientowaniu się, że na strażnicy jest mało Niemców, nasi użyli broni, co wywołało strzelaninę, w której Maciej został ranny w rękę. Jednak nasi zdołali zabrać podwodę, która była przed strażnicą i częściowo nią, a częściowo pieszo dotarli do Warszawy. Po tych odwiedzinach nie widziałem Macieja kilka miesięcy.

Nadniemeńskich. Ciężko ranny, nie mógł osobiście wziąć udziału w boju o Wilno. Po rozbrojeniu i uwięzieniu sztabu AK został Komendantem Podokręgu Nowogródek (17 lipca 1944 – formalnie miesiąc później wraz z awansem na ppłk.). Poległ, walcząc z amputowaną ręką, dowodząc okrążonym przez wojska sowieckie oddziałem pod Surkontami, pow. Lida 21 sierpnia 1944.

[76] Oczywista pomyłka. W 1940 nie wchodziło w rachubę przedostanie się do Armii Andersa, gdyż sam gen. Anders przebywał w areszcie śledczym NKWD w Moskwie, a jego przyszli podkomendni również w olbrzymiej większości przebywali na terytorium ZSRR w więzieniach, łagrach i miejscach zsyłki.

[77] Zrzutu dokonano w nocy z 27 na 28 grudnia 1941 na las przy drodze Sochaczew – Gąbin, przez omyłkę już na terenie wcielonym do Rzeszy. Skoczkowie w liczbie sześciu rozdzielili się – kpt. Andrzej Świątkowski i rtm. Marian Jurecki poszli razem i w trakcie próby przejścia granicy polegli w walce z niemiecką strażą celną.

Po Nowym Roku doszedłem do wniosku, że konieczne jest pozorowanie bardziej regularnej pracy. Umówiłem się więc z Schoen-Wolskimi, że będę do nich przychodził przed ich wyjściem do pracy i pozostanę u nich w domu do ich powrotu. Abym nie pękł z nudów, pani Wanda zostawiała mi rachunki owego niby sklepu, który nosił szumną nazwę „przedsiębiorstwo ogrodnicze", celem wciągania ich do książki. Nie wiem, czym naprawdę handlowała w tym sklepiku na Marszałkowskiej, który mieścił się w podwórzu i nic nigdy w nim nie było. Widziałem kiedyś, że kręciły się tam jakieś podejrzane typy.

Ciągle byłem traktowany w konspiracji jako pracujący zarobkowo, a więc otrzymywałem minimalny zasiłek finansowy, ale i wymagania w stosunku do mnie były minimalne. Erazm utrzymywał ze mną kontakt i stale, jak się sam wyrażał, „zapładniał mi umysł" dając różne zagadnienia do przemyślenia, a wszystko dlatego, że ciągle obawiano się mojej wsypy.

Zbliżała się wiosna. Na Bielanach coś zaczęło się psuć. Któregoś dnia zwrócono się do mnie, abym przez jakiś czas przychodził na 8 godzin do faktycznego pilnowania lasu. Trudno, musiałem się zgodzić z tą nudną i przykrą funkcją. Zacząłem więc naprawdę pełnić funkcję gajowego. Nie było to przyjemne, bo bieda wojenna zmuszała ludzi do kradzieży drzewa na opał. Nie można było tego zupełnie tolerować, ale też nie wskazane było być zbyt gorliwym. Trzeba było jakoś lawirować, aby samemu nie wpaść. Parokrotnie łapałem łobuziaków z Marymontu i namawiałem ich, aby przyszli w innej porze, jak kto inny będzie miał służbę. Na ogół udawało się namówić i polubownie załatwić sprawę.

Kiedyś próbowałem wypędzić jakąś babę z lasu, która zbierała gałęzie. Ta wzięła się pod boki i przemówiła: „Ach ty łatku magistracki, coś taki gorliwy za tę zupę za dziesięć groszy? Znam cię, ty i przed wojną byłeś taki drań!". Przyjąłem to wymyślanie z zadowoleniem, że jestem dobrze zakonspirowany, skoro mają mnie za przedwojennego gajowego. Lecz ta komedia nie trwała długo.

Był na Bielanach jeden gajowy, który służył kiedyś w szwoleżerach jako kapral. Wprawdzie major Bigoszewski, który był na Bielanach inspektorem i kontrolował gajowych, zapewniał mnie, że kapral jest porządny chłop i że nie zdekonspiruje nas, ale okazało się inaczej. Zazwyczaj Bigoszewski nie przychodził na kontrolę, kiedy ja miałem służbę, bo widywaliśmy się na zupie, w gajówce, ale raz tak się zdarzyło, że szedł lasem podczas mojej służby. Pech czy szczęście chciało, że w lesie natknął się na człowieka, który ciągnął zrąbany kawał sosny. Bigoszewski podbiegł do niego i, co tam między nimi zaszło, nie wiem, lecz usłyszałem wołanie: „Panie pułkowniku, pan jest pułkownikiem wojska polskiego i pozwoli pan bić człowieka". Wtedy dopiero zobaczyłem całą awanturę. Bigoszewski puścił faceta, a ja nawet nie próbowałem nic prostować, bo zrozumiałem, że dobry stosunek łobuziaków marymonckich wypływał

z tego, iż wiedzieli, kim jestem. Gdy Bigoszewski, zły na siebie, poszedł do gajówki, pozwoliłem zabrać ten kawałek sosny złodziejaszkowi. Oczywiście na jaw wyszło, że jestem zdekonspirowany. Dobrze, że w porę się o tym dowiedziałem.

Teraz trzeba było „spalić" się, a to nie było proste. Zwłaszcza, że nie tylko z Bielan, ale i z mieszkania u fryzjerki na Krasińskiego oraz zmienić nazwisko. Pomógł mi Bigoszewski. Przeniosłem się do innej dzielnicy, na Powiśle. Znajomy Mietka Bigoszewskiego, właściciel sklepu z konfekcją męską na Brackiej, zaproponował mi, choć czasowo, mieszkanie na Tamce, nie mówiąc, kto jest właścicielem mieszkania. Mieszkanie było na parterze, złożone z dużego dość pokoju z kuchnią i łazienką. W kuchni mieszkała kuchta właściciela mieszkania, lecz cały dzień jej nie było. Sądząc z umeblowania, mieszkanie wyglądało na lokum bogatej kokoty lub utrzymanki. Później dowiedziałem się, że należało ono do bogatej Żydówki, która ukrywała się w Otwocku, a żyła ze znajomym Mietka. Zmieniłem nazwisko z Kowalskiego na Kosińskiego i otrzymałem, oczywiście fałszywy, nowy dowód osobisty.

Mieszkanie to nie odpowiadało mi, bo można było się wsypać bez powodu. Zwróciłem się więc do Jurka Kamlera o pomoc. Ten zawsze uczynny człowiek powiedział mi krótko: „Za parę tygodni będziesz miał mieszkanie". I tak się stało.

Zawiadomiłem oczywiście Erazma o dekonspiracji na Bielanach i o utracie tzw. posady. Wzięto mnie więc na pełny etat i oczywiście wymagania pracy konspiracyjnej musiały wzrosnąć. Na Tamkę Erazm raczej nie przychodził, gdyż był to lokal raczej niepewny. Najgorsza sprawa była z meldowaniem się w Warszawie, gdyż Niemcy wydali rozporządzenie, że nie wolno przyjezdnym przebywać dłużej jak trzy miesiące, a mój dowód na Kosińskiego był prowincjonalny.

Jurek Kamler, zgodnie z obietnicą, po paru tygodniach zawiadomił mnie, że mieszkanie jest. Było w domu przy ulicy Pawiej 27, przy Monopolu Tytoniowym. Cały kompleks domów przy ulicach Dzielnej i Pawiej, z fabrykami Szlenkiera (firanki) i Kamlera (dawna fabryka mebli Szczerbińskich) został wydzielony z getta. Dom, w którym otrzymałem mieszkanie, był domem mieszkalnym starym i bardzo zniszczonym, a łączył się przez podwórze z fabryką Kamlera. Jurek porozwalał go tak silnie, że komisyjnie wyłączyli go z kwaterunku i pozwolili wyremontować fabrykom. Jedno mieszkanie na pierwszym piętrze wyremontował Jurek i nazywało się, że to będzie skład mebli. Urządził mi w tym tzw. składzie dwa pokoje z kuchnią i kompletnie umeblował, pamiętając nawet o firankach, które założyła jego siostra, dzielna Zosia Klepaczowa. Nawet w piwnicy znalazła się tona koksu, a prąd elektryczny podłączył do fabryki, aby go nie wyłączano.

Jurek zapytał mnie, którego dnia i dokładnie, o której godzinie wprowadzę się. Dałem mu konkretną odpowiedź. Spotkała mnie niespodzianka. Dokładnie o wyznaczonej godzinie usłyszałem dzwonek w przedpokoju. Otwieram i widzę masę gości: Jurek z rodziną, Klepaczowie, Katanowie i chyba Jadzia Pniewska. Przynieśli olbrzymi kosz z jedzeniem, piciem i talerzami, a nawet Henryk Katan wręczył mi szczotkę do zamiatania. Oczywiście odbyło się wspaniałe oblewanie nowego mieszkania, a Zosia Kamlerowa życzyła mi, abym w nim przemieszkał do końca okupacji. Tak się i stało, bo opuściłem je podczas powstania, 7 sierpnia 1944 roku.

Mieszkanie na Pawiej nie było już tylko moim mieszkaniem, a stało się lokalem konspiracyjnym. Jerzy zrobił mi skrzynkę na węgiel z podwójnym dnem, tworząc dużą skrytkę na większe dokumenty, prócz kilku mniejszych skrytek w różnych przedmiotach. Do mego mieszkania miał wstęp Erazm, Maciej Kotwicz oraz łączniczki, najpierw Lolita, a po jej aresztowaniu, Modesta i Joanna. Byłem pierwszym lokatorem w kamienicy. Brama od Pawiej była stale zamknięta, a otwierał ją na dzwonek stróż Zastawny. Rodzina Zastawnego była bardzo porządna i solidna, czego zresztą dali dowody. Byłem z nimi w bardzo dobrych stosunkach.

Na Pawiej zaczęła się już większa robota. Pracowałem stale z Maciejem. Był to okres opracowywania instrukcji walki o ognisko. Omawialiśmy z Erazmem tę instrukcję, którą zresztą opracowywał wydział piechoty pod kierownictwem ppłk. Karola Ziemskiego[78], ps. „Wachnowski". Dostaliśmy również do opracowania, razem z Maciejem, temat nakazany Oddziałowi III, a mianowicie: „Oblicze duchowe przyszłych sił zbrojnych Polski". Właściwie ja dałem projekt, z którym Maciej zgodził się, dodając i swoje, zresztą słuszne, uwagi. Gdy mieliśmy naszkicowany projekt, przyszedł Erazm i podał nam swoje myśli, które rozpoczął od krytyki czasów przedwojennych. Zaprotestowaliśmy gorąco z Maciejem, gdyż nie uważaliśmy tego za słuszne. Erazm krytykował wszystko. Zwróciłem mu uwagę, że oskarża siebie i wszystkich starszych oficerów,

[78] Ziemski Karol Jan (1895–1974) – gen.bryg., od 1915 w armii rosyjskiej, później w I Korpusie Polskim na Wschodzie, w WP od listopada 1918. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną. W latach 1935–1938 dyrektor nauk i zastępca komendanta Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie, później dowódca 36 pp Legii Akademickiej, na czele którego odbył kampanię 1939 w składzie 28 DP, m.in. w obronie twierdzy Modlin, w stopniu ppłk. W konspiracji od listopada 1940. Od 1942 szef Wydziału Wyszkolenia Piechoty w Oddziale III Komendy Głównej AK. W Powstaniu dowódca Grupy „Północ" (od 7 sierpnia 1944), kierujący obroną Starówki, ps. „Wachnowski". Później zastępca gen. Antoniego Chruściela („Montera") jako dowódcy sił powstańczych. Po uwolnieniu z niewoli niemieckiej pozostał na emigracji. Współorganizator i przez wiele lat prezes Rady Stowarzyszenia Kombatantów Polskich. Od stycznia 1964 gen. bryg. w stanie spoczynku. Zmarł w Londynie.

zwłaszcza dyplomowanych. Bo jeżeli istniały błędy (na pewno istniały), to zapytuję, czy on (Erazm) jako wykładowca artylerii, czy może taktyki ogólnej w Wyższej Szkole Wojennej lub ja, jako oficer Oddziału III Sztabu Głównego, nie powinniśmy wystąpić do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych z jakimś poważnym memoriałem? A nie zrobiliśmy tego. Dlaczego?

Jeden Mossor napisał śmiały artykuł pt. „Przewaga" w Przeglądzie Wojskowym oraz jakiś major z Ministerstwa Spraw Wojskowych zdobył się na odwagę i napisał słuszną charakterystykę korpusu oficerskiego, zresztą popartą przez ówczesnego wiceministra, gen. Kasprzyckiego. Ale to były wyjątki. Reszta godziła się z tym, co było. A więc nie krytykujmy dziś, bo mądry Polak po szkodzie. Lepiej powiedzmy, jak sobie wyobrażamy przyszłe, lepsze siły zbrojne Polski.

Mój projekt przewidywał, o ile dziś pamiętam, podział sił zbrojnych na wojska lądowe, powietrzne i morskie. W wojskach lądowych widziałem grupę wojsk „manewru i uderzenia", w skład której wchodziłyby wojska zmotoryzowane i pancerne. Kawalerię na koniach wykluczałem, jako wojska o zbyt małej ruchliwości operacyjnej i bez dostatecznej siły uderzenia. Nawet w tej sprawie byłem wezwany do „Grota" (gen. Roweckiego[79]).

Grot chciał, abym mu umotywował moje zapatrywania odnośnie kawalerii, o których dowiedział się od Erazma, a może zresztą chciał mnie tylko zobaczyć. Chodziło o to, czy należy odtwarzać kawalerię w sytuacji, kiedy powstanie powszechne przeciw Niemcom, będzie miało powodzenie i własnymi siłami odzyskamy niepodległość. Wtedy miało się natychmiast przystąpić do odtwarzania

[79] Rowecki Stefan (1895–1944) – gen. dyw. Przed 1914 członek org. niepodległościowo-militarnych, od sierpnia 1914 w I Brygadzie LP, po kryzysie przysięgowym internowany w Beniaminowie, później (luty 1918) w Polskiej Sile Zbrojnej. W WP m.in. szef Oddziału II w sztabie poszczególnych armii (1920), pracownik Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego i GISZ-u, dowódca Brygady KOP Podole (1930–1935). W kampanii 1939 dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, znajdującej się w fazie organizacji. Po zakończeniu bitwy pod Tomaszowem Lubelskim (20 września) powrócił do Warszawy i w porozumieniu z komendantem Służby Zwycięstwu Polski gen. M. Karaszewiczem-Tokarzewskim, podjął działalność konspiracyjną. Od stycznia 1940 Komendan Obszaru nr 1 ZWZ, od marca 1940 – całego terytorium okupowanej Polski (strefa niemiecka i sowiecka). Od 3 maja gen. bryg. Po likwidacji Komendy Głównej ZWZ we Francji Stefan Rowecki zostaje wyznaczony Komendantem Głównym ZWZ, a do chwili powołania Armii Krajowej (14 lutego 1942) jej dowódcą (zamiennie: Komendant Sił Zbrojnych w Kraju). Używał kolejno pseud. „Kalina", „Rakoń", „Jan", „Tur", „Grot". Ten ostatni zrósł się w historiografii i w świadomości powszechnej na zawsze z jego osobą. Warszawskie Gestapo od dłuższego czasu penetrowało otoczenie Stefana Roweckiego, aresztując go w jednym z jego lokali konspiracyjnych (Spiska 14 m. 10) 30 czerwca 1943. Przewieziony do Berlina, zachował w śledztwie hart i godność dowódcy żołnierzy Polski Walczącej. Osadzony na specjalnym oddziale (tzw. Zellenbau) obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, został tam, najprawdopodobniej z rozkazu Himmlera, rozstrzelany w pierwszej dekadzie sierpnia 1944.

wojska. Otóż, ja byłem zdania, że pułki kawalerii należy odtwarzać, ale bez koni, może nawet początkowo na podwodach, do czasu możliwości zdobycia środków motorowych, natomiast mój przeciwnik, płk. Bór-Komorowski, marzył ciągle o koniach.

Moje jedyne spotkanie z Grotem nasunęło mi pewne spostrzeżenia, o których powiedziałem Erazmowi. Najpierw podałem w wątpliwość konieczność mego referatu. Komendant Główny takiej organizacji podziemnej nie powinien w takich sprawach bezpośrednio rozmawiać. Można to było załatwić za pośrednictwem Erazma lub kazać mi napisać. Spotkanie miałem wyznaczone na ulicy Okopowej. Podano mi, że o ile w oknie na pierwszym piętrze będzie firanka, mogę iść. Gdy przyszedłem, zastałem w przedpokoju „Szymona”[80] z pistoletem maszynowym, a w pokoju, niby poczekalni, czekały dwie czy trzy osoby, no i ja dodatkowo. Gdy wychodziłem od Grota znów siedziały inne osoby. To wskazywało, że Grot, podczas stosunkowo krótkiego czasu przyjął kilka osób. Bardzo mi się taka konspiracja nie podobała. Na drugi dzień po spotkaniu był u mnie Erazm. Powiedziałem mu, że jeżeli tak dalej Grot będzie postępował, to musi się źle skończyć. Na nieszczęście, moje słowa w stosunkowo krótkim czasie, sprawdziły się. Grot został aresztowany. Była to wielka strata dla ZWZ, bo na jego miejsce właściwie nie było kandydata.

Wracam do naszego opracowania. Według mego projektu, całość personelu w wojsku powinna się dzielić na dwa zasadnicze korpusy: korpus dowódców i kierowników oraz korpus wykonawczy. W skład korpusu dowódców powinni wchodzić podoficerowie, od stopnia plutonowego, oficerowie młodsi i sztabowi oraz generałowie. Dowódcami nazywaliby się dowódcy broni głównych, pomocniczych oraz służb bojowych. Natomiast w służbach pomocniczych byliby kierownicy. Osobno zajmowałem się oficerami dyplomowanymi i oficerami sztabu głównego, przewidując jak powinni być kształceni. Korpus wykonawczy stanowili szeregowi, wśród których rozróżniałem: rekrutów, szeregowców nazywanych według rodzajów broni, starszych szeregowców i kaprali. Dla obydwu korpusów przewidywałem odznaki. Z tym jednak, że dla kierowników przewidywałem pewną różnicę w odznakach i inne nazwy stopni, dlatego, aby np. lekarz nie nazywał się pułkownikiem lub sędzia wojskowy majorem.

[80] Krzewicki Szymon Ryszard vel Jamontt-Krzywicki Ryszard – tego nazwiska używał w czasie wojny i po jej zakończeniu (1903–1957) – kpt., ochotnik w obronie Lwowa i w wojnie 1920, inżynier pchor. rezerwy, w kampanii 1939 w 3 baonie pancernym. Organizator siatki terenowej SZP, adiutant kolejnych komendantów SZP-ZWZ-AK gen.gen. M. Karaszewicza-Tokarzewskiego, S. Roweckiego, T. Komorowskiego, dekorowany przez pierwszego z nich Orderem Virtuti Militari V kl. (na Jasnej Górze 19 października 1939), w 1941 awansowany na ppor. czasu wojny. Po Powstaniu w niewoli niemieckiej. Aresztowany w maju 1947, przebywał w więzieniu do 1956. Zmarł nagle na atak serca.

Wychodziłem z założenia, że każdy powinien być dumny ze swego zawodu, a nie udawać kogoś innego. Zwłaszcza, że z powodu jednakowych nazw stopni wychodziły nonsensy. Np., gdy zginął w pułku sztabowy oficer, pułkiem musiał dowodzić nawet kapitan, a nie major lekarz, który musiał podlegać kapitanowi. Inne nazwy stopni i inna pragmatyka mogła zezwalać np. lekarzowi zarabiać prywatną praktyką, gdy oficerowi kawalerii nie wolno było być płatnym instruktorem jazdy konnej w ujeżdżalni.

Przed wojną miałem kiedyś zatarg z oficerami służb, gdy przy jakimś oficjalnym przedstawieniu, jako zastępca dowódcy 1 pułku szwoleżerów, postawiłem lekarzy i płatnika na końcu szeregu oficerskiego. Oczywiście, oburzeni na mnie napisali raport do ministra spraw wojskowych. I przyszło niesłuszne wyjaśnienie, że należy ich traktować jako równorzędnych oficerów. Do dzisiejszego dnia nie mogę się z tym zgodzić. Uważam, że powinno się skończyć z udawaniem tego, kim się nie jest.

Dziś już nie pamiętam całości naszego opracowania, ale na pewno skończyliśmy je i Erazm uznał, że jest dobre. Zostało gdzieś wydrukowane i podano jako autora Erazma. Erazm później trochę się z tego tłumaczył, że ponieważ nasze opracowanie poszło od Oddziału III, więc dlatego podano jego nazwisko, a raczej pseudonim, jako szefa oddziału.

Do końca roku 1942 pracowaliśmy z Maciejem nad różnymi teoretycznymi zagadnieniami dotyczącymi instrukcji walki (tu słowo niezrozumiałe[81]). Ja od czasu do czasu dostawałem zadania dotyczące dywersji na linie kolejowe. Po prostu określałem na jakich liniach i w jakich rejonach należy prowadzić zniszczenia. Ciągle pracowałem w domu i nie byłem używany do żadnych spotkań. Kontakt z Erazmem, Maciejem i Lolitą był na Pawiej.

W końcu roku 1942 lub w początku 1943 Erazm oświadczył mi, że muszę sobie wyrobić nowe fałszywe dokumenty, na podstawie jakichś dokumentów nieznanego mi Antoniego Dzwonnickiego, obejmując, jako właściciel, mieszkanie, lokal konspiracyjny na ulicy Twardej. Mieszkanie było prowizorycznie odnowione i skromnie umeblowane, natomiast miało wykonane specjalne skrytki i urządzenia alarmowe. Było również zaopatrzone w niezbędne sprzęty, aby można było w nim mieszkać. W lokalu tym na stałe miała zamieszkiwać niewiasta, która pilnowała go, bo ja miałem tylko pokazywać się tam, aby stwarzać pozory, że mieszkam. Niewiastą tą była bardzo zacna stara panna, nauczycielka języka polskiego z gimnazjum w Nieświeżu, panna Eugenia Rudziejowska. Zacna ta mizerna osoba, mimo że mieszkała na wulkanie, bo w przypadku wsypy ona pierwsza by „odpokutowała", ciągle męczyła mnie, że za mało poświęca

[81] Przyp. Wyd. Pol.

się dla Polski, tak że musiałem wymyślać jej jakieś zadania, aby uspokoić jej ambicje.

Przez ten lokal wpadła nasza doskonała łączniczka, Lolita. Na któryś poniedziałek umówił się ze mną Erazm na spotkanie na Twardej. W sobotę, gdy szedłem do tego lokalu, zatrzymał mnie żandarm niemiecki, pytając, gdzie idę. Na szczęście w bramie stał stróż i powiedział, że mieszkam w tym domu. Stróż dostawał co miesiąc 20 złotych na wódkę, więc znał mnie. Okazało się, że do tego domu wprowadzili Niemcy wartownię, bo naprzeciwko była brama do małego getta. Nie chciałem narażać Erazma na legitymowanie go przez Niemców, więc musiałem go zawiadomić, aby nie przychodził na Twardą. Jedyną łączność z nim miałem przez Lolitę, do której zatelefonowałem, aby przyszła do mnie na Pawią. Pech chciał, że na Pawiej w mojej bramie stał posterunek pilnujący getta, gdyż było to po likwidacji Żydów w dużym getcie. Żandarm posądził Lolitę, idącą do mnie, że jest Żydówką, bo miała kędzierzawe włosy, choć nie miała w sobie nic z zewnętrznego wyglądu. Była poznanianką. Zatrzymał ją i przy prowizorycznej rewizji znalazł prasę konspiracyjną. Stróżka mego domu, która znała z widzenia Lolitę i wiedziała, że do mnie przychodzi, przybiegła do mnie i powiedziała o zatrzymaniu Lolity. Nie wiedziałem, jak się sprawa potoczy i co Lolita powie, więc na wszelki wypadek, zabrałem kompromitujące rzeczy i przez Dzielną wyniosłem na Twardą. Następnie odszukałem Macieja na Żoliborzu i już nie pamiętam, jak zawiadomiłem Erazma o aresztowaniu Lolity i zagrożeniu lokalu. Biedną Lolitę wywieziono później z Pawiaka do Dachau. Przeżyła jednak tę katownię i spotkałem ją po wielu latach jako mężatkę. Na miejsce Lolity dostaliśmy nową łączniczkę, równie dzielną – Modestę.

Po aresztowaniu Lolity musiałem opuścić swoje wygodne mieszkanie na Pawiej i przenieść się na Twardą. Za pośrednictwem Jurka Kamlera dowiadywałem się, czy Niemcy nie robili jakichś dochodzeń na Pawiej. Lolita jednak nic takiego nie powiedziała na mój temat, co mogłoby spowodować poszukiwania mojej osoby. Na Pawiej była cisza, więc po kilku tygodniach wróciłem.

Teraz Erazm zaczął na mnie nakładać nowe obowiązki. Obarczył mnie funkcją wykładowcy dla inspektorów Komendy Głównej. Byli to starzy pułkownicy, którzy mimo swych wiadomości wojskowych ogólnych, słabo orientowali się w nowej taktyce powstańczej, a przecież mieli inspekcjonować przygotowania w terenie. Rozpocząłem więc wykłady dla nich w różnych lokalach na mieście. Inspektorami byli, o ile pamiętam: płk. dypl. Rostworowski, ps. „Odra”[82], płk.

[82] Rostworowski Stanisław Janusz (1888–1944) – gen.bryg. Absolwent uniwersytetów we Fryburgu i Krakowie. W 1914 otrzymał przydział do Departamentu Wojskowego NKN, lecz wolał iść na front i otrzymał przydział do 2. Szwadronu Ułanów rtm. Z. Dunin-Wąsowicza. Uczestnik bojów II Brygady LP w Karpatach wschodnich. W czasie kryzysu przysięgowego, jako przyjaciel

Bittner, ps. „Halka”[83], płk. dypl. Stefan Broniowski, ps. „Ostoja”, lecz ten miał jakieś zatargi z Komendą Główną i raz go tylko widziałem, płk. Włodzimierz Kownacki, ppłk Rokicki[84]. Przerobiłem z nimi dokładnie instrukcję tzw. Ognisk walki.

Przestano się obawiać mojej wsypy i wychodzenia na miasto. Często brałem udział w różnych odprawach, gdzie omawiałem z szefami sztabu okręgów lub oficerami operacyjnymi zadania ich okręgów. Kiedyś przeżyliśmy chwilę dużej emocji. Odbywała się odprawa z dowódcami okręgów, na której było sporo osób. Było to w lokalu na Długiej, blisko Miodowej. Mieszkanie było duże i było zimno. Erazm polecił mi wyjść do pokoju położonego przy frontowym wejściu i tam omówić, chyba z oficerem operacyjnym, już nie pamiętam jakiego okręgu, jego zadanie. Siedzieliśmy nad mapą i rozmawialiśmy cicho. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i właścicielka lokalu powiedziała: „Gestapo – proszę opuścić lokal!”. Kapelusz mój został w pokoju, gdzie było kilka osób. Wstałem więc i poszedłem po niego. Nie powiem, abym był obojętny, ale

płk.W. Sikorskiego opowiedział się po stronie państw centralnych i pozostał w armii (Dowództwo Uzupełnień Polskiego Korpusu Posiłkowego w Przemyślu), następnie adiutant księcia Z. Lubomirskiego, członka Rady Regencyjnej. W WP w sztabach. W 1921 w stopniu majora członek Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych na Górnym Śląsku (ps. Stanisław Lubieniec). Później m.in. zastępca dow. 15 p.uł., szef sztabu 14 DP, dow. 22 p.uł., współpracownik Wojskowego Biura Historycznego. W kampanii 1939 w sztabie obrony Warszawy prawobrzeżnej, później przez Szwecję dotarł do Paryża, gdzie otrzymał zadanie zorganizowania bazy przerzutowej w Bukareszcie (krypt. „Bolek”), gdzie działał od grudnia 1939 do stycznia 1941. Następnie (styczeń 1941 – maj 1942) szef bazy przerzutowej „Romek” w Budapeszcie. W związku z reorganizacją odwołany do Warszawy, gdzie został m.in. pełnomocnikiem Dowódcy AK do spraw scalenia Narodowej Organizacji Wojskowej. Od jesieni 1942 inspektor kierunkowy KG AK na obszar krakowsko-śląski, ps. „Odra”. Mianowany w lutym I944 gen. bryg. przeniósł się w kwietniu 1944 do Krakowa, będąc przewidziany w planie „Burza” na dowódcę Samodzielnego Korpusu Krakowskiego AK. Aresztowany przez Gestapo w swojej kwaterze 11 sierpnia 1944, został wkrótce po tym zamordowany podczas śledztwa.

[83] Bittner Ludwik (1892–1960) – gen. bryg. Członek Związku Strzeleckiego, od sierpnia 1914 w II Brygadzie LP, po kryzysie przysięgowym w PSZ. W WP m.in. dow. garnizonu Dęblin i 34 p.p. W kampanii 1939 w stopniu płk. zastępca dowódcy grupy KOP gen. W. Orlika-Ruckemana. Od października 1939 w SZP. Od wiosny 1941 do stycznia 1943 komendant Okręgu Lublin ZWZ-AK, następnie pełnomocnik Dowódcy AK do spraw scalania BCh, awansowany na gen. bryg. w marcu 1943 (ps. „Halka”). Od lipca 1944 dowódca 9 Podlaskiej DP AK, następnie internowany przez władze sowieckie i wywieziony do obozu w ZSRR, powrócił do kraju w 1947.

[84] Rokicki Józef (1894–1976) – ppłk. Od 1915 w armii rosyjskiej, później w I Korpusie Polskim na Wschodzie. W 1919 ukończył Szkołę Oficerską Wojsk Samochodowych w Krakowie, od 1934 w broni pancernej. W konspiracji od października 1939 – komendant Okręgu Lublin NOW, po scaleniu z AK (listopad 1942) inspektor KG na okręg Kraków. W Powstaniu Warszawskim od 18 sierpnia komendant Obwodu Mokotów, dokąd dotarł ze Śródmieścia cztery dni później. Na kilkanaście godzin przed kapitulacją sił powstańczych Mokotowa opuścił tę dzielnicę kanałami, później w niewoli. Po uwolnieniu zamieszkał w Paryżu, powrócił do kraju w 1957.

starałem się spokojnie powiedzieć zebranym to, co posłyszałem od właścicielki mieszkania. Lokal momentalnie opustoszał. Pamiętam, że wychodziłem z Erazmem ostatni. Na szczęście alarm okazał się fałszywy.

Kiedyś Erazm zaczął ze mną omawiać ewentualną zmianę organizacji Komendy Głównej. Podałem mu wtedy, jakie nastąpiły zmiany w organizacji Sztabu Głównego przed wojną 1939 roku. Wtedy Jaklicz został zastępcą Szefa Sztabu Głównego do spraw operacyjnych, z tym że podlegały mu Oddziały III, II oraz Szefostwo Komunikacji. Erazmowi bardzo ta organizacja przypadła do gustu.

Podczas lata, czy może wczesną jesienią 1943 roku, nastąpiła zmiana organizacji Komendy Głównej. Stworzono funkcję zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych. Został nim Erazm. Podlegały mu Oddziały III, II, Kedyw i zatrzymał nadal wydział artylerii. Na wniosek Erazma, ja zostałem szefem Oddziału III KG. Z Oddziału III jeden Kirchmayer pozostał w dyspozycji Erazma, pobierając tylko pieniądze w III. Moje kompetencje zostały rozszerzone o tyle, że otrzymałem nadzór nad wydziałem piechoty (Wachnowski) wydziałem saperów (Niepokólczycki[85]). Jak również miałem otrzymywać wszystkie raporty z inspekcji w terenie dokonanych przez inspektorów KG.

W końcu jesieni otrzymałem z Londynu nominację na pułkownika dypl. ze starszeństwem, z 1 października 1943 roku. Pracy miałem moc, a z personelu ubył mi Maciej, który dość nielojalnie, poza moimi plecami, załatwił sobie przeniesienie do partyzantki w okręgu Lida. Przydzielono mi płk. dypl. Frączka, który był starszy starszeństwem ode mnie i zupełnie nie orientował się w mojej pracy. Udało mi się po jakimś czasie oddać go na szefa sztabu obszaru warszawskiego, a dostałem znów byłego szefa sztabu tego obszaru, mego kolegę z Wyższej Szkoły Wojennej, majora dypl. Zygmunta Dobrowolskiego oraz również mego kolegę, majora dypl., Jana Lamersa.

Dotychczasowe nasze prace operacyjne dotyczyły przygotowań do powstania powszechnego. I trzeba przyznać, że przygotowania były daleko posunięte. Były ciągłe braki broni, ale przygotowania organizacyjne były życiowo

[85] Niepokólczycki Franciszek (1900–1974) – płk. W 1918 członek POW na Ukrainie, aresztowany przez bolszewików zbiegł, w 1920 oficer wywiadowczy POW w sztabie Armii na froncie południowym, następnie oficer służby stałej saperów (major w 1939). Po kampanii b. aktywny w SZP-ZWZ. Od kwietnia 1940 szef Związku Odwetu (prototyp Kedywu), a równolegle szef Wydziału Saperów w Oddziale III KG ZWZ, gdzie stworzył Biuro Badań Technicznych – następnie organizator Kedywu i od stycznia 1943 zastępca szefa tegoż (płk. A.E. Fieldorfa), ps. „Teodor", przy KG AK. Po Powstaniu w niewoli, a po powrocie do kraju od kwietnia 1945 ponownie w konspiracji – od listopada 1945 do października 1946 prezes ZG Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", skazany w procesie tzw. II Komendy WiN w Krakowie na karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Zwolniony z więzienia w grudniu l956.

przemyślane, nawet w drobnych szczegółach. Jednakże coraz mniej prawdopodobne stawały się podstawowe przewidywania sytuacji, pozwalającej na przeprowadzenie powszechnego powstania w Polsce. Postępy armii sowieckiej były wyraźne i nie ulegało wątpliwości, że najpierw spotkamy się, jako z sojusznikami, z Armią Czerwoną, a nie ze sprzymierzeńcami zachodnimi. Sprawa powstania powszechnego zaczynała upadać, bo nic nie wskazywało na rozkład armii niemieckiej, a armia sowiecka robiła zdecydowane postępy.

W tych warunkach Komenda Główna zwróciła się do Rządu w Londynie o wytyczne. W listopadzie 1943 roku nadeszły one i zostałem wezwany na odprawę z udziałem Delegata Rządu. Nie było wiele osób. Byli, prócz Delegata: Bór, Grzegorz, Erazm, ja, i może Rzepecki[86] lub Kortum[87]. Rozszyfrowaną depeszę Rządu odczytał albo Grzegorz, albo Erazm. Wytyczne można by streścić, choć były długie, następującym ujęciem: „Wobec niemożliwości przeprowadzenia powstania ogólnego, ze względu na zmienione warunki, Armia Krajowa musi podkreślić swój wkład w walkę z cofającymi się Niemcami częścią swoich sił. Resztę sił należy zachować w konspiracji". Do wytycznych rządowych była dołączona instrukcja Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, która niezupełnie harmonizowała z wytycznymi rządowymi. Generał mówił o przejściu najcenniejszych ludzi na Zachód (jak?) i wejściu głębiej w podziemie.

---

[86] Rzepecki Jan (1899–1983) – płk. Członek Związku Strzeleckiego, od sierpnia 1914 w I Brygadzie LP, po kryzysie przysięgowym w PSZ, po 1920 m.in. dowódca baonu w Szkole Podchorążych Piechoty, absolwent Wyższej Szkoły Wojennej. W maju 1926 w ochronie prezydenta RP. Autor wielu publikacji fachowych i z historii wojskowości. W 1939 szef Oddziału III Armii „Kraków". Od października 1939 w SZP-ZWZ. Od października 1940 szef Oddziału VI (Biuro Informacji i Propagandy – BIP) KG ZWZ-AK (ps. „Prezes", „Rejent", „Sędzia", „Wolski") nieprzerwanie aż do kapitulacji Powstania, później w niewoli. W marcu 1945 I zastępca gen. Okulickiego, a po aresztowaniu tegoż szef Delegatury Sił Zbrojnych w Kraju, od 2 września 1945 pierwszy prezes Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", aresztowany 5 listopada skazany na 8 lat i ułaskawiony przez B. Bieruta 5 lutego 1947. Następnie zastępca dyrektora Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego i w Akademii Sztabu Generalnego. Od 1949 do grudnia 1955 ponownie w więzieniu. Po rehabilitacji pracownik naukowy Instytutu Historii PAN.

[87] Sanojca Antoni (ur.1899–1990) – płk.inż. Od 1915 w 6 p.p. LP, ranny pod Kostiuchnówką, po kryzysie przysięgowym wcielony do armii austriackiej. W 1920 adiutant dowódcy 19 Bryg. Piechoty. Absolwent Politechniki Lwowskiej. W 1939 dowódca III Baonu 40 p.p. „Dzieci Lwowa". W SZP-ZWZ od początku, szef Oddziału I (Organizacyjnego) KG ZWZ-AK, ps. „Kortum". Od kwietnia 1944 zastępca szefa sztabu do spraw organizacyjnych i personalnych. W Powstaniu zastępca dow. Grupy „Północ", ciężko ranny na Starym Mieście. Później w niewoli, po powrocie do kraju szef Obszaru Południowo-Zachodniego Delegatury Sił Zbrojnych, później Zrzeszenia „WiN", aresztowany 5 listopada 1945, skazany w procesie tzw. I Komendy „WiN", zwolniony w lutym 1947. Później w służbie czynnej w LWP, aresztowany ponownie w 1949, zwolniony w 1953, zrehabilitowany w 1956.

Dziś, po wielu latach, pamięć zawodzi, ale pamiętam, że jako szef oddziału operacyjnego, postawiłem kategoryczne żądanie sprecyzowania decyzji Komendy Głównej na podstawie otrzymanych wytycznych.

Po naradzie plan działania został zasadniczo zdecydowany, otrzymując kryptonim „Burza". Później, po wielu jeszcze rozmowach z Erazmem, plan „Burza" został ostatecznie sprecyzowany i ujęty w rozkaz na piśmie.

Celem politycznym akcji „Burza" było zadokumentowanie, że Armia Krajowa walczy z Niemcami o wyzwolenie kraju. W wykonaniu akcja miała wyglądać następująco: z chwilą rozpoczęcia się wycofywania wojsk niemieckich z obszarów Polski, zaczynając od Kresów Wschodnich, oddziały Armii Krajowej winny zmobilizować część ludzi posiadających broń i uderzać na oddziały tylne straży tylnych Niemców. Ludzie nieuzbrojeni winni pozostać w konspiracji. Mobilizację i działanie obwody rozpoczynają na rozkaz swych komendantów. Oddziały walczące ujawniają się i pod względem taktycznym podporządkowują się dowódcom sowieckim. W obwodach ujawnia się albo komendant, albo zastępca. Nieujawniający się zostaje automatycznie komendantem części nieujawnionej organizacji. Akcja „Burza" otrzymała taką nazwę, dlatego że działanie narastało stopniowo od wschodu w miarę cofania się Niemców. O ile pamiętam, jeszcze w 1943 roku, odbyła się w Warszawie odprawa komendantów obszarów i okręgów, na której podano decyzję i ogólne wytyczne wykonania.

Pisemny rozkaz do „Burzy", obszerny i wyczerpujący, został wydany w zimie 1944 roku. Z akcji „Burza", na wniosek Erazma, została wyłączona Warszawa. Ja osobiście brałem udział w opracowaniu projektu rozkazu, który zabrał Erazm, a w jakiej formie on wyszedł ostatecznie, tego nie wiem, bo tak ważne rozkazy puszczał przez swoją kancelarię sam Grzegorz. Osobiście zredagowałem punkt dotyczący odpowiedzi na pytanie postawione przez żołnierzy Armii Czerwonej żołnierzom Armii Krajowej – za co walczą. Mieli odpowiadać, że walczą za wolną i niepodległą Polskę, w której wolny naród będzie mógł wybrać sobie formę ustrojową. Czy ten punkt znalazł się w rozkazie czy instrukcji, tego nie wiem.

Byłem z reguły odsuwany, zwłaszcza przez Grzegorza, od wszelkich spraw trącących polityką, a pozostawiano mi wyłącznie sprawy czysto wojskowe. Grzegorz, przy słabości Bora, sam chciał wszystko brać na siebie i chyba nawet niechętnym okiem patrzył na dzielenie się swym zdaniem z Erazmem i innymi. Bezsprzecznie, że był on więcej wyrobiony politycznie od innych oficerów Armii Krajowej, ale też nie był nieomylny ani genialny.

Czasy były niewymownie trudne i wymagały na kierowniczym stanowisku zupełnie wyjątkowego człowieka, tak pod względem politycznego wyrobienia, jak talentu i charakteru. Takiego wśród nas niestety nie było. Bór był uczciwym,

honorowym i może odważnym człowiekiem, ale nie miał absolutnie żadnych danych, aby zajmować stanowisko, jakie mu okoliczności przeznaczyły. Ten miły, dobrze wychowany i elegancki oficer kawalerii, ani z wykształcenia wojskowego, ani z talentów wojskowych nie nadawał się na Komendanta Głównego Armii Krajowej. Bór nie był żadną wybitną indywidualnością, nie górował nad podwładnymi charakterem, ani żadnymi walorami, które predystynowałyby go na przywódcę. Jego chyba jedyną zaletą było, że był w zgodzie z Delegatem Rządu i politykami. Słuchał Grzegorza, a słuchać to też zaleta.

Grzegorzowi było na rękę mieć takiego zwierzchnika jak Bór. Sam nie mógł marzyć o stanowisku po Grocie, bo jako były, długoletni szef Oddziału II Sztabu Głównego z czasów przedwojennych, był nie do strawienia przez polityków. A przy Borze był nieoficjalnym Komendantem Głównym. Erazm był lojalny w stosunku do Grzegorza, ale w duszy nie cenił go wysoko, zwłaszcza że – nie przyznając się do tego – był zawsze trochę pod wpływem Kirchmayera, a obaj mało czuli sympatii do legionistów. Erazm ze mną się liczył i raczej wyglądało, że jest do mnie przychylnie usposobiony, co prawdopodobnie nie stwarzało mi dobrej pozycji u Grzegorza.

Pod wiosnę 1944 roku otrzymałem dwóch nowych oficerów do Oddziału III. Obaj byli zrzutkami spadochronowymi. Byli to ppłk. dypl. Feliks Majorkiewicz, ps. „Iron" i major dypl. Kamieński, ps. „Cozas". Prócz nich był zrzucony mój kolega z rocznika Wyższej Szkoły Wojennej ppłk dypl. Adam Szydłowski, ps. „Poleszuk". Z obu świeżo przydzielonych oficerów dość długo nie miałem pociechy, bo nie było łatwo zaaklimatyzować się im w okupowanej Warszawie. Szybciej urządził się Iron i później też okazał się o wiele lepszym od Cozasa. Właściwie był on najlepszym oficerem oddziału po odejściu Macieja Kotwicza.

Odejście Macieja nastąpiło jednak chyba dopiero w 1944 roku, ale przed przyjściem Irona i Cozasa. Maciej naprosił się do partyzantki ze względów głównie rodzinnych. Dowódcą jednego z oddziałów partyzanckich w Nowogródzkim był jego kuzyn, który zaczął kombinować z Niemcami przeciw Sowietom. Został on odwołany z dowództwa i oddany pod sąd. Byłem zasadniczo przeciwny temu przydziałowi Macieja, a nie mogłem wpłynąć na jego odwołanie. Macieja znałem dobrze i znałem jego zapatrywania polityczne. Choć był to inteligentny i uczciwy oficer, ale był zarozumiały i miał swoje prywatne poglądy na stosunek do Sowietów, a nie można było mu wytłumaczyć, że nie może każdy z nas prowadzić własnej polityki. Maciej chciał się bić z Sowietami i uważał, że tym „otworzy oczy Europy". Oczywiście, że to była zupełna dziecinada, bo żaden z polityków Europy nie zmieni swych planów podczas wojny, z powodu jakichś drobnych działań polskiej partyzantki. Ponieważ z naszej polityki wypływała konieczność traktowania Sowietów jako sprzymierzeńców,

takie podejście polityczne, jakie miał Maciej, było wręcz szkodliwe. Wymogłem później na Grzegorzu, aby odwołał Macieja, lecz on, mimo wezwań, pod różnymi pozorami, opóźniał swój powrót do Warszawy i wreszcie zginął po bohatersku, wierny swym zapatrywaniom. Szkoda człowieka, bo miał wielkie wartości, ale jak wielu Polaków, był mało dyscyplinowanym indywidualistą.

Wiosną 1944 roku, przed odlotem Erazma do Anglii, działania Armii Czerwonej dotarły na teren Wołynia. Według naszych planów „Burza" powinna rozpocząć swe działanie możliwie blisko naszej dawnej granicy wschodniej. Rozpoczęła się jednak dopiero gdzieś w rejonie Kowla. Ponieważ coś tam słabo szło, otrzymałem rozkaz od Erazma, abym przygotował do objęcia dowództwa w tym terenie nowego dowódcę, majora saperów, Kiwerskiego. Miałem z nim kilka spotkań, na których omówiliśmy dokładnie jego zadanie i sposoby wykonania. Zrobił on na mnie jak najlepsze wrażenie. Zginął, ten dzielny oficer, w walkach pod Kowlem.

Któregoś dnia, chyba na początku kwietnia 1944 roku, Erazm oświadczył mi, że zostaje delegowany do Londynu, drogą lotniczą, celem przedstawienia sytuacji w kraju. Zawiadomił mnie również, że gdyby on nie doleciał, następnym wysłannikiem mam być ja. Na zapytanie moje, czy wróci do kraju, czy pozostanie w Londynie, odpowiedział, że bezsprzecznie wróci. Nic mi początkowo nie mówił, kto będzie na czas jego nieobecności jego zastępcą. To milczenie od razu dało mi do zrozumienia, że na pewno nie ja. Choć jedynym człowiekiem, który najlepiej był zorientowany w sprawach operacyjnych byłem bezsprzecznie ja. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że tzw. szefem operacji ma być płk. dypl. Bokszczanin, ps. „Sęk". Zdziwiło mnie to mocno, bo Bokszczanin dotychczas pełnił funkcję szefa wydziału broni pancernej i nic nigdy nie miał wspólnego ze sprawami operacyjnymi. Nie był zupełnie wciągnięty w tok spraw, a przecież postępy Armii Czerwonej na froncie rozwijały się pomyślnie i można było przypuszczać, że i my będziemy musieli działać. Sęk w rozmowie ze mną oświadczył, że on w żadnym wypadku nie chce znaleźć styczności z Armią Czerwoną na terenach zajętych przez nich. Dopiero później zrozumiałem, dlaczego Grzegorz wyznaczył na to stanowisko Sęka. Chodziło mu o przygotowanie Sęka na szefa operacji części nieujawniającej się Komendy Głównej w okresie „Burzy". Lecz to się nie udało, bo o ile wiem, to Sęk przed Powstaniem Warszawskim znikł. Działania Sęka, jako mego przełożonego, nie odczułem zupełnie, a mój kontakt z Grzegorzem i Borem ustał zupełnie.

Erazm, po dłuższym oczekiwaniu na odlot, gdzieś w lubelskim, powrócił na krótko do Warszawy, lecz znów wyjechał i dowiedziałem się, że odleciał. Przed odlotem Erazma został zrzucony gen. bryg. Leopold Okulicki. Poldzia znałem dobrze z Oddziału II Sztabu Głównego, gdyż nawet nasze pokoje sąsiadowały

i przez trzy lata pracowaliśmy obok siebie, a nawet parokrotnie razem. Okulicki był bez określonej funkcji. W końcu czerwca lub na początku lipca, gdy już i Adama Szydłowskiego wyprawiliśmy na Wileńszczyznę, miałem dość tej izolacji, zwłaszcza że front się zbliżał ku zachodowi. Zażądałem spotkania z Grzegorzem. Grzegorz przyszedł na mój lokal na Twardą. Zreferowałem mu moje zapatrywania na położenie i postawiłem wniosek, aby szefem operacji zrobić Okulickiego. Grzegorz zgodził się. Po paru dniach rozpocząłem pracę z Okulickim, która początkowo polegała na wprowadzaniu go w nasze sprawy. Ważne było, że nie utrudniał mi życia, a miałem przez niego kontakt z Grzegorzem.

Prócz różnych moich zajęć, jako szefa oddziału, należało też omawianie spraw ewentualnego zajęcia Prus Wschodnich pod kryptonimem „Bursztyn". Bo i to było przemyśliwane. Szefem „Bursztynu" był gen. bryg. Sawicki, który patrzył na mnie z dość dużym wstrętem, uważając, że jako niższy stopniem, nic nie mam mu do powiedzenia.

Front zbliżał się ku Warszawie. Dawało się odczuć jakieś podniecenie i oczekiwanie. Jadąc tramwajem miałem taki przypadek. Podszedł do mnie konduktor i zapytał wręcz: „Panie pułkowniku, kiedy zaczynamy?". Zatkało mnie, bo ja go nie znałem, a on wiedział kim jestem. Widać było ruch Niemców ku zachodowi. Jechały tabory, a na nich Niemcy, nie z butnymi minami, a jacyś wypłowiali i potulniejsi. Szedłem któregoś dnia ulicą Towarową. Była godzina między 16 a 17. Ruch ogromny. Na jezdni masa aut niemieckich. W pewnym momencie widzę, że naprzeciw mnie idzie lotnik niemiecki. Uderzyło mnie, że nagle zatrzymał się i uniósł ręce niezupełnie do góry, ale do wysokości ramion. Podszedłem bliżej i mijając go zobaczyłem, że jakiś młody człowiek trzyma pistolet przy brzuchu Niemca, a drugi odpina mu pas z pistoletem. Wszystko odbyło się szybko i zupełnie cicho.

Około[88] 22 lipca 1944 roku zostałem wezwany przez Grzegorza na spotkanie w Alei Niepodległości. Było tylko nas trzech: Grzegorz, Kobra (Okulicki) i ja. Grzegorz od razu rozpoczął od stwierdzenia, że sytuacja na froncie na wschód od Warszawy pozwala przypuszczać, iż w najbliższym czasie Warszawa zostanie zajęta przez Armię Czerwoną. Względy polityczne wskazują, że bardzo byłoby źle dla sprawy naszej niepodległości, gdyby opanowanie Warszawy odbyło się bez udziału Armii Krajowej. Stosunek władz sowieckich do naszych

[88] Począwszy od tego fragmentu aż do końca następnego rozdziału urywek wspomnień płk. J. Szostaka został zamieszczony w specjalnym numerze miesięcznika „Chrześcijanin w Świecie" 8–9/131–132, VIII–IX 1984 poświęconym Powstaniu Warszawskiemu. Jednakże liczne ingerencje cenzury, a także opuszczenia redakcji zaznaczone (...) sprawiły, że w tej wersji uległ on istotnemu okaleczeniu. (przyp. Wyd. Pol.).

oddziałów walczących w akcji „Burza" na wschód od Wisły jest zdecydowanie zły. Jeżeli podczas opanowywania Warszawy Armia Krajowa zachowa się biernie, to nie można wykluczyć, że PPR i jej jednostki wojskowe rozpoczną bezplanowe działanie przeciw Niemcom, a wtedy zupełnie prawdopodobne, że nasi żołnierze Armii Krajowej przyłączą się do tej akcji, uznając bierność Komendy Głównej za pewnego rodzaju niedołęstwo, o ile nie za zdradę. Trzeba wziąć pod uwagę nastroje ludności stolicy. Naród tępiony bestialsko przez 5 lat okupacji był tak żądny zemsty, że nie można było nie brać tego pod uwagę. Prócz tego, wnosząc z dotychczasowej taktyki niemieckiej, która stosowała obronę miast, zwłaszcza położonych nad dużymi rzekami (np. Kijów), można było spodziewać się, że Warszawa będzie broniona i ulegnie poważnemu zniszczeniu. Wszystkie te względy, a przede wszystkim polityczne, polegające na konieczności wyzwolenia stolicy rękami polskimi, aby powitać Armię Czerwoną jako gospodarze swego kraju przez własny rząd, zmuszały do wystąpienia czynnego Armii Krajowej. Przyznaję, że zgodziłem się z tymi wywodami i nie wytaczałem kontrargumentów.

Na skrawku Niepodległej Polski

Po przytoczeniu przez Grzegorza argumentów o konieczności walki w Warszawie, nie byłem pewien, czy jest to już zdecydowane przez Delegata Rządu i Bora, czy też argumenty te zostaną podane, aby uzyskać decyzję. Rozumiałem raczej, że jest to inicjatywa Grzegorza i Kobry i będzie podana do decyzji. Kobra nawet zaznaczył, że właściwie walkę należało rozpocząć już 20 lub 21 lipca, kiedy wśród Niemców widać było największą panikę.

Spodziewałem się, że jednakże zapadnie decyzja walki i dlatego zacząłem od razu myśleć o wykonaniu jej. Zapytano mnie, jako szefa oddziału operacyjnego KG o warunki podjęcia walki. Zdawałem sobie dobrze sprawę z naszych możliwości i dlatego, jako pierwszy warunek postawiłem, że walka nie może trwać długo, a uderzenie nasze musi nastąpić w odpowiednim momencie, tj. gdy wojska sowieckie będą u progu Warszawy, tak aby naszym wystąpieniem zdezorganizować obronę niemiecką i ułatwić wejście Armii Czerwonej. Aby to było możliwe do wykonania uważałem, że moment rozpoczęcia walki może być ustalony jedynie w kraju – przez Bora. Grzegorz i Kobra zgodzili się ze mną. Następnym warunkiem było zapewnienie zrzutów broni podczas walki, wreszcie (co dzisiaj rozumiem, że było nierealne) żądanie zrzucenia brygady spadochronowej. Co się tyczy tego ostatniego żądania, już i wtedy nie bardzo na to liczyliśmy, ale uważaliśmy, że żądać można i należy.

Po omówieniu tych spraw, Grzegorz polecił mi zredagować depeszę do Londynu, co na miejscu zrobiłem. Oddałem ją, a czy wysłano ją w takim brzmieniu, wątpię, bo Bór miał zwyczaj wszystko poprawiać, czego oduczyłem go już w drugim dniu Powstania.

W niedługim czasie zostałem wezwany na pierwszą odprawę przedpowstaniową, na której Bór zapowiedział, że będziemy się zbierali codziennie rano i drugi raz po południu. W tych odprawach, prócz Delegata Rządu, Bora, Grzegorza i Kobry, mieli brać udział: Monter, Iranek, Kuczaba i ja. Podczas tych odpraw zostały omówione zasadnicze sprawy dotyczące walki. Znając zwyczaje wyższych dowódców w naszej armii, polegające na stałym wchodzeniu w kompetencje swych podkomendnych, postawiłem zasadnicze pytanie i poprosiłem o decyzję: „Kto ma dowodzić walką: Komendant Główny, czy Monter?". Zdecydowano, że Monter. Zapewniłem go, że z racji mojej funkcji może być spokojny, iż nikt mu nie będzie przeszkadzał. Następnie podczas odprawy zdecydowano, że miejsce postoju Komendy Głównej nie może pozostać na Mokotowie, jak to było ustalone w przypadku powstania ogólnego, gdyż jest nieodzownym warunkiem, aby z chwilą wkroczenia wojsk sowieckich ujawniła się Delegatura i Komenda Główna, co mogłoby być niepewne przy pozostaniu na krańcu miasta i zmuszeniu do ewentualnego wycofania się z Warszawy. Polecono mi postaranie się o nowe miejsce postoju dla Komendy Głównej. Na którejś z dalszych odpraw został ustalony skład sztabu ścisłego Komendy Głównej i Delegatury, gdyż Jankowski uważał, że musi być razem z Borem. Również omówiono sprawę „Baszty". Ten batalion sztabowy miał rozpracowany plan działania na przypadek powstania ogólnego. Ponieważ nie było czasu, aby przerabiać plany, pozostawiono „Basztę" na Mokotowie, a do osłony Komendy Głównej przeznaczono Kedyw, który był w odwodzie.

Po ustaleniu tych najistotniejszych spraw, na mnie spadł obowiązek wprowadzenia wszystkiego w życie.

Na jednej z późniejszych odpraw padło pytanie: „Kto pozostanie jako Komendant Główny części organizacji, która nie będzie ujawniona?". Grzegorz postawił swoją kandydaturę. Ja pierwszy zaprotestowałem, motywując, że byłoby to niepolityczne pociągnięcie, a inni mnie poparli. Wtedy padła kandydatura Kobry i on został ostatecznie zatwierdzony.

Podczas jednej z odpraw Bór zwrócił się do mnie i oświadczył mi: „Filip – mianuję was szefem operacji". Przyjąłem tę nominację, lecz oświadczyłem, że pozostanę nadal szefem Oddziału III, bo nie czas, aby wykręcać się od odpowiedzialności. „Nie dlatego, że nie dostałem tej nominacji od razu po Erazmie, jestem niezadowolony, lecz dlatego, że nie miałem możności przygotować czekającej nas walki. Przecież ja byłem najlepiej zorientowany w sprawach

operacyjnych, a przez długi czas byłem odsunięty od kontaktów z Komendą Główną".

Odprawy trwały i ciągle było coś do omówienia i zdecydowania. Monter zapytał: „Co będzie, jeżeli Komenda Główna nie zdąży wydać rozkazu do walki, a sytuacja będzie wymagała rozpoczęcia?". Bór zdecydował, że Monter będzie mógł sam rozpocząć walkę. Zapytany, jaki najkrótszy czas jest mu potrzebny od otrzymania rozkazu do rozpoczęcia walki – Monter określił na 12 godzin. Teraz postawił on wniosek, aby godzinę „W" zmienić na godzinę 17. Motywował następująco: „Przesuwanie godzin policyjnych, w ostatnich dniach, zmusza do zbyt wczesnego gromadzenia ludzi i nadmiernie długiego przetrzymywania ich w miejscach zbiórek, co może łatwo doprowadzić do dekonspiracji, zaalarmować Niemców i przekreślić zaskoczenie. Godzina 17 jest o tyle wygodna, że ruch na ulicach jest wtedy największy i nie zwraca uwagi przechodzenie naszych żołnierzy do miejsc zbiórki. Godziny policyjne w tym wypadku nie odgrywają już roli". Nikt nie protestował i Bór uznał, że propozycję Montera trzeba zatwierdzić.

Wreszcie zostało ustalone zupełnie dokładnie, że w skład sztabu ścisłego wejdą: Bór, Grzegorz, Oddział III w komplecie wraz z łączniczkami, Heller, Kuczaba, radiotelegrafiści, szyfrantki i łączniczki. Z Delegatur: Jankowski i Pużak oraz sekretarz Jankowskiego. Jeszcze adiutant Bora – Szymon.

Pod koniec lipca jedna z odpraw odbyła się na ulicy Chłodnej, na której było więcej osób niż zwykle. Na odprawie tej Grzegorz zreferował sprawę konieczności walki w Warszawie. Nie odbyło się żadne głosowanie, jak to niektórzy historycy sugerują. Walka była zdecydowana, tylko termin niewyznaczony, jednak Bór pozwolił każdemu z uczestników wypowiedzieć się. Było kilka głosów przeciw walce.

Aby zrozumieć motywy, którymi kierowała się grupa ludzi stojąca na górze politycznej w okupowanej Polsce, trzeba wczuć się w ich mentalność, wtedy decyzja walki będzie zrozumiała. Jesteśmy pokoleniem, które urodziło się i wychowało za czasów przeszło stuletniej niewoli Polski. Wychowaliśmy się w duchu największego patriotyzmu i marzeniach o niepodległej Polsce. Całe nasze nastawienie było przepojone tęsknotą do wolności, a tradycje wielu rodzin, których członkowie walczyli w powstaniach i cierpieli katusze od zaborców, potęgowały to nastawienie. Jako prawie dzieci poszliśmy walczyć o niepodległość i marzenia nasze zostały uwieńczone sukcesem w 1918 roku, kiedy Polska naprawdę stała się niepodległą. Przez 21 lat żyliśmy tym szczęściem. A kiedy w 1939 roku utraciliśmy niepodległość, nikt z nas nie wątpił, że to nie na stałe. Cała Polska czekała na zwycięskie zakończenie II Wojny Światowej, a z nim odzyskanie niepodległości i to w granicach co najmniej sprzed wojny.

Bo przecież my, Polacy, pierwsi przeciwstawiliśmy się Hitlerowi i na nas spadł pierwszy cios niewyszczerbionego miecza potęgi niemieckiej .

Czy przy takiej mentalności, normalnie myślący Polak mógł się godzić na ponowną utratę niepodległości, przez siłę, bo nie z woli ludu, narzucony ustrój i na odebranie nam olbrzymiej części ziem, które przez setki lat były złączone z Polską? Z tym ogół społeczeństwa nie mógł się pogodzić. Zwłaszcza, że ustrój komunistyczny, do którego ciągle dąży Rosja, był w Polsce, jak i w całym cywilizowanym świecie, uważany za nieżyciowy, a metody jego wprowadzania – za ohydne. Ja zawsze pamiętam mądre słowa marszałka Piłsudskiego, które kiedyś powiedział do Wieniawy: „Komunizm to wielki eksperyment – Polski nie stać na eksperymenty". Będąc jeszcze w Sztabie Głównym, kiedy rozmawiałem z płk. dypl. Jakliczem na temat zbliżającej się wojny, Jaklicz powiedział mniej więcej tak: „Niemcy wojnę w końcu przegrają, ale do Polski wejdą Sowiety i dużo czasu przeminie, zanim się ich pozbędziemy". Czy słuszna była nasza niechęć do Sowietów? Myślę, że tak. Bo zupełnie coś innego jest ścisły sojusz zawarty dla wspólnego interesu i dla wspólnych celów, a zupełnie coś innego, to co się stało. Narzucono nam siłą ustrój, a tego właśnie przed Powstaniem Warszawskim nie chcieliśmy na pewno i nikt w Polsce nie chciał, z wyjątkiem minimalnego procentu robotników i prowodyrów otumanionych lub kupionych przez Rosję. Nie mogliśmy też aprobować oderwania naszych Kresów Wschodnich od Polski. Niemałą też rolę odegrał Katyń, który podkreślił, że tępi się ludzi myślących po polsku, kiedy się morduje 12 tysięcy oficerów polskich. Wiele nas dzieliło od Rosji a łączyła tylko walka z Niemcami. Na pewno, że niepodległa Polska, o ustroju kapitalistycznym, hamowała pochód komunizmu na zachód.

Nasze pokolenie też rozumiało, że po katakliźmie takim, jakim była ta wojna, muszą nastąpić daleko nawet idące reformy, ale byliśmy zdecydowanymi przeciwnikami komunizmu.

Może ktoś postawić pytanie, dlaczego decydując się na walkę w Warszawie, nie staraliśmy się porozumieć z dowództwem sowieckim? Dlatego że Sowiety zerwały stosunki dyplomatyczne z Polską, a więc porozumiewanie się Delegatury Rządu byłoby nielojalne w stosunku do uznawanego przez społeczeństwo polskie Rządu w Londynie. Zresztą znany nam był stosunek Sowietów do Armii Krajowej.

Powyżej podany sposób myślenia był i moim, dlatego uważałem, że mimo trudności musimy przystąpić do walki. Dziś też jestem zdania, że trzeba było, mimo szalonych ofiar, tę walkę przeprowadzić. Choć militarnie przegraliśmy dzięki wybitnym staraniom sowieckim, historia oceni, czy politycznie powstanie nie opłaciło się. Oczywiście uważaliśmy, że jeżeli w odpowiednim momencie rozpoczniemy działanie – to zostanie ono uwiecznione powodzeniem. Na

ten odpowiedni moment zwróciłem na jednej z odpraw uwagę, wskazując, że za wczesny wybuch może spowodować zatrzymanie się wojsk sowieckich, aby siłami niemieckimi zdusić ruch niewygodny dla polityki sowieckiej. Delegat Jankowski przyznał mi rację.

Liczyliśmy się z możliwością, po wkroczeniu wojsk sowieckich do Warszawy, z aresztowaniem Delegatury i Komendy Głównej, lecz widzieliśmy, przez tę ofiarę, możliwość interwencji Zachodu na naszą korzyść. Były to naiwne złudzenia. Zachód nigdy palcem nie kiwnął, o ile nie widział w tym swego interesu. Tylko polski romantyzm i brak realizmu politycznego pozwala liczyć na wdzięczność lub szlachetność obcych, którzy mieliby Polsce dopomóc.

Szlachetność może i powinna cechować ludzi w ich prywatnym życiu, lecz tam gdzie wchodzi w grę interes własnego narodu, tam o takich cechach trzeba zapomnieć. Wszystko jest dobre, co jest pożyteczne dla własnego kraju i narodu. Nigdy nie oburzałem się ani na Napoleona, ani teraz na Churchilla, bo jeden widział wyłącznie interes Francji, a drugi Anglii. A to, że myśmy budowali swoje nadzieje na ich dobrej woli, to było tylko naszą naiwnością polityczną. W polityce powinno się wykreślić dwa słowa: zawsze i nigdy. To są słowa propagandy, przeznaczone dla głupich.

Co się tyczy polskiego romantyzmu, to ja go uważam za instynt samozachowawczy. Nasze powstania, oparte na nierealnym obliczaniu możliwości, z wyjątkiem Powstania Listopadowego, miały swoje znaczenie moralne. Przy naszym fatalnym położeniu geograficznym, będąc wtłoczonymi między dwie potęgi, trzeba olbrzymiego wysiłku ducha, aby oprzeć się z jednej strony Niemcom, górującym nad nami cywilizacją i potencjałem gospodarczym, a z drugiej strony imperializmowi rosyjskiemu, który w ostatnich latach pozyskał dla swych celów zaborczych nową broń w postaci komunizmu. Komunizm to trucizna dla mas, które lecą na niego jak na lep, a później cierpią niewolę. Kto się spotkał z komunizmem, ten jest wyleczony na całe życie. Ubóstwiają go tylko ci, którzy czerpią z niego zyski i zaspokajają swe instynkty władzy lub ludzie mało inteligentni, którzy otumanieni wierzą naiwnie w propagandę. Sama idea jest szlachetna, ale zupełnie niedostosowana do natury ludzkiej. A zmienić naturę ludzką to utopia. Walka o byt jest prawem natury. Złe instynkty są też potrzebne, aby ludzkość nie zwyrodniała. Łagodzą złe instynkty religie, ale nic nie jest w stanie ich wykorzenić. Nie ma równości ani wśród ludzi, ani wśród zwierząt. Nigdy, biorąc masowo, nikt nie będzie tak dobrze pracował dla ogółu, jak dla siebie, jeżeli to nie przynosi mu specjalnych korzyści.

Jedną z pierwszych czynności moich, a bardzo pilnych, było wyszukanie m.p. dla ścisłego sztabu. Nie była to rzecz łatwa, bo lokal musiał odpowiadać wielu

warunkom, jak możliwość wcześniejszego zainstalowania radiostacji, nie mógł leżeć w bliskości jakichś punktów oporu niemieckiego, powinien pozwalać na zgromadzenie się sztabu bez zwracania uwagi, i innym. Na szczęście wpadłem na myśl, aby miejsce postoju umieścić w fabryce Jurka Kamlera na Dzielnej. Najpierw zapytałem Jerzego, czy się zgodzi. Oczywiście, ten wielki patriota i cichy bohater nie zawiódł w swej ofiarności i zgodził się od razu. Nie mam wprost słów uznania dla tego człowieka, który tyle ryzykował dla sprawy. Lokal ten miał swoje wady, ale więcej zalet. Leżał na uboczu od szlaku wschód–zachód, tj. od ulicy Wolskiej i Chłodnej, miał dwa wejścia – od ulicy Dzielnej i Pawiej. Do fabryki, bez zwracania uwagi, w godzinach pracy mogło wejść wiele osób. Przywożenie czegokolwiek też nie zwracało uwagi. Robotnicy w fabryce byli dobierani przez Jerzego, zupełnie pewni i nie było potrzeby obawiać się zdrady. Ujemną stroną była bliskość monopolu tytoniowego, co do którego Jerzy nie miał obaw i miał dobrze ułożony plan opanowania go. Po rozpatrzeniu tego projektu przedstawiłem go Grzegorzowi i miejsce postoju na Dzielnej zostało zaakceptowane przez Bora. Ponieważ „Baszty" nie należało zabierać z Mokotowa, aby nie dezorganizować obwodu Mokotów, osłonę sztabu ścisłego miał wykonać Kedyw, z tym że obwód Wola skoncentruje swoje oddziały. Postawiłem wniosek, aby pluton 1112, wchodzący do zgrupowania „Jeleń", zorganizowany i dowodzony przez Jerzego Kamlera, ps. „Stolarz", został przydzielony do bezpośredniej osłony sztabu ścisłego. Wniosek został zatwierdzony.

Po przyjęciu projektu nowego miejsca postoju i po ścisłym określeniu, kto ma wchodzić w skład ścisłego sztabu, zostały określone dokładne godziny stawienia się. Sprawa osłony została przeze mnie omówiona z Radosławem, a on z kolei uzgodnił to z dowódcą obwodu Wola.

Wszystkie czynności zostały wykonane, łączność z płk. Radosławem i panią Berg zapewniona i wydawało się, że Oddział III swoje zrobił.

Nagle, któregoś dnia, dowiaduję się, że Monter zarządził pogotowie. Natychmiast wysłałem meldunek do Grzegorza, nie rozumiejąc, kto go do tego upoważnił. Okazało się, że wobec ogłoszenia przez Niemców zbiórki stu tysięcy ludzi do kopania okopów, Monter uznał to za sygnał do wystąpienia do walki, a będąc upoważniony przez Bora do wystąpienia bez rozkazu, o ile Komenda Główna nie zdąży takiego wydać, zarządził pogotowie. Nie wiem, czy na skutek mojego meldunku, czy może Grzegorz wcześniej sam się dowiedział, ale pogotowie zostało odwołane. Oczywiście miało to ujemny wpływ na nastroje naszych żołnierzy. Monter zrozumiał, że zrobił wielkie głupstwo nie wytrzymując nerwowo i zarządzając pogotowie. Na zbiórkę nikt się nie stawił, a żadnych represji nie zastosowano.

Na rannej odprawie 31 lipca 1944 roku Monter zameldował, że według niesprawdzonych wiadomości, na Pelcowiźnie miały się pojawić czołgi sowieckie. Ta niesprawdzona wiadomość nie wpłynęła na decyzję rozpoczęcia walki.

Na godzinę 17. była wyznaczona następna odprawa, o ile pamiętam, na ulicy Pańskiej. Przyszedłem na nią punktualnie, najwyżej w granicach 5 minut wcześniej lub później. Nieprawdziwie podają historycy, że spóźniliśmy się: ja, Heller i Kuczaba. Wszedłem do pokoju, słabo oświetlonego, takiego, jakim w wielu starych warszawskich kamienicach były stołowe pokoje. Za stołem, na kanapie, siedzieli delegat rządu Jankowski i gen. Bór-Komorowski. Z boku, na krzesłach siedzieli gen. Grzegorz i gen. Kobra. Płk Monter stał. Od progu złożyłem ogólny ukłon wojskowy. Nawet nie zdążyłem podejść, aby się przywitać z obecnymi, gdy Bór z punktu oświadczył: „No, Filip, jutro o 17. zaczynamy". Nie siadając, wyraziłem pewne zdziwienie i zapytałem, czy do decyzji nie byli potrzebni szefowie Oddziału III i II. Na to Bór powiedział: „Monter sprawdził, że były czołgi na Pradze i daj Boże, abyśmy zdążyli przeprowadzić walkę przed wkroczeniem Sowietów". Na to powiedziałem, że skoro to jest ostateczna decyzja, to nic nie mam już do powiedzenia, a tylko muszę zrobić wszystko, aby ją w czyn wprowadzić. Poprosiłem, aby mnie zwolniono z odprawy porannej w dniu 1 sierpnia, na co otrzymałem zgodę. Wyszedłem z lokalu. Na klatce schodowej, przed wejściem spotkałem Hellera. Szepnąłem mu: „Jutro!". Już na dole spotkałem Kuczabę i również mu szepnąłem, że jutro. Kuczaba aż się zatoczył. Widziałem, że ta wiadomość zrobiła na nim bardzo silne wrażenie. Pobiegł na górę.

Poszedłem natychmiast na Twardą i wysłałem przez Wackę lub Modestę rozkaz do Radosława i pani Berg, o decyzji. Oczekującym mnie oficerom oddziału podałem, o której godzinie i gdzie mają się stawić w dniu jutrzejszym. Pani Eugenii Rudziejowskiej, tej biednej, dzielnej kobiecie, o ile pamiętam, nie podałem dnia ani godziny walki. Jedynie na kilka dni wcześniej dałem jej pieniądze i poleciłem zakupić żywność na większą ilość osób i na kilka dni. Jak później słyszałem – głodowała, żywności tej nie ruszyła. Nie przypuszczałem, że będzie tak przewrażliwiona w swej uczciwości. W końcu powstania została mianowana starszym sierżantem i został jej nadany Krzyż Walecznych lub Zasługi, o czym pewno nawet nie dowiedziała się, bo straciłem z nią kontakt, a dom na Twardej został kompletnie zburzony.

Na noc z 31 lipca na 1 sierpnia poszedłem na Pawią, aby ostatnią noc przespać porządnie. Pewno jeszcze tego samego dnia zawiadomiłem Jurka, a może 1 sierpnia wcześnie rano, o godzinie rozpoczęcia walki. Miał już w fabryce stos granatów ręcznych dostarczonych przez Radosława oraz zainstalowaną radiostację nadawczą. Radiotelegrafiści od paru dni siedzieli jak na beczce prochu

i jak mi Jerzy mówił, zamykał ich na klucz, aby nie uciekli. Jerzy sam wykazywał moc zimnej krwi i opanowania, czekając na decyzję. Przecież wiedział, że w wypadku wsypy, on i jego rodzina zginęliby bezapelacyjnie.

Sztab ścisły i Delegatura mieli się zebrać w fabryce na godzinę 15. najpóźniej, przychodząc kolejno, aby nie zwracać uwagi. Ja osobiście'byłem w fabryce około godziny 13. i oczekiwałem na przybycie sztabu.

Jak często bywa na wojnie, zdarzają się niespodzianki. Pech chciał, że 31 lipca wieczorem Niemcy wzmocnili wartę w monopolu do 20 Ukraińców z karabinem maszynowym i na ulicy Dzielnej – między Okopową a monopolem też znalazł się jakiś posterunek przy składzie drzewa. Jak na złość, 1 sierpnia od rana odbywało się odbieranie po praniu kożuchów kolejarskich z pralni chemicznej Malaka (volksdeutscha), która mieściła się w oficynie kamienicy, w której front zajmowała fabryka mebli Kamlera (dawna Szczerbińskich). Samochody z eskortą uzbrojoną wjeżdżały na podwórze i odbywał się normalny ruch niezwiastujący nic nadzwyczajnego. Jak mi mówił Jerzy, po godzinie 15. przyszedł do fabryki Radosław, aby sprawdzić ubezpieczenie, bo pluton Stolarza miał mu podlegać. Dowiedział się, że sztab i Delegatura są już w fabryce. Zwrócił uwagę Jerzemu, dlaczego nie stoi posterunek przy bramie. Jerzy słusznie postąpił, że na dwie godziny przed rozpoczęciem walki nie uzewnętrzniał żadnych przygotowań, wystarczyło bowiem, że jego pluton, na razie w sile 18 ludzi, był wewnątrz budynku. Jednak zasugestionowany uwagą Radosława, wystawił posterunek z karabinem przy bramie od wewnątrz budynku. Nagle, o godzinie 15.20, jeszcze jedno auto wjechało w bramę. Na szczęście w bramie był Jerzy. Niemiec siedzący obok kierowcy zobaczył w bramie cywila z karabinem, nie namyślając się, strzelił i chybił. W tym momencie Jerzy podskoczył i strzałem z pistoletu zabił Niemca. Kierowca od razu tyłem wycofał samochód na ulicę. Jerzy zamknął bramę i zaryglował. Zrobił się alarm. Komenda Główna rozpoczęła powstanie na półtorej godziny przed wyznaczonym terminem. Powyższą relację podaję na podstawie meldunku, jaki złożył mi Stolarz, bezpośrednio po pierwszym dniu walki. Osobiście przy tym nie byłem, widziałem tylko przez okno auto stojące na ulicy i obok leżący trup Niemca. Takie bywają nieprzewidziane wypadki, które zdarzają się na wojnie.

Jestem najstarszym oficerem Komendy Głównej Armii Krajowej z okresu Powstania Warszawskiego, który jest w kraju, gdyż Bór i Grzegorz są na emigracji. Ponieważ byłem szefem oddziału operacyjnego Komendy Głównej, a nawet, przed samym powstaniem, szefem operacji, czuję się w obowiązku wypowiedzieć swoje zdanie na temat Powstania Warszawskiego. Nie mogę swych wypowiedzi opublikować, gdyż żadne pismo nie przyjmie tego do druku, nie mówiąc o konsekwencjach, jakie poniósłbym na pewno. Dlatego to, co napiszę,

pozostanie na tych kartach przez, pewno, długie lata i albo kiedyś ujrzy światło dzienne, albo przepadnie[89]. Ale pisać muszę, bo inaczej umarłbym z wyrzutami sumienia.

Powstanie Warszawskie to wielkie zagadnienie i nie można do niego podchodzić sztywno, lecz konieczne jest rozpatrywanie ze wszystkich możliwych punktów, aby stało się zrozumiałe. Przecież każdy zryw Narodu i jego ofiarność nie może wypływać z namowy lub rozkazu. A powstanie dało dowody olbrzymiej ofiarności i niezwykłych cnót społeczeństwa warszawskiego. Aby zrozumieć przyczyny decyzji walki powstańczej, trzeba sięgać dużo dalej niż do roku 1944, a nawet 1939. Polacy, od czasu utracenia niepodległości, stale czepiali się wszelkich możliwych środków, aby tę niepodległość odzyskać. Choć różni „trzeźwo myślący" ludzie nazywają to romantyzmem, ale nie jest powiedziane, że ten „romantyzm" jest jedną z naszych realnych broni chroniącej Naród przed wynarodowieniem. Trudno mówić: „Co by było, gdyby było", ale czy ofiary powstań narodowych, które ekonomicznie nas niszczyły, nie utrzymały naszego istnienia jako odrębnego narodu? Fakt pozostanie faktem, że Polak nad wszystko miłuje wolność i niepodległość, z których nie zawsze umie korzystać. Pokolenie sprzed pierwszej wojny światowej dostąpiło tego szczęścia, że dzięki wyzyskaniu okazji politycznej i z woli narodu uzyskaliśmy niepodległość w 1918 roku. To szczęście było odczute przez cały naród, a żywiołowe dążenie do utrzymania niepodległości spowodowało zwycięstwo w 1920 roku. Nikt nie zaprzeczy, kto pamięta tamte czasy, że cały naród polski chciał niepodległej i suwerennej Polski, a na pewno żaden plebiscyt nie wypadłby na korzyść którejś tam republiki sowieckiej. Nie mogę więc zrozumieć, skąd te słowa potępienia naszej walki o niepodległość w latach1918–1920 wypisywane w różnych artykułach i książkach. Czy było do pomyślenia w naszym społeczeństwie, aby wyrzec się niepodległości dla jakichś utopijnych ideałów komunistycznych?

Po roku 1921, gdy już został zawarty Traktat Ryski, Polska zaczęła organizować swoje życie pokojowe. Jakkolwiek występowały już i wtedy nasze wady narodowe i bywały różne rządy, lepsze lub gorsze, ale zawsze wszystko robiły one w imię dobra kraju i narodu. Żaden, najmniej udany rząd, nie pracował na korzyść obcych państw, a widział słuszne lub niesłuszne, tylko interesy Polski. Całe społeczeństwo polskie było bezwzględnie patriotycznie nastawione i patriotyzm uważało się za najwyższą cnotę. Młode pokolenie wychowywane było w duchu patriotyzmu. Niespotykaną rzeczą było, aby ktoś jawnie przyznawał się do uchylania się od obowiązków w stosunku do Ojczyzny, czy to od służby

[89] Na szczęście nie przepadło! Autor skończył pisanie tego fragmentu swych wspomnień w 1961 roku (przyp. Wyd. Pol.).

wojskowej. Niepodległość była dumą narodową, a myśl o utracie jej była nie do pomyślenia. Gdy w 1939 roku zbliżała się groza wojny, naród był nastawiony na walkę i gdyby np. prezydent Mościcki zechciał wejść w porozumienie z Hitlerem i pójść na ustępstwa, wątpię czy przeżyłby ten moment. Oczywiście przeciętny obywatel nie zdawał sobie sprawy z naszej słabości w stosunku do Niemiec i wierzył w możliwość zwycięstwa przy pomocy sojuszników. Może dlatego utrata niepodległości w 1939 roku spadła na naród nieprzygotowany moralnie do tak wielkiego nieszczęścia.

Nie można się dziwić, że w społeczeństwie polskim zrodził się żal do władzy przedwojennej i do ludzi będących przy władzy, a zaczęto pokładać wielkie nadzieje i widzieć właściwe kierownictwo w rządzie emigracyjnym. Klęska była przypisywana nie tylko nieudolności rządu, nie tylko potędze niemieckiej, ale również uderzeniu w plecy Związku Radzieckiego. A już z chwilą oderwania Kresów Wschodnich od Polski, mimo paktu o nieagresji, stworzyło w społeczeństwie najbardziej nieprzychylny nastrój do Sowietów.

Zawarcie porozumienia po 1941 roku przez gen. Sikorskiego ze Stalinem było uważane jako konieczny krok polityczny, ale to nie zmieniło nastroju społeczeństwa do Rosji. Wywiezienie tysięcy obywateli polskich w głąb Rosji było uważane za podłość równającą się zbrodniom niemieckim w obozach koncentracyjnych. A wiadomość o morderstwach w Katyniu spowodowała wzrost nienawiści do morderców.

A teraz pytam: czy Delegatura Rządu na Kraj mogła nie liczyć się z nastrojami społeczeństwa? Społeczeństwo uważało Niemców za wroga nr 1, a Rosję za zbliżającego się wroga nr 2, z tym, że gdy wejdzie on do Polski, stanie się wrogiem nr 1, bo zagrozi naszej niepodległości i narzuci nam siłą ustrój. I w tym miejscu zgadzam się z Kirchmayerem, że taki był stosunek Delegatury i Komendy Głównej do Związku Radzieckiego, bo takie były nastroje całego społeczeństwa.

Przyczyny Powstania Warszawskiego są dostatecznie wyjaśnione w „Polskich Siłach Zbrojnych w II wojnie światowej" (część III), wydanych w Anglii. Dlatego nie będę dalej wywodził słuszności decyzji powstania, a chcę natomiast uzupełnić opracowania historyczne własnymi spostrzeżeniami i wspomnieniami. Niezaprzeczenie ciekawe jest, jak dochodziło do faktów podawanych przez historyków i jacy byli ludzie. O tym będę pisał.

Przeczytałem książki Borkiewicza, Kirchmayera i „Polskie Siły Zbrojne" (cz. III) i wiele innych, mniej wartościowych. Mniej mnie interesowały działania poszczególnych grup walczących na różnych odcinkach, bo te raczej znałem. Interesowało mnie zawsze spojrzenie na powstanie ze strony politycznej. Te sprawy porusza tylko Kirchmayer i „Polskie Siły Zbrojne". Kirchmayer

pisze tendencyjnie, opuszcza to co mu jest niewygodne, aby w pozornie uczony sposób dowieść o niesłuszności polityki polskiej i niesłuszności decyzji. Dopiero po przeczytaniu „P.S.Z" widać, na ile Kirchmayer myśli nie po polsku i jak naciąga, aby przypodobać się obecnym władcom, a trzeba przyznać, że robi to sprytnie bo z pozorami dużej inteligencji.

W miejscu postoju sztabu ścisłego Dowództwa Armii Krajowej Powstanie rozpoczęło się dokładnie o godzinie 15.20 dnia 1 sierpnia 1944 roku, tj. o godzinę i czterdzieści minut wcześniej od nakazanego terminu. Gdy usłyszeliśmy pierwsze strzały, Grzegorz zaczął mi robić wymówki, że „ślicznie" ulokowałem sztab i Delegaturę. Odciąłem mu zresztą z miejsca, że na wojnie takie sprawy zdarzają się i że nie potrzebuje się denerwować, gdyż z lokalu jest drugie wyjście na ulicę Pawią. I faktycznie, po chwili całe towarzystwo, mocno podenerwowane przeprowadziłem do mego mieszkania na Pawiej, gdyż tyły fabryki przytykały do kamienicy na Pawiej. W mieszkaniu moim była łączniczka Joanna, która z zimną krwią, widząc podenerwowanie przybyłych, powiedziała, że mogą natychmiast opuścić lokal, bo wyjście na Pawią jest wolne. Pierwszy zreflektował się Bór. Postanowił zostać. Ja wobec tego poszedłem z powrotem na Dzielną, gdyż tam strzelanina rozpoczęła się na dobre. Ukraińcy i Niemcy z monopolu wyciągnęli karabin maszynowy na ulicę, lecz granaty ręczne rzucone przez okna przez chłopców Stolarza zmusiły ich do cofnięcia się. Teraz Niemcy zaczęli rzucać granaty w okna fabryki i wzniecili mały pożar, który Stolarz szybko osobiście ugasił. Sekundowała mu w tym dzielnie Zosia Klepaczowa, siostra Jurka. Po pierwszej wymianie strzałów i próbie wtargnięcia do fabryki, Ukraińcy i Niemcy cofnęli się do sąsiedniego monopolu tytoniowego. Żandarmi z posterunku na Lesznie patrolowali okolice fabryki, co było widać z okna, lecz nie ryzykowali bliższego podchodzenia. Wreszcie, o godzinie 17. rozpoczęła się strzelanina w całej Warszawie. Gdy się ściemniło, Radosław nadesłał meldunek, że opanował Okopową i że zamierza nad ranem wyrzucić Niemców z monopolu. Wysłałem mu rozkaz opanowania monopolu w ciągu nocy. Rozkaz został wykonany. Chłopcy z Kedywu przeszli po dachach i szybko wykurzyli Ukraińców z monopolu. W nasze ręce wpadło moc papierosów i żywności.

W nocy, po opanowaniu monopolu, przyszedł do naszego miejsca postoju Radosław. Wyglądał bojowo w niemieckim hełmie i w fantazyjnie zarzuconej płachcie namiotowej, wspaniale pozorującej pelerynę. Kedyw wykonał swoje zadanie bez zastrzeżeń.

Dnia 2 sierpnia nadeszły meldunki od Montera. Teren Warszawy został w znacznej części opanowany, lecz żywe siły Niemców nie zostały zlikwidowane. Większość umocnionych punktów trzymało się i nie było siły, aby je zniszczyć.

Grzegorz oceniał położenie bardzo pesymistycznie. Uważał, że ponieważ uderzenie przez zaskoczenie nie udało się, a więc wszystko stracone. Bór zachowywał się biernie i nie wyrażał swojej opinii. Ja, jako trzecia osoba w dowództwie, wcale nie upadałem na duchu i czułem się mocno. Może to, że skończyła się konspiracja, że znów stałem się żołnierzem, a zaczęła się nareszcie wojna, nastrajało mnie optymistycznie.

Grzegorz zwrócił się do mnie z twierdzeniem, że wszystko przepadło i powiedział – dosłownie: „Niedługo przyjedzie Gestapo aresztować nas". Mnie to powiedzenie raczej rozzłościło i odpowiedziałem, że póki mamy broń, to aresztowania nie obawiam się. Lecz Grzegorz trwał w swoim pesymizmie. Wydał mi rozkaz, abym zawołał pojedyńczo wszystkie kobiety i zwolnił je, aby poszły do domów, gdyż my, w wypadku chęci aresztowania nas, będziemy się bronili, ale kobiet nie chcemy narażać na beznadziejną walkę.

Pierwszej zaproponowałem Joannie, lecz ona wręcz oświadczyła, że skoro ja zostaję, to ona też nigdzie nie pójdzie. Drugą zaprosiłem Zosię Klepaczową, lecz ta zachowała się zupełnie niedyscyplinowanie. Pokazała mi język i powiedziała, abym kazał się wypchać, bo żadna z kobiet nas nie opuści i gotowe są ginąć razem z nami. Zaprzestałem więc tej komedii, którą zresztą uważałem od razu za bezcelową. Niewiasty okazały się silne duchem i pełne chęci poświęcenia się, czego dały tysiące dowodów przez cały okres Powstania.

Około południa dnia 2 sierpnia zredagowałem pierwszy meldunek do Londynu o Powstaniu. Poszedłem do Bora, aby go podpisał. Bór nie czytając, wyjął ołówek i próbował robić poprawki. Tego nie wytrzymałem. Zabrałem meldunek i oświadczyłem: „Jeżeli treść meldunku panu generałowi nie odpowiada, to proszę o wskazówki, co sobie życzy abym dodał, ale poprawiać poszczególne wyrazy, bez zmiany treści nie pozwolę, bo to jest mój obowiązek, jako szefa Oddziału III, redagowanie meldunków i rozkazów. Jeżeli, jako starszy operator, tego nie umiem, to należy mnie zmienić, ale nikt za mnie, póki jestem na stanowisku, robić tego nie będzie". Od tego dnia nasze stosunki były zupełnie dobre i każdy był na swoim miejscu. Dalsze meldunki, w myśl moich wskazówek redagował Iron, a robił to bez zarzutu, bo był na pewno najlepszym oficerem oddziału.

Nie wiem dlaczego w opracowaniach książkowych o Powstaniu nie jest nic powiedziane o pierwszym zrzucie broni przez samolot w nocy z 5 na 6 sierpnia na cmentarz żydowski na Okopowej.

Pamiętam, że w jednym z pierwszych meldunków do Londynu prosiliśmy o ten zrzut, o ile pamiętam, na plac Napoleona i cmentarz na Okopowej. Zrzut ten odbył się zupełnie spokojnie, gdyż Niemcy jeszcze nie spodziewali się tego i obrona przeciwlotnicza nie była zupełnie zorganizowana.

Nastrój w sztabie ścisłym w tych pierwszych dniach walki nie był dobry. Stwarzało go paru ludzi. Z jednej strony – flegma i pewna obojętność czy przygnębienie Bora, z drugiej strony – zachowanie się Grzegorza, który będąc człowiekiem niezaprzeczenie odważnym, jakby szukał śmierci, wychodząc na odcinki walki. A walki już na dobre rozgorzały. Niemcy rozpoczęli natarcie na Wolę i zaczęli spychać nas w kierunku wschodnim, prąc do mostu Kierbedzia.

Nasze miejsce postoju na Dzielnej i Pawiej nie znajdowało się w bezpośrednim zasięgu walki, ale Grzegorz ciągle nastawał, aby przenieść je i nawet sam wynalazł jakiś lokal, z którego szybko zrezygnował. Sekundował mu w chęci przeniesienia Cozas, który był cały czas mocno podszyty tchórzem. Ostatecznie stanęło na tym, że pozostaniemy na starym miejscu postoju jak długo się da. Dopiero gdzieś chyba 7 sierpnia, cofanie się naszych oddziałów na Woli zmusiło i sztab ścisły do cofnięcia się. Stolarz kazał wybić dziurę w murze do getta na Pawiej i przez teren getta przeszliśmy na ulicę Barokową, do lokalu szkoły. Tu przyszła pierwsza depesza od Erazma, podpisana „Tabor", a zapowiadająca starania o wysłanie większej ilości samolotów z bronią. Podczas postoju na Barokowej odbył się drugi zrzut na Placu Krasińskich. Tym razem obrona przeciwlotnicza była już zorganizowana i ogień był bardzo silny. Nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że podczas tego zrzutu strącono samolot, który spadł na Miodowej, a z którego Sosna (kpt. Billewicz) wymontował działko.

Sosnę poznałem podczas okupacji w prywatnym domu i długi czas nie wiedziałem, że był kapitanem artylerii i że należał do jakiejś organizacji. Spotkałem go na Barokowej, gdzie po ciężkich walkach na Woli, z mocno poszczerbionym swoim oddziałem dotarł. Był nieprzytomny ze zmęczenia i upadły na duchu. Kazałem mu najpierw położyć się spać i dopiero po paru godzinach rozmawialiśmy. Ale już po wyspaniu się wrócił do formy i do końca życia, tj. do września, był jednych z najdzielniejszych dowódców. Zmarł na zgorzel gazową po otrzymaniu lekkiej rany gdzieś w rejonie Placu Napoleona. Gdy przyszedłem go odwiedzić, w tym momencie skonał.

Nasze miejsce postoju na Barokowej musiało być zmienione, bo dla sztabu praca pod ogniem nie była wskazana. Pamiętam, że dyktowałem jakiś rozkaz, który pisała na maszynie Modesta, gdy pocisk karabinowy uderzył w ścianę tuż nad jej głową. Trzeba przyznać, że Modesta zachowała się jak stary wiarus, tylko trochę przybladła, lecz pisała dalej bez słowa niepokoju.

Około dnia 10. lub 11. sierpnia przenieśliśmy nasze miejsce postoju do budynku sądów na Długiej.

Trochę trudno jest mi pisać, gdyż pracując, piszę w miarę posiadanego czasu, a obecnie jestem w trakcie czytania książki gen. Bora-Komorowskiego pt. *Armia Podziemna*. Jestem więc pod wpływem tej powieści pisanej na tle

historycznym, w której głównym bohaterem jest sam autor. Powieść ta jest zbliżona do rzeczywistości, lecz często od niej odbiega zupełnie, ponieważ autor przypisuje sobie wiele zarządzeń, których wcale nie wydawał lub akceptował wydawane przez innych. Zebrał widocznie już w Anglii cały szereg drobnych szczegółów, którymi podczas Powstania zupełnie się nie interesował i o nich nic nie wiedział. Książka przypomina długi raport austriackiego oficera, który ubarwia i wszystkie zasługi i całą inicjatywę przypisuje sobie. Zapomniał prawie zupełnie, że miał współpracowników w sztabie, którzy potrafili na nim wymóc pewne zasadnicze decyzje. Niewiele brakowało, aby tego nieporadnego wodza wojsko zdjęło z dowództwa. Ale o tym się nie mówi, tak jak nie mówi się, że tylko na skutek polityki wewnętrznej w samej Armii Krajowej został jej dowódcą, nie mając na to żadnych kwalifikacji. Według mnie książka ta przynosi wstyd człowiekowi, który zajmował tak wysokie stanowisko. Książka pyszałka, który w bezpiecznym miejscu zapomniał o swej słabości ducha i nieporadności, wypływającej z jego charakteru i zbyt małej wiedzy. Dodatnią stroną tej książki jest, że nie są wymieniane nazwiska ludzi, którzy przebywają w kraju, ze względu na ich bezpieczeństwo.

A więc dalej o moich przeżyciach z okresu Powstania. W sądach ulokowaliśmy się wygodnie. Dla siebie zająłem duży dwuokienny pokój (okna wychodziły na Podwale) na pierwszym piętrze, z klubowymi fotelami. Zakątek był cichy i dość spokojny, lecz jak się okazało, nie na długo. Już 13 sierpnia zaszły dwa ciężkie i bardzo smutne wypadki. Pamiętam jak dziś. Było południe, przyniesiono obiad, tj. miskę grochówki. Usiadłem na fotelu obok okna i zacząłem jeść. Na drugim fotelu siedziała z miską Joanna. W pewnym momencie rozległ się warkot motoru i posłyszałem okrzyki. Wyjrzeliśmy przez otwarte okna. Przed naszymi oknami, na wprost bramy wjazdowej do naszego budynku stał opancerzony samochód niemiecki załadowany rozentuzjazmowanymi młodymi ludźmi, z przymocowaną flagą biało-czerwoną i otoczony dziećmi, krzyczącymi z radości Ktoś z wozu domagał się otwarcia bramy, lecz bez skutku. Wóz ruszył naprzód. My siedliśmy do naszej grochówki. Nagle rozległ się szalony huk. Spadłem z przewróconego fotela na dywan. Drzwi wielkie, dwuskrzydłowe, wyrwane wypadły. Zrobiło się ciemno od kurzu i dymu. Zrozumiałem, że nastąpił jakiś bardzo silny wybuch. Byłem cały i zdrowy. Również Joanna wstała zdrowa. Wyjrzałem przez zdemontowane okno. W prawo, za rozwaloną małą barykadą, leżał do góry kołami poszarpany wóz pancerny. Żywych ludzi nie było. Ulica była zasypana szkłem i odłamkami cegły. Nie zostało w pobliżu ani jednej szyby. Po chwili podwórze Sądów zapełniło się rannymi i zabitymi, bo tu był szpital. Wyglądali wszyscy strasznie. Masa krwi. Szczątki dorosłych i dzieci.

Zrozumieliśmy wtedy, że wóz niemiecki był rozmyślnie pozostawiony wraz z amunicją, a może nawet z bombą zegarową. Na szczęście, wybuch na ulicy, a nie w podwórzu Sądów, gdzie mieścił się sztab, Delegatura, batalion „Wigry" i duży szpital. Obliczono, że ofiar wybuchu było około 200 osób. Szczątki ludzkie znajdowano nawet na dachach. Tu muszę podkreślić wspaniałą postawę ludności Podwala. Ulica była zamieciona i pozmywane ślady krwi[90].

Lecz ten tragiczny dzień 13 sierpnia nie miał się skończyć jednym wydarzeniem. Nagle dowiedziałem się, że na placu Krasińskich zginął od pocisku nasz dowódca plutonu osłony nr 1112, ppor. Jerzy Kamler – Stolarz, wraz ze swym zastępcą pchor. Lorchem. Osobiście było to dla mnie wielkie uderzenie. Prócz tego, że był on moim osobistym przyjacielem, był wielkich wartości człowiekiem. Nie mam słów, aby wyrazić, jak wielką stratę ponieśliśmy, tracąc tego wielkiego, nieznającego granic poświęcenia patriotę i wspaniałego żołnierza. Ktoś przechodząc zajrzał do grobu, w którym chowano dwu poległych na placu Krasińskich powstańców i poznał w jednym Jerzego. Natychmiast przerwano grzebanie i ciała przeniesiono do Sądów. Pogrzebem zajął się szwagier Stolarza, płk. Stanisław Klepacz, ps. „Jesion", a nasz komendant kwatery głównej. Oczywiście sekundowała mu w tym dzielnie jego bohaterska żona Zofia. Nawet zdobyli dwie trumny i wieczorem pochowano Jerzego i Lorcha na podwórzu Sądów. Jerzy, na mój wniosek, został odznaczony orderem Virtuti Militari kl. V. Dzielnie zachowała się na pogrzebie cała rodzina, tak siostra Zofia Klepaczowa, która traciła już trzeciego brata na wojnie, jak i córka Hania, sanitariuszka plutonu 1112. Ta dzielna, młodziutka, 17-letnia dziewczyna śmierć ojca zniosła bez spazmów, jak prawdziwy żołnierz. Gdy zasypano mogiłę, Hania spojrzała na mnie smutnym wzrokiem i powiedziała tylko: „Pójdę teraz na barykadę do plutonu". Dziś Hania jest panią Szymańską, matką dwu córek i mieszka w Kanadzie, w Montrealu. Podobno nie lubi wspominać tych czasów.

Wspominając walki na Starówce w pierwszym rzędzie trzeba wspomnieć o jej wspaniałym dówódcy, jakim się okazał przysłany przez Montera ppłk. dypl. Karol Ziemski, ps.Wachnowski. Grzegorz był do niego uprzedzony, i mimo że Wachnowski był dowódcą pułku piechoty w kampanii wrześniowej, nie awansowano go na pułkownika. Dopiero na Starówce przekonano się o istotnych wartościach tego nieprzeciętnego człowieka i oficera.

Nieprzeciętnym też oficerem okazał się oficer łącznikowy KG przy Wachnowskim kpt. dypl. Tadeusz Perdzyński, ps. „Tomir". Przydzielony z wydziału artylerii do Oddziału III, został wyznaczony jako oficer łącznikowy i ze swych

[90] Ul. Długa 7, przed wojną siedziba Ministerstwa Sprawiedliwości, obecnie Archiwum Główne Akt Dawnych (przyp. Wyd. Pol.).

obowiązków wywiązywał się doskonale. Byłem zawsze informowany o położeniu, gdyż dla Tomira nie było niemożliwych rzeczy. Potrafił przysłać meldunek lub osobiście zjawić się w sztabie ścisłym, aby zreferować położenie.

Tytuł książki Podlewskiego *Przemarsz przez piekło* jest bardzo trafnym tytułem, określającym straszliwe zmagania powstańcze, którym chyba nie było równych podczas II wojny światowej. Myślę, że Stalingrad, mający jednak tyły, nie był w tak trudnych warunkach jak Warszawa. Jeżeli w innych dzielnicach Warszawy nasilenie walk w sierpniu było słabsze, to na pewno na Starym Mieście było istne piekło. Ostrzeliwanie Starówki przy użyciu artylerii, moździerzy salwowych, zwanych krowami lub szafami, oraz wszelkiej innej broni, trwało bez przerwy. Walki o każdy dom mieszkalny były niesłychanie zaciekłe. Ruiny utracone w dzień były odbierane w nocy. I tu Wachnowski wykazał olbrzymią energię, umiejętność przystosowania się do specyficznych warunków walki w mieście, wielką wytrzymałość moralną i fizyczną. On był duszą obrony Starego Miasta i jemu tylko należy przypisać zasługę obrony tego skrawka miasta przez prawie miesiąc.

Utrzymanie Starego Miasta było warunkiem trwania powstania, a tym samym złudnej możliwości doczekania wkroczenia wojsk sowieckich. Dzielność Wachnowskiego przekonała Grzegorza, no i Bora, że należy awansować go do stopnia pułkownika.

Z Wachnowskim widywałem się co noc. Przeważnie gdy wracał z obchodów odcinków obrony, przychodził do mnie i omawialiśmy położenie. Jeżeli miałem go czym poczęstować, chętnie wypijał szklankę wina lub innego alkoholu. Stosunki między nami były bardzo serdeczne i koleżeńskie.

Łączność z Monterem była bardzo trudna. Dopiero znalezienie drogi kanałami, pozwoliło na lepsze jej funkcjonowanie. Tu muszę podkreślić niebywałą ofiarność łączniczek i łączników. Początkowy marsz kanałami odbywał się na czworakach, dopiero później trafiono na wyższe kanały. Ludzie ci całymi godzinami szli w smrodzie i błocie, aby przynieść meldunek lub zabrać rozkaz.

W moich wspomnieniach nie podejmuję się operować ścisłymi datami, gdyż piszę z pamięci i to po 17 latach od faktów, które miały miejsce. Gmach Sądów też nie ostał się, mimo że nie znajdował się w pierwszej linii, a nieco w głębi ugrupowania obronnego. Najpierw uległy zniszczeniu górne piętra. Pamiętam, że któregoś dnia, po nieszczęśliwym wybuchu wozu, byłem z Borem w pokoju, gdzie pracował Iron na pierwszym piętrze. Przy biurku siedział Iron i coś opracowywał, ja stałem pod ścianą, niedaleko jedynego okna, na środku pokoju stał gen. Bór. Rozmawialiśmy. Nagle rozległ się szalony huk i zrobiło się ciemno w pokoju. Zza biurka wyskoczył Iron na jednej nodze. Gdy kurz i dym nieco opadły, okazało się, że granat uderzył we framugę okna. Na szczęście nikt

z nas nie został ranny, bo tylko Iron miał skaleczoną piętę odłamkiem drewna. Pokój oczywiście był nie do użytku. W niedługim czasie przenieśliśmy nasze dowództwo do pokoi parterowych. Nie pamiętam w jakim celu, ale poszedłem z Joanną na pierwsze piętro, aby prawdopodobnie coś przynieść. W momencie gdy byliśmy na podeście pierwszego piętra, usłyszeliśmy charakterystyczny zgrzyt „krowy". Zdążyliśmy wpaść w boczny korytarz i stanąć pod ścianą, gdy nastąpił wybuch. Zawaliły się schody wyższych pięter. Po paru minutach kurz ustąpił i udało nam się po gruzach zejść na parter.

Kwaterowaliśmy teraz dość ciasno. Spanie było mało wygodne, bo na podłodze i na siennikach. Obok mnie sypiał ojciec Tomasz Rostworowski. Wracał on przeważnie późną nocą i zwykle pytał, czy nie mam coś pocieszającego, aby mógł powtórzyć rannym i cywilnej ludności. Do dzisiejszego dnia jestem z najgłębszym szacunkiem dla tego wyjątkowego księdza. Jego zalety charakteru były imponujące. Nie widziałem tak opanowanego człowieka. Pamiętam, że którejś niedzieli ojciec Tomasz odprawiał mszę w jakiejś sali na parterze. Już podczas kazania uderzył pocisk na zewnątrz, lecz blisko drzwi, gdzie stali ludzie. Ktoś został ranny i zrobił się mały szum, zanim rannego wynieśli. Ojcu Tomaszowi nawet głos nie zadrżał. Mówił dalej swoje piękne i pełne patriotyzmu kazanie.

Około 17 sierpnia walki nabrały specjalnego nasilenia, Niemcy przypuścili generalny szturm na Starówkę. U zabitego oficera niemieckiego znaleziono rozkaz do natarcia. Nie od razu go dostałem, lecz gdy go przeczytałem, powiedziałem sobie tylko: „Całe szczęście, że czytam to po odparciu już natarcia, bo ilość sił użytych była tak duża i środki tak wielkie, że teoretycznie nie powinniśmy tego wytrzymać. A jednak wytrzymaliśmy!".

Dzień 17 sierpnia jest dla mnie pamiętny. Spotkał mnie wielki zaszczyt. Otrzymałem z Londynu radiodepeszę, że Naczelny Wódz odznaczył mnie orderem Virtuti Militari klasy IV. Prócz mnie został również odznaczony płk Radosław. Na drugi dzień otrzymałem drugą radiodepeszę z Londynu z powinszowaniami, podpisaną przez wielu generałów, o ile pamiętam to Andersa, Głuchowskiego, Kopańskiego, Tatara i innych[91].

Musiałem wytrzymywać wiele nacisków z różnych stron. Pierwszy, to jeszcze na Barokowej, gdy przyszedł do mnie na rozmowę ksiądz warszawski, jezuita, kapelan od Radosława i chyba przez niego przysłany. Chodziło o wycofanie Kedywu do Puszczy Kampinoskiej dla ratowania wartościowej młodzieży harcerskiej. Nie mogłem się na to zgodzić. Odmówiłem kategorycznie.

[91] W uzasadnieniu rozkazu stwierdzano: „za znakomitą postawę w najcięższych chwilach walki i wybitną współpracę w dowodzeniu na szczeblu KG w okresie walk w Warszawie" (przyp. Wyd. Pol.).

Zameldowałem o tej rozmowie Grzegorzowi i zażądałem, aby wezwał Radosława i wytłumaczył mu, że nie wolno uciekać nawet z tonącego okrętu.

Później zaczął mnie dręczyć Cozas, aby zmienić miejsce postoju, bo w Sądach sztab nie może spokojnie pracować. Pozwoliłem mu szukać innego lokalu. Przyszedł i zameldował, że znalazł świetną piwnicę, tylko trzeba z niej usunąć kilka rodzin. Kategorycznie odmówiłem i oświadczyłem, że tego nie pozwolę zrobić.

Wreszcie zaczęto mnie naciskać, abym zgodził się na wycofanie sztabu, a z nim i Delegatury ze Starego Miasta do Śródmieścia, zwłaszcza że droga kanałami umożliwiała to przesunięcie. Byłem przeciwny wycofaniu. Zdawałem sobie sprawę, że wycofanie sztabu i Delegatury wywarłoby ujemny wpływ na ducha obrońców. Uważałem, że upadek Starego Miasta, to początek końca Powstania. A przecież, jeżeli zaczęło się walkę, to trzeba dociągnąć ją choć do częściowego zwycięstwa, bo łudziliśmy się, że jednak wojska sowieckie mogą nadejść, zwłaszcza że wiadomości na Starówce były bardzo skąpe i ocenić sytuację było trudno. Już samo to, że walczymy blisko trzy tygodnie i Niemcy nie mogą nas zgnieść, świadczyło o ich słabości i trudnym położeniu. Ja, jako szef operacji KG, najwięcej obawiałem się, aby nie dopuścić do kapitulacji pięć przed dwunastą, jeżeli będzie to konieczne. Z moim zdaniem, teraz podczas walk, liczono się, bo na pewno cieszyłem się największym autorytetem tak wśród personelu sztabu, jak i oddziałów. Bór był ciągle chory i zmaltretowany, leżał nakryty z głową kocem, Grzegorz zgnębiony szukał śmierci i był dość bierny. Ja trzymałem się twardo, nie okazując na zewnątrz tego, co myślałem i czułem. Heller trzymał się, lecz był dość bierny. Kuczaba zdecydowanie smutny i cichy. Nie godziłem się na wycofanie się.

W jednym ważnym momencie nie posłuchano mnie i Bór wydał decyzję wbrew mojej propozycji.

Por. Stanisław Jankowski, ps. „Agaton", przeprowadził z Kampinosu na Żoliborz dość silny, jak na nasze stosunki, oddział partyzantów dobrze uzbrojonych. Powstało zagadnienie użycia tego oddziału. Odbyła się w naszym sztabie odprawa z udziałem Wachnowskiego. Wachnowski wystąpił z propozycją dwustronnego natarcia na Dworzec Gdański w celu uzyskania połączenia z Żoliborzem. Plan śmiały i pozornie słuszny, lecz nie wzięte były możliwości. Ja uważałem, że oddziały z lasu tego zadania nie będą w stanie wykonać. Natarcie w nocy jest zawsze trudne i wymaga dobrze wyszkolonego żołnierza. Teren też nie rokował nadziei na powodzenie, a siła ognia niemieckiego, bez artylerii z naszej strony, nie dopuści do połączenia się. Proponowałem przeprowadzenie kanałami tego oddziału na Starówkę, co wybitnie poprawiłoby stan uzbrojenia, a ludzie podzieleni między zaprawione oddziały obrońców, uzupełniliby straty.

Mój projekt upadł, dzięki poparciu projektu Wachnowskiego przez Grzegorza. Bór, jako człowiek bierny, wolał pójść za głosami dwu przeciw jednemu. Wachnowski teraz zaproponował, aby natarcie z Żoliborza poprowadził któryś z oficerów sztabu ścisłego. Grzegorz oświadczył, że on sam poprowadzi to natarcie i dobrał sobie mjr. dypl. Cozasa z Oddziału III, jako oficera sztabu. Poszli obaj kanałami na Żoliborz. Los natarcia jest znany z różnych opracowań historycznych. Rezultat: strata wielu ludzi, sprzętu i amunicji. Resztki, około 300 ludzi przyprowadzono później kanałami na Starówkę. Po tym nieudanym natarciu zaczęły się już dość gwałtowne naciski na mnie, abym zgodził się na przejście sztabu ścisłego i Delegatury kanałami na Śródmieście. Jakkolwiek decyzja ostateczna nie należała do mnie, gdyż byłem dopiero trzecią osobą po Borze i Grzegorzu, jednakże bez mojej zgody nie decydowano się na wycofanie. Przeważyła szalę moja rozmowa z delegatem Jankowskim. Zwrócił się on do mnie, zresztą bardzo grzecznie, tłumacząc, że jego sprawy polityczne wymagają znalezienia się w Sródmieściu, a nie chce się on rozłączać z Borem. Ten wzgląd przeważył moją decyzję, zwłaszcza że sytuacja obrony Starówki stawała się coraz trudniejsza. Jednakże postawiłem warunek, że najpierw zamknie się kanał, aby sprowadzić amunicję z Żoliborza, a następnie, po spłynięciu wód, Delegatura i sztab przejdą do Śródmieścia. Po tej decyzji już Bór nabrał energii i wyznaczono dzień i godzinę naszego wyjścia.

Wieczorem, gdy zrobiło się zupełnie ciemno i po ustaleniu porządku oraz omówieniu zachowania się w kanałach, wyszliśmy z Sądów. Przy nieustającym grzechocie ognia karabinowego, przeszliśmy do włazu na placu Krasińskich róg Długiej. Wejście na głębokość ponad 4 metrów po klamrach do dość wąskiego włazu nie należało do przyjemnych. W kanale ustawiliśmy się gęsiego, trzymając prawą ręką liny rozciągniętej wzdłuż całej kolumny maszerującej bez światła, bo latarkę miał prawo mieć tylko przewodnik na czole kolumny. Gdy dano znać, że wszyscy weszli do kanału – ruszyliśmy. Rozmawiać nie było wolno. Musieliśmy się posuwać w zupełnej ciszy. Weszliśmy w zaduch i powyżej kostek w jakąś maź. Szliśmy nieco przygarbieni i z pochylonymi głowami. Gdzieś pod ulicą Miodową spadł na nas z jakiegoś miejsca deszcz wody albo nie wody. Pod Krakowskim Przedmieściem usłyszeliśmy nad nami dudnienie czołgów lub jakichś ciężkich wozów. Marsz był powolny i trwał kilka godzin. Gdy już dniało, choć dokładnie nie pamiętam, wyszliśmy z kanału na Nowym Świecie róg Wareckiej. Przeszliśmy od razu do gmachu PKO na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Tu oczekiwano nas i otrzymaliśmy czystą bieliznę i możliwość umycia się.

Uderzyło mnie, że umieszczeni na najwyższym piętrze budynku zastaliśmy wszystkie szyby w oknach. Na Starówce już ich dawno nie było. O którejś

z godzin rannych miała się odbyć odprawa u Bora z udziałem Montera. Chwilowo położyliśmy się spać. Mimo uczucia pewnego bezpieczeństwa nie mogłem zasnąć. Ciągle we mnie nurtowała myśl, że tam w piekle Starówki zostali, już wtedy tak bliscy ludzie, jak Klepaczowie, Hania, Janusz Klepacz, Wachnowski, ojciec Tomasz i chłopcy plutonu 1112, pozostały szpitale pełne rannych.

Nigdy nie zapomnę strasznego widoku szpitala w piwnicach Sądów. Gdy wszedłem do niego, przyprowadzony przez Joannę, poczułem straszny zaduch ropiejących ran. W mroku nielicznych świeczek leżeli ludzie ciężko i lżej ranni, w strasznych warunkach, na słomie, na podłodze w brudzie i z strasznym samopoczuciem bezsiły i beznadziejności. Nieszczęśliwców tych, z których większość poszła walczyć za Polskę, spotkał straszny los. Zostali wymordowani lub spaleni przez Niemców, przez te wściekłe zwierzęta, to bydło pozbawione wszelkiej rycerskości, wobec którego do śmierci będę czuł pogardę i wstręt.

Leżałem na sienniku czy materacu pod oknem, nie śpiąc, gdy zobaczyłem, że przed godziną umówioną przyszedł Monter. Wstałem więc i przeszedłem do pokoju obok, gdzie był Bór i Grzegorz. Ledwie zaczęliśmy rozmowę, podczas której Monter referował położenie, gdy nagle rozległ się charakterystyczny zgrzyt i pocisk „krowy" eksplodował w pobliżu, powodując wypadnięcie wszystkich szyb. Mój siennik, z którego przed chwilą zeszedłem, był dokładnie zasypany szkłem. To nie przerwało naszej rozmowy, podczas której doszliśmy do wniosku, że Starówka już dłużej nie wytrzyma obrony.

Monter, który był dowódcą walczącej Warszawy, a któremu Bór zapewnił samodzielność dowodzenia jeszcze przed rozpoczęciem walki, powziął decyzję dwustronnego natarcia celem ułatwienia przebicia się siłom ze Starówki do Śródmieścia. Nie było właściwie innego wyjścia i trzeba było ryzykować. Monter rozpoczął więc przygotowania do tej akcji.

Ze względu na niemożność urzędowania na wyższych piętrach PKO Grzegorz postanowił przenieść sztab do schronów podziemnych. W tym nowym miejscu postoju byliśmy prawie bezpieczni. Mieszkaliśmy i urzędowaliśmy dwa piętra pod ziemią. Tu przeżyliśmy nieudane przebicie się załogi Starówki i jej późniejsze wycofanie się kanałami. Tu – nieudane natarcie na Uniwersytet.

W tym bezpiecznym miejscu postoju miała miejsce drobna rozgrywka polityczna. Mianowicie, gdzieś na Królewskiej, małego odcinka bronił oddział Korpusu Bezpieczeństwa, który ze względów politycznych nie bardzo przypadał do gustu naszemu dowództwu, tak że ktoś rzucił myśl, aby oddział ten rozbroić. Kategorycznie się temu oparłem, gdyż uważałem, że nie czas jest na rozgrywki polityczne, gdy walka trwa.

Moje stosunki z Grzegorzem uległy pogorszeniu i któregoś dnia wygarnąłem Borowi i Grzegorzowi prawdę w oczy, że interesują się drobiazgami a za mało

myślą o rzeczach najważniejszych. Było to w czasie, gdy pojawił się w Warszawie kapitan sowiecki Kaługin. Kaługin w chytry sposób blagował i łudził Montera obietnicami, co i sztab KG troszeczkę zaczęło sugerować. Już dziś nie pamiętam, o co dokładnie poszło, ale prosiłem Bora, aby przeniósł mnie ze stanowiska w sztabie do linii. Bór nie dał mi odpowiedzi od razu, lecz oznajmił mi, że dostanę odpowiedź na następny dzień. Gdy się zgłosiłem po odpowiedź, oświadczono mi, że po naradzie zdecydowano nie zwalniać mnie ze sztabu i pozostawić na dotychczasowym stanowisku.

W pierwszych dniach września płk. dypl. Rzepecki, ps. „Prezes", szef Biura Informacji i Propagandy, zwrócił się do mnie z prośbą, abym spotkał się z dziennikarzami prasy wychodzącej podczas Powstania w Warszawie i naświetlił im ogólne położenie. Nie należało to do przyjemnych spraw. Nie chciałem mówić nieprawdy, a prawda przedstawiała się raczej tragicznie, zwłaszcza że było to już po opuszczeniu Starego Miasta, Spotkanie odbyło się wieczorem na Marszałkowskiej, w suterynie jakiegoś eleganckiego sklepu. Dziennikarze wyszli z tego spotkania raczej zgnębieni, bo cóż mogłem im powiedzieć? – Tylko cud może nas uratować...

3 września przyszła do sztabu, po wyjściu ze Starówki, Zosia Klepaczowa. Kwaterowała z plutonem 1112 gdzieś na Złotej. Zaprosiła mnie i Joannę na kolację, bo miała coś do jedzenia, a z jedzeniem było już dość słabo. Zwolniłem się na tę jedną noc i poszliśmy. Kolacja jak kolacja, powstańcza. Dobra była. Pogadaliśmy sobie. Wysłuchałem przeżyć Klepaczów i Hani z ostatnich dni Starówki i po krótkim spaniu w dość prymitywnych warunkach, rano wróciliśmy do sztabu w PKO. Gdy dochodziliśmy do PKO, Niemcy rozpoczęli ostrzeliwanie swymi 60 cm moździerzami. Niedaleko nas padł pocisk. Na szczęście nie wybuchł, lecz wstrząs był bardzo silny.

Na pierwszym piętrze w dół, na klatce schodowej, a przy windzie do naszego schronu, rozkwaterował się jakiś odwodowy pluton. Chłopcy byli wspaniali. Weseli i beztrosko ciągle śpiewali. Gdy przechodziłem obok nich, zaczęli się delikatnie przymawiać, że chyba będąc blisko sztabu, powinni dostać jakiegoś wina. Tak szczęśliwie się złożyło, że mieliśmy w naszym schronie kilka butelek, więc dwie lub trzy daliśmy tym wspaniałym chłopcom. Było to ich ostatnie wino.

Po obiedzie przyszedł ppłk. Szczurek, ps. „Sławbor", który był dowódcą odcinka Śródmieście, chyba południe. Tak się złożyło, że tego pamiętnego dnia 4 września, nie było prądu, nie mogliśmy więc słuchać radia i siedzieliśmy przy świeczkach. Była godzina między 18 a 19, sztukasy, czynne w tym dniu, kończyły obrzucanie nas bombami. Nagle podziemiem naszym wstrząsnął szalony wybuch. Świece zgasły, zrobiło się zupełnie ciemno i przez uchylone drzwi

żelazne zaczął wsączać się jakiś zapach. W ciemnościach posłyszałem głos Joanny: „Filip! Filip!”. Po ciemku odnalazłem ją, bo była w innym pomieszczeniu. Zapaliliśmy świece. Porwaliśmy stojącą na stole butelkę wina i zmoczyliśmy chustki do nosa, aby zrobić choć prowizoryczny filtr, bo sądziliśmy, że zapach pochodzi od gazu trującego. Po pierwszym wstrząsie szybko wróciliśmy wszyscy do opamiętania. Ktoś krzyknął, że zna zapasowe wyjście z podziemi, bo schody były zawalone. Wzięliśmy się za ręce i ktoś, prowadząc nas początkowo po gruzach, wyprowadził na podwórze. Okazało się, że ostatnia rzucona w tym dniu bomba 500 kg ze sztukasa, wpadła w otwór od windy i eksplodowała dwa piętra pod ziemią. Zawaliła jedną ścianę wewnętrzną na dole, gniotąc śmiertelnie łączniczkę Bora – Basię, raniąc Kuczabę i Grzegorza. Wesoły pluton zginął w całości. Straty były ogromne. Ponieważ Bora nie było w tym czasie w gmachu PKO, ja jako najstarszy zebrałem sztab i zakwaterowaliśmy się chwilowo przy szpitalu, oczekując na przyjście Bora.

Niebawem nadszedł Bór. Poszliśmy odwiedzić zabranych już do szpitala Grzegorza i Kuczabę. Grzegorz wyglądał zupełnie opłakanie. Był cały zlany krwią, jakkolwiek nie miał ciężkich ran, a raczej był ogólnie podrapany odłamkami drewna. Kuczaba leżał zupełnie złamany, głównie na duchu, choć był też ranny. Biedna Basia zmarła.

Bór wyznaczył mnie na pełniącego obowiązki szefa sztabu. Na wniosek Hellera postanowiliśmy przenieść nasze miejsce postoju na odcinek Śródmieście południe. Jako chwilową kwaterę zaproponował jakiś lokal na Kruczej. W nocy z 4 na 5 września przeszliśmy pod osłoną barykady przez Aleje Jerozolimskie na Kruczą. W ciągu dnia przeszliśmy już na stałą kwaterę do „Pasty” na Piusa (obecnie ul. Piękna). Tu pozostaliśmy do końca powstania.

Zaczął się ciężki okres, jeżeli chodzi o wytrzymałość charakteru. Nie byliśmy wprawdzie tak bardzo narażeni na śmierć, co ma znaczenie i wpływ na samopoczucie, ale ciężkie położenie ogólne wymagało dużo hartu. Ciężkie walki na Powiślu groziły załamaniem się Powstania. Olbrzymie straty i wyczerpanie się amunicji nasuwały myśli, że nie można dłużej prowadzić walki.

Ja osobiście byłem wrogiem przedwczesnej kapitulacji. Bałem się, aby nie zrobić tego o minutę za wcześnie.

Już dziś nie pamiętam daty, ale po upadku Powiśla, przyszedł w nocy Tomir, oficer łącznikowy KG, teraz przy Monterze i zameldował mi, że stan amunicji jest katastrofalny. Tej nocy odebrałem depeszę z Londynu zapowiadającą zrzut amunicji i broni. Nie widziałem innego wyjścia, jak napisać do Montera, aby wydał odezwę obiecującą nadejście amunicji i wezwał do wytrwania za wszelką cenę.

Nie porozumiewałem się wtedy z Borem, a zrobiłem to na własną odpowiedzialność, choć zdawałem sobie sprawę, że taka obietnica niedotrzymana

może załamać ducha obrońców. Na drugi dzień amunicja nie nadeszła, lecz na szczęście Niemcy też nie byli aktywni, natomiast zaczęło się działanie lotnictwa sowieckiego nad Warszawą. Podobno żołnierze mówili, że wprawdzie amunicja nie nadeszła, ale Monter nie oszukał, bo pomoc przyszła od Sowietów.

Grzegorza rannego przeniesiono na Nowogrodzką. Chodziliśmy z Hellerem odwiedzać go i radzić się.

W książce A. Borkiewicza pt. *Powstanie Warszawskie* w części IV *Dogorywanie powstania* na stronach 503–505 Borkiewicz podaje o zerwaniu pertraktacji z Niemcami w dniu 10 września 1944 roku. Celem podania prawdy historycznej, czuję się w obowiązku naświetlić tę sprawę. Sytuacja nasza była beznadziejna, a Bór wyraźnie był zupełnie wyczerpany nerwowo i widać było, że myśl o kapitulacji nurtuje w nim i jest raczej zdecydowany na ten krok. I ja, i Heller widzieliśmy doskonale całą tragedię naszego położenia. Rozumiałem, że to może jest ostatni moment do zaprzestania walki, ale bardzo się bałem, aby to nie nastąpiło za wcześnie. Wyczucie takiego momentu jest niesłychanie trudne, zwłaszcza że nie wierzyłem Niemcom, aby dotrzymali zapewnień uznania nas za kombatantów, bez stwierdzenia tego przez aliantów.

W nocy z 9 na 10 września odebrałem depeszę z Londynu (bo zawsze mnie oddawano tego rodzaju depesze) o mających nastąpić zrzutach amunicji. Obietnica ta spowodowała moją decyzję, aby nie dopuścić do pertraktacji, a trzymać się dalej. Wstałem więc i obudziłem Hellera. Razem poszliśmy do pokoju Bora i obudziliśmy go. Był zaspany i na pół przytomny. Zreferowałem mu sprawę, przy gorącym poparciu Hellera. Zażądaliśmy, aby wstał i natychmiast napisał list do gen. Rohra, zrywający pertraktacje, gdyż rano, na barykadzie, miał być oddany list dopuszczający rokowania. Bór się opierał i nie chciał pisać. Już zacząłem tracić cierpliwość. Powiedziałem mu wtedy, że jeżeli nie zerwie pertraktacji, zhańbi swoje nazwisko i przejdzie do historii jako wódz bez charakteru. Wreszcie to poskutkowało, wstał i napisał list, przytoczony przez Borkiewicza na stronie 506. Borkiewicz tych szczegółów nie znał i o nich nie pisał, co zresztą dobrze się stało, bo nie było potrzeby pomniejszać sławy Bora. Przypuszczam, że Heller w swojej relacji dla Borkiewicza rozmyślnie tego nie podał. Sztab jest zawsze bezimienny, a zasługi spadają na dowódcę.

Od tego dnia moje stosunki z Borem stały się sztywne i nieprzyjazne. Jego nieporadność zaczęła przebierać miarę i nawet zaczęła w ludziach nurtować myśl, czy nie należałoby odebrać mu dowództwa. Byliśmy w tej sprawie z Hellerem u Grzegorza, lecz po naradzie doszliśmy do wniosku, że jednak nie należy do tego dopuścić.

Kiedy zaczęło się natarcie na Pragę i wydawało się, że może nareszcie nadejdzie moment wkroczenia wojsk sowieckich do Warszawy, doszedłem do

wniosku, że wobec choroby Grzegorza, nie można dopuścić, aby Bór sam pertraktował z Sowietami. Postawiłem wniosek Grzegorzowi, aby szefostwo sztabu Armii Krajowej objął Kobra[92].

Do rozmów politycznych ja nie uważałem siebie za kompetentnego i mającego wpływ na Bora, aby mnie usłuchał. Tak się też stało. Kobra zjawił się w sztabie i objął szefostwo sztabu, a ja wróciłem na stanowisko szefa operacji, czy jak kto woli – tylko szefa oddziału.

Jednakże nadzieje na wkroczenie Sowietów rozwiały się. Wtedy Kobra wrócił znów do konspiracji. Po prostu zniknął którejś nocy.

Nareszcie doszła do skutku, zapowiadana od połowy sierpnia, wielka wyprawa twierdz latających, w ilości 100 samolotów, które miały nas zasilić w broń i amunicję. Wyprawa ta okazała się „musztardą po obiedzie". Nasz stan posiadania terenowo tak się skurczył (a wiatr dopomógł), że większość zasobników dostała się w ręce niemieckie.

Obrona nasza dogorywała. W ostatnich dniach września odbyła się odprawa w sztabie dowództwa Armii Krajowej z udziałem delegata Jankowskiego. Referowałem położenie operacyjne i stwierdziłem, że w najbliższym czasie nie można liczyć na rozpoczęcie się ofensywy sowieckiej. Dalsza walka stała się zupełnie beznadziejna. Odbyło się głosowanie, czy kapitulować, czy nie. Wszyscy wypowiedzieli się za kapitulacją, z wyjątkiem Grzegorza. Uważałem jego wypowiedź za fanfaronadę, bo wiedział, że jest przegłosowany, wiedział że walczyć dalej nie możemy, więc chciał w ostatnim słowie pozostać niezłomny. Nic go to nie kosztowało.

Już podczas pertraktacji o zaprzestaniu walki nadeszła depesza z Londynu o mianowaniu Bora Naczelnym Wodzem. Wiedzieliśmy, że gen. Sosnkowski ustąpił z tego stanowiska. Zaniosłem Borowi tę depeszę. Pozornie obruszył się i powiedział, że nie przyjmie tej funkcji. Pozwoliłem sobie wtedy powiedzieć mu, że przyjmie, gdyż mianowanie go ma akcent jedynie polityczny, bo przecież pójdzie do niewoli i funkcji tej pełnić nie będzie. Później nadeszła druga depesza określająca jego uprawnienia. Mówiła ona, że stanowisko to obejmie po wyjściu z niewoli. Sztab nominację tę przyjął bez entuzjazmu, gdyż znaliśmy go najlepiej i wiedzieliśmy, że to tylko jest akt polityczny. Ani wiedza, ani zdolności, ani charakter nie wskazywały, aby tego człowieka wyznaczać na tak wysokie stanowisko państwowe.

Po decyzji o kapitulacji, Bór chciał mnie wyznaczyć, abym pertraktował z Niemcami. Ponieważ zrobił to, jak zawsze, mało zdecydowanie i raczej

[92] W celem uściślenia należy dodać, że po zranieniu gen. Grzegorza – Pełczyńskiego – autor wspomnień pełnił funkcję szefa sztabu KG AK od 4 do 6 września 1944, po czym przekazał ją gen. Kobrze (Okulickiemu) (przyp. Wyd. Pol.).

w formie propozycji – kategorycznie odmówiłem. Początkowe sprawy załatwiał ppłk. dypl. Zygmunt Dobrowolski, oficer III Oddziału i mjr dypl. Franciszek Herman. W umowie tej nie zostało użyte słowo „kapitulacja", a jedynie zaprzestanie walki. Samą umowę o zaprzestaniu walki, z upoważnienia Bora podpisał płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki, ps. „Heller", płk dypl. Zygmunt Dobrowolski, ps. „Zyndram" i por. rez., prawnik Alfred Korczyński, ps. „Sas".

W tym czasie Mokotów, po bardzo ciężkich walkach, padł. Walczył jeszcze beznadziejnie Żoliborz. Trudno mi jest powiedzieć, czy Żoliborz nie wierzył w zawarcie umowy o zaprzestaniu walki, czy dla jakichś innych powodów, ale walczył. Aby uniknąć już zupełnie zbędnego rozlewu krwi, na Żoliborz został wysłany Wachnowski i on doprowadził dopiero do zaprzestania walki.

Według umowy o zaprzestaniu walki, mieliśmy opuścić Warszawę z bronią, a złożyć ją dopiero po wyjściu za barykady.

Wyjście nasze z Warszawy poprzedził cały szereg zarządzeń organizacyjnych i tu już szalał Kortum pod dyrekcją Grzegorza. Ja nic nie miałem do gadania.

Najpierw zaczęła się spiętrzona fala awansów (mnie nie), później nadawanie orderów (na papierze dostałem po raz szósty Krzyż Walecznych – za okres konspiracji). W sztabie spotkałem się od razu z niezadowoleniem. Wszyscy pretendowali do Virtuti Militari, a ja przedstawiłem jedynie Irona, bo on naprawdę zasłużył sobie na to odznaczenie. Był najlepszym oficerem sztabu w oddzia-le III. Najwięcej pretensji do odznaczenia orderem Virtuti Militari miał ppłk dypl. Zygmunt Dobrowolski, ps. „Zyndram". On całe Powstanie nic nie robił i myślał jedynie, aby się ogolić i umyć. Kiedy mu poleciłem prowadzenie dziennika czynności oddziału i od tego się wykręcił i nic nie zrobił. Otrzymał złoty Krzyż Zasługi z mieczami. Bardzo dużo. Drugim z pretensją był Cozas, który zupełnie nie wykazał nawet cienia odwagi. Nie pamiętam, jak został odznaczony Tomir, ale ten dzielny oficer dostał chyba Virtuti Militari. Nasze łączniczki awansowały do stopni „ppor. czasów wojny". Zrobiono przez Londyn paru generałów (Montera jeszcze pod koniec Powstania). Grzegorz zapytał mnie, od kiedy jestem pułkownikiem i stwierdził, że za krótko, aby zostać generałem. Zlekceważyłem to pytanie, bo nie byłem zachłanny na awans.

Według umowy z Niemcami, każdy z generałów mógł zabrać ze sobą jednego oficera, a Bór dwóch. Zwrócił się do mnie Heller, że on chciałby wyjechać z Borem. Zgodziłem się, gdyż nie pretendowałem do tego zaszczytu. Bór więc zabrał Hellera i Agatona.

Nasze wojska powstańcze ujęto w formy regularnego wojska, dzieląc na dywizje, pułki i bataliony. Oczywiście była to organizacja sztuczna – do niewoli,

bo podczas walk były tylko zgrupowania taktyczne i nikt nie bawił się w szumne nazwy.

Po podpisaniu umowy o zaprzestaniu walki nastąpiło pewne odprężenie. Ogień ustał i tłumy ludzi wyległy na ulice. Nawet podczas najtragiczniejszych przeżyć bywają chwile humorystyczne. Wyszedłem na ulicę Kruczą. Wyglądała tragicznie. Jeszcze niecały miesiąc temu, gdy szliśmy do „Pasty", wszystkie domy stały. Teraz były tylko kupy gruzu. Na Kruczej spotkałem Janka Siemiątkowskiego, tego, który proponował mi w Dębowej Górze posadę stangreta w swoim majątku. Byłem w mundurze z odznakami pułkownika. Przywitaliśmy się. Zapytałem go, jak przeżył Powstanie i czy rodzice jego żyją. Jakoś przeżyli. Raptem przypomniałem sobie, jak mama Siemiątkowska ostrzegała panią Ostrowską, że ten Kowalski to sprzedaje owoce przez płot. Na pożegnanie prosiłem, aby pozdrowił rodziców, a mamie zechciał powiedzieć, że jednak Kowalski nie sprzedawał cudzych owoców.

Ostatnim bezcelowym pociągnięciem, zresztą mimo moich sprzeciwów, był rozkaz wydany przez Bora, nakazujący mobilizację sił wszystkich okręgów i marsz na odsiecz Warszawie. Uważałem ten rozkaz za zupełnie niecelowy, gdyż nie mógł on nam już nic pomóc, a narażał na poważne straty.

I tak zakończył się pełen nadludzkich wysiłków ostatni rozdział moich walk o wolność Polski. Rozdział tragiczny, ale jak wspaniały, bo pozwalający własnymi oczami oglądać nadzwyczajnych, godnych uwielbienia ludzi. Dziś jestem dumny, że brałem czynny udział w tym ostatnim zbrojnym zrywie, w odzyskaniu ponownym prawdziwej niepodległości, choć zrywie, który nie dał tego, do czego dążyliśmy, ale zmniejszył zło, które dziś mamy.

Zakończyłem Powstanie z poczuciem, że dałem z siebie wszystko, na co mnie było stać i nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Nie miałem i nie mam żadnego wewnętrznego „kacenjameru".

W moich wspomnieniach z okresu Powstania nie kusiłem się nawet o napisanie jego historii, lecz starałem się jedynie przedstawić to, co przeżyłem, zupełnie wiernie i możliwie obiektywnie.

W niewoli

W myśl umowy o zaprzestaniu walki, mieliśmy opuścić Warszawę w dniach 5 i 6 października 1944 roku.

Dnia 5 października, o godzinie 10. dowódca Armii Krajowej, gen. Bór-Komorowski ze sztabem w składzie: gen. Pełczyński – Grzegorz, płk dypl. Szostak – Filip, płk dypl. Iranek-Osmecki – Heller, ppłk dypl. Dobrowolski – Zyndram,

ppłk dypl. Herman – Nowak, oficer łączności, którego nazwiska nie pamiętam, łączniczki: Anna Kózkowa – Joanna i Wacka (nazwiska nie pamiętam) oraz por. Jankowski – Agaton ze swoim plutonem, stanęliśmy na ulicy Śniadeckich u wylotu na plac przed Politechniką.

Nie poszli do niewoli: ppłk dypl. Majorkiewicz – Iron, jako ranny z niezagojoną raną pięty ze Starówki, mjr dypl. Kamieński – Cozas, który prosił o zezwolenie pozostania w konspiracji. Prócz wymienionych oficerów sztabu ścisłego dołączyli do nas: płk dypl. Rzepecki – Prezes, płk Sanojca – Kortum oraz będący przy sztabie lotnicy: płk Adamecki i mjr rez. Zbrowski. Wreszcie dołączyli również generałowie: Kossakowski, Sawicki i Skroczyński. Za sztabem stanął któryś z pułków.

Na dany znak cała kolumna ruszyła z bronią ulicą 6 Sierpnia do koszar Szkoły Podchorążych Saperów. Tu nastąpił bolesny moment składania broni. W tym czasie gen. Bór i inni generałowie stali obok wraz z zabranymi oficerami, którzy mieli z nimi odejść do obozu. Jedynie Grzegorz podszedł do nas, oficerów sztabu ścisłego i pożegnał się z nami, dziękując za ciężką pracę w sztabie w ciągu dwu miesięcy walk. Do mnie osobiście, po ucałowaniu się, szepnął kilka słów jakby usprawiedliwienia, że czasami był przykry, drobiazgowy. Nie miałem do niego nigdy żalu i uważałem go zawsze za najlepszą głowę w sztabie i chyba w Delegaturze. Może Grzegorz był za bardzo zachłanny na władzę, ale przy takim dowódcy jak Bór, było to usprawiedliwione. Bór natomiast z nikim z nas nie pożegnał się i nie powiedział żadnego dobrego słowa. Może uważał, że jego godność Naczelnego Wodza nie pozwala na taką poufałość. Ci maleńcy ludzikowie, których okoliczności wynoszą zbyt wysoko, jednak myślą, że to ich istotne wartości to sprawiły, bo nie mają na tyle samokrytycyzmu, aby właściwie ocenić okoliczności ich awansu. Sprawa Bora to powtórzenie gen. Józefa Hallera...

Z placu koszarowego generałowie odjechali samochodami, a nas pognano piechotą do Ożarowa. Przed Ożarowem, przy szosie przyglądały się nam tłumy ludzi i słyszeliśmy życzliwe słowa i ciche okrzyki, a nawet rzucano trochę kwiatów. Jedna z niewiast, mimo eskorty niemieckiej, podbiegła i wręczyła jednemu z oficerów bukiet, w którym była zawinięta butelka wódki. W Ożarowie rozlokowano nas w fabryce. W halach było zimno, no i głodno, ale przespaliśmy, bez alarmów, do rana.

Rano, dnia 6 października, podstawiono na bocznicę do fabryki pociąg towarowy, do którego miał być załadowany oddział Pawła. O naszym sztabie na razie nie było mowy, może nawet Niemcy nie zdawali sobie sprawy, że w tej grupie powstańców znajduje się sztab dowództwa Armii Krajowej. Rano przybiegł do mnie Munio Dobrowolski z propozycją, aby sztab jechał pierwszym

transportem. Właściwie było mi obojętne, czy siedzieć w halach fabrycznych, czy jechać w nieznane. I ten właśnie moment zadecydował o całym moim przyszłym życiu. Mogliśmy jechać zaraz lub później. Nie było żadnych danych do rozumowania. Przeznaczenie. Pojechaliśmy.

Wtłoczono nas do wagonu towarowego, bez okna i bez możliwości załatwienia potrzeb naturalnych. Jechaliśmy w ciemnościach i zaduchu. Nasi chłopcy nie byli znów tacy niezaradni, aby sobie coś nie wykombinować. Wycięli nożem dziurę w podłodze wagonu i przynajmniej sprawa załatwiania się została rozwiązana. Po wielu godzinach męczącej jazdy, chyba na chwilę otworzono wagon. Łyknęliśmy odrobinę świeżego powietrza. Byliśmy w Opolu. Gdy transport ruszył, usłyszeliśmy wybuchy bombardowania. W stosunkowo niedługim czasie pociąg zatrzymał się, wagony otworzono. Ujrzeliśmy napis na stacji: „Lamsdorf" (obecnie Łambinowice). Wpadli do wagonów żołnierze niemieccy z szalonym wrzaskiem, aby natychmiast wysiadać. Jakiś szwab pchnął mnie. Krzyknąłem do niego: „Ich bin Oberst", na co szwab wrzasnął: „Banditenoberst" i chciał mnie uderzyć, lecz zasłonił mnie jakiś młody powstaniec. Wyskakiwaliśmy z wagonów i ustawiano nas w długą kolumnę. Wreszcie ruszyliśmy szybkim krokiem. Byliśmy wszyscy szalenie wyczerpani i taki szybki marsz przerastał nasze możliwości. Nadszedł moment, kiedy wyczerpany zupełnie z sił, rzuciłem koc. Zobaczył to Niemiec, kazał mi wrócić, zabrać koc, dogonić kolumnę i wejść na swoje miejsce. Nie wiem, jak mi się to udało zrobić, bo konałem ze zmęczenia. Wreszcie, po długim krążeniu, chyba wokół obozu, pozwolono nam usiąść na ziemi.

Przed wejściem do obozu mieliśmy choć tę satysfakcję, że na naszych oczach zderzyły się w powietrzu dwa samoloty niemieckie i oba płonąc spadły. Uważaliśmy to za dobry znak.

Wreszcie wprowadzono nas do obozu. Jeść nic nie dano. Na noc oddzielono oficerów i umieszczono nas w jakimś dziurawym baraku, w najgorszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Po koszmarnie przespanej nocy, wypędzono nas na plac i kazano przygotować się do rewizji. Podoficerowie niemieccy wrzeszczeli i odnosili się do nas najordynarniej. Niedługo to jednak trwało, gdyż przyszedł na plac jakiś major, zawołał podoficerów, coś im powiedział i zachowanie tych zwierzaków od razu się zmieniło. To była nasza korzyść z dyscypliny niemieckiej.

Miałem na sobie bardzo dobre trzewiki żołnierskie, holenderskie, które kupiłem kiedyś na Bielanach od Niemca za 100 złotych. W plecaku zaś miałem eleganckie półbuciki żółte od Leszczyńskiego. Nie wiem dlaczego wydało mi się, że trzewiki mogą mi odebrać i zostanę boso. Zdjąłem więc je i oddałem jakiemuś powstańcowi, który był bardzo oberwany. Pod wyściółką lewego trzewika

było schowane 10 dolarów, powiedziałem więc powstańcowi, aby przeszukał dobrze buty. Sam włożyłem moje eleganckie półbuciki, które nie były zbyt wygodne, zwłaszcza do marszu.

Na drugi dzień po naszym przybyciu do Lamsdorfu przywieźli transport naszych niewiast. Prócz niewiast znalazło się w obozie około 100 małoletnich chłopców, też powstańców. Z tymi andrusiakami warszawskimi Niemcy nie mogli sobie absolutnie poradzić, zwłaszcza ich policzyć. Wreszcie polecili jakiemuś naszemu kapitanowi, aby ich policzył i jako tako poskromił.

Tu, w obozie, zobaczyłem co znaczy głód.

Po paru dniach rozpoczęło się ewidencjonowanie nas, fotografowanie i wydawanie tabliczek metalowych. Na pierwszy ogień do fotografii poszedłem ja z Rzepeckim. Otrzymałem numer jeniecki 101 402. Po około 10 dniach oświadczono, że zostanie wybranych 100 oficerów sztabowych i wyjedziemy do innego obozu, gdyż Lamsdorf był obozem przejściowym. Mimo tego widziałem w nim moc jeńców sowieckich. Okropne wrażenie robili jeńcy gruźlicy. Młodzi chłopcy wymizerowani do ostatnich granic.

Zapowiedziane wywiezienie oficerów sztabowych nie było plotką. Wybrano 96 starszych panów i – aby był równy rachunek – dodano 4 poruczników. Poszliśmy pieszo na stację. Tu transport wyglądał zupełnie inaczej. Popakowano nas po 20 do towarowego wagonu, lecz my zajmowaliśmy tylko jedną połowę, bez drzwi, która była odgrodzona od reszty wagonu ramą przeplecioną drutem kolczastym. Na podłodze było położone trochę słomy i był wstawiony kibel. Nam odebrano szelki i paski od spodni i buty. Drugą część wagonu zajmowała eskorta, złożona z podoficera i 6–8 żołnierzy. Ciasno było dostatecznie, ale ponieważ eskorta trzymała drzwi otwarte, przynajmniej widzieliśmy dokąd jedziemy. Przed wyjazdem wszedł do wagonu generał niemiecki, stary i siwy. Wygłosił do nas krótkie przemówienie, w którym powiedział, że przykro mu jest ze względu na warunki, w jakich musi nas przewozić, ale taki ma rozkaz. Na pocieszenie powiedział nam, że angielskich oficerów przewożą ze związanymi rękami. Obiecywał, że w nowym obozie będziemy mogli pisać listy. Zupełnie niepotrzebnie wyrwał się ppłk Paweł z powiedzeniem, że przecież te represje są zupełnie niepotrzebne, bo nikt z nas nie ucieknie z transportu. Na to Niemiec odpalił, że każdy jeniec ma prawo do ucieczki.

Transport ruszył. Jak długo jechaliśmy, już dziś nie pamiętam. Jechaliśmy na północ. Widok pól pozwolił na stwierdzenie, że mężczyzn w Niemczech musi już brakować, bo na polach były prawie same kobiety. Wreszcie minęliśmy Poznań. Wielu oficerów zaczęło zgadywać, dokąd jedziemy. Jedni twierdzili, że do Woldenberga, inni, że do Grosborn. Przybyliśmy do Woldenberga (obecnie Dobiegniewo).

Teraz dopiero zaczęły się różne komedie z kąpaniem, rewidowaniem nas, łącznie z zaglądaniem w pupę, zabieraniem naszych cywilnych ubrań itp. Wydano nam jakieś straszne, stare, belgijskie i francuskie mundury. Wyglądaliśmy opłakanie. Przez druty patrzyły na nas tysiące oficerów, naszych kolegów, którzy siedzieli w obozie od 1939 roku. Po zapisaniu depozytów i po przemundurowaniu nas, zostaliśmy przeprowadzeni do baraku izolacyjnego, który stanowił połowę baraku izby chorych i oddzielony był cienką ścianką drewnianą. Po przejściu do tego baraku, choć nie byłem najstarszym pułkownikiem, na wniosek płk. Rzepeckiego, zostałem wybrany komendantem baraku. Przeprowadziłem szybko organizację i zaprowadziłem pewną dyscyplinę wojskową, bo byliśmy przecież w obozie dla regularnego wojska.

W bardzo szybkim czasie została nawiązana łączność z kolegami dawno siedzącymi. Jeszcze tego samego dnia zgłosił się do nas, przez ścianę w umywalni, ppłk dypl. Brajczewski, który był szefem sztabu konspiracyjnej organizacji obozowej. Napisałem więc natychmiast meldunek o naszym przybyciu do konspiracyjnego komendanta gen. bryg. Chmurowicza i podałem go przez dużą dziurę nad rurą łączącą naszą umywalnię z umywalnią izby chorych. Dziura była na tyle duża, że przez nią podano mi termos z kawą neską i dość dużo papierosów amerykańskich. Kawę przysłał mi ppor. 9 pułku ułanów Neuman.

Wkrótce, przez ścianę od izby chorych, zaczęły się rozmowy. Koledzy z obozu dopytywali się o swe rodziny pozostawione w Warszawie.

Trzeba przyznać, że koledzy obozowi ustosunkowali się do nas początkowo bardzo życzliwie. Kwatermistrzostwo obozowe starało się dawać nam zwiększone porcje żywnościowe i możliwie zaopatrywać nas w papierosy z paczek Czerwonego Krzyża. Byliśmy, po Powstaniu, wszyscy bardzo wygłodzeni i wyczerpani.

Stosunki w baraku zaczęły się układać możliwie, jakkolwiek dyscyplina początkowo bardzo szwankowała. Wśród nas było stosunkowo dużo oficerów rezerwy, starszych wiekiem, którzy niekoniecznie lubili pewien rygor. Mieszkanie 100 ludzi w jednym, dość ciasnym baraku, z dwupiętrowymi pryczami, nie jest łatwe, o ile nie stworzy się jakiegoś regulaminu, strawnego dla wszystkich. Przy tym musieliśmy zachować pewną postawę wojskową, tak ze względu na naszych kolegów, jak i Niemców, którzy w duchu mieli nas za bandę. Na wniosek księdza kapelana powstańczego – rano i wieczorem odmawialiśmy wspólnie modlitwę stając w dwuszeregu. Pod koniec naszego pobytu w obozie ten ładny zwyczaj upadł, na wniosek paru wygodnickich, których stawanie dwa razy w ciągu doby na zbiórkę zbyt męczyło. Zresztą ja już wtedy zrzekłem się funkcji komendanta baraku, a na moje miejsce został bardziej łagodny i bardziej ustępliwy płk dypl. Frączek.

W okresie mego, prawie trzymiesięcznego, rządzenia barakiem miałem możność poznać ludzi i wiele spraw zewnętrznych, jak niesnasek wewnętrznych, łagodzić i załatwiać.

W listopadzie przeniesiono nas na teren obozu, bo izolacja sanitarna została zakończona, a polityczna widocznie została przez władze obozowe uznana za zbędną. Początkowo mieliśmy być rozdzieleni między różne baraki, lecz w końcu przeniesiono nas razem do jednego baraku, o ile pamiętam nr 1a lub 1b. Było nas 100, a normalnie Niemcy pakowali do takiego baraku 140 ludzi, a więc mieliśmy trochę luźniej. Zaczęliśmy dostosowywać nasze życie do życia całego obozu. W któryś z pierwszych dni naszego pobytu w nowym baraku przyszedł ppłk Brajczewski i oznajmił mnie i Rzepeckiemu, że pod pozorem pójścia do izby chorych mamy zameldować się u gen. Chmurowicza, który kwaterował w oddzielnym pokoiku przy izbie chorych.

Ja osobiście znałem generała z okresu mego stażu w 14. pułku artylerii lotniczej 1931 roku. Wtedy był on pułkownikiem i dowódcą poznańskiej grupy artylerii. Generał przyjął nas nadęty i pełen godności. Prawie zupełnie nie interesował się krajem pod okupacją ani Powstaniem. Mówił tylko o sobie. Ta audiencja nic nie dała obu stronom, a mnie pozwoliła tylko ocenić umysłowość i charakter tego bardzo przeciętnego człowieka. Gdzie mu tam do Kutrzeby, Wieniawy czy Stachiewicza!

Teraz mieliśmy swobodę komunikowania się z kolegami z obozu. Najpierw zgłosili się u mnie oficerowie 13 pułku ułanów, gdyż w konspiracji w Warszawie był tylko adiutant pułku, rtm. Jan Tarnowski, awansowany w Armii Krajowej na podpułkownika, a dowódca obwodu Wola (ranny w powstaniu) i por. Sołtan, który jednak wiódł żywot dość cichy i spokojny. W obozie spotkałem kilku oficerów zawodowych i rezerwy mego pułku, z których kilku brało udział w wojnie z pułkiem, inni, odkomenderowani, w innych jednostkach.

Na 10 grudnia zostałem zaproszony na święto pułkowe szwoleżerów i tu znów spotkałem kilku starych kolegów.

Tu też był mój przyjaciel i kolega z Wyższej Szkoły Wojennej, major dypl. Jan Jastrzębski. Całe dnie spędzaliśmy na rozmowach i opowiadaniach o swoich przeżyciach w ciągu ostatnich 5 lat. Trudno było rozmawiać w cztery oczy, gdyż baraki były przeładowane i znaleźć miejsce, gdzie by nikt nie siedział było niemożliwością, a na spacerach, kiedy sześć tysięcy ludzi chodzi, też zawsze ktoś szedł za rozmawiającymi lub ich mijał i szedł stosunkowo blisko z przodu. To przebywanie wiecznie w towarzystwie, bez możliwości chwili samotności, było bardzo męczące. Bardzo smutne wrażenie robili oficerowie przebywający 5 lat za drutami obozu. My z konspiracji, którzy przeszliśmy na pewno straszne okresy okupacji i walki Powstania, gdzie byliśmy przez 5 lat

narażeni na śmierć i tortury, byliśmy silniejsi duchem, niż ci którzy zaznali spokoju, choć za drutami.

Kiedyś Janek Jastrzębski zadał mi takie pytanie: „Powiedz szczerze, czy my tu jesteśmy normalnymi ludźmi, czy może tylko nie widzimy naszego wariactwa?". Pocieszyłem go, że jest zupełnie normalny, a co do innych to miałem pewne wątpliwości. Robili na mnie wrażenie ludzi, których zamknięto przed 5 laty w puszkę od konserw i którzy myślą, że przez 5 lat nic się na świecie nie zmieniło. Wielu miało sposób rozumowania po prostu śmieszny. Jakieś urojone teorie niemające nic wspólnego z rzeczywistością.

Obóz w Woldenbergu był nawet bardzo dobrze zorganizowany przez naszych oficerów. Życie kulturalne rozwijało się w miarę możliwości. Był teatr. Zorganizowano dla nas powstańców specjalne przedstawienie sztuki Bernarda Shaw, *Żołnierz i Bohater*. Wszystkie role były obsadzone tylko oficerami, kobiece też. Reżyseria, gra, kostiumy i dekoracje, nie wiem jakim sposobem, były na wysokim poziomie. Kiedy w 1947 roku byłem w Łodzi na tej sztuce w prawdziwym teatrze, wydało mi się, że chyba w Woldenbergu była ona lepiej wystawiona. Trochę mi było głupio, gdy po przedstawieniu wszyscy oficerowie–aktorzy ustawili się w jeden szereg przed sceną w kostiumach, w których grali i reżyser przedstawił mi ich. Damy trzaskały obcasami, bo byli to młodzi podporucznicy. Był również wspaniały teatr kukiełkowy. Przedstawienie, które powstańcom pokazano, nosiło tytuł *Walczyk Warszawy*. Walca skomponował por. 9 pułku ułanów, Rzewuski. Walc jest piękny i można go i teraz posłyszeć czasem przez radio. Przedstawienie było śliczne. Akcja rozgrywała się w Łazienkach. Nigdy w życiu nie widziałem tak uroczego przedstawienia kukiełkowego. Były też zorganizowane dwa chóry i orkiestra. Grał również czasami na skrzypcach i akordeonie Gajdeczka z jakimś drugim świetnym muzykiem. To były prawdziwe uczty dla melomanów, bo grali ślicznie. Duszą przedstawień rewiowych byli Kazimierz Rudzki, świetny aktor, oraz ppor. 9 pułku ułanów Neuman. Jednak w każdej piosence rewiowej śpiewanej w Woldenbergu, choć pozornie była ona wesoła, przebijała nuta tęsknoty do wolności.

Prowadzono również kursy języków obcych oraz różne wykłady z rozmaitych dziedzin. Ponieważ w Woldenbergu było około 500 szeregowych polskich, jako siła robocza, wszyscy oni pokończyli szkoły podstawowe, a nawet niektórzy porobili matury.

Słyszałem, że gdy przyjechała do Woldenberga jakaś Komisja Czerwonego Krzyża, to była zachwycona organizacją wewnętrzną obozu.

Były również zorganizowane koła według rodzajów broni i pułkowe.

Życie gospodarcze było też dobrze zorganizowane. Istniała giełda, która co tydzień ogłaszała ceny artykułów otrzymywanych z paczek Czerwonego

Krzyża. Walutą obiegową były papierosy amerykańskie lub angielskie. Nie mogło więc być żadnego wyzysku. Istniały różne prywatne warsztaty, np. krawiecki, czapniczy, wyroby z blachy, jak orzełki, gwiazdki itp. Teoretycznie dostawaliśmy gaże według stopni, lecz gotówkę mieliśmy zapisywaną na naszych kontach. Odebrać gotówki nie było można, ale przepisać ze swego konta na konto kolegi było wolno. W ten sposób moja cała gotówka została przepisana na konto jakiegoś majora z 4 pułku ułanów, którego żona mieszkała w Łodzi. Z konta jenieckiego wolno było przesłać pieniądze tylko do „Reichu", a więc do Łodzi też.

Raz na tydzień dostawaliśmy pięciokilogramową paczkę żywnościową z Czerwonego Krzyża na czterech, którą dzieliliśmy według własnego porozumienia. Przychodziły też do niektórych kolegów paczki żywnościowe z kraju. Ja dostałem raz taką paczkę i jedną ze Szwecji. Osobiście nic sobie nie gotowałem, gdyż nawet nie miałem z czego, ale wielu oficerów przygotowywało sobie jedzenie. W umywalni kilku speców zbudowało wspaniałą kuchnię z blachy z puszek od konserw i gliny. Kuchnia taka była w kształcie koła i miała kilka palenisk. Pozwalało to na gotowanie jednoczesne kilku osobom. Paleniska były tak urządzone, aby zużywać możliwie najmniejszą ilość opału. Paliło się drzewem drobno porąbanym, a kupowanym od szeregowych, którzy chodzili rąbać drzewo do kuchni obozowej i podkradali je. Palono również papierami z opakowań paczek Czerwonego Krzyża. Przy kuchni był idealny porządek, bo był zrobiony minutowy rozkład używalności palenisk. Za każdym paleniskiem stała kolejka i patrzyła na zegarek, aby ktoś zbyt długo nie zajmował paleniska. Dla lepszego wykorzystania opału, niektórzy oficerowie porobili sobie z blachy wiatraczki, które kręcone ręcznie działały jak miech w kuźni.

W naszym powstańczym baraku uprzyjemniali nam życie starzy jeńcy. Przychodził Gajdeczka – grać. Rudzki z Neumanem zabawiali nas świetnie monologami, przychodziły chóry i orkiestra, a czasem wieczorem przychodził Wojciech Trojanowski. Po zgaszeniu światła, Trojanowski ryzykując pakę za przebywanie w cudzym baraku po capstrzyku, opowiadał o różnych zawodach sportowych i o olimpiadzie. Mówił tak pięknie i tak obrazowo, że w ciemnościach widziało się zieleń boisk i zawodników.

Życie płynęło spokojnie i regularnie. Dwa razy dziennie apel, który zmuszał mnie do meldowania kapitanowi niemieckiemu stanu obecnych. Raz kiedyś, według zdania Niemca, za mało było na apelu, a za dużo pozostało w baraku. Niemiec, zresztą stary mieszkaniec Lwowa i znający język polski, pozwolił sobie na powiedzenie, że my to nie jesteśmy wojskiem. Na co mu z punktu odpowiedziałem, że wojsko to jest to, co się bije, a nie pilnuje jeńców. Niemczura ani się nie odezwał. Spokój zakłócały co pewien czas rewizje w barakach, przy

których musiałem asystować, jako komendant baraku, bo wszystkich trzymano wtedy na dworze. Przy tych rewizjach Niemcy kradli z reguły papierosy i czekoladę.

Zapomniałem zanotować jeden fakt, który miał miejsce jeszcze, gdy byliśmy w baraku izolacyjnym. Komendant obozu, zatwierdzony przez Niemców, pułkownik Młodzianowski, postarał się, aby mu pozwolono rozmówić się ze mną, jako komendantem baraku. Przyprowadzono go do drutów i wywołano mnie. Z płk. Młodzianowskim przyszedł Niemiec, podobno adwokat z Łodzi, który od razu wyjął notes i ołówek, aby notować jakieś ciekawe powiedzenia. Po przedstawieniu się sobie i powitaniu, pułkownik zapytał mnie, jak się czujemy? My, powstańcy byliśmy zupełnie inaczej nastawieni do Niemców niż starzy jeńcy. Oni byli raczej w nastroju beznadziejności i wiary w potęgę Niemiec, gdy my widzieliśmy zbliżający się ich upadek i uważaliśmy ich już za dogorywających. Może dlatego odpowiedziałem płk. Młodzianowskiemu, że fizycznie jesteśmy trochę wymęczeni dwumiesięczną walką i głodowaniem, ale moralnie czujemy się dobrze, a ja osobiście wierzę, że na Boże Narodzenie będziemy wszyscy na wolności. Płk Młodzianowski przeraził się nieco mojego powiedzenia i wziął to pewno za fanfaronadę, a ja przecież omyliłem się tylko o jeden miesiąc. Ale o tym później.

Zawdzięczając kolegom obozowym, przynajmniej znaczna część nas została przemundurowana w amerykańskie i angielskie sorty mundurowe. Ja zostałem dobrze wyekwipowany, a nawet mundur mi nieco dopasowano. Odznaki zdobył mój opiekun obozowy, por. rez. 13. pułku ułanów, Jan Essel (na wolności okazał się świnią, zapisał się do partii i udawał, że mnie nie widzi). Faktycznie, opiekował się mną w obozie jak niańka, lecz robił to nie tylko z wrodzonej służalczości, lecz i dlatego, że posądzano go w obozie o kombinacje z Niemcami, więc aby poprawić sobie reputację wśród starszych jeńców, trzymał się swego dowódcy pułku. Nie wiem, czy posądzenie miało istotne podstawy, ale wiem, że dbał o moje potrzeby z całym oddaniem. Właśnie Essel zajął się zorganizowaniem Wigilii w obozie dla mnie i kilku kolegów. Zaprowadził w ciągu grudnia oszczędności i na Wigilię mogliśmy najeść się do syta.

Kiedy zaczęły się mrozy, życie stało się ciężkie. Rano pobudka około 7. W baraku, murowanym na jedną cegłę, było bardzo zimno. Na wewnątrz ścian był stale lód. Przy najlepszym napaleniu w dwóch piecach, co odbywało się niecodziennie, temperatura wynosiła plus 4 stopnie Celsjusza. Cały dzień chodziliśmy w płaszczach, w czapkach i drewnianych trepach oraz w futerałach sukiennych na nogach, uszytych ze starych sortów mundurowych. Mimo to mieliśmy po pewnym czasie popuchnięte ręce i nogi. Lekarz nazywał to chorobą piwniczną. Do spania zdejmowaliśmy tylko mundury i buty, kładąc wszystko

co możliwe pod piżamę. Mieliśmy wszyscy poprzeziębiane pęcherze i całą noc było słychać klekotanie drewniaków na ceglanej podłodze ludzi idących i wracających z ustępu. Po pobudce codziennie goliłem się, patrząc w malutkie lusterko oparte na oknie, bo już robiło się szaro. W umywalni był mróz. Po rozpoczęciu mycia się powstawał gęsty opar z wody parującej z ciał. Było ciemno, jak gdyby człowiek wszedł w mleko. Apel poranny, bez względu na pogodę, odbywał się na placu. Stawał cały obóz, ustawiając się barakami. Każdy barak w kolumnie po dziesięciu. Raport odbierał kapitan. Ja osobiście zawsze składałem raport po polsku, a jeden z poruczników tłumaczył na niemiecki, mimo że kapitan rozumiał świetnie po polsku. Robiliśmy sobie obaj na złość. Po apelu, o ile nie było rewizji, wszyscy wracali do baraków i piliśmy śniadanie. Nietęgie ono było, bo złożone z kawy – lury i minimalnej ilości chleba. Dodatkiem do chleba z paczek Czerwonego Krzyża były margaryna lub dżem, prawie zawsze było trochę cukru i mleko w proszku do kawy. Obiady były wodniste i podłe, a na kolację znów kawa lub mięta z chlebem. Choć wyżywienie było marne, to jednak lepsze niż to, jakie miałem w Szczypiornie w 1917 roku. Ratowały nas głównie paczki.

Przeszedł okres świąteczny. W styczniu zaczęła się bieda. Paczki nie doszły i z papierosami było coraz trudniej. Ale wiadomości z frontu były coraz lepsze. Niemcy dostawali lanie. Wieczorem, po zgaszeniu światła, jeden z kolegów podawał komunikaty. W obozie było zakonspirowane radio. Jak je sprowadzono i zainstalowano, tego nie wiem, ale było i działało. W naszym baraku Rzepecki zorganizował rozmowy na tematy polityczne i aktualne. Brało w nich udział kilku starszych oficerów. Dziś już nie pamiętam, ale na pewno Sanojca, Niepokólczycki, Adamecki, Herman, Dobrowolski i ja. W styczniu zaczęły się zarysowywać pewne różnice poglądów. Rzepecki i Sanojca byli zwolennikami dalszego prowadzenia prac konspiracyjnych, jak mówili, na terenach okupowanych przez Niemców. Ja osobiście byłem zdania, że Armia Krajowa, co miała zrobić to zrobiła. Końcową fazą było Powstanie Warszawskie. Więcej nic nie da się zrobić w obecnym położeniu. Rząd lubelski, oparty o sowieckie bagnety, jest w obecnych warunkach, nie do obalenia i nie widziałem żadnej możliwości i celu dla dalszej konspiracji. Uważałem, że zrobiliśmy co było można i chwilowo przegraliśmy. Teraz odpływamy w cień i czekamy, co będzie dalej. Herman i jego koledzy z rocznika Wyższej Szkoły Wojennej, jak Kuropieska i inni, których w obozie nazywano „grupą kapitanów komunizujących", uważali, że należy iść na pełną współpracę z nowym reżimem. Nie przekonali mnie. Moje zapatrywania nie godziły się ani z Rzepeckim, ani z Hermanem. A wśród starych jeńców tłukły się zupełnie nierealne marzenia i przewidywania przyszłości. Wydawało się im, że przy poparciu państw zachodnich, Polska będzie

powiększona na zachód, a nie zmniejszona na wschodzie. Jednym słowem, prawie od morza do morza. Już porozdzielali między siebie teki ministerialne, stanowiska wojewodów, starostów itp., a zawodowi oficerowie dzielili korpusy, dywizje, brygady i pułki. Ja śmiałem się z tego i kiedyś żartem powiedziałem, że Woldenberg tak obsadził wszystkie stanowiska państwowe, że już tylko brakuje aby gen. Chmurowicza zrobić królem.

Jakiś typ (...) doniósł o moim powiedzeniu Chmurowiczowi. Ten mało inteligentny człowiek i bez poczucia humoru, zawezwał mnie do siebie i zapytał z nadętą miną, czy to prawda, że pozwalam sobie żartować z niego? Ponieważ nigdy mi nie brakowało cywilnej odwagi, powiedziałem więc śmiało: „Owszem, proponowałem pana generała na stanowisko króla polskiego, gdyż wszystkie wysokie stanowiska zostały już przez woldenberczyków rozdzielone. Myślę, że to panu nie ubliża, zwłaszcza że nawet prawdziwy król angielski za taki żart nie obraziłby się". Chmurowicz trochę się speszył i na tym skończyło się.

A Niemcy ciągle byli już bici. Nawet wachmani zaczęli pokornieć, bo czuć było w powietrzu zbliżającą się klęskę. Z obozu widać było szosę, prowadzącą na Zachód, po której ciągnęły olbrzymie kolumny wozów, zaprzęgniętych w ciężkie konie i przykrytych budami z brezentu. To Niemcy z Prus Wschodnich uciekali na zachód.

Któregoś dnia, w drugiej połowie stycznia 1945 roku, podczas spaceru, zawezwał mnie i Rzepeckiego gen. Chmurowicz. Zapytał nas, co myślimy o obecnej sytuacji na froncie? Wiedzieliśmy niewiele, bo tylko z komunikatów niemieckich i minimalnie z nasłuchu radia BBC. W każdym razie wiedziałem, że przygotowana niemiecka linia obronna na Bzurze, Rawce i dalej, jest przerwana. Można było liczyć, że ofensywa sowiecka, po przekroczeniu Wisły, nabrała rozpędu i Niemcy cofają się szybko. Moim zdaniem więc, trzeba się liczyć w niedługim czasie z nadejściem wojsk sowieckich do Odry.

– A co będzie z obozem? – zapytał generał.

– Myślę, że będziemy ewakuowani, o ile nie będzie zaskoczenia i zdążą.

– No, tak – powiedział generał – Niemcy trzymają stale w Woldenbergu na stacji specjalne wagony do ewakuacji nas.

Z tego powiedzenia roześmiałem się i zapytałem:

– Czy pan generał widzi te kolumny wozów i Niemców uciekających końmi? A my, jeńcy pojedziemy koleją i może osobowymi wagonami? Nie wierzę w to. Jeżeli dojdzie do ewakuacji, pójdziemy pieszo.

Generał nie wierzył. Uważał, że absolutnie nie mamy racji. O ile pamiętam, Rzepecki zgodził się ze mną.

Wreszcie, około 20 stycznia, usłyszeliśmy bardzo dalekie odgłosy ognia artylerii. Nadzieja na szybkie już zmiany wyraźnie zaczęła świtać. Zbliżało się

nieznane. Na pewno zaczynało się coś dziać. 24 stycznia ogłoszono nam, że przez całą noc będzie zapalone światło w barakach i na 25., godzina 7. rano, mamy być gotowi do wymarszu. Zapanowała ogólna radość, Wszyscy, z wyjątkiem ciężko chorych, musieli wyjść. Zaczęliśmy się szykować. Ja, jako człowiek praktyczny, postanowiłem uszyć sobie coś w rodzaju plecaka i wziąć minimalną ilość rzeczy, wszystko co miałem do jedzenia i dwa koce. Resztę rzeczy rozdałem. Zupełnie inaczej zrobili starzy jeńcy, którzy przez 5 lat nagromadzili masę różnego dobra i z niczym nie chcieli się rozstać. Połamane zostały więc prycze i różne stołki, z których robiono sanki, bo był duży śnieg. Sanki i toboły starych jeńców były przeważnie olbrzymich rozmiarów. Trudno było sobie wyobrazić, aby z takim bagażem, ludzie bądź co bądź osłabieni i bez treningu marszowego, mogli dłużej maszerować pieszo. Ale żadne rady nie skutkowały na chomików. Pozabierali nawet wiatraczki do kuchenek obozowych. O godzinie 7. rano, według zapowiedzi, zaczęto robić zbiórki. Ustawiali nas nieporadni Niemcy, liczyli i znów odsyłali do baraków. Widać było, że szybko organizować się nie umieją. Bałagan był nieprawdopodobny. Wreszcie, około godziny 11., wyszliśmy dziesiątkami, skrupulatnie liczeni i obstawieni wachmanami, aby wyciągnąć się w nieskończenie długą kolumnnę dwójkami.

Szliśmy bocznymi drogami, po głębokim śniegu, niesłychanie wolno i ciągle zatrzymując się. Trasa nasza zaczęła znaczyć się nie tylko wydeptanym śniegiem, lecz coraz większą ilością różnego dobra rzucanego przez zmęczonych jeńców. Na każdym krótkim odpoczynku następowało przepakowanie rzeczy i wyrzucanie zbędnych. Mówiłem niejednokrotnie kolegom, po co się męczą. Jeżeli nawet dwa dni wytrzymają dźwiganie takich ciężarów, to na pewno trzeciego dnia rzucą trzy czwarte rzeczy, a dwudniowego zmęczenia i wyczerpania sił nikt im nie zwróci. Jedzenia żadnego nam nie dawano, a więc póki mieliśmy co jeść z własnych zapasów – jedliśmy. Ale przez ostatnie dwa czy trzy tygodnie nie dostawaliśmy paczek z Czerwonego Krzyża, a więc zapasy były minimalne. Papierosów też nie było, bo ostatni transport angielskich papierosów Niemcy ukradli. Jeden rezerwista, Ślązak, miał zapas papierosów w ilości kilku tysięcy, lecz nikomu nie chciał nic dać, bo twierdził, że sprzeda je i będzie to jego start życiowy po wyjściu z niewoli. Okazał się skończoną świnią, bo gdy doszedł do wniosku, że brak mu sił, aby wieźć swój skarb dalej, utopił papierosy w rzece, a nikomu nie dał ani jednego! Tak przynajmniej o nim mówiono.

Na pierwszy postój, po przejściu około 10 kilometrów, wieczorem, stanęliśmy w jakimś majątku ogrodzonym wysokim murem i obstawionym posterunkami. Pozajmowaliśmy zabudowania gospodarcze, tj. stodoły, stajnie i obory. Jeden z kapitanów, spośród starych jeńców, ciężko rozchorował się. Niemcy nie pozwolili go wnieść do domu mieszkalnego. Umarł tej nocy.

Ogień artyleryjski słychać było coraz wyraźniej. Na jakimś krótkim postoju rozmawiałem z gen. Chmurowiczem. Źle znosił marsz. Zrobiłem uwagę, że chyba nie zdążą wyprowadzić nas za Odrę i trzeba się liczyć z możliwością dogonienia nas przez Sowiety. Generał przeraził się mego przypuszczenia. Było bardzo ciężko. Głód, zmęczenie, nogi przemoczone i perspektywa, że ci co ustaną w drodze, mogą być pomordowani. Jednego z oficerów, który ustał w drodze, major SS pchnął bagnetem w udo.

29 stycznia przechodziliśmy przez miasteczko Berlinek. Gdy kolumna nasza zatrzymała się na chwilę, bo często zatrzymywaliśmy się, ktoś z naszej grupy powstańczej zaintonował *Warszawiankę* i zaczęliśmy śpiewać. Niemcy z oburzeniem patrzyli na nas, a jakiś oficer SS aż przystanął. Lecz szkopy już spokornieli, bo odgłos armat osłabił ich butę i pewność siebie. Na noc z 29 na 30 stycznia zamknięto nas w majątku Detz (może dziś Lucin lub Jesionowo). Był taki głód, że w nocy jedliśmy surowe płatki kartoflane, znalezione w jakimś budynku. Noc minęła spokojnie. Spaliśmy z wielkiego zmęczenia.

Rano zaczęto nas zwoływać na zbiórkę do wymarszu. Ledwie zebraliśmy się, wtedy nadleciał samolot sowiecki „Kukuruźnik". Niemcy kazali nam kryć się w budynkach. Słychać było już zupełnie blisko ogień artylerii. Umieściłem się teraz w oborze. Przy mnie znaleźli się dwaj porucznicy: Szoryn-Pawłowski i Matuszek. Gdy się wzmógł ogień artyleryjski, powiedziałem do poruczników: „Szykujcie się, bo niedługo będziemy na wolności!". W pewnym momencie do obory wpadł jeden z naszych oficerów z wiadomością, że granat uderzył w budynek, w którym byli oficerowie marynarki i są zabici i ranni. Stanąłem na progu obory i patrzyłem na podwórze, po którym kręciło się paru naszych oficerów. Nagle posłyszałem szum motoru, łoskot i żelazna brama ogrodzenia podwórzowego otworzyła się. W otwartą bramę wjechał wielki czołg. Niemcy znikli. Wtedy ja krzyknąłem do moich poruczników: „Wiejemy!" Wypadliśmy przez otwartą bramę. Gdy znaleźliśmy się za ogrodzeniem, zobaczyłem, że po polu biegnie już cała masa naszych oficerów. Za mną i porucznikami biegł kulejący major, który dołączył do nas. Po chwili zobaczyłem Janka Jastrzębskiego. To spotkanie bardzo mnie ucieszyło. Już w pięciu, na propozycję Janka, doszliśmy do jakiegoś domu, gdzie Janek zażądał od Niemki coś do jedzenia. Niemra, wystraszona, chyba coś nam dała. Było słychać strzelaninę, gdyż niemieccy wachmani i generał wraz z oficerami zamknęli się we dworze i jakoby się bronili. Opowiadano, że w natarciu na dwór brali udział nasi oficerowie. Ja widziałem tylko mjr. Kozakiewicza (ps. „Barry") , jak z pepeszą jechał gdzieś na saniach. Podobno sowieciarze wyrżnęli wszystkich Niemców z wyjątkiem generała. Byliśmy bardzo radzi, że wśród nich był major SS – ten, który pchnął naszego oficera bagnetem.

Na wolności

Nieco pokrzepiwszy się, wyszliśmy z domu i już spokojniej ruszyliśmy ku wschodowi. Na polu zobaczyliśmy kilka czołgów. Sunęły bez wysiłku po głębokim śniegu, na swych szerokich gąsienicach, oblepione tzw. desantem, tj. grenadierami. Takich grenadierów Niemcy wozili w samochodach opancerzonych, a w sowieckim wojsku ludzie stoją na zewnątrz pancerza czołgu – „U nas ludiej mnogo...". Jeden czołg zatrzymał się w pobliżu nas. Z czołgu wyskoczył jakiś umorusany typ z naganem w ręku i podbiegł do nas ze słowami: „My was oswobodili, dawaj czasy!". I tak, natychmiast po odzyskaniu wolności, straciłem porządny zegarek. Nie było rady, trzeba było oddać zegarek, a nabierać doświadczenia, czego można się spodziewać od nowych oswobodzicieli. Poszliśmy dalej.

Idąc w kierunku Berlinka, przechodziliśmy przez jakąś wieś, gdzie natknęliśmy się na placówkę sowiecką. Tu jej dowódca, starszy podoficer, odniósł się do nas bardzo kulturalnie i nawet z pewnym sercem i elegancją. Najpierw zaprowadził nas do jakiegoś domu, gdzie kazał Niemce dać nam kawy, a później zwrócił się do mnie, jako najstarszego stopniem, z prośbą abym zebrał wszystkich naszych byłych jeńców i wyszedł ze wsi, bo w przypadku pojawienia się Niemców, nie mając broni nic im nie pomożemy. Zebrałem więc wszystkich spotkanych i pomaszerowaliśmy do następnej wsi. Tu naprzeciw nas wyszło kilku chłopców i dziewczyn, Polaków, będących na robotach u Niemców. Zaprosili nas bardzo serdecznie do siebie. Mieszkali w domkach bardzo skromnych i częstowali nas czym mieli, a mieli niewiele. Zanocowaliśmy w piątkę u tych ludzi. Reszta wyprowadzonych z placówki rozeszła się i więcej ich nie widziałem.

Rano Jaś Jastrzębski, który był przedsiębiorczy i dość bezwzględny, wysłał poruczników do Niemca, u którego nasi gospodarze pracowali, aby dał żywności dla nas. Niemczura już na tyle spokorniał, że dał.

Zastanawiałem się, co dalej robić. Na szczęście przyjechał do wsi lejtnant sowiecki, czołgista, konno na oklep. Zaczęliśmy z nim rozmawiać, aby dowiedzieć się, jaka jest sytuacja. Z rozmowy z nim doszedłem do wniosku, że czołgi, które nas odbiły, należą do jakiegoś zgrupowania, które wykonuje zagon na Odrę, że to nie cały front przesunął się, lecz tylko klin. Wniosek był taki, że musimy posuwać się pod prąd tego zagonu, a wszelkie zejście na bok ich osi marszu, może nas narazić na wpadnięcie w ręce niemieckie. Lejtnant poradził nam, aby choć jeden dzień zatrzymać się na miejscu, póki się trochę nie uspokoi, a później dopiero iść na wschód. Ponieważ uznaliśmy to za zupełnie

rozsądne – zostaliśmy. Janek, który świetnie mówił po rosyjsku, wmówił w lejtnanta, że on jest komendantem i żeby nam napisał kartkę z nakazem wydania przez Niemca wozu i pary koni. Lejtnant wbity w ambicję, po krótkim wahaniu nagryzmolił nakaz.

Na drugi dzień, tj. 1 lutego 1945 roku, zabierając jednego Polaka, będącego na robotach u Niemca, wyruszyliśmy wozem resorowym, zaprzężonym w dwa spasione kasztany i z workiem owsa, w kierunku na wschód. Było nas sześciu. Jechaliśmy najpierw do Berlinka. Tu okazało się, że lejtnant miał rację. Poprzedniego dnia kilku naszych oficerów wjeżdżało do Berlinka i natknęli się na czołgi sowieckie, które pomyłkowo ich ostrzelały. Jeden oficer został zabity, a jeden ranny. W Berlinku pierwszy raz serce nasze uradowało się widokiem zamiatających Niemców, pilnowanych przez Polaka. Janek, po pięcioletniej niewoli, był specjalnie zawzięty na Niemców. Widać było, że aż go ponosi, aby odegrać się. W miasteczku zatrzymaliśmy się, gdyż Janek postanowił zdobyć chleb na drogę. I zdobył – z piekarni niemieckiej.

Jechaliśmy dalej na wschód. Minęli nas francuscy robotnicy, którzy jechali wozem, lecz na zachód. Po ich minięciu, po jakimś pół kilometra, znalazłem leżącą przy drodze bardzo porządną fajkę. Spotkaliśmy po drodze połamane wozy niemieckie i niesprzątnięte ślady wojny. Pod wieczór, gdy już dość długo jechaliśmy szosą, spotkaliśmy rozbity wielki tabor wozów uciekinierów niemieckich. Na szosie stała beczka z odbitym dnem. Było w niej mięso solone. Zabraliśmy kilka kilogramów.

W lutym noc zapada wcześnie. Ciemno już było, a żadnej wsi nie spotkaliśmy. Nocą niebezpiecznie było jechać. Wreszcie dotarliśmy do jakiejś wsi. Ciemno było, nigdzie żadnego światła. W jednym domu zauważyliśmy, że przebija światło przez szpary zamkniętych okiennic. Otworzyliśmy bramę i wjechaliśmy na podwórko. Po długim kołataniu do drzwi domu, jakaś stara Niemka otworzyła nam. Wyprzęgnięto konie i zakwaterowaliśmy się w jednym pokoju. Kazaliśmy Niemce przyrządzić przywiezione mięso.

Matuszek, który nieźle mówił po niemiecku, po rozmowie z gospodarzami powiedział nam, że w sąsiednim pokoju są uciekinierzy niemieccy, z których część jest odratowanymi samobójcami. Truli się i podrzynali sobie żyły.

Mięso nasze było nie do jedzenia, tak było słone, a Niemcy twierdzili, że nie mają nic do jedzenia. Janek zrobił więc rewizję. W pokoju, w którym kwaterowaliśmy, był kredens i po chwili znalazły się weki, w których były nawet kurczęta. Oczywiście zawartość kredensu szybko znalazła się w żołądkach mocno wyposzczonych byłych jeńców. Nie mieliśmy żadnych skrupułów. Znalazłem w pokoju pełny plecak z bielizną. Zawołanej przez Matuszka Niemce oświadczyłem, że plecak i jedną zmianę ciepłej bielizny rekwiruję.

Kiedy już najedliśmy się, do pokoju wpakowało się dwóch czy trzech Sowietów. Jak twierdzili, przyszli zrobić rewizję, bo poszukują „szpionów", których muszą wystrzelać. Z trudem udało mi się namówić tych dzikusów, aby zrobili to rano, jak my wyjedziemy, bo nieprzyjemnie z trupami spać w jednym domu. Poszli i najprawdopodobniej obrabowali Niemców, lecz nie wystrzelali ich. Przespaliśmy tę noc i rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Na wyjezdnym Janek chciał zabrać pół wiadra miodu, lecz ja nie zgodziłem się. Ciągle byłem oficerem, niezdemoralizowanym i uważałem to za rabunek i niehonorowy postępek. Co było koniecznego do jedzenia lub niezbędnych przedmiotów użytkowych, wzięliśmy w formie rekwizycji, ale wywozić rzeczy wstydziłem się. Właściwie, ja osobiście nie spieszyłem się z powrotem. Nie miałem ani do kogo, ani gdzie wracać. Pieniędzy nie miałem, prócz schowanych na czarną godzinę 10 dolarów, które dał mi Franek Niepokólczycki, choć nie wiem, jak je uchował.

Wiedziałem, że do wojska już nie wrócę. Zresztą wywróżyła mi to z kart, przed Powstaniem, Joanna. Byłem więc rozbitkiem bez jutra. Ale jechałem do Polski, w której raczej nic dobrego mnie nie spotka.

Mijaliśmy kolumny wojsk sowieckich. Już teraz wszędzie przy drodze widniały napisy propagandowe, głoszące różne wezwania, jak: „Wpieriod, na Berlin" i oznaczające ilość kilometrów do Berlina. Marsz tych kolumn, choć bardzo nieporządny, miał w sobie coś żywiołowego. Masy obdartej piechoty idącej tłumem, pomieszanej z pojedyńczymi działami lub katiuszami. Sanitariuszki, baby młode, przysadkowate, z szerokimi twarzami, prowadzące niskie wózeczki zaprzęgnięte w psy, wszystko to idące nieprzerwanie naprzód. Wydawało się, że gdyby gdzieś z lasu wyszedł regularny batalion piechoty do natarcia, to całe towarzystwo rozpędziłby na cztery wiatry. Lecz to było złudzenie. Ta masa, pozornie niezdyscyplinowana, była jednak w specyficzny sposób dowodzona i umiała zachować często zimną krew, a na pewno specjalnie wschodnią, fatalistyczną pogardę śmierci. Patrząc na to wojsko zastanawiałem się, jak każdy naród ma swoje zupełnie odrębne zwyczaje w wojsku. Myślałem o naszym wojsku, znałem je przecież świetnie. Inne było w Legionach. Tamto miało charakter wybitnie ideowy. Każdy żołnierz – ochotnik wiedział, dlaczego poszedł walczyć. Byliśmy szalenie ambitni i koleżeńscy, a przy tym tam przeważał element inteligencji. Inne było już wojsko w 1919–1920 roku. Ten żołnierz na ogół był świetny, musiał mieć tylko dobrych dowódców. Znałem dwa pułki kawalerii, w których byłem na froncie, a w których dowódcy w znacznej większości pochodzili z Legionów. Nasz stosunek do żołnierza był taki, że za nami szli wszędzie i szybko wyrabiali się, nawet młodzi żołnierze, na starych wiarusów. Widziałem pułki, nie te najlepsze, jak 14. pułk ułanów lub 1. pułk ułanów, ale

4. i 10. pułk ułanów. Tam oficerowie pochodzący z carskiej armii, niby mieli ogólnie dobry stosunek do żołnierza, ale może mniej mieli ambicji. Kiedyś, gdy 10. pułk ułanów przyglądał się z górki, jak 7. pułk ułanów nacierał na Raków, później powiedział mi jeden z oficerów 10. pułku ułanów: „Wspaniale nacieraliście, nasz pułk nigdy by tak nie poszedł!". Było to podczas wojny, w 1920 roku, nie na ćwiczeniach. Odpowiedziałem mu: „Gdybyście tak poprowadzili waszych ułanów jak my, na pewno nacieraliby nie gorzej!".

Wojsko nasze w 1939 roku też było dobre. Gdyby wojna dłużej trwała, nastąpiłoby wykruszenie się elementu mniej bojowego, a wyrobiliby się z rezerwy nowi dowódcy i były wszelkie szanse na to, że wojsko byłoby świetne. Tam gdzie byli bojowi dowódcy, tam żołnierz walczył świetnie. Na razie obserwowałem wojsko sowieckie. Można było stwierdzić, że im bliżej pierwszej linii, tym większa dyscyplina. Im dalej na tyłach, tym gorzej.

Dziś już trasy naszej jazdy nie mogę dokładnie odtworzyć, ale możliwe, że jechaliśmy na Pełczyce, Choszczno, Drawno. Któraś z tych miejscowości nazywała się, u Niemców, Friedeberg. W niedługim czasie po wyjeździe z kwatery samobójców, natknęliśmy się na oddział artylerii o zaprzęgu konnym. Jakiś oficer sowiecki zatrzymał nas i zażądał oddania naszych kasztanów. Janek dość długo targował się z nim. Wreszcie stanęło na tym, że oddamy nasze spasione „fuksy", a otrzymamy parę zmęczonych koni z ich zaprzęgu. Ruszyliśmy wolno nowymi końmi, które zresztą po wypoczynku okazały się znacznie lepsze od niemieckich kasztanów.

W drodze widzieliśmy całą grozę wojny i odwetu. W lesie spotkaliśmy olbrzymi, martwy tabor uciekinierów niemieckich. Ludzie, konie, nawet psy, wszystko było martwe, wystrzelane. Przy szosie, w rowie, leżała może 12-letnia dziewczynka, martwa i obok niej duży, martwy pies. W którejś wsi, na drągach złożonych pod płotem, widzieliśmy posadzonych trzech żołnierzy volkssturmu – martwych. Mieli zdjęte spodnie i buty, tylko pozostawiono im mundury i czapki. Siedzieli sztywni – zamarznięci. Obok przechodziła Niemka z wiadrem wody i obojętnie na nich patrzyła.

Spotkaliśmy dużo czołgów porozbijanych, tak niemieckich, jak i sowieckich. Upamiętniło mi się miasteczko Friedeberg, do którego wjeżdżaliśmy. Typowe, dobrze zabudowane miasteczko niemieckie płonęło. Przy wjeździe na prawo stał budynek poczty. Przed nim leżeli na ulicy pomordowani urzędnicy i urzędniczki. Około 8 osób. Opodal było skrzyżowanie dróg, na którym stała sowiecka kobieta żołnierz, z kolorowymi chorągiewkami i regulowała ruch. Obojętnie patrzyła na trupy. Skręciliśmy w ulicę w lewo. Paliły się, a raczej dopalały się domy. Nagle wóz nasz podskoczył. Spojrzałem pod koła. Leżał, już prawie zupełnie rozjeżdżony, człowiek. Koło podskoczyło na udzie trupa.

Straszny był widok zupełnie obłąkanych staruszek snujących się po palącym się miasteczku. Okropna, beznadziejna starość w takich warunkach.

Nie wiem, dlaczego rozczulam się nad Niemkami? Przecież Niemcom zawdzięczamy wojnę, a naszym sprzymierzeńcom ze wschodu wywiezienie mojej 77-letniej matki na Syberię, gdzie zmarła po dwóch latach.

Za miasteczkiem, na szosie, leżał martwy kapitan niemiecki. Od brzucha w dół placek rozjeżdżony czołgami, ale mundur, twarz w okularach, czapka – były nietknięte. Tak wygląda wojna – życie ludzkie ma zupełnie małą wartość.

Któregoś dnia naszej jazdy stanęliśmy w Krzyżu. Męczące było, że prawie na każdą naszą kwaterę przychodzili, niby w odwiedziny, sowieciarze. Przeważnie jeden oficer, jeden podoficer i szeregowiec. Z reguły najmądrzejszy był szeregowiec, najpewniej enkawudzista. Często przynosili wódkę lub jakieś straszne świństwo z alkoholem. Prowadzili zawsze rozmowy polityczne. Uświadamiali nas w miarę sił i możności. Tylko Janek i trochę ja mówiliśmy po rosyjsku. Później, w drodze, dołączył do nas Essel i on też chyba znał rosyjski język. Janek mówił świetnie i to właśnie kiedyś wzbudziło podejrzenie. Zaczęto go wypytywać, skąd tak dobrze zna rosyjski język. Z trudem się wytłumaczył. Poszukiwali ciągle własowców i banderowców. Mój rosyjski był słaby, mówiłem złym akcentem, lecz Janek twierdził, że mówię jak prorok, a sowieciarze słuchają jak Ewangelii.

W Krzyżu stanęliśmy za miasteczkiem, w opuszczonym gospodarstwie. Po pewnym czasie wtarabanił się do nas jakiś oddział łączności. Nie można ich było namówić, aby znaleźli sobie inną kwaterę. Trudno, trzeba było cierpieć. Oczywiście, jak zawsze, przyszli goście i przynieśli jakąś zarazę do picia. Gdy się ściemniło, przybiegł do oficera, będącego u nas, jakiś żołnierz i zameldował, że na podwórze pcha się jakiś oddział, a jego dowódca jest pijany i awanturuje się. Nasz wyszedł więc na podwórze, aby załatwić sprawę, lecz bardzo szybko powrócił ze zbitą twarzą. Zwrócił się do mnie, abym ja poskromił pijanego starszego lejtnanta, który dał mu po twarzy. Oczywiście odmówiłem i powiedziałem, że nie będę się wtrącał między takich oficerów, którzy w podobny sposób załatwiają spory służbowe. Byłem zaskoczony. W głowie mi się nie mieściło, aby oficerowie bili się po gębach.

Po chwili pijany oficer wlazł na naszą kwaterę. Stanął na baczność, przedstawił się i oświadczył, że jest bohaterem Związku Sowieckiego i przeprasza, czy coś powiedział w guście usprawiedliwienia się. Siadł nieproszony przy stole i natychmiast nastąpiła zgoda z pobitym po twarzy. Wypili i zaczęli gwałtownie mnie namawiać, abym z nimi wypił. Nie wypiłem. Janek z nimi wypił. Moskale z reguły tytułowali mnie per „pan pałkownik".

Rano, mocno zmęczeni i niewyspani, pojechaliśmy dalej na Czarnków. Na Poznań nie mogliśmy jechać, bo tam toczyły się jeszcze walki. Przed Czarnkowem przyczepił się do nas jakiś starszy lejtnant, sowiecki lotnik. Był pijany. Zgubił gdzieś pistolet. Chciał koniecznie robić rewizję w naszym wozie, bo nie wierzył, że nie znaleźliśmy jego zguby. Widziałem ten pistolet leżący na ścieżce przy szosie, ale nie braliśmy go, bo nie był nam potrzebny.

Na moście przez Noteć, przez który przejeżdżaliśmy, po stronie niemieckiej stał naturalnej wielkości pomnik krzyżaka na koniu, zwrócony frontem na polską stronę. Po przekroczeniu Noteci poczuliśmy, że jesteśmy w Polsce. Poznaniacy szybko zorganizowali się, bo po przejechaniu kilkudziesięciu metrów, podszedł do nas jakiś jegomość z opaską biało-czerwoną na rękawie i zapytał, czy wracamy z niewoli. Po otrzymaniu odpowiedzi, zaprowadził nas do poniemieckich eleganckich baraków mieszkalnych, gdzie nam wyznaczono kwaterę. Po krótkim odpoczynku zaproszono nas do świetlicy czy stołówki, gdzie otrzymaliśmy obiad. Nawet jakiś przedstawiciel władzy miejscowej poczęstował nas kieliszkiem wódki i w bardzo miłej i serdecznej formie wygłosił przemówienie powitalne. Rozmawiałem później z tym panem. Widocznie obawiał się zupełnie szczerze wyrażać swych myśli, ale można było wyczuć, że nowa sowiecka okupacja, zwana wyzwoleniem, bardzo mu była nie do smaku. Po przenocowaniu ruszyliśmy w dalszą drogę.

Lecz tego dnia nie ujechaliśmy daleko. W lewo od szosy, w cichym zakątku, zauważyliśmy jakieś gospodarstwo. Janek postawił wniosek, aby dać dłuższy odpoczynek koniom, które ledwo lazły i zatrzymać się w zauważonym gospodarstwie. Zajechaliśmy tam. Był to młyn wodny. Gdy nas zobaczyły niewiasty, rzuciły się do nas z okrzykami: „Nasi oficerowie wracają!”. Prawie że nas całowały. Postój był bardzo przyjemny. Nakarmiono nas i nareszcie poczuliśmy się między swoimi. Na drugi dzień, gdy konie dobrze wypoczęły, ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ do Poznania nie mogliśmy jechać, skierowaliśmy się na wschód, na Wrześnię. Gdzieś w okolicach Poznania musieliśmy się zatrzymać w jakiejś bardzo przeludnionej wsi, zapełnionej uciekinierami. Mimo ciasnoty, przyjęto nas serdecznie i nakarmiono. Nudził nas tylko jakiś wyrostek, może 13 lub 14-letni, który był w oddziale czołgów sowieckich i ciągle nam coś opowiadał. Robił wrażenie niezupełnie normalnego. Zgubił się od swego oddziału i pętał się, czepiając się, kogo można.

Znów rano wyjechaliśmy i w godzinach przedpołudniowych dotarliśmy do Wrześni. Miasto nie było zniszczone. Tu także zaczepił nas jakiś mężczyzna i przedstawił się jako były sierżant przedwojennego wojska. Zaofiarował się odprowadzić nas do komitetu, zajmującego się opieką nad powracającymi

z niewoli. Zarejestrowano nas i wydano obiad oraz obiecano kwatery na noc. Konie i wóz ofiarowaliśmy komitetowi, gdyż zapas owsa, zabrany Niemcowi wyczerpał się, a kupić nie mieliśmy za co. W Polsce rekwirować nie mieliśmy zamiaru. Uważaliśmy, że dalszą drogę możemy odbywać samochodami, co znacznie przyśpieszało nasz marsz. Co prawda, ja nigdzie się nie spieszyłem, ale moi koledzy raczej tak.

Nasz były sierżant nie opuścił nas od razu. Oświadczył, że nie warto iść na kwatery, które nam przydzielą, bo on nas zaprowadzi na prywatną kwaterę do swojego znajomego. I faktycznie, zaprowadził nas do jakiejś dość porządnej kamieniczki. W mieszkaniu na pierwszym piętrze powitał nas starszy, gruby jegomość, bez marynarki, w kamizelce, robiący wrażenie poczciwego, małomiasteczkowego obywatela. Po poznaniu się, powiedział nam, że był właścicielem sklepu z obuwiem, który mu Niemcy odebrali i wyrzucili go z jego własnego mieszkania, a do którego teraz, przed kilku dniami powrócił. Przyjął nas bardzo serdecznie i zaraz przyprowadził żonę i dość przystojną, dorastającą córeczkę. Zapewnił nam nocleg. Przepraszał tylko, że na kolację przyjdzie kapitan – dentysta sowiecki, ale twierdził, że to porządny i miły człowiek, a mieszkający u niego na kwaterze. Rozmowa potoczyła się w dość przyjemnej atmosferze, zwłaszcza że gospodarz przyniósł pudełko cygar i serdecznie częstował. Byliśmy spragnieni palenia, bo papierosów nie mieliśmy, a sowiecka machorka w gazecie nie odpowiadała nam. Szoryn-Pawłowski zaraz dorwał się do pianina, bo był wysoce muzykalny, mając absolutny słuch. Matuszek lekko przebierał nogami do córeczki gospodarza. Na kolację znalazła się nawet wódka. Kapitan sowiecki okazał się faktycznie dość sympatyczny, zwłaszcza że był to pierwszy Sowiet, który nie prowadził rozmowy propagandowej. Trochę był śmieszny, twierdząc, że czuje się nieco skrępowany w tak obszernym i porządnie umeblowanym mieszkaniu (w jego pojęciu), gdyż dwa lata jest już na wojnie i odwykł od kulturalnego życia. W duchu roześmiałem się z tego. Był człowiekiem młodym i nie mógł pamiętać Rosji sprzed rewolucji, na pewno nie widział nigdy choćby takiego mieszkania, bo przeciętny obywatel sowiecki mieszkał podle. Zresztą jego sposób jedzenia i zachowania się przy stole nie świadczył o obyciu towarzyskim i znajomości form. Był poczciwy, ale mało okrzesany.

Rano wyszliśmy na szosę, aby złapać jakiś samochód jadący na wschód. Podeszliśmy do sowietki regulującej ruch i prosiliśmy, aby nam ułatwiła. Babka była energiczna. W niedługim czasie zatrzymała ciężarówkę, w której w szoferce siedział, obok szofera, jakiś podpułkownik. Kazała nas zabrać, a gdy podpułkownik próbował protestować, oświadczyła, że tu ona rządzi i mają wykonać to, co ona każe. Oficer umilkł, a my pojechaliśmy w kierunku Kutna.

Na drodze spotkaliśmy moc ludzi wracających powoli do kraju. Spotykaliśmy jadących z robót z Niemiec – wołami, traktorem i różnymi środkami lokomocji. Polacy szli na wschód, obcokrajowcy na zachód. Spotkaliśmy dość dużą grupę ludzi idących pieszo na zachód. Kiedy zapytaliśmy ich, jakiej są narodowości – odpowiedzieli wesołym chórem: „Makaroniarze", tj. Włosi.

Przed Kutnem spotkaliśmy pierwszy oddział nowego wojska polskiego, maszerującego na zachód. Widok był tragiczny, oczywiście według moich pojęć o wojsku jako zawodowego oficera. Ubrani byli fatalnie. Spod płaszczy widać było drelichowe mundury (w lutym). Czapki polowe przedwojennego typu, z orzełkiem o wyglądzie jakiejś rozcapierzonej wrony, oczywiście bez korony. Szli bandą, strzelając w górę z karabinów. To nie było wojsko, a jakiś tłum rewolucyjny. Pierwsze uderzenie w łeb w nowej Polsce.

Wysiedliśmy z samochodu w Kutnie i poszliśmy na posterunek milicji, aby prosić o kwatery. Załatwiał nas jakiś starszy typ. Oczywiście, jako oficerowie dawnego Wojska Polskiego, nie mieliśmy dla niego żadnej wartości. Mówił do na per „wy", oczywiście nie tytułując według stopni, mimo że byliśmy w mundurach z odznakami. Odesłał nas do sowieckiej komendy placu. Kutno to już inna Polska! Poszedłem więc sam do tej komendy. Wszedłem do jakiegoś dużego pokoju czy salki, słabo oświetlonej, zapchanej sowieckimi żołnierzami palącymi machorkę w gazecie. Smród i zaduch nie do opisania. Wszelkie próby dotarcia do jakiejś władzy okazały się zupełnie nieosiągalne. Wyszedłem więc przed budynek, aby powiedzieć o tym czekającym kolegom. Było już zupełnie ciemno. Niespodziewanie podszedł do nas jakiś mężczyzna, wyglądający na robotnika i zapytał, skąd jesteśmy i czego potrzebujemy. Powiedziałem mu, że wracamy z niewoli i chcemy gdzieś pod dachem przepędzić noc. Nasz rozmówca okazał się uciekinierem z Warszawy i zaprosił nas do siebie. Ciasno było, gdyż z rodziną mieszkał w jednej izbie, wprawdzie dość dużej, jednak nas przygarnął i nawet skromnie nakarmił. Byliśmy mu bardzo wdzięczni. Teraz zrozumieliśmy, że w nowej Polsce, my specjalnie, będziemy mieli życie bardzo ciężkie i trudne. Wcześnie rano chcieliśmy wyjechać, bo koledzy mieli zamiar jeszcze tego dnia dotrzeć do Warszawy. Było jeszcze prawie szaro, gdy szliśmy do szosy. Na ulicy spotkałem majora Cozasa (Kamieńskiego). Rozmawialiśmy kilka minut. Tkwił w konspiracji. Zapytał, co mam zamiar robić? Odpowiedziałem, że do konspiracji nie wrócę, bo nie widzę w niej celu. Jakoś będę żył. Do wojaka też nie wybieram się. „Zmarnują pana" – powiedział i poszedł.

Znów sowieckim samochodem dojechałem do Łowicza i tu pożegnałem się z kolegami. Oni pojechali do Warszawy, a ja miałem zamiar dotrzeć do Dębowej Góry. Chciałem opowiedzieć pani Ostrowskiej o ostatnim widzeniu się z Anką i namyślić się, co dalej robić i gdzie się podziać. Zginąć nie jest znowu tak

łatwo. Ledwo wysiadłem z ciężarówki i stanąłem dość bezradnie na ulicy, podeszła do mnie jakaś starsza pani z prawie dorosłą córką i zapytała, czy wracam z niewoli? Kiedy potwierdziłem, sama powiedziała, że na pewno jestem głodny i że ona da mi obiad. Uprzedziłem, że nie mam pieniędzy. Zaprowadziła mnie do jakiejś restauracji i w bufecie powiedziała, aby mi podano obiad. Znów uprzedziłem bufetową, że nie mam czym płacić, lecz ona odpowiedziała: „Wszystko załatwione". Pani z córką odeszła, a ja zostałem przy stoliku nad pełnym talerzem zupy. Obok siedział jakiś sowiecki oficer, który usilnie mi się przyglądał. Wreszcie nie wytrzymał i podszedł do mnie. Zaczął mnie rozpytywać, co robię w Łowiczu i czy meldowałem się w komendaturze. Powiedziałem mu, że jestem tylko przejazdem, w drodze do Skierniewic, lecz on nalegał, abym zameldował się. Poszedłem więc po zjedzeniu obiadu i zameldowałem się. Oczywiście, nigdzie nie mówiłem, że byłem w Armii Krajowej, bo jeszcze w drodze uprzedził mnie jeden ze spotkanych oficerów, jaki jest stosunek Sowietów do nas. Wszędzie więc mówiłem, że byłem w niewoli od 1939 roku. Zewnętrznie też na to wyglądałem w swym amerykańskim mundurze, nawet z proporczykami 13 pułku ułanów na kołnierzu. Jakimś sowieckim samochodem dojechałem do Skierniewic. Aby zasięgnąć języka o Dębowej Górze zaszedłem do browaru Strakacza. W biurze przyjął mnie stary Strakacz. Zaraz zaczął opowiadać, jak opiekował się jeńcami i ile wysłał paczek, nawet do Woldenbergu.

Ponieważ pani Ostrowska była w Dębowej Górze, poszedłem te 5 kilometrów pieszo. Przyjęty zostałem serdecznie. Najśmieszniejsze było, że służba dawna znała mnie jako Kowalskiego, uciekiniera z Wilna, a tu przyszedłem nagle jako pułkownik. Nie bardzo im się to mieściło w głowie! Mój pobyt w Dębowej Górze był bardzo krótki. Pani Ostrowska musiała opuścić swój majątek, zabrany oczywiście za darmo na mocy reformy rolnej, i wyjechać przymusowo do innego powiatu. A ja znalazłem się znów bez dachu nad głową, bez pieniędzy i bez możliwości życia.

Była zima, pierwsza połowa lutego, gdy wyszedłem ze swym plecaczkiem i dwoma kocami wyniesionymi z Woldenbergu na ośnieżoną drogę. Co robić? Gdzie iść? Pani Ostrowska powiedziała mi, że w Strobówku, w chałupie wiejskiej, w jednej izbie, mieszkają państwo Małkowscy. Mało ich znałem. Henryka Małkowskiego, artystę Teatru Polskiego w Warszawie, widywałem na scenie i spotykałem czasami przed wojną i kilka razy podczas okupacji u Anki. Wszystko to nie upoważniało, aby iść do nich. Lecz co miałem robić? Poszedłem jednak, aby się poradzić, czy zorientować się, jak się urządzić.

Przyszedłem i zastałem małżeństwo w łóżkach. Przyjęli mnie z pewnym zakłopotaniem, ale na pewno życzliwie. Pani Aniela Małkowska zaraz się ze mną dogadała, że znamy się z dawnych czasów, gdy byłem podporucznikiem,

a ona młodą aktorką „Nowości". Przyjechała kiedyś na koncert dla szwoleżerów razem z Wandą Filochowską, późniejszą Dreszerową. Atmosfera zaczęła się poprawiać i w końcu pani Aniela postanowiła, że na razie zostanę u nich i jakoś się urządzi. Zawsze nie mam słów dla tych najzacniejszych ludzi, którzy przygarnęli mało znanego człowieka i jeszcze zrobili to w formie niesłychanie prostej i bardzo miłej. Co kultura, to kultura.

Lecz mój pobyt u państwa Małkowskich miał widać trwać krótko, chyba nawet niecałe trzy godziny. Zapukano do drzwi i weszła para młodych i przystojnych ludzi. Po przywitaniu i przedstawieniu się sobie oraz po zamianie niewielu słów, państwo Kaszubscy oświadczyli, że zabierają mnie do siebie. Panie Kaszubska i jej siostra, Wilczyńska, miały wspólnie mały folwarczek w tymże Strobówku. Tadeusz Kaszubski, architekt z zawodu, z Warszawy i jego żona Irena, inżynier rolnik czy ogrodnik, zamieszkiwali przez okres okupacji w Strobówku. Gospodarował folwarczkiem Wilczyński, szwagier Kaszubskich.

Jak w bajce. Rano bezdomny nędzarz, a w południe mieszkaniec osobnego pokoju i jedzący obiad nawet z wódką. Mieszkanie w Strobówku zaczęło się przyjemnie. Poczułem się lepiej, gdyż nie groziło mi niespodziewane znalezienie się bez dachu nad głową. Którejś nocy zaczęło się dobijanie do drzwi. Przyszło kilku sowieckich żołnierzy robić rewizję w sensie sprawdzania osób mieszkających. Oczywiście ja okazałem się podejrzany. Po dłuższej rozmowie z enkawudzistą pozostawiono mnie na miejscu, lecz polecono bezwzględnie zameldować się w komendaturze w Skierniewicach.

Pojechałem więc do Skierniewic i zameldowałem się. Tu jakiś trochę inteligentniejszy Sowiet zażądał kategorycznie, abym pojechał do Warszawy i tam zgłosił się przed Komisję Rehabilitacyjną dla oficerów powracających z niewoli. Następnego dnia pojechałem do Warszawy. Kaszubscy skierowali mnie do swych znajomych architektów Putowskich, którzy mieszkali w rejonie Rakowieckiej, a którzy mogli mnie przenocować.

Kiedy zgłosiłem się w koszarach na Koszykowej, w budynku, w którym kwaterowali kiedyś nasi ordynansi, gdy byłem w Wyższej Szkole Wojennej – spotkałem tam dość dużo znajomych z Woldenbergu. Kilku przybiegło do mnie ze słowami: „Niech pan pułkownik jak najszybciej ucieka stąd, bo pana aresztują jako oficera Armii Krajowej". Odpowiedziałem, że nigdzie nie pójdę, a co ma być, niech będzie. I tu znów zobaczyłem, jak do starych oficerów odnosi się nowe wojsko. Co prawda to przedsmak tego miałem w Kutnie, gdy spotkaliśmy na podwórzu domu dwóch oficerów nowego wojska. Byli to oficerowie rezerwy zmobilizowani. Kiedy zapytaliśmy ich o nowe wojsko, to tylko machnęli ręką i nic nie chcieli mówić, a na odchodnym szepnęli, że nie życzą nam służby w tym wojsku.

Starzy, wymordowani niewolą oficerowie, leżeli na podłodze, na brudnych siennikach. Świeżo przybyli znosili sienniki do sali. Żadnej organizacji, żadnego przygotowania kwater, żadnej opieki. Znów jak jeńcy, tylko we własnym kraju i jakoby własnego wojska. Byłem zupełnie wytrącony z równowagi. Zrozumiałem, że nowa Polska nie będzie naszą matką, lecz macochą, modlącą się, abyśmy jak najszybciej przestali istnieć. Zaczynałem rozumieć, że nie będę otoczony szacunkiem przysługującym mi już tylko ze względu na mój stopień wojskowy i odznaczenia, a muszę przyzwyczaić się do upokorzeń i wrogiego traktowania. Zgłosiłem się po przepustkę i poszedłem spać do państwa Putowskich. Ciasno było, bo mieszkanie było częściowo zrujnowane, ale jakoś przespałem.

Rano zgłosiłem się przed komisję. O ile pamiętam, była ona złożona z dwóch czy trzech stosunkowo młodych ludzi z nowego wojska. Kazali mi napisać przebieg służby i mój udział w wojnie. Napisałem wszystko uczciwie, choć nie przeczę, że trochę z duszą na ramieniu, gdyż pisałem o służbie w Armii Krajowej. Ryzykowałem. Zresztą nie miałem wyboru. Ukrywać się nie mogłem i nie chciałem, bo ciągle spotykałem znajomych. Wszelkie kłamstwo od razu by wylazło, więc postanowiłem iść prostą drogą, bez względu gdzie mnie w końcu doprowadzi. Gdy oddałem mój przebieg służby, widocznie wiedziano kim jestem, bo nie zwolniono mnie i nie wydano żadnych dokumentów, a polecono mi czekać w pokoju, gdzie urzędowała tzw. komisja. Trochę mnie dziwiło to czekanie, które trwało chyba ze dwie godziny, a może i dłużej. Wreszcie zwolniono mnie z poleceniem udania się do Sztabu Generalnego we Włochach, gdzie miałem zgłosić się w oddziale personalnym.

Poszedłem więc pieszo przez zrujnowaną po Powstaniu Warszawę. Żadnego środka lokomocji nie było. Szedłem wzdłuż torów kolejowych. Było błoto i wstrętna pogoda. Widok był okropny. Jedna wielka ruina i zgliszcza. Dość zmęczony doszedłem do Włoch i odnalazłem Sztab Generalny. Gdy wchodziłem po schodach, minął mnie wychodzący Żymierski i oczywiście nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Odnalazłem oddział personalny. W przedpokoju zdjąłem płaszcz i wszedłem do adiutantury. Za biurkiem siedział porucznik w mundurze przedwojennego kroju i z akselbantami.

Przedstawiłem mu się i powiedziałem, w jakiej sprawie przychodzę. Z dość głupią miną przyjął to do wiadomości i widać było, że nie bardzo wie, jak się ma wobec mnie zachować. Prócz adiutanta w pokoju było jeszcze dwóch oficerów: podpułkownik i major. Przedwojennym zwyczajem podszedłem do nich i przedstawiłem się, podając im rękę. Mieli miny zupełnie zakłopotane i widać było, że nie rozumieli, czego od nich chciałem. Usiadłem więc na wolnym krześle i zacząłem się nieco rozglądać po pokoju. Na jednych drzwiach przypięta była

kartka z napisem: „Krycki płk. Szt. Gen. Szef oddziału personalnego". W pewnym momencie otworzyły się drzwi, te z kartką i wyszedł z nich stosunkowo młody, szczupły oficer sowiecki ze złotymi naramiennikami. Podpułkownik i major zerwali się, jakby piorun w nich trzasnął. Sowiet podał im rękę i zamienił kilka słów po rosyjsku. Obaj niby to polscy oficerowie mówili najczystszym językiem rosyjskim. Zrozumiałem, że obaj byli sowieckimi oficerami ubranymi tylko w polskie mundury. Krycki nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Ja też nie kwapiłem się, aby zwracać na niego uwagę.

Wreszcie, po dość długim oczekiwaniu, zaproszono mnie do zastępcy szefa, którym był podpułkownik Zawadzki. Mówił wyraźnie z akcentem rosyjskim, ale po polsku. Powitał mnie słowami: „Dlaczego powstańcy warszawscy nie przebili się na prawy brzeg Wisły?". Po rozmowie z nim doszedłem do przekonania, że zupełnie nie orientował się w sprawach walki. Rozmawiałem z nim bez żadnej dyplomacji i stawiałem sprawy tak jak były. Gdy powiedziałem, że uprzedziliśmy marszałka Rokossowskiego o niemożności dalszego prowadzenia walki, nie twierdził, iż taka depesza nie nadeszła. Przez cały czas naszej rozmowy z ppłk. Zawadzkim asystował jakiś porucznik w mundurze polskim. Zostałem nareszcie zwolniony z poleceniem zgłoszenia się w RKU w Skierniewicach. Poszedłem więc na dworzec, aby nareszcie odjechać. Przed dworcem spotkałem trzech podoficerów zawodowych ze szwoleżerów. Przywitaliśmy się bardzo serdecznie i po krótkiej rozmowie odjechałem do Skierniewic, bo szczęśliwie trafiłem na pociąg.

W tych czasach, w mundurze jeździło się koleją za darmo. W ciemnym wagonie jechał ze mną jakiś sierżant z nowego wojska. Nie omieszkał pochwalić się, że był w partyzantce Armii Ludowej, a obecnie jest w bezpiece. Zaczął mnie wypytywać, czy czasem nie byłem w Armii Krajowej. Zaprzeczyłem, bo wiedziałem, jaka jest na nas nagonka. Do tego można było się przyznawać tylko ludziom pewnym, tj. myślącym uczciwie po polsku. Mówiono mi, że w koszarach rozlepiono takie slogany: „Śmierć zbirom z AK!" itp.

Po powrocie do Skierniewic zgłosiłem się w RKU, gdzie stanąłem przed komisją i zostałem zakwalifikowany do kategorii A. Otrzymałem zaświadczenie, że jestem urlopowany do czasu zmobilizowania. Gdy już miałem jakiś dokument, pojechałem do Warszawy, aby rozejrzeć się za jakąś pracą. Jednak wszędzie patrzono na mnie niechętnym okiem. Złożyłem kilka podań, lecz wszędzie, gdzie przeczytano mój życiorys, napisany uczciwie – spotykałem się z odmową.

Po kilkunastu dniach pobytu w Strobówku postanowiłem przenieść się do Skierniewic, licząc na znalezienie tam jakiejś pracy. W Skierniewicach spotkałem mjr. dypl. Floryanowicza, który również powrócił z Woldenbergu.

Floryanowicz od razu rozpoczął starania, aby się dostać do wojska. I faktycznie został przyjęty. W bardzo niedługim czasie awansował na generała. Spotkanie z nim miało tę dobrą stronę, że żona jego znalazła mi mieszkanie w Skierniewicach u ppor. 26 pal Władysława Hernasa, przedwojennego zawodowego oficera. Hernas, góral z Beskidu Zachodniego, przez całą wojnę przechował się jakoś, pracując jako kasjer na dworcu kolejowym, choć nie wiem, jakim to zrobił sposobem, że uniknął obozu. Nie mogłem płacić za mieszkanie, więc starałem się pomagać w domu w miarę sił i umiejętności. Początkowo stosunki z Hernasami były świetne, lecz później, dzięki pani, zaczęły się psuć, więc postanowiłem zlikwidować się. Ułatwiła mi to profesor Marta Erlich. Ta przezacna staruszka, którą będę błogosławił do śmierci, wyrobiła mi posadę w zakładach profesora Chroboczka, należących do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Zostałem stróżem ogrodowym, z prawem mieszkania w studenckim pokoju i stołowaniem się w studenckiej stołówce. Profesor Erlich była starszą siostrą pani Małkowskiej.

W tym czasie Małkowscy wyjechali ze Strobówka i przenieśli się do Skierniewic, gdzie pan Małkowski otrzymał posadę referenta kultury w starostwie, czy coś w tym guście. Codziennie byłem zapraszany do nich wieczorem na herbatę. Byli niesłychanie biedni, ale tak serdeczni, że po prostu nie można było ich nie kochać za ich dobroć. Na niedzielę jeździliśmy razem do Strobówka, do Kaszubskich na obiad i raz w tygodniu byliśmy najedzeni porządnym pokarmem. Ja ostatecznie to nie byłem tak znów bardzo głodny, bo kierowniczka stołówki, już dziś nie pamiętam jej rosyjskiego czy ukraińskiego nazwiska, zacna osoba, dawała mi, choć bardzo prymitywnego, ale podwójne porcje jedzenia. Często nie mogłem tego zjeść, wtedy wyręczała mnie w jedzeniu jedna studentka, dziewczyna zdrowa jak rzepa i z szalonym apetytem, panna Jaworska, bratanica Bronka, kolegi od Rontalera. W takich warunkach przeminęła wiosna i lato. Sytuacja była beznadziejna. Wprawdzie prof. Chroboczek był wobec mnie na tyle życzliwy, że zabrał mnie z ogrodu i dał robotę, którą wykonywałem w jego mieszkaniu, a mianowicie robiłem mu rysunki do artykułów ogrodniczych. Rysunki były podłe, lecz dał mi kiedyś za nie 250 złotych. Moja dniówka dzienna wynosiła 40 zł, z czego potrącano mi 24 zł za stołówkę. Miałem więc 16 zł dziennie na osobiste wydatki. Zarobione 250 zł uważałem za olbrzymią sumę. Z braku pieniędzy musiałem przestać palić.

Któregoś dnia, w lecie, byłem w Warszawie. Chyba w tym okresie, kiedy Radosław wydał odezwę do członków Armii Krajowej, aby zakończyć z konspiracją i ujawniać się. Załatwił to jakoś z ministrem bezpieczeństwa Radkiewiczem, który gwarantował, że ujawnieni nie będą aresztowani, a który faktycznie nie dotrzymał słowa i wielu kazał aresztować.

Byłem wtedy u Radosława i spotkałem tam Wolańskiego, czyli płk. Gorazdowskiego. Radosław pytał mnie, czy zgadzam się z jego odezwą. Uważałem, że postąpił o tyle słusznie, bo konspiracja nic nie dawała, a traciło się moc przeważnie wartościowych ludzi. Możliwe, że później, znów będąc w Warszawie, spotkałem na Nowym Świecie Dżokera – kapitana z 36 pułku piechoty, również akowca. Ten powiedział mi, że Rzepecki chce się ze mną zobaczyć. Umówiłem się z Dżokerem, że spotkamy się na drugi dzień i że albo mnie zaprowadzi do Rzepeckiego, albo powie, gdzie się z nim będę mógł spotkać.

Na noc poszedłem na Saską Kępę do Katanów. Matka Hali Katanowej tak mnie wspaniale nakarmiła na kolację, a ja jadłem, bo byłem bardzo od dłuższego czasu wygłodzony, że rozchorowałem się szalenie na żołądek. Moje spotkanie z Rzepeckim nie doszło więc do skutku. Miałem szczęście, bo tego dnia Rzepecki był aresztowany. Na spotkaniu tym nie zależało mi. Nie miałem zamiaru rozpoczynać żadnej konspiracji.

Na początku listopada Małkowscy pojechali do Łodzi na jakiś pogrzeb. Po powrocie, opowiadając o swym pobycie w Łodzi, dowiedziałem się, że tam spotkali Kazimierza Rudzkiego, który jakoby bardzo serdecznie wyrażał się o mnie. Wpadli więc na pomysł, abym pojechał do Łodzi i skontaktował się z Rudzkim, gdyż on, mając duże znajomości, może mi ułatwić w zdobyciu jakiejś pracy. Jakoś w tym czasie dowiedziałem się, że Janek Jastrzębski mieszka w Łodzi i znałem już jego adres. Nie wierzyłem w pomoc Rudzkiego, ale nie mogłem zlekceważyć serdecznych rad Małkowskich. Pojechałem więc. Zatrzymałem się u Janka. Mieszkał na ulicy Wierzbowej, miał zupełnie przyzwoity pokój z kuchnią. Umeblowany był i miał nawet radio. Prowadził sprawę rozwodową, a mieszkał ze swoją przyszłą drugą żoną – Teresą.

Janek był znacznie bardziej przedsiębiorczy ode mnie, no i nie miał moich obciążeń akowskich, które zamykały mi drogę na każdym kroku.

Poszliśmy razem do teatru, aby zobaczyć się z Rudzkim. Niechętnie z nami rozmawiał, był podniecony i śpieszył się. Umówił się z nami na drugi dzień w „Honoratce". Przyszedłem. Wyłuszczyłem mu, o co mi chodzi. Zapisał sobie mój adres, lecz nie robił właściwie żadnych nadziei. Zupełnie inaczej się mówi o kimś, kto coś sobą kiedyś przedstawiał i znajomością taką można się nawet pochwalić, a zupełnie coś innego pomagać „byłym" ludziom. Pożegnał nas i poszedł sobie, pozostawiając mnie bez żadnej nadziei na poprawę losu.

Obok nas, przy sąsiednim stoliku, siedziała jakaś sympatycznie wyglądająca para, która również wstała i skierowała się do wyjścia. Po chwili do Janka podszedł kelner i zawiadomił, że jakiś pan chce z nim mówić. Janek odszedł i po paru minutach wrócił. Okazało się, że pan, który chciał z Jankiem mówić, a który siedział obok nas, słyszał moją rozmowę z Rudzkim. Był to oficer

rezerwy 1 Dywizjonu Artylerii Konnej, który siedział w Woldenbergu i który znał mnie, przynajmniej z widzenia, z Warszawy. Podał Jankowi swój adres służbowy i przepraszając, że podsłuchał moją rozmowę, proponował, abym do niego przyszedł na drugi dzień, bo może mi dać posadę.

Byłem bardzo zadowolony i postanowiłem skorzystać z propozycji. Janek zapłacił za kawę, bo ja nie miałem pieniędzy i wyszliśmy. Na drugi dzień zgłosiłem się pod wskazany adres. Pan z „Honoratki" był kierownikiem wydziału personalnego w Tymczasowym Zarządzie Państwowym (późniejszy Urząd Likwidacyjny). Jeszcze raz przeprosił za podsłuchanie rozmowy z Rudzkim i zaproponował mi wyjazd do Świdnicy lub do Gdańska. Do wyboru do wojewódzkiego zarządu. Gdzie jest dokładnie Świdnica, nawet za bardzo nie wiedziałem, tyle tylko, że na Dolnym Śląsku. Do Gdańska nie chciałem. Wiedziałem, że jest zrujnowany, a po drugie – nigdy nie miałem przekonania do Pomorza. Wybrałem więc Świdnicę. Otrzymałem skierowanie do Świdnicy, bez określenia, na jakie stanowisko i z jaką płacą. To miało być ustalone na miejscu.

Szczęśliwy wróciłem do Skierniewic. Mieszkanie letnie w studenckim domu, w listopadzie było nie do wytrzymania. Pokój nieopalany więc marzłem nieludzko. Zacząłem więc starania w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym[93]. Tu natrafiłem na trudności, bo ze Skierniewic kierowano tylko do Prus Wschodnich. Jednak po dłuższych pertraktacjach i po okazaniu skierowania do pracy, jakoś ustąpili i otrzymałem dokumenty. W Warszawie zaopatrzyłem się w zaświadczenie, że za Bugiem pozostawiłem 12 hektarową zabudowaną działkę osadniczą, co upoważniało do otrzymania ekwiwalentu na Ziemiach Odzyskanych. Wreszcie po długich korowodach, około 20 listopada, pożegnawszy się ze znajomymi w Skierniewicach wsiadłem do towarowego wagonu w pociągu idącym do Wrocławia.

W tłoku niesamowitym, między całymi rodzinami z dobytkiem jadącymi na zachód, zajechałem tylko do Łodzi. Kiedy pociąg stanął na stacji, do wagonu wpadło dwóch wściekłych sowieckich żołnierzy i rycząc oraz wymyślając najordynarniej, wyrzucili wszystkich z wagonu. Wprawdzie mnie nie wyrzucano, bo byłem w mundurze, ale sam wyszedłem, bo nie miałem ochoty jechać w ich towarzystwie. Ludzie pchali się, gdzie kto mógł, nawet na dachy wagonów. Ja pozostałem na peronie. Nie bardzo orientowałem się, jak jechać do Świdnicy. Wiedziałem tylko, że przez Wrocław.

Czekać na następny pociąg do Wrocławia nie miałem ochoty, bo co miałem robić w nocy w Łodzi? Nadszedł pociąg do Katowic. Wsiadłem, bo liczyłem, że tą drogą też dojadę do Wrocławia. W drodze miałem małe nieporozumienie

[93] Nastąpiło to 5 listopada 1945 (przyp. Wyd. Pol.).

z konduktorem z powodu niewłaściwej trasy, którą jechałem, ale przy ogólnym bałaganie darował mi i po iluś godzinach dojechałem do Katowic. Tu zorientowałem się na dworcu, jak dalej jechać. Ponieważ przez Gliwice i Nysę nie można było jechać, gdyż mosty jeszcze nie były odbudowane, musiałem jechać na Wrocław. Wsiadłem więc do jakiegoś pociągu idącego do Opola i w wagonie – chłodni, dzwoniąc zębami, dojechałem. Czekając na dworcu na pociąg do Wrocławia, wpadłem w oko przedstawicielowi Urzędu Bezpieczeństwa. Po godzinie krążenia podszedł do mnie jakiś typ i poprosił o wylegitymowanie się. Wszystkie papiery miałem w porządku, ale największe wrażenie zrobiło zaświadczenie z RKU. Typ, gdy przeczytał, że jestem pułkownikiem dyplomowanym, stanął na baczność i zaczął mnie usilnie przepraszać, bo okazało się, iż był on podoficerem przed wojną.

Nie wspomniałem wcześniej, że przed wyjazdem na Śląsk poszedłem do Ministerstwa Obrony Narodowej, do departamentu personalnego, aby ostatecznie rozwiązać swój stosunek z wojskiem, bo ciągle liczyłem się jako urlopowany do czasu zmobilizowania. Po długim oczekiwaniu w poczekalni, gdzie spotkałem płk. dypl.Nieniewskiego, byłego dowódcę 4 Brygady Kawalerii z 1920 roku oraz mjr. dypl. Kobylińskiego, oficera z 34. pp, dostałem się wreszcie przed oblicze płk. Zawadzkiego. Awansował i był szefem departamentu. Przypomniałem mu się i udawał, że mnie sobie przypomina. Oświadczył mi, że on nie może decydować o oficerach dyplomowanych, gdyż to należy do kompetencji marszałka Żymierskiego, ale on daje mi słowo honoru, że w ciągu tygodnia dostanę definitywną odpowiedź co do mego losu. Nie dostałem nigdy żadnej odpowiedzi.

Z Opola, po kilku godzinach oczekiwania na pociąg, nad ranem dotarłem do Wrocławia. Ze względu na mosty, trzeba było przejść piechotą przez miasto na dworzec główny. Szedłem razem z tłumem ludzi i patrzyłem na ruiny. Zmęczony dostatecznie, doczekałem pociągu na Jelenią Górę, z tym, że trzeba było wysiąść w Jaworzynie Śląskiej, aby przesiąść się na pociąg do Świdnicy. Pociąg był nieprawdopodobnie zatłoczony, a dostałem się do niego jedynie dzięki mundurowi, gdyż jakiś wojak zrobił mi miejsce w wagonie dla wojskowych.

W Wojewódzkim Zarządzie Tymczasowym zgłosiłem się u dyrektora Lipińskiego gdzieś koło południa. Zostałem przyjęty z uposażeniem V grupy, co wynosiło około 1300 zł i przydzielony do wydziału ekonomicznego. Naczelnikiem wydziału był Lech Łukomski, kuzyn Irenki Zygmuntowej. Młody prawnik, prawdopodobnie drobny urzędnik z konsulatu w Belgii, z naszego MSZ. Ponieważ nie miałem gdzie mieszkać zabrał mnie do siebie, bo miał dość duże mieszkanie i wolny pokój. Oczywiście, po załatwieniu różnych skomplikowanych formalności, zacząłem się starać o samodzielne mieszkanie.

Moja współpraca z Łukomskim nie mogła układać się dobrze, gdyż był to człowiek stosunkowo młody i zupełnie nieorientujący się w swych obowiązkach, a już nie mogło być mowy, aby dał mi jakieś wytyczne, co ja mam robić. A więc wszyscy nic nie robiliśmy. Prócz mnie w wydziale ekonomicznym było jeszcze kilka osób, a między innymi Roman Smereczyński, który ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie i na pewno miał lepiej w głowie od Łukomskiego. Była też pani Kamińska, która mówiła, że zawsze przyznaje się do 39 lat. Wdowa po majorze z DOK Brześć.

Mieszkanie u Łukomskiego wyglądało tak, że palenie w piecu odbywało się w moim pokoju. Początkowo mieliśmy palić kolejno, ale Łukomski sprytnie wykombinował, że po stołówkowym obiedzie on musi jeszcze pracować i wracał do domu później. Oczywiście ja, nie chcąc marznąć, paliłem codziennie w piecu.

Moje warunki materialne przedstawiały się zupełnie opłakanie. Wyżywienie w stołówce było straszne: rano gorzka lura imitująca kawę i suchy chleb kartkowy, trudno powiedzieć z jakiej mąki. Na obiad wodnista zupka, do rąbka głębokiego talerza i na drugie danie – mikroskopijny kawałek mięsa z odrobiną ziemniaków lub innej jarzyny. Po obiedzie człowiek czuł większy głód niż przed obiadem. Na kolację również lura z suchym chlebem. Gdy ułożyłem swój budżet, to okazało się, że stać mnie najwyżej na dożywianie za 16 zł dziennie. Tyle kosztowała bułka pszenna i taką bułkę zjadałem, oczywiście bez masła, na drugie śniadanie, na które dostawaliśmy gorzką lurę. Nie pamiętam, kto prowadził tę stołówkę, ale na pewno jakiś kanciarz. Gotowały i kelnerkami były dość przystojne i młode Niemki. Oczywiście nasi głupi urzędnicy starali się mówić z nimi po niemiecku, co mnie wreszcie zgniewało i powiedziałem parę słów prawdy na ten temat.

Praca w tej instytucji miała tylko jedną dobrą stronę, że można było kupić, po bardzo niskich cenach, trochę poniemieckich rzeczy. Na moje szczęście, spotkałem tam plutonowego Bielskiego ze szwoleżerów, który był kierownikiem delegatury w Kłodzku czy gdzieś na południu Śląska. On odebrał ode mnie zezwolenie na zakup rzeczy i obiecał mi przysłać co się da za pierwsze 300 zł. Przysłał mi moc różnych niezbędnych rzeczy, jak bielizna osobista i pościelowa, a nawet jakieś ubranko i paltko, które zresztą nie nadawało się, bo było za małe. Prócz tego kupiłem na miejscu świetną, puchową pierzynę i poduszkę.

Zawdzięczając Romkowi Smereczyńskiemu znalazłem mieszkanie, co prawda ograbione doszczętnie przez jakiegoś oprycha, który dostał je przede mną, a który wywiózł wszystko, nie wyłączając licznika gazowego. W mieszkaniu brakowało 16 szyb, a był już grudzień. I tu znalazł się jakiś zacny wachmistrz, który dostał ogrodnictwo na przedmieściu Świdnicy i który zupełnie

bezinteresownie wprawił mi szyby w zewnętrzne okna. Przy małej pracy w biurze, a przy dużych staraniach, urządziłem sobie mieszkanie. Wprawdzie bardzo skromnie, ale po miesiącu od przyjazdu byłem na własnych śmieciach. Przed Bożym Narodzeniem dostałem jakąś premię czy coś w tym rodzaju, co pozwoliło mi na zakupienie 50 kg węgla.

Wilię spędziliśmy arcysmutnie, bo razem ze Smereczyńskim w stołówce, gdzie dostaliśmy prócz zwykłej lury z suchym chlebem, dokładnie po dzwonku śledzia. W prezencie na gwiazdkę napaliłem sobie pierwszy raz w łazience i nareszcie wykąpałem się.

Płacono nam wprawdzie bardzo marnie, ale dyrektor starał się dawać nam dodatkowo różne rzeczy pozostałe po Niemcach, które można było sprzedać. Podział tych dodatków był niesprawiedliwy. Młodsi urzędnicy dostawali coś niecoś, aby tylko starsi mogli lepiej się zaopatrzyć.

Po Nowym Roku 1946 przyszła wiadomość, że Wojewódzki Zarząd Tymczasowy ma być przeniesiony do Wrocławia. To mnie absolutnie nie urządzało, zwłaszcza że o mieszkaniach w zrujnowanym Wrocławiu nie mogło być mowy. Postanowiliśmy z Romanem, że nie pojedziemy i wymówimy pracę. Gdy się z tym zwróciłem do dyr. Lipińskiego, ten chciał mnie koniecznie zatrzymać. Wprawdzie moje stosunki z Łukomskim na tyle się popsuły, że przeniosłem się do wydziału ogólnego, na pewno nieprzychylnie zaopiniowany, ale naczelnik wydziału – Mitek, były wachmistrz i szef kancelarii pułkowej 22 pułku ułanów – był mną zachwycony (pułkownik dyplomowany, podwładnym wachmistrza – to można być zachwyconym!). Dyrektor Lipiński, wchodząc w moje położenie mieszkaniowe, proponował, abym pozostał na stanowisku inspektora kontroli delegatur powiatowych. Odmówiłem. Perspektywa jazdy koleją w zimie po Śląsku, w strasznym tłoku, przy moim podniszczonym umundurowaniu, wydała mi się nie do przyjęcia. Powiedziałem o tym Lipińskiemu. A on na to: „Panie pułkowniku, czy pan myśli, że wyjedzie pan z pierwszej kontroli w delegaturze, bez kompletnego wyekwipowania, łącznie z futrem?” Na łapówki za nieuczciwe kontrole nie mogłem się godzić. Kategorycznie odmówiłem i zwolniłem się z pracy.

Znalazłem nową pracę w powiatowym zarządzie Związku Samopomoc Chłopska. Posadę tę dostałem tylko dzięki stosunkom przedwojennym. Prezesem zarządu był Okulicki, młodszy brat Leopolda – generała i mego kolegi ze Sztabu Głównego, później zamordowanego w więzieniu w Moskwie. Gdy dogadaliśmy się, oczywiście że zostałem przyjęty. Miałem być referentem spółdzielczym.

Funkcja moja miała polegać na namawianiu osadników – chłopów, do zakładania we wsiach sklepów spółdzielczych. Kilka razy, o ile przysłano

podwodę, wyjeżdżałem do różnych wiosek. Zwołane zebrania organizacyjne odbywały się w ten sposób, że musiałem wysłuchać całej masy narzekań na brak koni, krów, nawozów sztucznych i całego szeregu braków i trudności, na jakie natknęli się osadnicy, wymyślań na rząd i na konieczność porzucenia gospodarstw na dawnych Kresach. O spółdzielczych sklepach mało się mówiło i bardzo wątpię, czy na skutek moich przemówień powstał choć jeden sklep spółdzielczy. Zebrania te robiły wrażenie dawnych sejmików szlacheckich, gdzie szlachta zagrodowa dużo gadała, a mało robiła. W każdym razie, na zakończenie zebrania obowiązkowo goszczono mnie wódką i kiełbasą, a nigdy od tego nie mogłem się wykręcić. Ponieważ wyjazdy takie odbywały się najwyżej raz w tygodniu, przez resztę dni albo nudziłem się, albo załatwiałem sprawy, których moi przełożeni nie umieli załatwić. Okulicki często wyjeżdżał, zastępcą jego był porządny chłop spod Bochni – Gnutek, który najczęściej siedział tylko na kanapie i wygniatał Kasię, też chłopkę spod Bochni, a urzędniczkę zarządu.

Ponieważ referent rolny starostwa żądał często przedstawiciela Samopomocy Chłopskiej przy załatwianiu różnych spraw, z reguły mnie wyznaczano. Nie bardzo mi to odpowiadało. Musiałem np. jechać z urzędnikiem starostwa godzić powaśnionych osadników. Przyjeżdżamy do wsi rano. Sołtys zaprasza na śniadanie i częstuje wódką. Ja oczywiście nie zgadzam się na żadne picie, zwłaszcza przed załatwieniem spraw służbowych. Mój towarzysz ze starostwa jest oburzony, bo jego mało co obchodzi, on chce za darmochę napić się i zjeść. Rezultat, że oczywiście sam załatwiam spór i wszystko jest w porządku, a mój towarzysz przymawia się tylko o pieczywo i zabiera je nie płacąc. W ogóle nie nadawałem się do takich stosunków. Sprawy służbowe traktowałem poważnie, jak w wojsku przed wojną, a zupełnie nie umiałem bimbać sobie z obowiązków. Choć jeszcze w 1946 roku ludzie trochę pamiętali czasy przedwojenne i byli mniej zdemoralizowani niż obecnie. Socjalizm narzucony przez Sowiety dopiero kiełkował i jeszcze nie rozwinął w pełni swego zakłamania i braku poczucia obowiązku w stosunku do własnej Ojczyzny.

Zdarzały się śmieszne kawały. Starostą w Świdnicy był początkowo jakiś emerytowany przed wojną kapitan, który stale występował w mundurze. Kiedyś, przemawiając na jakimś zebraniu czy uroczystości, na zakończenie wniósł okrzyk: „Niech żyje marszałek Rydz-Smigły!”, oczywiście zamiast Żymierski. Ta gafa nie wyszła mu na dobre i wylano go ze stanowiska.

Jeszcze gdy byłem w Zarządzie Tymczasowym, wydelegowano mnie na otwarcie świetlicy Samopomocy Chłopskiej w Świdnicy. Świetlicę, jeszcze wtedy, poświęcił ksiądz. Po poświęceniu odbyło się śniadanie z wódką i tartinkami z kiełbasą. Siedziałem naprzeciwko sekretarza PPR. Zaczęły się przemówienia,

a zaczął prałat słowami: „Ja, jako syn chłopa" itd. Po księdzu przemawiał jakiś dygnitarz miejscowy i też zaczął: „Ja, jako dziecko ludu" itd. I tak każdy przemawiający zaczynał legitymować się pochodzeniem. Nie wytrzymałem i powiedziałem do sekretarza PPR: „Jaka różnica od czasów przedwojennych? Dawniej każdy chciał być szlachcicem lub hrabią, a dziś każdy chce być chłopem lub robotnikiem! Nikt nie patrzy, co człowiek jest wart, tylko kto go urodził lub spłodził". A sekretarz: „Ee, bo przed wojną też byli dobrzy panowie. Mnie jako sierotę wychowano we dworze i dobrzy dla mnie byli".

Praca w Samopomocy Chłopskiej mi nie odpowiadała. Zarabiałem 1700 zł, ale stołówka była droższa, a niewiele lepsza, tak że moje warunki materialne ciągle były pod psem. Trochę mnie ratował Smereczyński, który spotkał jakiegoś znajomka mającego młyn poniemiecki i ten dał mu worek pęczaku. Chodziłem więc po kolacji do Romków, a Zosia, która mnie lubiła, gotowała nam pęczak i tym dożywialiśmy się.

W tym czasie Janek Jastrzębski dostał posadę jakiegoś dyrektora w Rychbachu (obecnie Dzierżoniów) i odwiedził mnie w Świdnicy. Namawiał mnie, abym obejrzał się za lepszą posadą. W końcu marca Roman też mnie zaczął dusić, abym zmienił posadę. Rozpoczął on pracę w Delegaturze Przemysłu Materiałów Ogniotrwałych i twierdził, że tam poszukują pracowników.

Ponieważ przytoczył słuszny argument, że nic nie stracę jak pójdę zapytać się – poszedłem. Przychodzę rano, jak tylko zaczyna się urzędowanie. Wchodzę do przedpokoju, siadam i czekam, że może pojawi się jakiś woźny, który zamelduje mnie. Na drzwiach widzę napisy: „Dyrektor", a na drugich: „Kierownik zaopatrzenia". Czekam – nikogo nie widać. Wreszcie wpada zdyszana jakaś panienka. Pomalowała usta przed lustrem w przedpokoju i popędziła w głąb lokalu. Po chwili druga – to samo. Widzę, że nic nie wyczekam, pukam więc do drzwi dyrektorskich.

– Proszę!

Wchodzę. Dwa biurka zestawione. Na lewo siedzi stosunkowo młody człowiek, na prawo elegancki siwy pan.

Pada pytanie:

– Pan w jakiej sprawie?

– Ja w sprawie pracy – odpowiadam.

Proszą, abym usiadł i zaczynają się pytania.

– Co pan umie?

– Dotychczas umiałem wojować, ale mam nadzieję, że i coś innego potrafię robić. Byłem w wojsku pułkownikiem dyplomowanym.

To zrobiło pewne wrażenie. Ton dyrektorów zrobił się znacznie przychylniejszy.

– Nie mamy dla pana pracy w Świdnicy, ale gdyby pan zdecydował się wyjechać, to w powiecie Środa Śląska mamy dla pana posadę lepszą, niż jaką możemy zaofiarować na miejscu.

– To mnie nie urządza. W Świdnicy mam mieszkanie, a dość już natułałem się po świecie i chciałbym choć trochę zacząć żyć jak człowiek – odpowiadam.

– No, ale mógłby pan znacznie więcej zarobić.

– Ile? – pytam.

– Damy panu IV grupę i zrobimy pana kierownikiem administracyjnym kopalni glin ogniotrwałych.

– Ale ile to w gotówce wyniesie, bo mogę się zgodzić, o ile proponowana pensja zaimponuje mi – pytam.

– Może pan mieć ponad 3000 zł, a z czasem dojdzie premia, ale musi pan wszystko zorganizować i uruchomić kopalnię, bo później przyślemy dyrektora.

Szła wiosna. Byłem więc zdecydowany wziąć tę posadę na próbę, nie zrzekając się mieszkania w Świdnicy, lecz chyba pierwszy raz w życiu zabawiłem się w dyplomatę i odpowiedziałem:

– Nie bardzo wysokość proponowanej pensji zaimponowała mi, muszę się namyślić zanim dam panom odpowiedź.

Stanęła umowa, że dam odpowiedź w poniedziałek, a rozmowa toczyła się w sobotę. Pożegnałem się i wyszedłem. W przedpokoju dogonił mnie siwy pan, inżynier Mindak, zwany profesorem i jeszcze raz prosił, abym koniecznie w poniedziałek dał odpowiedź, bo im bardzo zależy na szybkim uruchomieniu kopalni. Zapewniłem, że dam w terminie konkretną odpowiedź.

Po naradzeniu się z Romanem postanowiłem zgodzić się. Zosia obiecała, że dopilnuje mieszkania, bo mieszkaliśmy w jednym bloku (ulica Wodna 30).

W poniedziałek rano poszedłem do delegatury. Wchodzę do gabinetu dyrektorskiego, a już od progu słyszę głos inżyniera Mindaka:

– Dobrze, że pan przyszedł, panie pułkowniku. Damy panu III grupę i zrobimy pana dyrektorem.

– Tak to zgadzam się, bo przyszedłem, aby panów zawiadomić, że na warunki proponowane przez panów w sobotę nie mogę się zgodzić.

Stanęło więc na tym, że następnego dnia pojadę samochodem z Mindakiem do Górnego Ujazdu, aby zobaczyć kopalnię i dać ostateczną odpowiedź. Było to 1 kwietnia 1946 roku.

Następnego dnia rano wyjechaliśmy samochodem do Górnego Ujazdu. Kręciliśmy trochę, bo w labiryncie szos śląskich niełatwo się orientować, a miejscowi Niemcy niechętnie udzielali informacji. Wreszcie dotarliśmy do tzw. kopalni. To co zobaczyłem nie było zachęcające. W bok od szosy po prostu staw z wysoką hałdą z jednej strony. Po stawie spokojnie pływały dzikie kaczki,

a z daleka widać było na hałdzie bawiące się młode lisy. Obok drugi staw. Od pierwszego stawu prowadził nasyp, na którym leżało trochę szyn kolejki wąskotorowej, a kończący się zrujnowaną drewnianą rampą. W pobliżu rampy jakiś mały budyneczek i blaszany budynek na transformator.

– To jest kopalnia – powiedział Mindak. – Stąd też będzie pan musiał za dwa miesiące dać produkcję.

Widocznie miałem niewyraźną minę, bo Mindak złapał mnie za rękaw ze słowami:

– Ale niech pan nie ucieka!

Gdyby wtedy nie ukazało się na chwilę słońce, pewno uciekłbym. A tak pomyślałem: „Idzie wiosna, może jakoś dam sobie radę". Zapytałem tylko:

– To co tu trzeba zrobić?

Mindak wyjaśnił mi:

– Najpierw trzeba sobie wynaleźć lokal na biuro i mieszkanie, później postarać się o zamontowanie transformatora, który trzeba przywieźć z elektrowni ze Strzegomia i naprawić połączenia, następnie wypompować wodę, a w końcu po osuszeniu kopalni i odmuleniu, zacząć kopać glinę.

Nie bardzo jeszcze zdawałem sobie sprawę z wartości tej gliny, lecz Mindak wyjaśnił mi, że to jest glina szamotowa, o wysokiej wartości ogniotrwałej i że bez niej nie może żyć hutnictwo żelaza. Jak się kopie, nauczę się przy starym sztygarze, Niemcu, nazwiskiem Laske, który pracuje na tej kopalni 20 lat i ma pochowany potrzebny sprzęt, jak motory elektryczne i pompy. Inne nieznane mi maszyny stały koło kopalni. Po chwili wyszedł z domku jakiś typ o wyglądzie wiejskiego chłopa. Mindak przedstawił mi go i powiedział mu, że ja będę jego dyrektorem. Laske popatrzył na mnie spode łba i nic nie powiedział. Mindak nakazał mu, aby rozpoczął porządkowanie kopalni robotnikami Niemcami, a ja jak przyjadę, to im zapłacę i będę wydawał dalsze dyspozycje.

Wróciliśmy do Świdnicy. Dyrektor administracyjny delegatury, Adam Wilman (obecny ambasador w Rzymie) doręczył mi na piśmie nominację na dyrektora Kopalń Glin Ogniotrwałych w Górnym Ujeździe z dniem 1 kwietnia 1946 roku.

Musiałem teraz wymówić pracę w Samopomocy Chłopskiej. Okulicki nie robił mi żadnych trudności i uznał, że od 15 kwietnia mogę odejść definitywnie. Prosił tylko, abym dla formalności pokazał się czasem w ciągu okresu rozwiązania umowy o pracę. Zapłacili mi tak, jakbym pracował do 15 kwietnia.

Czy można sobie wyobrazić, aby były oficer kawalerii był na tyle nieuczciwy i wziął nie pracując, pieniądze? Ja też nie wziąłem, a pozostawiłem je, z tym, aby przekazali moją dwutygodniową pensję któremuś osadnikowi na zakup krowy. Przypuszczam teraz, że uważali mnie za wariata i pewno te pieniądze

przepili. W ten sposób mój stosunek z Samopomocą Chłopską został rozwiązany honorowo.

Na drugi dzień po powrocie z Górnego Ujazdu przyszedłem do Delegatury, aby przedstawić mój plan działania. Najpierw oświadczyłem, że nie mogę sam jechać na to pustkowie, a że muszę sobie stworzyć minimalną ekipę kadrową. Później muszę mieć jakikolwiek środek lokomocji. Wreszcie, muszę zabrać ze Świdnicy niezbędny ekwipunek, jak maszynę do pisania, papier i inne materiały, a prywatnie zaopatrzyć się w środki żywnościowe, choćby najskromniejsze. Na to potrzebuję trochę pieniędzy. Zapytałem również, czy mam działać ściśle według przepisów formalnych, czy też obdarzą mnie wiarą, że jestem uczciwym człowiekiem i otrzymam trochę swobody działania. Z pewnym strachem Wilman zgodził się na pozostawienie mi pewnej swobody, ale widać było, że nie był pewny, czy to nie zbyt wielkie ryzyko. Pozwolono mi kupić samochód, ale formalnie, z rachunkiem. Na Śląsku było wtedy trochę samochodów, ale ten co chciał sprzedać, to nie chciał wystawić rachunku, bo wszystkie samochody pochodziły z tzw. szabru. Musiałem więc zrezygnować chwilowo z samochodu i kupiłem 3 rowery. Otrzymałem do rozliczenia 5000 zł.

Teraz trzeba było stworzyć w jakiś sposób ekipę kadrową. Spotkałem na ulicy młodego człowieka, którego znałem z widzenia ze stołówki i wiedziałem, że jest podporucznikiem saperów. Powrócił z obozu Grosborn. Zaczepiłem go i zaproponowałem mu, aby puścił kantem Tymczasowy Zarząd i pojechał ze mną. Trochę się namyślał, ale zgodził się. Nazywał się Jerzy Ficner (obecny mąż mojej bratanicy i chrześniaczki, dyrektor). Zaprowadziłem go do Delegatury i zaangażowano go. Szybko znalazł się jeszcze jeden kandydat. Był nim Ślązak – Stebel, przysłany z Gliwic ze Zjednoczenia. A więc miałem już Ficnera, którego przewidziałem jako pomoc techniczną, a Stebla, byłego restauratora, jako pomoc gospodarczą. Wreszcie zgłosił się pracownik fizyczny. Młody człowiek nazwiskiem Miszczyk. Z taką ekipą uważałem, że mogę jechać. Kupiłem dwa rowery (dla siebie damkę, bo nie umiałem jeździć), maszynę do pisania i różne materiały pisemne. Rowery i maszyna były używane, ale w możliwym stanie.

Najpierw wysłałem Stebla, aby zorganizował stołówkę dla Niemców, którzy już tam pracowali i dał im zaliczkowo trochę pieniędzy.

Stebel pojechał do Górnego Ujazdu, choć pociągi osobowe na linii Świdnica – Strzegom – Środa Sląska – Malczyce jeszcze nie chodziły. W bardzo niedługim czasie dostaliśmy ciężarówkę i zabierając rzeczy też pojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się u sołtysa, który odstąpił nam na parę dni jeden pokój w swoim domu. Na drugi dzień zjawił się urzędnik z PUR. Omówiłem z nim nasze potrzeby i poszliśmy szukać lokalu na biuro i mieszkania. Górny Ujazd to

niewielka wioska przy torze kolejowym Strzegom – Malczyce, lecz posiadała, prócz gospodarstw rolnych, wielki młyn elektryczny, tartak, kopalnię glin i oczywiście stację kolejową. Była tam bardzo elegancka willa właściciela młyna, lecz wewnątrz zniszczona w wandalski sposób i ograbiona ze wszystkiego. Widać było, kto to uskutecznił. Kupy w łazience i pokojach świadczyły wyraźnie o ich wschodnim pochodzeniu. Pewno też trochę pomogli osadnicy. Ponieważ za dużo kosztowałby remont willi, zdecydowałem, że na biuro weźmiemy budynek biurowo-mieszkalny przy tartaku. Wyprowadzono więc Niemców z tego budynku i natychmiast zaczęliśmy urządzać biuro. Jako mieszkania dla nas wzięliśmy dwa domki jednorodzinne z hitlerowskiego budownictwa, po uprzednim usunięciu Niemców. A więc biuro i mieszkania mieliśmy.

Teraz najpilniejszą sprawą było zainstalowanie transformatora na kopalni, aby można było rozpocząć odpompowywanie wody. Pożyczonym oplem z Jaroszowa pojechałem do Strzegomia i całą sprawę w elektrowni omówiłem. Delegatura przysłała ciężarówkę i Ficner zajął się sprowadzeniem i zainstalowaniem transformatora. Jak tylko uzyskaliśmy prąd, Laske wyciągnął z jakiegoś ukrycia pompę i motor i pompowanie rozpoczął. Sprawy techniczne ruszyły. Teraz musiałem załatwiać cały szereg spraw formalnych. Najpierw zarejestrować kopalnię w urzędzie skarbowym, otworzyć konto w NBP we Wrocławiu i w PKO. Ubezpieczyć pracowników w ubezpieczalni i kopalnię w PZU.

Śmieszną miałem rozmowę z dyrektorem NBP. Był to już starszy pan i miałem wrażenie, że musiał być przedwojennym, jeżeli nie dyrektorem, to na pewno bankowcem. Przyjął mnie bardzo grzecznie, lecz trochę z niedowierzaniem patrzył na mój mundur, świadczący, że pewno nie jestem rezerwistą. Po wysłuchaniu mnie, o co mi chodzi, zapytał: „A czy te kopalnie naprawdę istnieją? Czy mógłby pan na mapie pokazać gdzie one są?”. Pokazałem więc na wiszącej mapie Śląska. „A jak to można sprawdzić” – zapytał. Odpowiedziałem, że o ile ma samochód, to może przyjechać i zobaczyć. Uwierzył. Zapowiedział tylko, że ponieważ moja nominacja wystawiona jest na 3 miesiące, tj. do 30 czerwca, od 1 lipca nie wypłaci ani grosza na mój podpis. W PKO też otworzyłem konto. I tu, przynajmniej przez godzinę, dwóch urzędników i urzędniczka pouczali mnie o sprawach możliwości odbierania pieniędzy na poczcie w Środzie Śląskiej, do której było najbliżej z Górnego Ujazdu, bo do Wrocławia przeszło 50 kilometrów Poinformowano mnie, że o ile stale będę miał w PKO 20 tysięcy, to na poczcie zawsze będę mógł odebrać do 10 tys. zł. Zawiadomiłem o tym delegaturę i wpłacono te 20 tys., lecz z odbieraniem było gorzej, bo przeważnie poczta nigdy nie miała 10 tys. zł w kasie, aby wypłacić. Złożyłem też podanie o telefon. Tu musiałem wreszcie zrobić małą awanturę. Kierownik poczty w godzinach urzędowych wychodził do domu na śniadanie i zawsze, gdy

przyszedłem ponaglić założenie telefonu, dowiadywałem się, że pan kierownik jest na śniadaniu.

Gdy najważniejsze sprawy zostały załatwione, otrzymałem z Gliwic, przez Świdnicę, głównego księgowego, nazwiskiem Sobik – Ślązaka, który jako jeniec z wojska niemieckiego był jakiś czas w naszym wojsku na Zachodzie. Przysłano również sekretarkę – Ślązaczkę, nazwiska nie pamiętam, na imię miała Fryda, do której zaczął cholewki smalić Ficner. Personel zwiększał się. Zaczynali też napływać robotnicy Polacy. Mogę śmiało powiedzieć, że po miesiącu wszystko jako tako było zorganizowane, co oczywiście wzbudzało zachwyt u moich władz przełożonych. Rozpocząłem też starania o przydział pasa gruntu, aby położyć tor kolejki wąskotorowej z kopalni do stacji oraz na kolei o wybudowanie rampy. Z gruntem szło ciężko, bo robiono trudności, ale wreszcie przydzielono. Natomiast urzędnicy kolejowi bez łapówek nic nie chcieli robić. Oczywiście łapówek nie mogłem dawać, bo zresztą z jakich pieniędzy, a więc sprawa ciągnęła się bez końca.

W ciągu dwóch miesięcy kopalnia była odpompowana, obsuszona i zaczęła się produkcja. Do wysyłki glin zakupiono mi starego trupa – ciągnik z przyczepą. Gdy załadowaliśmy pierwszy wagon, zostało to uczczone małym oblaniem dla załogi polskiej.

Świetny kawał zdarzył się w niedługim czasie po zorganizowaniu kopalni. Przyjechał jakiś typ z Piekar, gdzie też była kopalnia odkrywkowa glin i oświadczył, że Górny Ujazd należy do jego jakiegoś zjednoczenia i on ją obejmuje. Wyśmieliśmy go z Ficnerem, pokazując mu dowody, że wszystko załatwione jest prawnie. Durny typ napisał raport, który później czytałem, który określił nas jako osobników w mundurach, a którzy staroszlacheckim zwyczajem zrobili najazd i wzięli bezprawnie w posiadanie kopalnię, Uśmiałem się z tego. Kiedyś, gdy projektowano kopalnię w Piekarach przydzieloną mi pod zarząd, spotkałem tego typa.

Moje prace w Górnym Ujeździe postępowały w szybkim tempie i z dobrymi rezultatami. Zbliżał się lipiec i mój okres próbny kończył się. Postawiłem więc warunek, że pozostanę na stanowisku, ale żądam II grupy uposażenia jako etatowy dyrektor. W błyskawicznym tempie dostałem nominację, a więc postanowiłem pozostać na stałe w Górnym Ujeździe.

Tego lata 1946 roku powróciła z Rosji moja bratanica i chrześniaczka – Maria, zwana Bizią. Miała chyba 18 lat, bo gdy ją wywieźli na Syberię wraz z moją matką i ciotką, miała 12 lat. Biedactwo przyjechało dość zagłodzone i oczywiście, tak jak wyjechała po 7 oddziałach szkoły powszechnej, tak i powróciła. Zajechała do jakiejś przyszywanej ciotki w Milanówku i stamtąd napisała do mnie, jakoś zdobywając adres. Pojechałem więc do Milanówka i zabrałem ją do

Górnego Ujazdu. Ponieważ nie było warunków, aby ją kształcić, dostała posadę w kopalni jako kasjerka.

W sierpniu, kiedy byłem na kopalni, przyjechał do mnie dyrektor Wilman ze Sługockim i Gorczycą z Jaroszowa. Przyjechali w następującej sprawie: Gorczyca nie chciał pozostać w Jaroszowie, bo rzekomo chciano go zabić, przynajmniej tak miał słyszeć podczas zabawy robotniczej jeden z urzędników i powtórzył to Gorczycy. Gorczyca narobił gwałtu i zatelefonował po UB. Przyjechali i nic nie wykryli, ale Gorczyca pozostał tak wystraszony, że za nic nie chciał pozostać w Jaroszowie. Wilman przyjechał, aby mi zaproponować objęcie Jaroszowa, w którym było więcej odkrywek niż w Górnym Ujeździe, bo były już trzy czynne kopalnie. Nie zgodziłem się, motywując nie strachem, lecz zupełnym brakiem opłacalności z punktu widzenia osobistego. W Górnym Ujeździe moja pensja doszła już do 12 tys. zł miesięcznie i nic więcej mi nie proponowano. Tu włożyłem dużo pracy i chciałem doprowadzić ją do końca. Miałem już urządzone mieszkanie i zaczęło mi się zupełnie dobrze powodzić. Nie miałem ochoty ruszać się z miejsca. Wilman odjechał z niczym. Lecz po paru dniach przyjechał znowu, chyba z kimś z Gliwic. Teraz już z trochę inną propozycją. Zaproponowano mi objęcie Jaroszowa z dotychczasową pensją, lecz z pozostawieniem kierownictwa Górnego Ujazdu z dodatkową pensją jeszcze 6 tys. zł. To mi już lepiej odpowiadało i zgodziłem się z tym, że zastępczym kierownikiem w Górnym Ujeździe będzie Ficner, a ja będę dojeżdżał z Jaroszowa dla kontroli i załatwiania różnych ważniejszych spraw. Mieszkanie pozostawiłem Bizi, a sam zabrałem tylko niezbędne rzeczy i wyjechałem do Jaroszowa.

W Jaroszowie oczywiście już wiedziano, że ja mam przyjść na dyrektora. Gorczyca wyjechał i miał przyjechać tylko na parę godzin, aby formalnie zdać mi funkcję. Przyjęcia doznałem ze strony urzędników zupełnie nieżyczliwego. Zaraz po moim przyjeździe tłumnie weszli do gabinetu dyrektorskiego i oświadczyli, że wszyscy proszą o zwolnienie z pracy, podając bardzo mętne powody. Odpowiedziałem, że zgadzam się na zwolnienie wszystkich, tylko z tym warunkiem, że póki nie zaangażuję nowych pracowników, muszą pozostać. Odeszli patrząc spode łba. Jeszcze tego samego dnia przyszło dwie czy trzy osoby, abym im podpisał, że pracowali w godzinach nadliczbowych. Nie podpisałem, oświadczając, że będę podpisywał tylko w tym przypadku, o ile otrzymają ode mnie zlecenie do pracy. Szczególnie natarczywie zachowywał się jeden z urzędników – Ślązak, który zestawiał listy płac robotników, bo żadnej konkretnej organizacji w Jaroszowie nie było i nic takiego nie zastałem. Ten naiwny i głupi człowiek przedstawił mi do podpisu swój wykaz godzin nadliczbowych, z którego wynikało, że kilka po sobie następujących dni pracował po 16 godzin nadliczbowych. Gdy go zapytałem, jak on to wytrzymuje,

pracując 8 godzin normalnych i 16 nadliczbowych, bez przerwy przez kilka dni, odpowiedział, że on nie może pracować w dzień i w godzinach normalnej pracy śpi, a pracuje w godzinach nadliczbowych. Oczywiście, że tego niepoważnego tłumaczenia nie uwzględniłem i zlecenia na wypłatę nie podpisałem. Jak się szybko zorientowałem, to właśnie ten typ uknuł całą intrygę z zabiciem Gorczycy, gdyż myślał, że jego zrobią dyrektorem. On również namówił tych paru głupich urzędników, aby zrobili demonstrację ze zwolnieniem się z Jaroszowa. Faktycznie, że z Gorczycą mieli o tyle dobrze, bo on sam robił i pozwalał robić drobne świństwa.

Gorczyca był porucznikiem 16 pułku ułanów i jako słaby oficer został wyznaczony na dowódcę taborów, chyba 17 Dywizji Piechoty w Lesznie. Za czasów marszałka Śmigłego-Rydza awansowano takich różnych wybrakowanych oficerów, robiąc wielką krzywdę armii i wtedy Gorczyca awansował na kapitana. Był w niewoli, a po powrocie, będąc szwagrem ówczesnego naczelnego dyrektora Zjednoczenia dostał posadę dyrektora w Jaroszowie. Jak się później okazało, nie tylko był słabym organizatorem, ale jako człowiek też mało wartościowy, o ile nie świnia. Najpierw sam uciekł z Jaroszowa, a później robił intrygi przeciwko mnie, które zresztą zupełnie mi nie zaszkodziły.

Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe do Jaroszowa poszedłem na kopalnię. Najpierw na rampie załadowczej robotnicy wystąpili ze skargą, że codziennie pracują w godzinach nadliczbowych przy załadunku gliny i nikt im za to nie płaci. Obiecałem zbadać sprawę. Faktycznie, jak się później okazało, byli krzywdzeni. Na kopalnię przyszedłem z witką wierzbową w ręku i od razu powiedziałem górnikom, że jestem ich nowym dyrektorem. Przyjęli to dość obojętnie, lecz żadnych wrogich nawet spojrzeń nie zauważyłem.

Zakwaterowałem się w pokoju, który zajmował Gorczyca. Były tam dwa łóżka, stolik, dwa fotele, jakieś krzesła i może szafa. Urządziłem się tak, że do mego sypialnego pokoju przylegał gabinet, który w godzinach pracy był gabinetem służbowym dyrektora, a po pracy – prywatnym. Ze stołowaniem się było słabo. Stołówka dla pracowników była kiepska i wydawała tylko gęste zupy. Teoretycznie zupa powinna zawierać 1500 kalorii, bo to miało być pożywienie wydawane dla podtrzymania energii podczas pracy. Gorczyca zorganizował to inaczej. Zupę wydawano po pracy, a robotnicy uważali to za obiad. Kupiłem więc sobie w Świdnicy maszynkę elektryczną, na której smażyłem jakiś kawałek mięsa lub jajka. O jajka było trudno, bo w 1946 roku kur było bardzo mało, natomiast o mięso było łatwo, bo w Jaroszowie był prywatny rzeźnik i prosperował zupełnie dobrze. Na śniadanie robiłem sobie herbatę. Bułki też były z prywatnej piekarni. W tym czasie było łatwiej żyć, bo socjalizm jeszcze tak nie dokuczał. Później zniesiono prywatne sklepy, pozostawiając jedynie

prywatną knajpę, własność członka PPR, w której robotnicy pozostawiali swoje zarobki, pijąc wódkę.

Kiedy objąłem Jaroszów pracowało w nim 170 robotników, przeważnie wyreklamowanych Niemców i niewielka liczba Polaków. Było około 20 pracowników tzw. „umysłowych", z których ani jeden nie miał matury, a tylko 7 oddziałów szkoły powszechnej. Stan maszyn, zwłaszcza transportowych, był zupełnie katastrofalny. Warsztat reperacyjny mieścił się w małej kuźni. Kopalnie w Jaroszowie i w Rusku były to prywatne odkrywki poszczególnych właścicieli – Niemców, mających tylko, prawdopodobnie, wspólnie wybudowany tor kolejki wąskotorowej, po którym wożono glinę do rampy załadowczej na stacji kolejowej. Każda odkrywka miała osobny budyneczek, czasem kuźnię i swój transformator. Kopalnie glin ogniotrwałych, jako odkrywkowe, za Niemców nie podlegały urzędom górniczym i każdy, kto na swoim gruncie znalazł pokłady gliny, eksploatował je jak chciał. Po przyłączeniu Ziem Zachodnich do Polski, z tych prywatnych odkrywek postanowiono zrobić jedną państwową kopalnię podległą woli górniczej. Przed Gorczycą zrobił to połączenie jego poprzednik, który zresztą bardzo krótko działał w Jaroszowie i po wyszabrowaniu co się dało, wyjechał. Gorczyca był duszony, aby dawał jak największą produkcję, bo huty domagały się gliny. Ganiał więc Niemców, ile się dało w świątek i w piątek, prowadząc zupełnie rabunkową gospodarkę, bez żadnej myśli o przyszłości. Dopiero 4 września zdał mi swoje obowiązki, namówiwszy uprzednio, bez mojej wiedzy, kilku robotników, aby pojechali do delegatury w Świdnicy z prośbą o pozostawienie Gorczycy w Jaroszowie. Przed ostatecznym odebraniem Jaroszowa od Gorczycy powiedziałem mu szczerze, że rzekomy przygotowywany zamach na jego życie był wielką bujdą i że może bez strachu pozostać w Jaroszowie, a ja powrócę do Górnego Ujazdu. Nie uwierzył i nie zgodził się.

Dnia 4 września 1946 roku mieliśmy po południu wyjechać do Świdnicy, aby na drugi dzień rano załatwić sprawy w banku. Lecz Gorczyca poszedł jeszcze gdzieś popijać i nie mogłem go ściągnąć, aby za dnia wyjechać. Wyjechaliśmy, gdy się już zupełnie ściemniło i o mało nie przepłaciliśmy tego życiem.

Do Świdnicy jechałem ja, Gorczyca, kasjerka i szofer Kosek. Jechaliśmy przez Żarów, gdzie minęliśmy jakąś wojskową, sowiecką ciężarówkę. Gdy wyjechaliśmy na szosę z Żarowa na Świdnicę, ciężarówka ta najpierw oświetliła nas silnym światłem i minęła. Nie podobała mi się ta zabawa z mijaniem. W 1946 roku niebezpiecznie było nie tylko na drogach, ale i we wsiach, gdyż rabunki dokonywane przez sowieckich żołnierzy były na porządku dziennym. Kiedy minęliśmy wieś Wierzbna i przejechaliśmy przez mostek w dolince, aby wyjechać na górę, zostaliśmy gwałtownie ostrzelani. Kosek zgasił światło i zatrzymał samochód, gdyż szosa była zatarasowana stojącą skośnie ciężarówką.

Drzwi od samochodu otworzono i zobaczyłem kilku oficerów sowieckich z naganami w ręku. „Kto strelał k' ruskim" – padło krzykliwe pytanie. „Dawaj pitalet" i tym podobne bzdury. Natychmiast nas zrewidowano. Mnie osobiście zabrali 17 tys. zł, okulary, płaszcz gumowy (zresztą lichy) i teczkę z papierami służbowymi. Gorczycy też podobno zabrali 10 tys. zł. Jedynie kasjerce nic nie zabrali. W pewnym momencie jeden z rabusiów krzyknął: „Maszyna idiot". Wtedy któryś wystrzelił kilka razy w oponę przedniego koła naszego samochodu i pobiegli do swojej ciężarówki. Widziałem, że alarm był fałszywy, bo żaden samochód w naszym kierunku nie jechał. Powiedziałem więc do swoich towarzyszy, abyśmy opuścili samochód i odeszli w ciemności w krzaki, bo sowieciarze mogą powrócić i nawet nas postrzelać. Gorczyca z kasjerką i Koskiem szybko oddalili się, a ja odszedłem kilka krokow w krzaki. Po pewnym czasie sowieciarze odjechali. Wtedy wyszedłem i próbowałem uruchomić motor, aby choć wolno i na postrzelanej oponie podciągnąć samochód bliżej wsi. Nie udało mi się jednak zapalić motoru. Pozostawiłem więc samochód i poszedłem w kierunku wsi. W drodze spotkałem Gorczycę idącego z kilkoma osadnikami. Popchaliśmy samochód do wsi i przenocowaliśmy u któregoś z gospodarzy. Rano okazało się, że po zmianie koła można jechać. Samochód był przestrzelony w jednym miejscu, lecz tak szczęśliwie, że pocisk przeszedł między nami i uwięznął, nie robiąc żadnej specjalnej szkody. W Świdnicy zameldowałem o napadzie milicji. Oczywiście musiałem napisać, że napadu dokonali jacyś osobnicy w mundurach sowieckich oficerów i mówiący po rosyjsku, a nie wprost, że oficerowie sowieccy. Ponieważ jechałem służbowo, zjednoczenie zwróciło mi zrabowane pieniądze i za rzeczy. Teczkę, po paru dniach, ktoś znalazł przy szosie i zwrócono mi. Nasza przygoda skończyła się szczęśliwie.

We wsi opowiadano nam, że były już dwa wypadki w ich wsi, że Sowieci zabili dwóch ludzi i to jednego tylko dla zrabowania roweru. 4 września po raz drugi byłem w poważnym niebezpieczeństwie życia. W 1944 roku, gdy bomba uderzyła w PKO i w 1946 roku, w czasie napadu na samochód.

Do pracy w Jaroszowie wziąłem się z całym zapałem i energią. Dużo ułatwiało mi życie posiadanie samochodu, bo miałem wiele wyjazdów. Pierwszą czynnością było zrobienie schematu organizacyjnego, który zresztą później kilkakrotnie poprawiałem i uzupełniałem. Personel pracowniczy tzw. umysłowych, po wylaniu owego głupiego, zawiedzionego prowodyra, nie zdradzał żadnej ochoty do opuszczenia posad. Wprost przeciwnie, zaczęło się niepotrzebne wazeliniarstwo. Ponieważ Niemców z Dolnego Śląska wysyłano do Niemiec, musiałem dołożyć dużo starań, aby uzupełnić braki Polakami. Przede wszystkim dążyłem, aby przy Niemcach uczyli się nasi ludzie obsługiwać maszyny, co częściowo udało się, choć maszyny trochę ucierpiały przy tym szkoleniu. Jeszcze

w 1946 roku pojechałem do Legnicy, gdzie przybywali repatrianci z zagranicy, aby zwerbować trochę ludzi. W Jaroszowie było jeszcze trochę wolnych mieszkań, opuszczonych przez wyjeżdżających Niemców, co było wielką zachętą. Przywiozłem więc do Jaroszowa sporo rodzin i ilość pracowników fizycznych stale zwiększała się. Oczywiście napływał bardzo rozmaity element. Byli tacy, którzy po otrzymaniu butów gumowych i ubrań roboczych uciekali, ale trafiali się też porządni i tym starałem się możliwie ułatwiać życie. Na przykład – gdy ktoś prosił, aby puścić go na kilka dni, bo chce przywieźć rodzinę, czasem nawet krowę – puszczałem chętnie, bo wiedziałem, że jak się zadomowi to będzie uczciwie pracował i niechętnie zmieni posadę. I faktycznie, po pewnym czasie przynajmniej połowę pracowników miałem porządnych. Drugą połowę stanowili rozmaici kombinatorzy. W tym okresie, na tzw. Ziemie Odzyskane wyjeżdżali ludzie nieszczęśliwi, wyrzuceni z siodła przez wojnę lub różne niebieskie ptaki. O porządnych pracowników było trudno i każdy, kto coś niecoś umiał i chciał, mógł zrobić karierę.

Zima z roku 1946 na 1947 była na Śląsku zupełnie wyjątkowo ciężka i bardzo śnieżna. Starzy ludzie, autochtoni, twierdzili, że 80 lat takiej zimy nie było. Oczywiście produkcja na odkrywkowych kopalniach była bardzo utrudniona, a transport często zupełnie niemożliwy. Fabryki szamotowe i porcelany domagały się gliny, a ja niewiele mogłem zrobić aby sprostać potrzebom...[94].

Którejś soboty w lecie 1947 roku dostałem telefoniczne zawiadomienie, abym w niedzielę nigdzie nie wyjeżdżał i był w biurze o wyznaczonej godzinie. Nie przejąłem się tą wiadomością, bo często miewałem odwiedziny różnych osób, że jedne więcej nic nie znaczyły, a w niedzielę i tak nigdzie nie wyjeżdżałem i siedziałem w domu. Prawie punktualnie o oznaczonej godzinie przyjechał autem dyrektora Żarowa Adam Wilman, a z nim jakaś niewiasta – Żydówka. Tęgawa, lat pod trzydzieści kilka, trochę umalowana. Przedstawiła się jako zastępca dyrektora personalnego Centralnego Zarządu Przemysłu Hutniczego. Gdy usiedliśmy w moim gabinecie prawie od razu przystąpiła do rzeczy. Powiedziała mniej więcej tak: „Panie dyrektorze, pan tak wydajnie i dobrze dla nas pracuje, że nie widzę powodu, aby pan nie wstąpił do PPR". Trochę mnie to zatkało, bo wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie takiej propozycji. Wprawdzie różne typy ze ze zjednoczenia robiły mi delikatne propozycje w formie napomknięć na ten temat, ale nigdy tego nie brałem poważnie i przeważnie zbywałem ich żartem. Odpowiedziałem, że przede wszystkim muszę sprostować, że nie pracuję dla partii, a dla Polski. Po drugie mam już pięćdziesiąt lat

[94] Opuszczony 8-stronicowy fragment maszynopisu zawiera informacje i rozważania na temat zakładu pracy i trybu ówczesnego życia (przyp. Wyd. Pol.).

i nigdy do żadnej partii nie należałem, a ponieważ nie jestem ani komunistą, ani socjalistą, nie widzę powodu, abym miał zapisać się do PPR. Zresztą, dla dobra produkcji i dobrych stosunków z załogą, która w olbrzymiej większości jest bezpartyjna, myślę, że lepiej gdy i ja do śmierci będę bezpartyjny. Jeżeli to Centralnemu Zarządowi nie odpowiada, to proszę mnie zwolnić ze stanowiska. Brzeska – bo tak się nazywała – zapewniła mnie, że o ile zapiszę się do partii, to w Jaroszowie może nikt o tym nie wiedzieć, gdyż będę podlegał bezpośrednio Katowicom. Później zaczęła mnie przekonywać. I trzeba powiedzieć, że nie była głupia, ale widocznie mnie miała za głupszego niż byłem. Użyła między innymi takiego argumentu, że przecież w Rosji też nie ma komunizmu. Odpowiedziałem, że faktycznie jeszcze nie ma, ale dąży się do niego. Wilman półgębkiem wtrącał się do rozmowy, próbując delikatnie podtrzymać Brzeską. Ponieważ nie dałem się namówić, pojechaliśmy obejrzeć kopalnię i tam jeszcze próbowała mnie przekonać. Wreszcie doszła do wniosku, że nie da się nic ze mną zrobić. Zrezygnowała, a tylko zwyczajem enkawudzistów powiedziała, że jeszcze porozmawiamy. Jednak na tej rozmowie skończyło się i nikt mnie więcej nie namawiał. Natomiast Wilman po odjeździe Brzeskiej przyznał się, że i jemu uczyniono taką propozycję. Wilman był przedwojennym endekiem i to z czarnym podniebieniem i żarliwym katolikiem. Zupełny bigot, a jednak dał się skusić i mimo, że pytał mnie kilkakrotnie, co ma zrobić, zapisał się do PPR. Przez długi czas nie przyznawał się do tego, lecz Gucio Sługocki, który znał go od wielu lat i był z nim w gorącej przyjaźni, od razu mi powiedział swoim lwowskim akcentem: „Ta Józek, ta nie bądź durny, ty mu wierzysz, że on się ciebie radzi. Ta on dawno już się zapisał". I faktycznie, zapisał się.

Gdy w 1946 roku robił w Żarowie poświęcenie sztandaru, na które zaprosił Jankę jako chrzestną matkę (jedną z kilku) jeszcze mu przez gardło nie przechodziło powiedzenie „Towarzysze". Mówił „Towarzysze pracy". Zresztą w krótkim czasie zaczął robić karierę. Najpierw został naczelnym dyrektorem zjednoczenia. W stosunku do mnie zmienił się. Jeszcze udawał jakiś czas przyjaciela, ale już z rezerwą. Gdy w marcu 1950 roku opuszczałem Jaroszów, był rad, że się mnie pozbył. Ale o tym potem.

W niedługim czasie został dyrektorem departamentu w jakimś ministerstwie, a później ambasadorem w Budapeszcie. Wreszcie przetrwał stalinowskie czasy i walki w 1956 roku, utrzymując się na stanowisku, a nawet awansując do Rzymu, na ambasadora. Trzeba przyznać, że Wilman jest bardzo inteligentny i wyjątkowo pracowity, lecz co do jego charakteru mam wiele zastrzeżeń. Karierowicz, a takiemu nigdy nie należy wierzyć.

Moje życie w Jaroszowie było pod względem osobistym bardzo teraz szczęśliwe, gdyż ożeniłem się z Janką, lecz służbowo zaczęło się komplikować.

Byłem śledzony, co nietrudno było stwierdzić. Najpierw zmieniono telefonistkę na centrali, pod pozorem, że jeden ze strażników straży przemysłowej po chorobie musi mieć lżejszą pracę. Budynek straży przemysłowej był prawie naprzeciwko domu, gdzie mieszkałem. Z balkonu było widać, jak prawie codziennie przed straż przemysłową podjeżdża samochód UB i tam najpewniej zasięgają wiadomości. Później, mieszkającego pod nami urzędnika, Rozmiarka, zawezwano do milicji. Po dwóch dniach wrócił. Gdy go zapytałem, co od niego chcieli, dał mi wykrętną odpowiedź, ale o tyle puścił farbę, że dowiedziałem się, iż siedział w Świdnicy w UB. Domyśliłem się, że zmuszono go, aby miał mnie na oku i donosił na mnie. Zresztą zrobiono to samo później z Chlewickim, moim nowym zastępcą technicznym, porządnym człowiekiem i bardzo tym speszonym. Niewiele się tym przejmowałem, bo pędziliśmy tak ciche i spokojne życie, że na pewno nie było o czym donosić. Jeden jedyny młody Heim, który był raczej Niemcem, nie Ślązakiem i był dawnym żołnierzem lotnictwa niemieckiego – ten przyznał mi się, że jego zmuszono do śledzenia mnie. Pytał, co ma napisać. Powiedziałem mu, aby tylko pisał prawdę, to może pisać co chce. Raz, gdy wróciliśmy z urlopu po świętach, zauważyłem że w naszym mieszkaniu była rewizja, zrobiona dość dyskretnie. Klucze podczas urlopu były u Rozmiarka. Poznałem, bo ci co robili rewizję, to byli źli fachowcy, gdyż pozostawili po sobie ślad w postaci odsuniętej nieco toaletki Jaśki. Wydało im się podejrzane, że po podłodze szedł przewód od kontaktu do toaletki. Przewód ten był doprowadzony do lampki nad lustrem, a te gapy myślały, że to co najmniej radio nadawcze.

Jaroszów rozwijał się stosunkowo bardzo szybko i wszelkie wizyty władz przełożonych zawsze napotykały na coś nowego, co wprowadzało je w zachwyt. Otrzymywałem często pochwały i wyróżnienia w protokołach z narad technicznych. Jedna taka narada odbywała się w Żarowie. Przybył na nią generalny dyrektor Centralnego Zjednoczenia Przemysłu Hutniczego – inżynier Borejdo. Pod koniec pierwszej części narady zwrócił się on do wszystkich dyrektorów zakładów materiałów ogniotrwałych i kopalń z apelem o zwiększenie produkcji, obiecując dyrektorom specjalną premię za wykonanie nadwyżek. Poprosiłem o głos. Nasz naczelny dyrektor zjednoczenia – inżynier Ryży przeraził się moją prośbą i zarządził przerwę. Podczas przerwy nagabnął mnie, co chcę powiedzieć. Odpowiedziałem mu paroma ogólnikami. Borejdy wyraźnie wszyscy bali się, a Ryży drżał, abym czegoś zbyt szczerze nie powiedział, bo znali mnie z tego, że ja się nie boję i niewiele sobie robię z ówczesnych dygnitarzy. Po przerwie udzielono mi głosu. Wtedy powiedziałem, że zwiększenie produkcji jest możliwe, ale nie sposobem obiecania premii dyrektorowi, a przede wszystkim przez zwiększenie wydajności pracy załogi produkcyjnej.

Lecz aby zwiększyć wydajność na dłuższy czas, a nie na jeden dzień, trzeba zachęcić ludzi większymi zarobkami. Zaproponowałem, że jeżeli robotnicy dostaną za każdą wydobytą tonę gliny ponad przewidzianą planem normę po 200 zł, podejmuję się zwiększyć produkcję. Zaznaczam, że z tych 200 zł ja jako dyrektor sobie nie wezmę ani grosza. Moja załoga musi wiedzieć, że jeżeli przyciskam ją o zwiększenie wysiłku, to nie robię tego dla własnego interesu, lecz ze względu na potrzeby gospodarcze kraju, a ona za swój wysiłek dostanie zapłatę. Jako przykład, że to jest możliwe, podałem dane z dnia 15 sierpnia. Dzień ten był zniesionym świętem kościelnym i była nakazana praca na kopalniach. W dniu tym przyszło do pracy najwyżej 50% górników. Produkcja jednak wyniosła 80% normalnej produkcji przy pełnej załodze. Wniosek – że do pracy przyszli najbardziej pracowici górnicy, a więc o ile ta mniej pracowita połowa ludzi zechce tak pracować jak ci pracowici, to na pewno można będzie podnieść produkcję przynajmniej o 10–15%. Borejdo teoretycznie zgodził się ze mną i prosił, abym przygotował z grubsza regulamin podziału tych 200 zł, a on za dwa do trzech dni przyjedzie do Jaroszowa i wtedy bardziej szczegółowo omówimy tę sprawę. Ogół dyrektorów naszego zjednoczenia był na mnie oburzony, że psuję im możliwości dodatkowych zarobków, ale ja na tę hołotę gwizdałem. Borejdo był w Jaroszowie i omówiliśmy tę sprawę. Miałem później trudności, gdyż mimo że Ministerstwo Przemysłu i Handlu zgodziło się na tego rodzaju dodatek, dyrektor pracy i płacy CZPH chciał, abym mój projekt zmienił na jakiś jego pomysł. Kategorycznie nie zgodziłem się i zagroziłem, że o ile nie przyjmą mojego projektu regulaminu, to nie podejmę się dać nadwyżki. Ustąpił. Przez jakieś 5 miesięcy moi górnicy zarabiali od 30% do 50% więcej niż poprzednio. Lecz i to skończyło się, gdyż zmieniono układ zbiorowy pracy i zmieniono normy. Jednak co zarobili, to zarobili, a dla mnie mieli wdzięczność. Zresztą moje stosunki z załogą były raczej zawsze zupełnie dobre. Ludzie mieli do mnie zaufanie i wierzyli, że jeżeli coś powiem lub obiecam, to na pewno dotrzymam. Mimo buntowania robotników i wbijania im do głowy, że oni mają rządzić, ja cieszyłem się posłuchem i nikt mną nie rządził. Jak jeden z urzędników określił: „Pan dyrektor to nie rządzi kopalniami, a dowodzi nimi".

W roku 1948 otrzymałem nowego przełożonego w sprawach górniczych. Był nim inżynier Majewski. Właściwie tytułu inżyniera nie miał, bo wprawdzie ukończył jakoby Akademię Górniczą w Krakowie, ale egzaminów nie pozdawał, jednak nazywało się go inżynierem. Był podobno partyjny, ale to też niezupełnie było pewne. W każdym razie chłop był dość poczciwy i porządny. On doszedł do przekonania, że wiercenia obok kopalni „Halina" wykazują pokład gliny ciągnący się w kształcie wału w kierunku między kopalniami „Edmund" a „Hermina". Wydawało mi się, że zbyt pochopnie ocenia on rezultaty

wierceń. Jednak, jako fachowemu górnikowi, uwierzyłem, choć wydawało mi się, że należałoby znacznie gęściej przeprowadzić siatkę owierceń. Majewski zrobił plan budowy nowej kopalni, obiecując dyrekcji w Gliwicach stosunkowo szybką produkcję z nowej kopalni, która otrzymała nazwę „Halina II". Jednak przewidywania Majewskiego nie sprawdziły się, i mimo że zebranie nadkładu było olbrzymie, gliny ciągle było minimalnie i to nie najlepszej. Natomiast mój zastępca techniczny miał lepszego nosa. Chlewicki kazał wiercić w Rusku, koło kopalni „Stanisław". Wiercenia krakowskiego przedsiębiorstwa nie wykazały tam pokładów, natomiast Chlewicki trafił na pokład w jednym otworze i dość płytko (pod metrową warstwą ziemi), bardzo głęboko sięgający. Gdy mi o tym powiedział, postanowiliśmy przeprowadzić dalsze wiercenia własnymi środkami, bardziej dokładne niż to było na „Halinie". Rezultat był wspaniały. Trafiliśmy na bogaty pokład glin w najwyższym gatunku. Zawiadomiłem o tym Majewskiego i zapadła decyzja rozpoczęcia wykonania nowej odkrywki. Znów w Gliwicach wykonano plan. Wprawdzie w planach inwestycyjnych budowa nowej kopalni była przewidziana na rok 1950, ale znalezienie takiego pokładu zmuszało do rozpoczęcia robót możliwie wcześnie. Zaczęliśmy więc już w roku 1949 roboty przygotowawcze i byłyby one zakończone wcześniej, gdyby nie głupi brak, który spowodował najmniej przez 6 tygodni wstrzymanie robót. Nie można było dostać śrub do skręcenia szyn kolejki. Już nawet kopaczki wiaderkowe stały na miejscu, ale kopać nie mogliśmy, bo tory – niezbędne do wywożenia nadkładu – były nieczynne. Nie było czym połączyć przęseł szyn. Wreszcie Rozmiarkowi udało się znaleźć te śruby w Wałbrzychu, u prywatnego człowieka w piwnicy, choć niezupełnie wystarczającą ilość. Kupiliśmy. Wykończyliśmy przygotowania, choć szyny były łączone połową potrzebnych śrub.

W Jaroszowie, w lecie, pracowała brygada organizacji pod nazwą Służba Polsce. Brygada ta miała 600 ludzi, z których część pracowała, a część szkoliła się – na zmianę. Chłopcy byli brani z poboru i zmieniali się co 2 miesiące. Pracowali rozmaicie. Jedne turnusy lepiej, inne gorzej. Najlepszy był turnus chłopców ze Śląska Cieszyńskiego. Właśnie ci chłopcy pracowali przy robotach przygotowawczych na nowej kopalni. Był to turnus ostatni. Postawiłem więc wniosek, aby nową kopalnię nazwać „Służba Polsce". Wilman, który w tym czasie był naczelnym dyrektorem zjednoczenia, ostatecznie zgodził się na tę nazwę. Nie bardzo mu to odpowiadało, bo jako partyjny uważał, że to za bardzo patriotycznie brzmi, ale jakoś krępował się odmówić mi. Jednak po moim wyjściu z Jaroszowa nazwę zmieniono i teraz ta kopalnia, która była w tym czasie największą w Polsce, nazywa się „Stanisław II". Na jesieni 1949 roku nastąpiło uroczyste otwarcie kopalni, połączone z przemówieniami. Ja strzeliłem gafę, bo przy wymienianiu zaproszonych gości nie wymieniłem jakiejś persony

powiatowej rady narodowej, która zresztą przyjechała może nawet niezaproszona. Wilman uruchomił pierwszą koparkę i praca rozpoczęła się. Przyjęcie dla załogi odbyło się w szopie obok „Edmunda". Każdy dostał ćwiartkę wódki, 10 dkg kiełbasy, dwie bułki i papierosy. Dla najwyżej postawionych paru osób Jaśka urządziła przyjęcie u nas w domu. Na przyjęciu załogi wręczone zostały koperty z nagrodami pieniężnymi najbardziej zasłużonym pracownikom przy budowie kopalni. Oczywiście, ja dostałem najwięcej.

Już teraz rozwój kopalń jaroszowskich dawał dużą gwarancję, że gliny szamotowej nie zabraknie, przynajmniej na jakiś czas.

Lecz mimo sukcesów w mojej działalności w Jaroszowie, życie stawało się coraz cięższe. Po jednym przemówieniu min. Minca, w którym powiedział, że zakłady pracy należą do robotników i teraz oni mają rządzić, co było największą demagogią, partia zaczęła przez swoich przedstawicieli utrudniać pracę dyrektorom. Jeszcze w 1949 roku dawałem sobie radę z tymi trudnościami, lecz było coraz ciężej.

Zdarzył się taki kawał: wracam z Gliwic i zastaję w biurze dziewczynę, która pracowała jako pomoc przy murarzach. Pytam personalnika Ząbka: „Co to ma znaczyć?". Ząbek gęsto się tłumaczy, że musiał ją zaangażować jako pracownicę umysłową, bo sekretarz POP na wniosek Ligi Kobiet zażądał, aby jakąś kobietę wysunąć na pracownicę umysłową. Pytam:

– Co ona umie?

– Nic. Nawet słabo pisze.

Pytam:

– Na jaki etat? A co z funduszem płac, za który ja odpowiadam? Jedna wielka głupota.

Babę musiałem wywalić, ale oczywiście to już robi złą krew.

Albo inny kawał. Przychodzi do mego gabinetu sekretarz POP – młody ślusarz z Francji, słabo mówiący po polsku, rozsiada się z papierosem w gębie, w fotelu naprzeciw mego biurka i żąda, aby pomocnika szofera zrobić szoferem. Tłumaczę durniowi, że chłopca tego nie można awansować na szofera, bo mimo ukończonego kursu przedstawia antytalent w prowadzeniu samochodu. Spóźniona reakcja grozi rozbiciem wozu. Jechałem z nim i o mało dwa razy nie byliśmy w rowie. Sekretarz upiera się przy swoim. Wobec tego stawiam sprawę tak: żądam na piśmie wniosku o przesunięcie pomocnika na szofera. Uprzedzam, że jeżeli wóz będzie rozbity – sekretarz poniesie odpowiedzialność. Od razu wycofał się. Podobnych utrudnień życia miałem więcej. Wreszcie tych trudności miałem dość i postanowiłem wyjechać z Jaroszowa.

Jaśka była w ciąży. Rodzenie w jej wieku pierwszego dziecka w Jaroszowie było niebezpieczne. Od rodziny Jaśki w każdym liście były nawoływania, aby

wracać do Łodzi i zająć się domem. Na koniec wyznaczenie zupełnie nierealnego i niemożliwego do wykonania planu produkcyjnego przechyliło szalę. Najpierw pojechaliśmy z Chlewickim do Gliwic i przedstawiliśmy możliwości. Nic nie pomogło. Majewski, który był zawsze optymistą i swoje kalkulacje opierał na uczuciu, a nie na realnych danych, zgłosił już ten wygórowany plan do władz wyższych. Wróciłem do Jaroszowa z niczym i napisałem pismo poufne do rąk własnych dyrektora Wilmana, w którym ze względu na dobro produkcji radzę mu, aby odwołał mnie ze stanowiska dyrektora, choć zaznaczam, że nie podaję się do dymisji. Stwierdzam, że moja współpraca z partią i radą zakładową nie układa się tak dobrze, aby dawała gwarancję możliwości wykonania nierealnie wygórowanego planu produkcji. List mój nie doszedł do rąk własnych Wilmana lub Wilman oddał go personalnikowi. Po pewnym czasie, gdy Wilman był w Jaroszowie, zapytałem go, czy dostał mój list. Odpowiedział, że nie dostał. Dałem mu więc odpis. Nie jestem dziś pewien, czy ten dyplomata prawdę mówił. Długo czekałem na odpowiedź.

Nagle dowiedziałem się, że ze względu na trudności mieszkaniowe w Jaroszowie, ma powstać obóz pracy dla więźniów, którzy mają pracować w kopalni w Rusku. Tego miałem już zupełnie dość. Przy widzeniu powiedziałem Wilmanowi, że dyrektorem nad więźniami absolutnie nie będę i proszę, aby załatwił mój wniosek. Prywatnie poradziłem mu, że jak mnie zwolni z pracy, mnie pułkownika i akowca, to będzie na pewno dobrze widziane przez partię. Mam wrażenie, że to dopiero ostatecznie trafiło mu do przekonania.

W marcu 1950 roku dostałem pismo odwołujące mnie ze stanowiska dyrektora Jaroszowa. Na moje miejsce przyjechał nowy dyrektor, nazwiskiem Mazur. Już partyjny. Przekazałem mu moje obowiązki, uważając, że odwołanie mnie ze stanowiska dyrektora jest równoznaczne ze zwolnieniem z pracy bez wypowiedzenia. Jednakże nie chciano mi wydać zwolnienia. Mimo tego postanowiłem wyjechać z Jaroszowa.

Jeszcze przed moim wyjazdem, ale już po zdaniu funkcji, przyjechał do Jaroszowa jakiś kontroler z Najwyższej Izby Kontroli. Mazur oczywiście nie mógł mu udzielić żadnych informacji, zatelefonował więc z prośbą, abym przyszedł do biura i dał pewne wyjaśnienia. Poszedłem i wszystkich żądanych informacji udzieliłem. Wtedy kontroler zaproponował, abyśmy wyszli i porozmawiali na osobności. Wyszliśmy na drogę i wtedy zapytał mnie, dlaczego odchodzę z Jaroszowa. Odpowiedziałem mu oficjalnie, że zostałem odwołany ze stanowiska przez zjednoczenie. Moja odpowiedź nie zadowoliła kontrolera. Zaczął dopytywać się i prosił o nieoficjalną odpowiedź. Nie chciałem początkowo dawać żadnych innych odpowiedzi, ale wreszcie powiedziałem mu, że warunki, w jakich musi dziś pracować dyrektor, są jak dla mnie nie do zniesienia. Ja za wszystko

odpowiadam, a rządzić chcą wszyscy, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności. W tych warunkach ja nie nadaję się na dyrektora. Co potrafiłem zrobić z Jaroszowa w ciągu prawie 4 lat mojej pracy – sam zobaczy. Na to dostałem odpowiedź, że zna moją działalność i gdyby przyjechał tu o dwa tygodnie wcześniej, nigdy nie zgodziłby się na moje odwołanie.

– To chwała Bogu, że pan przyjechał dziś – odpowiedziałem. – Bo ja w żadnym wypadku nie zostałbym dłużej w Jaroszowie.

Na tym skończyła się nasza rozmowa.

Na zakończenie wspomnień z okresu Jaroszowa muszę jeszcze dodać, że przed końcem roku 1949 dowiedziałem się o wielkich planach inwestycyjnych w Jaroszowie, a między innymi o zamiarze budowy prażalni glin. Wtedy zwróciłem się do dyrekcji zjednoczenia z wnioskiem, aby opracować plan rozbudowy, gdyż uważałem to za konieczne, aby uniknąć improwizacji. Trzeba było, moim zdaniem, przeprowadzić wiercenia, aby uniknąć zabudowy terenów nadających się pod kopalnie. Na moje naciski w tym kierunku wszyscy wykręcali się, bo każdy bał się odpowiedzialności. Wreszcie zwalono całą sprawę na moją osobę i zażądano, abym ja przedstawił swój wniosek na piśmie i ze szkicem. Zrobiłem taki projekt, lecz nikt się nim nie zainteresował, więc zdając funkcję dyrektora, zostawiłem go Mazurowi...

Gdy miałem wyjechać, urzędnicy chcieli wyprawić mi pożegnanie, lecz kategorycznie nie zgodziłem się i prosiłem, aby zaniechali tego zamiaru.

Kiedy poprosiłem w administracji, aby wynajęto mi wóz, za który zapłacę, celem przewiezienia rzeczy do stacji, przybiegło do mnie kilku szoferów i znieśli rzeczy na samochód, oświadczając, że oni muszą dopomóc, bez wynajmowania wozu.

Wyjechałem z Jaroszowa nawet bez wypłacenia mi pensji za marzec, nie mówiąc o trzymiesięcznym odszkodowaniu. Moje skargi wniesione do Inspektora Pracy, mimo uznania ich słuszności, były bez skutku. Skarga wniesiona do sądu też została tak załatwiona, że gdy przyjechałem do Gliwic na rozprawę, przedstawiciel zjednoczenia nie stawił się i sprawę odroczono, a w drugim terminie ja nie mogłem stawić się, bo zostałem aresztowany. Sąd oddalił moje żądanie.

W Łodzi

19 marca 1950 roku przyjechaliśmy z Janką do Łodzi. Od razu od przyjazdu zaczęły się trudności. Przede wszystkim – zameldowanie się. Mnie zameldowano bez trudności na stałe, a Jaśki, która urodziła się w Łodzi i wiele lat mieszkała w tym mieście, nie wiadomo dlaczego nie chcieli zameldować na stałe.

Nawet przyszedł do domu milicjant i dopiero po udowodnieniu, że przed stosunkowo niedawnym czasem była wymeldowana, jakoś zgodzili się. Wydaje mi się, że już dawno mieli mnie na oku i prawdopodobnie posądzali, że Jaśka jest kimś innym. Był to okres wielkiej nagonki na członków Armii Krajowej. Sprawa Rzepeckiego już była skończona, jeszcze gdy byłem w Jaroszowie. Trochę słuchałem jej przez radio, ale nie wszystko. Sam nie słyszałem, ale mówił mi Wilman, że słyszał i moje nazwisko wymieniane w toku rozprawy, jakkolwiek Rzepecki nie oskarżał mnie o nic. Mimo że się najlegalniej wymeldowałem, w gminie podając gdzie wyjeżdżam, dowiedziałem się, że Bogu ducha winnego Krzysztofowicza mordowało UB o podanie mego adresu. Krzysztofowicz był administratorem majątku rolnego w Jaroszowie i z nim tylko utrzymywałem trochę stosunków towarzyskich. Ponieważ o tym dowiedziałem się, upewniło mnie to, że moją osobą interesuje się stale UB.

Po zameldowaniu się w urzędzie zatrudnienia, co też nie obeszło się bez trudności, zaczęło się żmudne poszukiwanie pracy. Musiałem jak najszybciej zacząć pracować, aby Jaśka miała prawo rodzić w szpitalu. Wszędzie, gdzie złożyłem swój życiorys, odmawiano mi przyjęcia do pracy. Wreszcie, po długim bezskutecznym chodzeniu między urzędem zatrudnienia a różnymi zakładami, trafiłem na przyzwoitego dyrektora w osobie pana Chojnackiego. Ten zacny, starszy pan przyjął mnie do Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych i Urządzeń Wodnych, które było dopiero od kilku miesięcy słabo zorganizowane i potrzebowało pracowników. Przyjęto mnie na stanowisko samodzielnego referenta do spraw organizacyjno-koordynacyjnych. Początkowo obiecano mi wyższą grupę uposażenia, lecz przyjęto w niższej. Na moją interwencję personalnik powiedział mi, abym nic nie mówił, bo w komitecie dzielnicowym PZPR i tak kręcili nosem, że mnie w ogóle przyjmują, ale ostatecznie na samodzielnego referenta zgodzili się. Nie miałem wyboru i od połowy kwietnia zacząłem pracować. Stosunki wyrobiłem sobie szybko zupełnie dobre, a ponieważ w krótkim czasie zorientowałem się w warunkach i przystąpiłem do zorganizowania części administracyjnej, stałem się człowiekiem bardzo pożytecznym dla przedsiębiorstwa.

Ponieważ mieszkanie w Rudzie jest zbyt oddalone od miasta, bez telefonu i możliwości znalezienia w nocy taksówki, a Jaśka oczekiwała porodu już w końcu kwietnia, musiałem ją umieścić u Zygmunta, na ul. 11 Listopada 37a. Ja też na noc przychodziłem tam spać, aby być w pogotowiu.

30 kwietnia 1950 roku o godzinie 12, dzięki operacji (cesarskie cięcie) dzielna Jasiunia wydała na świat ostatniego z rodu Szostaków syna. Gdy mi powiedziano, że urodził się syn, było to dla mnie cudowne zaskoczenie, bo wszyscy, łącznie z doktorem Pertyńskim, przepowiadali mi córkę. Jakkolwiek nie wolno było się widywać z położnicami, jeździłem codziennie do szpitala i wreszcie po

3 tygodniach przywiozłem ich do domu. Przez cały czas pobytu Janki w klinice przeżywałem dziwne emocje. Bałem się, aby mnie nie aresztowano w tym czasie. Dziwnie czułem pismo nosem.

Syna zgłosiłem w urzędzie stanu cywilnego dając mu imię Wojciech Jan. Chciałem mu dać imię Bolesław, na cześć Wieniawy, ale ponieważ to imię nosił Bierut, nie zdecydowałem się.

2 lipca tegoż roku Wojciech Jan został ochrzczony w kościele w Rudzie. Jego rodzicami chrzestnymi został mój brat Zygmunt i siostra Janki, Irka Woźniakowska.

Moja nowa posada była raczej nudna i nie dawała mi żadnej satysfakcji. Przedsiębiorstwo przeniosło się z ulicy Stalina (teraz Głównej) na ulicę Zachodnią i miałem dalej do pracy. Zmienił się też dyrektor, bo zwolnili poczciwego, bezpartyjnego, zresztą słabego dyrektora Chojnowskiego, a dano byłego ubowca, montera Bednarka. Ten umiał tylko wymyślać, bo poza tym był skończony tuman i jak wzywano go do Warszawy, to musiałem z nim jeździć, bo niewiele rozumiał, czego od niego chcą. Miał bardzo dobrą prezencję, ale jak się odezwał swym andrusowskim stylem i tonem, to od razu wyłaziło, że to prosty cham.

W połowie października przysługiwało mi dwa tygodnie urlopu. Jakoś koło 10 dostałem zawiadomienie, abym przedstawił metrykę syna w RKU. Nie rozumiałem, o co im chodzi, ale poszedłem na wyznaczoną godzinę. Na półpiętrze stał stolik i siedział jakiś podoficer i obok cywilny. Gdy wszedłem zapytano mnie, jak się nazywam. Odpowiedziałem. Odebrali metrykę i powiedzieli, że mogę wracać do pracy. Nic z tego nie rozumiałem, jakkolwiek wydało mi się to dziwne.

14 października 1950 roku miałem otrzymać urlop. Przekazałem akta koleżance, pani Szymczykowej, a z kasy wypłacono mi nagrodę, w sumie 5 tys. zł (według starej waluty, co równałoby się obecnym 150 zł) i z wesołą miną wychodziłem z biura. Nagle, na progu, zostałem zatrzymany.

Zapłata za wierną służbę

Dnia 14 października 1950 roku z radością opuszczałem biuro. Czekał mnie dwutygodniowy urlop, który miałem spędzić z Janką i Wojtusiem. Radość moja trwała bardzo krótko. Kiedy otwierałem drzwi na klatkę schodową, natknąłem się na milicjanta, jakiegoś cywila i naszego personalnika Reliszkę. Milicjant zadał mi pytanie: „Czy pan Szostak?”. Od razu coś mnie tknęło, że to nie zwykłe zapytanie, a aresztowanie. Poproszono mnie, abym wrócił do swego pokoju w biurze. Tu typ w mundurze milicjanta położył przede mną na biurku

jakiś formularz i poprosił o podpisanie go. Był to nakaz aresztowania mnie, wystawiony przez prokuratora. Przeczytałem go, lecz byłem na tyle zaskoczony i podenerwowany, że niewiele zrozumiałem, a zwłaszcza wymienione paragrafy, na podstawie których zostałem aresztowany nic mi nie mówiły. Zażądano otwarcia biurka i przeprowadzono rewizję. Nikt nie zapytał, czy dokumenty trzymam tylko w biurku, bo właśnie wszystkie były w szafie w pokoju dyrektora. W biurku znaleziono starą mapę Afryki, dodatek do jakiegoś szmatławca z okresu okupacji, z działań Rommla. W mapę tę Jaśka zawinęła mi kwiaty, które wziąłem z ogrodu dla Stefanii Szymczykowej, na imieniny. Nie wyrzuciłem jej, a schowałem do biurka. Już samo to świadczy o inteligencji ludzi, którzy mnie aresztowali, skoro mapę tę zabrali i schowali do teczki.

Po rewizji wyprowadzono mnie na ulicę Zachodnią i wpakowano do czekającego samochodu między dwóch cywili. Przed biurem też stało jeszcze dwóch łapsów. Gdy samochód ruszył, oświadczono mi, że jedziemy do domu, gdzie będzie przeprowadzona rewizja. Drzwi otworzyła Jaśka. Kiedy zobaczyła ze mną milicjanta i cywilów, bez moich wyjaśnień domyśliła się, co to znaczy. Zachowała się jednak bardzo dzielnie i opanowanie. Rewizja została przeprowadzona bardzo pobieżnie, a głównie przeglądano listy, w których nic podejrzanego nie stwierdzono. Jaśka zapytała typa w cywilu, czego ode mnie chcą. Typ powiedział jej, że zostanę odesłany do Wrocławia, bo aresztowanie nastąpiło na żądanie tamtejszego urzędu. Zaproponowano mi, abym zjadł obiad. Nie miałem apetytu, ale zjadłem parę kęsów. Zapytałem, czy mam ze sobą zabrać przybory toaletowe i jakąś bieliznę? O święta naiwności!

Typ powiedział, abym nic nie zabierał. Przebrałem się tylko w stare buty i po pożegnaniu się z Jaśką, Wojtusiem – malcem nawet nie półrocznym – i Babunią, wyprowadzono mnie do samochodu. Jaśka wybiegła za mną z Wojtusiem na ręku, owiniętym na chybcika w jakiś koc czy chustkę, do bramy i ucałowaliśmy się na pożegnanie. Byłem jej wdzięczny, że tak z godnością się trzymała i nie rozpaczała przy tych siepaczach.

Samochód ruszył w nieznane dla mnie. Przypuszczałem wtedy, że nigdy już nie zobaczę mojej Jaśki ani Wojtusia, bo nie wierzyłem, abym cały wyszedł z rąk tego reżimu, tak nienawidzącego nas, akowców. Dziękowałem w duszy Bogu za całe moje życie, bo dużo w nim dobrego zaznałem, a zwłaszcza za ostatnie 3 lata szczęścia spędzone z moją Jaśką. Myślałem, że lżej będzie rozstawać się z tym światem, pozostawiając po sobie syna, który będzie przedłużeniem mego życia.

Przywieziono mnie do jakiegoś dużego budynku i wprowadzono przez wartownię do dość dużego pokoju. Łodzi prawie nie znałem, więc zupełnie się nie orientowałem, gdzie jadę. Była to cela przejściowa i tu dopiero dowiedziałem

się, że jestem w Urzędzie Bezpieczeństwa. Odebrano mi przedtem pieniądze, zegarek, pasek od spodni i sznurowadła od butów. W celi przejściowej zastałem trzech ludzi. Jeden, który siedział już tydzień, był to młody technik włókienniczy. Został aresztowany za zrobienie zdjęcia swojej znajomej dziewczyny na moście kolejowym. Złapała go straż kolejowa i zatrzymała jako podejrzanego o szpiegostwo. Drugi, to urzędnik, który miał delegację do Zgierza, a nocował w Łodzi u znajomych, a podczas sprawdzania w nocy meldunków osób nocujących wydał się podejrzany, ponieważ nie był meldowany. Trzeci, to robotnik – smarowacz, posądzony o sabotaż. Jak twierdził, zapaliła się oś jakiejś maszyny, lecz nie podczas jego dyżuru, a innego smarowacza. Ja byłem czwarty w tej celi. Wieczorem przyniesiono nam jakieś pomyje uchodzące za zupę. Choć nigdy nie byłem wybredny i niejedno paskudztwo jadłem, tego nie ruszyłem. Menażek ani misek nie było, tylko jakaś stara puszka po konserwach. Najwięcej moi kompani narzekali, że nie miałem papierosów, a ja właśnie na dwa dni przed aresztowaniem przestałem palić. Zaczęli kręcić w jakimś papierze papierosa ze słomy ze starego siennika. Oczywiście taki papieros spalił się od razu jak pochodnia. Spaliśmy na gołej pryczy, jak kto mógł. Rano wepchnięto do celi jakieś nowe, straszne indywiduum. Mały, łeb blondyniasty z włosami sterczącymi pionowo od głowy i z protezą jednej stopy. Brudny i w wymiętym ubraniu. Indywiduum rozejrzało się mętnym wzrokiem po celi i podeszło do mnie z zapytaniem:

– Panie starszy, co mnie zrobiom, że powiedziałem w tramwaju: „Ja pierdolę demokrację i milicję”? Byłem pijany.

Trochę mnie to rozśmieszyło, ale odpowiedziałem poważnie.

– Na mój rozum to dadzą panu po mordzie, kopną w tyłek i wypuszczą.

– O, to pan jest, widzę, jeszcze frajer – odpowiedział. – Dostanę 5 lat.

Jak się później okazało z opowiadań tego andrusa, to siedział on już kilkakrotnie w więzieniu i jeszcze ma rok do odsiedzenia. Najwięcej się martwił, co sobie pomyśli jego Mania, z którą żył i miał zamiar rozpocząć nowe życie. Poszedł na imieniny do jakiejś Jadzi, zalał się i zabrano go za awantury z tramwaju. Noc przesiedział w jakiejś komórce, a rano wpakowali go do celi. Jadł, co popadło mu pod rękę. Ja, zanim wywieziono mnie z Łodzi, nic prawie nie jadłem. Wieczorem 16 października wywołano mnie z celi i zaprowadzono na piętro. Tu ogolono mnie i zrobiono kilka fotografii oraz wzięto odciski palców. Następnie wydano mi mój depozyt i dwóch cywilnych konwojentów wyprowadziło mnie przed budynek. Poznałem w nich tych samych, którzy mnie aresztowali, tylko jeden występował w roli milicjanta, a teraz był w cywilnym ubraniu. Coś narzekali, że miał przyjechać samochód, ale spóźnia się, więc ruszyliśmy pieszo. Była noc i ulice prawie były puste. Moi opiekunowie chcieli,

abym szybko szedł, ale ja nie dałem się namówić, twierdząc, że nie mogłem jeść i nie mam siły. Zresztą nigdzie mi się nie śpieszyło. Wreszcie spotkaliśmy samochód, który zawiózł nas na dworzec Kaliski. Tu wpakowano mnie do wagonu razem z publicznością, tylko obok mnie usiadł jeden z konwojentów, a naprzeciw drugi.

Rano przyjechaliśmy do Wrocławia. Zaprowadzono mnie do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Tu siedziałem w jakimś pokoju i czekałem, póki nie zacznie się urzędowanie. Wreszcie wywołano mnie i wprowadzono do dużego gabinetu. Za biurkiem stał jakiś typ z żydowską gębą i w skórzanej, czarnej kurtce. Gabinet był pełen cywili, którzy przyglądali mi się, jak gdybym był kimś specjalnie ciekawym. Nikt nic nie mówił. Wreszcie typ zza biurka wyskoczył i podbiegł do mnie z zapytaniem: „Co to za oko?" Odpowiedziałem zupełnie spokojnie: „Zezowate, bo na niego nie widzę, byłem ranny". Typ wypowiedział jakąś groźbę i kazał mnie wyprowadzić.

Teraz zabrano mi niektóre rzeczy, ostrzyżono głowę na krótko i wprowadzono do celi. Cela była mała, miała zlew i kran od wody, siennik na podłodze, więcej nic. Położyłem się na sienniku i próbowałem zasnąć. Byłem bardzo zmęczony całonocną podróżą. Ktoś mnie budził, ale nie wstałem. Dopiero po pewnym czasie wstałem, zacząłem oglądać celę i rozmyślać. Cela była cała popisana, częściowo literami wyskrobanymi, a nawet trochę ołówkiem. Napisy były zupełnie przygnębiające i świadczące o nastroju ducha piszących. Na przykład: „Boże, weź mnie z tego świata i skróć męki moje", „Mamo, ratuj mnie" lub napis po rosyjsku: „Ja siedzę za zamordowanie dwóch Polaków". Napisy te nastrajały bardzo pesymistycznie. Byłem sponiewierany, wepchnięty do brudnej celi i bez konkretnego podania powodu. Już samo obchodzenie się z aresztowanym, któremu jeszcze nic nie udowodniono, bo może być niewinny, a już jest traktowany jak zbrodniarz.

Gdy mi pierwszy raz kazali stanąć nosem do ściany, początkowo nie chciałem, lecz po ordynarnym zagrożeniu, stanąłem. Czułem się jak niewinnie zbity pies.

W południe przyniesiono mi obiad. Była to w menażce szara woda, w której pływały grubo pokrajane talary półpastewnych buraków. Byłem bardzo głodny, lecz nie mogłem tego paskudztwa zjeść. Zjadłem trochę buraków, resztę wylałem do zlewu. Z korytarza od czasu do czasu dochodziły mnie jakieś dzwonienia, jakby uderzenia żelaza i gwizdanie. W pewnym momencie poczułem naturalną, grubą potrzebę. Zacząłem więc walić pięścią w drzwi. Moje walenie nic nie pomogło. Nikt nie otwierał drzwi. Doszedłem więc do wniosku, że widocznie w więzieniu istnieje zwyczaj gwizdania i walenia żelazem, jako sygnał do wyprowadzenia do ustępu. Zacząłem więc łyżką uderzać w rurę wodociągową

i gwizdać. Natychmiast otworzyły się drzwi i usłyszałem, że nie wolno tego robić. Jednak to pomogło i wyprowadzono mnie do ustępu.

Wieczorem, po kolacji, otwarły się drzwi i stanął w nich kapral w mundurze strażnika więziennego. Stanął i czeka. Ja nic. Wreszcie ryk:

– Dlaczego się nie meldujecie?

Odpowiadam, że nic nie wiem o potrzebie meldowania się. Na to kapral:

– Uczcie się całą noc, abyście rano umieli się meldować w ten sposób:„Panie oddziałowy, cela nr 30, obecny jeden, jedno prześcieradło". Zrozumiano?

Oczywiście, że zrozumiałem, bo przecież w życiu wielu takich głąbów nauczyłem meldować się. Właściwie to było śmieszne, tylko ja nie miałem nastroju do śmiechu. W celi przesiedziałem sam do 20 października.

Zabrano mnie i poprowadzono na wyższe piętro. W drodze strażnik zapytał mnie o nazwisko. Odpowiedziałem głośno. Strażnik przeraził się i zwrócił mi uwagę, że nie wolno tak głośno mówić. Otworzył celę. Przed nami stanął nieduży człowiek, krótko ostrzyżony, koszula bez kołnierzyka, zniszczone ubranie cywilne. Złożył meldunek, również o ilości więźniów i ilości prześcieradeł. Pod ścianą stało kilku ludzi z opuszczonymi głowami, twarzą do ściany i wyglądali jakby wisieli. Cela zamknęła się. Wtedy wisielcy podbiegli do mnie z pytaniami, kiedy zostałem aresztowany i co słychać na wolności.

Jakkolwiek niesłusznie, wydawało się nam naiwnym, że może dojść do konfliktu zbrojnego między Ameryką a Rosją. Sytuacja była napięta. W Korei rozpoczęła się ofensywa amerykańska. O tym też powiedziałem moim nowym towarzyszom niedoli. Wśród lokatorów celi było dwóch młodych chłopców i ci najwięcej dopytywali się, czy nie słychać o jakiejś amnestii. Chciałem ich pocieszyć, więc powiedziałem im, że sytuacja polityczna jest bardzo napięta i nie wiadomo, ale może być wojna, a wtedy nie wiadomo co się może stać. Jeden z chłopców mrugnął do mnie znacząco. Przestałem więc mówić, a zacząłem pytać, za co siedzą. Starszym celi był nieukończony student, a ostatnio dyrektor fabryki porcelany w Wałbrzychu, akowiec i oficer rezerwy. Mętnie mówił o swym aresztowaniu, tyle tylko że podstępnie wywabiono go z domu wieczorem, z powodu rzekomej awarii w fabryce. Zabrano go do Wrocławia do UB i nawet rodzina nie wiedziała, gdzie się podział.

Drugim więźniem był już człowiek stosunkowo stary, po sześćdziesiątce. Nazywał się Stępniewski. Miał przed wojną restaurację na Woli w Warszawie. Pijak, który o sobie mówił, że nie jest pijakiem, tylko alkoholikiem. Ostatnio dyrektor administracyjny gazowni wrocławskiej. Siedział za łapówki, które nazywał prowizjami. Był po wyroku i znów zabrany z więzienia do UB na dalsze śledztwo. Podobno przedwojenny komunista, który siedział jakoby w Berezie. Komunistą mógł być, ale sądząc z tego, jak go poznałem, to był zwykłym

kanciarzem i wątpię, aby w Berezie siedział za komunizm. Raczej za jakieś kanty. Był kapusiem (konfidentem UB). Świnia i szuja ostatniego gatunku. Od pierwszego wejrzenia poczuliśmy do siebie wstręt. Dostawał co tydzień dobrze napchane paczki, które sam zjadał, nie dzieląc się z nikim. Jedynie palaczom wydzielał po jednym papierosie dziennie i tym ich trzymał w garści. Udawał chorego i nie robił w celi nic. Ja, na szczęście, z jego łaski nie potrzebowałem korzystać.

Trzeci – to ksiądz z kościoła starokatolickiego. Stosunkowo młody i wesoły. Trochę blagier, ale dowcipny. Posądzony o szpiegostwo.

Czwarty – tragarz kolejowy ze stacji Iwacewicze, na linii Brześć – Baranowicze. Tępe chłopisko. Miał jakiś sklepik czy kiosk na Śląsku, blisko granicy NRD. Wymienił komuś 10 dolarów – posądzony o przynależność do siatki szpiegowskiej.

Wreszcie dwóch młodych chłopców. Jeden – uczeń gimnazjalny, rozbroił sowieckiego oficera. Należał do jakiejś organizacji konspiracyjnej, stworzonej albo dla prowokacji, albo przez jakiegoś wyjątkowego durnia. Drugi – był partyzantem z Batalionów Chłopskich, ostatnio związany z szajką bandycką. Obaj młodzi mieli największego stracha, bo na śledztwie grożono im karą śmierci.

Opisując moich towarzyszy niedoli muszę wspomnieć, że po pewnym czasie został przyprowadzony do naszej celi jeszcze jeden więzień. Był nim jakoby oficer rezerwy i niby były akowiec, gdzieś spod Tarnopola rodem. Nazywał się Bigda. Wstąpił w Lublinie na ochotnika do ludowego wojska. Jako skończony prawnik został przydzielony do sądu wojskowego w stopniu majora. Chwalił się nam, że sądził wielu partyzantów i wielu skazał na śmierć. Nie przyznał się nam, dlaczego zwolniono go z wojska.

Miał duże stosunki w sądownictwie we Wrocławiu i można przypuszczać, że czerpał z tego jakieś zyski. Opowiadał o hucznych libacjach, w których brał udział w towarzystwie milicjantów, ubowców i innego lepszego towarzystwa. Przechodził bardzo ciężko śledztwo, bo prowadził je człowiek, któremu się naraził, będąc jeszcze w wojsku. Bigda był tak już przedenerwowany, że gdy dochodziła godzina dziewiąta, wskakiwał na łóżko – a przez uchylone okno widać było zegar gdzieś na wieży – sprawdzał co parę minut godzinę i drżał, sądząc że zaraz zabiorą go na śledztwo.

Zabieranie na śledztwo odbywało się w ten sposób: gdy zgrzytnął klucz w zamku drzwi, wszyscy więźniowie stawali natychmiast w jednym szeregu, twarzą do ściany. Oddziałowy, którego twarzy zupełnie nie znaliśmy, żądał podawania, kolejno od prawego, nazwisk. Jeżeli padło nazwisko człowieka, po którego przyszedł, wymawiał jedno słowo: „Dawajcie!" i zabierał delikwenta.

Ja początkowo ciągle czekałem, że mnie zwolnią, bo nie widziałem powodu aresztowania. Wytłumaczyli mi jednak bardziej doświadczeni więźniowie, że nawet człowiek czysty jak łza, raz aresztowany, nie może krócej siedzieć w UB jak pół roku. Po kilkunastu dniach, a może i później, siedzenia w tej celi, wywołano i mnie któregoś wieczora na śledztwo. Wprowadzono mnie do pokoju, w którym było dwóch ludzi. Kazano mi usiąść na taborecie blisko drzwi. Usiadłem i czekałem. Jeden z obecnych zachowywał zupełną obojętność, rozsiadłszy się wygodnie w wielkim klubowym fotelu. Drugi, przez jakiś czas, przyglądał mi się z ironicznym uśmiechem. Wreszcie rozpoczął od drwin, że i mnie wreszcie zamknięto. Oświadczył, że wszystko o mnie wie, że zna każde moje słowo, bo ma najdokładniejsze informacje o mnie. Nic na to nie odpowiedziałem. Spisał teraz moje personalia i zadał pierwsze pytanie:

– Co robiłeś we Francji?

(Mówiło mi to bydlę per ty). Na to pytanie roześmiałem się.

– Więc wszystko o mnie wiecie i zadajecie takie pytanie. To ładne informacje o mnie macie, skoro nie wiecie, że przez cały czas okupacji byłem w kraju.

„Śledź" trochę się speszył.

– Mów, kogo znasz z wojska?

– Dobrze – odrzekłem – ale proszę mi dać rocznik oficerski sprzed wojny, to wykreślę tych, których nie znam.

Zaczął mi więc zadawać pytania, wymieniając różne nazwiska, które prawie wszystkie znałem. Wreszcie zadał pytanie, czy znam Munia. Domyśliłem się, że chodzi o podpułkownika Zygmunta Dobrowolskiego, potwierdziłem więc.

– A czy znacie pułkownika – i wymienił jakieś nieznane mi nazwisko. Tego nie znałem. Kilka razy pytał o to samo nazwisko, otrzymując tę samą odpowiedź.

Wreszcie, po zaprotokołowaniu całego mego życiorysu i wypytaniu o wszystkich krewnych i większość znajomych, obudził śpiącego w fotelu kolegę – a było już pewno po północy – i sam zajął jego miejsce. Zaczął mnie teraz maglować drugi „śledź". Byłem już bardzo zmęczony i bolała mnie pupa od siedzenia bez oparcia przez kilka godzin na twardym taborecie. Odpowiadałem lakonicznie na pytania, lecz i zadawane one były bez zainteresowania odpowiedzią. Właściwie i „śledziowi" i mnie chciało się tylko spać. Dotrwaliśmy jednak do rana. Na pobudkę odprowadzono mnie do celi.

I znów zaczęło się monotonne siedzenie, okraszone tylko raz przez wypowiedź Stępniewskiego. Zażądał kiedyś wyjścia i doprowadzenia go do śledczego. Gdy powrócił, oświadczył, że rozmawiał ze śledczym i dowiedział się o wysłaniu przez Chiny ochotników do Korei. Ofensywa amerykańska została zatrzymana. Śledczy miał powiedzieć, że jeżeli wybuchłaby nawet wojna, to

oni od razu wystrzelają wszystkich akowców, których mają w więzieniu. To powiedzenie Stępniewskiego potwierdziło posądzenie, że on jest kapusiem, skoro przyniósł odpowiedź na to, o czym mówiło się w celi. Wykazał dużo głupoty, że w tak naiwny sposób zdemaskował się ostatecznie. Nie speszyło mnie to, ale przy okazji powiedziałem, że tych co zajmują się donosicielstwem, pewno nie minie kara, a przyjdzie czas, że ciężko za to odpokutują. Pozwoliłem sobie jeszcze zadrwić ze śledczych, którzy choć twierdzą, że wszystko wiedzą, zadają naiwne pytania. Później przekonałem się, że i to powiedzenie było doniesione przez Stępniewskiego. To była wielka kanalia.

Warunki w zbiorowej celi były stosunkowo znośne. Przekonałem, się jaki człowiek jest wytrzymały. Był listopad i były już przymrozki. Kąpiel odbywała się z reguły w nocy, w łaźni w suterynie. Budzono nas znienacka i wypędzano w bieliźnie do łaźni.

Okna na klatce schodowej były zawsze pootwierane i było bardzo zimno. Biegliśmy tak 6 pięter do suteryny i po ciepłej kąpieli pod prysznicem wracaliśmy tą samą drogą. Mimo tego nie zaziębialiśmy się.

Jedną z przykrzejszych funkcji było załatwianie potrzeb naturalnych na grubo. W celi był przyzwoity ustęp w postaci zakrywanej muszli klozetowej z automatem do spuszczania wody, ale nie dawano żadnego papieru. Trzeba było jedną ręką spuszczać wodę, a drugą szybko podmywać się. Do tego zresztą, po pewnej wprawie, przyzwyczaiłem się i już mnie to nie peszyło.

Ogólny nastrój w celi był dość spokojny. Pewne podniecenie wprowadzał tylko Bigda. Na przesłuchania zabierali bardzo rzadko, a mnie osobiście, po całonocnym przesłuchaniu, dali zupełny spokój. Dzień spędzaliśmy na rozmowach. Opowiadano przeważnie o sobie. Ja starałem się, w miarę możności, jak najmniej mówić. Słuchałem i poznawałem ludzi i ich sposób myślenia. Opowiadania robiły wrażenie szczerych. Może nie wszystko było dopowiedziane, ale raczej bez blagi. Jedynie łgał Stępniewski.

4 grudnia 1950 roku obudzono mnie w nocy i wywołano na korytarz. Oddziałowy kazał mi ubrać się i zaprowadził do magazynu. Wydano mi mój depozyt, z wyjątkiem pieniędzy. Nie wiedziałem, czy cieszyć się, czy martwić. Zawsze świta nadzieja, że wypuszczą na wolność, lecz szybko następuje rozczarowanie. I mnie szybko otworzyły się oczy, gdy przyprowadzony do jakiejś kancelarii, zobaczyłem dwóch żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czekających. Po chwili wyprowadził mnie na ulicę jeden cywilny ubowiec oraz ci dwaj żołnierze, z których jeden był z karabinem, drugi z pepeszą. Żołnierze zapowiedzieli mi, abym nie próbował uciekać, bo będą strzelać. Nie miałem najmniejszego zamiaru uciekać, zwłaszcza że to nie miałoby najmniejszego sensu. Nie czułem się winnym żadnej zbrodni, która upoważniałaby trzymanie mnie

w więzieniu. Po drugie fizycznie czułem się słabym i niezdolnym do ucieczki. Zaprowadzono mnie na Dworzec Centralny. Ubowiec poszedł chyba do kasy, a moi umundurowani eskortanci też nie bardzo zwracali na mnie uwagę. Możliwość ucieczki, z małym ryzykiem, była. Tylko potrzeby nie było. Jechałem do Warszawy, bo tak mi powiedział ubowiec na moje zapytanie.

Rano znalazłem się na Dworcu Głównym w Warszawie. Nigdy nie myślałem, że mogę znaleźć się w mieście, z którym mnie tyle łączyło, jako aresztant. Zaprowadzono mnie na posterunek milicji, gdzie oczekiwałem na samochód, o czym dowiedziałem się z zasłyszanej rozmowy telefonicznej konwojenta. Zobaczyłem, jak wygląda życie na posterunku milicji. Na ławce siedział jakiś młody człowiek, dość skromnie ubrany, z twarzą zmęczoną, chyba przepitą i niewyspaną, przypięty kajdankami do poręczy ławki. Jak wywnioskowałem z zasłyszanej rozmowy, chciał, czy może ukradł samochód. Po chwili milicjant przyprowadził młodego chłopca w mundurku drelichowym, z odznakami „Służby Polsce", który jakoby w ustępie dworcowym gwizdał zakazaną już *Piosenkę o mojej Warszawie*. Wreszcie przyprowadzono jakiegoś typa, którego inny typ oskarżał, że chciał go okraść w wagonie. Typ legitymował się, że jest księgowym z jakichś kopalni na Górnym Śląsku i jechał do Warszawy na jakąś naradę, a że wyjechał w dzień „Barbórki", więc był trochę zalany. Mówił, że może dotknął oskarżyciela, ale nie miał zamiaru nikogo okradać. Nie wiem jak skończyła się ta sprawa, bo zabrano mnie do samochodu.

Po paru minutach znalazłem się na rogu Koszykowej i Al. Ujazdowskich, w Ministerstwie Bezpieczeństwa. Zaprowadzono mnie do jakiegoś pokoju biurowego. Czekałem. Wreszcie zjawił się jakiś starszy ubowiec, mający około 40 lat, wyglądający na Żyda. Ten typ wygłosił do mnie przemówienie w tonie dość groźnym i żądający bezczelnie zgody na współpracę z UB. Poczęstował mnie papierosem. Odmówiłem. Zdziwił się i powiedział: „Przecież pan pali!". Po chwili wyszedł z pokoju, pozostawiając paczkę z papierosami i zapałki. Po paru minutach wrócił, spojrzał na papierosy i zapytał, dlaczego nie paliłem. Odpowiedziałem, że nie mam zwyczaju brać cudze papierosy. Ubowca odwołano do telefonu i posłyszałem jak się zgłosił: „Tu major Wołkow". Oświadczył mi, że jego przełożony zapytuje, czy się zgodziłem na współpracę z nimi. Odpowiedziałem, że nie zgadzam się. Wtedy polecił mi, abym napisał wszystko co wiem o Armii Krajowej. Na tak niedorzeczne żądanie odpowiedziałem, że nie mogę napisać książki w takich warunkach i w krótkim czasie. Jednak przyniósł mi papier i pióro, a sam wyszedł. Była to zwykła gra na nerwach. Liczył widocznie, że ja zmęczony całonocną podróżą, głodny, niewyspany, załamię się i po pewnym namyśle napiszę coś. Nie napisałem nic ciekawego ani wartościowego.

Wołkow przyszedł, przeczytał i był bardzo niezadowolony. Powiedział, że odeśle mnie do celi, abym wypoczął i zjadł coś.

Teraz zrozumiałem, co mnie czeka. Myślałem, że w Warszawie spotkam ludzi mądrzejszych, z którymi można będzie się dogadać i wytłumaczyć im, że nie ma najmniejszego uzasadnienia, abym miał przebywać w polskim więzieniu. Uważałem siebie za człowieka zasłużonego, a nie przestępcę w stosunku do Polski. Nareszcie zrozumiałem, że jestem w sowieckim więzieniu w Polsce. Tu nie Polacy będą ze mną rozmawiać, a agenci sowieccy udający Polaków.

Znów odebrano mi mój skromny depozyt i wprowadzono mnie do celi. Cela okropna. Bez okna, z wiecznie palącą się silną żarówką, 3 metry długa i metr szeroka, około 3 metrów wysoka. Na podłodze zupełnie starte sienniki, na których leżą dwaj młodzi ludzie. Jeden, prawie dwumetrowego wzrostu młodzieniec, nazywał się Andrzej Sołdrowski i był prawie ukończonym studentem Politechniki Gliwickiej. Drugi, średniego wzrostu, młody chłopak – Józef Węgrzyn. Przed wojną był w szkole podoficerskiej dla młodocianych w Końskich. Ostatnio urzędnik od Hartwiga.

Andrzej Sołdrowski w rozmowie ze mną powiedział, że został aresztowany, ponieważ należał do Sodalicji Mariańskiej, a podczas aresztowania ojca Tomasza Rostworowskiego znaleziono jego list. Chłopiec był bardzo głęboko wierzący i z wielkim charakterem. Od razu poczułem dla niego szacunek i sympatię. Przechodził bardzo ciężkie śledztwo połączone z torturami, takimi jak sadzanie na nodze odwróconego stołka, która wchodziła w odbytnicę. Zamykano go też nagiego do niskiego, betonowego bunkra, w którym mógł tyko siedzieć w kucki. Znosił to bardzo mężnie. Jedynie gdy opowiadał o śledztwie, nastawiałem go, aby nie mówił rzeczy, które drażnią śledczego, a raczej milczał. Muszę przyznać, że głęboka wiara i hart ducha Andrzeja i mnie podniosły na duchu.

Węgrzyn był typem wstrętnym. Był posądzony o szpiegostwo i sądząc z tego co opowiadał, mógł faktycznie coś w tym guście robić. Opowiadał o kolejach swego losu po 1939 roku. Ile było w tym prawdy, trudno powiedzieć. Był na pewno zdolny do języków i trochę znał niemiecki, francuski i minimalnie angielski. Typowy, zdemoralizowany przez wojnę młody człowiek, dla którego nie było nic świętego, tylko chęć dostatniego życia i to za wszelką cenę.

Warunki, w jakich znalazłem się pod względem fizycznym, były okropne. Cela brudna i szalenie duszna. Nie było mowy o siedzeniu na podłodze. Mogliśmy tylko leżeć, bo siedząc dusiliśmy się. Stale karmiono nas dużą ilością wodnistych zup, co powodowało straszne pocenie się i osłabiało. Wychodziliśmy z celi tylko na chwilę rano, aby się umyć. Chyba że na śledztwo. Gdy potrzebowaliśmy załatwić się, co staraliśmy się robić jeden bezpośrednio po

drugim, na żądanie, pozwalano wnieść do dusznej celi „kibel", z reguły już pełny i straszliwie śmierdzący. Staraliśmy się, aby wnoszenie kibla odbywało się możliwie najrzadziej i na jak najkrótszy czas. Leżeliśmy w koszulach, oczywiście strasznie brudnych, cały dzień i całą noc, orientując się w porach doby tylko po posiłkach. Po jednym czy dwóch dniach w tej wstrętnej celi, zabrano mnie na śledztwo. Byłem bardzo podenerwowany i miałem najgorsze myśli. Chodziło mi po głowie samobójstwo. Przyszło po mnie aż trzech strażników (komunistów z Francji, niemówiących zupełnie po polsku), obstawili mnie z trzech stron i pod taką eskortą poszedłem przez podwórze do sąsiedniego domu. Tu wsadzono mnie do windy i zawieziono na wysokie piętro. Kazano mi pisać. Znów napisałem parę mało wartościowych rzeczy na temat AK, nie ukrywając celów tej organizacji, bo zresztą były to sprawy dobrze im wiadome. Cała ta komedia z pisaniem miała jeden cel – zmuszenia mnie do współpracy z UB drogą załamania psychicznego. Lecz ja byłem ciągle szczery i prostolinijny. Mówiłem otwarcie, że jestem ich przeciwnikiem i nie godzę się z polityką wobec Polski. Zmuszając mnie do pisania, widocznie sądzili, że straszne warunki więzienne ugną mnie i wreszcie napiszę zgodę na współpracę. Zawiedli się. Nawet przez moment nie przychodziło mi to do głowy.

Mijał grudzień, nadchodziły święta Bożego Narodzenia, a w mojej doli nic się nie zmieniło, może tylko tyle, że przestano zabierać mnie na śledztwo. W samą Wilię dostałem szalonego bólu lewej strony twarzy. Ból był tak silny, że przestałem w ogóle jeść, tylko mogłem pić trochę rzadkiej zupy. Osłabłem bardzo. Wreszcie, w końcu stycznia, zawezwano mnie znów na śledztwo. Tym razem przesłuchiwał mnie jakiś śledczy z odznakami kapitana. Robił wrażenie inteligentniejszego od swych kolegów. Zaczął ze mną rozmowę czysto polityczną, choć chodziło mu o jakiś szczegół, którego już dziś nie pamiętam. W rozmowie tej zadał mi pytanie, jak sobie wyobrażam świat po ewentualnej, przyszłej wojnie. Pamiętam, że odpowiedziałem mu zupełnie szczerze.

– Zostanie stworzony jakiś trzeci ustrój – odpowiedziałem – który może być zmodernizowanym kapitalizmem, albo bardziej życiowym socjalizmem, lecz na pewno nie takim, jak on ma wyglądać według obecnych dążeń.

Na to kapitan żachnął się i burknął raczej do siebie:

– Komunizm może istnieć tylko w czystej formie.

Po śledztwie, gdy mnie odprowadzał schodami na wyższe piętro, zauważył, że zatoczyłem się i o mało nie upadłem. Zapytał mnie wtedy, co mi jest. Odpowiedziałem, że jesteśmy więzieni w tak fatalnych warunkach, iż wątpię, czy długo pożyję. Skutek był taki, że przeniesiono nas, jeszcze tego samego dnia, do celi z oknem i znacznie większej. Okno było uchylone i wychodziło na ulicę, chyba na Aleje Ujazdowskie. Był mróz, lecz strażnik nie pozwolił go zamknąć.

Oświadczył, że jeżeli zamkniemy, to już więcej nie otworzymy. Wobec tego, że spragnieni byliśmy świeżego powietrza, prosiliśmy, aby okno pozostało otwarte, choć zimno dawało się często we znaki. Bóle twarzy cierpiałem ciągle. Wreszcie doprosiłem się o zabranie mnie do lekarza, który stwierdził zapalenie nerwu trójdzielnego i przypuszczał, że dostanę zapalenia ucha środkowego, co wreszcie się stało. Po Nowym Roku, już w nowej celi, Andrzej wypatrzył przez otwór przy żarówce, że naprzeciwko nas siedzi ojciec Tomasz.

Którejś nocy, chyba już w lutym wprowadzono do naszej celi nowego więźnia. Był nim ksiądz kościoła narodowego – Narbutowicz. Chwilowo położył się między mną a Andrzejem i rano opowiedział nam o swym losie. Był dziekanem na Warszawę, bo ich jedyny biskup rezydował w Krakowie. Ksiądz Narbutowicz miał rozległe stosunki w sferach rządowych i opowiedział wiele ciekawych rzeczy. Od niego dowiedziałem się, że szefem gabinetu premiera był Remigiusz Kwiatkowski, a sekretarką moja znajoma z młodych lat Myszka Walewska, ostatnio Sipiczyńska. Ksiądz był nawet u Bieruta w sprawach kościoła i Bierut miał mu powiedzieć, że chwilowo popierają kościół narodowy, ale w zasadzie nie uznają religii. Od niego też dowiedziałem się, że urzędował w naszym dawnym kościółku pułkowym na Szwoleżerów. Powiedział mi, że tablice z nazwiskami poległych oficerów i szwoleżerów zostały zdjęte.

W lutym zabrano z celi naszego zacnego Andrzeja Sołdrowskiego. Zostaliśmy we trójkę – ksiądz, Węgrzyn i ja. Bóle miałem ciągle tak straszne, że całe noce nie spałem, a w dzień, siedząc drzemałem. Strażnik ciągle kopał nam w drzwi i krzyczał, abyśmy nie spali. Lecz my doszliśmy do takiej wprawy, że gdy usłyszeliśmy cichutkie odsuwanie „judasza", otwieraliśmy oko na chwilę, aby zaraz spać na nowo dalej.

Sposób wydawania posiłków też był specjalny. Miski ustawiało się na podłodze przed drzwiami. Gdy otwierano drzwi, więźniowie musieli znajdować się możliwie najdalej drzwi. Dopiero po zamknięciu celi wolno było wziąć miskę.

Ksiądz przechodził niesłychanie ciężkie śledztwo. Któregoś poniedziałku zabrano go i nie było go chyba do środy lub czwartku, kiedy wprowadzono go podczas obiadu. Nic nie mógł jeść, tylko upadł na siennik. Zabrano go do lekarza, lecz ten stwierdził, że po zastrzyku może iść na śledztwo, więc zabrano go. W sobotę wrócił półżywy i zupełnie wyczerpany zasnął. Później opowiadał, że nie pozwolono mu zupełnie spać i nie dawano pić. Gdy prosił o wodę, śledczy przynosił sobie szklankę wody i sam pił małymi łykami, a spragniony, nieszczęśliwy, z gorączką więzień mógł tylko patrzeć.

Ksiądz Narbutowicz lubił nawracać Węgrzyna i robił to raczej dość inteligentnie, bo był zupełnie niegłupim człowiekiem. Kiedyś wpadł w szczerość i zaczął opowiadać o sobie. Opowiedział, że ma siostrę, która wyszła za mąż za

księdza z kościoła narodowego, a on im dawał ślub. Ślubu cywilnego nie wzięli i małżonek, który okazał się dość podejrzanym typem, opuścił ją i wyjechał za granicę. Po tych dość długich i szczegółowych wynurzeniach, Węgrzyn nagle wpadł w złość, że nie może dłużej siedzieć i zaczął walić w drzwi. Zażądał przedstawienia go do raportu do naczelnika więzienia. Strażnik zabrał go. Wtedy ja zapytałem księdza, czy to co opowiedział nam o sobie opowiadał również śledczemu. Okazało się, że nie. Zwróciłem uwagę księdza, że postąpił bardzo nieostrożnie, bo co można wiedzieć, kim jest Węgrzyn. Ksiądz jednak uważał, że jest on na pewno porządnym chłopcem.

A Węgrzyn do naszej celi już nie wrócił. Przyszedł tylko oddziałowy i kazał sobie wydać rzeczy. Na drugi dzień nas dwóch przenieśli do innej celi, w której było pewno pięciu więźniów. Między innymi był zakonnik jezuita. Gdy zaczęto nas rozpytywać, z kim siedzieliśmy, wymieniliśmy również Węgrzyna. Wtedy jezuita, który siedział już przeszło rok, powiedział nam, że on też z nim siedział w zeszłym roku i że to znany „kapuś". Teraz dopiero zrozumiałem, jak mnie okłamywał. Kiedy go zapytałem o termin aresztowania, powiedział że 1 października 1950 roku, a ubranie i buty miał tak zniszczone, że każdy wytrawny więzień od razu by poznał kłamstwo. Zwłaszcza że twierdził, iż zabrano go z biura.

Po dwóch lub trzech dniach pobytu w nowej celi, zabrano mnie na śledztwo. Tym razem byłem przesłuchiwany nie przez jednego „śledzia", a przez trzech. Pytania zadawano mi tak szybko, że ledwo zdążyłem odpowiedzieć, a już padało następne pytanie, zadane przez innego „śledzia". Po tym szybkim maglu kazano mnie odprowadzić do celi. Lecz jakie było moje zdziwienie, gdy zamiast do celi, zaprowadzono mnie na dyżurkę, gdzie kazano mi się ogolić i sprawdzono mój depozyt. Ogolony wróciłem do celi. Wszyscy towarzysze niedoli zgodnie twierdzili, że zostanę wypuszczony na wolność. Ja osobiście nie wierzyłem, aby to było możliwe, ale niepotrzebnie rozbudzono we mnie nadzieję. Moje zabranie z celi przeciągało się do późnego wieczora. Był to początek marca, a na dworze leżał śnieg i był mróz. Moje ubranie nie nadawało się na zimową podróż. Zwłaszcza tragicznie wyglądały moje skarpetki, z których zostały prawie tylko cholewki. Zacny ksiądz jezuita zdjął własne, ciepłe skarpetki i zmusił mnie do wzięcia, twierdząc, że jemu przyślą nowe.

Wreszcie wieczorem zabrano mnie i zaprowadzono do jakiegoś pokoju, w którym było dwóch cywili, wyglądających na oprychów. Jeden przez telefon rozmawiał z jakąś niewiastą, którą w chamski sposób starał się uwodzić, gdy drugi kazał mi stanąć nosem do ściany i zaczął udzielać cennych rad koledze. Po skończonym telefonowaniu podeszli do mnie i kazali odwrócić się oraz wyciągnąć ręce. Założono mi kajdany. Od razu rozwiała się nadzieja wolności.

Narzucono mi na ramiona pelerynę nieprzemakalną i wyprowadzono mnie do samochodu. Nie wiedziałem i nie przypuszczałem nawet, gdzie mnie mogą wieźć. Przez szybę obserwowałem, którędy jedziemy. Trochę spadł mi kamień z serca, gdy nie zatrzymaliśmy się na ul. Oczki, gdzie wiedziałem, że tam jest Informacja Wojskowa. Zrozumiałem, że wiozą mnie na Dworzec Główny. Zbiry pilnujące mnie, mieli podłe mordy i nie odzywali się do mnie zupełnie. Wreszcie wpakowali mnie do normalnego wagonu osobowego, między publiczność, jedynie zakrywając mi peleryną kajdany.

W wagonie było przeraźliwie duszno i nad ranem poczułem, że zemdleję. Poprosiłem, aby uchylili okno. Zbiry widać nie mieli ochoty, abym zemdlał i przewietrzyli przedział. Wczesnym rankiem poznałem, że jestem znów we Wrocławiu.

Zaprowadzono mnie do znajomego gmachu UB i tu dopiero zdjęto mi kajdany. Przyjechałem do miejsca, skąd przed trzema miesiącami wyjechałem. Wpakowano mnie chwilowo do pojedynczej celi. Właściwie byłem zadowolony, bo we Wrocławiu było lepiej niż w Warszawie na Koszykowej. W celi znalazłem ładny grzebień szylkretowy, który przechowałem do końca pobytu w wiezieniu, choć był mi niepotrzebny, bo tu głowy strzygli na krótko. Po paru samotnych dniach przeniesiono mnie do celi zbiorowej. Siedzieli tam: ksiądz katolicki, lekarz medycyny, chłop i młody szofer, ostatnio kierownik sklepu z Nowej Soli. Towarzystwo raczej niesympatyczne. Najwredniejszy był lekarz.

Po pewnym czasie rozpoczęło się śledztwo dotyczące mojej działalności w Jaroszowie. Prowadził je „śledź" niemający najmniejszego pojęcia o sprawach dotyczących kopalń. Zadawał zupełnie naiwne pytania, na które często trudno było odpowiedzieć. Musiałem więc robić mu wykład, aby zrozumiał, jak głupio pyta. Zresztą, na przesłuchania zabierano mnie w normalnych godzinach i nie były one specjalnie uciążliwe.

Uciążliwy był natomiast sposób żywienia nas, który mógł doprowadzić do rozpaczy. Otrzymywaliśmy na obiad, na zmianę co drugi dzień, raz grochówkę, raz pęczak na gęsto. Na kolację – raz marchew gotowaną w wodnistej zupie, drugi raz kapuśniak, również bardzo wodnisty. Ta jednostajność była nie do zniesienia.

Ze wstrętem jedliśmy, bo musieliśmy żyć, ale mdłości brały na widok tego jedzenia.

Moi towarzysze niedoli nie byli ciekawi. A więc, lekarz siedział jakoby za zrobienie opatrunku rannemu człowiekowi, o którym nie zameldował – tak mówił, lecz wspomniał również o czepianiu się do niego z powodu niedozwolonych zabiegów (wtedy jeszcze nie mówiono o świadomym macierzyństwie i nie namawiano do usuwania ciąży). Zresztą był tchórzem podszyty i nudny ciągłym

gadaniem o sterylności, co było zupełnym głupstwem, gdyż w więziennych warunkach o higienie nie mogło być mowy. Dobrze, że nas od czasu do czasu kąpano i zmieniano bieliznę. Na szczęście wszy i pluskiew nie było.

Drugim z kolei kompanem był ksiądz. Taki wiejski, w średnim wieku księżyna. Mało inteligentny, dość naiwny, nie pamiętam o co go posądzali, ale wątpię aby coś poważnego przeskrobał. Nie wyglądał na bohatera politycznego, a na pewno żadnego kryminalnego przestępstwa nie popełnił. Żal mi go trochę było, bo jak mu ktoś zaczął przygadywać na temat moralności księży – rozpłakał się.

Trzecim kompanem był zwykły, głupawy chłop, którego posądzono o morderstwo. Na śledztwie tak mu zapiekli i takie dostał lanie, że przyznał się do zabójstwa, ale na sprawie czy przed sprawą oświadczył prokuratorowi, że tylko dlatego przyznał się do winy, aby przestano go bić. Wszczęto więc ponowne śledztwo, które było też niesłychanie przykre, gdyż „śledź" codziennie kopał go szpicem buta w to samo miejsce i codziennie walił w szczękę, doprowadzając do tego, że chłop nie mógł ruszać szczęką i miał wielkie trudności w jedzeniu, zwłaszcza chleba.

Czwarty to szofer – kierownik sklepu, bokser. Ten młody człowiek miał dochodzenie w sprawie paserstwa i o udział w napadach rabunkowych. Jego historia jest o tyle ciekawa, że przestępstwa wynikły ze sposobu wychowania. Opowiadał o sobie, że będąc dzieckiem, przed wojną, chodził z kolegami na dworzec towarowy w Katowicach i kradli z wagonów zagraniczne owoce. Skradzione owoce przynosił do domu, a macocha jego, którą zresztą chwalił jako bardzo dobrą, smażyła z nich konfitury i nigdy go za to nie zganiła. Gdy jako młodziutki chłopiec, podczas okupacji, pracował w magazynach – też kradł. Wreszcie wyuczył się szoferki i był wzięty na roboty do Niemiec jako szofer. Ostatnio był kierownikiem sklepu. Opowiadał, że któregoś dnia przyszedł do niego, do sklepu, jego kolega czy znajomy i przyniósł w walizce trochę towaru. Prosił, aby go sprzedał w sklepie i obiecał mu część zysku. Szofer zgodził się, lecz po pewnym czasie znajomy znów zgłosił się, lecz już z większą ilością towarów i wtedy umówili się na stałą sprzedaż. Nasz szofer zorganizował sobie teraz paserstwo całkiem dobrze. Wynajął w domu, w którym był sklep, prywatnie magazyn, obok magazynu sklepowego. Gdy przyjeżdżały samochody ze zrabowanym towarem, który wnosili do jego prywatnego magazynu, nie zwracało to zupełnie uwagi. Do sklepu wynajął osobną ekspedientkę, która sprzedawała wyłącznie towary z rabunku i wystawiała specjalnie znaczone paragony, które szły normalnie do kasy. Wieczorem rozliczenia kasowe robił sam kierownik. Wybierał paragony znaczone i odbierał odpowiednią ilość gotówki, a resztę przekazywał do banku. Taka zabawa trwała kilka miesięcy i dawała bardzo duże zyski. Wreszcie bomba pękła. Szajka, która rabowała sklepy na Dolnym Śląsku,

wpadła i ktoś sypnął pasera. Mego kompana aresztowano. W powiatowym UB nie przyznał się początkowo do niczego, a gdy go „śledź" uderzył, oddał mu. Oczywiście dostał serdeczne lanie, że przez dwa tygodnie nie odstawiali go do wojewódzkiego UB we Wrocławiu, czekając aż trochę wydobrzeje. Opowiadał, że podczas śledztwa wyszukali mu tyle przestępstw, których paragrafy pozwalały na uwięzienie go na 50 lat, gdyby to było w ogóle możliwe. Pytałem go, jak sobie wyobrażał taki sposób postępowania na dalszą metę. Chłop był zupełny głuptak. Nie bardzo zastanawiał się nad tym. Wprawdzie żona jego ostrzegała go, że to się źle skończy, ale on, szczęśliwy z posiadania dużej ilości pieniędzy, odkładał zaprzestanie procederu na później. Liczył, że jak przestanie, to jakoś wszystko się ułoży i nikt go ścigać nie będzie. Miał na tyle tylko uczciwości, że trapił się, aby ojciec jego (hutnik) nie dowiedział się, za co został aresztowany.

Nie pamiętam dokładnie, ale przybył do celi jeszcze jeden kompan. Był nim młody chłopak, pracownik kolejowy, elektromonter i świadek Jehowy. Poczciwe było chłopaczysko. Fanatycznie wierzący i uczciwy, a posądzony o współudział w jakiejś robocie szpiegowskiej, którą jakoby prowadzili świadkowie Jehowy. Chłopaka na śledztwie sobaczono od ostatnich, a on upominał „śledzia", twierdząc że to wstyd używać takich słów i wyrażeń.

W takiej kompanii i w takich warunkach przesiedziałem około trzech miesięcy. Któregoś dnia zabrano mnie z tej celi i znalazłem się w pojedynczej. Początkowo samotność bardzo była przykra. Na śledztwo nie brano mnie. Czułem się bardzo niewyraźnie, bo zdawałem sobie sprawę, że takie nagłe wpakowanie do pojedynczej celi coś wróży i że rozpoczyna się jakiś nowy kierunek śledztwa. Z nudów badałem dokładnie celę i wypatrzyłem wyskrobany na ścianie alfabet Morsa. Zacząłem uczyć się go na pamięć, a następnie palcem wystukiwać wyrazy. To zabierało mi sporo czasu. Poświęcałem też wiele czasu na bardzo dokładne sprzątanie celi i na pacierze. Zrobiłem sobie z chleba różaniec i odmawiałem go po kilka razy. Kiedyś wieczorem, gdy już leżałem w łóżku, wszedł do celi zastępca naczelnika więzienia. Wstrętny, złośliwy Żyd. Znał wszystkich więźniów i wiedział na pamięć, do czego mają się przyznać. Stanął, i nic nie mówiąc patrzył na mnie, a ja na niego. Patrzyliśmy sobie w oczy przez dłuższą chwilę. Wreszcie Żyd nie wytrzymał i zapytał zdawkowo:

– Kto to wyskrobał na rurze?

Odpowiedziałem lakonicznie:

– Nie wiem.

Żyd wyszedł, a strażnik kazał mi zdrapać jakiś wydrapany rysunek na rurze. Po kilkunastu dniach mojej samotności zostałem zawezwany wieczorem na śledztwo. W pokoju siedział jeden ze „śledzi" warszawskich, którego zresztą od razu poznałem. Był on jednym z trzech, którzy mnie maglowali przed wyjazdem

z Koszykowej. Odezwał się do mnie bardzo uprzejmie i per pan (o dziwo), pytając, jak sobie wyobrażam przyszłość. Odpowiedziałem krótko, że jak się siedzi w więzieniu, to nic sobie nie można wyobrazić. Zapytał, czy nie jestem zmęczony, bo on może i jutro ze mną porozmawiać. Znów odpowiedziałem, że jest mi wszystko jedno.

– Niech się pan zastanowi – powiedział. – Pan niedawno się ożenił i ma pan małego syna, trzeba myśleć o przyszłości.

Czułem, o co chodzi i byłem zupełnie zdecydowany. Odpowiedziałem, że mój dziad za powstanie też siedział na Syberii 25 lat i poznał swego syna jako dorosłego człowieka. Mój ojciec, mimo to, został wychowany i wykształcony i ja, jeżeli nawet umrę w więzieniu, to będzie miał kto wychować mego syna. „Śledź" stwierdził, że rozmowę należy odłożyć do jutra, więc odprowadzono mnie do celi.

Rano zostałem ponownie wezwany na śledztwo. Szedłem zdecydowany na wszystko najgorsze. Teraz „śledź" warszawski postawił sprawę jasno i zdecydowanie. Zażądał, abym wyraził zgodę na współpracę z kontrwywiadem. Oświadczył, że jestem osobą znaną w sferach wojskowych w Anglii i cieszę się pełnym szacunkiem i zaufaniem, a w kraju znają mnie jako człowieka zupełnie niezaangażowanego politycznie w obecnym reżymie, i jako starszy oficer Komendy Głównej Armii Krajowej łatwo mogę wejść do miejscowych organizacji podziemnych, przeciwnych obecnemu ustrojowi i mogę tam zająć kierownicze stanowisko. Jednym słowem, nie używając tego określenia, mam zostać prowokatorem i zdrajcą. Złość mnie porwała i jednocześnie śmiech. Właściwie mogłem zupełnie z nim nie rozmawiać i odmówić przyjęcia propozycji. Jednak coś w człowieku siedzi, że ma ochotę drugiemu wykazać jego głupotę. Więc zapytałem:

– W imię czego mam się godzić na taką propozycję? Jestem stary i nigdy nie splamiłem swego honoru żołnierskiego, ale o tym nie będę z wami mówił, bo pojęcie honoru jest wam nieznane. Mogę wam tylko wytłumaczyć, że zgoda z mojej strony byłaby największą głupotą, zupełnie nieopłacalną, a grożąca śmiercią. Jeżeli istnieje jakaś organizacja podziemna, o której nic nie wiem, to z chwilą gdyby się zorientowali, że mają do czynienia z prowokatorem i zdrajcą – zastrzelą jak psa i będą mieli rację. Jeżeli natomiast zdrajca nie będzie dla was wygodny lub wydajny, wy go wykończycie. Dla pieniędzy też się to nie opłaca.

Na to „śledź"

– Ale będą wam przysyłali dolary.

A ja:

– Mam więc również dodatkowo być złodziejem. Stwierdzam, że wasz kontrwywiad mało zna się na ludziach, skoro mnie taką rzecz proponujecie. Niczym was do tego nie upoważniłem, a nie złamiecie mnie gnębieniem więziennym.

– Wobec tego będziemy was sądzić – powiedział „śledź".

– Jeżeli macie za co, sądźcie.

– Za Jaroszów nie – dorzucił – ale my zawsze coś znajdziemy.

Na tym skończyła się nasza rozmowa i zostałem odprowadzony do celi. Teraz dopiero oczekiwałem, dość zrezygnowany, co ze mną zrobią.

W bardzo krótkim czasie, z tej pojedynczej celi zostałem zabrany na dworzec kolejowy i znów znalazłem się na posterunku milicji, na Dworcu Głównym w Warszawie. Przypuszczałem, że znów zostanę odstawiony na Koszykową. Trochę mnie to przerażało, lecz czekałem, co los mi znów zgotuje. Wkrótce sprawa się wyjaśniła i odetchnąłem. Samochód zawiózł mnie, wprawdzie nie na wolność, ale do więzienia mokotowskiego. Tu pozostawiono mnie na podwórzu więziennym i dość długo czekałem, zanim zabrano mnie do kancelarii. Zorientowałem się, że więzienie mokotowskie nie chce mnie przyjąć, bo coś tam brakuje w papierach. Wreszcie zostałem zabrany i umieszczony znów w pojedynczej celi. Obejrzałem ją dokładnie i prócz wydrapanego na ścianie napisu „Lena", z zachwytem stwierdziłem, że okno nie jest zasłonięte tzw. blendą i widać z niego sąsiedni budynek i kilka zielonych drzew. Wydało mi się to wielkim szczęściem, bo we Wrocławiu widać było z okna tylko maleńki skrawek nieba. Z tej celi po paru dniach zostałem zabrany na przesłuchanie, które polegało na spisaniu posiadanego majątku, którego w ogóle nie posiadałem. Później jeszcze zawezwano mnie ponownie i pokazano mi fotografię młodej dziewczyny w kostiumie kąpielowym, pytając, kto to jest.

Był to ktoś zupełnie mi nieznany. Wtedy pokazano mi drugie zdjęcie, chyba tej samej osoby, lecz nie poznałem nikogo znajomego. Dziś przypuszczam, że była to córka generała Tatara. Wreszcie, po może dwóch tygodniach, przeniesiono mnie na najwyższe piętro, na tzw. „jedenastkę". Wszedłem na szeroki korytarz, w którym z obu stron były gęsto umieszczone żelazne drzwi. Wyglądał on raczej na korytarz bankowy, według mojej wyobraźni, z masą sejfów, niż na więzienie, gdyż jedne drzwi od drugich były oddalone od 1–1,5 metra. Zamknięto mnie znów w pojedynczej celi, na ścianie której znów znalazłem wydrapany napis „Lena". Niedługo byłem sam. Chyba jeszcze tego samego dnia przeniesiono mnie do innej celi. Początkowo w więzieniu mokotowskim czułem się świetnie, bo jedzenie było lepsze, a miski po prostu wylizywałem. Okno niezasłonięte, nie byłem męczony śledztwem i radość, że nie jestem na Koszykowej, bo tam było koszmarnie.

W nowej celi był już więzień – starszy pan, bardzo wysoki i o szlachetnym wyglądzie, z pięknymi siwymi i falującymi włosami. Przedstawiłem mu się. Gdy posłyszał moje nazwisko, zaraz zapytał, czy nie jestem krewnym lub bratem Zygmunta. Bardzo prędko znaleźliśmy dużo wspólnych znajomych. Mój nowy towarzysz niedoli nazywał się Tadeusz Krzyżanowski i był właścicielem majątku Binduga nad Bugiem. Był stryjem męża Zosi Szymanowskiej, mojej sztubackiej miłości i znał Wiktora Szymanowskiego i jego panią Smolską. Znał również Antka Wieniawskiego i bywał w Chlewni.

Dostał biedak wyrok 15 lat za rzekome „usiłowanie zwrotu ziemi obszarnikom", jako urzędnik nieruchomości ziemskich. Apelował i obniżyli mu wyrok na 10 lat więzienia. I tego, jak już dowiedziałem się na wolności, nie przeżył i zmarł w więzieniu.

Krzyżanowski był człowiekiem wykształconym, wysoce kulturalnym i bardzo głęboko wierzącym. Jako towarzysz niedoli był przyjemny, lecz trochę męczący swoją pobożnością. Kilka godzin dziennie spędzał na modlitwie i przez ten czas czułem się, jak gdybym siedział sam w celi, bo nie chciałem mu przeszkadzać i nie odzywałem się zupełnie. Nie jadał zupełnie kapusty, bo był chory na wątrobę, a jeden dzień w tygodniu jadł tylko kawałek chleba i pił kawę. Obiad ja za niego zjadałem. Dostawał czasami tzw. wypiskę, tj. zakupione z kantyny więziennej produkty. Zawsze dzielił się ze mną, bo ja byłem zupełnie pozbawiony wszelkich wiadomości o Jance i nie zezwolono na wpłacanie dla mnie pieniędzy. Co niedzielę odmawialiśmy razem modlitwy i litanię do Matki Boskiej, a na zakończenie, jeśli to było przed południem, to *Kiedy ranne wstają zorze*, a po południu *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, które to modlitwy Krzyżanowski kończył takimi dorobionymi zwrotkami:

„O Maryjo matko droga proś za nami w niebie Boga,
Proś i czuwaj wciąż nad nami ze świętymi aniołami.
A za noc Ci dziękujemy, o szczęśliwy dzień prosimy
Byś raczyła błogosławić i z więzienia nas wybawić".

Ja te zwrotki sobie przerobiłem i odmawiałem je przy pacierzu, a brzmią one tak:

„O Maryjo matko droga, proś o wolność Polski Boga,
Proś i czuwaj wciąż nad nami ze świętymi aniołami.
A za noc/dzień Ci dziękujemy o szczęśliwy dzień/noc prosimy,
Byś raczyła błogosławić, od komuny nas wybawić".

Krzyżanowskiego zawsze serdecznie wspominam, a on lubił wspominać Wieniawę, dla którego miał wdzięczność za napisanie we wspomnieniach o pobycie z Marszałkiem, wtedy Komendantem, u niego w majątku, na popasie w drodze z Warszawy pod Kowel w 1915 roku.

Krzyżanowski stosunkowo mało o sobie mówił. Więcej dowiedziałem się o nim od Walickiego, który z nim jakiś czas siedział. Nie wiem, czy byliśmy razem dwa miesiące. Któregoś dnia kazali mu się spakować i zabrali go, możliwe, że do innego więzienia, bo był po wyroku. Kiedy żegnał się ze mną, dziękował mi, twierdząc że mój pogodny nastrój dobrze wpływał na jego samopoczucie. Pozostawił mi resztę niezjedzonej wypiski i nigdy go już więcej nie spotkałem. Do dziś zachowałem po nim najlepsze wspomnienie i modlę się za spokój jego duszy.

Po odejściu Krzyżanowskiego przeniesiono mnie do innej celi i tu dołączyli do mnie Michała Walickiego. Wszedł do celi w bieliźnie, pochylony, z dziwnie przygnębioną miną i przedstawił się. Ledwie oddali mu ubranie, które rewidowali, wyjął jakiś drut czy agrafkę i natychmiast wydrapał „Lena". Teraz zrozumiałem, że siadywałem w celach, gdzie i on siedział. Po kilku minutach dołączono do celi i trzeciego więźnia – byłego porucznika rezerwy artylerii – Lisowskiego. Był to bardzo przystojny brunet i mimo 55 lat bez ani jednego siwego włosa, dobrze, choć masywnie zbudowany. To był świetny nabytek dla celi, bo dostawał bardzo dobrą dietę, którą oczywiście dzielił się z nami. O ile Walicki siedział za udział w kontrwywiadzie w AK, to Lisowski był posądzony o szpiegostwo. Walicki dużo mówił o sobie, a nawet o swej żarliwej miłości do trzeciej żony, artystki – malarki cygańskiej – Walickiej, której imię „Lena" wypisywał po wszystkich celach. Lisowski był mniej wylewny, choć też o sobie opowiadał. Opowiadał, że z ramienia AK pracował w wywiadzie i był przy sztabie Kesselringa, występując jako oficer Ostlegionu czy Własowa. Mówił, że pracowała z nim Mirowska, żona porucznika Stanisława Mirowskiego, siostrzeńca prezydenta Wojciechowskiego, który służył jakiś czas w szwadronie przybocznym, a którą ja znałem. Ładna była niewiasta i jakoby przez Niemców rozstrzelana. Lisowski był później na Zachodzie. Zjeździł kawał świata, wreszcie wylądował w Berlinie Zachodnim i prowadził handel, trudniąc się dostawami z Anglii części do maszyn włókienniczych, które sprzedawał Polsce. W Warszawie miał żonę i córkę. O ile pamiętam, żona była Rosjanką i była baletnicą. Przyjeżdżał do żony i tu go aresztowano.

Walicki był przed wojną kustoszem w Muzeum Narodowym w Warszawie. Ojciec jego, dentysta, stale mieszkał w Petersburgu. Michał chyba dopiero w 1923 roku, wrócił wraz z rodziną do Polski i tu ukończył szkołę i uniwersytet. Wreszcie studiował historię sztuki we Francji i Holandii. Miał fenomenalną

pamięć. Był ułomny, bo miał sztywną jedną nogę, przez co chodził zgarbiony i robił wrażenie niższego niż był w istocie. Abnegat nie z tej ziemi. Bardzo nerwowy i załamany psychicznie. Ciągle rozpaczał, przewidując, że dostanie jakiś bardzo ciężki wyrok, bo przeceniał swoje przewinienia w stosunku do Polski Ludowej i Sowietów. W rezultacie otrzymał niewielki wyrok i chyba w 1955 roku był zwolniony z Barczewa. Traktowaliśmy go specjalnie i staraliśmy się możliwie ułatwiać mu życie. Na pewno był artystą i nieprzeciętnych wartości człowiekiem, tylko nie powinien brać się do takich rzeczy jak wojna. Ale co zrobić, jak ktoś dostanie takiej manii, że chce dostać Virtuti Militari. I biedak nie dostał. Mówiłem mu to, że szkoda go do roboty wojskowej.

Szybko zżyliśmy się i dobrze czuliśmy się we trójkę, o ile w więzieniu można się dobrze czuć. Po kilku dniach przenieśli nas we trzech na dziesiąty oddział. Dostaliśmy większą celę i wydawało się, że sytuacja poprawiła się. Lecz niedługo trwała ta trójkowa idylla, z dietą Lisowskiego. Przybył nowy więzień. Wszedł do celi i jeszcze nie przedstawił się nikomu, gdy zapytał:

– Kiedy będzie wojna?

Zrobił na nas najgorsze wrażenie. Odpowiedzieliśmy mało uprzejmym tonem, że raczej my jemu moglibyśmy zadać takie pytanie, zwłaszcza że on, jak powiedział, przyszedł z wolności, a my siedzimy już po parę miesięcy w więzieniu. Nazywał się Sakowicz i był adwokatem z Kutna, ożeniony z rodowitą Niemką. Aresztowany, jak twierdził, za krótki kontakt przy bridżu z jakimś oficerem przybyłym z Zachodu i występującym pod fałszywym nazwiskiem. Oczywiście, też posądzony o współpracę z siatką szpiegowską. Sakowicz popsuł cały dobry nastrój w celi. Walicki wściekał się na niego, uważając go za durnego półinteligenta, a Lisowski, zaraz pierwszego ranka, obsztorcował go, gdy ten do mycia nie zdjął koszuli.

Na pewno, że Sakowicz był bardzo niesympatyczny. Mały, siwiejący blondyn, z naroślami na uszach, o ruchach starego dziada, mimo że miał najwyżej 50 lat. I do tego przekornie złośliwy. Mnie działał na nerwy. Był oficerem rezerwy 23. pułku ułanów, choć nie wyobrażam sobie, aby z niego był tęgi kawalerzysta. Nie lubiliśmy go od pierwszego wejrzenia. Po niewielu dniach znów nastąpiła zmiana. Zabrali Lisowskiego. A przybył później młodziutki chłopak – Lech Budrecki. Miał najwyżej 21 lat. Był bardzo skryty, jeżeli chodzi o powody aresztowania. Dopiero po pewnym czasie zaczęliśmy przypuszczać, że był podejrzany o związek z zabiciem Martyki,[95] czy Partyki, takiej świni, która pyskowała przez radio, liżąc zadek Sowietom i komunie. Budrecki był

[95] Stefan Martyka (1909–1951) – aktor, propagandysta komunistyczny w Polskim Radiu na przełomie lat 40. I 50. XX wieku, zabity przez żołnierzy podziemia antykomunistycznego.

chłopcem o wybitnej inteligencji i fenomenalnej pamięci. Opowiadał nam długą powieść francuską Prousta. Opowiadał świetnie. Tak tylko opowiadać umiał Walicki. Budrecki, mimo swego wieku, ukończył uniwersytet. Zakres zainteresowań miał ogromny i rozmawiało się z nim jak z poważnym człowiekiem. Walicki bez przerwy z nim rozmawiał i dowiedział się, że Budrecki znał jego syna z pierwszego małżeństwa. Przyniósł wiadomość, że synek ożenił się. Ja, jako służbista, wściekałem się na Walickiego, który sam nie sprzątał celi z powodu stanu zdrowia, a gdy kolej wypadała na Budreckiego, przeszkadzał mu ciągłym gadaniem. Lech miał wspaniały apetyt i zjadał cały niedojedzony przez nas chleb.

Lecz i Budrecki szybko odszedł. Wreszcie zabrali i Walickiego do szpitala. Zostałem sam z Sakowiczem. Bardzo to było przykre. Przenieśli nas znów na jedenasty oddział. Kończył się rok 1951. Na śledztwo byłem brany bardzo oględnie, czasem i z bardzo długimi przerwami.

Wreszcie przyszedł trzeci kompan. Młody student z Krakowa – teozof. Nie pamiętam, jak się nazywał. Chłopak miał już 28 lat i niby uczył się. Ojciec jego był adiunktem na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i miał ambicję, aby syn ukończył wyższe studia. A syn sam nie wiedział, za co się właściwie brać. Oboje rodzice byli teozofami i młody też od urodzenia mięsa nie jadł, a wygłaszał, bez specjalnego przekonania, teorie o inkarnacji. Został aresztowany za współpracę z siatką szpiegowską. Nasza łączność akowska składała się przeważnie z teozofów. Pani Bera też była teozofką. Przez ścianę, w sąsiedniej celi, też siedziała teozofka z komórki dawnej łączności. Młody nasz kompan nie miał nic wspólnego z AK, ale jako młody teozof, na prośbę jednej współwyznawczyni, wyświadczył drobną przysługę, a mianowicie zakopał w butelce list generała Karaszewicza-Tokarzewskiego, pisany z emigracji. Generał był jakąś ważną figurą wśród teozofów i list jego był uważany za jakiś nadzwyczajny dokument, który koniecznie trzeba przechowywać dla potomności. Prócz tego, młodzieniec nasz, pochował jakieś dolary do probówek, które umieścił w wydrążonych kartoflach złożonych w tej samej piwnicy, w której była zakopana butelka z listem. Ktoś go wysypał, czy może podeszli go sprytnie tak, że w końcu przyznał się do wszystkiego. Był tym bardzo przygnębiony i jak opowiadał, że gdy siedział w więzieniu w Krakowie, próbował popełnić samobójstwo. Kiedy znalazł się w naszej celi był już zupełnie spokojny.

Przez ścianę z nami siedziały niewiasty. Ściany na jedenastce były na tyle cienkie, że jeżeli mówiło się trochę głośniej, w sąsiedniej celi było nieźle słychać. Nasz młodzian dogadał się z jakąś młodą osóbką z sąsiedniej celi. Okazało się, że panienka pochodzi z Krakowa i pracowała w polskiej ambasadzie w Rzymie, a została aresztowana oczywiście jako podejrzana o szpiegostwo,

ponieważ miała zbyt dużo znajomych Włochów. Panienka miała uroczy głos i nasz student zakochał się w niej przez ścianę, nigdy jej nie widząc. Wyuczył się szybko alfabetu Morsa i pukał do niej od rana do wieczora. Wreszcie strażnicy zorientowali się, że jakieś kontakty odchodzą i panienkę przenieśli do innej celi lub w ogóle gdzieś zabrali. Student był zrozpaczony i twierdził, że może podpisać zgodę na siedzenie 10 lat w więzieniu, byle przez ścianę siedziała jego więzienna miłość. Studenta po paru miesiącach zabrali i znów zostałem sam z Sakowiczem, którego coraz bardziej nie mogłem znosić.

Złościł mnie stale. Mówił np., że marszałek Piłsudski właściwie nie odniósł żadnego zwycięstwa w 1920 roku. Trudno jest siedzieć z kimś w jednej celi i nie rozmawiać. A rozmowy prowadziły do stałych zatargów. Prócz przekory i złośliwości najprzykrzejsze było straszne brudactwo tego człowieka. Śmierdział. Całą zimę nosił jedne ciepłe kalesony, których ani razu nie wyprał. Były czarne i strasznie śmierdziały. Wreszcie, po wielu awanturach, zmusiłem go do wyprania. Wtedy, przed praniem, pokazał mi jedno miejsce na kalesonach, które było trochę mniej brudne i twierdził, że nie są one takie znów brudne, aby koniecznie je prać. W końcu doprowadził do tego, że straciłem równowagę i powiedziałem, że nasz wspólny pobyt w jednej celi jest nie do zniesienia. Zagroziłem mu, że mu mordę zbiję, jeżeli w dalszym ciągu będzie trwał w brudzie i ciągłej przekornej złośliwości. To poskutkowało i Sakowicz zgłosił się do raportu z prośbą o zabranie go do innej celi. Myślałem, że na złość nie zabiorą go, ale zabrali. Gdy wychodził, rzucił mi się na szyję i zaczął całować, wreszcie rozpłakał się. Zostałem sam i odetchnąłem. Po prostu rozkoszowałem się samotnością i nawet po kilkunastu dniach mówiłem sobie, że lepiej być samemu w celi niż z takim kompanem jak Sakowicz.

Było lato 1952 roku. Siedziałem sam. Wtedy pomyślałem, że nigdy w życiu nie ułożyłem żadnego, najmniejszego wiersza. I zacząłem układać wierszowane modlitwy. Oczywiście, nie miały one najmniejszej wartości, ale odtwarzały mój stan duszy. W ogóle dużo rozmyślałem na temat wiary i starałem się wiele rzeczy wytłumaczyć sobie rozumowo. Stworzyłem sobie właściwie swoją własną religię, opartą na podstawowych zasadach chrześcijaństwa.

Jako podstawową prawdę uznałem, że jest Bóg. Lecz mój Bóg to nie ten staruszek z brodą na obłoku, lecz ktoś, czy coś, czego rozum ludzki nie jest w stanie zrozumieć, a co dało początek istnienia Wszechświata i unormowało prawa natury. Uważałem twierdzenie, że człowiek powstał stworzony na obraz i podobieństwo Boże za bluźnierstwo. Rozumiałem, że Kościół mógł użyć tego określenia, aby wbić ludzi w ambicję, ale tak nie jest. Bóg jest istotą niepojętą i nigdy tego nikt zrozumieć nie będzie mógł. Wierzę natomiast w Chrystusa jako człowieka zesłanego przez Boga, aby przez swoją najszlachetniejszą naukę

złagodził złe instynkty ludzkie. Jeśli Bóg dał zwierzętom instynkt, zmuszający np. bociany do zbierania się o oznaczonej porze na jakiejś łące, aby odlecieć do Egiptu, to dlaczego nie miałby zesłać na ziemię dla rodzaju ludzkiego „synów swoich", jak Chrystusa, Mahometa, Buddę czy Konfucjusza, aby nauczali ludzi, jak mają ze sobą współżyć i aby łagodzić złe instynkty, niezbędne dla zachowania gatunku. Bo czy walka o byt nie jest niezbędna? Lecz trzeba ją łagodzić i nakładać pewne hamulce, bo przesadzona prowadzi do zbrodni i do ujemnych konsekwencji.

Dlatego w mojej religii nie forma ma znaczenie, a treść. Idee Chrystusa są wzniosłe i piękne, choć trudne dla przeciętnego człowieka. Dlatego poszczególne kościoły czy wiary tłumaczą i ubierają te idee w formy, aby przez nie uzyskać choć częściowy cel podstawowy. I trzeba przyznać, że często to się udaje. Ja oczywiście nie umiem wierzyć w to, czego nie rozumiem. Uważam, że możność wiary bez rozumowania, jest wyjątkową łaską boską. Ponieważ wyznaję podstawowe zasady Chrystusa, uważam siebie za chrześcijanina, lecz nie za katolika, choć rozłam w Kościele uważam za szkodliwy. Dużo myślałem na te tematy i uważam wiele zarządzeń Kościoła za słuszne i celowe. Uznaję wartość spowiedzi. To, że człowiek musi zastanowić się nad swoim postępowaniem i upokorzyć się, aby drugiemu człowiekowi – księdzu – wyznać swoje grzechy, na pewno działa hamująco, przy zbytnim dogadzaniu swoim złym instynktom. A mimo, że to rozumiem i uznaję, sam nie chodzę do spowiedzi. To nie znaczy, że nie żałuję za grzechy. Żałuję i to mocno i nieraz bardzo nad tym cierpię, lecz nie mogę spowiadać się, bo boję się sztywności głów nieznanych spowiedników.

Ten okres samotności i możności przemyślenia rzeczy, o których na wolności ludzie nie mają po prostu dostatecznego czasu myśleć, uważam za niestracony, choć nieco zbyt długi. Te zamknięte rekolekcje wpłynęły dodatnio na mój rozwój umysłowy.

Zastanowiłem się, jakim genialnym człowiekiem był Mojżesz. Czy wymyślił ktoś coś mądrzejszego jak dziesięcioro bożych przykazań? W tak niesłychanie krótkich słowach zamknąć tyle głębokiej treści. Gdyby ludzie przestrzegali tylko te przykazania, ileż zła odpadłoby. A jakiż genialny pomysł jest z tym przyszłym życiem? Jak skutecznie obiecuje się nagrodę, której nikt z żyjących nigdy nie może sprawdzić. Również o ile chodzi o piekło.

Jednak ja doszedłem do wniosku, że określenie „kara", w myśl zasad Chrystusowych, nie powinno istnieć. Kara to jest zemsta za zły uczynek, a czy Chrystus, w swej niezrównanej dobroci, mógł uznawać zemstę? Nigdy. Trzeba od grzesznika żądać zadośćuczynienia, lecz nie powinno się mścić, czyli karać. Ja, gdybym układał prawo, zniósłbym określenie kary. Według mego zdania,

przestępcy musieliby za swoje przewinienia dawać jako rekompensatę pracę i tym dawać zadośćuczynienie osobom lub społeczeństwu. Co komu z tego przyjdzie, że za pozbawienie życia ojca rodziny zbrodniarz zostanie powieszony? Wydaje mi się, że gdyby musiał całe życie pracować w jakimś obozie i zarobek swój oddawać sierotom, więcej byłoby z tego pożytku niż z trupa na stryczku. Kiedy rozmawiałem na te tematy z prawnikami, nigdy się ze mną nie zgadzali. Jednak ja prawników uważam za dość sztywne głowy, napchane i zdemoralizowane paragrafami.

Moje samotne rozmyślania zostały przerwane. Dostałem towarzysza do celi. Przyszedł poseł na sejm ludowy, Zygmunt Załęski. Przyszedł zbiedzony, znękany i złamany staruszek, choć miał około 60 lat. Pochodził z zaściankowej szlachty spod Pułtuska i był przed wojną urzędnikiem Ministerstwa Oświaty oraz działaczem ludowym. Z wykształcenia technik włókienniczy. Podczas okupacji, w Delegaturze Rządu, był przewidziany na ministra rolnictwa. Człowiek na pewno porządny i pewno uczciwy, ale miękkiego charakteru. Jak mówił sam o sobie, że w życiu kieruje się sercem, a nie rozumem. Na taki sposób postępowania można się zgodzić, lecz tylko w życiu prywatnym, ale z takimi zasadami nie można być ministrem. Z Załęskim zupełnie nie zgadzaliśmy się. Byliśmy krańcowo różnymi ludźmi.

Pierwsze nasze spięcie wynikło z głupstwa. Z nudów układałem sobie z wypalonych zapałek plan domu, który wybudowałbym sobie, gdybym miał pieniądze. Załęski przyglądał się i zapytał, ile tu ma być pokoi. Odpowiedziałem, że powiedzmy 10 czy 12. Na to Załęski wpadł w złość i oświadczył, że to zbrodnia jest nawet marzyć o takim luksusie. On całe życie mieszkał bez łazienki i też mógł wytrzymać. Dziś można marzyć najwyżej o trzech pokojach z kuchnią i nawet bez łazienki. Od tego czasu zaczął się rozwijać pewien antagonizm między nami i w dyskusjach stale ścieraliśmy się. Ja na przykład twierdziłem, że inwestycje są środkiem do zwiększenia konsumpcji, on uważał je za cel. Zachwycał się projektami Minca i był jego gorącym zwolennikiem. Kiedyś w dyskusji zadałem mu pytanie, czy bliższy mu jest chłop, np. czeski, czy polski inteligent. W swej zawziętości klasowej zaczął kręcić. Wstydził się powiedzieć, że bliższy mu jest chłop czeski, a nie chciało mu przejść przez gardło, że polski inteligent.

Ja uważałem, że pierwszym warunkiem dla Polski jest niepodległość i wolność, a dopiero potem ustrój, a on na pierwszym planie stawiał ustrój. Nigdy nie mogliśmy się dogadać. Ja byłem dla niego zupełnie obcym człowiekiem i miałem wrażenie, że w duszy mnie nienawidził i skrycie, nie przyznając się do tego, zazdrościł. Siedziałem z nim aż do sprawy, tj. do stycznia 1953 roku, a nigdy nie byliśmy sobie bliscy i rozstaliśmy się obojętnie. Do mego wyjścia z celi nie siedzieliśmy tylko we dwóch.

Dostaliśmy, jako trzeciego do celi, młodego człowieka, którego gdy zapytałem o zawód, odpowiedział, że jest metalowcem. Okazało się, że był ślusarzem i pochodził z Kalwarii pod Krakowem. Chłopak był na pewno dzielny. Był w oddziałach partyzanckich PPS na Podhalu, a później w oddziale, który wykonywał wyroki, czyli uśmiercał ludzi skazanych przez sądy konspiracyjne. Jako wykonawca wyroku, zastrzelił jakiegoś Żyda, którego Polska Ludowa uznała za bohatera komunizmu. Chłopak po okupacji służył w wojsku ludowym i opowiadał, jak przeprowadzał pierwsze wybory do sejmu. Jak przy paleniu niewygodnych głosów suszył sobie onuce. Był również w eskorcie, gdy zginął Walter-Świerczewski. Po zwolnieniu z wojska ukrywał się przez 5 lat, bo UB zaczęło go poszukiwać. Ostatnio był instruktorem w domu poprawczym na Puławskiej i przypadkiem wpadł. Chłopak był porządny i sympatyczny, a zupełnie niegłupi. Załęski uczył go geografii Polski i trzeba przyznać, że umiał z zapałek na łóżku ułożyć mapę każdego województwa z podziałem na powiaty.

Załęski był dość wykształcony, bo prócz Wawelberga, po porzuceniu zawodu włókienniczego, ukończył szkołę nauk politycznych. Aby zbliżyć się do swoich ukochanych chłopów, kupił kawałek ziemi w grójeckim i tam, jak sam mówił, licho gospodarował. To zmusiło go do rozpoczęcia kariery urzędnika.

Kiedyś rozmawialiśmy dość głośno w celi i ja wspomniałem o płk. Głogowskim. Na to rozległo się pukanie z sąsiedniej celi i jakaś niewiasta zapytała, kto z nas wspomniał nazwisko Głogowski, bo ona zna Wisię Głogowską, wdowę po pułkowniku. Od słowa do słowa okazało się, że mamy z tą panią dużo wspólnych znajomych. Sąsiadka przez ścianę powiedziała, że nazywa się Monika, lecz później przyznała się do nazwiska Szydłowska. Brat jej męża służył kiedyś w moim szwadronie. Obecnie ma drugiego męża, adwokata w Łodzi. Miała sprawę poszlakową, bo jako architekt i historyk sztuki była dyrektorem Centralnego Zarządu Przemysłu Artystycznego i została aresztowana, jadąc na wystawę do Lipska. Monika stale prowadziła ze mną rozmowy przez ścianę (poznałem ją dopiero po prawie 14 latach). Była zawsze bardzo serdeczna. Przed samym Bożym Narodzeniem powiedziała, że nie ma papierosów. Ja wprawdzie nie paliłem, ale papierosy miałem, dzięki dzielności mojej Jaśki. Jaśka dopięła tego, że pozwolono mi przeczytać od niej list i przyjęto pieniądze na pierwszą wypiskę. W wypisce tej, bez mojej prośby, dostarczono mi papierosy. Z prowiantów korzystali oczywiście również moi kompani. Postanowiłem jakoś dostarczyć te papierosy Monice. Razem z naszym ślusarzem zrobiliśmy paczkę, przywiązaliśmy do niej sznurek i zamierzaliśmy przerzucić ją z naszego okna do okna Moniki. Okna były oddalone od siebie nie więcej jak półtora metra. Trzeba było zrobić to szybko, aby posterunek stojący pod oknami nie zauważył. Mimo prób, przerzut nie udał się. A więc w samą Wilię zrobiłem inaczej. Zrobiłem małą

paczkę owiniętą w ligninę i schowałem do kieszeni płaszcza. Na spacer zabierano nas przeważnie rano, kiedy było jeszcze ciemno i kolejno, celami. Czasem szła najpierw nasza cela, a czasem Moniki. W Wilię szła nasza cela najpierw. Gdy zorientowałem się, bo zabrano sąsiednią celę z lewej strony, zapukałem do Moniki i kazałem, aby patrzyła w ciemnym rogu placu spacerowego. Na spacerze, pod pozorem zawiązania trepa więziennego, położyłem w ciemnym rogu, nieoświetlonym przez palącą się latarnię, paczkę z papierosami. Strażnik nie zauważył tego. Monika znalazła paczkę i miała uprzyjemnioną gwiazdkę, bo z papierosami.

Trochę przeskoczyłem w swych opowiadaniach. Późną jesienią zostałem wzięty na śledztwo i prócz normalnego „śledzia" – Jana Bogusza (może to zmyślone nazwisko, bo ci panowie ze strachu przybierają pseudonimy) był prokurator w spódnicy. Nie umiałem z tą Żydóweczką, dość wstrętną, poważnie rozmawiać. Oświadczyła mi, że jestem oskarżony z dekretu o faszyzacji kraju, jako pracownik Oddziału III Sztabu Głównego i z dekretu o współpracy z Niemcami, jako szef Oddziału III Komendy Głównej AK. Roześmiałem się na głos i powiedziałem, że może mnie skarżyć nawet o zabójstwo rodzonej matki. I tak nikt w to nie uwierzy. Żydówka z oburzeniem stwierdziła, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

W okresie mego samotnego siedzenia i po przyjściu Załęskiego byłem dość często brany na śledztwo. Bogusz gnębił mnie najpierw kilkakrotnie o moje widzenie się z Hermanem w 1947 roku. Ciągle zadawał mi pytania, mniej więcej takie:

– Powiedzcie dokładnie, o czym mówiliście na kontakcie z Hermanem.

Ja niezmiennie odpowiadałem to samo.

– Nie byłem na żadnym kontakcie z Hermanem, lecz widzieliśmy się jako koledzy z Powstania i z obozu w Woldenbergu, a dokładnie nie pamiętam, o czym mówiliśmy, lecz najwięcej wspominaliśmy okres Powstania.

I tak dziesiątki razy. Zaczęto mi dokuczać przez zabieranie mnie na śledztwo przed samym obiadem, kiedy kotły już brzęczały na korytarzu. Albo zaraz, gdy położyłem się spać lub w nocy. „Śledź" zamęczał mnie nudnymi pytaniami i myślał, że mnie złamie. Np. zawezwany przed obiadem, zasiadłem na taborecie w rogu pokoju śledczego. Bogusz kazał wtedy przynieść sobie śniadanie. Zasiadł i zaczyna się odżywiać jakąś bułką z szynką, popijając herbatą. Później zaczyna się powolne palenie papierosa i ciągłe obserwowanie, jakie to robi na mnie wrażenie. Wreszcie, po papierosie, zaczyna się liniowanie papieru. A ja nic. Na koniec, po tym długim wstępie, padało pytanie. Mój Bogusz był jeszcze młodym, tzw. oficerem śledczym i nie zawsze wiedział, co dalej robić. Wtedy zostawiał mnie w pokoju, a przez uchylone drzwi obserwował mnie dyskretnie

strażnik. Sam szedł do jakiejś władzy i wracał po pewnym czasie, aby zadać nowe pytanie. Wreszcie zaczynało się pisanie protokółu, który w końcu dawano mi do podpisania. Badano mnie na różne tematy i o wszystkich ludziach, których znałem, a którzy mieli dla nich jakieś znaczenie, musiałem powiedzieć. Pytano mnie nie tylko o Raczkiewicza czy Zalewskiego, ale o Andersa, Kopańskiego i wielu innych. Raz odmówiłem podpisania protokółu. Bogusz był wściekły, lecz nic to nie pomogło. Nie podpisałem. Za to w nocy wziął mnie na śledztwo i znów proponował podpisanie. Odmówiłem i musiał napisać nowy protokół.

Gdybym podpisał tak, jak było napisane przez Bogusza, wydałbym na siebie wyrok. Kiedyś wyraził się: „Kiedy Anders uciekł z Rosji". Oświadczyłem, że jeżeli w protokóle użyje tego zwrotu, nie podpiszę protokółu. Znów był wściekły. Zapytał: „Co wy tak kochacie Andersa?". Odpowiedziałem, że jestem za poważnym oficerem, aby w protokóle, podpisanym przeze mnie, mogły pozostać określenia niezgodne ze stanem faktycznym. I nie umieścił tego określenia, choć pisząc protokół, głośno sobie dyktował, wymieniając je. Tym razem ja sam przeczytałem, przed podpisaniem, a nie jak było dotychczas, że „śledź" mi czytał.

Wreszcie, po wielokrotnych badaniach i rozmowie z prokuratorem, otrzymałem akt oskarżenia. Przeczytałem go uważnie kilka razy. Jedna wielka bzdura. Pierwsze kłamstwo to oskarżenie, że brałem udział w opracowaniu planu agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu wspólnie z Niemcami. Oczywiście, że brałem udział w opracowywaniu planu wojny obronnej w wypadku agresji sowieckiej i tego wcale się nie zapieram. A zresztą jako oficer Oddziału III Sztabu Głównego, robiłem to, co mi kazano i nie miałem absolutnie żadnego wpływu na decyzje władz państwowych. Gdyby mi kazano pracować przy planie zaczepnym, też bym go robił, nie protestując. Oburzające było to, że polskie władze występowały w roli sowieckich oskarżycieli i miały pretensje, że polski oficer nie był zdrajcą i że nie był lojalny w stosunku do ościennego państwa.

Drugi punkt oskarżenia dotyczył mojej działalności jako szefa Oddziału III Komendy Głównej AK. Według oskarżenia, redagowanie rozkazu do „Burzy" było akcją przeciw Sowietom, a nie walką z Niemcami. Po zastanowieniu się nad takim aktem oskarżenia, doszedłem do wniosku, że trzymając mnie w więzieniu przeszło 2 lata, konieczne było coś wymyślić, aby mnie skazać. Tylko wymyślono głupią bzdurę, ale i ta była wystarczająca, aby wydać wyrok, zresztą wyznaczony przez UB.

Całe więzienie mokotowskie było zapchane więźniami politycznymi, którzy odpowiadali za patriotyzm i swą pracę dla Polski. Wątpię, aby w Mokotowie siedziało 30% więźniów kryminalnych.

W niedługim czasie zawezwano mnie na widzenie się z adwokatem. W pierwszej chwili byłem wściekły, bo uważałem wzięcie adwokata za zbędny wydatek, choć z drugiej strony byłem pełen podziwu i wdzięczności dla Jaśki. Adwokatem okazała się pani Więckowska, starsza, siwa i poważna pani. Widać, że miała dużo tupetu, bo nie zgodziła się, aby przy rozmowie ze mną asystował strażnik i zmusiła go do odejścia. Gdy zostaliśmy sami, najpierw przekazała mi pozdrowienia od Jaśki i opowiedziała pokrótce o niej i o Wojtusiu. Dała mi do zrozumienia, że jest kuzynką Hejmanów, z czego zrozumiałem, że Jaśkę nie będzie drogo kosztowała moja obrona. Mimo to wzdragałem się z podpisaniem pełnomocnictwa. W rozmowie z Więckowską dowiedziałem się, że według jej przewidywań, mogę otrzymać wysoką karę. Ja w ogóle nie liczyłem na niski wyrok, bo sądy sypały wyroki od 10 do 15 lat. Mówiła mi, że liczy się z terminem rozprawy w grudniu 1952 roku. Czekałem cierpliwie i nie denerwowało mnie, że mijał grudzień, a rozprawy ciągle nie było.

Tymczasem życie w celi ciągnęło się zwykłym trybem. Na śledztwo już mnie nie zabierali, prócz jednego razu, kiedy kazano mi podpisać sankcje prokuratorskie. Gdy je przeglądałem, stwierdziłem, że były wystawiane na 3 do 6 miesięcy, ciągle pod jakimś nowym zarzutem. Było i szpiegostwo. Nie było tylko morderstwa. Ponieważ były przedawnione, na wszelki wypadek, przy podpisie stawiałem datę podpisania. Bogusz znów był wściekły, ale nic nie mógł poradzić. Zwróciłem mu uwagę, że ostatnia sankcja skończyła się miesiąc temu i że powinienem,w myśl tego, być natychmiast zwolniony z więzienia. Roześmiał się z tego.

Kiedyś ja Bogusza postraszyłem. Gdy mi powiedział, z jakich dekretów mam być oskarżony, zapytałem go, kiedy te dekrety wyszły. Zapytałem również, czy prawo może obowiązywać wstecz. Oświadczył, że może. Wobec tego – zapytałem – czy nie sądzi, że kiedyś on będzie odpowiadał za przesłuchiwanie mnie. Wyraźnie bardzo się speszył i tylko powiedział: „Wy mnie nie straszcie".

Na Trzech Króli Monika zrewanżowała się i pozostawiła w kącie paczkę dla mnie. Były w niej ulepione, maleńkie trzy asy na czerwonych nitkach. Asy były zrobione z białej bułki, a z nitek oznaczone kolory. Była to bardzo misterna robota. Zabrano mi je przy pierwszej rewizji. Nie wiem, czy władze więzienne zorientowały się, że podczas spacerów odbywają się jakieś kontakty, ale zmieniono porządek i nie brano cel kolejno, a na wyrywki. Nie wolno było chodzić wzdłuż muru sąsiedniego zagrodzenia.

W trzeciej dekadzie stycznia 1953 roku zostałem ogolony, wpakowany do auta ciężarowego pod brezentową budę i pod silną eskortą zawieziony do sądu na Lesznie. Na korytarzu zobaczyłem Jaśkę z maleńkim Wojtusiem. Serce mi się krajało, ale nie pozwolono mi przywitać się z nimi. Zamknięto mnie w pokoju,

gdzie oczekiwałem na wezwanie na rozprawę. Czekając, oglądałem ze starego więziennego przyzwyczajenia ściany, na których było dużo napisów wydrapanych, a dotyczących spraw i wyroków małoletnich.

Pamiętałem, że nie wolno mi mieć nieszczęśliwej miny, gdy będę prowadzony przez korytarz, między publicznością, do sali sądowej. Wyglądałem jak stary kryminalista w zniszczonym ubraniu i krótko ostrzyżoną głową, więc tym bardziej musiałem nadrabiać miną. Po wyjściu na korytarz wyprostowałem się i podniosłem głowę, śmiało patrząc ludziom w oczy. Na korytarzu zobaczyłem teraz Halę Katanową, która za rączkę prowadziła małego Wojtusia. Do dziś mam go w oczach.

Rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych i w niewielkiej salce nie było publiczności. Zobaczyłem tylko świadka oskarżenia, Władysława Romana, pod silną eskortą. Sędzia chciał ubowców i Romana wyprosić z sali, ale ubowcy coś tam pogadali i sędzia pozwolił im pozostać. Niewiele więc było osób. Dwóch ławników, z których jeden wyglądał, w najlepszym razie, na majsterka, zresztą obaj drzemali podczas rozprawy. Prokurator w spódnicy i mój obrońca też w spódnicy. Sędzia zadał mi parę pytań, na które udzieliłem krótkich odpowiedzi. Wreszcie, przy przesłuchaniu Romana, sędzia zapytał, czy chcę o coś zapytać świadka. Roman miał być świadkiem w sprawie rozkazu o „Burzy", więc zapytałem go, czy czytał ten rozkaz. Roman, jąkając się, oświadczył, że nie czytał. Wtedy powiedziałem, że nie mam więcej pytań, bo co może mówić świadek o rozkazie, którego nie czytał osobiście, a zeznaje na podstawie zasłyszanych szczegółów? Zresztą wiedziałem, że Roman biciem lub innymi szykanami został zmuszony, aby występował w charakterze świadka oskarżenia. Rozprawy w pierwszym dniu nie zakończono i zostałem odwieziony do więzienia. Przed wyjazdem, Jasiunia dostarczyła mi paczuszkę z jedzeniem, którą strażnik pozwolił mi zjeść w gmachu sądu, byłem nie zabierał jej do więzienia.

Na drugi dzień dalszy ciąg rozprawy odbywał się na tzw. „kiblu". To znaczy, że sąd przyjechał do więzienia i tu odbywała się rozprawa. Przyprowadzono następnych świadków oskarżenia. Pierwszym był gen. Tatar Stanisław. Tatar, mimo że siedział wiele miesięcy w więzieniu, wyglądał dobrze i uderzyło mnie jego wspaniale wyprasowane ubranie. Tatara nie widziałem od 1944 roku, od wiosny, a więc prawie 9 lat. Mało się zmienił. Jego zeznania nie obciążały mnie absolutnie, raczej można je było uważać za mowę obrończą. Gdy się zwróciłem do niego z zapytaniem, oczywiście za zezwoleniem sądu, tytułując go per „pan generał", prokuratorka mruknęła złośliwie: „Jak to się tytułują". Całe zeznania Tatara byłyby dobre, gdyby nie zakończenie, niemające nic wspólnego z moją sprawą, a polegające na oskarżeniu rządu emigracyjnego, a głównie generała Sosnkowskiego.

Nie rozumiem, po co Tatar to mówił i do kogo. Miałem wrażenie, że dostał on jakiejś manii prześladowczej i wyładowuje swoją żółć. Speszyłem się do niego, gdyż uważałem go dotychczas za człowieka szlachetnego i z charakterem oraz uczciwego.

Ostatnim świadkiem oskarżenia był major Nowiński Tadeusz z 5 pułku ułanów, pracujący ostatnio przed wojną jakoby w II Oddziale Sztabu Głównego. Znałem go dawno jako rotmistrza, gdyż 5 pułk ułanów wchodził w skład naszej dywizji, w której byłem jakiś czas szefem sztabu. Nowiński wyglądał fatalnie. Postarzały, siwy i częściowo bez zębów. Widać było człowieka zniszczonego przez śledztwo, które musiało być okrutne oraz przez warunki więzienne. Nowiński zeznawał na temat planu polskiej agresji, w porozumieniu z Niemcami, przeciw Sowietom. Mówił bzdury, bo trudno mu było mówić o rzeczy nieistniejącej. Zapytałem go, czy widział ten plan, bo jako oficer pracujący w Sztabie Głównym, chyba zdaje sobie sprawę, jak taki plan musiałby być tajny i dostępny dla bardzo ograniczonej liczby oficerów. Oświadczył, że nie widział go, ale słyszał od jednego oficera, który mógł widzieć się we Francji z pułkownikiem dypl. Jakliczem, a ten mógł ewentualnie powiedzieć mu o tym. To było zupełnie mętne zeznanie. Ja niestety nie mogłem swej obrony popierać świadkami, bo mogliby w tym wypadku być tylko: marszałek Śmigły-Rydz, gen. Stachiewicz, płk dypl. Jaklicz i ewentualnie płk dypl. Glabisz. Lecz ci świadkowie albo nie żyli, albo byli na emigracji.

Wreszcie, po zeznaniu świadków, zabrał głos żeński prokurator. Mowa tej baby była i głupia, i demagogiczna. Zaczęła od mego rodowodu, udowadniając tym mój stosunek do Rosji i do Sowietów. Wyciągnęła nawet dziadka, powstańca z 1863 roku i na zakończenie zażądała łącznej kary 12 lat więzienia i 8 lat pozbawienia praw. Natomiast przemówienie obrony, wygłoszone przez adwokat Więckowską, było na zupełnie innym poziomie. Widać było wyższą kulturę i znajomość prawa. Obrona stwierdziła, że paragrafy, z których mam odpowiadać, nie stosują się do funkcji, jakie pełniłem.

Na zakończenie wyciągnęła moje prywatne sprawy, jak śmierć Adasia i Maciejka, wreszcie moją pracę w Jaroszowie. Poprosiła, aby do akt sprawy dołączyć opinię o mnie z Jaroszowa, którą uprzednio przeczytała. Prokuratorka na to mruknęła, że w sprawie Jaroszowa toczy się śledztwo, co było nieprawdą. Było już zakończone.

Muszę się przyznać, że gdy adwokat Więckowska zaczęła mówić o śmierci moich chłopców, nie wytrzymałem, mimo całego wysiłku i łzy pociekły mi strumieniem,

Na koniec, rozprawę zakończono i odczytanie wyroku miało się odbyć za parę dni. Wyrok odczytano znów na Lesznie. Tym razem, pozwolono Jaśce

być przy odczytaniu wyroku. Kiedy mnie przywieziono na Leszno, strażnik z gwiazdkami, jakie noszą oficerowie, powiedział mi, abym na korytarzu nie rozmawiał z rodziną, bo pozwolą mi zobaczyć się z żoną i synkiem.

Wyrok brzmiał nad moje spodziewania łagodnie, bo 9 lat więzienia, zmniejszone na podstawie jakiejś amnestii do 6 lat oraz 8 lat pozbawienia praw obywatelskich. Zgodziłem się na ten wyrok, bo o sprawiedliwości nie mogło być mowy. Byłem rad, że tylko 6 lat i to z zaliczeniem aresztu śledczego. Jaśka była zrozpaczona.

Po odczytaniu wyroku wyprowadzono mnie na korytarz i tu, dzięki staraniom adwokat Więckowskiej, zobaczyłem się z Jaśką. Co można sobie powiedzieć po niewidzeniu się przeszło dwuletnim i po takich przejściach, jak dla mnie śledztwo i więzienie, a dla Jaśki szalony niepokój i moc trudności życiowych? Padliśmy sobie w ramiona i całowaliśmy się, a Wojtulek siedzący na naszych rękach, patrzył zdziwiony i zakłopotany, nic nie rozumiejąc. Nie płakał, tylko patrzył. Ojca nie znał, bo byłem aresztowany, kiedy on miał pół roku. Znał tylko matkę, lecz coś tam musiało w tym małym serduszku tkwić i coś przeczuwać.

Po wyroku nie wróciłem już do swojej celi. Rzeczy miałem spakowane i przyniesiono mi je do nowej, choć jeszcze ciągle na dziesiątym oddziale. Byłem przygotowany, że po wyroku zostanę przeniesiony do innego pawilonu, tego, w którym siedzieli więźniowie odsiadujący karę. Tymczasem pozostałem w pawilonie śledczym i, co najgorsze, w dalszym ciągu zaczęto mnie zabierać na śledztwo, i to w nocy.

Któregoś dnia wprowadzono do mojej celi nowego więźnia. Był średniego wzrostu, z czarnymi wąsami i wyglądał na włoskiego dyplomatę. Wszedł, nie przedstawił się, tylko zaczął załamywać ręce, rozpaczać, płakać i modlić się. Wreszcie uspokoił się na chwilę i zaczął opowiadać, że po wyroku apelował i nic to nie pomogło. Otrzymał wyrok trzech i pół lat więzienia za to, że jego córka „chodziła" z jakimś typem, który był jakoby partyzantem UPA. Na rozprawie powiedzieli mu, że choć nie wiedział z kim córka „chodzi", ale powinien wiedzieć. Chłopisko był gospodarzem gdzieś spod Zamościa czy Tomaszowa Lubelskiego. Miał dużo godności osobistej i swojej dumy, że jest gospodarzem, a nie dworskim parobkiem. Jak się okazało, przed ponowną rozprawą, był już w pawilonie karnym i pracował w papierni, a tym samym miał dostęp do gazet, których ja przez przeszło dwa lata nie miałem w ręku. Zreferował mi, zupełnie inteligentnie, ówczesną sytuację polityczną. Zdaje się, że nazywał się Smut. Był zatrwożony wpakowaniem go do pawilonu śledczego i ciągle starał się dociec, dlaczego. Jednakże jego dociekania nie dały rezultatu, a i tak po kilku dniach przeniesiono nas do pawilonu karnego. Smut poszedł do poprzedniej swej celi, tj. więźniów pracujących w papierni, a ja również do celi pracujących, ale innej.

Na drugi dzień zabrano nas na robotę, która polegała na pchaniu olbrzymiej rolwagi, najpierw pustej, a później naładowanej miałem węglowym. Do tej roboty wzięli taką ilość więźniów, że nie nadwyrężyłem sobie mocno swoich słabych sił. Lecz w tej celi byłem kilka dni, bo przeniesiono mnie do celi pracujących w papierni. Tu od razu spotkałem znajomych. Gdy wszedłem do celi miałem mocne postanowienie nic nie mówić o sobie, lecz nic z tego nie wyszło. Moi przyszli towarzysze niedoli byli na robocie, ale zastałem tam dwóch więźniów chorych, którzy tego dnia byli zwolnieni od pracy. Jeden z nich od razu podszedł do mnie i przedstawił się – Piniński. Oświadczył, że mnie zna, gdyż był przed wojną podkomisarzem policji i nawet był kiedyś u nas w kasynie pułkowym szwoleżerów.

Gdy wrócili więźniowie z pracy, spotkałem drugiego znajomego – Jerzego Sienkiewicza, brata podpułkownika dypl. Stanisława Sienkiewicza, który poległ w 1939 roku, a był kolegą Bronka z 34 pułku piechoty i moim ze Sztabu Głównego. Sienkiewicz zaprosił mnie, abym zajął wolne łóżko obok niego.

To spotkanie miało dużą wartość, bo znalazł się ktoś przychylnie nastawiony do mnie i mogący zaznajomić mnie z nowymi warunkami bytowania. Na drugi dzień poszliśmy od rana do pracy. Sienkiewicz pracował w kancelarii i dobrze mu się powodziło. Mnie przydzielono do czyszczenia szmat. Była to wstrętna robota, bo trzeba było z brudnych, starych szmat obcinać guziki i pruć je, aby składały się ze stosunkowo małych kawałków. Jakkolwiek ogólne warunki bytowania na oddziale karnym były o wiele lepsze niż na śledczym, to jednak ta robota była wstrętna. Płacono za nią, z czego olbrzymia część była potrącana za wyżywienie, a drobną zapisywano na nasze konto, z którego mogliśmy czerpać na bieżące wydatki. Jakąś tam cząstkę zapisywano na oszczędności, które mieliśmy odebrać po wyjściu z więzienia. Prócz tego, otrzymywaliśmy po pół litra mleka i mieliśmy co tydzień dość dobrą wypiskę, składającą się, według naszej woli, z prowiantów i przyborów toaletowych.

Więzienny oddział papierni był ogrodzony i strzeżony, ale wewnątrz mieliśmy pewną swobodę ruchów, co stwarzało złudę pewnej wolności. Niedługo pracowałem przy szmatach. Cywilny majster, nadzorujący więźniów czyszczących szmaty, doszedł do wniosku, że ja nigdy nie wyrobię swojej normy. Naradził się z inżynierem i zostałem przeniesiony na inną funkcję. Byłem teraz w kotłowni, gdzie w parze i chemikaliach odbywało się pierwsze pranie szmat. W stosunkowo dużej hali był umieszczony żelazny, kulisty kocioł o wymiarach średnicy 4–6 metrów, olbrzym. Kocioł cały czas obracał się i szmaty przewracały się w nim. Po jakimś czasie następowało otwarcie kotła, czemu towarzyszył potężny smród od pary przesyconej chemikaliami. Wilgotne szmaty ładowało się do dużych koszy i trzeba było dźwigać kosz do góry i zawartość jego

wrzucić do tzw. „holendra", czyli basenu, w którym woda była w stałym ruchu. Z „holendra" odpływała brudna woda i trzeba było napuszczać czystej. Kosze dźwigało się we dwóch. Ja nie miałem tyle siły, abym mógł zrobić tyle, co robili młodzi chłopcy. Miałem te swoje 56 lat i byłem wycieńczony długim więzieniem śledczym i bez żadnego treningu do pracy fizycznej. Moi współtowarzysze zobaczyli, że nie daję rady w dźwiganiu koszy i przydzielili mi funkcję regulowania dopływu wody do „holendra", co było zajęciem bardzo lekkim, polegającym na otwieraniu i zamykaniu kranu. Pracować jednak za mnie stale nie mieli ochoty i postarali się mnie spławić.

Wyszło mi to na dobre, bo zostałem przydzielony do kuchni, na młodszego kucharza od gotowania mleka. Starszym kucharzem był więzień, zawodowy chorąży z żandarmerii, z ochrony Belwederu. Poczciwe chłopisko. Nazywał się Knap. Prócz mnie przydzielili do kuchni Pinińskiego. Teraz zaczęło się lepsze życie. Odwiedzał nas stale w kuchni Jurek Sienkiewicz, a ponieważ nie gardził odżywianiem się, więc gdy ja dwiema rękami mieszałem w olbrzymich dwóch kotłach mleko, aby się nie przypaliło, Jurek szykował z Knapem śniadanie dla nas. Piniński raczej obijał się. Zresztą niedługo był w kuchni, gdyż jak przypuszczaliśmy z Knapem, zmuszono go, aby został „kapusiem", a on był na tyle przyzwoity, że postarał się o przeniesienie do innej pracy, aby nas przynajmniej nie „kapować".

Piniński był wysoki i szczupły, ale zupełnie słaby fizycznie. Czasami, aby nam trochę dokuczyć, zabierano mnie i Pinińskiego do pomocniczych robót, np. do przewożenia bel ze szmatami do windy lub do podrzucania miału węglowego na olbrzymiej kupie. Kiedyś zmuszono nas do rozładowania wagonu z miałem węglowym. Myślałem, że ducha wyzionę, ale wagony musieliśmy rozładować. Piniński, przy takiej robocie tylko udawał, że coś robi i o mało to udawanie źle się nie skończyło. Przechodził obok składowiska z miałem któryś ze starszych strażników i zobaczył robotę Pinińskiego. Wpadł w pasję i zaczął mu straszliwie wymyślać, grożąc karcerem. Z chwilą, kiedy zabrano Pinińskiego z kuchni, zostałem sam z Knapem i do robót pomocniczych przestano nas używać.

Natomiast w kuchni było dużo roboty, bo prócz gotowania mleka, zaspokajaliśmy prośby współwięźniów, którzy prosili o gotowanie lub smażenie jajek, gotowanie boczku itp. Nasza kuchnia, w niedługim czasie, została nazwana „Polonią", od jednej z lepszych restauracji warszawskich. Nasze przyrządzanie śniadań rozciągało się i na strażników, którzy nas pilnowali oraz kilku robotników wolnościowych. Ci odnosili się do nas zawsze bardzo grzecznie i raczej ze współczuciem, jakkolwiek nie wolno im było z nami rozmawiać. Po rozdaniu mleka i przygotowaniu posiłków musieliśmy z Knapem zmyć podłogę w kuchni i zrobić wzorowy porządek oraz odsiać miał węglowy, z którego wybieraliśmy grubsze kawałki do palenia pod kuchnią, jak również narąbać drzewa na

rozpałkę. Wreszcie, dla pana oddziałowego, czyli naszego strażnika, nakrajać drobno resztki chleba, niedojedzone przez więźniów i wypakować na sztywno teczkę, którą zabierał dla swoich królików czy może świnki, bo mieszkał gdzieś pod Wilanowem. Ta czynność była absolutnie najważniejsza. Za wszystko można było otrzymać przebaczenie, ale za słabo wypakowaną teczkę – nigdy. Pakowałem ją więc codziennie jak najpełniej.

W naszej celi roboczej było kilku prawdziwych inteligentów, a przybył jeszcze Michał Walicki. Był Leon Iwicki, bardzo porządny akowiec, młody, lecz schorowany. Był również Stanisław Ruciński, starszy funkcjonariusz policji z Lublina, nadkomisarz lub inspektor. Było też trochę półinteligentów (ci są zawsze najmniej sympatyczni), kilku chłopów, uczciwych patriotów, wreszcie paru złodziei i kanciarzy. Spośród tych ostatnich wyróżniał się ślicznie zbudowany, jak Apollo, a zeszpecony trochę brakiem zębów na przodzie – Krysik. Ta szelma twierdził, że był podporucznikiem w UB i organizował Urząd Bezpieczeństwa w Gdańsku zaraz w 1945 roku, ale poznali się na nim i wyrzucili go. Był dowcipny i sympatyczny. Pochodził z Mokotowa. W dzień moich imienin, 19 marca, Krysik w szmatach znalazł białe, niciane rękawiczki. Ubrał się w nie i przyszedł do mnie z powinszowaniami, mniej więcej w tej formie: „Panie Ziutku, w niebie koruny, a na ziemi fortuny". Poczęstowałem go jakąś kanapką, przyrządzoną z racji imienin przez Jurka Sienkiewicza. Krysik zwierzał mi się, że nienawidzi milicji. Mówił, że na trzeźwo to jeszcze z obrzydzeniem może patrzeć na milicjanta, ale gdy się upije, nie wytrzymuje nerwowo i musi bić. Często brakowało mu papierosów. Przychodził wtedy do mnie ze skromną minką i prosił nie o pożyczkę, lecz aby mu dać 10 „sportów", a on mnie za to ostrzyże na „Bolero", bo strzyżenie odbywało się w celi, przy pomocy starych i tępych nożyczek wydawanych przez oddziałowego.

Ale widziałem Krysika i innym. Kiedyś dwóch więźniów grało w szachy. Krysik kibicował. Grali jego kamraci – złodzieje i on coś doradził. Dość, że wynikła awantura. Krysik, jak kot wskoczył na stół i skopał po głowie przeciwnika. Podniósł się krzyk i przybiegł oddziałowy. Zabrał Krysika z celi. Może po 10 dniach bohater wrócił do celi cichy, mizerny i skruszony. Powiedział tylko: „Ale naczelnik mi mordę stłukł i wyrwał garść włosów". Ogólnie, złodzieje byli złymi kolegami niedoli. Świntuchy, do których nie można było mieć zaufania. Nie wstydzili się swego fachu i bezczelnie mówili: „Jestem złodziej". Bardzo ich interesował kodeks karny i zawsze wypytywali gorliwie prawników o paragrafy i ile za co grozi więzienia.

Przed przybyciem Walickiego odszedł z więzienia Jurek Sienkiewicz, po odbyciu już kary. Prosiłem go, aby zobaczył się z moją Jaśką i opowiedział jej, jak wygląda nasze życie więzienne.

Człowiek, który nie przeszedł przez to piekło, nie jest w stanie zrozumieć, czym jest dla kulturalnego i honorowego człowieka więzienie. To nie brud i głód są najgorsze. To są trudności fizyczne. Gorsze tysiąckrotnie są cierpienia moralne. Ta poniewierka i stałe poniżanie godności ludzkiej są straszne. A zwłaszcza, skoro te cierpienia zadają Polacy Polakom, w imię miłości do odwiecznych wrogów. Nie dziwiłbym się, gdybym był sądzony przez sąd sowiecki, ale żeby Polacy mścili się za wierną służbę Polsce dla przypodobania się wrogom, to bardzo bolesne.

Jurek, podczas naszego wspólnego siedzenia w jednej celi, zrobił nam parę wykładów o Piotrze Michałowskim. Cieszyłem się, że wychodzi na wolność, ale żałowałem straty tak dobrego towarzysza niedoli.

Michał Walicki też był dobrym kompanem. Ten wybitny człowiek miał dar opowiadania. Tworzył w pamięci piękne nowele, a zawsze związane ze sztuką.

Pracując w papierni, a raczej w kuchni, czas schodził, jak na więzienie, dość znośnie, do czasu śmierci Stalina. Wiadomość o śmierci tego piekielnika doszła do więzienia. Szepnął mi ją jeden z wolnościowych robotników. Oczywiście podzieliłem się tą wiadomością z innymi więźniami i lotem błyskawicy rozeszła się po całym więzieniu. Myślę, że i innymi drogami dotarła ona do więzienia. Aby zachować dyscyplinę, zaczęły się teraz różne idiotyczne szykany. Rewidowano nas, zabierano woreczki i inne niezbędne drobiazgi osobistego gospodarstwa. Słowem, starano się za wszelką cenę możliwie obrzydzić nam życie. Trwało to do czasu, kiedy któregoś dnia przerwano naszą pracę i rozkazano spakować swoje rzeczy. Przeniesiono nas do nowej celi, przeprowadzając uprzednio pobieżnie badania lekarskie. Wiedzieliśmy, że będziemy wywiezieni do innego więzienia. A więc znów nie będziemy mogli przez jakiś czas widywać się z rodzinami. Moja Jaśka zawsze odwiedzała mnie, jak tylko było to możliwe.

W nowej celi od razu podeszli do mnie mecenas Stanisław Cybulski i podający się za inżyniera, Stanisław Szopiński. Po krótkiej rozmowie postanowiliśmy razem się trzymać. Z naszej celi był Walicki, Iwicki, Ruciński i jeszcze paru. Noc przespaliśmy w fatalnych warunkach.

Rano załadowano nas, jak śledzie, do więziennych samochodów i pod silną eskortą zawieziono na jakiś dworzec. Osobiście nie widziałem, ale mówiono mi, że za nami jechał samochodem osobowym sam naczelnik więzienia z ręcznym karabinem maszynowym. Zresztą, ten łajdak – fryzjer z Kałuszyna czy Parczewa, wtedy naczelnik więzienia nr 1 w Warszawie, przed wyjazdem kazał nas rewidować i poodbierać nawet krzyżyki i medaliki, więc to uzbrojenie było zupełnie zbędne. Podwieziono nas do rampy i samochód tak ustawiono, że prosto z niego wchodziliśmy do wagonów więziennych, gdzie natychmiast

zamykano nas w ciasnych przedziałach. Do przedziałów, przeznaczonych dla jednego więźnia, nas pakowano po trzech. Ja jechałem z Szopińskim i innym jakimś nieznanym więźniem. Nie wiedzieliśmy, z jakiego dworca odjeżdżamy, ani gdzie jedziemy. Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy, ale za dnia przybyliśmy do Barczewa. Tu zaprowadzono nas do więzienia, które mieściło się w jakimś starym klasztorze nad jeziorem. Wpakowano nas do cel, w których przechodziliśmy kwarantannę. W naszej celi zebrała się zupełnie wyjątkowo bardzo dobra kompania, samych prawie inteligentów związanych z AK. Niestety, Staś Cybulski znalazł się w sąsiedniej celi.

Nie wiem już jak, ale Jasiunia, która co miesiąc mnie odwiedzała i tu mnie znalazła i przyjechała. Jaśki odwiedziny stały się sławne wśród moich współtowarzyszy niedoli. Wiedzieli, że co miesiąc przyjeżdża, a jeżeli przyjazd opóźniał się, natychmiast mnie pytano się, co się stało. Do śmierci nie zapomnę Jaśce jej stosunku do mnie podczas mego więzienia. Zawsze widziałem ją, choć przeważnie przez kraty, pogodną i kochającą.

W Barczewie niedługo przebywałem. Najpierw zabrano mnie do pracy, która polegała na pomocy w magazynie mundurowym, lecz po kilku dniach zostaliśmy znów przygotowani do transportu. Podczas pobytu w Barczewie zaszły zmiany jakieś w stosunku do więźniów. Zawsze, gdy wracaliśmy ze spaceru, zanim pootwierano cele, kazano nam stawać nosem do ściany, aż tu któregoś dnia stajemy jak zawsze i nagle rozlega się wrzask strażnika: „Co to, Gestapo?! Dlaczego stajecie nosem do ściany?”. Nic nie rozumieliśmy. Z moich starych kompanów więziennych miał wyjechać tylko Ruciński. Walicki, Szopiński, Żelechowski, Cybulski i inni, pozostali. Zresztą po skończeniu kwarantanny rozrzucili nas po różnych celach. Znów zapakowano nas i wyjechaliśmy w nieznane.

Przyjechaliśmy wieczorem do Iławy. Było zimno i z trudem dźwigając nasze worki depozytowe, dowlekliśmy się do więzienia. Tym razem więzienie mieściło się w starych, niemieckich koszarach artyleryjskich. Nie były one jeszcze przerobione w zupełności na więzienie. Nie było krat w oknach i innych szykan więziennych. Po przyjeździe dość długo marzliśmy, stojąc na dworze, aż wreszcie zaprowadzono nas do cel. Nie otrzymaliśmy absolutnie nic, nie mówiąc o kolacji, której też nie wydano. Noc spędziliśmy drzemiąc na deskach łóżek lub podłodze. Dopiero rano rozdano nam miski, łyżki i koce, wreszcie śniadanie. Rozdzielono nas po celach. Ja osobiście znalazłem się w celi chyba specjalnie wybranej, narożnej, wilgotnej, z pleśnią na ścianach i w towarzystwie dwóch oficerów AK – majora Marka i porucznika Ruska, kilku cywilnych półinteligentów oraz Niemców. Ruciński trafił do sąsiedniej celi. Gdyby nie zimno, bo opału wydawano skąpo, to wiele warunków było lżejszych niż w innych więzieniach. Tu znaleźli się ludzie przeważnie starzy i chorzy. Już samo to,

że nie było to typowe więzienie, a koszary, człowiek czuł się lepiej. Już podczas pierwszego widzenia się z Janką, która po bohatersku, przez Barczewo, odnalazła mnie w Iławie, odczuło się różnicę. Widzenie odbyło się w zwykłej izbie, przy stole, z tym tylko, że odwiedzający siedzieli po jednej stronie stołu, a więźniowie po drugiej. Na powitanie i pożegnanie, mimo lekkich protestów strażnika, można się było pocałować. Po paru miesiącach trochę się zmieniło na gorsze, bo zrobili kraty i wprowadzili więzienny sposób widywania się.

W Iławie czułem się dość samotnie. Był wprawdzie w naszej celi jeden major czy podpułkownik dyplomowany, którego nazwiska nie pamiętam, a którego znałem jeszcze z Mokotowa. Odznaczał się on wybitnym tchórzostwem i przesadną lojalnością w stosunku do wszelkich władz. On w Iławie zgłosił się do pracy, za co zapłacił pokaleczeniem rąk przez jakąś maszynę. W warunkach więziennych poznaje się charaktery ludzkie. Wspomniany wyżej oficer na pewno był nieprzeciętnym człowiekiem. Był oficerem dyplomowanym, prócz tego zdaje się, że jeszcze coś skończył. Pracował w departamencie piechoty Ministerstwa Spraw Wojskowych i był w ataszacie w Paryżu. Wrócił do kraju i oczywiście zamknęli go. Cały czas trząsł portkami i nigdy nie mogłem z nim szczerze porozmawiać. Z nowych towarzyszy niedoli nie miałem wielkiego pożytku. Zbliżyłem się jedynie z oficerem rezerwy, a adwokatem łódzkim, Zejdą. Z nim można było porozmawiać i dowiedzieć się czasem coś ciekawego. W celi było jeszcze dwóch prawników: były prokurator Izdebski i adwokat Babicki. Ten ostatni mało sympatyczny i nielubiany przez wszystkich.

Z Zejdą rozmawiałem kiedyś na temat śmierci gen. Sikorskiego. Z zastrzeżeniami, ale podał mi następujące przypuszczenia, które nosi cechy prawdopodobieństwa. Jakoby na Bliskim Wschodzie oficerowie towarzyszący generałowi w podróży, a mianowicie gen. Klimecki i płk dypl. Jędruś Marecki, kupili sporo rzeczy i mieli dość obfite bagaże. Po przybyciu do Gibraltaru, generał odebrał telefoniczne wezwanie, aby jak najspieszniej przybył do Londynu w ważnych sprawach. W Gibraltarze nie było w tym momencie odpowiedniego samolotu, lecz generał chciał jak najszybciej odlecieć. Zaproponowano więc generałowi mniejszy samolot, na który jednak nie można było zabrać wszystkich bagaży, które miały być jakoby odesłane w późniejszym czasie, co nie odpowiadało świcie generała i zapakowano je do samolotu. Samolot był jakoby z tego powodu przeciążony i dlatego miał ulec katastrofie. Czy tak było istotnie – nie wiem. Zejda też podał mi to z zastrzeżeniami. W niedługim czasie Zejda odszedł z celi, podobno na wolność.

Życie w Iławie wlokło się zwykłym więziennym trybem. Urozmaicaliśmy sobie trochę czytaniem, lecz biblioteka więzienna była słabo wyposażona i przeważały w niej książki pochodzące z literatury sowieckiej, w polskim

przekładzie. Z polskiej literatury nie było nic Sienkiewicza ani Żeromskiego, a tylko trochę Orzeszkowej i paru innych, mniej mi znanych pisarzy. Przeczytałem między innymi *Obronę Kaukazu*, pióra jakiegoś sowieckiego wojaka. Zapomnieli jej wycofać z obiegu, gdyż tam pod niebiosa był wynoszony Beria, rozstrzelany po śmierci Stalina jako jadowity gad, zdrajca i szpieg. Prócz czytania, zawzięcie grano w szachy zrobione z papieru. Trzeba przyznać, że niektóre komplety były wyjątkowo udane, mimo prymitywnego surowca, jak stare gazety i klej z chleba lub ziemniaków.

Na spacery zabierano nas codziennie. Niestety do 11 listopada nie wydano nam z magazynu naszych własnych swetrów, ani „ciepłych" kurtek. W drelichach było strasznie zimno, tak że ratowałem się obkładaniem się pod kurtką starymi gazetami. Lecz to niewiele pomagało, a rozgrzać się po spacerze nie było gdzie, bo w celach też było zimno.

Wyżywienie w Iławie było nietęgie, choć okresami bywało lepsze. Wypiski były możliwe. Kupowałem sobie puszkę 800 gramową konserwy mięsnej i do tego pół kilograma smalcu. Razem to rozcierałem w misce na pasztet, pakowałem to do puszki i taki preparat mogłem jeść przez miesiąc, bez obawy zepsucia się. Kupowało się także najtańszą końską kiełbasę w papierze, która po obsuszeniu, jak na nasze więzienne wymagania, była zupełnie znośną. Pieniędzmi przysyłanymi trzeba było oszczędnie i rozumnie gospodarować, aby nie kupować głupstw, jak cukierki, a rzeczy niezbędne, jak cebula, aby uniknąć szkorbutu. Jedynie por. Rusek, któremu rodzina przysyłała dużo pieniędzy, po każdej wypisce objadał się, a później przez dwa dni umierał. Zresztą był to trochę hipochondryk.

Mieliśmy prawo prenumerować gazety i czasopisma. Prenumerowałem więc „Trybunę Ludu" i chyba „Nowe Drogi". Aż w którymś tygodniu, chyba w 1954 roku wstrzymano nam dostarczanie gazet. Po tygodniu okazało się, że uciekł na zachód Światło. Dowiedzieliśmy się o tym z artykułu, w którym potępiono go jako zdrajcę komunizmu. Światło swymi rewelacyjnymi zeznaniami na temat stosunków panujących w Polsce Ludowej i wśród ludzi rządzących, wielce nam się przysłużył. Złagodniał kurs w stosunku do więźniów. Już w Barczewie nagle zabroniono stawać nosem do ściany, a teraz po rewelacjach Światły, zaczęły się inspekcje w więzieniu i zmniejszono szykany. Wprawdzie rewizje odbywały się i odbierano nam ołówki, igły i prowizoryczne noże, ale nie było to bardzo złośliwie robione. Ołówki sprzedawali nam na wypiskę, ale trzymać ich w celi nie było wolno. Do pisania listów teoretycznie wydawano nam nasze ołówki, a praktycznie przeważnie mieliśmy sprytnie pochowane. Listów i fotografii nie wolno było mieć w celi i podczas rewizji zabierano. Kiedyś zszywałem sobie siennik. Wpadł na mnie oddziałowy, skąd mam igłę. Pokazałem mu tę igłę. Była

własnoręcznie przeze mnie zrobiona ze znalezionego miedzianego drutu. Tej igły mi nie zabrał. Noże robiliśmy z blachy z wieka puszki od konserw. Okrągłe wieko przełamywało się na pół, przy pomocy drzwiczek od pieca. Półkole zawijało się, aby usztywnić nóż, a równo przełamaną część ostrzyło się na betonie. Takim nożem krajało się chleb, a zupełnie dobrze słoninę lub kiełbasę. Jajka, jeżeli można było kupić, jedliśmy surowe. Nóż nosiłem zawsze przy sobie. Kiedyś zabrali nas na rewizję do pustej celi. Rozebraliśmy się do naga, lecz ja zdążyłem położyć mój nóż za sobą na oknie. Po zrewidowaniu mojego ubrania i po rozkazie ubrania się, wziąłem po cichu nóż z powrotem do kieszeni.

Cały rok 1954 minął monotonnie i nic się specjalnie nie działo, chyba tylko to, że przez wiele miesięcy wynosiłem rano pełne kible z cel do ustępu razem z kilkoma więźniami przeznaczonymi do tej pachnącej roboty.

W Iławie oddzielono księży od innych więźniów i stworzono osobną celę księży różnych wyznań. Czasami spotykaliśmy ich na spacerze, choć chodzili oni na innym, małym placyku oddzielonym drutami, ale na tyle blisko, że można było czasem zamienić z nimi kilka słów.

Kiedyś zostałem wywołany z celi do dyżurki. Byłem tym zaskoczony, lecz okazało się, że oddziałowy znalazł w jakimś piśmie zadanie z nagrodami i chciał, abym mu rozwiązał. Pomogłem mu trochę. Raz też wzięli mnie na przesłuchanie, zresztą nieważne i przypuszczam, że było ono związane z jakimś podaniem złożonym przez Jaśkę o zwolnienie mnie z więzienia.

Jedyną sensacją było zabicie kapusia na jednej z cel. Wszyscy go tłukli, że zabrano go do szpitala, lecz podczas dochodzenia okazało się, że wszyscy go bronili przed biciem. Nikt go nie żałował, tego drania.

W Iławie było kilka kalek, lecz najsmutniej przedstawiał się stosunkowo młody porucznik AK, którego tak zbito podczas śledztwa, że utracił kompletnie władzę w nogach. Chodził o kulach, wlokąc nogi za sobą. Jemu było wolno chodzić bez ograniczeń, lecz nawet z jednego schodka musieli go sprowadzać inni więźniowie. Było też sporo Niemców, między innymi zwracał uwagę jakiś sędzia, chyba z Bydgoszczy, typowy Prusak. Chodził zawsze z dumnie podniesioną głową. W naszej celi był też stary Niemiec, były ordynans z pierwszej wojny światowej gen. Mackensena. Ten był zawsze dla mnie z wielkim szacunkiem i tytułował mnie: „Herr Oberst". Z początkiem stycznia 1955 roku, a było to w niedzielę, obudziłem się z lekko spuchniętym jedynym moim widzącym okiem. Zacząłem więc alarmować o lekarza. Początkowo oddziałowy odmawiał sprowadzenia eskulapa, lecz na moje energiczne żądanie i zagrożenie, że poniesie odpowiedzialność, jeżeli zostanę ślepym kaleką – sprowadził lekarza. Lekarz natychmiast kazał mi zabrać rzeczy i zgłosić się do szpitala więziennego. Byłem bardzo rad z tej decyzji i niezwłocznie przygotowałem się do wyjścia.

Odprowadzono mnie do szpitala. Tu było zupełnie inaczej. Okna bez krat. Pojedyncze łóżka z poduszkami i znośną pościelą. Jedzenie też lepsze. Mimo że przyszedłem z chorobą oka, nikt się tym nie przejął, lecz zaczęto mi robić różne analizy: krwi, moczu i prześwietlenie. Ta zabawa trwała przeszło tydzień. W międzyczasie przyszedł lekarz wojskowy, a nie więzień i ten okazał się na tyle przyzwoitym człowiekiem, że gdy mu szczerze powiedziałem o swoim siedzeniu już przeszło 4 lata i proszę o dietę odżywczą, kiwnął głową i dietę dostałem po paru dniach. Gdy mi już samo, bez leczenia, oko wydobrzało, zostałem zabrany z kilku innymi więźniami do okulisty do Olsztyna. Miałem pewną rozmaitość i zobaczyłem Olsztyn. Eskortowało nas kilku strażników i jak się od nich dowiedziałem, byłem specjalnie polecony ich opiece, abym nie uciekł. Lekarz w Olsztynie zapisał mi krople cynkowe i receptę na zmianę okularów na silniejsze, które zresztą, w pięknej drucianej oprawie, po kilku dniach otrzymałem.

Po powrocie z Olsztyna nie wypisano mnie ze szpitala, bo ciągle narzekałem na serce. Było mi tu lepiej niż w celi. Obok mnie leżał bardzo poczciwy chłopak, partyzant, Kurp o nazwisku Stodup. Nazywano go dla żartu „Dziewięćdziesiątdziewięćdup".

Nie śpieszyło mi się wracać do celi. Jadłem lepiej, spałem wygodniej. To dla więźnia najważniejsze.

Wreszcie, w lutym, dostałem list od Jaśki, z którego po przeczytaniu nic nie mogłem zrozumieć. Pisała dziwne rzeczy, że urlop weźmie w maju, kiedy będą ptaszki śpiewały i będzie zielono i że w lutym mnie nie odwiedzi. Dopiero gdy drugi raz, rano, przeczytałem list, zrozumiałem, że liczy się ona ze zwolnieniem mnie z więzienia. Uważałem to za zupełnie niemożliwe. Żal mi jej było, że znów łudzi się i będzie miała zawód. W drugiej dekadzie lutego zostałem wypisany ze szpitala i wróciłem do swojej celi.

Znów zaczęło się monotonne życie więzienne. Co dzień to samo. Lecz po kilku dniach, a dokładnie 24 lutego 1955 roku, kiedy byłem na spacerze, nagle posłyszałem wywoływane swoje nazwisko.

Przy furtce od ogrodzenia naszego placu spacerowego stał strażnik. Nie wiedziałem oczywiście, po co mnie woła, lecz przyszło mi do głowy, że może chcą mnie znów przedstawić na jakąś komisję lekarską, na którą kilkakrotnie mnie brano. Podszedłem więc obojętnie do strażnika, nawet nie pytając o co chodzi. Lecz strażnik sam powiedział do mnie:

– Pakować rzeczy, idziecie do mamy.

Popatrzyłem na niego niedowierzająco, bo myślałem, że to jakiś głupi kawał. Lecz strażnik powtórzył:

– Idziecie do mamy.

Po prostu byłem zupełnie zaskoczony i oszołomiony, chyba nawet nie umiałem się ucieszyć. Już parę razy łudziłem się wyjściem na wolność, zwłaszcza gdy mnie przewożono, i zawsze doznawałem zawodu. Teraz więc starałem się nie okazywać radości, bo byłem pełen niepokoju, niezupełnie wierząc, że to naprawdę wolność. Kto nie cierpiał więzienia, ten nie jest w stanie zrozumieć, co znaczy pozbawienie wolności i związane z tym upokorzenie, udręki moralne, nie mówiąc o trudach fizycznych, jak brak dostatecznej ilości powietrza, złe odżywianie, niewygodne spanie i częsty brud.

Wszedłem więc spokojnie do celi, w której było tylko kilku więźniów, bo reszta była na spacerze i zacząłem pakować nieliczne rzeczy. Produkty żywnościowe rozdałem pozostającym. Prócz tego zaczęło się wymienianie części odzieży więziennej. Oddawało się lepsze sorty, aby wziąć gorsze, ostatnie łachy, które miałem zdać do magazynu przy odbieraniu własnego ubrania z depozytu. Wyszedłem więc z celi ubrany jak ostatni nędzarz, żegnany zazdrosnymi spojrzeniami. Z magazynu oddano mi moje ubranie, które wyglądało gorzej niż rozpaczliwie. Spodnie miały moc łat różnych kolorów i różnych gatunków materiału. Marynarka była też okropnie połatana i to mocno nieudolnie, gdyż nigdy nie miałem zdolności krawieckich. Buty, płaszcz i czapka też nie wyglądały lepiej, raczej jak rekwizyty żebraka. Moje, przeszło dwuletnie przebywanie w śledztwie, podczas którego chodzi się we własnym ubraniu, bo więzienne otrzymuje się dopiero po wyroku, zniszczyło się straszliwie. Było ono uszyte z lichego wojennego materiału.

Ogolono nas, bo było takich szczęściarzy kilku. Mnie nie strzyżono, bo włosy miałem trochę odrośnięte po strzyżeniu na krótko.

Dano nam obiad, wreszcie wydano nam z depozytu pieniądze i mnie mój zegarek. Teraz otrzymaliśmy dokumenty zwalniające nas z więzienia i zaprowadzono nas do strażnika w stopniu sierżanta, który jako nasz wychowawca polityczny, miał do nas przemowę. Było nas, o ile pamiętam, pięciu czy sześciu. Nasz więzienny politruk dobrotliwie rozmawiał z każdym pojedynczo, dając moralne nauki, z wyjątkiem mnie jednego, gdyż byłem jedynym inteligentem w tej szczęśliwej grupie. Wreszcie, przed wieczorem, wyprowadzono nas przed bramę więzienną. Nareszcie uwierzyłem, że jestem na wolności.

Bilety musieliśmy kupić za własne pieniądze. Jeden ze szczęściarzy miał za mało pieniędzy, pożyczyłem mu na wieczne nieoddanie 20 zł. Przed odejściem pociągu poszedłem do restauracji dworcowej, aby coś zjeść. Zamówiłem jakieś danie, lecz kelnerka oświadczyła mi, że muszę je sam sobie przynieść, bo ona zbiera tylko zamówienia i brudne talerze. Poprosiłem ją dość stanowczo, aby w drodze wyjątku, podała mi. Przyniosła mi jednak jakieś bardzo malutkie danie. Wreszcie wsiadłem do pociągu idącego z Iławy przez Sierpc, Płock, Kutno

do Łodzi. Byłem tak podniecony, że całą noc nie zmrużyłem oka. Około godziny 5 rano przyjechałem do Łodzi.

Wysiadłem na Dworcu Kaliskim i tramwajem dojechałem do al. Kościuszki. Mimo że wyglądałem jak nędzarz, nie zauważyłem, aby ludzie patrzyli na mnie ze wstrętem, raczej przychylnie. Rzeczy zawinięte w stary koc, jeszcze z Powstania, pozwalały domyślać się, że wracam z więzienia. Nawet na przystanku w al. Kościuszki podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał, gdzie chcę jechać oraz doradził mi, abym poszedł jeden przystanek dalej, to będę miał więcej tramwajów do placu Niepodległości. Wreszcie dojechałem do Starej Karczmy (dziś przystanek Farna) i przez park poszedłem na Patriotyczną. Była gołoledź. Idąc, przewróciłem się dwa razy, bo miałem strasznie wyślizgane i zdarte stare zelówki.

Zadzwoniłem z biciem serca. Po chwili, a było jeszcze ciemno na dworze, otworzyła mi Helcia i po jej zakłopotanej minie poznałem, że coś niedobrze. Okazało się, że Jasiunia na dwie godziny przedtem pojechała do Iławy po mnie, z walizką z rzeczami. Minęliśmy się, pewno na placu Niepodległości.

Wróciłem do domu w dzień moich urodzin – 25 lutego. Skończyłem 58 lat. Powitanie z teściową i szwagierką Halą było bardzo serdeczne, lecz wcześniej, zanim one wstały, poszedłem na górę do Wojtusia. Maleństwo spało w moim łóżku. Miał nieskończone 5 lat. Obudził się i choć mnie zupełnie nie znał – przywitał się. Początkowo zaczął mówić do mnie „wujku-tatusiu". Bardzo szybko zawarliśmy znajomość. Po uczciwym śniadaniu i krótkiej rozmowie, chciałem trochę się przespać, bo byłem mocno zmęczony i nie mogłem nawet zebrać myśli. Przykro mi było, że Jasiuni nie zastałem, a nie wiedziałem, kiedy wróci z tej trochę niepotrzebnej podróży. Umyłem się i położyłem. O spaniu nie było mowy, bo Wojtuś nie odstępował mnie ani na chwilę. Ubrać się nie miałem w co, bo w ubranie więzienne nie chciałem, a jedyne moje ubranie, niezjedzone przez mole, było w drodze.

Nie miałem wtedy i do dziś dnia nie mam słów wdzięczności za wszystko, co Jaśka dla mnie zrobiła. Zwolnienie warunkowe zawdzięczałem tylko jej energii, przedsiębiorczości i staraniom. O 20 miesięcy skróciła się moja udręka. To tylko przez nadmiar dobroci Jasiuni rozminęliśmy się.

Wieczorem dopiero miałem możność zasnąć, kiedy Wojtuś usnął. Lecz mój sen trwał nie więcej jak godzinę. Obudził mnie pocałunek Jaśki, która pokonując największe trudności, najbliższym pociągiem wróciła z Iławy do Łodzi. Jaka była nasza obustronna radość, tego opisać nie podejmuję się. Płakaliśmy oboje i przegadaliśmy do rana. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Ileż przeżyłem? Ile zwątpień? Właściwie czułem się tak, jakbym powrócił z tamtego świata. Miałem długi czas przekonanie, że nigdy nie wrócę do rodziny i domu. Przecież tyle razy na śledztwie twierdzono, że muszę głową zapłacić

za moją pracę dla Polski, która w zrozumieniu moich oprawców była zbrodnią. Wiedziałem, że w Mokotowie mordowano ludzi z wyroków i bez wyroków. Niczego dobrego nie mogłem się spodziewać. Widocznie, tam gdzieś od Kogo, czy czego zależy nasz los i niepisane mi było jeszcze zginąć. Tyle razy moje życie wisiało na włosku, że liczyłem na pęknięcie tego włoska po aresztowaniu. Moje zadania życiowe, jak umiałem i mogłem, starałem się wypełniać. Ostatnim mym zadaniem zostało wychowanie Wojtusia na uczciwego, dzielnego i zdrowego człowieka, prawego chrześcijanina i najlepszego Polaka. O to Boga codziennie proszę, odmawiając pacierz. Jeśli ten ostatni z rodu Szostaków spełni moje prośby do Boga, to może wykona dla kraju to, czego ja nie potrafiłem lub nie zdążyłem.

Zakończenie

Na nocy z 25 na 26 lutego 1955 roku kończę moje opowiadania z przeszłości. Zdaję sobie w zupełności sprawę z ich nędznej wartości literackiej. Spisałem je wyłącznie dla mego ostatniego i jedynego syna Wojciecha Jana, z myślą, aby więcej wiedział o mnie i rodzinie, niż ja wiem o moich przodkach. W tym co napisałem, na pewno nie ponosiła mnie fantazja, a jest szczera prawda. Jeżeli są jakieś drobne odchylenia, to jedynie dlatego, że albo byłem błędnie informowany, albo coś niewłaściwie zrozumiałem.

Nie miałem możności szczerego i dokładniejszego naświetlenia faktów o znaczeniu historycznym, w których brałem udział. Nie porywałem się na nic innego, jak opowiedzenie tego, co sam przeżyłem, bo nie było moim celem pisanie jakiejś pracy historycznej. Przy pisaniu nie posługiwałem się żadnymi materiałami, a pisałem wszystko z pamięci.

Po wyjściu z więzienia borykałem się jakiś czas z trudnościami znalezienia pracy. Wreszcie zostałem przyjęty do tej samej instytucji, w której mnie aresztowano. W roku 1962, po ukończeniu 65 lat, otrzymałem rentę starczą, oczywiście cywilną (mimo przesłużenia w Wojsku Polskim 30 lat, od 1915 do 1945 roku). Nie mogę powiedzieć, abym na swej skórze nie odczuł szykan obecnego ustroju i wrogości do mnie. Wyraziło się to w trudnościach, robionych mi przy wypłacaniu dodatku za order Virtuti Militari, otrzymany podczas Powstania Warszawskiego.

Od czasu wyjścia z więzienia pracuję jedynie dla zdobycia kawałka chleba, bo nawet gdy wybrano mnie w 1957 roku do rady robotniczej, przekonałem się, że w tym ustroju nie można nic zrobić dla dobra kraju. Najlepsze chęci rozbijają się o głupotę i złą wolę.

Największą stratą, jaką ponieśliśmy przez ostatnią wojnę, stratą bardzo trudną do odrobienia, jest straszna demoralizacja społeczeństwa. Zakłamanie i nieuczciwość panują wszechwładnie, a uczciwy człowiek uważany jest za głupca.

Niestety, schodząc z tego świata, nie widzę jasnej przyszłości Polski. Widzę Ją, sprzedaną obcym przez swoich, chyba dla zaspokojenia żądzy władzy, bo nie wierzę, aby ludzie stojący dziś u szczytu, wierzyli w wartość utopijnej idei, opartej na nierealnych podstawach.

Łódź, w styczniu 1967 roku.

Posłowie

Niewiele wiemy o działalności Józefa Szostaka w niepodległościowej grupie politycznej, która od 1956 roku rozwijała się w PRL wewnątrz środowiska kombatanckiego.

Zbigniew Rybarkiewicz (działacz łódzkiej Solidarności, później także KPN) wspomina, że gdy Leszek Moczulski, Romuald Szeremietiew i Tadeusz Stański przyjechali w czerwcu 1981 roku do Łodzi (przez kilka tygodni znajdowali się oni wówczas na wolności po aresztowaniu ich przez władze PRL na przełomie lat 1980 i 1981), to zatrzymali się na kilka dni w domu rodziny Szostaków[96]. Fakt ten dowodzi, że cała trójka przywódców KPN (lub przynajmniej jeden z nich) musiała dobrze znać gospodarza jeszcze przed Sierpniem (bo okres po Sierpniu 1980 spędzili w więzieniu lub w ukryciu). Gdyby nie było takiej wcześniejszej bliskiej znajomości, to trudno sobie wyobrazić, aby ci kłopotliwi goście (w marcu 1981 zaczął się I proces KPN, który był największym procesem politycznym w PRL) otrzymali kilkudniową gościnę w domu starszych ludzi.

Rybarkiewicz poznał Wojciecha Szostaka (syna „Filipa"), gdy ten w sierpniu 1980 roku zwrócił się do komitetu strajkowego w łódzkim MPK z deklaracją wsparcia strajkujących. Młody Szostak przedstawił się od razu jako członek KPN (dodajmy – członek-założyciel). Gdy na wiosnę 1981 roku Rybarkiewicz, pod wrażeniem lektury *Rewolucji bez rewolucji* Moczulskiego, zadeklarował chęć wstąpienia do KPN, młody Szostak obiecał porozmawiać na ten temat z Moczulskim, gdy tylko ten znajdzie się na wolności[97]. Potwierdza to wniosek dotyczący bliskich kontaktów Szostaków z Leszkiem Moczulskim jeszcze przed Sierpniem.

O kontaktach tych wiedziała SB, choć nie zdawała sobie sprawy z ich charakteru[98].

Z innego źródła wiemy, że w latach 70. Józef Szostak, mieszkający w Rudzie Pabianickiej pod Łodzią, przestrzegał zasad konspiracji (stąd zapewne niewiele

---

[96] Zbigniew Rybarkiewicz, *Wspomnienia* [w:] *Łódzka KPN. Od PRL do niepodległości,* pod red. Karola Chylaka i Marka Michalika, Łódź 2012, s. 53–54.

[97] *Ibidem*, s. 49.

[98] Karol Chylak, *Kryptonim „Sympatyk". Krótka historia aktywności działacza Konfederacji Polski Niepodległej Wojciech Szostaka*, „Opinia nurtu niepodległościowego" 2016, nr 10, s. 131.

wiadomo o jego działalności w tym okresie) i utrzymywał także konspiracyjne kontakty z Leszkiem Moczulskim. Na przykład już w 1973 roku Szostak informował Moczulskiego o łódzkim piłsudczyku – Andrzeju Ostoja-Owsianym, który – zdaniem Szostaka – powinien być brany pod uwagę w przyszłej działalności niepodległościowej[99].

Sytuacja uległa zmianie w okresie Karnawału Solidarności, gdy dom Szostaków na Rudzie był jednym z centrów spotkań środowiska niepodległościowego Łodzi (obok mieszkania Ostoi)[100].

Fakt ten potwierdza Rybarkiewicz: „Dom Szostaków wypełniony był więc tradycją niepodległościową, a żyjący jeszcze rotmistrz Szostak chętnie dzielił się wspomnieniami ze swej chwalebnej służby dla II Rzeczypospolitej Polskiej"[101].

15 listopada 1981 roku, po mszy w kościele garnizonowym, odsłonięto w Łodzi przy ul. Wschodniej tablicę poświęconą Józefowi Piłsudskiemu. Udział wzięło 5 tysięcy osób. Organizatorem uroczystości był Społecznym Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego (utworzony 2 kwietnia 1981 roku) a odsłonięcia tablicy dokonał Józef Szostak[102]. Fakt ten dowodzi, że w okresie Karnawału Solidarności pułkownik angażował się w oficjalne uroczystości związane z tradycją niepodległościową.

Więcej informacji na temat opozycyjnej, konspiracyjnej działalności Józefa Szostaka przed Sierpniem podaje Leszek Moczulski[103].

Józef Szostak był jednym z tych kombatantów (obok Kazimierza Pluty-Czachowskiego, Wincentego Kwiecińskiego i Józefa Rybickiego), którzy uczestniczyli w przygotowaniu koncepcji jawnego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz tajnego Nurtu Niepodległościowego[104]. Moczulski opisuje swoje konspiracyjne spotkanie z Plutą i Szostakiem przed utworzeniem Ruchu Obrony: „Pluta-Czachowski wezwał z Rudy Pabianickiej płk »Filipa« – Józefa Szostaka. Rozmawialiśmy w jakimś mieszkanku na Żoliborzu; byłem tu po raz pierwszy i ostatni. Gospodarze, oczywiście, wyszli wcześniej, nim się zjawiłem.

---

[99] Łukasz Perzyna, *Jak z Pierwszej Brygady. Opowieść o Andrzeju Ostoi-Owsianym,* Warszawa 2011, s. 77.

[100] *Ibidem*, s. 99.

[101] Zbigniew Rybarkiewicz, *Wspomnienia.*, s. 54.

[102] Leszek Próchniak, *NSZZ „Solidarność" Region Ziemia Łódzka* [w:] *NSZZ „Solidarność" 1980–1989*, pod red. Łukasza Kamińskiego i Grzegorza Waligóry, Warszawa 2010, s. 167.

[103] Chyba po raz pierwszy publicznie po czerwcu 1989 o związkach Józefa Szostaka (ale także: Romana Abrahama, Kazimierza Pluty-Czachowskiego, Ludwika Muzyczki, Antoniego Sikorskiego oraz Wincentego Kwiecińskiego) z nurtem niepodległościowym, z którego wyrosła Konfederacja Polski Niepodległej, powiedział Leszek Moczulski w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" nr 62 z 2 IX 1989 – *Miejsce Konfederacji*.

[104] Leszek Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości,* Warszawa 2001, s. 220.

Mimo że lokal był najwyraźniej czysty i sprawdzony, mówiliśmy półgłosem, plecami do okna. Obaj zachowywali się tak, jak szefowie dwóch kluczowych Oddziałów i zastępcy szefa sztabu KG AK zachowywać się powinni"[105].

Przy tak rygorystycznym przestrzeganiu zasad konspiracji przez starych akowców trudno się dziwić, że o nie tylko o opozycyjnej działalności Szostaka, ale w ogóle o nurcie niepodległościowym w latach 1956-1978 bezpieka wiedziała niewiele, a co za tym idzie, niewiele wiedzą o tym współcześni historycy.

* * *

Leszek Moczulski: „Pułkownika Józefa Szostaka poznałem, gdy jeszcze nie wiedziałem, jak on się nazywa. Spotkałem go u Pluty-Czachowskiego. Pluta prosił, żebym przyszedł do niego do mieszkania o określonej godzinie. Gdy przyszedłem z jego pokoju wychodził facet i żegnał się z Plutą. Pluta wtedy powiedział:

– Chciałbym, żebyś poznał. To jest Leszek, o którym rozmawialiśmy.

Szostak się ze mną przywitał i wyszedł. Mruknął jakieś nazwisko, ale niewyraźnie, więc nie zrozumiałem. W ogóle wtedy nie rozmawialiśmy. Po paru miesiącach, gdy przygotowywana była w ramach nn koncepcja sił zbrojnych, miałem bliższy kontakt z Szostakiem. Powiedziałem mu wtedy:

– Pan musiał być w Sztabie Głównym.

Odpowiedział:

– Ja jestem kawalerzysta. Takich do sztabu nie brali.

Dopiero po 5 latach naszej znajomości (a może więcej?), przyznał mi się, że kilka lat był szefem referatu »R« (Rosja) w Sztabie Głównym i właściwie był zastępcą płk. Józefa Jaklicza (ówczesnego szefa III Oddziału). Dopiero potem Szostak został rzeczywiście dowódcą 13 pułku ułanów w Nowej Wilejce.

Andrzej Szomański, który poznał Szostaka później niż ja, bardzo na niego naciskał. I jemu po jakimś czasie Szostak się przyznał, że pisał pamiętniki. Ale długo nie chciał ich okazać (były gdzieś schowane). Dopiero jak wyszedłem z więzienia po raz drugi (Szostak już nie żył, zmarł w 1984 roku) przeczytałem te jego pamiętniki. Nie wszystko, o czym mi opowiadał na przestrzeni lat tam się znalazło (zwłaszcza gdy idzie o jego pracę w Sztabie Głównym oraz w Komendzie Głównej Armii Krajowej), a przecież nie ukrywał, że nie mówił mi wszystkiego. Powtarzał:

– To jest objęte jeszcze pieczęcią tajemnicy!

[105] *Ibidem*, s. 239.

Pod koniec życia już się łamał i opowiadał mi pewne szczegóły dotyczące jego pracy. Kolega z sąsiedniego pokoju, który prowadził referat »N« chodził razem z nim na obiad i obaj się domyślali, że jeden pracuje nad Niemcami a drugi nad Rosją, ale nigdy na ten temat nie rozmawiali. O swojej pracy rozmawiał tylko z szefem oddziału Jakliczem, albo (rzadziej) z szefem Sztabu Generalnego i na jakichś odprawach operacyjnych w GISZ-u – z jakimiś oficerami, którzy pracowali bezpośrednio z Piłsudskim. Jak wychodził z pokoju, to nie tylko, że wszystko zamykał w szafie pancernej, ale i starannie pieczętował (jakby wychodził na pół roku). Maszynistki, które tam pracowały były zaprzysiężone, ale jak coś pisały, to zamiast nazwisk zostawiano puste miejsca, które potem ręcznie uzupełniano. W pokoju nie wolno było palić światła bez bardzo dokładnego zasłonięcia okien (były jakieś specjalne zasłony).

Szostak należał do tych ludzi, którzy chcieli rozmawiać (choć przestrzegał tajemnicy). Ale w ramach nn poznałem wielu ludzi, z którymi współpracowałem nieraz przez kilka lat, lecz nie wiedziałem, jak się nazywają, nie wiedziałem, gdzie mieszkają, z którymi nigdy nie rozmawiałem prywatnie. Jak załatwiliśmy naszą sprawę, to natychmiast się żegnali i wychodzili.

Sądząc po stopniu i po funkcji w Armii Krajowej, Szostak odgrywał istotną rolę w nn, ale nie wiem jaką, bo nigdy mi tego nie powiedział, a jak bym się spytał, to też bym się nie dowiedział.

W 1915 roku Szostak poszedł w batalionie POW zorganizowanym w Warszawie do I Brygady. Cechą charakterystyczną było to, że miał prywatnego konia wierzchowego. Był to chyba jedyny żołnierz z tego batalionu, który miał własnego konia i który jeździł na koniu. Pozostali szli piechotą. Z tego powodu nazywano go »Duduś«. Do śmierci on się do tego nie chciał przyznać (nie mógł zaprzeczyć, ale nie bardzo mu się to przezwisko podobało)”[106].

* * *

Pod kilkoma istotnymi względami Szostak różnił się od swoich kolegów z Legionów i z Komendy Głównej Armii Krajowej: od Pluty i od Muzyczki. W porównaniu z nimi był mniej rozpolitykowany. Był typowym żołnierzem, który najlepiej czuł się na odcinku wojskowym. Nie lubił gier wallenrodycznych z przeciwnikiem, cenił prostolinijność, odwagę i honor.

W przeciwieństwie do „Kuczaby” i „Benedykta” na naradzie oficerów KG AK 31 lipca 1944 roku w Warszawie opowiadał się za natychmiastowym

[106] Relacja Leszka Moczulskiego z 2017 (nagranie w posiadaniu autora).

wybuchem Powstania Warszawskiego[107] i – jak wynika z jego wspomnień – do końca bronił tej decyzji.

We wspomnieniach podkreślał, że nie chciał po wojnie prowadzić działalności konspiracyjnej. Jak wynika jednak z relacji Leszka Moczulskiego, w końcu taką działalność prowadził. Mało tego – w 1979 roku, w związku z załamaniem się stanu zdrowia Pluty – stanął faktycznie na czele środowiska kombatanckiego (formalnym liderem był najstarszy stopniem – gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz).

Moczulski: „Pluta w lutym 1979 roku przekazał nadzór nad tworzeniem niepodległościowej partii politycznej płk. Szostakowi. Szostak był mniej rzutki, mniej aktywny niż Pluta"[108].

Był to szczególny moment – po rozłamie w Ruchu Obrony zastanawiano się, w jaki sposób zabezpieczyć się przed podobną rozbijacką robotą w przyszłości.

Moczulski: „Pluta bardzo się przejął rozłamem w Ruchu Obrony. Interweniował nawet u Prymasa Wyszyńskiego (ta interwencja o tyle pomogła, że Czuma, który wcześniej bardzo mnie atakował, potem zamilkł i ani źle, ani dobrze o mnie nie mówił – widocznie albo Prymas osobiście, albo któryś z prałatów od Prymasa, ostro go osadził).

Pluta uważał, że potrzebna jest swego rodzaju »czapka«. Dlatego miała powstać 5-osobowa Grupa Senioralna, która miała stanowić Radę Polityczną przyszłej partii albo też miała być usytuowana ponad tą Radą. Do grupy tej mieli należeć m.in. Komendant Batalionów Chłopskich Franciszek Kamiński (który był w nn), czy Henryk Bezeg, który również był w nn i prowadził jawną robotę – kierował środowiskiem legionistów w Warszawie. Tym ludziom nie można byłoby stawiać takich zarzutów, jakie mnie stawiano. Chodziło nie tylko o różnicę wieku, ale o niewątpliwe zasługi z okresu okupacji i z okresu bezpośrednio powojennego.

Ta koncepcja upadła, gdy zimą z 1978 roku na 1979 rok zdrowie Pluty się załamało"[109].

Ostatecznie jedyną osobą ze Starej Wiary, która weszła do KPN (ściślej – do Rady Politycznej tej organizacji) był Józef Szostak.

Moczulski: „Gdy spotkałem się z Szostakiem, ten powiedział mi, że wejdzie do Rady Politycznej, ale jego zdanie jest takie, że Radę Polityczna powinni tworzyć przede wszystkim ludzie, którzy będą pracowali w partii niepodległościowej, a nie ją nadzorowali.

---

[107] Jean-Francois Steiner, *Warszawa 1944*, Warszawa 1991, s. 203.

[108] Relacja Leszka Moczulskiego z 2017.

[109] *Ibidem*.

– Ty jesteś szefem całości. Ja nie chcę być twoim szefem. Ja jestem łącznikiem między niepodległościową partią a nn.

Oznaczało to mniej więcej tyle – »Ja się tobie podporządkowuję, nie ty mnie«".

Rada Polityczna KPN ostatecznie uformowała się w nocy z 1 na 2 września 1979 roku (jak nas wypuścili z aresztu). Szostak od początku był jej członkiem, ale tego nie ujawnialiśmy. Dopiero on sam to ujawnił po Sierpniu 1980 roku, gdy ja już byłem w areszcie"[110].

Natomiast, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Michała Muzyczki (syna „Benedykta"), syn „Filipa" – Wojciech Szostak został członkiem-założycielem Konfederacji Polski Niepodległej. Nazwiska Michała Muzyczki i Wojciecha Szostaka widnieją, obok 48 innych nazwisk, pod Aktem Założycielskim KPN.

* * *

Analizując biogramy dzieci oficerów Armii Krajowej można zauważyć pewną prawidłowość, która – jak sądzę – nie jest przypadkowa, ale jest wynikiem celowych i zaplanowanych działań Urzędu Bezpieczeństwa, a następnie jego kontynuatorki – Służby Bezpieczeństwa. Otóż wydaje się, że dzieci ludzi, którzy byli wrogami komunistów, poddawane były szczególnej presji, której celem było ich złamanie, skompromitowanie lub zmuszenie do współpracy z komunistyczną władzą. Władza chciała jakby zemścić się na synu za postawę ojca (zwykle chodziło tutaj o mężczyzn).

Ta zemsta miała różną postać. Mogła polegać w szczególności na rozpijaniu synów. Jest to poniekąd przypadek Krzysztofa Gąsiorowskiego – syna ppłk. AK Kazimierza Gąsiorowskiego, zamordowanego przez UB w 1952 roku (więcej o tym podano w tomie poświęconym Ludwikowi Muzyczce). Jest to także przypadek syna Walentego Badylaka. Ten ostatni z rozpaczy spalił się na krakowskim Rynku 21 marca 1980 roku, z tablicą metalową powieszoną na piersiach, na której wybił słowa: „Płatni przez katyńskich morderców renegaci wyrzucili 15-letniego jedynaka ze szkoły, z solidnej piekarni zrobili knajpę. Jedynak rozpił się. W. Badylak"[111].

Inna esbecką metodą stosowaną wobec synów Bohaterów, była metoda werbowania ich w charakterze tajnych współpracowników. Nawet jeżeli werbunki te były pozorne (w sensie – osoby zarejestrowane w istocie nie przekazywały

[110] *Ibidem*.

[111] Mirosław Lewandowski, Maciej Gawlikowski, *Prześladowani wyszydzani zapomniani... Niepokonani. ROPCiO i KPN w Krakowie 1977–1981*, bmw, bdw [Kraków 2009], s. 137.

SB informacji mających wartość operacyjną), to miały dla SB wartość symboliczną – służyły kompromitacji pamięci rodzica.

Przykładem takich działań był werbunek Krzysztofa Gąsiorowskiego i nieudana próba werbunku Michała Muzyczki (oba te przypadki opisano szczegółowo w tomie poświęconym Ludwikowi Muzyczce).

Dzisiejsi historycy nie mają świadomości, że SB zdawała sobie doskonale sprawę z faktu, że jej akta operacyjne mają (po pewnym czasie) wartość dokumentów historycznych. Funkcjonariusze pionu „C" (archiwalnego) SB wkładali wiele wysiłku, aby akta te odpowiednio spreparować. Preparowano nie tylko akta dotyczące lat stalinowskich (które wykorzystywano jako źródła historyczne już w czasach PRL), ale także akta z okresu późniejszego. Niszczono wszystkie dokumenty, które mogłyby kompromitować aparat bezpieczeństwa (daremnie szukać w tych papierach śladów ubowsko-esbeckich zbrodni), pozostawiano natomiast (a prawdopodobnie także – dodawano) materiały stawiające w jak najgorszym świetle ludzi, którzy byli w rzeczywistości ofiarami zbrodniczych działań UB/SB. Brak świadomości tego faktu u dzisiejszych badaczy powoduje, że często stają się oni mimowolnymi wykonawcami testamentu SB i propagatorami ubecko-esbeckich kłamstw.

Podobne działania zostały podjęte przez SB także wobec Wojciecha Szostaka. Ich celem było oczywiście uderzenie w jego ojca.

Maria Moczulska: „20 stycznia 1982 roku wróciłam ze Śląska, gdzie byłam operowana. Wróciłam do Warszawy pociągiem, eskortowana przez SB. Parę dni potem przyszedł do mnie Wojtek Szostak. W dniu 13 grudnia 1981 roku został internowany. Tymczasem jego żona była chora. Miał starych rodziców i dwójkę małych dzieci (zdaje się, że miały one 5 i 7 lat – nie pamiętam dokładnie). Dziećmi nie miał się kto opiekować. Był przerażony. Za wszelką cenę chciał wyjść na wolność. Zażądali od niego, aby podpisał zgodę na współpracę. Podpisał i został zwolniony. Natychmiast zerwał swoje dotychczasowe kontakty. Przyjechał do mnie do Warszawy. Poszliśmy z psem do parku (w domu był podsłuch). Wojtek powiedział, że przyjechał specjalnie, aby zdać mi relację z tego, że został internowany i w jakich okolicznościach został zwolniony. Pytał, co ma robić, bo oni wiedzą, że był naszym kierowcą i że ma z nami kontakt. Powiedziałam mu, że będę mu mówiła, co ma mówić, a on będzie to powtarzał esbekom. W ten sposób powstało – jak się zdaje – kilka jego raportów. Nie wiem, czy pisał je osobiście, czy też rozmawiał z esbekiem. Dostawał za to jakieś pieniądze od SB. Po pewnym czasie jednak powiedział, że nie może tego psychicznie wytrzymać. Ponadto jego sytuacja materialna była tragiczna – po 13 Grudnia nie miał pracy. Poradziłam mu, aby wystąpił o paszport dla siebie i dla całej rodziny i wyjechał do Francji. Tam zaś, aby poszedł do władz imigracyjnych i poprosił o zgodę na

osiedlenie gdzieś na prowincji, gdzie nie ma Polaków – wtedy SB da mu spokój. Tak też zrobił. We Francji był kilka lat. Wrócił pod koniec lat 80. (nie pamiętam, czy przed, czy po 1989 roku). We Francji powodziło mu się bardzo źle. Był »goły i bosy«. Podjął pracę w szkole filmowej w Łodzi jako kierowca. Trzymał się z daleka od polityki. Po pewnym czasie wyjechał do Niemiec, gdzie – zdaje się – przebywa do dziś"[112].

Szczegółowa analiza „współpracy" Wojciecha Szostaka z SB dowodzi, że nie stanowił on cennego źródła informacji dla łódzkiej SB[113]. Ale przecież SB nie chodziło o to, aby go naprawdę zwerbować, bo było jasne, że to niemożliwe. Chodziło o zemstę na ojcu.

Nie wiadomo, czy Józef Szostak umierając wiedział, że jego jedyny pozostały przy życiu syn podpisał cyrograf.

* * *

Pułkownik „Filip" umarł pięć lat przed rokiem 1989, prawdopodobnie przekonany, że wszystko o co walczył przez całe swoje długie życie, zostało po raz kolejny stracone. Dowodziły tego fakty: stan wojenny, uwięzienie i skazanie przywódców KPN, samotność... Los go nie oszczędzał.

Cześć i chwała Bohaterom!

Mirosław Lewandowski

[112] Mirosław Lewandowski, Maciej Gawlikowski, *Gaz na ulicach*, t. 2, s. 307–308.

[113] Karol Chylak, *Metamorfoza „Sympatyka",* „Opinia nurtu niepodległościowego" 2016, nr 13, s. 226–236.

Indeks osobowy

A
Abraham Roman: 196, 197, 410
Adamecki Bernard: 314, 322
„Agaton”, zob. Jankowski Stanisław
Albrecht Janusz: 150, 229, **265–**268
Aleksander I: 15
Aleksandrowicz, mjr: 176
Alter Franciszek: 177
Anders Jerzy: 179, 181
Anders Władysław: **246–**248, 251, 273, 304, 391

B
Babicki, adwokat: 401
Baczyński: 55
Badowski Mieczysław: 154, 169, 170
bp Bandurski Władysław: 53, 160
Barcikowski, kpt: 202
„Barry”, zob. Kozakiewicz Włodzimierz
Barsegow, ppor: 242
„Basia”, łączniczka Bora: 309
Bąkowski, wachmistrz: 91
Bednarek, monter: 364
Belina-Prażmowski Władysław: 9, 27, 36, **37**–40, 46, 49, 50, 57, 61, 63, 70, 72, 81, 82, 84, 85, 92, 118, 231
Berbecki Leon: 49, **65**, 95, 206
Berek Jan: 211, 223, 228, 229, 233
Berenson Oskar: 202
Berg: 293, 294
Berg Leopold: 110, 111, 112
Berger Bolesław: 16, 17
Berger Jadwiga Łucja, zob. Szostak Jadwiga Łucja
Berger Stanisław: 17
Beria Ławrientij: 402
Berkowski: 142
von Beseler Hans: 126
Bezeg Henryk: 413
Bidwin, rtm: 179
Bigoszewski Mieczysław: 161, 167, 169, 265–267, 274, 275
Biedrzycki, prof.: 62
Bieliński, ppor.: 41, 99, 105
Bielski, plut.: 342
Bieńkowski, chor.: 70, 71, 73, 75, 83, 86
Biernacki, mjr: 177, 179, 180
Bierut Bolesław: 283, 364, 375
Bieżyński Paweł: 68, 69, 72, 73, 74, 257
Bigda: 369, 371
Billewicz, kpt: 300
Bimbat: 113
Bittner Ludwik: **281**
Bobrowski: 49
Bogusz Jan: 390–392
Bokszczanin Janusz, “Sęk”: 286
Bolechowski por.: 179
Boniecki: 254
Boniecki Edward: 179, 254
Bończa-Uzdowski Władysław: **75,** 76, 157, 159, 222
Borejdo, inż.: 357, 358
Borg, pchor.: 99
Borkiewicz Adam: 297, 310
Bortnowski Władysław: 219, 227
Brajczewski, mjr: 177, 317, 318
Breitman Izaak: 20
Briuchow, kornet: 26
Broniowski Stefan: 281
Brusiłow Aleksiej: 53
Brydzińska Maria: 170
Brzeska: 356
Budionny Siemion: 92, 95, 96
Budrecki Lech: 384, 385
Budziński Juliusz: 88, 202
Busler Kazimierz: 160, 192
Bylina Michał: 166
Bystram, mjr: 100

Bzowski Władysław: 88, 89, 118

C
Calewski Wacław: 160, 170
Car Stanisław: 128
Chamiec Bronisław: 110, 111
Chełmicka Wanda: 17, 19, 21, 22, 27, 113
Chełmicki Bogdan: 70, 71, 84
Chełmicki Jan: 27- 30, 33, 67, 70, 71, 84, 176
Chełmicki Ludwik: 22
Chlewicki: 357, 359, 161
Chmielewski Czesław: 231
Chmurowicz Jan: 176, 177, 317, 318, 323, 325
Chojnacki: 363
Chomicz Stefan: 202
Chroboczek, prof.: 338
Chruścicki Eugeniusz: 54
Chruściel Antoni, „Monter": 276, 289, 290, 293, 294, 298, 302, 303, 307–310
Chwalibogowski, mjr dypl.: 191, 193
Chylak Karol: 409, 416
Cichocki: 165–167, 171, 172, 178, 184, 185, 190
Ciechomski: 80,
Ciurlik-Nowiński, rtm: 119, 156
Comte Henryk: 151, 152
„Cozas", zob. Kamieński Jan
Cybulski Stanisław: 399, 400
Czajkowski: 107
Czarkowski: 251, 252
Czarnecki: 39
Czerwiński Stefan: 202, 206
Czuruk Edward: 170
Czyżewski Marian: 211, 221

D
Daszewski, pchor.: 254
Dąb-Biernacki Stefan: 219, 228, **241**, 242, 248
Dąbkowski: 217, 218
Dąbrowski, ppor.: 95
Dąbrowski Bohdan: 100
Dąbrowski Jerzy: 273
Dindorf-Ankowicz: 250
Dłużewska Zofia: 35
Dłużewski: 35, 62
Dłużewski Stanisław: 141
Dobrowolski Grzegorz: 179
Dobrowolski Zygmunt: 179, 282, 312–314, 322, 370
„Doktór Janek", zob. Kawiński Jan
Dowbór-Muśnicki Józef: **122**
Dreszer Rudolf: 150, 229, 230, 242, 243
Dreszer Wanda, zob. Filochowska Wanda
Drucki-Lubecki Konstanty: 185, 186, 231, 241, 244–246
Duchnowska Zofia: 269, 270
Duchnowski Kazimierz: 163
Dudzieniec, ppor.: 40
Dudziński Czesław: 73,
Dudziński Julian: 72, 73, 75, 76, 80, 83, 90, 115, 119, 120
Dulemba Karol: 71
Dunin-Borkowski Władysław: 93, 94, 96, 97
Dunin-Markiewicz Edward: 120, 121, 122, 130
Dunin-Wąsowicz Jan: 38
Durski, zob. Trzaska-Durski Antoni
Dworak, mjr dypl.: 163
Dziadulski, mjr: 115, 204, 210
Dziewanowski, rtm.: 188
Dzwonnicki Antoni: 279
Dżoker, kpt.: 339

E
Erazm, zob. Tatar Stanisław
Erlich Marta: 338
Essel Jan: 321, 330

F
Fabrycy Kazimierz: 182, 183, 217
Ficner Jerzy: 348–351
Fidusiewicz, wachm.: 154, 156
Filipowicz Juliusz: 202, 250
Filochowska Wanda: 90, 335
Flauta Franciszek: 170
Floryanowicz, mjr dypl.: 337, 338
Frankowski Władysław: 128
Frączek Władysław: 282, 317

G
Gadomski, por.: 265
Gajdan (Gajdar?): 99
Gajdeczka: 319, 320
Gałązka: 176

Gautier: *19*
Gawlikowski Maciej: 414, 416
Gąsiorowski: 189
Gąsiorowski Krzysztof: 414, 415
Glabisz, płk dypl.: 213, 215, 221, 394
Głębocki Tadeusz: 152
Głogowska Wisia: 201, 389
Głogowski Jan: 82, 116, 117, 119, 120, 124, 154-156, 167, 201, 389
Głuchowski Janusz: 48, **90,** 116, 153, 229, 304
Gnutek: 344
Gołąb: 79
Gontarczyk: 166, 168
Gorazdowski Jan, „Wolański": **265**, 339
Gorczyca: 351–354
Gorczyński Witold: 26
Gorzechowski, rtm.: 116
Górski: 271
Górski Ludwik: 61
Grodzieński: 254
Grudziński Antoni: 211, 213
„Gryf", zob. Vakret
Gryger Bolesław: 67, 70, 71, 84
Grzmot-Skotnicki Stanisław: **37**, 38, 41, 42, 46, 47, 63, 70, 81, 197
„Grzegorz", zob. Pełczyński Tadeusz
Gutowski: 54

H
Haczyński, ppor.: 98–101, 103, 104, 106-109, 113
Haller Józef: 34, 314
Heim: 357
Hejman: 392
Heldut, wachm.: 69
„Heller", zob. Iranek-Osmecki Kazimierz
Hempel Zygmunt: 26, 27
Herman Franciszek: 312, 314, 322, 390
Hernas Władysław: 338
Herse, pchor.: 85
Hitler Adolf: 182, 220, 225, 226, 291, 297
Horodecki, por.: 128
Hrynkiewicz, mjr: 265, 267
Hyc, płk dypl.: 224

I
Iranek-Osmecki Kazimierz, „Heller": 289, 290, 294, 305, 309, 310, 312, 313
„Iron", zob. Majorkiewicz Feliks
Iwicki Leon: 398, 399
Izdebski: 401

J
Jabłocki: 34
Jabłońska Maria: 158
Jabłoński Antoni: 42
Jabłoński Jerzy: 158
Jacyna Wacław: 211
Jacyna-Jatelnicki Bolesław: **123**, 125, 128
Jaklicz Józef: 181-189, 206, 210-212, 214, 215, 217, 220-225, 228, 229, 233
Jakowlew, mjr: 89
Jakubski (Jakóbski?), ppor.: 59, 97, 98
„Janisz", zob. Stanielewicz Wacław
Jankowski Jan Stanisław: 289, 290, 292, 294, 306, 311
Jankowski Stanisław, „Agaton": 305, 314
Janta-Połczyński Leon: 170
Jaroszewicz Tadeusz: 83, 89
von Jasiński Ritter: 253
Jasiukiewicz: 196
Jasnowska Maria, „Modesta": 276, 280, 294, 300
Jastrzębski Jan: 179, 183, 184, 191, 192, 194, 202, 318, 319, 325, 326, 339, 345
Jaworska: 338
Jaworski: 164
Jaworski Bronisław: 101
Jedigarow: 163, 250
„Jesion", zob. Klepacz Stanisław
Jędrzejewicz Wacław: **31**, 34
Jędrzejowski: 221
„Joanna", zob. Kózka Anna
Joffe Adolf: 86
Józefowicz, ppor.: 85
Józewski Henryk: 206
Juchniewicz: 250
Jun, prawnik: 252, 253
Junowa Maria: 253
Jurecki Marian: 273
Jurgielewicz Kazimierz: 190
Jurkiewicz: 32

K
Kaftański, ppor.: 93
Kajzer Józef: 211, 214
abp Kakowski Aleksander: 57

Kalenkiewicz Maciej „Kotwicz”, „Maciej” : **272**, 273, 276, 279, 280, 282, 285, 286
Kalinowski Stanisław: 33
Kaługin, kpt.: 308
Kamieński Jan, „Cozas”: 285, 300, 305, 306, 312, 314, 333
Kamińska: 342
Kamiński Franciszek: 413
Kamiński Łukasz: 410
Kamler Jerzy, „Stolarz”: 267–272, 275, 280, 293, 295, 298, 300, 302
Kamler Julian: 30, 70, 73, 80
Kamler Zofia: 269, 276
Karaszewicz-Tokarzewski Michał: **257**, 277, 278, 385
Karcz Jan: 83, 117, 165, **166**–172, 175, 176, 178, 190, 191, 194, 222, **248**–255
Karkiewicz, rtm.: 122
Kasprzycki de Castenedele Stefan: **148**
Kasprzycki Tadeusz: 195, 197, 201, 209, 225, 277
Kaszubska Irena: 335, 338
Kaszubski Tadeusz: 335, 338
Katan Hala: 339, 393
Katan Henryk: 276, 339
Kaupisch: 63, 66
Kawecki Roman: 82, 89
Kawińska: 254
Kawiński Jan, „Doktór Janek”: 38, 40, 41
Kesselring Albert: 383
Kiedrzyński Marian: 46, 54
Kiereński Aleksander: 61
Kierkowska Eleonora, „Lolita”: 269, 276, 279, 280
Kirchmayer Jerzy: 227, 267, 271, 282, 285, 297, 298
Kiwerski Jan: 286
Klepacz Hanna, zob. Szymańska Hanna
Klepacz Janusz: 307
Klepacz Stanisław: 202, 302
Klepacz Zofia: 267, 275, 276, 298, 299, 302, 308
Klimecki: 187
Klimecki Tadeusz: 401
Kmicic-Skrzyński Ludwik: **70**, 71, 83, 90, 194
Knap, chor.: 397
Kniaziołucki Leon: 57
„Kobra”, zob. Okulicki Leopold
Kobyliński, mjr dypl.: 341
Konarzewski Daniel: **145**, 199
Koncki Justyn: 38, 41, 54
Kopański Stanisław: **85**, 190, 223, 273, 304, 391
Korczyński Alfred: 312
„Kortum”, zob. Sanojca Antoni
Kosek: 357, 354
Kosiński (fałszywe nazwisko Józefa Szostaka): 275
Kossak, malarz: 36, 150
Kossakowski Tadeusz: 314
Kosztowski, ułan: 77
Kowalska Julia: 53, 113
Kowalski, kpt: 171
Kowalski (fałszywe nazwisko Józefa Szostaka): 259, 261, 272, 275, 313, 334
Kownacki, płk: 281
Kozakiewicz Włodzimierz „Barry”: 325
Kozłowski, rtm.: 179
Koźmiński Karol: 31, 32, 36, 37, 38, 44, 45, 48, 51, 54
Koźmiński Stanisław: 54
Kózka Anna, „Joanna”: 259, 265, 276, 298, 299, 301, 304, 307–309, 314, 328
Kózka Danuta: 265
Kruszewski Jan Kazimierz: 250
Krycki, płk: 337
Kryński Mirosław: 33, 80
Krysik: 398
Krzaczyński Władysław: 54
Krzysztofowicz: 363
Krzyżanowski Tadeusz: 382, 383
Kuc-Rakowski: 79
Kucińska Zofia: 203
Kucharski Stanisław: 150
„Kuczaba”, zob. Pluta-Czachowski Kazimierz
Kuczyński, rtm. dypl.: 245
Kulisiewicz Jan: 168
Kuropieska Józef: 322
Kurowska: 272
Kutrzeba Tadeusz: 176, 178, 179, 181, 184, 186, 189, 190, 192, 227, 318
Kuźbiał, kucharz: 60
ks. Kwapiński: 66
„Kwiatek”, zob. Kwieciński Kazimierz
Kwiatkowski Aleksander: 120, 121, 122–125

Kwiatkowski Remigiusz: 375
Kwieciński Bogdan: 233
Kwieciński Kazimierz, „Kwiatek”: 42, 54, 72, 73
Kwieciński Wincenty: 410

L
Lamers Jan: 282
Lamot, zob. Wrona
Landowski rtm. dypl.: 250, 253, 255, 256
Laske: 347, 349
Lecewicz: 155
Lenc Konstanty: 128, 145
Lenczowski, ppłk: 91, 192
Leszczyński: 315
Lewandowski Jan: 41, 44, 101, 110
Lewandowski Mirosław: 414, 416
Libicki Konrad: **34**
Likiernik: 119
Lipiński: 341, 343
Lipkowski, por.: 247
Lisiewicz Adam: 170
Lisowski, kapral szwoleżerów: 154
Lisowski, por., rezerwy: 383, 384
„Lolita”, zob. Kierkowska Eleonora
Lorch, pchor.: 302
Loth Stefan: 207
Lubomirski Zdzisław: 57, 281
Lupesku Jonel: 157, 158, 159

Ł
Ładoś, gen.: 154
Łagiewski: Aleksander: 207
Łaszkiewicz, por.: 128
Łubieński, por.: 71
Łubieński Aleksander: 201
Łukomski Lech: 341–343
Łuniewski: 257

M
„Maciej” zob. Kalenkiewicz Maciej
Maciesza, mjr: 125
Majewski, inż.: 358, 359, 161
Majewski Tadeusz: 211
Majorkiewicz Feliks, „Iron”: 285, 314
Makaliński Włodzimierz: 232, 233, 250, 257, 258
Makarczyk: 259
von Mackensen August: 403
Makowiecki Józef: 121, 122, 123, 131–133, 135, 141, 145, 153, 172, 179, 180, 226
Maks (Max) Kazimierz: 64, 83, 120, 121, 131, 137
Malak: 295
Malczewski Juliusz: 150
Malinowski Antoni: 202
Małkowska Aniela: 334, 335, 338, 339
Małkowski Henryk: 334, 335, 338, 339
Mańkowski Edward: 119
Marecki Andrzej: 211, 213, 221, 223, 224, 228, 401
Marek, mjr: 400
Markiewicz Edward, zob. Dunin-Markiewicz Edward
Martyka Stefan: 384
Maruszewski Artur: 63
Masaryk Tomasz: 219
Mastalerz Kazimierz: 72, **73**, 117, 124, 168, 171
Matejko Jan: 53
Matuszek: 325, 327, 332
Mazanek Kazimierz: 128, 145, 155
de Mazerat, mjr: 89
Mazur: 361, 362
Mazurkiewicz Jan, „Radosław”: 265, 293–295, 298, 304, 305, 338, 339
Meyer Andrzej: 152
Michalewski Adam: *120*
Michalik Marek: 409
Michałowski Piotr: 399
Miedziński Bogusław: **34**
Mieszkowski: 60, 79
Miłkowski, płk dypl.: 243
Minc Hilary: 360, 388
Mindak: 346, 347
Mirowska: 383
Mirowski Stanisław: 130, 132, 133, 135, 136, 141, 151, 152, 264, 383
Miszczyk: 348
Mitek: 343
Mitkiewicz-Żółtek Leon: 233
Młodzianowski, płk: 321
Moczulska Maria: 415
Moczulski Leszek: 409–413
Moczulski Leszek: 226, 410
„Modesta”, zob. Jasnowska Maria
„Monter”, zob. Chruściel Antoni
Moraczewski Iwo: 70

Mossor Stefan: 277
Motz Jan: 159, 166, 169, 170, 203
Mościcki, płk: 19
Mościcki Ignacy: 154, 170, 216, 233, 297
Mościcki Michał: 170
Mroziński Bolesław: 19, 20

N
Nadachowski Adam: 181
Napiórkowski Aleksander „Kordian": 39
Napoleon I: 15, 76, 172, 176, 292, 299, 300
ks. Narbutowicz: 375
Narutowicz Gabriel: 124–127
Narzymski Jan: 211, 222, 233
Nawrocki, kpt.: 211
Nebelski Adam: 146, 151, 152
Neuman Bogdan Włodzimierz: 317, 319, 320
Niementowski Karol: 70
Nieniewski, płk dypl.: 97, 341
Niewiadomski Eligiusz: 126, 142
Niżałowski, rtm.: 153
Norwid-Neugebauer Mieczysław: 221
Nowiński Tadeusz: 394
Nowosielski, płk dypl.: 185, 217

O
Obrębski: 127
Ogórkiewicz Marian: 211
Okęcki: 264
Okniński, ppłk: 25
Okulicki Jan: 343, 344, 347
Okulicki Leopold „Kobra": 211, 283, 286, 287–289, 294, 311
Okurowski Adam: 20
Olechnowicz, ppor.: 98
Olszamowski Janusz: 63
Olszewski Mirosław: 254
Olszowski Stanisław: 259
Orlicz-Dreszer Gustaw: **34**, 40, 48, 49, 63, 70, 75, 76, 77, 82, 83, 85, 86, 88-91, 95, 96, 116, 117, 119, 120, 138, 150, 153, 164,165, 192, 196–198, 201, 203, 204, 207, 209
Orzechowski, rtm.: 96, 97
Orzechowski, doktor: 255
Orzeszkowa Eliza: 402
Osiński Aleksander: 192, 206
Oster-Ostrowski Tadeusz: **41**, 47
Ostoja-Owsiany Andrzej: 410
Ostrowska: 259–264, 266, 313, 333, 334
Ostrowska Jolanta: 264
Ostrowski Józef: 57
Ostrowski Stanisław: 259

P
Paderewska Helena: 83
Parafianowicz, rtm.: 247
Pasicz, pchor.: 119
Paskiewicz Iwan: 30
Paszkowski, rtm.: 91, 95
Patkowski: 271
Paweł, ppłk: 316
Pełczyńska Wanda: 266
Pełczyński Krzysztof: 266
Pełczyński Tadeusz: **266**, 268, 283–290, 293–295, 298–300, 302, 303, 305–307, 309–314
Perdzyński Tadeusz, „Tomir": 302, 303, 309, 312
Pereświt-Sołtan Kazimierz, zob. Sołtan Kazimierz
Perlowa Teresa: 79
Perłowski: 261
Pertyński: *363*
Perzyna Łukasz: 410
Piasecka (żona Bolesława Piaseckiego): 265
Piasecki, rtm, mjr: 97, 99–102, 105, 108, 115, 116, 120
Piekarska Wanda: 27-29
Pieracki Bronisław: 170
Piłsudski Józef: 9–11, 26, 27, 33, 34, 37, 44, 49. 52, 53, 55, 57, 68, 78, 79, 82, 84, 87, 109, 118, 126, 131, 138, 140, 175, 191, 198, 200, 203, 210, 212, 213, 215, 216–218, 220, 225, 226, 230, 291, 386, 410, 412
Piniński: 396, 397
Piskor Tadeusz: **84**
Plebański Jan: 79
Pluta-Czachowski Kazimierz, „Kuczaba": 289, 290, 294, 305, 309, 410–413
Pniewska Jadwiga: 276
Podhorski Zygmunt: 202
Podlewski Stanisław: 303
Pohowski, ppor.: 99
Polakowski, ułan: 59
„Poleszuk", zob. Szydłowski Adam

Poniatowski Józef: 138
Poniatowski Mieczysław: 132, 141, 146, 147, 153
Ponikowski Antoni: 124
von Poten Swide: 89
Potocki Maurycy: 144, 170
„Prezes", zob. Rzepecki Jan
Pronaszko Janina: 271
Proust Marcel: 385
Próchniak Leszek: 410
Pruszanowski Leon: 179
Przerwa-Gdowska Seweryna: 15, 16
Przeździecki Konstanty: 139
Przybysz, ułan: 81
Przyjałkowski, kpt.: 93
Pszczółkowska: 254
Puchalski Stanisław: **55**
Pusłowski, rtm.: 128
Putowski, rtm.: 335, 336
Pużak Kazimierz: 290
Pyszora Bolesław: 211

R
Rackman Edward: 70, 71, 73, 116, 119, 120, 137, 255
Rackman Helena, zob. Szostak Helena (żona Józefa Szostaka):
Rackman Jan: 255
Rackman Karol: 74
Rackman Zofia: 255
Raczkiewicz Władysław: 391
Raczyński, ppor.: 98
Radomyski Adam: 120, 122, 123, 125, 128, 129, 130–132, 136, 137, 138, 145, 149, 152
„Radosław", zob. Mazurkiewicz Jan
Radzienta, plut.: 71, 73, 76
Rafalski, prof.: 271
Rago Stefan: 220
Rataj Maciej: 126
abp Ratti Achilles: 88
Rawicz: 64
Reliszko, mjr: 100, 364
Richthofen, gen.: 188
Rohr Günther: 310
Rojowski Kazimierz: 120
Rokicki Józef: **281**
Rokossowski Konstanty: 337
Rola Tadeusz: 211
Rola-Żymierski Michał: **34**, 336, 341, 344
Roman Władysław: 393
Romanowska Anna, zob. Szostak Anna
Romer Karol Adam: **201**
Rontaler Edward**:** 20, 21, 33, 56, 62, 77, 158, 220, 257, 338
Rostworowski Marian: 232, 233
Rostworowski Stanisław Janusz: **280**
ks. Rostworowski Tomasz: 304, 373
Rowecki Stefan: 192, 251, 265, **277**, 278
Rowiński, mjr.: 117, 118, 119
Rozmiarek: 357, 359
Rozwadowski Tadusz: 124
Rommel Erwin: 365
Rómmel Juliusz: 89, 96, 227
Rómmel Karol: **89**
Różalski: 127, 144
Ruciński Stanisław: 398–400
Rudnicki, ppor.: 98
Rudziejowska Eugenia: 279, 294
Rudolf, płk: 88
Rudzki Kazimierz: 319, 320, 339, 340
Rupert: 52
Rusek, por.: 400, 402
Rusiecka: 80
Rybak: 131
Rybarkiewicz Zbigniew: 409, 410
Rybarkiewicz Zbigniew: 409, 410
Rybicki Józef: 410
Rychter: 192
Ryży: 357
Rzepecki Jan: **283**, 308, 314, 316–318, 322, 323, 339, 363
Rzewuski prof.: 319

S
Sakowicz: 384–386
Sakowski, rtm.: 108
Salini, ppłk: 177
Sarnecki, por.: 85
Sarnowski Franciszek: 44
Sawicki Jan: 96, 287, 314
„Sęk", zob. Bokszczanin Janusz
Schoen-Wolski: 271, 274
Shaw Bernard: 319
Sedivia, rtm.: 230
ks. Sędziakowski Władysław: 17
Siciński, por.: 83
Sieklucki, ułan: 41

Siemiątkowska: 261, 262, 313
Siemiątkowski Jan: 262, 263, 313
Sienkiewicz, rtm: 179
Sienkiewicz Henryk: 52, 402
Sienkiewicz Jerzy: 396–398
Sienkiewicz Stanisław: 229, 233, 396
Sieroszewski Wacław: **34**
Sikorski, beliniak: 72
Sikorski Antoni: 410
Sikorski Władysław: 11, 126, 142, 143, 150, 155, 241, 257, 265, 267, 273, 281, 297, 401
Sipiczyńska, zob. Walewska Myszka
Siwek Michał: 73
Skalski, kpr.: 102
Skaut, ułan: 42
Skowroński Zygmunt: 170
Skuratowicz Piotr: 150, 202
Skroczyński Albin: 314
Skrzydlewski Jerzy: 229, 241, 245
Skrzynecki Marian: 36, 249
Sliwitz, kpt.: 64, 66
„Sławbor", zob. Szczurek-Cergowski Jan
Sławek Walery: 170
Sławoj-Składkowski Felicjan: 199
Słodki: 261, 263, 264
Słomkowski: 36
Sługocki Gucio (Gustaw?): 351, 356
Smereczyński Roman: 342, 343, 345
Smut: 395
Smoleński Józef: 51, **61**
Sobik: 350
Sokołowski Adam: 47
Sokołowski Zygmunt: 73, 74, 75, 77, 82
Sołdrowski Andrzej: 373, 375
Sołtan Kazimierz: 119, 123–125, 130, 131–133, 135, 136, 141, 146, 147, 151–153, 164, 166, 167, 169, 170, 203, 205, 256, 318
Sosabowski Stanisław: **196**
Sosnkowski Kazimierz: **37**, 94, 150, 186, 188, 247, 283, 311, 393
Sroczyński Stefan: 51
Stachiewicz Wacław: 210, 212, 214, 215, 218, 219, 223, 229, 318, 394
Stachowicz, ppłk: 202
Stalin Józef: 214, 297, 364, 399, 402
Stanielewicz Wacław, „Janisz", „Wuj": 32, 35, 38, 39, 41, 44, 51, 54, 59
Staniewicz Witold: 170
Stanisław August: 142
Stankiewicz: 115
Stankiewicz Roman: 176, 177, 179, 184
Stański Tadeusz: 409
Stebel: 348
Stępniewski: 368, 370, 371
„Stolarz", zob. Kamler Jerzy
von Stehoff, rtm.: 58. 61
Stempkowski Michał: 116, **117**, 176
Stodup: 404
Strakacz: 334
Suchodolski Henryk: 98, 110, 111
Sulisławski, ppłk: 189, 224
Suszyński Bolesław: 170
Suszyński Stefan: 138
Szajter (właśc. Schaitter) Jan: 230–232
Szamota Andrzej Adam: 233
Szczerbiński: 275, 295
Szczudluk, chor.: 119
Szczurek-Cergowski Jan, „Sławbor": 308
Szeremietiew Romuald: 409
Szlenkier: 275
Szmolcówna: 142
Szomański, mjr: 224
Szomański Andrzej: 7, 11, 411
Szopiński Stanisław: 399, 400
Szoryn-Pawłowski: 325, 332
Szostak Adam (brat Józefa Szostaka): 17, 20, 21, 28, 68, 70, 71, 73, 74, 78, 80, 81
Szostak Adam (syn Józefa Szostaka): 113–115, 186, 231, 234, 255, 394
Szostak Aleksander (pradziadek Józefa Szostaka): 15
Szostak Anna (prababka Józefa Szostaka): 15
Szostak Bronisław (brat Józefa Szostaka): 17, 19–23, 26, 27, 68, 69, 70, 71, 72, 168, 172, 234, 255, 266, 338, 396
Szostak Filip Antoni (dziadek Józefa Szostaka): 15, 16
Szostak Halina (żona Bronisława Szostaka): 255
Szostak Helena (pierwsza żona Józefa Szostaka): 89, 235, 240, 255, 259, 265, 269
Szostaka Helena (siostra Józefa Szostaka): 17
Szostak Jadwiga Łucja (matka Józefa Szostaka): 16

Szostak Juliusz: 179
Szostak Janina (druga żona Józefa Szostaka): 356, 357, 360, 362–365, 389, 392, 395, 398–401, 403, 404, 406
Szostak Maciej (syn Józefa Szostaka): 186, 231, 234, 240, 255, 394
Szostak Maria (bratanica Józefa Szostaka): 350, 351
Szostak Polikarp (brat pradziadka Józefa Szostaka): 15
Szostak Sianek (brat Józefa Szostaka): 19, 20, 21, 28, 56, 68, 70, 71, 84, 85, 240
Szostak Wanda, zob. Chełmicka Wanda
Szostak Wojciech (syn Józefa Szostaka): 10, 364, 365, 392, 393, 395, 406, 407, 409, 414–416
Szostak Zygmunt (brat Józefa Szostaka): 17, 18, 19, 21–22, 27, 68, 70, 71, 72, 341, 363, 364, 382
Sztarejko Stanisław: 211
Szwejcer (Schweizer) Ludwik: 57, 83
Szwejkowski Lucjan: 96, 113
Szychowski, płk dypl.: 214
Szydłowska Monika: 389
Szydłowski Adam: 46, 285, 287
Szygiel: 74
Szyller Stefan: 70, 73, 83
Szylling Antoni: 222
Szymanowska Zofia: 51, 382
Szymanowski Piotr: 26, 33, 156
Szymanowski Wiktor: 26, 27, 28, 29, 30, 33, 67, 69, 70, 71, 72, 84, 86, 382
Szymańska Hanna: 302, 307
Szymczyk Stefania: 364, 365
Szuchowa Delfina: 16

Ś
Śliwiński, pchor.: 93
Śmigły-Rydz Edward: 11, 49, 186, 209, 210, 215, 216, 220, 221, 224–227, 257, 344, 352, 394
Światło Józef: 402
Świątkowski Andrzej: 273
Świderski: 64
Świerczewski Karol „Walter": 389
Świerszcz-Pytlewski, ppor.: 58
Świtalski Kazimierz: **128**, 170

T
Tabor, dyrektor: 169
Taczanowski: 198
Tarabanowicz, mjr: 92, 93
Tarnasiewicz, beliniak: 70
Tarnowski Jan: 232, 250, 318
Tatar Stanisław „Erazm": **266**–286, 289, 300, 304, 381, 393, 394
Tatar Stefan: 119
Taube, mjr: 168
ks. Tokarzewski Marian: 123, 152
„Tomir", zob. Perdzyński Tadeusz
Trepto Józef: 117, 119, 172, 193, 201
Trojanowski Mieczysław: 222
Trojanowski Wojciech: 320
Trzaska-Durski Antoni: 55, 87, 178, 202, 203, 206–209

U
Utnik Marian: **223**

V
Vakret (właśc. Vacqueret) Alfons: 125

W
Wabiński Antoni: 81
„Wachnowski", zob. Ziemski Karol
„Wacka", łączniczka: 314
Wajda Wojciech: 176
Walerjan Apolinary: 231
Walewska Myszka: 375
Walicki Michał: *383–385, 398–400*
Waligóra Grzegorz: 410
Walter-Świerczewski Karol, zob. Świerczewski Karol
Wania, ppłk: 249
Wańkowicz Jan: 218
Warzybok Bronisław: 180, 184, 190
Wąsowicz, patrz Dunin-Wąsowicz Jan
Welke Aleksandra: 68
Wenda Zygmunt: 170
Wendorf, por.: 117
Weryho Władysław: 182
Węgrzyn Józef: 373, 375, 376
Wiatr, płk dypl.: 217
Wickenhagen Karol: 208, 253
Wieniawa-Długoszowski Bolesław: **34**, 60, 88, 155, 156, 157, 159–168, 170, 172, 178, 181, 184, 186, 190–204, 206, 207,

209, 210, 2176, 225, 232, 235, 236, 259, 291, 318, 364, 383
Wieniawska Janina: 68
Wieniawski Antoni: 30, 33, 62, 68, 382
Więckowska: 392, 394, 395
Więckowski Mikołaj: 202
Wilczyńska: 335
Wilczyński, ppor.: 335
Wilczyński Edward: 56
Wilczyński Józef Czesław: 98, 152, 153, 158, 170
Wicknhagen Karol: 208. 253
Wilman Adam: 347, 348, 351, 355, 356, 359-361, 363
Witczak (właśc. Witczak-Witaszyński) Narcyz: 4, 122, 123, 135
Wirski, mjr: 150, 153, 155, 156, 157, 163, 168
Wislużil, zob. Wirski
Wisłocki, por.: 119
Wiśniewski: 32, 38, 39
Witos Wincenty: 41, 141
Własow Andriej: 383
Włodarkiewicz Jan Henryk: **258**
Wojciechowska Maria (prezydentowa): 127, 138, 139, 144
Wojciechowski Stanisław: 126, 143, 144, 151, 155, 264, 383
Wolański, zob. Gorazdowski Jan
Wołkow, mjr: 372, 373
Wołkowicki Jerzy: **89**
Woźniakowska Irena: 363
Wójcicki: 267
Wójtowicz, mjr: 241, 250
Wrona, ułan: 47
Wróblewski Jan Karol: 170
„Wuj", zob. Stanielewicz Wacław
Wyrwa-Furgalski Teodor: **49**
Wyrzykowski, ułan: 71
Wysocki, ppor.: 34, 38

Z

Zaborowski, ppłk dypl.: 215
Zagórska Aleksandra: 17
Zagórski Stanisław: 206
Zahorski Sergiusz: 154, 160
Zając Józef: 193
Zajlich Piotr: 142
Zakrzewski Adam: 202–205, 249, 251
Zaleski Kazimierz: 132, 135, 136, 139, 146, 151–153, 264
Zalewski Ksawery: 86, 140, 141, 391
Załęski Zygmunt: 388–390
Zamojski, szwoleżer: 205
hr. Zamoyski: 205
Zaruski Mariusz: **50**, 128, 129, 130, 132, 138, 145, 146, 151, 152, 155
Zasadzka Wincentyna: 19
Zastawny: 276
Zatorski, rtm.: 179
Zawadil, rtm.: 153
Zawadzki, płk UB: 337, 341
Ząbek: 360
Zbrowski, mjr: 314
Zdanowicz, rtm.: 202
Zdrojewski: 17
Zejda: 401
Zembroń, ułan: 71
Zembrzuski Konrad: 70, 171
Zgorzelski, kpt.: 197
Zieliński Gustaw: 171
Zieliński Zygmunt: 54, **61**
Ziemski Karol, „Wachnowski": **276**, 282, 302, 303, 305–307

Ż

Żarnowski Franciszek: 31-33, 36-38, 41, 44, 45, 54
Żelechowski: 400
Żeligowski Lucjan: **68**, 266
Żeromski Stefan: 402
„Żmogus", zob. Dunin-Wąsowicz Jan
Żmuda: 71
Żółkiewski Marian: 71, 72, 74, 87, 88, 90
Żółtek-Mitkiewicz Leon zob. Mitkiewicz-Żołtek Leon
Żuliński Tadeusz: 34, 36
Żurawski, rtm.: 150
Żuromski, rtm.: 124
Żymierski Michał, zob. Rola-Żymierski Michał

Spis treści

Od Wydawnictwa Polskiego 7
Słowo wstępne (Andrzej Szomański) 9

Część I 13
Garść wiadomości o rodzinie Szostaków 15
Dzieciństwo i wczesna młodość 17
Legiony 29
Szczypiorno 62
Cywil i student 67
Znów w mundurze i na wojnie 70
Rok 1920 – wojna 91
W Dziśnie – daleko na północy 110
Życie pokojowe w szwoleżerach 118
W szwadronie przybocznym 121
Znów w szwoleżerach 154
W Wyższej Szkole Wojennej 178
W sztabie 2 Dywizji Kawalerii 190
Zastępca dowódcy pułku 202
W Sztabie Głównym 210
W 13 pułku ułanów Wileńskich 229

Część II 237
Druga wojna światowa 239
Okupacja i ukrywanie się 253
W Związku Walki Zbrojnej 267
Na skrawku Niepodległej Polski 288
W niewoli 313
Na wolności 326
W Łodzi 362
Zapłata za wierną służbę 364
Zakończenie 407
Posłowie 409
Indeks osobowy 417